

Powieści  
Richarda Hermana  
w Wydawnictwie Amber

Bariera  
Brzemie władzy  
Czarne Skrzydła  
Na ratunek Polsce  
Orle szpony  
Sam przeciw wszystkim  
Żelazne Wrota

*Richard Herman*

**Żelazne Wrota**

Przekład  
Krzysztof Bednarek



**AMBER**

Tytuł oryginału IRON GATE

Redakcja stylistyczna ANNA TŁUCHOWSKA

Ilustracja na okładce MILLER

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE

WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER

oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu

<http://www.amber.supennedia.pl>

Copyright © 1996 by Richard Herman, Jr. All rights reserved

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o. 1997

ISBN 83-7169-440-7

WYDAWNICTWO AMBER Sp, z o.o.

00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 2000. Wydanie 11

Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Książka ta jest poświęcona pamięci ośmiu dzielnych ludzi, którzy zginęli 25 kwietnia 1980 roku, próbując uwolnić pięćdziesięcioro troje amerykańskich zakładników, więzionych w Iranie.

*Nasi przodkowie obmyli tę ziemię własną krwią, walcząc z barbarzyńcami, którzy zniewolili tę krainę. Siły ciemności nie zostały pokonane, i teraz atakują wrota naszej cywilizacji. Ale to potężne wrota; to brama wykuta z żelaza i krwi naszych ojców.*

*Kiedy myślicie o Żelaznych Wrotach, myślcie o swojej krwi! Krew i ziemia! - Blut und Boden!*

Hans Beckmann

- bohater niniejszej powieści, w książce:  
*Krew i ziemia - moja walka o państwo Afrykanerów*

## **Prolog**

**Środa, 30 lipca**

**Soweto, Republika Południowej Afryki**

Dwaj kilkunastoletni chłopcy stali koło postoju taksówek, pod jedynym wiaduktem w murzyńskim Soweto. Z uwagą przyglądali się pasażerom wysiadającym z mikrobusów, które przyjeżdżały z Johannesburga. Stali spokojnie. Nie spieszyło im się. Wykonywali swoje pierwsze zadanie. Prędzej czy później zobaczą człowieka odpowiadającego podanemu opisowi.

A jeśli przez pomyłkę zabiją kogoś innego - to nie szkodzi. Poczekają na właściwego. Tak postępują *tsotsi* - młodociani, okrutni członkowie grup przestępczych, w czarnej części miasta, specjalizujący się w rozboju ulicznym.

Kierowca kolejnej furgonetki, z czarnymi robotnikami wracającymi z Johannesburga nadszedł szybko, nie zważając na tłum idących po jezdni ludzi. Rozstępowali się, żeby go przepuścić. Zatrzymał się, szarpiąc ostro.

Na szczupłych twarzach *tsotsich* nie pojawił się żaden szczególny wyraz, kiedy z samochodu wysiadł schludnie ubrany człowiek o

jaśniejszej od innych skórze. To był ich cel. Bez słowa ruszyli za nim. Nie zauważyli nawet wysokiego mężczyzny, który także czekał na postoj.

John Author MacKay miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dzięki czemu widział daleko ponad tłumem. Czarna, pobrużdżona twarz Johna nie zwracała niczyjej uwagi. Poszedł za *tsotsimi*, niezadowolony z takiej komplikacji; nie była mu ona potrzebna. Zbliżył się i spostrzegł, że jeden z chłopców wyciąga z rękawa długą, cienką klingę, zaostrzoną z obu stron - typową w tych stronach broń zabójcy. Drugi wyrostek ruszył szybko naprzód, wyprzedził ofiarę i zastąpił jej drogę.

Całe zdarzenie wyglądało na zwykłą scenkę w przeludnionym mieście, gdzie spokój i bezpieczeństwo można odnaleźć jedynie w domach bogaczy. Dwaj *tsotsi* zamierzali zadźgać mężczyznę i pozostawić na ziemi jego martwe ciało.

Zanim jednak chłopak zdążył uderzyć, MacKay skoczył i złapał go za nadgarstek. Wykręcił mu rękę i szarpnął nią w górę, po czym z całej siły lewą pięścią uderzył w wyprostowany łokieć. Rozległ się trzask pękającej kości. Nóż wypadł na ziemię, a chłopak zachłysnął się z bólu.

Napadnięty odwrócił się, zaniepokojony hałasem. Odepchnął chłopaka blokującego mu drogę i spróbował kopnąć go w kolano. Nie udało mu się to i trafił w goleń.

Chłopak zatoczył się, krzycząc z bólu, i, zdezorientowany wpadł prosto na MacKaya. Podniósł wzrok i zamarł na widok potężnego mężczyzny o groźnym wyglądzie. MacKay miał wysokie czoło, wielkie, odstające uszy, zniekształcony nos, cofniętą brodę i pokryte

bliznami policzki. Uśmiechnął się, wiedząc, że wówczas wygląda jeszcze okropniej.

Trzasnął chłopaka otwartą dłonią w czoło; powtórzył to kilka razy. Wystarczyło.

- Tędy - odezwał się mężczyzna i poprowadził Johna w kierunku gęsto stłoczonych obok postoju taksówek chałupek. MacKay ruszył za nim, zaskoczony jego spokojem. Skręcili w boczną uliczkę. Nieznajomy upewnił się, że nie są śledzeni i wszedł przez bramę na teren ogrodzony niewysokim płotem z drutu.

Zatrzymali się przy małym, dwupokojowym domku, czy właściwie nędznej chacie, z jakich składała się większa część Soweto.

Mężczyzna wziął głęboki oddech i zapytał:

- Pan jest John Arthur? - MacKay skinął głową na znak potwierdzenia. - Jak rozumiem, jest pan zainteresowany Numerem Jeden? - John przytaknął po raz drugi. - My także - powiedział nieznajomy. - Ale mamy problemy.

- Finansowe? - spytał MacKay. - Teraz przytaknął tamten. John podał mężczyźnie wypchaną kopertę. Nieznajomy otworzył ją i szybko przeliczył pieniądze. Na jego twarzy pojawiły się kropelki potu. Widać suma bardzo mu odpowiadała.

- Możemy pomóc - rzucił mężczyzna.

- Jest pan z Inkatha? - zapytał MacKay.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Bardzo proszę - żadnych pytań.

John pokazał palcem na kopertę.

- Jest tego więcej - powiedział. Nieznajomy uśmiechnął się. Nareszcie MacKayowi udało się nawiązać kontakt.

**Czwartek, 31 lipca**

**Pomnik *Voortrekkerów***

**Pretoria, Republika Południowej Afryki**

Od strony parkingu zbliżyła się duża grupa ludzi. Weszli przez bramę w obręb otaczających wierzchołek wzgórza murów. Mury pokryte były płaskorzeźbami. Sześćdziesiąt cztery granitowe wozy tworzyły *laager*, czyli obronny krąg, symbol oporu Afrykanerów. Świtało. W dole widać było jeszcze światła miasta. Przybysze w milczeniu wspięli się po stopniach mauzoleum. Ogromny pomnik - prostokątna masa granitu - odcinał się od ciemnego jeszcze nieba. Nagle rozblęły reflektory. Z półmroku wyłoniły się brązowe posągi kobiety i dwojga dzieci, strzegących wejścia.

Ludzie zatrzymali się jak na zawołanie. Było ich niemal czterystu. Pięćdziesiąt lat wcześniej przychodziło tu kilkadziesiąt tysięcy; ci, którzy przyszli teraz, byli ostatnimi przywódcami - starszyzną plemienia, które nie chciało poddać się niepomyślnym czasom. Byli to sami mężczyźni; poubierani w ciemne garnitury, odpowiednie na uroczyste okazje, takie jak pogrzeb - bo przecież uczestniczyli dziś w rodzaju pogrzebu. Wielu z potężnych, barczystych mężczyzn nosiło tradycyjne brody. Wszyscy trzymali egzemplarze Biblii - duże, oprawne w skórę, zużyte przez czas; inne mniejsze, nowsze, poręczniejsze. Wszystkie jednak nosiły ślady regularnego czytania. W tych książkach zapisywano historie rodzin - imiona nowo narodzonych i daty urodzin, chrztów, ślubów i zgonów.

Okazja była nadzwyczaj poważna. Mężczyźni przyszli w to symboliczne, tak ważne dla nich miejsce, aby spalić Biblie i zerwać,

w imieniu całego narodu, przymierze z Bogiem. Jeden z nich wysunął się naprzód i położył swój egzemplarz świętej księgi.

W cieniu monumentu krył się jakiś człowiek. Przyglądał się zgromadzeniu, po czym wkroczył w krąg światła i podniósł Biblię.

- Dlaczego to robicie? - zapytał. Przemówił w *afrikaans* - mowie potomków holenderskich osadników, którzy przybyli do Afryki w XVII stuleciu. Obok flamandzkiego rdzenia w skład tego narzecza weszły przez stulecia elementy innych języków Europy, Azji i Afryki.

- Hans Beckmann... - rozszedł się wśród tłumu cichy pomruk. Wiedzieli, kim był oczekujący ich mężczyzna. Odpowiedział najstarszy z przybyszów:

- Przyszliśmy, ponieważ przymierze zostało zerwane. Bóg nie wydaje już w nasze ręce nieprzyjaciół, abyśmy mogli nad nimi zatryumfować. Straciliśmy naszą ziemię, nasz kraj.

- Tylko częściowo - odparł Beckmann, oddając Biblię właścicielowi. Był ubrany inaczej niż pozostali - miał na sobie polowy mundur i wojskowe buty. Pod jednym z naramienników tkwił złożony beret. Nie miał jednak przy sobie broni. Ścisnął poły kurtki pasem, chroniąc się przed zimnym wiatrem. Beckmann był gładko ogolony; miał też krótko przystrzyżone blond włosy. Średniego wzrostu i budowy, nie wyróżniał się posturą. Jednak jego głos i sposób bycia wskazywały na kogoś, kto przyzwyczajony jest do wydawania rozkazów; łatwo znajdował posłuch.

- Straciliśmy władzę nad Afryką Południową, ale to jeszcze nie znaczy, że nie mamy już ojczyzny.

- Gdziekolwiek pójdziemy, znajdziemy się w mniejszości - odezwał się jeden z tłumu. - Cały świat opowiedział się przeciwko

nam.

Beckmann założył ręce na piersi i spojrzał na Pretorię.

- My stworzyliśmy ten kraj i przynieśliśmy mu dobrobyt. To my sprowadziliśmy cywilizację. - Zgromadzeni słuchali słów, w które od zawsze głęboko wierzyli. - Nie mogę odmienić tego, co się stało, ale uważam, że jestem w stanie przywrócić nam własny, ukochany kraj.

- W jaki sposób? - rzucił ktoś głośno z tylnych szeregów.

- Dajcie mi Numer Jeden - odparł Beckmann - a wykroję dla nas *Boerstaat* - Państwo Burów. Dam wam ojczyznę, w której będziemy mogli wspólnie żyć i samodzielnie się rządzić. - Odczekał, aż ci, którzy nie wiedzą, co znaczy „Numer Jeden”, zostaną oświeceni przez innych. Dyskusje przedłużały się; na wschodzie pojawił się pierwszy promień słońca.

- Ale Numer Jeden to nie broń... - odezwał się w końcu ktoś. Beckmann patrzył śmiało przed siebie, ponad głowami zebranych.

- Potrafię zamienić go w potężną broń.

- Cały świat jest przeciw nam - powtórzył ten sam głos. - Nigdy nie będziemy mieli własnego państwa.

- Świat rozumie język siły. Jeśli wykorzystamy Numer Jeden, uzna naszą suwerenność. *Boerstaat* stanie się rzeczywistością.

- To tylko marzenie - powiedział ktoś z tłumu. - Mrzonka, bez szans na realizację.

- Apartheid jest już skończony - stwierdził Beckmann. - Musimy więc teraz przyjąć politykę przetrwania. Dajcie mi Numer Jeden, a Państwo Burów nie będzie tylko mrzonką. Dostaniecie kraj, w którym będziecie wychowywać dzieci.

Podczas gdy słońce wzniosło się nad horyzont, mężczyźni zawarli



nowe przymierze.

**Czwartek, 31 lipca**

**Fredericksburg, stan Virginia,**

**Stany Zjednoczone Ameryki Północnej**

Starszy wysoki, siwowłosy mężczyzna stał w różanym ogrodzie i patrzył na rosnący przed nim krzak z takim samym szacunkiem, z jakim witałby zagranicznego szefa rządu czy głowę państwa. Uwielbiał róże, po dwudziestu pięciu latach pracy w Departamencie Stanu, następnie jako ambasador w ówczesnym Związku Radzieckim, później w Japonii, wreszcie sekretarz stanu w administracji świętej pamięci prezydenta Pontowskiego nie przestał ich kochać. Zresztą krzak był tak piękny, że zasługiwał na jego uwagę.

Jego żona zajmowała się rosnącym nieopodal równie wspaniałym krzakiem. Potrząsnęła głową, ścinając zwiędły kwiat i przywołała męża do porządku:

- Cyrusie! Przestań stać i marzyć o młodych, długonogich dziewczynach. Już nic z tego, wiesz?

Cyrus Piccard podniósł śnieżnobiałą, krzaczastą brew i spojrzał na Jessikę. Po czterdziestu jeden latach małżeństwa, żona ciągle była w stanie go zadziwić. Nie rozmyślał teraz bynajmniej o atrakcyjnych dziewczętach; ani mu były w głowie. Jego myśli zaprzętał Matthew Zachary Pontowski III, wnuk nieżyjącego prezydenta.

Emerytura, czas spędzany biernie w eleganckiej rezydencji na przedmieściach Fredericksburga wpływał na starszego pana negatywnie. Głowa Piccarda, pokryta bujnymi,

siwymi włosami, ostatnio jak gdyby trochę się pochyliła. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, zanim doprowadzi Jessikę do szaleństwa. Żona zadziwiła go jednak ponownie.

- Chcesz stworzyć jeszcze jednego króla, prawda? - spytała.

Rzeczywiście, taki był zamiar Cyrusa Piccarda. Pragnął posadzić wybranego przez siebie człowieka na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- W takim razie lepiej się pospiesz - mówiła dalej Jessica, nie czekając na odpowiedź. - Nie zostało ci zbyt wiele czasu.

Błękitne oczy Piccarda rozjaśniły się, a jego chude, choć odrobinę brzuchate ciało wyprostowało. Nagle błysnął w słońcu trzymany w lewym ręku sekator, i na ziemię spadł kolejny kwiat róży. Cięcie zostało wykonane dokładnie, w odpowiednim miejscu i pod właściwym kątem. Teraz będzie mógł rozwinąć się w tym miejscu nowy kwiat, jeszcze w obecnym sezonie.

- Niech żyje król! - oznajmił z naciskiem Piccard.

- Masz na myśli Matta, prawda? - spytała Jessica.

- A kogóż by innego? - odparł jej mąż

## **Rozdział pierwszy**

**Piątek, 8 sierpnia**

**Johannesburg, Republika Południowej Afryki**

Pułkownik armii Stanów Zjednoczonych, John Author MacKay, stał przy krawężniku i czekał na taksówkę - mikrobus, którym pojedzie do Katlehong, zamieszkanego przez Czarnych miasteczka,

położonego na południe od Johannesburga. Tak jak się spodziewał, taksówki z licznikami, przewożące głównie białych, przejeżdżały spokojnie obok. Kierowcy ignorowali go. Było wczesne popołudnie; na ulicach roilo się więc od pustych mikrobusów, poszukujących klientów. Z legalnymi, posiadającymi licencję taksówkami konkurowały także liczne „pirackie”. Było to dla MacKaya dziwne zjawisko, charakterystyczne dla Południowej Afryki.

Czekając tak, podzielił uwagę. Podczas gdy część umysłu pułkownika pracowała nad bieżącym problemem - poszukiwaniem właściwej taksówki - druga część zajmowała się zupełnie czym innym. Przywiodła mu tu zarówno możliwość wybicia się, jak i chęć zemsty - zdecydował wreszcie.

MacKay przeszedł długą drogę od śródmiejskiej dzielnicy murzyńskiej biedoty w Waszyngtonie. Kiedyś był tylko jeszcze jednym czarnoskórym nastolatkiem, zamkniętym w zaklętym kręgu ubóstwa, przestępczości i beznadziei, jakie panowały wokół. Jednakże matka Johna była silną kobietą, która po odejściu męża zdołała wychować dzieci i utrzymać resztę rodziny w całości. Młody MacKay cierpiał skrycie z powodu swojej brzydkiej, dziobatej twarzy; działo się tak do czasu szkoły średniej, kiedy zrozumiał, że jest mężczyzną nie tylko roslym, ale też zręcznym i inteligentnym. Dokładniej mówiąc, jedna z nauczycielek kazała mu wypełnić test na inteligencję, i wtedy okazało się, że IQ Johna Authora wynosi 140. Był więc wybitny. Do tej pory pamiętał słowa tamtej kobiety:

- Wykorzystaj to, co masz. Nie zmarnuj tego.

Kiedy do domu Johna przyjechał kuzyn, będący na przepustce z wojska, młody MacKay słuchał z zaciekawieniem opowiadanych

przez niego historii i zdecydował, w jaki sposób wydostanie się z getta. Z pomocą tej samej nauczycielki zmienił szkołę na lepszą. Nie tylko świetnie się uczył, był też znakomity z wychowania fizycznego. Po ukończeniu szkoły złożył papiery do West Point i nie zdziwił się, kiedy je przyjęto. Przystąpił do egzaminów i zdał.

To było ponad dwadzieścia lat temu... - myślał, nie odrywając wzroku od ulicy. Jak ten czas leci. Stał teraz na rogu ulicy w Johannesburgu, pod pseudonimem John Arthur. Wybór tego nazwiska nie był przypadkowy. Zdarzało się, że agenci w krytycznych momentach zapominali swoich pseudonimów. Przedstawiając się niemal tak samo jak normalnie, unikał tego ryzyka. Poza tym, gdyby się pomylił, mało kto zwróciłby uwagę na różnicę.

Do krawężnika podjechał jasnoniebieski mikrobus. John rzucił okiem na tablicę rejestracyjną i stwierdził, że to taksówka, na którą czekał. Zatrzymała się; pułkownik wspiął się więc do środka, pochylając się. Czasami jego wzrost okazywał się cechą niepożądaną.

- Osiem randów, człowieku - powitał go czarny kierowca, żądając zapłaty z góry. Panowały tu prawdziwe wojny taksówkowe, często kończące się strzelaniną, w której ginęli pasażerowie... Odebranie zapłaty z góry było więc uważane za rozsądną, a właściwie podstawową zasadę w tym biznesie. Jednak osiem randów oznaczało podwójną stawkę.

- Masz pan swoją inflację - odparł MacKay. Kierowca odebrał pieniądze i skinął głową. Wymiana sygnałów rozpoznawczych wypadła pozytywnie. Taksówka ruszyła, a kierowca schował z

powrotem mały pistolet do pochewki, którą nosił na przedramieniu. I bardzo dobrze. Gdyby doszło do nieporozumienia, MacKay mógłby z łatwością wyciągnąć automat i zabić swojego przewoźnika, zanim ten zdołałby się obrócić za kierownicą. John odetchnął z ulgą.

Skoro formalności zostały dopełnione, kierowca odwrócił się z najszczęśliwszym, przyjaznym uśmiechem i zapytał:

- Powiedz no, przyjacielu, nie jesteś z Afryki, co? Skąd pan przyjechał?

MacKay opowiedział mu swoją historyjkę o tym, że jest amerykańskim biznesmenem z Pittsburgha w Pensylwanii.

- Nie wiedziałem, że tam też są Czarnuchy - zdziwił się kierowca.

MacKay zapłonął ze złości na dźwięk znienawidzonego słowa. Ile to razy rzucali nim w niego biali rasiści i jego czarni, rozwścieczeni bracia? Wtedy zdał sobie sprawę, że dla kierowcy nie ma ono żadnych złych konotacji.

- W Stanach Zjednoczonych „czarnuch” to obraźliwe słowo - wyjaśnił. - My nazywamy się Afroamerykanami.

Kierowca roześmiał się.

- Ale to głupie, człowieku! Nie można żyć w dwóch miejscach naraz. - Zamilkł i zamyślił się na chwilę. W końcu dodał: - Żał mi pana. Nie wiecie, skąd tak naprawdę jesteście. Żebym był szczęśliwy, muszę wiedzieć, skąd jestem. Pan jest Amerykaninem.

John zastanowił się. Zawsze uważał się za Afroamerykanina. Na kontynencie, z którego przywieziono kiedyś jego przodków, był jednak po prostu Amerykaninem. MacKay nigdy nie zajmował się zbyt wiele analizowaniem własnej tożsamości, jednak słowa kierowcy zasmuciły go. Zrozumiał, że ten człowiek żył we własnej

rzeczywistości, w swojej rodzinie, klanie, plemieniu. Miał swoje miejsce, które uważał za dom. Tymczasem MacKay ciągle jeszcze poszukiwał własnego...

Taksówka zatrzymała się; wsiadł drugi pasażer. Dobrze ubrany mężczyzna, którego John ocalił przed *tsotsimi* w Soweto. Kierowca dodał gazu, wyprzedzając inny mikrobus. MacKay złapał się czegoś i zapytał przybysza:

- Charles, czy oni wszyscy prowadzą w taki sposób?

- Panu Arthurowi nie podobają się nasze Zola Budd'y - rzucił Charles kierowcy. Mikrobusy pędziły zawsze na złamanie karku; nazywano je „Zola Budd” - imieniem bosej biegaczki z RPA, która startowała na olimpiadzie. Dwaj mężczyźni roześmiali się. - Wszystko musi wyglądać normalnie - wyjaśnił Johnowi Charles. - Jesteśmy po prostu dwoma pasażerami tej samej taksówki. Możemy rozmawiać, dopóki nie dojedziemy do Kathelong. BOSS ciągle stanowi problem.

Charles użył skrótu starej nazwy Narodowej Rady Wywiadowczej, którą nazywano niegdyś *Bureau of State Security* - Biuro Bezpieczeństwa Państwa. MacKay nie dziwił się, że czarni mieszkańcy kraju ciągle obawiali się południowoafrykańskich służb wywiadowczych. BOSS było bardzo skuteczne w wyłapywaniu aktywnych politycznie Murzynów i przekazywaniu ich w ręce SAP - państwowej policji. Czarnoskóry mieszkaniec RPA mógł spodziewać się bardzo brutalnego traktowania. Wraz ze zniesieniem apartheidu skończyły się doniesienia o torturach i zabijaniu; lęk jednak pozostał.

Sześć samochodów dalej znalazł się czerwony mikrobus; od

dłuższej chwili trzymał się za nimi mniej więcej w tej samej odległości.

Charles oparł się spokojnie na siedzeniu, nie zwracając uwagi na lekkomyślny i gwałtowny sposób prowadzenia samochodu przez taksówkarza.

- Są problemy - stwierdził. MacKay wyciągnął więc kolejną kopertę pełną pieniędzy.

- Z kim pan współpracuje? - spytał pułkownik. Charles uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową. - Wie pan, ja płacę za rezultaty - wyjaśnił John. - Jak dotąd, nie dostarczył mi pan żadnych.

- Jedna z naszych jest podwładnym niejakiego doktora Slavina, który pracuje przy reaktorze atomowym w Pelindaba - uchylił rąbka tajemnicy Charles. MacKay podniósł brwi. Slavin był izraelskim naukowcem, który kierował realizacją projektu Numer Jeden. Pułkownik podał kopertę, nie mówiąc ani słowa więcej. Charles przeliczył pieniądze.

- Ona panu pomoże - oznajmił.

- Ona? - zdziwił się MacKay. Nie sądził, że czarna kobieta może zostać dopuszczona do Numeru Jeden.

- Nie wie pan wielu rzeczy o naszym społeczeństwie - odparł Charles. - Służące są w domach białych ludzi zwykłym elementem wyposażenia, tak jak meble. Nie było trudno umieścić ją w domu Slavina jako sprzątaczkę i nianię.

Charles mówił śpiewną angielszczyzną, charakterystyczną dla czarnych południowoafrykańskich pastorów. Pewien dziennikarz powiedział MacKayowi, że dobrze będzie skontaktować się z jakimś

duchownym, ponieważ pracując wśród ludzi, pastory byli dobrze zorientowani, co się dzieje wokół. Inny dziennikarz przedstawił Johna pewnemu pastorowi, a ten, poprzez swoje znajomości, doprowadził go do Charlesa. Całe przedsięwzięcie okazało się dość zrudne, jednak teraz MacKay znajdował się blisko celu.

Mikrobus zahamował gwałtownie; wsiadła do niego młoda kobieta, dźwigająca dwie duże torby. Pułkownik rzucił na nią okiem, rozumiejąc, że to owa służąca, o której mówił Charles. Czerwony mikrobus za nimi przystanął także, mimo że nie zabierał żadnych pasażerów. MacKay naliczył wewnątrz ośmiu ludzi - samych młodych mężczyzn. Po chwili oba pojazdy włączyły się z powrotem do ruchu.

- Nie odwracajcie się - zarządził John. - Jesteśmy śledzeni. Ten czerwony mikrobus, o trzy samochody z tyłu. Jedzie za nami, od kiedy wsiadł Charles.

Kierowca zatrzymał się w niewielkim korku i skupił uwagę na lusterku wstecznym.

- *Tsotsi* - powiedział tylko. Po chwili już ruszał.

- Może to BOSS? - rzucił MacKay.

Charles wymienił z kierowcą kilka zdań w języku Zulusów, po czym odparł po angielsku:

- Nie sądzę. Może chodzi po prostu o wojnę taksówkową.

Właściciele taksówek często płacili *tsotsim*, żeby likwidowali - w sensie fizycznym - konkurencję. Inni młodzi bandyci zarabiali na taksówkach w ten sposób, że pobierali od kierowców słone opłaty za „ochronę”. Gangsterzy stanowili kolejny element i tak już dziwnego biznesu taksówkowego. Często zdarzało się, że zanim



sprawdzono, kto jest po czyjej stronie, odzywała się broń. Oto wolna przedsiębiorczość w ujęciu południowoafrykańskim...

- Czy to ludzie z tej samej grupy, która próbowała pana zabić w Soweto? - spytał pułkownik. Charles nie przejął się zbytnio swoim wypadkiem, uznając, że była to zwykła próba napadu rabunkowego. MacKay był jednak zdania, że musiało chodzić o zaplanowane przez kogoś zabójstwo.

- Nie - odpowiedział pastor. - Dlatego właśnie jedziemy do Kathelong. Poszczególne gangi *tsotsich* nie współpracują ze sobą; każdy działa tylko na swoim terytorium.

Kierowca jechał tak szybko, że zdołał znacznie zwiększyć odległość od podążającej za nim, pełnej ludzi furgonetki.

- Dobrze się prowadzi, malutka... - Uśmiechnął się.

John był pewien, że silnik furgonetki, którą jechał, został podrasowany. Czuł, jak przyspiesza... Wkrótce potencjalni napastnicy zniknęli gdzieś z tyłu. MacKay zwrócił teraz uwagę na nową pasażerkę. Od razu poczuł się staro. Miał czterdzieści dwa lata, a ona - niewiele ponad dwadzieścia. Dziewczyna była wysoka i szeroka w biodrach. Zapewne stanie się kiedyś potężną kobietą, zwłaszcza po urodzeniu dziecka. Była ostrzyżona na krótko, tak jak inne Zuluski. Kształt jej nosa i nieco jaśniejszy odcień skóry wskazywały na domieszkę europejskiej, a może azjatyckiej krwi. Miała jednak wyraźnie afrykański typ urody; Europejczyk nie nazwałby jej piękną. Mimo to roztaczała wokół siebie jakąś aurę, która pociągała MacKaya. Wyglądała jak młoda królowa, pełna jednocześnie wrodzonej pogody ducha i godności.

Charles odczekał chwilę, zanim ich sobie przedstawił. Wiedział, jakie wrażenie robi na ludziach Ziba Chembo.

- Ziba - odezwał się w końcu - oto człowiek, o którym ci mówiłem, pan John Arthur.

- Pan Arthur - powtórzyła spokojnym, niskim głosem. - Człowiek o dwu imionach. - Miała piękny głos. Mówiła z brytyjskim akcentem.

MacKay nie odpowiadał. Z nie znanych sobie powodów pragnął przedstawić się tej kobiecie swoim prawdziwym nazwiskiem. I wyjaśnić, jak to jego matka, która ledwie umiała stawiać litery, pomyliła się i wpisała na świadectwie urodzenia syna drugie imię „Author” zamiast „Arthur”. Chciał, żeby Ziba wiedziała, że nigdy nie zmieniłby tego imienia, żeby nie zranić matki. Nie mówił jednak nic.

- W jaki sposób mogę panu pomóc? - zapytała Ziba.

- Chcemy dowiedzieć się, co się dzieje w ośrodku Pelindaba.

- Panie Arthur, pracuję jako służąca. Wprawdzie u człowieka z Pelindaba, nigdy jednak nie byłam w ośrodku.

- Ziba jest wykształcona - wyjaśnił Charles. - Skończyła dobrą angielską szkołę średnią dla dziewcząt. Nie mogła jednak znaleźć innej pracy. Dzisiaj ma wolne; jedzie odwiedzić matkę.

- Ten człowiek, u którego pani pracuje, doktor Slavin, to naukowiec - należał pułkownik. - Na pewno słyszy pani różne rzeczy, widuje pani jakieś dokumenty. - Ziba skinęła głową. - To, co pani widzi i słyszy, może być dla pani niezrozumiałe; jednak nam może posłużyć do zorientowania się w sytuacji.

- Doktor Slavin przyjechał razem z rodziną z Izraela - powiedziała dziewczyna. - Są dla mnie bardzo mili. Dlaczego miałabym

wykorzystać ich zaufanie i zdradzić ich? Czemu tak bardzo interesuje się pan doktorem?

- Podejrzewamy, że Slavin zajmuje się produkcją broni atomowej  
- odpowiedział MacKay.

- I wiemy, przeciwko komu jej użyją - dorzucił pastor. Wymienili z dziewczyną kilka zdań w języku, jak sądził pułkownik, zuluskim. Z początku John uznał, że Charles próbuje nakłonić Zibę do współpracy; po chwili zrozumiał jednak, że chodzi o coś zupełnie innego. Oczy mężczyzny błyszczały pożądaniem. Charles usiłował uwieść Zibę.

Dziewczyna odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem, tak silnym, że aż odwrócił wzrok. Nie udało mu się. Ziba nie była naiwną pensjonarką.

- Nie robią żadnej broni atomowej - odezwała się w końcu po angielsku. - Doktor Slavin chce produkować energię elektryczną, to wszystko. O niczym więcej nigdy od niego nie słyszałam.

- Wiemy, że był na poligonie doświadczalnym na pustyni Kalahari, kiedy przeprowadzano próbny wybuch - rzucił pułkownik.

- Słyszałam, jak rozmawiał o tym z żoną - przyznała Ziba. - Ale mówił, że to była bardzo mała eksplozja i że dzięki niej wiele się nauczył.

- Zniszczyła dwa kilometry kwadratowe pustyni - wyjaśnił John - powstał krater o średnicy stu metrów, no i zabito przy okazji ponad pięćdziesięciu ludzi... Nie nazwałbym tego małą eksplozją. - Dziewczyna zeszywniała. MacKay zastanawiał się nad następnymi słowami; przyjrzał się twarzy Ziby. W jej ciemnych oczach widać było inteligencję. Postanowił więc powiedzieć prawdę, prosto z

mostu. - W rzeczywistości był to jeden z najmniejszych wybuchów termojądrowych, jakie kiedykolwiek przeprowadzono. Jednak był termojądrowy. Rozumie pani, co to znaczy?

Ziba była oszołomiona.

- Doktor Slavin nie zajmuje się produkcją broni atomowej - odparła, najwyraźniej nie będąc w stanie zaakceptować ponurych faktów. - Jest z tego bardzo dumny.

- W takim razie dlaczego pracuje w kompleksie jądrowym? - spytał Charles.

- Chce zbudować elektrownię - powtórzyła. - Doktor Slavin jest pacyfistą. - Niepewność w głosie Ziby już zniknęła. - To dobry człowiek i na pewno nie robiłby broni do zabijania innych.

- Czyżby? - nie ustępował MacKay. - Dzisiaj rano w Pelindaba nastąpiła kolejna eksplozja. - Twarz dziewczyny zachmurzyła się. - Zginęło lub zostało rannych przynajmniej dwadzieścia osób; jeden z budynków został zrównany z ziemią. W gazetach, oczywiście, nie będzie o tym ani słowa.

- Czy doktorowi Slavinowi nic się nie stało? - spytała.

MacKay zaprzeczył ruchem głowy. Taksówka zatrzymała się. Ziba dojechała na miejsce.

- To, o co prosicie, nie jest łatwe - zakończyła rozmowę. - Muszę się nad tym zastanowić. - Charles chciał zaprotestować, ale znów powstrzymało go ostre spojrzenie. Dziewczyna wysiadła i zatrzęsnęła drzwiczki.

- Eej, uwaga, z tyłu! - krzyknął kierowca, ruszając gwałtownie. MacKay obejrzał się i zobaczył tuż za sobą czerwony mikrobus. Było już za późno. Samochód uderzył w tył taksówki, wpadła w poślizg.

MacKay dał nura w dół.

- Na podłogę! - krzyknął do Charlesa. Pastor złapał się jednak tylko oparcia siedzenia i rozglądał się przerażony. Pułkownik wyciągnął rękę, złapał go i szarpnął. Kierowca zdołał w jakiś sposób wyprowadzić pojazd z poślizgu i znalazł się na poboczu, rozpraszając przechodniów. Czerwony mikrobus uderzył w nich po raz drugi. Wtedy John usłyszał tępy odgłos, a potem taksówka zachwiała się. Przejechali kogoś.

Tył samochodu rozdarły kule pistoletu maszynowego. Kawałki szkła z tylnej szyby posypały się MacKayowi na plecy. Kierowca krzyknął z bólu, ale próbował panować nad kierownicą. Czerwony mikrobus uderzył ich po raz trzeci. Wtedy przewrócili się.

John ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że wyciągają go z samochodu. Spojrzał w twarz młodemu *tsotsi*. Chłopak powiedział coś i przewrócił go na brzuch. MacKay poczuł wrzynający mu się w skórę nadgarstków drut - krępowano go. Nastoletni bandyta cofnął się i kopnął go w skroń. Po dwóch kolejnych kopniakach pułkownik udał, że stracił przytomność. *Tsotsi* naradzili się szybko, po czym podnieśli z ziemi Charlesa. Dwóch związało mu ręce, a trzeci wepchnął w usta szmatę. John usłyszał powtarzane przez kolejne usta, złowieszczo brzmiące słowo:

- Naszyjnik, naszyjnik... - Słowo to wyraźnie podniecało *tsotsich*. Uśmiechali się wzajemnie do siebie i czekali. Pułkownik spróbował w tym czasie uwolnić ręce, jednak z każdym ruchem zacieśniał tylko spinające nadgarstki pętle drutu.

Ktoś z otaczającej jego i Charlesa grupy ludzi przytoczył starą oponę. Zakneblowany pastor wydał z siebie zwierzęcy jęk. Po chwili

rzucono go na ziemię, naciągnięto nań oponę i rozpostarto mu ręce i nogi. Przerażony Charles krzyczał teraz tak, że MacKayowi aż cierpła skóra.

Jeden z bandytów nalał do wnętrza opony benzyny i podpalił ją. Powietrze rozdarł nieludzki skowyt mordowanego człowieka. Zabójcy cofnęli się. Jeden z nich ogłuszył nieszczęśnika potężnym kopniakiem. Po chwili płomienie objęły już całe, nieruchome ciało Charlesa. Ktoś dorzucił na stos wyciągnięte z przewróconej furgonetki siedzenie.

- Naszyjnik, naszyjnik!... - *Tsotsich* ogarnął istny szal. Przytoczono następną oponę.

Ta przeznaczona była dla MacKaya. Pułkownik zdołał podnieść się na nogi i runął pomiędzy tłum, opuszczając głowę, niczym szarżujący baran. Przewrócił jednego z chłopaków, przedarł się dalej kopiąc i taranując ciałem. Dwukrotnie zachwiał się, jednak udało mu się nie przewrócić. Był już prawie wolny, kiedy dwóch napastników pochwyciło go i rzuciło na ziemię. Wtedy jednak usłyszał terkot pistoletu maszynowego. Po kolejnej serii *tsotsich* już nie było.

MacKay obrócił się na bok i zobaczył Zibę, trzymającą uzi. Widziała, jak czerwony mikrobus uderzył w taksówkę, i pobiegła za nimi. Jednak zanim samochód MacKaya się przewrócił, byli już za daleko, a przedarcie się przez tłumy przechodniów zajęło jej sporo czasu. Teraz jednak wyciągnęła z torby na zakupy izraelski pistolet maszynowy i uderzyła w napastników.

Ziba przełączyła ogień na półautomatyczny i zaczęła celować w poszczególnych bandytów. John zwrócił uwagę na sposób, w jaki

dziewczyna stoi i trzyma broń. Znała się na tym. Po chwili wszystko było skończone. Ośmiu *tsotsich* i ich kierowca leżało poskręcanych wokół nieregularnego, płonącego kształtu, który do niedawna był jeszcze Charlesem. Dziewczyna zmieniła magazynek.

Pułkownik patrzył, oszołomiony, jak Ziba metodycznie sprawdza każde ciało. Jeden z chłopaków jeszcze żył. Odezwała się do niego; odpowiedział jej z wysiłkiem. Zastrzeliła go. Wreszcie, podeszła do MacKaya i pomogła mu wstać. Następnie, zachowując przez cały czas niezmacony spokój, rozwiązała drut, który krępował mu ręce.

- Proszę za mną - powiedziała tylko. John ruszył więc posłusznie, rozcierając dłonie, z których odpłynęła krew.

MacKay siedział na kuchennym krześle, rozebrany do pasa. Kobieta zajmowała się zadrapaniami na jego twarzy i plecach. Padał drobny deszczyk, bębniąc w blaszany dach dwupokojowej rudery z pustaków - domu matki Ziby. Stwardniałe od pracy dłonie starej kobiety były zdumiewająco zręczne. Zbadła napięte jak powrozy mięśnie szyi Johna, po czym cofnęła się i oceniła atletyczną, wypracowaną budowę jego klatki piersiowej i ramion. Wymówiła w swoim języku trzy czy cztery słowa. Pułkownik zrozumiał tylko „Shaka”. Było to imię wodza, który zjednoczył Zulusów w latach dwudziestych XIX wieku, po czym przy pomocy zastępów srogich wojowników stworzył w Południowej Afryce ich państwo.

Ziba odpowiedziała z drugiego pokoju; znowu dało się słyszeć imię „Shaka”. John patrzył teraz w wejście do owego pomieszczenia, nie odrywając od niego wzroku. Po chwili Ziba pojawiła się, umyta i

przebrana w kolorową, afrykańską suknię z szalem. Nie była już żołnierzem; znowu stała się królową. Stała na środku niedużej izby i popatrzyła na mięśnie pułkownika, po czym usiadła.

- Dlaczego panie rozmawiają o Shaka? - spytał.

- Mama pochwaliła pana - odparła Ziba. - Powiedziała, że wygląda pan jak Shaka. - Wedle na wpół legendarnych opowieści Shaka był potężnym i muskularnym mężczyzną.

- Wypytywała pani o coś jednego z nich - zaczął MacKay. - Co to byli za ludzie?

Dziewczyna rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, którego nie był w stanie jednoznacznie zinterpretować, po czym odpowiedziała:

- Afrykański Kongres Narodowy. Chcieli dopaść Charlesa.

- Dlaczego? - John uważał, że skoro omal nie zginął, zasługiwał na odpowiedź.

- Charles był członkiem Inkatha - wyjaśniła Ziba. Pułkownik wiedział, że Inkatha - partia Zulusów, i Afrykański Kongres Narodowy to śmiertelni wrogowie.

- Jeszcze jedno - dodała dziewczyna. - Pan tego nie może wiedzieć, ale sposób, w jaki związali panu nadgarstki - to stara sztuczka BOSS. Gdzie się tego nauczyli?

A gdzie ty się nauczyłaś, jak posługują się drutem ludzie BOSS, a zwłaszcza, jak używać uzi? - pomyślał John. Zapewne w tej angielskiej szkole z internatem dla dziewcząt z dobrych domów...

- Czy należy pani do Inkatha? - spytał.

Ziba zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chcemy tylko spokojnie tu żyć - odpowiedziała. Pułkownik nie uwierzył jej. Ponownie spojrziała na niego w ten sam, zagadkowy



sposób. Zapadła krępująca cisza.

Matka Ziby skończyła opatrywać ciało Johna i przyjrzała mu się uważnie. Powiedziała coś po zulusku, a Ziba przetłumaczyła:

- Mama mówi, że powinien pan zapaść brodę. Tak będzie lepiej.

MacKay podrapał się w podbródek. Chyba kobieta ma rację. Nigdy nie zapuścił brody, ponieważ nie zezwalał na to wojskowy regulamin; nawet się nad tym nie zastanawiał. Starsza pani cofnęła się trochę i zaczęła mówić coś Zibie spokojnym, poważnym głosem.

Córka

słuchała w milczeniu. Widać było, że jej matka jest osobą, która ma swoje zdanie. Wreszcie dziewczyna przytaknęła na znak zgody i wyjaśniła MacKayowi:

- Mama mówi, że Slavin nie jest jednym z nas, a pan jest porządnym człowiekiem. Powiedziała, że powinnam panu zaufać.

Pułkownik nie wypadł więc z gry.

## **Środa, 13 sierpnia**

### **Fredericksburg, stan Virginia**

Sen był dwuczęściowy, jak zawsze. Shoshana biegła nago po złocistym piasku greckiej plaży, gdzie spędzili swój miodowy miesiąc. Jej mokra skóra błyszczała w słońcu. Matta Pontowskiego ogarnęło przyjemne uczucie ciepła. Zanim jednak żona do niego dobiegła, obraz zmienił się. Matt budził się; znajdował się teraz w dziwnym, nieokreślonym świecie, gdzieś pomiędzy snem a rzeczywistością. Zdał sobie sprawę z tego, że śni, i chciał przedłużyć marzenie. Jednak inny, znacznie silniejszy instynkt nakłaniał go do otwarcia oczu. Shoshana siedziała na krawędzi łóżka. Wyciągnęła

rękę i dotknęła palcami jego ust. Tym razem była ubrana; patrzyła mu w oczy z niepokojem.

Pontowski obudził się gwałtownie. Do jego podświadomości dotarł sygnał, że coś jest nie w porządku. Spojrzał na zegarek - było wpół do piątej rano. Usiadł i rozejrzał się, przypominając sobie, gdzie się znajduje. Znajdował się wraz z synkiem w domu starego Piccarda, który gościł Matta przez czas, na jaki oddelegowano go do Pentagonu. Po cichu, Pontowski wyszedł na korytarz i zajrzał do sąsiedniego pokoju, gdzie spał mały Matt. Łóżko było puste.

Na ułamek sekundy Pontowskiego ogarnęła dobrze znana panika. Strach, jaki przydarza się każdemu rodzicowi, kiedy nie wie, co dzieje się z jego dzieckiem. Panika jednak zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Mężczyzna ruszył w dół po schodach, ubrany tylko w koszulkę z krótkim rękawem i spodnie od pizamy. Niepokoiło go, że mały Matt nie chce wyrosnąć z lunatyzmu. Wkrótce odnalazł swojego siedmioletniego syna, stojącego przy frontowych drzwiach. Nie mówiąc ani słowa, podniósł go, cały czas śpiącego, i zaniósł na górę. Kiedy kładł go z powrotem do łóżka, oczy chłopca pozostawały zamknięte.

Mały Matt wzdrygnął się jednak i obudził.

- Mama... - szepnął, potwierdzając myśl Pontowskiego, że jego synek czeka przy drzwiach na Shoshanę.

- Cicho, malutki, wszystko dobrze - odezwał się Matt. - Jestem tu, przy tobie.

- Czy ty też kiedyś znikniesz, tak jak mama? - spytał mały Matt.

Ojciec pogłaskał go po buzi. Jesteś tak podobny do Shoshany... - pomyślał.

- Będę zawsze przy tobie, kiedy tylko będziesz mnie potrzebował - odpowiedział.

- Obiecujesz? - upewnił się mały Matt, odwracając się i tuląc z powrotem do snu.

- Obiecuję - odparł Pontowski śpiącemu dziecku. Odczekał chwilę, zanim nie upewnił się, że jego synek śpi już spokojnie. W poprzedni piątek - przypomniał sobie dokładnie, kiedy mały Matt ostatni raz chodził we śnie. Wrócił do swojego pokoju i położył się. Nie mógł jednak zasnąć. Wstał, podniósł z podłogi teczkę i poszedł z nią do kuchni. Zanim będzie się musiał ubrać i pojechać do Pentagonu na kolejną rundę odpraw, może jeszcze dwie godziny poczytać.

Pontowskiego mianowano właśnie dowódcą 442 dywizji myśliwców; zanim jednak objął dowództwo, Siły Powietrzne wezwały go wraz z dwoma innymi nowo mianowanymi dowódcami do Pentagonu, gdzie objaśniano im przyszłe zadania. Niczego nie pozostawiano przypadkowi. Omawiano więc wszelkie możliwe tematy, włącznie z takimi ewentualnymi problemami jak na przykład bicie żon przez żołnierzy albo zanieczyszczanie środowiska. Dwaj pozostali dowódcy mieli stopień generała brygady, lekceważyli więc Pontowskiego - pułkownika rezerwy. Nie irytowało go to - nie pierwszy raz spotykał się z takim zjawiskiem. Był rezerwistą, a oni zawodowymi wojskowymi; no i przewyższali go rangą. Jednakże płacił też cenę za to, że jego dziadek był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ludzie albo płaszczyli się przed nim, chcąc mu się przypodobać, albo dla odmiany kompletnie go ignorowali.

Nastawił maszynkę do kawy i otworzył pękatą teczkę. Leżący na wierzchu dokument nosił tytuł: „Rola dowódcy dywizji w świetle

zjawiska molestowania seksualnego w Siłach Zbrojnych”.

- Nic nie pachnie przyjemniej - odezwał się niespodziewanie Cyrus Piccard, dosiadając się do Matta - niż świeżo zaparzona kawa wczesnym rankiem.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - powiedział Pontowski, wstając po kubek dla swojego gospodarza.

- Ależ skąd - odparł Piccard. Począł, aż Matt usiadł. - I jak tam szkolenie? - zagadnął.

- Nudziarstwo - przyznał Pontowski. - Ale konieczne. - Streścił listę tematów, które omawiano. - W dzisiejszych czasach dowodzenie dywizją myśliwców przypomina raczej kierowanie jakimś biznesem.

Na taki właśnie wstęp stary Piccard czekał.

- Ale dowódca musi być - zaczął, popijając kawę - bardziej, nazwijmy to, czuły na polityczne niuanse niż przeciętny biznesmen.

Mój Boże - pomyślał Pontowski - on mówi tak samo jak mój dziadek, kiedy chciał mi przekazać coś od siebie...

- To prawda - zgodził się, podtrzymując temat. - Obaj panowie generałowie są zwierzętami politycznymi najczystszej maści - odgrywają przede mną prawdziwy teatr.

Piccard przyjrzał się profilowi Matta, zaskoczony na moment jego podobieństwem do dziadka. Matthew Zachary Pontowski, znany wśród przyjaciół jako Zack, był pierwszym w historii Amerykaninem polskiego pochodzenia wybranym na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych. Piccard współpracował z nim wiernie, pełniąc funkcję sekretarza stanu. Matthew Zachary Pontowski III nosił wszystkie cechy swojej rodziny - był wysoki i

szczupły; miał błękitne oczy, dość jasne, gęste, faliste włosy i orli nos. I tak samo jak jego ojciec i dziadek był pilotem myśliwskim. Orły - pomyślał Piccard. Pontowscy to klan orłów.

Starszy pan spuścił wzrok, patrząc w kubek z kawą i zdecydował, że nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy ten orzeł jest w stanie rozpostrzeć skrzydła na burzliwym waszyngtońskim niebie.

- Masz przeciwnika politycznego - powiedział, badając, jaką wywoła reakcję.

Miał nadzieję, że będzie ona beznamiętna, spokojna. Nastąpiła chwila milczenia.

- Słyszałem plotki - odpowiedział wreszcie Pontowski. - Ann Nevers...

Piccard był zachwycony.

- Właśnie - zgodził się. - Szanowana *kongreswoman* z Kalifornii. - Pani Nevers była także i jego zajadłą przeciwniczką. Nie tylko nie zgadzali się w żadnej z ważnych politycznych kwestii; nie znosili się także osobiście.

Pontowski pokręcił głową.

- Co ja takiego zrobiłem? - rzucił. - Zamordowałem jej matkę, czy co?

- Czcigodna Ann Nevers - zaczął Piccard, charakterystycznym dla siebie, ironicznym tonem - omal nie przegrała wyborów z powodu twojej zwycięskiej akcji chińskiej. - Starszy pan mówił o roli, jaką odegrał młody Pontowski w pokonaniu wojowniczego chińskiego kacyka; dzięki akcji Amerykanów udało się zapobiec wybuchowi wojny domowej w Chinach. - Spowodowanie, że senator czy kongresman przegrywa wybory, jest w Waszyngtonie niewybaczalną

zniewagą; karze się za to śmiercią...

- Ale jaki wpływ mogą mieć sprawy zagraniczne na kampanię wyborczą Ann Nevers? - zdziwił się Matt.

- Widzisz, pani Nevers szukała sobie jakiegoś tematu, na którym mogłaby pojechać - odparł starszy pan - no i wymyśliła sobie akcję chińską. Zaczęła trąbić, że wmieszanie się przez nas w tę sprawę to początek drugiego Wietnamu. - Piccard zrobił pauzę, dla zwiększenia efektu; zawsze był znakomitym mówcą. - A tymczasem ty odniosłeś tam sukces. Bardzo brzydko... - zakończył, rzucając młodemu Pontowskiemu spojrzenie niezmiennie błyszczących oczu.

Wiek nie osłabił błyskotliwości Cyrusa Piccarda. Zmniejszyły się jedynie jego możliwości fizyczne, niezbędne do walki z krótkowzrocznymi przeciwnikami politycznymi, którzy nie widzieli świata w tym samym świetle, co on. Nienawidzili go, gdyż raz za razem wydarzenia pokazywały, że znowu miał rację. Wszyscy oni odetchnęli z ulgą, gdy odszedł na emeryturę i zaszył się w swoim ukochanym domu z różanym ogrodem we Fredericksburgu. Jednak Piccard, który nie miał dzieci, chciał wychować następcę - kogoś, kto kroczyłby dalej wytyczoną przez niego ścieżką. Człowieka, który tak samo jak on czułby w sobie obowiązek służenia państwu i wypełniał go czynem. Pomazaniec Cyrusa Piccarda siedział z nim właśnie przy stole.

Pontowski, podobnie jak jego ojciec i dziadek, został obdarzony osobistym czarem, inteligencją, życiową energią - cechami, dzięki którym roztaczał wokół siebie prawdziwą charyzmę. Jessica Piccard uważała, że takie coś siedzi po prostu w genach. Matt Pontowski zawsze jednak potrzebował czasu. Kiedy zaczynał latać na

myśliwcach, był niesfornym, szukającym okazji do brawurowych czynów chłopakiem. Chyba tylko wpływ jego dowódcy, Jacka Locke'a - jednego z najlepszych pilotów współczesnych samolotów bojowych - ocalił młodego Marta przed samym sobą. Wreszcie przyszła dojrzałość i odpowiedzialność; Pontowski odkrył wówczas, że ma najrzadszy z talentów - zdolności przywódcze. Jego podwładni szli za nim nawet w ogień.

Niestety, Mattowi Pontowskiemu nie udało się szczęśliwie ożenić; z politycznego punktu widzenia. Jego wybranką została kruczoczarna żydowska piękność, imieniem Shoshana. Była dla niego wprost idealną żoną. Sprowadziła go z obłoków na ziemię i dała mu syna, małego Matta. A potem - nastąpiło nieszczęście. Zamordowali ją płatni zabójcy, wynajęci przez pełnych nienawiści członków jego własnej rodziny.

Wtedy Piccard instynktownie spojrział w swoją kryształową kulę jeszcze raz - spodobało mu się to, co zobaczył. Matt Pontowski nadal miał znakomite pochodzenie, charyzmę, wszystkie dotychczasowe zdolności, a do tego jeszcze przeżył osobistą tragedię, która mogła pomóc mu w uzyskaniu mandatu do pełnienia najwyższego stanowiska w państwie. Były sekretarz stanu zdawał sobie jednak sprawę z tego, że Matt musi przecierpieć swoje nieszczęście, potem ożenić się znowu i wreszcie zdobyć się na poświęcenie, jakiego wymaga służba publiczna.

Teraz emerytowany polityk zakończył wywód na temat spraw zagranicznych, a Pontowski nalał mu świeżej kawy.

- Masz w tym wszystkim rolę do odegrania - podsumował Piccard.

- Wcale nie jestem taki tego pewien - mruknął Matt, przypominając sobie o obietnicy, jaką złożył synkowi.

Starszy pan pokiwał głową, przymknąwszy oczy.

- Rozumiem; obowiązki rodzinne to poważna sprawa - powiedział. - Ale myślę, że może największym darem, jaki możesz dać swojemu synowi, jest szczerłość wobec samego siebie, po prostu - bycie sobą.

- Wszystko przez to latanie - wyznał Pontowski, wyglądając przez okno, za którym widać już było świt. - Nie wyobrażasz sobie; naprawdę uwielbiam, kiedy... - Głos zamarł mu na wyobrażenie kokpitu samolotu i radosnego podniecenia, jakie odczuwa, kiedy siedzi za sterami, sam jeden w przestworzach... - To dla mnie wyzwanie. Spróbuję jeszcze raz. Gdybym miał wybierać: albo mały Matt, albo latanie - przecież właśnie wybrałem. Poza tym, mam już dosyć tego całego politycznego babrania się.

Piccard nie ustępował, badając dalej.

- Co powiesz o swojej dywizji?

- To dywizja myśliwców; latamy na A-10, a więc samolotach myśliwsko-szturmowych. A-10 jest przeznaczony do bezpośredniego wsparcia z powietrza jednostek lądowych i do zwalczania czołgów. Dlatego w tym właśnie się ćwiczymy. W naszych rozkazach jest jedno ciekawe stwierdzenie. Mamy przygotować się do ewentualnej „interwencji w ramach wsparcia organizacji międzynarodowych”.

Piccard wypełnił sobie ostatni punkt na liście referencji Matta.

- Gdzie, mówiłeś, stacjonuje twoja dywizja? - zapytał.

- W Bazie Sił Powietrznych Whiteman - odparł Pontowski. - W pobliżu Knob Noster, stan Missouri.



- Ach - skomentował Cyrus - w sercu amerykańskiej ziemi. Znakomite miejsce, żeby się zaszyć. - Zanim nie będziesz gotowy pokazać wszystkim, kim tak naprawdę jesteś - dokończył w myśli.

Matt popatrzył tylko na niego, niepewny, czy starszy pan pochwała pomysł „zaszycia się”.

**Czwartek, 21 sierpnia**

**Alexandria, stan Virginia**

- Bill, obudź się - odezwała się Mary Carroll. Spojrzała na zegar i pokręciła głową. Wspomnienia atakowały jej męża zawsze wtedy, kiedy był najbardziej przemęczony. Bill jęknął i odwrócił się na drugi bok, na wpół obudzony. - Wstawaj. - Tym razem rozkaz dotarł do jego podświadomości. William Carroll otworzył oczy.

- Nie zapalaj światła - wymamrotał.

Żona wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy; był zlany potem.

- Przypomniała ci się Rwanda? - spytała.

- Nie - odparł, znowu zasypiając. - Somalia.

- Dlaczego ciągle cię to męczy? - mówiła ze zdziwieniem i niepokojem. - Przecież na wojnie zawsze dawałeś sobie radę.

- Psychiatra mówi, że to dlatego, że byłem wyszkolony, przygotowany do walki. A te somalijskie obozy, ta nędza, te tysiące ludzi... - nikt mnie do tego nie przygotowywał.

- Ale przecież sam tam wracałeś.

- Ktoś musiał. Nikomu innemu nie chciało się wystawić nosa z biura i zobaczyć na własne oczy.

- Przecież to nie należy do twoich obowiązków, a poza tym - nic na to nie poradzisz. Śpij więc spokojnie.

- Zaraz będzie świtać. Chyba wstanę i się przebiegnę. - Zapalił światło.

Chwilę po tym, jak nacisnął guzik oświetlenia, dom po drugiej stronie ulicy zatętnił życiem. Dyżurny agent Secret Service - prezydenckiej ochrony - obudził pozostałych dwóch i poinformował ich, że William Gibbons Carroll obudził się.

- Będzie biegał? - spytał Wayne Adams.

Jego kolega wzruszył ramionami. Skąd miałby wiedzieć?

- Mam nadzieję, że nie - jęknął najmłodszy z agentów, Chuck Stanford.

- Rusz dupę i wstawaj - ponaglił go Adams. - To i tak słodka służba.

- Słodka? O piątej rano? - Stanford najwyraźniej nie był przekonany. - Żebyśmy chociaż mieli dostać za to awans... - Zadzwoił telefon. To Carroll; powiedział, że wyjdzie pobiegać za jakieś piętnaście minut.

- Cholera - mruknął Stanford, wciągając na siebie dres. Adams zignorował zachowanie młodszego stopniem kolegi i także przygotował się do biegu. Znajdowali się w dzielnicy eleganckich domków, na przedmieściu, gdzie mieszkał Carroll. Kiedy wyszedł na dwór, czekało na niego dwóch agentów.

William Carroll był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, o ciemnych włosach i karnacji. Wyglądał na trzydzieści pięć lat. Ubrany w sportowy strój, mógł być równie dobrze biznesmenem, dentystą czy nauczycielem wychowania fizycznego ze szkoły średniej, który biega sobie dla kondycji. W rzeczywistości miał już czterdzieści cztery lata, a biegał dlatego, że dawało mu to poczucie

wewnętrznego spokoju oraz możliwość przemyślenia różnych spraw.

Opis życia i osoby Williama Carrola byłby zbiorem paradoksów. Bill miał znakomite zdolności do języków obcych; był analitykiem politycznym specjalizującym się w sprawach zagranicznych, a także noszącym najwięcej odznaczeń oficerem Sił Powietrznych USA, z tych, którzy nigdy nie latali. Brał jednak udział w prawdziwej walce na lądzie i orderzy swoje zdobył w najtrudniejszy sposób - za bezpośrednie zasługi bojowe. Dostał za to wszystko stopień generała majora\*; dla uproszczenia nazywa się ich generałami „dwugwiazdkowymi”. Carroll był najmłodszym „dwugwiazdkowym” generałem od czasu drugiej wojny światowej.

\* Amerykański odpowiednik generała dywizji [przyp. tłum.].

Prezydent docenił jego zdolności do przewidywania zamiarów rządów obcych państw i włączył go do grona najbliższych współpracowników. Mianował go bowiem doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Znalazłszy się w ścisłym otoczeniu prezydenta, Carroll wpadł pod opiekuńcze skrzydła Secret Service. Jego sąsiedzi nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, dlaczego okolica, w której mieszkają, ma jeden z najniższych wskaźników przestępczości w całym okręgu Waszyngton, D.K.

Trzej mężczyźni rozgrzali się, porozciągali, po czym, nie zamieniwszy nawet słowa, ruszyli przed siebie. Carroll narzucił od razu mordercze tempo, przebiegając każdą kolejną milę - czyli około tysiąc sześćset metrów - w ciągu pięciu minut. Agenci z trudem dotrzymywali mu kroku, ale za wszelką cenę starali się nie zostać w tyle ani na metr. Była to nie tyle kwestia ambicji, co po prostu służbowego obowiązku. Po przebiegnięciu trzeciej mili Carroll

zachwiał się jednak i upadł. Źle postawił prawą stopę, wywinęła mu się... W ciągu paru sekund nadjechała furgonetka jadąca cały czas za nimi. Doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego wniesiono do środka. Dowódca grupy zarządził, żeby zawieźć Carrolla do Szpitala Marynarki Wojennej Bethesda; Bill jednak uparł się, żeby po prostu wysadzili go przed domem.

Mary Carroll zobaczyła nadjeżdżającą furgonetkę i wyszła przed dom. Adams i Stanford pomogli swojemu skarbowi wejść do kuchni i kręcili się cały czas wokół niego, podczas gdy jego żona opatrywała mu zadrapania.

- Co się stało? - spytała.

- Źle postawiłem nogę, i tyle... - odparł Bill.

Mary spojrzała na niego z niepokojem.

- Prawą nogę? - upewniła się.

- To nic takiego - próbował ją uspokoić.

Kiedy agenci wreszcie wyszli, Mary oparła się o kuchenny blat i założyła ręce.

- Bill, to już trzeci raz - powiedziała. - Coś jest nie w porządku.

- Oj, mówię ci, wszystko w porządku - upierał się Carroll. - Po prostu jestem przemęczony.

Żona nie spuszczała jednak z niego wzroku. Pobrali się wkrótce po tym, jak Bill wyratował ją z irańskiego więzienia... To było prawdziwe małżeństwo, zgodne; od lat mieszkali na tym samym, eleganckim przedmieściu; mieli dwójkę zdrowych dzieci...

- Bill - nie ustępowała - coś jest nie w porządku. - Pójdź do lekarza.

## **Rozdział drugi**

**Piątek, 24 października**

**Baza Sił Powietrznych Whiteman, stan Missouri**

Mart Pontowski spojrzał na twarze oficerów siedzących obok niego przy stole „prezydialnym”. Pożegnalny bankiet w klubie oficerskim przedłużał się; pozostali byli znudzeni tak samo jak on. Obrzucił wzrokiem inne stoły, szukając na obliczach pilotów niepokojących oznak. Nie chciał, żeby za chwilę przez salę poleciała na przykład umoczona w winie bułka, wraz z okrzykiem „Lotnik, kryj się!” Uśmiechnął się w duchu, wyobraziwszy to sobie, i na myśl, w jaki sposób przerwałoby to monotony strumień wypowiedzi płynących od strony jego stołu, z okazji zakończenia połączonych ćwiczeń 442, dywizji z jednostkami piechoty.

Uwagę Pontowskiego zwrócił kolejny mówca, podpułkownik Gregory Hanson, dowódca batalionu.

- ...znakomite rezultaty. 442, eskadra myśliwców udowodniła nam wszystkim, że A-10 jest dokładnie takim samolotem, jakiego Armia potrzebuje do zwiadu powietrznego.

Rzeczywiście, ćwiczenia połączonych jednostek przebiegły dobrze. Dzięki jednemu pilotowi - takie było zdanie Pontowskiego. Dwight Stuart, nazywany „Robalem”, dokonał niemal cudu, czyniąc z A-10 i oddziałów piechoty jedną drużynę. To on wymyślił, jak logistycznie stworzyć system taktyki i łączności, który nie rozpada się nawet w trudnej, wymagającej natychmiastowych reakcji sytuacji. Machinalnie Matt poszukał „Robala” wzrokiem.

Stuart siedział spokojnie przy jednym ze stołów, znudzony jak

wszyscy. Wyglądał zwyczajnie - nie wybijał się wzrostem czy posturą; miał ciemne włosy, wąsko osadzone, niebieskie oczy... Pontowski wiedział jednak, co kryło się pod tą niepozorną powierzchownością. Istna bestia - człowiek, który za punkt honoru uważał kultywowanie tradycyjnej aury otaczającej pilota myśliwskiego. „Robal” był postacią z dawnych czasów, kiedy to oczekiwano od pilotów raczej dużych ilości adrenaliny niż szarych komórek.

Niestety, wysocy oficerowie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych nie tolerowali dziś takiego zachowania, jaki charakteryzował „Robala”; mimo iż sami w młodych latach byli właśnie tacy, jak on. Pontowski westchnął - czasy się zmieniły. I to na gorsze - pomyślał. „Robal” był bowiem doskonałym pilotem. Matt sądził, że sposób bycia Stuarta ma wpływ na jego sukcesy w powietrzu. Redukowanie obrotów zaraz po starcie nigdy nie zmieni kanarka w jastrzębia...

- Pułkowniku Pontowski - obudził go z rozmyślań głos podpułkownika Hansona - moi ludzie, co do jednego i jednej - Hanson starał się być bardzo „poprawny politycznie” - chcieliby podziękować panu i wszystkim mężczyznom i kobietom służącym w pańskiej dywizji za wypracowanie naszego wspólnego sukcesu.

Matt podszedł więc do mównicy i zamknął oficjalną część bankietu tak szybko, jak tylko pozwalały na to dobre maniery. Wyprowadzono sztandary i żołnierze mogli się rozejść. Pontowski został natychmiast otoczony przez starszych oficerów, z których każdy pragnął osobiście mu pogratulować. Był już do tego przyzwyczajony. Wielu „pnących się w górę” oficerów chciało wkraść

się w jego łaski, mając nadzieję, że znajomość z wnukiem byłego prezydenta pomoże im w karierze.

„Robal” wyszedł z sali i skierował się do pobliskiego baru.

- O Jezu - jęknął donośnie do siebie samego i wszystkich potencjalnych słuchaczy - myślałem, że to się nigdy nie skończy. - Barman zobaczył go z daleka i od razu otworzył butelkę piwa. - Proszę drugie - rzucił „Robal”, przysysając się do butelki i opróżniając ją duszkiem. Od razu poczuł się lepiej. Barman posłusznie otworzył następną.

Hanson był najbardziej nachalny. Wprost nie pozwalał Pontowskiemu wyjść z sali bankietowej. Matt przeprosił go w końcu, tłumacząc, że musi skorzystać z toalety. Hanson poszedł jednak za nim, z ożywieniem podtrzymując rozmowę.

- Panie pułkowniku - powiedział Matt - a może pójdziemy do baru, zbratać się z naszymi ludźmi? - Niestety nie był to dobry pomysł. Po chwili znalazł się w gronie tych samych oficerów, z tym, że do kilku z nich dołączyły żony.

Musiał więc teraz być także czarujący.

W zatłoczonym barze rozległ się nagle donośny głos, zwracając uwagę wszystkich:

- Barman, kolejkę tequili dla moich przyjaciół! - Pontowski rozpoznał „Robala” i wiedział, że wypił już dużo alkoholu. Po chwili, „Robal” wszedł na ławę, opierając się głową o sufit.

- Toast! - zarządził. Matt zaczął się obawiać, czy jego pilot nie wywoła za chwilę awantury.

- Może za tytanowe jądra? - zawołał ktoś radośnie. Był to także jeden z pilotów Pontowskiego. Hanson zrobił kwaśną minę,

podobnie jak kobiety należące do jego batalionu.

- Hej, „Robal”! - odezwał się kolejny pilot, podpuszczając kolegę. - A może wypijmy za coś, co ma dla nas duże znaczenie?

- Duże znaczenie... - odparł „Robal” z zastanowieniem, chwiejąc się na swojej podniebnej placówce. Pontowski zacisnął zęby. - Dobra! - „Robal” podniósł szklankę. - Za zapach prochu i cipki! Dla jednego się żyje, dla drugiego umiera. Ale jedno i drugie pachnie jak trzeba! - Odpowiedziało mu donośne wycie, po części krytyczne, po części sygnalizujące poparcie. - Przecież miało być coś o dużym znaczeniu... - usprawiedliwił się „Robal”, złącząc z ławy.

Przystojna pani kapitan piechoty zatrzymała go, wbijając mu palec w pierś.

- Kapitanie, słyszał pan kiedyś o bumerangu? Czasem może trafić tego, kto go rzucił!

„Robal” wzruszył tylko ramionami i ominął kobietę, wracając na miejsce. Pontowski odetchnął z ulgą. Pilot zorientował się, że przesadził; zrobił się więc na chwilę powściągliwy.

Hanson zwrócił się do Pontowskiego ze skwaszoną miną:

- Ta pani dobrze mu odpowiedziała, panie pułkowniku. - Zmrużył oczy, zastanawiając się, jaką korzyść może odnieść z incydentu. - Moi ludzie wiedzą, że nie mogą postępować tak jak pański kapitan. Ale wie pan - niech pan zaopiekuje się tym pilotem jak należy, a ja uspokoję moją panią kapitan. Nie będzie żadnych kłopotów. - Na ustach podpułkownika zagościł perfidny uśmiezek.

Hanson był cały do usług - tylko że od tej chwili Pontowski był mu winien przysługę.



Matt miał ochotę wyjaśnić Hansonowi, że „Robal” widział więcej wojny niż wszyscy ludzie podpułkownika razem wzięci. Nieraz wiązał w walce czołgi przeciwnika, pomimo jego przewagi. Jednak Pontowski, wbrew sobie, odpowiedział grzecznie, że „zajmie się tym”, rzucił jeszcze „dobranoc” i wyszedł z baru. Wiedział teraz, dlaczego wyżsi oficerowie wychodzili wcześniej z wszelkiego rodzaju przyjęć.

- Tym razem „Robal” przebrał miarę - powiedziała major Sara Leonard. Raz po raz zaglądała w notatki, podstawę wypowiedzi. Był wtorek rano - bankiet odbył się w piątek. Siedzieli z Pontowskim w biurze sztabu eskadry. Omawiali wspólnie sprawy do załatwienia w najbliższych dniach.

- Masz na myśli jego toast w klubie oficerskim, w piątek wieczorem? - spytał Matt. Sara pokiwała głową. - Czy John może się tym zająć? - Podpułkownik John Leonard był dowódcą 303, dywizjonu - w którym latał „Robal” - oraz mężem Sary.

Pani major zaprzeczyła:

- Nie da rady. Wynikła z tego poważna sprawa. Dwie kobiety - oficerowie, obecne w barze, złożyły oficjalną skargę do Generalnego Inspektora o molestowanie seksualne.

- Cholera - mruknął Pontowski. - Piechota znów atakuje... - Podpułkownik Hanson nie zdołał najwyraźniej dotrzymać obietnicy, i teraz Matt będzie miał na karku Generalnego Inspektora. Dlaczego to musiał być akurat „Robal”? - pomyślał Pontowski, zirytowany. Znał jednak odpowiedź na to pytanie.

- Czemu ten człowiek nie może dorosnąć? - powiedział na głos.

- Piloci myśliwców zawsze tacy byli - odparła za niego Sara.

Matt podniósł więc słuchawkę telefonu, zadzwonił do trzysty trzeciego i poprosił Leonarda. Leonard musiał zostać włączony w całą sprawę, jako bezpośredni przełożony „Robala”. Oficer dyżurny dywizjonu poinformował Pontowskiego, że podpułkownik Leonard wyruszył właśnie przed chwilą do sztabu dywizji. Matt odłożył słuchawkę i spojrzał na panią major. Jak na dobrego oficera sztabowego przystało, przewidywała potrzeby swojego dowódcy i sama zadzwoniła po męża, zanim podjęła temat „Robala” z Pontowskim.

- Będzie mi cię tu brakować - powiedział Matt.

Sara złożyła bowiem poprzedniego dnia rezygnację ze stanowiska etatowego technika rezerwy Sił Powietrznych. Była w drugim miesiącu ciąży. Pontowski próbował przekonać ją, żeby została w czynnej służbie. Potrzebował sztabowego oficera podczas comiesięcznych ćwiczeń swojej dywizji. Zdrowy rozsądek pani Leonard podpowiadał jej jednak, że ponowne zostanie matką, w wieku czterdziestu dwóch lat, samo w sobie oznacza pełny etat.

- Nadal pozostaniemy sąsiadami - przypomniała mu.

Pontowski uśmiechnął się.

- Zgadzam się na to - odparł. Mieszkanie po sąsiedzku z Leonardami rozwiązywało wiele z jego problemów - kłopotów, jakie napotyka samotny ojciec. Martha Marshall - matka Sary, służyła właściwie za nianię małego Matta, a Melissa - trzynastoletnia córka Sary z pierwszego małżeństwa - za *baby-sitterkę*. Mały Matt stawał się coraz częstszym gościem Leonardów. Niepokoiło to Pontowskiego, ponieważ pragnął stworzyć swojemu synkowi

prawdziwy dom... Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł podpułkownik John Leonard, mąż Sary od zaledwie niecałych dwóch lat.

- Sara mówi, że Generalny Inspektor chce dobrać się do tyłka „Robala” - powiedział.

Pontowski wskazał mu fotel. Leonard był wysokim, trzymającym formę trzydziestoosmiolatkiem; służył na pełnym etacie jako pilot myśliwski i dowódca 303, dywizjonu.

Sara zaczęła odczytywać z notatek poszczególne sformułowania, jakie zawarto w skargach o molestowanie seksualne, złożonych przeciw „Robalowi”. Wreszcie zamknęła notes i założyła ręce.

- W całym tym oskarżeniu jest jednak luka - oznajmiła.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią wzrokiem pełnym nadziei. „Robal” był wprawdzie kimś w rodzaju Hucka Finna przedzierzgniętego w pilota myśliwskiego i człowiekiem zupełnie nie ze swoich czasów; równoważył to jednak dwiema trudnymi do przecenienia zaletami. Nikt nie umiał ani latać, ani walczyć lepiej niż on; a kiedy wokół zaczynało się dziać źle, stawał się tym bardziej agresywny. Prawdziwa wojna nauczyła Pontowskiego i Leonarda jednego - kiedy się zaczyna, to właśnie tacy jak „Robal” sprawiają, że wszystko się udaje.

- Teoretycznie rzecz biorąc - zaczęła wyjaśniać Sara - „Robal” podczas bankietu nie był na służbie. Nie wpisał się do komputera i nie miał płacone za ten czas. Nie podlega więc wojskowej jurysdykcji w zaistniałej sprawie, ponieważ podczas bankietu miał status cywila.

- Amerykański kodeks wojskowy dotyczy bowiem rezerwistów tylko wtedy, kiedy są na służbie.

- To słaby argument - powiedział John.

- Ale skuteczny - odparła jego żona. - Gdyby do tego „Robal” złożył skargę o próbę złamania jego prawa do wolności słowa... A my zrobilibyśmy wokół tego dużo hałasu, a jednocześnie wynajęlibyśmy mu psychologa, na znak, że się nim zajmujemy. Wtedy chętni do karania go mogliby wycofać się z prawniczej wojny, którą i tak by przegrali.

- Spróbujmy; może coś z tego wyjdzie - zdecydował Pontowski, przypominając sobie szkolenie w Pentagonie. - John, niech „Robal” dostanie jakiegoś psychiatrę do pomocy; a ty, Saro, poproś po cichu naszego prawnika o poradę w kwestii tego, co możemy robić, żeby nie złamać praw „Robala”, wynikających z pierwszej poprawki do konstytucji. Ja w tym czasie będę tłumaczył wszem i wobec, że wprawdzie „Robal” nie podlega mojej jurysdykcji, ale robię wszystko, co w mojej mocy, żeby poprawić jego zachowanie. - Opadł na oparcie fotela i jęknął: - Dajcie spokój; w dzisiejszych czasach dowódca dywizji powinien być prawnikiem!... Masz jeszcze coś, Saro? - Pani major pokręciła głową. - Będzie mi cię tu brakować. - Uśmiechnął się, na znak, że zwalnia swoich podwładnych.

Kiedy wyszli, John Leonard zatrzymał żonę i spytał:

- Myślisz, że to się uda?

- Powinno - odpowiedziała. - „Szef chce, żeby się udało, a to wpływowo człowiek. - Zastanowiła się chwilę i dodała: - Szczerze mówiąc, uważam, że już czas, żeby „Robal” dorósł.

- On jest jedyny w swoim rodzaju - stwierdził Leonard takim tonem, że Sara popatrzyła na niego krytycznie. - Naprawdę, uważam, że mamy szczęście, że u nas służy. Chciałbym mieć cały

dywizjon takich ludzi.

- Usprawiedliwiasz go.

- Masz rację. Wiem. No cóż, „Robal” uratował „Szefowi” portki w Chinach, a teraz Szef chce mu się za to odpłacić. - Zabrzmiało to zarazem banalnie i sentymentalnie; oboje wiedzieli jednak, że tak właśnie było.

- Ale drugi raz Pontowski tego nie zrobi - powiedziała pani major.

- Wyłóż to lepiej jasno „Robalowi”, co? Żeby nie miał żadnych wątpliwości.

## **Sobota, 8 listopada**

### **Johannesburg, Republika Południowej Afryki**

Sklepiki naprzeciwko hotelowej kawiarni otwierały się. MacKay zamówił śniadanie. Przyglądał się, jak sprzedawcy zmiatają z chodnika na jezdnię stosy śmieci, pozostawione poprzedniego dnia przez handlarzy. Zaczynały się kłótnie, kiedy ci sami handlarze powracali i znów rozkładali towary na chodniku, blokując wejścia do sklepów. Był to codzienny rytuał; tak zaczynał się każdy poranek w Johannesburgu.

MacKay siedział przy niskim, ceglany murku okalającym kawiarnię i chłonał rzeczywistość wszystkimi zmysłami naraz. Jak zwykle, kelner ignorował klientów, zanim nie zobaczył na stole napiwku. Nawet i wtedy obsługa była ograniczona do minimum. John miał

jednak ochotę na filiżankę gorącej kawy, postanowił więc spróbować bardziej bezpośredniej metody zwrócenia się do kelnera i po prostu uśmiechnął się, kiedy ten na niego spojrział. Jak się okazało,

przywołało to u kelnera dawne przyzwyczajenia - uprzejmie przyniósł MacKayowi wyśmienitą kawę.

Pułkownik zaczął przeglądać wiadomości sportowe w gazecie. W rogu strony znajdował się mały artykuł na temat uniwersyteckich drużyn futbolu amerykańskiego, gdzie wspomniano o tradycyjnej rywalizacji pomiędzy studentami Akademii Piechoty i Marynarki Wojennej. Wywołało to żywe wspomnienia. MacKay usłyszał pieśń wydobywającą się z setek gardeł, kiedy wbiegał na Stadion Żołnierza... To był najwspanialszy okres w jego życiu.

W West Point szło mu znakomicie. Ukończył akademię z drugą lokatą w swoim roczniku. Spóźnił się na Wietnam o pięć lat; służył więc w rozmaitych jednostkach, uczestnicząc w przekształceniach zachodzących w Armii Stanów Zjednoczonych po zakończeniu tej długiej wojny. Był więc kolejno oficerem Kawalerii Pancерnej, Rangersów i Sił Specjalnych. Dokończył edukacji w brytyjskim pułku SAS, czyli Special Air Service. MacKay stał się w końcu być może najwybitniejszym ekspertem od operacji specjalnych i zwalczania terroryzmu. Oficjalnie uznano jego umiejętności, kiedy uratował trzech amerykańskich zakładników, więzionych w silnie strzeżonym kompleksie budynków przez prywatną armię narkotykowego barona w Birmie.

Wkrótce potem MacKaya przydzielono do służby w wywiadzie; zaczął działać w ukryciu. Oddano mu pod komendę Agencję Wspierania Wywiadu - jedną z tajnych agencji Pentagonu, nazywaną w angielskim skrócie ISA. Agencja ta zaczęła pod jego dowództwem odnosić jeden sukces za drugim, szybko zyskując sobie reputację „skutecznej”, co jest rzadkością w świecie tajnych służb.

Podwładni MacKaya osiągnęli konkretne rezultaty; nic dziwnego, że to właśnie ISA otrzymała zadanie przeprowadzenia „Operacji Zenith” - wniknięcia do kompleksu Pelindaba. Pelindaba to dobrze strzeżone centrum badawczo-produkcyjne zajmujące się rozwojem i wdrażaniem technik jądrowych w RPA, położone niedaleko Pretorii. MacKay podejrzewał, że CIA już próbowało tam dotrzeć i poniosło porażkę; dopiero wtedy oddano tę sprawę w jego ręce. John zamierzał spenetrować obiekt wraz z dwoma białymi podwładnymi - był zresztą jedynym czarnym agentem ISA. Myślał też, że to niezbyt bezpieczne zadanie dla Murzyna...

Do kawiarni wkroczyło mieszkające w hotelu małżeństwo czarnych Amerykanów. Usiedli przy sąsiednim stoliku. MacKay przyjrzał im się znad gazety. Cóż - dwoje zamożnych, dobrze ubranych Czarnych w średnim wieku, na wycieczce. Mężczyzna był równie wysoki jak MacKay; miał nawet brodę podobnej długości. John uśmiechnął się, podsłuchując ich rozmowę. Ku ich zdumieniu Afryka okazała się inna, niż sobie wyobrażali. Po piętnastu minutach bezskutecznego oczekiwania na kelnera, podczas których MacKaya sumiennie obsługiwano, kobieta odezwała się:

- Co tu trzeba zrobić, żeby człowieka obsłużono?

Johnowi zrobiło się ich szkoda, odkrył więc swoją narodowość odpowiadając:

- Trzeba zwrócić na siebie uwagę kelnera. Dać mu napiwek, z góry.

- Napiwek! Chyba łapówkę!... - burknął zdenerwowany mężczyzna.

MacKay po raz kolejny uśmiechnął się do kelnera, po czym skinął

głową, wskazując na sąsiadów. Kelner pospieszył do nich.

Kobieta dziękowała Johnowi, gdy do kawiarni wkroczyła Ziba Chembo. Rozmowy wokół ucichły, kiedy podchodziła do stolika MacKaya i siadała. Dwoje Amerykanów zaczęło mówić półgłosem, obgadując MacKaya i Zibę.

- Dziwisz się? - szepnęła kobieta. - To wyjątkowo atrakcyjna dziewczyna.

- Ma w sobie coś królewskiego - zgodził się mężczyzna. - Stanowczo, mówię ci.

John zmusił się do zachowania spokoju. Dwa dni wcześniej otrzymał niesprecyzowaną informację, że w tym właśnie hotelu ma się spotkać z Zibą. Nie wiedział nic więcej, więc wprowadził się i czekał. Jeden dzień niewiele zmieniał, skoro czekał już trzy miesiące. Mimo wszystko, afrykańskie tempo załatwiania interesów doprowadzało MacKaya do szaleństwa. Sprawy, które sprowadziły go do RPA, wymagały absolutnej dyskrecji, tymczasem Ziba przyszła spokojnie na śniadanie do pełnej ludzi kawiarni. Nie odpowiadało to uznawanym przez Johna standardom bezpieczeństwa. Jednak kiedy dziewczyna usiadła obok, od razu miał ochotę rozmawiać o wszystkim, co tylko przyjdzie jej do głowy.

- Podoba mi się pana broda - powiedziała, zamówiwszy kawę.

- Pomaga, kiedy ma się pseudofolliculitis - odparł, wątpiąc, czy Ziba słyszała kiedykolwiek nazwę dolegliwości, polegającej na tym, że włosy zakręcają do wewnątrz, w sąsiednie torebki włosowe, powodując infekcję. Był jednak pewien, że dziewczyna widzi, o czym mowa.

- Był pan kiedyś na demonstracji z okazji czyjegoś pogrzebu? -



spytała, sącząc kawę. Zaprzeczył ruchem głowy. - Dzisiaj w Soweto na stadionie Orlando odbywa się coś takiego. Myślę, że powinniśmy tam pójść.

Kobieta z sąsiedniego stolika wtrąciła się w ich rozmowę:

- Przepraszam najmocniej, ale usłyszałam, co pani powiedziała, i... Bardzo chcielibyśmy pójść z państwem. Czyj to pogrzeb?

MacKay z trudem powstrzymał się od jęku. Sytuacja wymykała mu się spod kontroli.

Ziba ożywiła się:

- To pogrzeb sześciorga dzieci, które zostały zamordowane w zeszłym tygodniu. Szły sobie niewinnie do szkoły. To nie tylko pogrzeb, ale wielka demonstracja pokoju i solidarności.

- Ach, czytaliśmy o tym; to straszne - odparła kobieta. - W gazecie napisano, że to biali wynajęli bandytów z Soweto.

- Latisha, przestań... - mężczyzna głośno przywołał żonę do porządku. - Przecież narzucasz się państwu... - Odwrócił się do MacKaya i przedstawił się: - Nazywam się Lionel Stevens, a to moja żona, Latisha. Proszę jej wybaczyć, ale chciałaby jak najwięcej zobaczyć, póki tu jesteśmy. Czy podczas takiej demonstracji jest bezpiecznie?

Należało ich zniechęcić.

- Nigdy nic nie wiadomo - odpowiedział John. - Zdarzają się bardzo poważne zajścia. Mówiąc prawdę, w ogóle dziwię się, że państwo jeżdżą po RPA, biorąc pod uwagę to, co się tu dzieje. Myślałem, że departament stanu wydawał ostrzeżenia i zniechęcał do wyjazdów turystycznych do tego kraju.

- Rzeczywiście, cały czas to robią - zgodził się Stevens. - Ale wie

pan, wszyscy nasi znajomi już byli, a akurat teraz trafiła nam się jedyna możliwość przyjazdu. Chcieliśmy przeżyć tę przygodę, póki można, no i przylecieliśmy; przez Zambię. A pana co tu sprowadza?

- Załatwiam interesy: import, eksport, rozumie pan - odparł bez namysłu MacKay, dobrze pamiętając historyjkę, której się nauczył. - Wylatuję stąd natychmiast, kiedy wszystko będzie dograne. Radziłbym państwu zrobić to samo i wydostać się w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

- Może i ma pan rację - zastanowił się głośno Stevens. Oboje z żoną pożegnali się i odeszli.

- Uważam, że powinniśmy tam iść - powiedziała Ziba.

MacKay, targany sprzecznymi pragnieniami, jęknął w końcu cicho. Naprawdę chciał wymienić szybko informacje; z drugiej jednak strony czuł w dole brzucha coś, co sprawiało, że z lubością się ociągał. Przed oczyma stanęła mu wizja Ziby w jego łóżku. Od tak dawna nie był z kobietą...

Wreszcie to Ziba podjęła decyzję.

- Musimy już się zbierać - powiedziała, po czym wstała i ruszyła przed siebie. John podążył za nią, z mocnym postanowieniem, że jego organy płciowe nie zwyciężą myślenia.

Siedzący po drugiej stronie ulicy handlarz patrzył uważnie, jak Ziba pokazuje kierowcy przejeżdżającej taksówki znak dłonią, informujący, dokąd chce jechać. Kiedy mikrobus ruszył spod hotelu, handlarz pospieszył do automatu telefonicznego i wykręcił odpowiedni numer. Odebrał mężczyzna mówiący z afrykanerskim akcentem. Usłyszał, że śledzeni jadą na pogrzeb, na stadion piłkarski w Soweto.

MacKay i Ziba dotarli na miejsce. Trybuny były do połowy puste, a wydarzenie filmowała tylko jedna stacja telewizyjna. Wmieszali się w tłum i usiedli obok grupy w pobliżu wyjścia.

- Dawniej stadion bywał przepelniony - powiedziała dziewczyna. - Przychodziło nas siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy.

- A ilu ludzi może pomieścić stadion?

- Sześćdziesiąt tysięcy, teoretycznie. Czulo się, jak chwieje się na fundamentach, pod masą nas wszystkich; drżał, tak silny był nasz duch. - Oczy Ziby błyszczały, gdy mówiła o przeszłości.

Nad skleconą naprędce sceną rozwinięto olbrzymią, zielono-czarno-złocistą flagę. Przed nią ustawiono w rzędzie sześć białych trumien. Rozpoczęły się śpiewy. Tysiące głosów zmieszało się w jeden; jego niezwykła harmonia poruszyła strunę ukrytą gdzieś głęboko w duszy MacKaya. Zapraagnął dołączyć się do śpiewających, ale po prostu nie umiał. Ziba podjęła melodię, czystym, silnym głosem, który wybijał się z łatwością ponad pozostałe.

Wraz ze zbliżającą się porą pogrzebu, stadion wypełnił się powoli. MacKay czuł wokół siebie niezwykły nastrój - ciepły, przyjazny, spontaniczny. Ci ludzie nie patrzyli z siłą tak charakterystyczną dla spojrzeń Amerykanów. Byli - tak, po prostu ciepli; wyczuwało się prawdziwą wspólnotę. Po raz pierwszy od lat MacKay był w zgodzie z samym sobą.

Wokół boiska ruszyła do biegu grupa mężczyzn; było ich może dwustu. MacKayowi przypomniały się pierwsze dni spędzone w West Point. Maszerował wtedy na rozkaz wydawany donośnym głosem sierżanta, a jego głos łączył się z głosami pozostałych kadetów; odpowiadali równiutko, *unisono*. Teraz jednak biegnący

wnieśli ze sobą niepokój; zaczęli tańczyć pełen gniewu taniec. Idący w pierwszym szeregu przywódca grupy trzymał duży, wycięty z dykty karabin maszynowy - symbol siły, reprezentowanej przez jego ludzi. Trzy szeregi dalej, Mackay zauważył prawdziwego AK-47. Kałasznikow...

Wtedy też John i Ziba zobaczyli państwa Stevensów, tych z hotelowej kawiarni. Przechodzili przed pierwszym rzędem trybuny, szukając wolnego miejsca. Latisha przebrała się w jaskrawą, złocisto-czarną szatę i wykonany z tego samego materiału zawój na głowę, zwisający jak szal. Była to odświętna kreacja, modna wśród czarnych Amerykanek. Widać było od razu, że ta kobieta jest turystką z Nowego Jorku, a nie kimś miejscowym.

- Też pomysł... - mruknął MacKay, kręcąc głową. - Głupiej nie mogli zrobić.

Za trumnami zajęli miejsca członkowie rodzin zabitych dzieci. Zaczęto odprawiać ceremonie pogrzebowe. John zdawał sobie sprawę z tego, co przeżywają zebrani; sam dziwnie się czuł, widząc małe trumienki na boisku. Wygłaszane przez kogoś przemówienie nabrało ostrego, pełnego gniewu tonu. MacKay nie rozumiał wprawdzie słów, zdawał sobie jednak sprawę z panującego napięcia. W którymś momencie odezwał się samotny głos; po chwili dołączyły do niego tysiące innych i tłum zaczął śpiewać coś w rodzaju kołysanki. Napięcie opadło.

Ustawiono teraz trumny na platformie ciężarówki. Uformował się kondukt pogrzebowy; ludzie chcieli przemaszerować wspólnie na cmentarz. Znajdujący się na czele rozpoczęli jednak gniewny taniec; taki jak ten, który tańczyła obiegająca boisko grupa. Zgromadzeni

podchwycili inną pieśń - głośniejszą, bardziej wrzaskliwą. Wśród tłumu ponownie rosło napięcie. MacKay wyczuł, że zaczyna się robić niebezpiecznie i zamiast dołączyć do żałobników, pociągnął Zibę w stronę wyjścia. Stanęli w cieniu. Zobaczył, jak w dole Lionel i Latisha Stevens dołączają do procesji.

- Idioci!... - skomentował sucho. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie wyciągnąć ich z tłumu siłą.

Ponaglił jednak Zibę i szybko wydostali się na zewnątrz. John podniósł w górę wskazujący palec, sygnalizując taksówkarzom, że chce jechać do Johannesburga. Żaden z czekających mikrobusów nie ruszył jednak z miejsca - kierowcy nie chcieli wyprowadzać z równowagi ludzi wypełniających ulicę. Wtedy MacKay usłyszał gdzieś za plecami krzyk, a potem

dobrze sobie znany odgłos serii z kałasznikowa. Ludzie wokół zaczęli biec, szukając jakiegoś ukrycia. John zaciągnął Zibę do jednego z mikrobusów, wskoczył za nią i rzucił kierowcy:

- Johannesburg. Szybko!

Kierowca spojrział na nich twardo i pokazał im ruchem głowy drzwi. Nie chciał ryzykować ruszenia przed siebie w takim tłumie; nie wiadomo było, czym to się może skończyć. Zobaczywszy jednak twarz MacKaya, doszedł najwyraźniej do wniosku, że chciałby jeszcze trochę pożyć, bowiem zaraz zapuścił silnik i ruszył, przeciskając się pomiędzy ludźmi. Na wprost nich wyjechała na środek inna taksówka, tak że kierowca Johna i Ziby musiał gwałtownie hamować. Przez chwilę niespokojnie krążący ludzie rozstąpili się i oczom Johna ukazała się ponura, nieruchoma scena. Na ulicy leżała Latisha - skłębiona masa złoto-czarnego materiału i

krwi. Był tam także Lionel - klęczał przy niej, pochylony; jego oczy patrzyły martwo w dół. Tył głowy miał zmasakrowany przez kulę.

W tle widać było młodego, wysokiego mężczyznę, który wymachiwał kałasznikowem w geście triumfu i krzyczał z przejęciem do swoich towarzyszy. Nadbiegła nowa fala ludzi, zasłaniając wszystko, podczas gdy mikrobus przyspieszał, uciekając ku bezpieczniejszej okolicy.

- Biedacy! Co za głupi ludzie; przyszli, żeby dać się zabić!... - MacKay był pełen żalu.

- Tak mi przykro z powodu pana amerykańskich przyjaciół... - odezwała się Ziba.

- To nie byli moi przyjaciele; nie znałem ich - wyjaśnił pułkownik.

- To nie na nich polowano - powiedziała Ziba cicho, żeby kierowca nie słyszał.

MacKay zastanowił się nad jej słowami. Czyżby miała rację? Rzeczywiście, przecież Lionel odpowiadał opisowi, jakim można by określić Johna - wysoki, czarny Amerykanin, z brodą... Dlaczego w takim razie nie zabili ich od razu w hotelowej kawiarni? Pewnie miejsce byłoby zbyt widoczne, a może po prostu morderca był gdzie indziej? Poza tym mógł przypuszczać, że w Soweto MacKay będzie sam, bez żadnego wsparcia. Nie cieszą się zbytnio z mojej obecności - pomyślał. Ale kto to jest? Podrapał się w brodę, postanawiając zgolić ją natychmiast, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Skrzywił się w duchu, wyobrażając sobie, co stanie się przy tym zabiegu z jego skórą. Musiał jednak zniknąć z oczu wrogów, a zgolenie brody na pewno w tym pomoże.

- Powinniśmy się rozdzielić - odezwał się.

Ziba sięgnęła do torby i wyjęła z niej dużą, żółtą kopertę.

- Afrykanerzy nazywają to projektem Numer Jeden - powiedziała, podając kopertę Johnowi. MacKay otworzył ją i przerzucił wzrokiem znajdujące się wewnątrz papiery i zdjęcia. Wyglądało na to, że Ziba przyniosła mu tajemnice ośrodka Pelindaba. Ta dziewczyna była kimś znacznie ważniejszym niż tylko zwykłą służącą...

- Dlaczego nie przekazała pani tego komuś, kto zastąpił Charlesa?  
- spytał.

- Nikt się ze mną nie skontaktował - brzmiała odpowiedź.

Wtedy MacKayowi przyszło coś do głowy.

- Dlaczego pojechaliśmy na ten pogrzeb?

Ziba popatrzyła mu prosto w oczy; spoglądał na nią pełen bólu.

- Chciałam, żeby zobaczył pan mój naród... - odparła. Widać było, że ona także cierpi. Całe dobro, ciepło, którym dzielili się ze sobą ludzie, poczucie jedności, siły i godności, jakie dały o sobie znać na stadionie, wszystko to zostało zniszczone przez brutalne morderstwo.

Johna pragnął objąć Zibę i powiedzieć jej, że rozumie. Szukał jednak tylko odpowiednich słów. Dziewczyna poleciła kierowcy zatrzymać się, po czym wysiadła i odeszła, nie odwracając głowy.

**Środa, 12 listopada**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Elizabeth Gordon zerknęła po raz ostatni w lusterko, sprawdzając włosy.

- Cholera, Sam - jęknęła. - Dlaczego ja? - Odkryła właśnie na głowie kolejny siwy włos. Wyrwała go z niezadowoleniem, wrzuciła

lusterko do torebki, przypięła do żakietu mikrofon z nadajnikiem i odwróciła się przodem, nareszcie gotowa. - Jak wyglądam?

- Wspaniale - odpowiedziała Samantha Darnell, od lat kamerzystka pani Gordon. Wyrównała biel w kamerze, biorąc pod uwagę światło panujące na zewnątrz i ustawiła urządzenie tak, żeby sfilmować Elizabeth stojącą w prezydenckim parku, na tle Owального Biura i zachodniego skrzydła Białego Domu. Pomimo listopadowej pory, panowała piękna pogoda. Łagodny powiew bawił się nieznacznie włosami pani Gordon, co dawało bardzo fotogeniczny efekt. - Kamera nigdy nie kłamie - dorzuciła Samantha.

Rzeczywiście. Liz Gordon zachowała wspaniałą figurę; na jej twarzy nie było jeszcze zmarszczek. Jednak przekroczona czterdziestka pomалу zaczynała dawać o sobie znać. Wkrótce dyrekcja stacji telewizyjnej znajdzie na jej miejsce inną rzucającą się w oczy twarz, która będzie w dodatku o piętnaście lat młodsza. Kariera Elizabeth zacznie po cichu podupadać - straciwszy swoją stałą akredytację przy Białym Domu, pani Gordon zostanie przydzielona do filmowania wydarzeń, których znajdujący się „na fali” prezenterzy nie uważają za godne ich obecności. Sam uważała, że to wszystko jest takie niesprawiedliwe. Elizabeth Gordon była bowiem znakomitą reporterką.

- Dobrze, sprawdzam dźwięk - odezwała się Samantha, zadowolona z ustawienia kamery i z oświetlenia. - Liz wypowiedziała kilka słów. - Dźwięk w porządku. Ruszamy.

Gordon rutynowo zmieniła się w osobę znaną wszystkim z ekranu.

- Dziś w Białym Domu - zaczęła mówić do kamery - pan prezydent zmienił swój napięty rozkład zajęć, specjalnie po to, aby spotkać się



ze swoim nieoficjalnym doradcą, szanowanym politykiem, Cyrusem Piccardem.

To Sam namówiła Elizabeth do zdania relacji z wizyty Piccarda w Białym Domu. Emerytowany sekretarz stanu był bowiem jak zły omen - ilekroć pojawiał się na scenie, zawsze oznaczało to nadchodzące kłopoty. Kamerzystka dziwiła się, że starsi, doświadczeni reporterzy, akredytowani przy Białym Domu, do tej pory tego nie zauważyli. A poza tym Piccarda dobrze się filmowało; wyglądał jak prawdziwy mąż stanu - był wysoki, miał szlachetne rysy; zawsze pokazywał się w nieskazitelnym, ciemnym, prążkowanym garniturze; niezmiennie miał też ze sobą charakterystyczny atrybut - hebanową laseczkę.

- Temat dyskusji - ciągnęła pani Gordon - nie został ujawniony; dobrze poinformowane źródła z Białego Domu uchyliły jednak rąbka tajemnicy, mówiąc, że pan prezydent chciałby zasięgnąć porady pana Piccarda w kwestiach związanych ze zjawiskami narastającej przemocy, głodu i masowych migracji w Trzecim Świecie. - Następnie Elizabeth ubrała w słowa kilka pomysłów, które podsunęła jej Samantha, mówiąc tonem uważnego obserwatora i znawcy polityki zagranicznej. Zatrzymała się jednak nagle w połowie zdania.

- Co się stało? - spytała zdziwiona Samantha. - To było dobre.

- Za słabe na czołówkę wieczornych wiadomości - odparła Gordon. - Przeintelektualizowane, nawet jak na taki dzień, w którym nic się nie dzieje. Ja się tu niedługo skończę...

Samantha pokiwała głową na znak zgody. Na to wygląda. Muszą wkrótce znaleźć jakiś ekscytujący temat, albo Elizabeth Gordon stąd

wyleci.

Cyrus Piccard stał przy oknie, w biurze Billa Carrola. Spoglądał na park prezydencki. Zobaczył panie Gordon i Darnell zwijające manatki.

- Pamiętam, kiedy pojawiła się tu po raz pierwszy - odezwał się. - Była taka czarująca - i zupełnie zielona.

- A kto to? - spytał William.

- Elizabeth Gordon - wyjaśnił Piccard.

- A no, teraz to już jest doświadczona - stwierdził Carroll. - Kariera Liz potoczyła się tak spokojnie, właściwie cały czas wygląda to tak samo; tyle że do tej pory stała się naprawdę bardzo dobrą reporterką. Ale ludzie chyba tego nie widzą, bo jak się raz nabierze jakiejś reputacji, to potem ciągnie się to za człowiekiem w nieskończoność... Myślę, że pomogło jej przydzielenie Sam Darnell jako kamerzystki. Sam jest dobra; myślę, że dużo dla niej zrobiła.

- Tak mówisz... - mruknął Cyrus, przyglądając się młodej kobiecie, która niosła teraz kamerę za panią Gordon. Oceniał, że Samantha musi mieć przynajmniej metr siedemdziesiąt osiem wzrostu. Była szatynką; miała krótko przycięte włosy. Pomimo luźnych dzinsów, flanelowej koszuli i kamizelki, w jakie była ubrana, widać było, jak zgrabnym, prężnym krokiem się porusza. Skojarzyła się Piccardowi z jakąś lekkoatletką.

- Jest bardzo atrakcyjna - podsumował na głos - i to pod różnymi względami.

Carroll dołączył do niego i także patrzył na idące po trawniku kobiety. Zapadło milczenie. Mężczyźni zaczęli rozmyślać o innych

sprawach - tych, które przywiodły Piccarda do Białego Domu.

- Rozumiem troskę prezydenta - odezwał się Cyrus - w związku z eskalacją przemocy i dużymi ruchami ludnościowymi w Meksyku i Ameryce Środkowej. - Rozłożył ręce w teatralnym geście. - Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego niepokoi się Afryką Południową.

- W RPA - odpowiedział William - widać wszelkie oznaki postępującej destabilizacji. Rząd w Pretorii zwrócił się przecież do misji obserwacyjnej ONZ o wysłanie tam sił pokojowych. Mówi się o najbliższej przyszłości. Może już na Boże Narodzenie...

- To zwykła kolej wydarzeń w Afryce - zaczął Piccard, wpadając w ton polityka, komentującego ważne światowe wydarzenia. - Podobne rzeczy zdarzają się tam od dziesięcioleci. Rząd Białych został zastąpiony przez rząd wywodzący się z ruchu wyzwolenia Czarnych... a teraz okazuje się, że nowy rząd ma lepsze ręce... jest beznadziejnie skorumpowany i nieefektywny... nieźle prosperująca gospodarka została spustoszona... ekipa stojąca u władzy nie chce dzielić się nią z nikim innym... wybuchają zbrojne walki plemienne... wzywa się ONZ...

Piccard usiadł.

- To prawdziwe polityczne bagno, w które udało nam się dotąd nie wdepnąć. Po co mielibyśmy to robić teraz? Nie mamy tam żadnych interesów.

- Być może wkrótce będziemy tam mieć bardzo ważne interesy... - stwierdził znacząco Carroll.

Krzaczaste brwi starego Cyrusa uniosły się na znak zdziwienia.

- A co? Czyżby odkryto na Kalahari bogate złoża ropy naftowej?

Piccard był realistą. Dobrze zdawał sobie sprawę ze znaczenia

ropy naftowej w gospodarce światowej. Powód, który wymienił, był jedynym, jaki mógł przyjść mu do głowy, z tych, które uzasadniałyby zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w jakimkolwiek punkcie Afryki.

- Nie - zaprzeczył Carroll. - Białym, a dokładniej Afrykanerom, być może udało się przeprowadzić kontrolowaną reakcję fuzji jądrowej. Nazywają to projektem Numer Jeden. - Podał Piccardowi materiał zatytułowany *Zenith Jeden*. Starszy pan oparł łaskę o poręcz fotela i przejrzał kilka kartek. Dwukrotnie parsknął na przeczytane sformułowania.

- Dziwne - powiedział w końcu, zamykając broszurkę. - Afrykanerzy to właściwie niewiele więcej niż nieduże, białe plemię. Nie wydaje mi się, żeby nawet z pomocą izraelskich naukowców udało im się dokonać sensacyjnego naukowego odkrycia, na miarę przełomu tysiącleci. - Prychnął znowu. - Nie istnieje tanie, niewyczerpane, nie powodujące skażeń środowiska źródło energii atomowej. Nikt do tej pory nie wynalazł niczego, co mogłoby nas wyzwolić spod panowania ropy naftowej. Przecież kontrolowana fuzja jądrowa jest niemożliwa! Udowodniono to bodajże w 1989 roku - tych dwóch naukowców z uniwersytetu stanowego Utah, jeśli dobrze pamiętam. Ależ to była kłapa...

- Chciałbym się z tobą zgodzić - zaczął ostrożnie William - ale mamy zbyt wiele dowodów na to...

- Dowodów? Na nasze potrzeby mogą sfabrykować dowolną ilość dowodów - przerwał Piccard. Podniósł rękę. - Tylko proszę cię, nie opowiadaj mi o szczegółach technicznych. I tak się na tym nie znam... Pytanie: do jakiego stopnia można polegać na twoich

źródłach?

Carroll wyciągnął z koperty plik fotografii.

- Oto zdjęcia satelitarne i wywiadu naziemnego - powiedział, podając je Piccardowi. - Pokazują prawie wszystko. Nasze najnowsze informacje wskazują na to, że zdarzyły im się trzy przypadkowe eksplozje; każda z nich była słabsza od poprzedniej. Jednak wszystkie trzy były wybuchami termojądrowymi.

- To by znaczyło, że Afrykanerzy rozwijają arsenał broni nuklearnej... - mruknął starszy pan.

William pokręcił przecząco głową.

- Nie; mamy agenta wewnątrz samego kompleksu, w którym realizowany jest projekt Numer Jeden.

- Agent CIA? - Piccard był zdziwiony. Kiedy był sekretarzem stanu, wiele razy sparzył się, polegając na CIA. Przestał wierzyć w skuteczność tej organizacji, przynajmniej w zakresie tradycyjnego wywiadu.

- Tym razem nie - odparł Carroll. - Obiekt udało się spenetrować Agencji Wspierania Wywiadu - ISA. - Podał Cyrusowi kolejne zdjęcie. Widać było, że fotografie zrobiły na Piccardzie wrażenie. - Oto zdjęcie baterii termojądrowej, w której przeprowadzana jest kontrolowana fuzja. Podczas reakcji wydziela się ciepło, jakie można spożytkować do produkcji energii. - Mniej więcej na środku kadru widać było stertę ołowianych „cegieł”. Wystawały z niej pod najdziwniejszymi kątami jakieś rury i kable.

- Wygląda na to, że mają tam niezły bałagan - zauważył Cyrus.

- Nauka na wysokim poziomie nie musi być śliczna i wyszorowana - odparł William. - Wystarczy, że jest skuteczna. Nasze źródło

dostarczyło nam także kilku danych liczbowych. Według naszych fizyków to wszystko ma sens.

- Liczby można sobie wymyślić - mruknął pod nosem Piccard. - Spuścił głowę i zaczął intensywnie myśleć. - Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to znaczy, że wywiady innych państw także interesują, czy też zainteresują się tym projektem.

Carroll pokiwał głową.

- Zidentyfikowaliśmy już dwie siatki i wykryliśmy trzecią.

- Jakie?

- Kraje OPEC i Japończycy.

Cyrus podniósł głowę na słowo „Japończycy”.

- O, a to coś nowego. Japończycy...

- Jeśli chodzi o tych trzecich - ciągnął Carroll, to nie mamy jeszcze nic konkretnego, ale podejrzewamy, że to któreś państwo europejskie. - Odwrócił się do okna i powoli zamknął, a potem otworzył prawą pięść.

Starszy pan przyjrzał mu się uważnie i pomyślał, że doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nie wygląda dobrze.

- Jakie siły zaangażowaliśmy do tej pory, poza ISA?

- CIA zainstalowało się w Republice Południowej Afryki jako zwykła firma, niedaleko Kapsztadu. Placówka jest całkiem spora...

- Nie potrzebna nam wielka, tajna operacja CIA!... - warknął Piccard, zdenerwowany. Mówił teraz głosem jak ze stali, zupełnie jak niegdyś. - Niech zajmą się zwykłym zbieraniem informacji wywiadowczych. Jeśli będziemy musieli interweniować, to potrzebna nam będzie oficjalna legitymizacja.

- A niby jaka? - spytał Bill.

- Osobiście jestem za podejściem tradycyjnym. Pomoc humanitarna i - zrobił pauzę - udział w siłach pokojowych ONZ, jeśli zostaną tam wysłane.

- Nic z tego - zaproponował Carroll. - Kongres zamknął nam tę możliwość, tym całym swoim Aktem Poprawy Bezpieczeństwa Narodowego.

- Mój chłopcze - zaczął pouczać Cyrus - Kongres jest za sprytny, żeby wiązać ręce naczelnego dowódcy w momentach, kiedy stawką są nasze narodowe interesy.

- Ale przecież w tej ustawie napisane jest - bronił się William - że nie możemy brać udziału w siłach ONZ bez zgody Kongresu, a biorąc pod uwagę obecny klimat polityczny, na pewno nie udzielą nam zgody.

- Owszem. Jest jednak luka pozostawiona dla prezydenta, na wypadek, gdyby uznał, że dzieje się coś naprawdę ważnego. Kongres nie zniósł jednocześnie ustawy z 1965 roku, która zezwala prezydentowi na użycie sił zbrojnych na okres do dziewięćdziesięciu dni, jeśli akurat nie odbywa się posiedzenie Kongresu.

- Więc sugerujesz, żeby...

- Nic nie robić aż do dnia, w którym kongresmani rozjadą się do domów na Boże Narodzenie - wyjaśnił Piccard. - Jeśli sprawdzą się moje podejrzenia, że cały ten projekt Numer Jeden to tylko zmyłka wymyślona przez Afrykanerów po to, żeby zdobyć dla siebie międzynarodowe poparcie, będzie można wycofać się w pełni chwały po dziewięćdziesięciu dniach i skrytykować Kongres, że nie chce wydać zgody na udział Stanów Zjednoczonych w słusznej, międzynarodowej sprawie. Jeśli jednak Afrykanerzy rzeczywiście

odkryli sposób na przeprowadzenie kontrolowanej fuzji jądrowej i na produkcję energii przy jej pomocy, z pewnością uzasadni to naszą interwencję w celu zabezpieczenia procesu i ochrony przed przedostaniem się tej techniki w niepowołane ręce. - Podniósł wzrok na Carrolla. - Rozumiesz, że mówię o użyciu wojska.

Bill Carroll otrzymał więc radę, jakiej potrzebował. Wolałby wprawdzie usłyszeć co innego, jednak wiedział, że sposób zaproponowany przez Piccarda powinien okazać się skuteczny. Cyrus Piccard był politykiem starej szkoły - dystyngowanym dżentelmenem, żywym pomnikiem dawnych czasów. Jednak pod przykrywką iście dworskiego wyglądu i manier siedział stary wyga, doświadczony w prowadzeniu polityki z pozycji siły. Polityki brutalnej, w której nie zważa się na nikogo, jeśli w grę wchodzi naprawdę żywotne interesy państwa. - Starszy pan wstał z kanapy.

- No, zabrałem ci już dość czasu. Wiem, że się tu nie nudzisz - powiedział.

William odprowadził go więc do swojego „zewnątrznego” biura, gdzie czekał na Piccarda adiutant, który odprowadzi go do limuzyny.

- Czy mogę ci coś zasugerować?... - odezwał się jeszcze Cyrus. - Chciałbym, żebyś dowódcą naszego kontyngentu mianował Matta.

- Znowu on! - Carroll uśmiechnął się. - Widzę, że starasz się, żeby Matt zawsze znajdował się w centrum wydarzeń.

- A jak najbardziej - zgodził się starszy pan i ruszył do wyjścia.

Bill wrócił do swojego pokoju.

- Midge - rzucił do sekretarki - przełoż spotkanie z kapitanem Smithsonem na czwartą po południu. Pójdę pobiegać.

- Już drugi raz przekłada pan spotkanie ze Smithsonem -



poinformowała go sekretarka. - Ma wyniki pańskich badań, no i chciałby je panu pokazać...

- Nie mogę ścierpieć tego nadętego buca - wyjaśnił szczerze Bill.

- Ale to najlepszy lekarz w szpitalu Bethesda - zaprotestowała Midge, zwracając się do pleców Carrolla, znikającego w drzwiach. - Nie powinien pan kazać mu tracić tyle czasu... - Westchnęła z rezygnacją i zadzwoniła, gdzie trzeba. Cokolwiek złego działo się z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, musiało to być bardzo poważne, skoro pan Carroll traktuje Smithsona jak sąsiada, który zawraca mu głowę.

Po paru minutach dwóch agentów Secret Service robiło już rozgrzewkę przed Białym Domem.

- Ostatnio stracił formę - odezwał się wyższy z nich, Wayne Adams.

- To prawda - zgodził się Chuck Stanford. - I całe szczęście. Potrafił naprawdę nas mordować. Już raz myślałem, że zlecono nam misję, żeby biec z nim aż do zawału serca.

- Coś się z nim dzieje niedobrego - powiedział poważnie Adams. - Zauważyłeś, jak dziwnie wysuwa prawą nogę od czasu, kiedy upadł?

Stanford przytaknął. Zobaczył Carrolla wychodzącego z zachodniego skrzydła Białego Domu; przyjrzał się, jak się rusza.

- Mam nadzieję, że nic mu nie jest - odezwał się. - Lubię tego gościa.

- Gotowi? - rzucił Bill, znalazłszy się koło nich. Przytaknęli zgodnie, wobec czego ruszył do biegu. Z łatwością dotrzymywali mu kroku. Po pewnym czasie, zaczęli wymieniać między sobą spojrzenia. Nie było to owo zabójcze tempo, w jakim zwykł biegać

prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Półtora kilometra dalej Carroll runął na ziemię.

Już po kilku sekundach Wayne Adams zawiadamiał przez krótkofalówkę siły bezpieczeństwa czuwające wokół Białego Domu. Szesnaście minut później helikopter transportujący Williama Carrola wylądował koło szpitala Marynarki Wojennej Bethesda. Przy lądowisku czekał doktor Smithson. W pośpiechu wwieziono prezydenckiego doradcę do w pełni wyposażonej sali operacyjnej, w której czekali lekarze i pielęgniarki.

Po dziesięciu następnych minutach koło szpitala znalazły się już także Elizabeth Gordon i Sam Darnell. Były pierwszymi dziennikarzami, jacy znaleźli się tu na elektryzującą wiadomość. Gordon przekazała krótki raport, kończąc go zdaniem wymyślonym przez Samanthę. Odwróciła się od kamery, spoglądając na drzwi szpitala - pokazała przy tym telewizzom swój wspaniały profil - i powiedziała:

- ...Jak wiele razy, tak i teraz możemy tylko czekać, w nadziei, że cuda, jakimi obdarza nas współczesna medycyna, są w stanie uratować tego człowieka, znajdującego się przecież w kwiecie wieku. Mężczyznę, który jest nie tylko mężem i ojcem dwojga małych dzieci, ale także doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego. Pan prezydent także należy do nas, czekających.

- To było dobre - stwierdziła krótko Sam. Elizabeth uśmiechnęła się. Nareszcie zdarzyło się coś, co było jej potrzebne, a ona dotarła na czas.

Kiedy doktor Smithson wkroczył na salę, William Carroll stał sobie spokojnie, ubrany jak zwykle.

- Panie Carroll, powinien pan leżeć w łóżku - odezwał się lekarz. Spojrzał na żonę prezydenckiego doradcy.

- Praca mnie goni - odparł Bill.

W tym momencie Smithson zdecydował. Był lekarzem Williama Carrolla od tak dawna, że zdążył już poznać żelazną wolę tego człowieka. Wiedział więc, co powinien powiedzieć. Zresztą także i dzięki tej umiejętności Smithson był dobrym lekarzem.

- Pani Carroll, czy mogę porozmawiać z pani mężem w cztery oczy? - spytał zmienionym tonem. Był zawodowcem i musiał zrobić to, co do niego należało. Mary odwróciła się i wyszła. - Proszę, niech pan usiądzie. To nie zajmie dużo czasu...

- Czuję się już znacznie lepiej - oznajmił Carroll, usiadłszy.

- Nie wątpię - nie oponował doktor. Od razu przystąpił do sedna; wiedział, że Carroll tak woli. - W ten sposób wyglądają objawy zaczynającego się stwardnienia zanikowego bocznego.

Carroll popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jest pan pewien?

- W tej chwili nie można być pewnym na sto procent. Badania, które zrobiliśmy panu, miały na celu zmierzenie aktywności bioelektrycznej w pańskim układzie nerwowo-mięśniowym; no i - wyniki nie są najlepsze. Trzeba zrobić panu prześwietlenie rdzenia kręgowego i zobaczyć, w jakim stanie się pan znajduje...

- To znaczy, jest pan prawie pewien, skoro mi pan powiedział... - odezwał się Carroll. Smithson pokiwał tylko głową. Bill wstał i ruszył w stronę drzwi. - Dziękuję panu za szczerłość - powiedział jeszcze.

Mówił z przekonaniem. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Doktor zobaczył jeszcze, jak Carroll podnosi rękę i muska swoją żonę w policzek.

Smithson spuścił głowę i zaczął oglądać sobie dłonie. Był w 99 procentach pewien, że William Gibbons Carroll miał stwardnienie zanikowe boczne, zwane od angielskiego skrótu ALS, lub też inaczej - chorobą Lou Gehriga. Mimo iż zanotowano na świecie kilka wyjątków, przeciętny czas życia pacjenta po zdiagnozowaniu choroby wynosi trzydzieści siedem miesięcy.

Zastanawiał się, czy potrafiłby z takim spokojem przyjąć wiadomość o wyroku śmierci na swoją osobę.

## **Rozdział trzeci**

### **Piątek, 14 listopada**

#### **Okolice zamieszkiwane przez plemię Owambo, północna Namibia**

Mężczyzna znajdował się w buszu już od trzech dni. Zdążył zmęczyć się tym całym polowaniem. Był jednak dumny i uparty i postanowił zakończyć je wedle własnej woli. Nie pozwolił sobie na łatwiznę. Swędziała go skóra; drapał się więc, zdzierając paznokciami kurz. Odgonił od siebie uparte myśli o gorącym prysznicu i skoncentrował się na zagrodzie, przed którą się zaczął.

Była większa niż przeciętna zagroda Owambo, a jej ogrodzenie, zrobione z zagłębionych w ziemię pni drzew znajdowało się w dobrym stanie. Wewnątrz stało sześć krytych strzechą wiklinowych chat. Z pewnością była to zagroda wodza. Mężczyzna napiął mięśnie,

kiedy zobaczył i samego wodza, przesuwającego się za ogrodzeniem. Był to drobny człowiek o wyglądzie czcigodnego starca.

Czuwający w zasadzce wysunął się na pozycje strzelecką. Powoli wyciągnął z futerału karabin snajperski Lee-Enfield, kalibru 0,303 cala i nakierował cienki krzyżyk celownika optycznego na środek piersi staruszka. Zamachowcowi podobała się broń, jaką dysponował. Stary, dobry, brytyjski karabin; znakomicie wyważony i precyzyjnie wykonany. Wprowadził nabój do komory i czekał.

Najpierw pojawiła się chmurka kurzu. Może to dzisiaj - pomyślał. Z kurzu wyłoniła się ciężarówka. Zatrzymała się przed zagrodą; kierowca wysiadł. Strzelec wycelował teraz w przybysza. To był chyba Owambo - miał wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, wysokie czoło, szczupłą budowę ciała, haczykowaty nos... Wtedy zamachowiec zobaczył pasażera. Europejczyk. Koszulka bez rękawków, brudne szorty, znoszone turystyczne buty. To musiał być ksiądz.

Wódz i ksiądz przywitali się i ruszyli ku platformie ciężarówki. Podekscytowani mieszkańcy wioski zaczęli zbierać się wokół. Po chwili zdjęto z samochodu nowy generator elektryczny i pompę do wody, napędzaną na ropę. Teraz zamachowiec zrozumiał, po co zlecono mu jego misję. Nie wyjaśniano mu tego, opisano tylko cel. Zdjął zatyczkę chroniącą wylot lufy przed kurzem, po czym starannie wycelował. Nie ma wiatru - myślał - odległość - osiemset metrów... Rozluźnił się i wyczuł bicie własnego serca. Powoli ściągnął spust, tak żeby karabin wypalił pomiędzy uderzeniami.

Głowa księdza rozpadła się na kawałki.

**Wtorek, 18 listopada**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Brudny, rozklekotany samochód, który podjechał do bramy bazy, nie różnił się niczym od wszystkich innych pickupów, jeżdżących po południowoafrykańskim stepie. Brama była potężna i ozdobna z granitu i stali. Znajdowała się na północnym końcu wąskiej doliny, wciśniętej pomiędzy dwa strome zbocza, ciągnące się od wschodniej i zachodniej strony na długości dziesięciu kilometrów. Krawędzie doliny upstrzone były wyrzutniami rakiet ziemia-powietrze i stanowiskami artylerii przeciwlotniczej. Południowy koniec doliny zamknięty był potężną skałą, wyrastającą na sto pięćdziesiąt metrów ponad dno. Okrągławy wierzchołek skały nazwano Orlim Gniazdem, na pamiątkę twierdzy Hitlera, jaką kazał sobie zbudować wysoko ponad Berchtesgaden, w Niemczech. Całą długość doliny, pomiędzy bramą a Orlim Gniazdem, zajmowała baza.

Stojący na warcie kapral dał kierowcy półcieżarówce znak, żeby się zatrzymał, po czym kazał mu wjechać pod wiatę, gdzie sprawdzano samochody. Przybysz bez pytania podał dwóm młodym szeregowcom swoją kartę identyfikacyjną i karabin snajperski firmy Lee-Enfield, kaliber 0,303 cala.

- Piękna broń - powiedział jeden z żołnierzy, wręczając mu kwit depozytowy za karabin. - Nigdy takiej nie widziałem. - Przesunął plastikowy dokument przez czytnik kart magnetycznych i wzdrygnął się. - Proszę pana, nie ma pan pozwolenia na wyjazd stąd... - zauważył, onieśmielony.

- To żaden problem, naprawdę - odparł spokojnie kierowca

pickupa.

- W takim razie witamy w Żelaznych Wrotach - oznajmił szeregowiec. - Proszę jechać za znakami do budynku straży.

Mężczyzna wsiadł do samochodu i ruszył przez bramę, na południe. Mijał dobrze utrzymane domy, podobne do budynków z przedmieść i wiejskich, starannie wypielęgnowane trawniki... W końcu dotarł do właściwej bazy. Zatrzymał samochód przed budynkiem straży, stojącym niedaleko dowództwa bazy. Wartownik otworzył przed nim drzwi i zaprowadził go do punktu kontroli. Tam przeprowadzono mu rewizję osobistą; zbadano mu także odbyt. Robiła to kobieta, która zdawała się ociążać przy tej pracy dłużej niż potrzeba.

Kiedy przybysz wyszedł z punktu kontroli, czekał na niego podoficer w stopniu *adjutant officier klas 1*. Był to niski, mocno zbudowany mężczyzna o grubej szyi i wąsko osadzonych oczach, które patrzyły cały czas uważnie, rzadko mrugając.

- Dzień dobry, szefie - przywitał go przybysz. - Przyjechałem tu, żeby zobaczyć się z generałem.

Podoficer, o nazwisku Marius Kreiner, starannie ocenił wzrokiem nieznanego. Wyglądał na typowego Afrykanera - jasna karnacja, niebieskie oczy, mocna budowa ciała, choć bez zbędnej otyłości...

- Czy pan generał spodziewa się pana? - spytał Kreiner.

- Nie, ale proszę mu przekazać, że przyjechał jego brat.

Kreiner mrugnął dwukrotnie, zaskoczony, po czym odprowadził przybysza do budynku dowództwa. Przeszli korytarzem do przedsionka jakiegoś biura.

- *Generaal* zaraz do pana wyjdzie - poinformował go po chwili.

Obserwował uważnie gościa, który przechadzał się po pokoju i przyglądał mapom na ścianach. Było to zawodowe zainteresowanie - najwyraźniej mężczyzna próbował ocenić, w jaki sposób można przełamać z zewnątrz obronę bazy.

- Ani się waż, Eriku - odezwał się znajomy głos. Erik odwrócił się i zobaczył w drzwiach Hansa, swojego brata. Kreiner spoglądał teraz na twarz to jednego, to drugiego z mężczyzn. Słyszał, że podobno generał ma brata - bliźniaka. Rzeczywiście, z bliska byli do siebie podobni, choć z pewnością nie jednojajowi.

- Dotarłem aż tu - powiedział na powitanie Erik. Żaden z mężczyzn nie uśmiechał się; patrzyli tylko na siebie.

- W jaki sposób? - spytał Hans. Erik podał mu identyfikator. - Falszywy? - Erik przytaknął. - Bardzo dobrze zrobiony - pochwalił Hans. - Kreiner, zabierz to i upewnij się, jakim cudem mój brat zdołał zmylić twoich żołnierzy sfalszowanym identyfikatorem.

Kreiner wziął kartę i wyszedł. Kiedy znalazł się na zewnątrz, przeklął pod nosem. Już jeden Beckmann nieźle dawał im w kość, ale dwóch - to chyba za dużo!

Hans Beckmann klepnął brata po ramieniu i delikatnie poruszał jego głową w jedną i w drugą stronę. Był to ich stary, braterski gest, jeszcze z wczesnej młodości, a zarazem jedyny fizyczny wyraz uczucia, jaki kiedykolwiek sobie okazywali.

- Jak tam robota? - spytał Hans.

- Tym razem - ksiądz.

- Prawdziwy?

- Najprawdziwszy. Kombinował z Owambo, w północnej Namibii - powiedział Erik.



- Kto złożył zamówienie? - Hans nalał bratu szklanę piwa.

Erik prychnął z pogardą.

- Jak zwykle, SWAPO - powiedział. SWAPO - skrót od South West Africa People's Organization, czyli Ludowa Organizacja Południowo-Zachodniej Afryki - przejęła pod koniec lat osiemdziesiątych kontrolę nad Namibią, znajdującą się przedtem pod panowaniem RPA. Jednak, podobnie jak wiele innych ruchów rewolucyjnych, SWAPO miała znacznie większe trudności ze sprawowaniem władzy niż z jej zdobyciem.

- Ksiądz zaczął organizować ich politycznie? - wypytywał Hans, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Erik pociągnął długi łyk piwa i odparł:

- Gorzej. Pomagał Owambo wprowadzić podstawowe urządzenia sanitarne, pompy irygacyjne, elektryczność i tak dalej. Niedługo zaczęliby zastanawiać się, czy w ogóle potrzebny im rząd, który nic nie robi, tylko zbiera podatki.

Hans złożył ręce i wysunął palce wskazujące, zastanawiając się nad czymś.

- Czarnuchy wiedzą, jak traktować własnych obywateli - skomentował.

Podjął widocznie jakąś decyzję, gdyż uśmiechnął się i zerwał się na nogi, nagle ożywiony. - Kiedy sytuacja stanie się trudna do opanowania, poproszą nas grzecznie, żebyśmy ich uratowali przed nimi samymi. Chętnie oddadzą tak cenioną przez siebie wolność za pokój i bezpieczeństwo - zakończył.

Erik pokręcił głową. Znał swojego brata i wiedział, w jaki sposób funkcjonuje jego umysł.

- Świat się zmienił. Narody Zjednoczone kochają czarnuchów i nie pozwolą ci tego zrobić.

- Przecież nic złego nie robimy. Pozwolimy czarnuchom samym doprowadzić się do katastrofalnej sytuacji.

- A ty przyspieszysz całą sprawę, dając im w prezencie pieniądze i broń „od przyjaciół” - dokończył Erik. - Ja dziękuję, wysiadam. Stęskniłem się już za Europą, a zdaje się, że IRA potrzebuje pomocy... - Erik lubił swojego brata, ale nigdy nie zagrzewał długo przy nim miejsca.

Hans odezwał się teraz bardzo poważnie:

- Słuchaj, Erik, boję się o ciebie. W Europie już cię znają. Gdybyś teraz wyjechał z kraju, naraziłbyś się na niebezpieczeństwo.

- Gdzie bym nie pojechał, zawsze będę w niebezpieczeństwie.

- Możesz przydać się tutaj. Arabowie z państw OPEC popierają Azanianów i szukają najemników, którzy wyszkoliliby im armię.

- Mam jeszcze niemiecki paszport - odparł Erik. Obaj bracia uśmiechnęli się, wiedząc, o co chodzi. Erik udawałby najemnika z Niemiec; pomógłby Azaniańskiej Organizacji Ludowej wywołać kolejną „czarną” rewolucję w RPA.

Odezwał się sygnał interkomu. Dzwonił Kreiner.

- Rozumiem, że karta identyfikacyjna pana Beckmanna jest sfalszowana, jednak nie jesteśmy w stanie tego wykryć. Nawet hologram i kod magnetyczny są takie same, jak w kartach oryginalnych. - Głos oficera drżał.

Hans Beckmann oparł się wygodnie w fotelu. Czuł się prawdziwym dowódcą. Miał dzisiaj dobry dzień.

- Rozwiąż ten problem, szefie - powiedział. - Biorąc pod uwagę

okoliczności, nie potrzeba wyciągać w stosunku do nikogo żadnych konsekwencji. - Rozłączył się. - Kreiner to życiowy człowiek i rzetelny oficer, ale zupełnie brak mu wyobraźni - powiedział. - A propos, gdzie udało ci się skombinować ten identyfikator?

- W Kapsztadzie - wyjaśnił Erik.

*Adjutant ofisier klas 1* Marius Kreiner przestępował z nogi na nogę, czekając, aż Beckmann podniesie wzrok. No rusz się, sukinsynu - pomyślał sobie - przecież wiesz, że tu stoję. Sfrustrowany, odchrząknął głośno.

- A, Kreiner... - Beckmann podniósł wzrok. - O co chodzi?

- Wykryliśmy szpiega...

- Gdzie?! - przerwał Hans Beckmann. Gniew i chłód w głosie generała przeraziły Kreinera, tak że musiał przełknąć, zanim zdołał znów się odezwać.

- W dziale komputerowym... on... trafił tu jako jeden z zakontraktowanych pracowników. Miał taką samą fałszywą kartę identyfikacyjną, jak pan Beckmann.

Hans skoczył na równe nogi i złapał swój beret.

- Jak długo tu był, zanim go wykryliście?

- Osiemnaście dni... - odparł Kreiner.

- Gdzie jest w tej chwili?

- W pokoju przesłuchań - wyjaśnił oficer, z trudem nadążając za idącym już korytarzem generałem. - Ponieważ pan Beckmann miał sfalszowany identyfikator, zmieniamy teraz kody wszystkich; no i kiedy wsadziliśmy w komputer kartę tego człowieka, żeby zmienić jej kod, sprawa wyszła na jaw.

Beckmann był pod wrażeniem pomysłowości swojego podwładnego.

- Bardzo dobrze, Kreiner - pochwalił go.

Oficer rozpromienił się. Miał ochotę podskakiwać z radości, kiedy zbiegali po schodach do piwnicy budynku straży. Otworzył przed dowódcą drzwi; weszli do pomieszczenia przypominającego gabinet lekarski, tylko trochę większy. Kreiner podał Beckmannowi dokumenty dotyczące przesłuchiwanego. Wskazał głową na młodego, skośnookiego człowieka, siedzącego u końca stołu.

- Nazywa się Masahisa Tanaka; to Japończyk, cywil.

Beckmann przyjrzał się uważnie Japończykowi. Był szczupły, ale dobrze umięśniony; siedział zupełnie nieruchomo. Widać było, że trzyma go w bezruchu jego własna wola, a nie kajdanki, krępujące mu ręce i nogi.

- Witam pana, panie Tanaka - odezwał się Beckmann. Mężczyzna nie odpowiedział; patrzył prosto przed siebie. - Proszę, niech pan nie sprawia trudności... Czy mogę zapytać, dlaczego pan się tu znalazł? - Cisza. - Być może niewłaściwie sformułowałem pytanie... Czego pan szukał? - Japończyk patrzył uparcie w ścianę.

- Rozbierzcie go do naga - rozkazał Beckmann. Zaczął czytać dokumenty, podczas gdy strażnik przecinał nożem ubranie mężczyzny. - Jest pan bardzo młody i... no cóż, lepiej o tym nie dyskutować. Mam nadzieję, że zdecyduje się pan z nami współpracować.

Nagle złączone kajdankami nogi mężczyzny wystrzeliły naprzód, uderzając sierżanta, który rozcinał mu ubranie, w brzuch. Ten skrzył się z bólu, aż nie mógł się ruszyć.

Na twarzy Beckmanna pojawił się uśmiezek, choć oczy pozostały lodowate.

- Chcę, żeby ten człowiek powiedział, co ma do powiedzenia. Kreiner, myślę, że możemy się spodziewać dalszych prób przerzucania tu szpiegów. Ze względu na ograniczone zasoby i sytuację polityczną, nasze możliwości działania są także ograniczone. Dlatego musi pan poprawić stan bezpieczeństwa bazy. Może znaleźliby się jacyś zagraniczni konsultanci?...

Kreiner aż się wzdrygnął na tę sugestię. Beckmann spojrział jednak na niego zachęcająco, po czym wyszedł, rzucając dokumenty na stół. Postanowił przycisnąć własnych agentów kontrwywiadu. Muszą wykryć szpiegów i funkcjonariuszy obcych państw, zanim dotrą oni do Bloemfontein i spenetrują całe Żelazne Wrota. Jakiś wewnętrzny głos mówił też Hansowi, żeby porozmawiać z Erikiem o tych identyfikatorach.

*Adjutant offisier* Kreiner był cały spocony. Była to naturalna reakcja - niepokoił się głęboko o własne życie. Był jednak żołnierzem i duma nakazywała mu stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Hans Beckmann zrobił ćwierć obrotu na fotelu i wyjrzał przez okno. Splótł dłonie, a następnie wyprostował je.

- A zatem niczego się pan nie dowiedział.

- Potrzebuję więcej czasu - odezwał się Kreiner. Tył jego koszuli był już cały ciemny od potu.

- Interesujące - odpowiedział Beckmann. Odwrócił się teraz tak, że mógł spojrzeć oficerowi prosto w oczy. Przeszył go zimnym, beznamiętnym spojrzeniem. - Jest pan przyzwyczajony do

czarnuchów, Kreiner. Ale Japończycy nie mają w sobie żadnego poczucia niższości, na którym można by zagrać. Jest wręcz przeciwnie. Wydaje im się nawet, że są lepsi.

Kreiner prychnął pogardliwie. Według starych, afrykanerskich przekonań, inne rasy zostały stworzone przez Boga jako niższe. Podoficer trzymał się kurczowo tego wierzenia, jak tonący brzytwy. Tylko niewzruszone przekonanie, że jest istotą wyższą w stosunku do tych, których przesłuchiwał, chroniło go przed poczuciem upokorzenia, jakie tak chętnie wywoływał u innych.

- Będzie mówił - oznajmił Kreiner.

- Dzisiaj? - spytał Beckmann. Lubił znęcać się w podobny sposób nad Kreinerem. - Proszę, niech pan zademonstruje mi swoją wyższość. - Wstał z fotela i po chwili obaj wyszli z budynku dowództwa i skierowali się do budynku straży, gdzie w piwnicy znajdował się pokój przesłuchań. Skórzane obcasy Beckmanna stuknęły po podłodze, zwiastując jego obecność.

W pokoju przesłuchań unosił się zapach środka odkażającego. Młody mężczyzna siedział dokładnie w tym samym miejscu, w którym pozostawił go Beckmann. Teraz jednak na jego brodawkach sutkowych i na genitaliach widać było małe oparzenia, w miejscach, w których podłączono go do tak zwanego „telefonu”, poddając elektrowstrząsom. Teraz nie miał już kajdanek, ponieważ połamano mu kostki i palce u rąk.

- Co powiedział? - zapytał donośnie Beckmann.

- Nic - padła krótka odpowiedź.

- Nawet pod wpływem narkotyków?

- Daliśmy mu maksymalną ilość. Jeszcze większa dawka

rozwaliby mu mózg - wyjaśnił Kreiner. - Bełkotał tylko bez sensu po japońsku. Podał swoje prawdziwe nazwisko - Hiroshi Saito. Wyćwiczono go w znoszeniu przesłuchań.

W głowie Beckmanna odezwał się wewnętrzny głos.

- Nie! - ryknął generał do Kreinera. - Wcale go nie wyćwiczono! Stawia opór, bo wierzy, że jest istotą wyższą! - Odwrócił się na pięcie i wbił wzrok w Japończyka. Wściekłość odpłynęła z twarzy Beckmanna; głos stał się znowu normalny: - I za to właśnie umrzesz, młody człowieku. Dzisiaj.

Głowa Saito odwróciła się powoli w stronę Beckmanna. Zamrugał oczami, usiłując skoncentrować wzrok na twarzy generała. Wargi poruszyły się, jednak na zewnątrz nie wydostał się żaden dźwięk. Poruszyły się znowu - wreszcie dało się słyszeć słowo - „asseblief”, co w języku *afrikaans* oznacza „proszę”.

Beckmann złapał stojące nieopodal krzesło i usiadł. Skrzyżował nogi i rozparł się wygodnie.

- Kreiner, okręt podwodny.

Podniósł wzrok i z zawodowym zainteresowaniem zaczął obserwować, w jaki sposób Kreiner się zachowuje. Dużą wannę ze stali nierdzewnej napełniono wodą i wylano na środek pomieszczenia. Nieszczęśnikowi skuto kajdankami ręce za plecami. Przez bloczek w suficie przewleczono linę, której jeden z końców przywiązano do kostek szpiega. Na komendę Kreinera jeden ze strażników pociągnął za linę, podnosząc Saito wysoko, aż pod sufit. Mężczyzna wisiał teraz głową na dół, bezpośrednio nad wanną.

Beckmann uśmiechnął się.

- Proszę kontynuować.

Kreiner złapał za linę i opuścił mężczyznę, trzymając jego głowę pod wodą, podczas gdy ten rzucał się z braku powietrza. Podniósł go z powrotem, kiedy zaczął się dławić; ociekający wodą więzień prychał i kaszlał, łykając łapczywie powietrze. Wyrok nie został jednak odroczone. Kreiner powtórzył całą procedurę jeszcze raz i jeszcze; trwało to niemal godzinę. Poczł się bardzo rozczarowany, gdyż mężczyzna w końcu się utopił, a on nie dowiedział się niczego o operacji, jaką przedsięwzięli Japończycy. Mógł teraz tylko wzmocnić środki ostrożności w Johannesburgu.

- Bardzo dobrze, Kreiner - pochwalił Beckmann.

- Co zrobić z ciałem? - spytał Kreiner, ucieszony akceptacją ze strony swojego dowódcy.

- Agent, który zniknął, przywodzi na myśl więcej pytań niż agent martwy - stwierdził generał. Dlatego zabierzcie ciało do Kapsztadu i zróbcie tak, żeby wyglądało, jakby utopił się w oceanie. Chcę, żeby go odnaleziono. - Może Japończycy odczytają w ten sposób wiadomość. Skierował się ku schodom, jednak zatrzymał się na pierwszym stopniu.

- Kreiner - to pierwszy raz.

Oficer zmusił się do śmiechu.

- Cha, cha. Rozumiem. Oczywiście, panie generale. - Chodziło o stary afrykanerski dowcip o Burze, który zastrzelił swojego wołu za to, że potknął się trzy razy z rzędu. Kiedy żona Afrykanera zaprotestowała, odpowiedział spokojnie: „To pierwszy raz”.

Beckmann ruszył szybkim truchtem po schodach, stukając obcasami. Jeśli to był dowcip, to dlaczego Kreiner spocił się ze strachu?



Tego dnia Beckmann z przyjemnością przeciągnął porę lunchu. Smakował wino i delektował się wspomnieniami poranka. Czuł w sobie wzrastającą moc. Zastanawiał się nad popołudniem, które zapowiadało się równie ciekawie jak początek dnia. Kiedy nadeszła odpowiednia godzina, wrócił do swojej kwatery. Jego sztab stał posłusznie w sali odpraw. Oficerowie niespokojnie oczekiwali nowin.

- Czas jest naszym największym wrogiem - zaczął Beckmann. - Tylko czas może powstrzymać nas od ocalenia naszej cywilizacji. Uchronienia jej od czarnych hord, które niedługo nas wchłoną. Dlatego też musimy działać już, teraz, kiedy jesteśmy jeszcze w stanie kształtować nasz los. To prawda, jest nas niewiele, ale - zwyciężymy! - Był to ich stary okrzyk bojowy. Jak przystało na pełnych walecznego ducha żołnierzy, zebrani odpowiedzieli chórem na zawołanie Beckmanna.

- Jednak same słowa, bez działania, znaczą niewiele - ciągnął. - Rozpoczęła się kolejna faza naszej walki. Będziemy teraz podsycać ogień niepokoju wśród czarnych, aż będą mieli dość wybuchów przemocy, do których sami doprowadzili, rozlewu własnej krwi. Wtedy zwrócą się z wdzięcznością do każdego, kto zaofiaruje im bezpieczeństwo. A świat przekona się, że polityka plemienna jest tylko inną formą rasizmu - przestępstwa, o które nas oskarżają.

- Nie popełnimy jednak tych samych błędów, co przedtem. Pokażemy światu wyspę pokoju, kwitnącą wśród oceanu chaosu. Powitamy z radością naszych czarnych braci, którzy pragną żyć w dostatku pod naszym zwierzchnictwem. Oczywiście, rząd czarnuchów będzie stawiać opór; zawezwą Organizację Narodów

Zjednoczonych, żeby wysłała na naszą ziemię siły pokojowe. Niech przybywają. Zadbamy oto, żeby mieli pełne ręce roboty. Bardzo pełne... - Zebrani roześmieli się.

Beckmann zrobił teraz poważną minę i pokazał szerokim gestem na ścianę za swoimi plecami. Oświetlenie przygasło. Na ścianie rozbłysła mapa Południowej Afryki. Nie było na niej jednak zaznaczonych granic prowincji; zamiast tego centralną część kraju, od Pretorii i Johannesburga na północy do Bloemfontein na południu zajmował duży owal.

- To będzie nasze państwo - oznajmił Beckmann, głosem zarazem tryumfującym i zdecydowanym. - Oto *Boerstaat!*

Generał podniósł w górę zaciśniętą pięść w afrykanerskim pozdrowieniu.

- Krew i Ziemia! - *Blut und Boden!* - krzyknął. Mężczyźni i kobiety zerwali się jednocześnie z krzeseł i powtórzyli okrzyk bojowy swojego dowódcy.

To oni sprawią, że jego zapowiedź stanie się rzeczywistością.

## **Piątek, 21 listopada**

### **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

- Myślę, że powinnaś zrobić wywiad z Carrollem, w cztery oczy - powiedziała zdecydowanym tonem Sam Darnell. - To gorący temat.

Elizabeth Gordon rozejrzała się po pustej sali dla prasy i usiadła, z zatroskanym wyrazem twarzy. Większość dziennikarzy akredytowanych na stałe przy Białym Domu była w trasie. Latali za prezydentem, który udał się w podróż po kraju z okazji Święta Dziękczynienia - chciał wykorzystać je, żeby zdobyć parę punktów

dla swojej partii. Elizabeth pokręciła głową.

- Wiadomość o chorobie Carrolla poszła w eter już tydzień temu. I co z tego? Przecież wszystko spaliło na panewce. Ten twój „gorący temat” to tylko wyssana z palca plotka. Nic już nie sprawi, żeby znowu się mną zainteresowano. Może lepiej dać sobie spokój?

- No coś ty, może to jednak nie jest tylko bzdurna plotka, a poza tym... Słuchaj, Liz, nie poje... to znaczy... może uda ci się znaleźć coś innego. - Omal nie przypomniała Elizabeth, że nie została włączona do grona dziennikarzy towarzyszących prezydentowi w jego podróży, a także w poprzedniej. Miejsca w samolocie dla dziennikarzy akredytowanych przy Białym Domu przydzielano zapewne rotacyjnie; wyłączenie więc Elizabeth Gordon dwa razy z rzędu było wystarczającym sygnałem, że „popadła w niełaskę”. W dodatku jej stacja telewizyjna nie chciała już płacić jej i Sam za samodzielne podróże, podczas gdy wielu jej kolegów działało właśnie w ten sposób.

Liz spojrzała na Samanthę ponuro:

- Jestem na wylocie, co? - Właściwie nie było to pytanie, raczej stwierdzenie faktu. Sam pokiwała głową. - Cholera, Sam - mruknęła Elizabeth. - I co ja mam teraz robić?

- Zaczynij szukać. Znajdź jakiś temat, który może stać się gorący i pracuj nad nim. Bądź pierwszą, która go zauważy - radziła Samantha. - Dotrzyj w odpowiednie miejsce przed wszystkimi. Bądź w hotelu, kiedy zaczną zrzucać bomby. - Ostatnie zdanie odnosiło się do ekipy CNN, która z bagdadzkiego hotelu filmowała pierwsze bomby spadające na miasto podczas wojny w Zatoce Perskiej.

- Nawet jeśli oznaczałoby to rozstanie z Białym Domem? - spytała

Gordon.

- Nawet jeśli oznaczałoby to rozstanie z Białym Domem - powtórzyła Samantha. - Lepiej odejść samemu, na własnych warunkach, niż zostać wykopanym przez kuchenne drzwi.

- Ale co może okazać się takim „gorącym tematem”?!

- Dlatego właśnie musisz zrobić wywiad z Carrollem - odpowiedziała spokojnie Sam. - Jego praca polega dokładnie na patrzeniu w przyszłość.

Carroll zgodził się na nieoficjalny wywiad we własnym biurze, po lunchu. Na wieszaku wisiał jego płaszcz, on sam rozpiął kołnierzyk, na biurku piętrzyły się dokumenty. Sam kręciła się po pokoju, ustawiając scenę. Kamera pracowała, pani Darnell starała się skierować obiektyw pod optymalnym kątem. Carroll i Gordon sadowili się w tym czasie naprzeciw siebie, przygotowując się do wywiadu. Samantha przejechała kadrem po biurku Carrolla, po czym zrobiła zbliżenie na jego twarz.

Po krótkim wstępie, Elizabeth zajrzała do przygotowanej listy pytań i rozpoczęła wywiad. Z początku prezydencki doradca unikał odpowiedzi, rozwodząc się ogólnikowo nad poruszonymi tematami. Jednak pani Gordon domagała się szczegółów, z niezwykłą dla siebie nieustępliwością, która wprawiała Carrolla w podziw. Wreszcie, kiedy zbliżali się już do końca, wkroczyła na grząski teren:

- Panie Carroll, od czasu, kiedy upadł pan podczas joggingu, wielu z pana kolegów zdążyło wyrazić swój niepokój w kwestii...

- Mojego zdrowia - przerwał jej, kończąc zarazem pytanie. - Wolałbym nie omawiać tego tematu, ponieważ to moja prywatna

sprawa.

- A zatem pańskie zdrowie nie ma wpływu na obowiązki prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego?

- Gdyby miało, złożyłbym rezygnację.

I wtedy Gordon zadała decydujący cios:

- A zatem nie jest prawdą plotka, jakoby zdiagnozowano panu ALS, chorobę Lou Gehriga?

William spojrział na Samanthę i pokazał jej dłonią gest cięcia, przerywając wywiad. Dziennikarka wyłączyła kamerę.

- Elizabeth, tak jak powiedziałem, to moja prywatna sprawa. Będę musiał ci teraz zaufać... Nie powiem tego do kamery, ale prywatnie - tak, przechodzę różne badania. Na razie czuję się dobrze, i zanim badania nie zostaną zakończone i nie będę na sto procent wiedział, co mi jest, chciałbym zatrzymać to dla siebie.

- Prosi mnie pan o bardzo dużo, panie Carroll...

Bill pokiwał głową.

- Wiem o tym. Ale jeśli zrobisz to dla mnie, Liz, obiecuję ci, że pozwolę ci być osobą, która obwieści to światu... jeśli tylko będzie to ode mnie zależało.

- W porządku - odpowiedziała. - No, to nakręćmy zakończenie.

Elizabeth popędziła Samanthę do znajdującego się w piwnicy studia, żeby obejrzeć taśmę i zrobić montaż.

- Cholera, Sam - odezwała się podekscytowanym głosem. - Carroll ma ALS. To właśnie wiadomość, której potrzebowałam, i zamierzam ją ogłosić.

Sam zagryzła dolną wargę.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała. - Skoro rzeczywiście ma

tę chorobę, to przecież obiecał ci, że i tak to obwieścisz. Wiesz, że nie złamię tej obietnicy; przecież go znasz. A jeśli zawiedziesz jego zaufanie, wszyscy twoi informatorzy nabiorą wody w usta i nie powiedzą ci więcej ani słowa. Nie rób tego. - Głos Samantha był bardzo stanowczy.

- Ale to wszystko, co mam... - zaprotestowała Elizabeth.

- A jeśli jednak nie ma ALS, to co?

- Nie obchodzi mnie, czy to ucziwe! - wybuchnęła Liz. - Ważne, że pierwsza mam tę wiadomość!

- To nie jest wiadomość, której potrzebujesz. - Jednym z obowiązków Samantha było powstrzymanie Elizabeth Gordon przed popełnieniem zawodowego samobójstwa. - Musisz znaleźć coś innego. - W pewnym momencie zatrzymała taśmę i powiększyła część kadru, w której znajdowało się biurko Carrola. - O, chyba już coś mam. Zobacz, wszystko, co leży na jego biurku, ma związek z RPA. Popatrz na tytuły teczek... „AWB - Afrikaanse Weerstandsbeweging”... „Opcje użycia sił pokojowych ONZ”... - Zamilkła na chwilę, usiłując odczytać naklejkę na teczce, zasłoniętej częściowo innymi. Nacisnęła przycisk „zoom”, powiększając obraz jeszcze bardziej.

- „Hans i Erik Beckmann” - przeczytała Elizabeth. - Kto to? Nigdy o nich nie słyszałam.

- Ja też nie - przyznała Samantha. - Może Jeff będzie wiedział.

Jeff Bissel był jednym z kilku ludzi, z jakimi Elizabeth od czasu do czasu romansowała. Był także sekretarzem senatora Lucknowa, który kierował w Kongresie komisją do spraw wywiadu. Gordon uśmiechnęła się.

- Biedny Jeff. Wystarczy, że o czymś napomknę i już opowiada wszystko, co tylko wie. Wyszłabym za niego, gdyby nie był takim paplą.

Gordon i Bissel spotkali się następnego dnia na wczesnym lunchu, tak że o dwunastej trzydzieści Elizabeth była już z powrotem w sali dla prasy w Białym Domu.

- Sam, Jeff mówi, że sytuacja w Republice Południowej Afryki się destabilizuje...

- To wszyscy wiedzą - przerwała Samantha.

- Ale to nie wszystko. Hans i Erik Beckmann to bliźniacy, Afrykanerzy. Hans jest wielką figurą w AWB, co to tam za organizacja.

- Afrikaanse Weerstandsbeweging - odpowiedziała bez zająknięcia Sam. - Afrykanerski Ruch Oporu. To neofaszystowska organizacja, stosują bandyckie metody.

- W każdym razie Hans jest tam dowódcą czegoś w rodzaju obywatelskiej milicji, zwanej Żelazną Gwardią, która jest całkowicie niezależna od rządu. A ten drugi brat, Erik, to terrorysta. Zamachowiec, morduje dla tego, kto najwięcej płaci. To wszystko wygląda tym bardziej interesująco, że, jak się okazuje, w RPA mieli dwadzieścia bomb atomowych, które jakoby zniszczono w 1994 roku. Jednak CIA wcale nie jest pewne, co tak naprawdę się z nimi stało. Sam, to może być po prostu fantastyczna historia... biali separatyści z własną armią... broń jądrowa... kraj na krawędzi rozpadu... byłeś kiedyś w RPA?

- Myślę nad czymś - odezwała się Sam. - A jeśli Carroll specjalnie

poukładał na biurku te teczki? Jeśli chce, żebyśmy tam pojechały i zajęły się właśnie tym?

- No nie, aż taki sprytny to on nie jest...

## **Niedziela, 7 grudnia**

### **Kansas City, stan Missouri**

Oczy małego Matta płonęły z podniecenia, kiedy ojciec prowadził go na Złotą Trybunę. Mężczyzna w mundurze lokaja pomógł im zdjąć wierzchnie okrycia.

- Witam na stadionie Arrowhead, panie pułkowniku - powiedział.

- Mam nadzieję, że spodoba się panom gra. Wodzowie są faworytami. - Chodziło o miejscową drużynę footballu amerykańskiego. Matt i jego synek przeszli przed ogromnymi, sięgającymi od podłogi do sufitu szybami, za którymi rozciągało się boisko. Dołączyli do Johna i Sary Leonardów i usiedli.

Był to pierwszy mecz w życiu małego Matta; chłopiec podskakiwał więc z podniecenia.

- Jesteśmy na samej górze! - oznajmił radośnie. - Wszystko stąd widać!

Podszedł do nich burmistrz Kansas City. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Witam, panie pułkowniku! - Potrząsnął zamasyście dłonią Pontowskiego, ignorując jednocześnie zupełnie Leonardów. - Tak się cieszę, że mógł pan do nas dołączyć! To będzie wspaniały mecz, a show w połowie jest naprawdę fantastyczny!... - Burmistrz wyrecytował po kolei wydarzenia, jakimi ma zostać uświetnione wspomnienie bolesnej rocznicy Pearl Harbor. - Wprost trudno mi



wyrazić, jak pomocne okazało się dla nas pańskie poparcie, a już przelot samolotów zaraz po odegraniu hymnu to naprawdę najlepsze rozpoczęcie, jakie tylko można sobie wyobrazić! Ludzie z pewnością oszaleją ze wzruszenia.

Leonard przyglądał się z zatroskaną miną gnającym ponad stadionem chmurom.

- No, nie wiem - odezwał się. - Pogoda coś nie chce z nami współpracować, a powłoka chmur znajduje się bardzo nisko.

Na twarzy burmistrza odmalował się niepokój.

- Zależy mi na tym przelocie... - Na wiosnę czekały go wybory, w których miał niełatwą do pokonania konkurencję. Ten mecz, dedykowany siłom zbrojnym Stanów Zjednoczonych, cała ta oprawa, przemarsz jednostek, warty w galowych mundurach, orkiestry dęte, koktajle - wszystko to było jego najważniejszym projektem, który miał pomóc mu w uzyskaniu ponownej nominacji. Mieszkańcy Kansas City uwielbiali tego typu wydarzenia. - Liczą na niego różni ważni ludzie...

Pontowski i Leonard zrozumieli, że nie dojście do skutku przelotu oznacza dla burmistrza zagrożenie polityczne. Jednak nikt nigdy w historii nie leciał w zwartym szyku z prędkością czterystu kilometrów na godzinę podczas zdradliwej pogody.

- Zapewniam, że będzie pan miał swój przelot, jeśli tylko okaże się to bezpieczne. - Leonard wiedział, że nie poprawi sytuacji wyjaśnieniem, że decyzja w tej sprawie należy od wojskowego meteorologa i nie zależy od poziomu politycznej ambicji burmistrza.

Burmistrz zignorował jednak Leonarda ponownie i oparł ciężkie spojrzenie na Pontowskim.

- Jestem pewien, że pańscy chłopcy nas nie zawiodą - powiedział, patrząc mu w oczy. - Wy popieracie nas, a my was, prawda? - Po tych słowach odszedł, pozostawiając ich samych.

- To jeden z tych facetów, którzy nie lubią słowa „nie” - skomentował Pontowski.

Mały Matt podniósł wzrok na ojca i zaczął porównywać go wzrokiem z innymi dygnitarzami, których zaproszono do loży. Podobał mu się jego tata. Był wysoki i szczupły, w pięknym mundurze... Tamci mieli za duże brzuchy i rozmawiali za głośno. A mój tata nie, i pan pułkownik Leonard też nie! - cieszył się w myśli. Popatrzył na Sarę Leonard i rozpromienił się. W jego siedmioletnim umyśle nie było żadnych wątpliwości co do tego, że była ona najpiękniejszą ze wszystkich pań, jakie przyszły do tego pomieszczenia. Złapał ją za rękę; paplał podekscytowany, widząc, że na boisko wychodzi pierwsza z orkiestr, rozpoczynając ceremonię. Stał na baczność razem ze swoim ojcem i panem Leonarde, kiedy wszystkie orkiestry grały razem *The Star-Spangled Banner*.

W głośnikach odezwał się głos zapowiadającego:

- Panie i panowie, proszę zwrócić uwagę na północno-wschodnią stronę stadionu. Słysząc już stamtąd samoloty A-10 Piorun, z 303, dywizjonu myśliwskiego, dowodzone przez kapitana Dwighta Stuarta. Zbliżają się... - Głos mówiącego został wkrótce zagłuszony przez maszyny, które wyłoniły się ponad trybunami stadionu, mknąc pod chmurami. Piloci nazywali je pieszczotliwie „pryszczatymi świniami”, ze względu na ich szpetny wygląd. Leciały teraz w perfekcyjnie utrzymywanym szyku, niemal skrzydło w skrzydło, w kluczu składającym się z czterech maszyn. Ze Złotej

Trybuny, która znajdowała się wysoko, na prawo od stanowiska dla dziennikarzy, trzeba było spojrzeć na nie w dół.

Pontowski przyglądał się, jak go mijają, a następnie podnoszą jednocześnie tor lotu, żeby nie uderzyć w rząd flag powiewających na południowo-zachodniej krawędzi trybun.

Obaj pułkownicy wymienili niespokojne spojrzenia.

- „Robal” nie powinien tego robić... - mruknął Leonard. Ledwie go było słyszeć pośród okrzyków zachwyty.

Nadbiegł burmistrz, by uścisnąć dłoń Pontowskiego - nigdy nie zapominał pracować dla swej kariery.

- Wspaniały pokaz, panie pułkowniku. Wiedziałem, że nas nie zawiedziecie. - Dziennikarze w sąsiednim pomieszczeniu dla prasy urządzili owację na stojąco. Burmistrz odprowadził Matta, jego synka i państwa Leonardów na przeznaczone dla nich miejsca, aby zdążyli usiąść przed rozpoczęciem się gry.

Telefon z Federalnej Agencji Lotnictwa nadszedł w połowie pierwszej kwarty. Burmistrz podniósł do ucha swoją „komórkę”, po czym poczerwieniał i podał ją Pontowskiemu.

- Dzwoni inspektor bezpieczeństwa ruchu lotniczego z okręgowego biura do spraw przepisów lotniczych - oznajmił burmistrz. - Mówi coś o złamaniu przepisów w związku z waszym przelotem. - Zniżył głos i dodał ostrzegawczym tonem: - Nie chcemy tu żadnych kłopotów.

Matt spodziewał się tego telefonu. Podniósł aparat i słuchał przez parę chwil.

- Tak - odpowiedział - widziałem przelot; pański opis faktów jest w zasadzie trafny... - Posłuchał jeszcze trochę i skinął na Leonarda. -

Dobrze - odezwał się w końcu. - Zaraz tam będę. - Oddał telefon burmistrzowi. - To był Gene Ponds - wyjaśnił. Chce mnie widzieć i to zaraz.

- Kto to jest Gene Ponds? - zapytał twardo burmistrz.

- To dobry człowiek - odpowiedział Leonard. - Wykonuje po prostu swoją robotę. - Zwrócił się do Pontowskiego: - Gene da się uspokoić, jeżeli przedstawimy mu racjonalne usprawiedliwienie.

- Jeśli takie istnieje... - zauważył Matt.

- Słuchajcie panowie - odezwał się burmistrz. - Mówiłem, że nie chcę mieć w związku z tym przelotem żadnych kłopotów. Zapewniliście mnie, panowie, że odbędzie się tylko wtedy, jeśli będzie mógł być bezpieczny. Więc nie mieszajcie mnie teraz, proszę, do tego...

Przesiąknięty polityką, aż cuchnie - pomyślał Pontowski.

- Tango - zwrócił się do Leonarda - zaopiekujcie się z Sarą małym Mattem, a ja spróbuję uspokoić Pondsa.

- Z przyjemnością; ale może pojedę z tobą - powiedział Leonard.

- Dziękuję, ale myślę, że nie ma sensu, żebyśmy obaj tracili mecz. Zadzwoń tylko do „Robala” i powiedz mu, że ma spotkać się ze mną w Agencji Lotnictwa. - Nachylił się do synka i wyjaśnił mu: - Matt, muszę iść i załatwić ważną sprawę wojskową. Ale ty możesz zostać; obejrzyj sobie mecz z państwem Leonard. Dobrze?

Oczy małego Matta wypełnił smutek. Ojciec potargał mu delikatnie włosy i dodał:

- Do zobaczenia, stary. Jestem z ciebie dumny. - Sięgnął po płaszcz i wyszedł, zdążając w stronę parkingu. Cholera - myślał - że też nie mogę obejrzeć meczu z moim synem, i wszystko znowu przez

„Robala”.

Pontowski razem z „Robalem” dotarli na stadion dwadzieścia minut po rozpoczęciu celebracji na cześć zwycięskiej drużyny. Mały Matt podbiegł do ojca, złapał go za rękę, i zaczął pełnym podniecenia tonem opowiadać mu o meczu. „Robal” stał się natychmiast bohaterem chwili; zbliżył się do niego jakiś stary, emerytowany pilot piechoty morskiej i zaczął rzucać mu przyjacielskie „obelgi”.

- Jak było? - spytał Leonard.

- Miałeś rację - odpowiedział Pontowski. - Ponds to dobry człowiek. Chodziło o to, że „Robal” wystartował w taką pogodą.

- Skoro im się udało, to znaczy, że pogoda była wystarczająco dobra... - stwierdził Leonard.

- Tak właśnie powiedziałem, a Ponds to kupił. Ale zapowiedział, że jeśli „Robal” nie ucichnie na pół roku, tylko znów wykręci jakiś numer, on, Ponds, osobiście urwie mu jaja.

Po tym wyjaśnieniu Matt zabrał synka i wyszedł razem z Leonardami. Tymczasem „Robal” i stary pilot nadal cieszyli się sobą.

- Wy, chłopaki z lotnictwa - krytykował stary wyga - nie macie za grosz zręczności.

„Robal” udał obrażonego.

- Człowieku, mówisz do oficera kontroli zręczności 303, dywizjonu - odpowiedział - Nie mamy zręczności!... Jesteśmy tacy zręczni, że potrafimy jeść ostrygi, nie dotykając nimi ani warg, ani języka.

- Akurat - odparł stary pilot, z niedowierzaniem, w czym zresztą

nie było nic dziwnego.

„Robal” podszedł tymczasem do bufetu i zanurzył rękę w salaterce z ostrygami. Wybrał dwie najmniejsze i wrócił z talerzem.

- Chcesz się przekonać? - rzucił, po czym popchnął ostrygę końcem nosa na krawędź talerza, a następnie zatkał jedną dziurkę i wciągnął energicznie powietrze. Ostryga zniknęła mu w nosie, z lekkim odgłosem ssania. - Chcesz zobaczyć to jeszcze raz? - Jedna z kobiet pobiegła pędem do toalety. Tak się spieszyła, że wpadła prosto na reportera z „Kansas City Star”, przewracając go.

„Robal” trafił na drugą stronę poniedziałkowego numeru.

- No, „Robal” pokazał, co to znaczy „do trzech razy sztuka” - powiedział Matt do Leonarda. Siedzieli w biurze Pontowskiego; na biurku leżała rozłożona gazeta. - Dziennikarz napisał o wszystkim: o skardze o molestowanie seksualne, o bardzo niskim przelocie i o wielkiej scenie wciągania ostryg nosem.

- Westchnął. - Nie możemy brać odpowiedzialności za takie rzeczy. Muszę go wyrzucić.

Leonard pokiwał głową.

- Wiem. Ale to uderzy w morale pilotów.

Pontowski wyjrzał przez okno i zaczął zastanawiać się, jaki ma wybór. John miał rację. Jeśli „Robal” zostanie wyrzucony z lotnictwa, morale pilotów ucierpi. Ale po pewnym czasie przejdą nad tym do porządku dziennego. Ironia sytuacji była nieznośna - właśnie ludzie o osobowości „Robala” są potrzebni w walce. Choć podczas pokoju przynoszą kłopoty.

Pontowski podniósł odrobinę głos:

- Szkolenie pilota myśliwskiego w czasie pokoju, a potem posyłanie go na wojnę to tak, jakby wychować tygrysa w niewoli, żeby wypuścić go do dżungli. Jeden i drugi na początku kiepsko sobie radzą, zanim się nie przyzwyczają i nie przypomną im się wyuczone umiejętności czy zachowania. Dlatego właśnie potrzeba nam kilku takich „Robali”. To dzięki nim przeżywamy pierwsze dziesięć dni.

- Będzie dobrze, jeśli przez najbliższe pół roku nie dojdzie do walki.

- Wierzysz w to? - spytał Leonard. - Bo ja nie.

Cholera - zaklął w duchu Matt - dlaczego akurat ja muszę niszczyć moich najlepszych ludzi?

## **Rozdział czwarty**

**Środa, 17 grudnia**

**Johannesburg, Republika Południowej Afryki**

Dwaj mężczyźni szli korytarzem trzeciego piętra budynku. Po chwili znaleźli się w niewielkim biurze. Wyglądali zwyczajnie - dwóch biznesmenów z Europy czy Stanów Zjednoczonych; przyszli załatwić handlowe sprawy do na wpół pustego biurowca.

- Aż tu śmierdzi; otworzę okno - odezwał się starszy z nich, nazwiskiem Jason Robby. Jego partner sprawdził automatyczną sekretarkę. Na taśmie było jedno nagranie - wiadomość dla MacKaya.

- Czy to Ziba Chembo? - spytał Robby.

- Tak - mruknął pod nosem Kevin Grawley, najmłodszy z

funkcjonariuszy Agencji Wspierania Wywiadu, jacy przyjechali wraz z MacKayem. - Chce się z nim spotkać dzisiaj wieczorem.

- Trzeba mu to przekazać. Kapsztad do tej pory nie może podnieść się z wrażenia po jej ostatnich informacjach. - Robby stanął w cieniu obok okna i wyjrzał z uwagą na ulicę. - Ciągłe nie mogę nawiązać żadnych kontaktów - przyznał. - A ty?

- Ja też, od czasu kiedy Charlesa potraktowano przy pomocy naszyjnika.

- Cholera - zaklął Robby. - Twój „cień” stoi i pilnuje.

- Nic nam nie zrobi - powiedział pewny siebie Grawley. - Mogę go rąbnąć, kiedy tylko zechcę. Nie wydaje mi się, żeby zorientował się co do ciebie, a szef nigdy tu nie przychodzi, więc jest czysty. - Pójdę zameldować mu o tej wiadomości. Szefowi podoba się ta dziewczyna...

- Niech szef ściśnie sobie fiuta klamerką do bielizny - roześmiał się Robby. - Naprawdę byłoby bez sensu, gdyby go kropnęli z powodu śmiertelnego przypadku podniecenia seksualnego, które odbierze mu rozum. Taka przyczyna zgonu wyglądałaby głupio w dokumentach...

- Tak - mruknął Grawley, otwierając drzwi. - Ja też go lubię...

Co ja wyprawiam... - myślał MacKay, starając się wmieszać w tłum koło teatru Market. No przyjdźże, dziewczyno; gdzie ty jesteś... Przecież to ty zadzwoniłaś.

Uspokoił się, kiedy zobaczył Zibę siedzącą na ceglany murku koło wejścia. Nie kontaktowali się od ponad miesiąca, a oficer, który kontrolował Johna - szef placówki CIA koło Kapsztadu - domagał się



od niego nowych informacji. Kiedy jednak zamordowano małżeństwo Stevensów na stadionie, MacKay wycofał się, uważając, że zbyt wczesny kontakt mógłby doprowadzić do ponownego wykrycia jego i Ziby. Teraz wrócił do roboty, a jego dwóch podwładnych i kolegów - Jason Robby i Kevin Grawley, wreszcie mogło coś robić. Ostatnio mieli już ochotę łązić po ścianach z braku zajęcia.

Poczuł silny przypływ pożądania. W lędźwiach pojawiło się przyjemne ciepło. Reagujesz jak chłopak, który chce przelecieć jakąś panienkę - pomyślał.

Ziba wstała i uśmiechnęła się do niego.

- Stęskniłam się za panem, Johnie Arthurze. - Jego niepokój i podniecenie opadły na ton głosu Ziby i sposób, w jaki na niego patrzyła. - Był pan już tu kiedyś? - spytała. Potrząsnął przecząco głową. - Właściwie to w tym miejscu zaczęła się nasza walka o wolność. Z tej sceny opowiadaliśmy światu naszą historię. Czasem zdarza się, że teatr oznacza więcej niż tylko sztukę... - Szli obok siebie wokół niedużego placyku, mieszając się z tłumem przechodniów i handlarzy.

- Myślałem, że się pani przeprowadziła - powiedział MacKay.

- Państwo Slavinowie przeprowadzają się właśnie do Bloemfontein - wyjaśniła. - Podśluchałam, jak doktor Slavin mówił coś o pracy w obserwatorium Boyden. Chciałam zobaczyć się z panem przed wyjazdem. - Usłyszeli nagle dźwięk policyjnych syren. MacKay zamknął oczy i zaczął uważnie nasłuchiwać. Z daleka doleciał go bowiem stłumiony dźwięk podobny do szumu morza. Pociągnął nosem - chyba zapach dymu - potem znowu nic. Ziba

odwróciła się do jakiegoś człowieka i spytała go, co się dzieje.

- Są zamieszki, podobno poważne, koło dworca kolejowego - wyjaśniła po chwili. - Wiejmy stąd. - Z odległości dał się słyszeć łatwy do rozpoznania odgłos pistoletu maszynowego.

- Chodźmy. Tu niedaleko jest takie biuro... - powiedział John - na ulicy Commisioner. Będziemy tam bezpieczni. - Złapał dziewczynę za rękę i pobiegli. Ulice opustoszały. Po chwili zobaczyli biegnącego w ich stronę czarnego nastolatka. Potem pojawiło się kilku innych ludzi. Odezwało się po kolei siedem szybko następujących po sobie wystrzałów z pistoletu.

- Nie podoba mi się to - mruknął MacKay. Dobiegli już jednak prawie do ulicy Commisioner. Przyspieszył kroku. Na wprost nich na jezdnię wysypała się grupa krzyczących Czarnych. John wciągnął Zibę do jakiejś bramy. Było już ciemno, a po chodniku przesunęły się światła reflektorów samochodu. W ich blasku pojawił się człowiek klęczący na środku ulicy; błagał o życie. Nastolatek przyłożył mu pistolet do tyłu głowy i wypalił.

- Co czynią moi bracia?!... - jęknęła Ziba.

MacKay kluczył bocznymi uliczkami; w końcu dotarli do biurowca. Światło paliło się tylko na trzecim piętrze.

- Tutaj jest to biuro. Zaczekaj; nie ruszaj się stąd. - Ruszył w stronę budynku pod osłoną ciemności. Nagle dał nura w bok i obejrzał się uważnie. Śledzono go. Cholera - pomyślał - skąd ten facet się wziął?

Skromna nadzieja na powodzenie operacji ulotniła się. Nie miał wyjścia. Odnalazł klucz do bocznych drzwi. Pobiegł w ich stronę, starając się chować za zaparkowanymi samochodami, licząc, że

ciemność ochroni go przed kulą. Wbiegł dwoma susami po prowadzących do budynku schodkach i po chwili był już wewnątrz. Nie zamykał drzwi, celowo.

Złapał wiszącą na ścianie gaśnicę i wyrwał z niej zawleczkę. Skoczył na schody, biorąc długimi nogami po pięć stopni naraz. Prędszej, facet, prędszej - poganiał się w myśli. Usłyszał za sobą kroki. Minął swoje piętro i zatrzymał się na półpiętrze, dwanaście schodków wyżej. Uśmiechnął się nieznacznie, kiedy dał się słyszeć krótki oddech ścigającego go człowieka. No chodź, przecież wiesz, które to piętro - myślał. - Pokaż się.

Mężczyzna wyłonił się zza zakrętu schodów i skręcił w korytarz. MacKay zbiegł z półpiętra najciszej jak mógł i zaczął się przy drzwiach. Po chwili gałka drzwi przekręciła się ponownie; usłyszał to samo sapanie, co przed chwilą. Cały napięty, uniósł gaśnicę. Drzwi otworzyły się, a wtedy MacKay nacisnął dźwignię, posyłając żółtawy strumień piany prosto w twarz napastnika. Przetoczył się przez drzwi, bryzgając przez cały czas pianą. Mężczyzna przecierał gwałtownie oczy, rzucając się w panice. John uderzył go w głowę gaśnicą, aż zadudniło i napastnik zwałił się na podłogę.

MacKay wyciągnął mu zza poły berettę i ruszył do swojego biura. Sprawdził drzwi - było otwarte. Wetknął ostrożnie głowę przez framugę i rozejrzał się szybko. W rogu leżało bezwładne ciało Jasona Robby'ego. John wsunął się więc do środka i przyłożył palec do dolnej szczęki partnera, szukając pulsu. Nic z tego. Wtedy zobaczył ranę. Kula przedziurawiła pierś Robby'ego; rana wlotowa miała taką średnicę, jakby zrobiono ją ołówkiem; wylotowa była znacznie większa i poszarpana; widać było sterczący odłamek kości.

Skubańcy; używają devastatorów - pomyślał.

Kevin Grawley także tam leżał. Dostał dwa pociski w brzuch - devastatory to ostro zakończone pociski odłamkowe. Niemal przecięło biedaka na pół. MacKay wyciągnął z beretty cztery naboje, wyjął siedmiostrzałowy magazynek. Wszystkie oddane strzały były celne... Załadował metodycznie z powrotem i wrócił na korytarz. Stał nad nieprzytomnym zabójcą i zaczął zastanawiać się, co może zrobić.

Musiał wydostać się z Johannesburga i znów nawiązać kontakt z kontrolującym go oficerem. Ciekawe, pod czyimi rozkazami służył leżący obok człowiek? A może warto upozorować także i własną śmierć? Ukryć się, korzystając z zamieszek?

Powoli narastał w nim gniew. Robby i Grawley to byli porządni ludzie. Nie zabójcy. Przemówił do leżącego:

- Dobrze, że jesteś czarny i mniej więcej tak duży jak ja. - Pogrzebał mu w kieszeniach i zabrał dokumenty i inne szpargały. Na ich miejsce wsunął własny paszport, portfel i klucze, po czym zaciągnął mężczyznę do biura. Następnie wszedł na krzesło, odsunął jedną z płytek sufitu i sięgnął do środka. Wyciągnął stamtąd nieduże pudełko. Sprawdził jego zawartość - wszystko było na miejscu, łącznie z granatami termitowymi.

Zastanowił się przez chwilę, czy nie połamać mordercy kolan, tak żeby był przytomny, a jednocześnie pozbawiony możliwości ucieczki. Odrzucił jednak tę myśl. Wprowadził do komory jeden z devastatorów i zastrzelił mężczyznę, celując mu w głowę, tak aby nie pozostał żaden ślad po uderzeniu gaśnicą.

- Wesołych świąt... - mruknął. - Ściągnął zabitemu buty, po czym

nałożył mu swoje; mniej więcej pasowały. Wyszedł na korytarz; wyciągnął z granatu zapalającego zawleczkę i wrzucił go do pokoju. Miał dziesięć sekund na ucieczkę z piętra. Udało mu się to zrobić w osiem.

Kiedy odnalazł Zibę, z okien biura strzelały w górę płomienie.

- Co się stało? - spytała, wystraszona.

- Nieznani sprawcy podłożyli w biurze bombę. W wyniku wybuchu zginęły na miejscu trzy osoby - Jason Robby, Kevin Grawley i John Arthur - wyjaśnił monotonnym głosem.

Poczuł w swojej dłoni rękę Ziby.

- Czy możesz mi teraz zdradzić swoje prawdziwe nazwisko? - usłyszał. Zawahał się.

- John Author MacKay - powiedział.

- Co teraz zrobisz?

Pułkownik rozejrzał się wokół po oknach budynków mieszkalnych stojących naprzeciw hotelu.

- Nie wydaje mi się, żeby ten gnój, który zamordował Robby'ego i Grawleya był sam. Zaczaję się tu i zobaczę, kto się pokaże. Poza tym, niebezpiecznie teraz pętać się po ulicach...

**Piątek, 19 grudnia**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Mazie Kamigami Hazelton wzięła głęboki oddech i podniosła oprawioną w skórę teczkę z wypisanym złotymi literami swoim imieniem i nazwiskiem. Teczka była symbolem powagi stanowiska, jakie Mazie właśnie otrzymała. Została specjalnym asystentem prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Rzuciła teczkę na stół i wyszła ze swojego nowego biura - niedużego pomieszczenia bez okien, znajdującego się na pierwszym piętrze zachodniego skrzydła Białego Domu. Zeszła po schodach do narożnego pokoju, w którym urzędował Bill Carroll.

Midge Ralston - sekretarka Carrolla - podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Znała Mazie jeszcze z czasów, kiedy była ona rzucającą się w oczy z powodu nadwagi szeregową pracownicą w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Z czasem Mazie stała się świetnym analitykiem

politycznym, wyszczuplała i wyszła za mąż za jednego z najbardziej „rozrywanych” kawalerów Waszyngtonu, Wenwortha Hazeltona. Mimo iż miała twarz uroczej dziewczynki, wszyscy wiedzieli, że posiada także jeden z najbystrzejszych umysłów w Waszyngtonie. Midge machnęła ręką, żeby Mazie weszła.

- Złam nogę - rzuciła.

Był to pierwszy dzień pani Hazelton na nowej posadzie. W biurze czekali na nią Carroll i Cyrus Piccard.

Starszy pan wstał i uklonił się uprzejmie, podając Mazie rękę. W pełni aprobował wybór, jakiego dokonał William. Wiedział, że ta mała kobietka o wspaniałej, azjatyckiej urodzie - Mazie była pół Japonką i pół Hawajką - cieszy się niebywałymi możliwościami umysłowymi.

- Będzie pani miała tu co robić... - zagadnął.

- Ostrzegano mnie - odparła pani Hazelton z czarującym uśmiechem.

- Mazie - przerwał im znad biurka Carroll - na dzisiejszym posiedzeniu gabinetu tematem numer jeden będzie kontrolowana

fuzja jądrowa. To jeden z przypadków, kiedy do podjęcia decyzji politycznej potrzebne jest naukowe wprowadzenie. Znasz się na tym, mam nadzieję...

Mazie potrząsnęła głową z oszołomienia.

- Spróbuję. Ile ma to zająć czasu?

- Jestem starym człowiekiem - wtrącił Piccard. - Zасыpiam po pięciu minutach każdego wykładu... podobnie jak cały gabinet.

Mazie roześmiała się.

- Fuzja, czyli synteza jądrowa - zaczęła - to proces odwrotny do reakcji rozszczepienia. Teoria reakcji rozszczepienia jest bardzo prosta - kiedy wolny neutron uderza jądro atomu, rozpada się ono, uwalniając przy okazji kilka innych neutronów oraz ciepło. Zarówno w reaktorach, jak i w bombach atomowych zachodzi taki właśnie proces. - Synteza jądrowa ma natomiast miejsce we wnętrzu Słońca - to z niej czerpie energię Słońce i inne gwiazdy. Tutaj atomy łączą się, a nie rozpadają. Jądra atomów wodoru zderzają się, i z dwóch takich jąder powstaje jedno jądro helu; tu także wyzwala się ciepło. Ponieważ łączą się miliony atomów, ilość uwalnianej w postaci ciepła energii jest ogromna. Jednakże, aby fuzja nastąpiła, konieczne jest dostarczenie olbrzymiej ilości ciepła; potrzebna jest do tego temperatura rzędu milionów stopni.

- Takie warunki istnieją tylko wewnątrz gwiazd, podczas wybuchu atomowego oraz w specjalnych, dużych urządzeniach laboratoryjnych zwanych tokamakami. Naukowcy od lat marzą o wynalezieniu sposobu na przeprowadzenie kontrolowanej syntezy jądrowej, „na zimno”. Najwięksi entuzjaści upierają się, że to możliwe. - To był koniec opowieści.

- Siedemdziesiąt sekund. Znakomicie - skomentował Carroll, skłoniwszy głowę na znak aprobaty.

- A dlaczego nie można posługiwać się tym urządzeniem laboratoryjnym - jak tam ono się nazywa - tak jak zwykłym reaktorem? - spytał Cyrus.

- Już sama teoria tokamaka uniemożliwia jego praktyczne wykorzystywanie - aby wytworzyć w nim wymaganą temperaturę, trzeba włożyć więcej energii, niż otrzymuje się w wyniku zachodzącej fuzji jądrowej - wyjaśniła Mazie.

- Rozumiem z tego, że pani nie wierzy w syntezę jądrową „na zimno”?... - chciał się upewnić Piccard.

- W języku naukowym - odparła pani Hazelton - wyrażenia „wierzę” czy „nie wierzę” w ogolenie istnieją. Można tylko udowodnić, że coś jest lub nie jest możliwe. W przypadku „zimnej” fuzji jądrowej nie udało się do tej pory ani jedno, ani drugie...

- Dziękuję ci, Mazie - zakończył Bill. - Chciałbym, żebyś przyszła na posiedzenie gabinetu i powtórzyła to wszystko, co teraz powiedziałaś.

Mazie wyszła, a Piccard oparł się wygodnie i czekał. Widać było, że prezydenckiego doradcę niepokoi jakaś ważna sprawa.

- Cyrusie - zaczął Carroll - potrzebuję twojej rady. - Wstał i podszedł do okna, wychodzącego na park prezydencki. - W RPA ciągle wybuchają teraz zamieszki; jak wiesz, ich rząd złożył formalną prośbę do ONZ o wysłanie tam sił pokojowych. Sprawa jest trudna, skoro być może Afrykanerzy zbudowali urządzenie do kontrolowanej syntezy jądrowej, a do tego są na tyle silni, że mogą działać niezależnie od rządu. Zdaje się, że CIA uczepliło się tego, co



stało się z tymi bombami atomowymi, które były w RPA, zanim powołano obecne władze. Administracja, jak zwykle w sprawach podobnej wagi, chciałaby podjąć jakieś natychmiastowe działania. Prezydent wprost domaga się tego. Co byś mu doradził?

- Po pierwsze - odparł Piccard - zorganizowałbym te siły pokojowe ONZ i wziął w nich zasadniczy udział, korzystając ze świątecznej przerwy w obradach Kongresu. Po drugie, dałbym CIA kopa w tyłek na rozpęd, i to porządnego. Niech dowiedzą się, o co naprawdę chodzi Afrykanerom.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął Bill. - Wiemy, że do projektu Numer Jeden chcą dotrzeć wywiady państw OPEC i Japonii. A teraz CIA przekazała informację, że wie już, kim jest ta trzecia grupa. Nazwali ich neo-Osią. To połączone wywiady byłych europejskich państw Osi.

Piccard zrobił zafrasowaną minę.

- Zarówno Niemcy, Włochy, jak i Austria - powiedział - są uzależnione od dostaw ropy naftowej. Gdyby dostali w swoje ręce kontrolowaną syntezę jądrową, mogliby przestać się liczyć z OPEC, no i uzyskać dominującą pozycję w Europie. Podobnie z Japończykami... Czego nie udało im się osiągnąć przy pomocy wojny, zdobędą środkami pokojowymi - będą mieli przewagę gospodarczą. Oto zemsta Japończyków za klęskę w drugiej wojnie światowej...

- Oczywiście - zgodził się Bill. - Nie mamy jednak pojęcia, w jakim punkcie znajduje się ta neo-Oś.

- Wydaje mi się, że mogli się już porozumieć z Afrykanerami - zasugerował Piccard.

Do tego jeszcze Afrykanerzy przenieśli cały Numer Jeden. I to nie wiadomo dokąd.

- To rzeczywiście trudna sytuacja - przyznał Piccard.

William Carroll spojrział mu prosto w oczy, z dziwnym wyrazem twarzy.

- Poza tym mam ALS - rzucił. - Chorobę Lou Gehriga.

Piccard był wstrząśnięty. Podszedł do Billa i położył mu dłoń na ramieniu.

- Daj spokój... wiesz, jak ci współczuję?... - W jego oczach pojawiły się łzy. Stali tak naprzeciw siebie, bez słowa. Cyrus zaczął wyobrażać sobie smutny kres życia Carrolla. William nie dożyje dni, kiedy będą dorastały jego dzieci; nie poprowadzi córki do ślubu; nigdy nie będzie trzymał na rękach małego wnuczka... On też tego nie miał i dobrze wiedział, jaki to sprawia ból. Czy to jakaś metafizyczna cena, jaką trzeba płacić za sukces? To stanowczo nie w porządku.

- Dlatego poprosiłeś Mazie, żeby została twoją asystentką? - odezwał się w końcu.

Bill przytaknął.

- Ona jest w stanie utrzymać ciągłość spraw, zanim mój następcą wciągnie się we wszystko.

- Czy prezydent już wie? - spytał Cyrus.

Carroll ponownie skinął głową.

- Nie składaj rezygnacji przedwcześnie - powiedział Piccard. - Prezydent dobrze rozumie, co znaczy taka tragedia. - Wziął laskę i płaszcz, zbierając się do wyjścia. - A ciebie czekają teraz ciekawe sprawy.

- Przecież to stare chińskie przekleństwo - odparł Carroll. - „Obyś

żył w ciekawych czasach”.

- Ee tam, co to za przekleństwo - zachnął się stary mąż stanu. - To prośba do niebios o to, żeby się nie nudzić.

Bill patrzył, jak Piccard odchodzi korytarzem. Cieszył się, że jako prezydencki doradca sam ma takiego doradcę... W końcu odwrócił się do sekretarki i rzucił:

- Midge, zadzwoń po Chucka i Wayne'a. Idę pobiegać.

Midge sięgnęła do telefonu i otarła łzy. Wiedziała, że człowiek, dla którego pracuje, umiera.

Kiedy Carroll wyszedł na dwór w sportowym stroju, dwaj agenci Secret Service czekali na niego, jak zwykle.

- Ładny dzień na przebieżkę - odezwał się Wayne Adams.

Rzeczywiście, jak na grudzień, było wyjątkowo ciepło.

- Dużo ludzi dzisiaj biega - zauważył Chuck Stanford.

Bill kiwnął głową i ruszyli do biegu. Właściwie poruszali się niewiele szybciej niż podczas szybkiego marszu. Agenci w milczeniu dostosowywali się do tego wolnego tempa. Rozglądali się tylko, jak zwykle, wokoło, czy w pobliżu nie dzieje się coś nietypowego. Carroll przyspieszył. Na parę chwil jego twarz przybrała dawny wygląd. Czuł się spokojny, pogodzony ze wszystkim...

## **Niedziela, 21 grudnia**

### **Knob Noster, stan Missouri**

Telefon odezwał się o piątej rano. Po dziesięciu sygnałach Matt sięgnął po omacku po słuchawkę.

- Pontowski - wymamrotał. Właściwie jeszcze na pół spał. Dzwoniono z jednostki. Jak się okazuje, otrzymali właśnie

wiadomość, którą muszą mu natychmiast przekazać.

- Od kiedy to rezerwa zajmuje się nagłymi sprawami? - burknął zdenerwowany. - Po cholere w ogóle was zatrudniają w czynnej służbie?... - Usłyszał grzeczną, z konieczności, odpowiedź.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę i usiadł na krawędzi łóżka, opuszczając nogi na zimną podłogę. Spróbował zebrać myśli. Zawsze potrzebował przynajmniej dwóch kaw, żeby rozwiać senne otępienie, jakie ogarniało go po wczesnym obudzeniu. Co gorsza, im był starszy, tym silniej to odczuwał. Wciągnął lotniczy mundur i włożył buty. Chlusnął w twarz zimną wodą, po czym rzucił okiem na małego Matta. Dobrze z ciebie dziecko - pomyślał, patrząc na śpiącego synka. Zszedł ze schodów i zapukał do drzwi niani, którą teraz zatrudniał na stałe; mieszkała u nich.

- Martho, muszę pojechać do bazy, to pilna sprawa. Wiem, że dzisiaj ma pani wolne, ale czy mogłaby pani zastąpić mnie na parę godzin?

Drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich Martha Marshall. Była to sześćdziesięcioletnia kobieta, ciesząca się dobrym zdrowiem i rzeczowym umysłem.

- Nie powinnam była dać się namówić Sarze na tę robotę - zagderała. Była matką Sary. Owdowiała, a kiedy Sara wyszła za Johna Leonarda i przeprowadziła się do Knob Noster, Martha nie miała co ze sobą zrobić. Ucieszyła się bardzo, kiedy okazało się, że może zostać nianią małego Matta. Nie tylko było to dla niej źródło dochodu, ale w dodatku mogła zamieszkać naprzeciwko swojej córki. - Jestem już na to za stara - dodała. Spojrzała na Pontowskiego z wyrzutem, ale popatrzwszy na niego ustąpiła. - No

dobrze już, oczywiście... - powiedziała z westchnieniem.

- Dziękuję pani. Wynagrodzę to pani.

- Wątpię - mruknęła do pleców Matta. - Chociaż mógłby pan spróbować, zaczynając od ożenienia się.

- Czy to propozycja? - padła odpowiedź.

- Nie ze mną, ty bałwanie...

Wiadomość, którą otrzymano w sztabie, miała zaledwie cztery linijki, za to nadeszła aż z Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego. Był to rozkaz, aby 442, dywizja myśliwców wprowadziła w życie „Plan Operacyjny Szybki Roger”.

- Co to jest, do cholery, ten „Szybki Roger”? - zapytał Matt oficera dyżurnego.

Pani kapitan wiedziała z doświadczenia, jaką osobowość reprezentuje jej dowódca wczesnym rankiem. Mimo to przyznała bez wahania:

- Nie wiem, panie pułkowniku; nigdy o nim nie słyszałam. Ale zaraz się dowiem. - Udało jej się już po wystukaniu pierwszego numeru - do odpowiedzialnego za plany oficera 509, dywizji bombowej.

- Sir - odezwała się przez telefon do człowieka w stopniu podpułkownika - myślę, że lepiej będzie, jak pan tu przyjedzie i wytłumaczy wszystko panu pułkownikowi Pontowskiemu osobiście.

- Odłożyła słuchawkę, podniosła wzrok na Matta i wzięła głęboki oddech. - Nie jest dobrze, sir - powiedziała. - Ponad miesiąc temu wysłali nam dwie kopie planu „Szybki Roger”. A przecież nikt ich panu nie dawał. Nie rozumiem, dlaczego tak się stało...

- Świetnie... - mruknął Pontowski. - Oto przykład znakomitego

działania naszego systemu dowodzenia i przekazywania informacji...

- Może zrobić panu kawy?... - zagadnęła.

- Trafiła pani w sedno! Sam sobie zrobię... - odpowiedział gderliwym głosem.

Zanim do sztabu wbiegł truchtem oficer operacyjny 509, skrzydła, kofeina zdążyła już uporządkować myśli Pontowskiego. Podpułkownik podał mu bez słowa opasłą teczkę.

- Wspaniale, cholera jasna - warknął Matt przez zaciśnięte zęby, przeglądając dodatek C - operacyjną część planu. - W czterdzieści osiem godzin po otrzymaniu rozkazu wprowadzenia planu w życie mamy być gotowi do natychmiastowego przerzucenia dwudziestu samolotów w rejon ewentualnej akcji. A ja dowiaduję się o tym teraz!... - Wypluwał z siebie słowa, niczym ciężki karabin maszynowy kule. - Dzięki wielkie, pułkowniku, za niewykonanie roboty. Przez pana siedzę po uszy w gównie!...

- Sir... - podpułkownik zająknął się - pańskie dowództwo, Dziesiąta Armia Lotnicza z bazy Bergstrom, powinna była wysłać panu kopię...

Matt otworzył dokument na ostatniej stronie i sprawdził, kto komu powinien go dostarczyć.

- Tu jest napisane co innego - odparł. - Mieliśmy dostać egzemplarz tego planu poprzez pana, skoro dowodzenie przejmuje Dowództwo Sił Powietrznych. Pan podlega Dowództwu Sił Powietrznych, prawda?... - Nie czekając na odpowiedź wypadł z pokoju. Niezależnie od tego, po czyjej stronie leży wina, to jego skrzydło wypadnie w złym świetle. Tak właśnie działa cała biurokratyczna maszyna dowodzenia.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zarządzenie natychmiastowej zbiórki całej jednostki. Miał nadzieję, że większość z podległych mu rezerwistów odbierze telefony i stawi się w ciągu dwunastu godzin. Następnie ułożył wiadomość do Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego, wyjaśniając całą sytuację. Niezależnie jednak od tego, co napisze, jedna rzecz będzie nie do uniknięcia: 442, skrzydło myśliwców nie będzie gotowe do akcji za czterdzieści osiem godzin.

Pierwszy zameldował się poczciwy Leonard.

- Co się, u licha, dzieje? - spytał na powitanie. Pontowski powiedział mu o rozkazie i o planie „Szybki Roger”. Podał przyjacielowi kopię meldunku, który posłał do naczelnego dowództwa.

- Nie chciałbym stać blisko ciebie, kiedy nadejdzie odpowiedź - skomentował John.

Odpowiedź przyszła sześć minut później. Pontowski i Leonard zdumieni się, widząc, jak jest ona zwięzła. Narodowe Centrum Dowodzenia chciało dowiedzieć się, kiedy 442, skrzydło będzie gotowe do akcji; zaś pułkownik Pontowski został zobowiązany do zameldowania się jak najprędzej w Pentagonie.

- Pewnie w Ground Zero budują już szubienicę... - mruknął Matt. Ground Zero to epicentrum wybuchu bomby atomowej. Tak żartobliwie określa się wewnętrzny dziedziniec Pentagonu, o powierzchni dwóch hektarów, wewnątrz olbrzymiego, pięciokątnego gmachu.

Leonard nerwowo chodził po pokoju.

- Wiesz, jak to jest z tymi alarmami. Przygotowujesz jednostkę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, a potem czekasz w pełnej

gotowości przez tydzień na nadejście rozkazu wykonawczego. Może jednak uda nam się zmieścić w czterdziestu ośmiu godzinach. Nie mówię, że zrobimy to w pięknym stylu i pełnej chwale, ale, cholera jasna, przecież masz tu naprawdę wartościowych ludzi. Pokazali w Chinach, na co ich stać.

- No to do roboty - odparł krótko Pontowski. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Zameldowała się porucznik Lori Williams, nowy oficer sztabowy. Była to wysoka i chuda dwudziestotrzyletnia Murzynka. Ludzie zaczęli się więc pojawiać dużo wcześniej, niż się spodziewał.

- Sir - powiedziała porucznik Williams - na zewnątrz czeka kapitan Stuart. Dotarła do niego wiadomość o zbiórce i chciałby z panem pomówić.

Pontowski skrzywił się.

- Powiedz „Robalowi”, że to musi poczekać aż wrócę. Spieszę się na samolot... - Chcesz to odwlec - pomyślał. Boisz się. Ale nie wolno trzymać go w niepewności. - Lori, zapomnij o tym, co powiedziałem. Wołaj go.

„Robal” zaszalutował w iście mistrzowski sposób. Jego mundur był w najlepszym porządku, buty świeciły z daleka; ostrzygł się nawet. Kapitan Dwight Stuart nigdy nie wyglądał tak służbiście jak w tej chwili. Matt odsalutował i kazał mu usiąść.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną porozmawiać - zaczął „Robal”. - Cały czas mam nadzieję, że może zechce pan odwołać swoją decyzję...

- Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby znowu za coś oberwać - odparł krótko Pontowski.



- Panie pułkowniku - ciągnął „Robal”, starając się mówić takim tonem, żeby nie wyszło na to, że żebrze - wiem, że już czas, żebym przestał zachowywać się tak, jak się do tej pory zachowywałem, i dorósł. Proszę o jeszcze jedną szansę.

Matt spojrzał na zegarek. Czas leciał, a decyzja była przecież nieodwołalna.

- Wysłałam twoje dane do Centrum do spraw Personelu Rezerwy Sił Powietrznych.

„Robal” zagryzł wargi i otworzył usta ze zgrozy. Pułkownik nie wyrzucił go wprawdzie z Rezerwy, ale wysyłając jego dokumenty do Centrum do spraw Personelu przeniósł go do rezerwy biernej. Taka sytuacja oznacza biurokratyczną otchłań nie do przejścia. Pewnie nigdy już nie będzie latał. Pokiwał powoli głową i wstał. Nie będzie się poniżał i błagał.

- Gdyby kiedykolwiek mnie pan potrzebował, proszę zadzwonić, sir. Na pewno się zamelduję. - Zasalutował i wyszedł.

Matt spuścił wzrok i patrzył przez chwilę na biurko. W końcu złapał leżący pod ręką szklany przycisk do papieru i rzucił nim ze złością przed siebie.

## **Rozdział piąty**

**Poniedziałek, 22 grudnia**

**Waszyngton, D.K.**

Portier hotelu „Villiard” skrzywił się na widok starego, przerdzewiałego volvo, które zatrzymało się przed wejściem. Samochód nie odpowiadał standardom hotelu „Villiard”. Zastępca

dyrektora zedrze ze swojego podwładnego skalp, jeśli wpuści do środka kierowcę tego wozu. Naczelnym zadaniem portiera było bowiem oddzielanie prawdziwej elity od zwykłych turystów, a tym bardziej nieprzewidzianych intruzów, tak aby ludzie rządzący Stanami mogli znaleźć w hotelu spokojne, bezpieczne miejsce do zakulisowych rozgrywek, zdobywania wpływów, a jeśli zechcą, i cudzołożenia... Powszechnie wiadomo było, że w hotelu „Villiard” prowadzono więcej ważnych negocjacji politycznych i zawierano więcej umów niż na Kapitolu.

Sam Darnell wyskoczyła z samochodu i mignęła portierowi przed oczami legitymacją prasową.

- Proszę nie odprowadzać go na parking - odezwała się szybko. - Zaraz odjeżdżam... Nie widział pan może Elizabeth Gordon?

Portier westchnął ciężko i odparł:

- Sądzę, że panna Gordon jest teraz z asystentem senatora Lucknowa, Jeffem Bisselem.

Zaszyli się tu na gorący wieczór - pomyślała Samantha. Kamezystka lubiła swoją szefową i akceptowała ją, widząc do czego doszła; niepokoiło ją jednak beztronskie podejście Elizabeth do spraw seksu.

- Musimy natychmiast jechać; mam gorący temat... - powiedziała. Portier zrozumiał i sięgnął po słuchawkę. Przywołał telefonistkę z hotelowej centrali i podał reporterce słuchawkę.

- Liz - odezwała się Samantha - Biały Dom ogłosił, że wysyłamy siły pokojowe do RPA. Kongres będzie się wściekał; i Ann Nevers chce z tobą mówić. Czekaam przed wejściem do hotelu. Pospiesz się. - Oddała słuchawkę i uśmiechnęła się. - Dziękuję. Jestem panu winna

przysługę. - Portier odpowiedział skinieniem głowy. W taki sposób załatwia się sprawy w Waszyngtonie...

Elizabeth Gordon pojawiła się w drzwiach po piętnastu minutach. Wprawdzie jej ubranie i włosy znajdowały się w najlepszym porządku, jednak twarz była nadal zarumieniona. Portier przytrzymał drzwiczki samochodu i odetchnął, kiedy stare volvo odjechało. Liz opuściła osłonę przeciwsłoneczną i zajrzała w znajdujące się tam lustro.

- Twoja torba do makijażu leży na tylnym siedzeniu - poinformowała ją koleżanka. - Opowiadaliście sobie z Jeffem w zaufaniu ważne tajemnice, czy też odżywał wasz związek? - zapytała.

- Jedno i drugie - przyznała Elizabeth. - Podobno wielu kongresmanów popiera wysłanie naszych wojsk do Południowej Afryki w ramach sił pokojowych ONZ.

W budynku biurowym Izby Reprezentantów czekała na obiedziennikarki członkini Kongresu, pani Ann Nevers. Jej opinie na temat Kongresu były ściśle zależne od jej własnych zachowań i umiejętności zmieniania w odpowiednim czasie przynależności partyjnej. Była to wysoka kobieta - miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i garbiła się odrobinę. W ciemnych włosach widać było pasemka siwizny. Ciemne oczy patrzyły czysto i żywo. W młodości pani Nevers mogłaby zostać modelką; zresztą nadal była ładna. Jednak lata ostrych politycznych rozgrywek nadały twardości zarówno jej charakterowi, jak i twarzy. zaproponowała dziennikarkom herbatę i kawę i pokazała im, żeby usiadły na kanapie.

- Resztę mojej kadencji w Kongresie chciałabym poświęcić

rozwiązywaniu problemów, które już teraz stoją przed naszym państwem - zaczęła - i którymi już teraz musimy się zająć. - Wstała z za swojego zbyt dużego biurka i zaczęła chodzić tam i z powrotem po eleganckim, perskim dywanie. - Same panie wiedzą, jakie to ważne sprawy. Tymczasem urzędująca administracja rozmyślnie odwraca od nich uwagę społeczeństwa, koncentrując się na czym innym. Z pewnością słyszały panie o tym, że prezydent wysłała wojsko do RPA, pod rozkazy dowódcy podległego ONZ.

Elizabeth skinęła głową.

- Myślałam, że Akt Poprawy Bezpieczeństwa Narodowego zabrania takiego kroku bez uprzedniego uzyskania zgody Kongresu - powiedziała.

- Rzeczywiście; uchwalając tę ustawę chcieliśmy zapobiec podobnej sytuacji - zgodziła się Nevers. - Jednak w pakiecie ustaw wojennych z 1965 roku znajduje się ustęp zezwalający prezydentowi na samodzielne podjęcie decyzji w tej sprawie, jeśli nie toczą się akurat obrady Kongresu. Nigdy tego nie odwołano, a prezydent wykorzystuje to teraz, kiedy mamy przerwę bożonarodzeniową. - Przyspieszyła kroku i zaczęła wyrzucać z siebie słowa pełne złości. - To chyba związane z wejściem w średni wiek - typowa reakcja prawdziwego *macho* na męską meno-pauzę... uderzenie gorąca z powodu skoku poziomu testosteronu...

- Uważa pani zatem, że Stany Zjednoczone nie powinny powstrzymać eskalacji przemocy w Republice Południowej Afryki? - zapytała Elizabeth, nie dając się odwieść od tematu.

Pani Nevers spojrzała na nią, zastanawiając się nad dobrze brzmiącą odpowiedzią. Ta Gordon wcale nie była głupią lalką, za

jaką powszechnie uchodziła.

- Nie poprzez wysyłanie tam żołnierzy. Dostaliśmy już lekcję w Somalii. Jak wielokrotnie powtarzałam, akcje wojskowe to tylko zasłona dymna, która ma na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od problemów wewnętrznych. Pociągniemy do odpowiedzialności tych rzeczników nowego interwencjonizmu... Czy wie pani, że na dowódcę amerykańskiego kontyngentu wyznaczono wnuka Zacka Pontowskiego?

- Czy to źle? - Elizabeth była zdziwiona. - Nie wiem o nim zbyt wiele, ale z tego, co się mówiło, przysłużył się nam wszystkim w Chinach.

- Przysłużył się? Nam wszystkim?! - Głos Ann Nevers był pełen wypracowanego oburzenia. - Ten człowiek to zwykły najemnik. Ten kraj nigdy nie dojdzie do ładu, dopóki nie będziemy pilnować takich typów, jak Pontowski. - Znowu przyspieszyła kroku. - To oczywiste, że chcieli wykorzystać jego nazwisko, żeby zdobyć w Kongresie odpowiednie poparcie. Jestem przekonana, że stoi za tym Carroll.

Sam i Liz spojrzały po sobie. Wrogość Ann Nevers wobec prezydenckiego doradcy była powszechnie znana. Elizabeth wyczuła chwilę, w której mogła zadać drobne uderzenie.

- Czyżby pani także rozgrywała pojedynek godny prawdziwego *macho*? - rzuciła, licząc na to, że Nevers wyrwie się teraz coś, czego będzie potem żałowała. Pani Nevers jednak zbyt często rozmawiała z dziennikarzami, żeby dać się złapać w pułapkę tego rodzaju.

- O co pani chodzi? - zapytała.

- No cóż - wyjaśniła Liz - pani polityczna obecność w Waszyngtonie postrzegana jest właściwie tylko dzięki osobom, które

pani zwalcza; szanuje się panią głównie za ilość osób, jaką doprowadziła pani do upadku.

- Co to za bzdura? - odparła Nevers z uśmiechem. Dziennikarka trafiła jednak w czuły punkt, ponieważ istotnie pani Nevers ubóstwiała wyniszczające polityczne rozgrywki. - Liz - dodała, tym razem głosem pełnym troski - musimy powstrzymać takich jak Pontowski czy Carroll. To właśnie przez nich nasz system nie funkcjonuje należycie. - Teraz uznała, że powiedziała już wszystko co chciała i dziennikarki zakończyły wywiad.

Pani Nevers odprowadziła je na korytarz i wróciła do biura. Elizabeth odezwała się:

- Ta kobieta zwróciła uwagę na ciekawy temat.

- Owszem - zgodziła się Samantha. - Ale wykorzystała cię do obwieszczenia wszem i wobec swoich poglądów.

Liz przytaknęła.

- W dodatku mówiła samymi ogólnikami; wyraźnie brakowało jej faktów - zauważyła. - Właściwie dlaczego tak bardzo nienawidzi Pontowskiego? Spróbuj dowiedzieć się jak najwięcej o tym człowieku.

## **Poniedziałek, 22 grudnia**

### **Pentagon, Arlington, stan Virginia**

Kiedy Pontowski przybył do Pentagonu, natychmiast zaprowadzono go do Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego. Generałowie zadali mu tylko dwa pytania: kiedy 442, skrzydło myśliwców będzie gotowe do akcji i czy czegoś potrzeba, żeby wykonać to zadanie. Wkrótce pułkownik Pontowski znalazł się

już w sektorze E, w sekcji dowodzenia, a następnie w pokoju 3E880 - gabinecie sekretarza obrony. Sekretarz - doktor John Weaver Elkins - był szczupłym, łagodnym człowiekiem. Wyglądał bardziej na bibliotekarza niż jednego z najważniejszych członków gabinetu.

- Matt - odezwał się Elkins - czekałem na ciebie. - Skinął na Pontowskiego, żeby usiadł. - Przyjaźnicie się z Billem Carrollem, prawda? - Dopiero teraz Matt zauważył, że na skórzanym fotelu, z którego widać było przez pobliskie okno rzekę Potomac, siedzi William Carroll. Elkins także usiadł i złożył ręce. - Za parę minut pójdziemy wszyscy trzej na konferencję prasową. Przedstawimy cię jako dowódcę amerykańskiego kontyngentu wysyłanego do Republiki Południowej Afryki. Przygotuj się na trudne pytania ze strony dziennikarzy.

- Na przykład dotyczące tego, jakie mamy podstawy prawne do podjęcia tej akcji?... - zapytał Pontowski.

- Przygotowaliśmy nasze stanowisko na ten temat - uspokoił go sekretarz, podając mu wydruk. - Zgodnie z ustawami wojennymi z 1965 roku, prezydent ma prawo wysłać wojska na okres do dziewięćdziesięciu dni. Oczywiście, kiedy Kongres zbierze się na posiedzenie po przerwie świątecznej, różne komisje będą z pewnością przesłuchiwać nas godzinami. Zawsze łatwiej być krytykiem, niż samemu podjąć jakieś odpowiedzialne działania...

- Kongres mógłby wykorzystać przeciw nam Akt Poprawy Bezpieczeństwa Narodowego - zauważył Carroll. - Chociaż dopóki nie odbywa się posiedzenie Kongresu, prezydent ma prawo działać samodzielnie. To dlatego tak się pospieszył z wysłaniem wojsk, w imię obrony naszych narodowych interesów.

- A jakież to narodowe interesy mamy w Południowej Afryce? - spytał szczerze Matt. - Zabrakło nam diamentów, czy co?

Elkins roześmiał się.

- Widzisz, Bill, trafił cię.

Carroll musiał teraz zrobić coś, czego bardzo nie chciał. Prezydent zdecydował, że rzeczywisty powód wmieszania się Stanów Zjednoczonych w sprawę południowoafrykańską ma pozostać ścisłą tajemnicą. Pontowski miał zatem zostać okłamany, i niestety to jemu, Carrollowi przypadło w udziale wymyślenie jakiegoś kłamstwa, w które Matt mógłby uwierzyć. Skręcając się wewnętrznie z powodu moralnego kaca, Carroll powiedział:

- Odwdzięczamy się naszym europejskim sojusznikom za poparcie, jakiego udzielili nam w poprzednich operacjach. Jesteśmy im to winni od czasu wojny w Zatoce, Somalii, Haiti; czas się odplącić. W zasadzie wspieramy ich interes, a nie bronimy swoich.

Pontowski rozumiał, że ludzie powinni się odwdzięczać. W tym przypadku racje wydawały się słabe, ale cała akcja była jednak legalna. Przede wszystkim zaś mieli służyć w ramach sił pokojowych, a to coś godnego moralnej pochwały.

- Matt - odezwał się znowu Elkins - będziesz dowódcą kontyngentu amerykańskiego; jednak znajdziesz się pod rozkazami francuskiego generała, nazwiskiem Charles de Royer.

De Royer został wyznaczony na głównodowodzącego sił pokojowych ONZ w Południowej Afryce. I jednym z twoich głównych zadań jest nawiązanie stosunków operacyjnych z nim i ONZ-tem. To może być najważniejsze i bardzo trudne; nie mamy dla ciebie konkretnych propozycji rozwiązań.



To znaczy, że sam będę musiał je znaleźć, a potem, jeśli coś się nie powiedzie, sam będę za to odpowiadał... - pomyślał Matt.

- Tak jak w Chinach? - rzucił.

- Tak, tak jak w Chinach... - przyznał Carroll.

- Czy CIA będzie tam coś robić? - spytał Pontowski.

- Mają w RPA placówkę - odparł Bill.

- Czy będą w związku z tym przeprowadzać jakąś nieoficjalną operację?

- CIA nie przeprowadza już takich operacji - odparł Elkins.

- To dobrze - odparł poważnie Pontowski.

Sekretarz nie powiedział nic więcej. Zbliżała się pora konferencji prasowej, przeszli więc do sali dla dziennikarzy.

Wszystkie miejsca były zajęte. Elizabeth Gordon siedziała w pierwszym rzędzie; wyciągnęła przed siebie długie nogi, zakładając jedną na drugą tak, aby na pewno było je widać. Przeglądała zapiski dotyczące Matta Pontowskiego, jakie przed chwilą podała jej Samantha. Liz zdumiała się, że jej koleżanka zdobyła w tak krótkim czasie aż tyle informacji. Rzuciły się w oczy sformułowania: „ryzykant”, „balownik i uwodziciel” - to kiedy był jeszcze młodym porucznikiem, „zawsze pakował się w kłopoty”, „o mało co nie wyrzucono go z lotnictwa”, „jego kariera została uratowana dzięki interwencji Białego Domu”...

Typowy pilot myśliwski - pomyślała Elizabeth. W notesie zapisała „polityczne koneksje”, potem przeczytała resztę. Jako kapitan, Pontowski przeżył lotniczą kraksę, w której straciło życie trzech ludzi. Na ten temat nie było nic więcej. „Zatuszowane?” - dopisała w notesie. Rozejrzała się za Samantha i ruszając wyraziście ustami

powiedziała bezgłośnie: „dobra robota”. Kamerzystka ustawiła się przy bocznej ścianie, tak aby pokazać Liz w jak najlepszym oświetleniu.

Na podium wszedł Elkins. Objął wzrokiem tłumnie zgromadzonych słuchaczy i zauważył:

- Dzisiaj nie wydarzyło się chyba nic ciekawego...

Dziennikarze odpowiedzieli wybuchem śmiechu.

- Wszyscy państwo otrzymaliście stanowisko prezydenta w sprawie podjęcia przez niego decyzji o wysłaniu wojsk, więc może przejdziemy od razu do pytań?

Pytania posypały się jak z rękawa. Niektóre z nich sugerowały, że reporterzy wcale nie czytali stanowiska prezydenta. Matt z podziwem słuchał, z jaką łatwością i spokojem Elkins odpowiada. Mówił przyjaznym tonem, wystarczająco pełnym, aby dać do zrozumienia, że żadne głupie pytania nie będą tolerowane. W końcu oznajmił:

- Przekażę teraz głos dwom ekspertom, których tu ze sobą przyprowadziłem - prezydenckiemu doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i człowiekowi, który będzie dowódcą naszego kontyngentu - pułkownikowi Pontowskiemu.

Kiedy Matt i Bill Carroll weszli na podium, reporterzy zaczęli krzyczeć i machać rękami. Każdy chciał być zauważony i wysłuchany pierwszy. William przeciął wrzawę pokazując mężczyznę siedzącego obok jednego z porozmieszczanych na sali mikrofonów.

- Czy nasze plany przewidują wysłanie większej ilości jednostek niż jedno skrzydło myśliwskie? - spytał reporter. - Czy w operacji weźmie także udział CIA? Czy określony został ostateczny limit

czasowy, czy też operacja ma czas nieokreślony?

- Cieszę się, że zadał mi pan tylko jedno pytanie - komentarz Carrola znów wywołał śmiechy. - Wyjaśniliśmy ONZ, że maksymalny czas przebywania wojsk USA na terytorium Republiki Południowej Afryki zostanie określony, aczkolwiek jeszcze go nie ustaliliśmy. W tej chwili byłoby to przedwczesne. Jeśli chodzi o jednostki - na razie zamierzamy wysłać grupę złożoną z samolotów myśliwsko-szturmowych A-10 z 442, skrzydła myśliwskiego, stacjonującego w bazie Whiteman w stanie Missouri, a także transportowce C-130 z 314, skrzydła transportowego z bazy w Little Rock w Arkansas. Możemy rozszerzyć lub zmniejszyć zaangażowane siły w zależności od rozwoju sytuacji.

A jakież mogą być warianty „rozwoju sytuacji”? - spytał samego siebie Pontowski. Zastanawiał się nad tym, i nie dosłyszał pytania Elizabeth Gordon.

- Przepraszam najmocniej - powiedział - czy mogłaby pani powtórzyć?

- Spytałam - powiedziała Gordon, pewna, że „przycisnęła go do muru”, skoro prosi o powtórzenie - czy został pan wybrany na dowódcę naszego kontyngentu ze względu na swoje koneksje polityczne? - Zakończywszy zamieniła ułożenie nóg, starając się, aby spódnica podjechała jeszcze wyżej, aż do granicy tolerowanego u dziennikarzy poziomu przyzwoitości. Mam nadzieję, że Sam to łapie - pomyślała. Niech ludzie zobaczą, jak wyglądam...

Pontowski obrzucił Elizabeth chłodnym spojrzeniem. Przypomnił sobie teraz jej nazwisko i reportaże, jakie robiła podczas wojny w Zatoce Perskiej. Jej długie nogi przykuwają uwagę;

pokazuje ich tak dużo... W głowie Matta odezwał się brzęczyk ostrzegawczy - nie, nie można lekceważyć tej kobiety jako głupiej lalki. To niebezpieczny przeciwnik, który właśnie posługuje się sex-appealem jako bronią. Opanował się więc i odpowiedział spokojnie:

- Panno Gordon, na takie pytanie nie da się satysfakcjonująco odpowiedzieć w ciągu dziesięciu sekund. Bowiem to oczywiście prawda, że wielu członków mojej rodziny, a także przyjaciół, było i jest zaangażowanych w politykę. Mam jednak nadzieję, że historia mojej służby wojskowej mówi sama za siebie i stanowi wystarczające uzasadnienie wyboru mojej osoby. Podobnie 442, skrzydło myśliwskie, którym dowodzę, zdążyło się w wyjątkowy sposób wykazać i jego piloci z pewnością zasłużyli na przydzielone im zadanie.

Skoro zacząłeś ten temat, to go pociągniemy - pomyślała Liz.

- Jeśli mówimy o historii pana służby, panie pułkowniku - brał pan udział w wypadku w powietrzu, w którym zginęło trzech ludzi; pan był jedynym, który przeżył. Przyczyny kolizji nigdy nie zostały ujawnione, pojawiły się też oskarżenia o zatajanie jej okoliczności...

- Straciłem w tej katastrofie dwóch bliskich przyjaciół - odpowiedział Matt, nie okazując gniewu, jaki go opanował. - Nadal jest to dla mnie bardzo bolesne wspomnienie. Natomiast po raz pierwszy słyszę o jakichkolwiek oskarżeniach. Złożyłem wniosek, żeby raport z wypadku został ujawniony na mocy ustawy o wolności słowa i trzy lata temu Siły Powietrzne przychyliły się do niego. Proszę więc, żeby pani przeczytała ów raport, a wtedy z przyjemnością odpowiem pani na wszystkie pytania. Trzymajmy się

faktów, panno Gordon. Myślę, że jesteśmy winni amerykańskiemu społeczeństwu tę uprzejmość...

Elizabeth zaczerwieniła się ze złości.

- To ja zajmuję się opisywaniem faktów - z wyrazu twarzy Pontowskiego odczytała, że popełniła wielki błąd. Matt odpowiedział łagodnie:

- Jeśli dobrze pamiętam, podczas wojny w Zatoce Perskiej poinformowała pani opinię publiczną, że z lotniskowca „America” wystartowały bombowce B-52... - Kilkoro reporterów zachichotało na myśl o olbrzymich bombowcach strategicznych usiłujących zmieścić się, a tym bardziej wystartować z lotniskowca. - Wiadomość ta z pewnością musiała wprawić oficerów marynarki w osłupienie - zakończył, rozbawiony.

Dziennikarze śmieli się już głośno.

Liz spuściła głowę i zamilkła, pozwalając, żeby kto inny zadał następne pytanie. Zapisała tylko w notesie: „skurwysyn”, i do końca konferencji siedziała jak na szpilkach. Po wyjściu jak wichur zbiegła na dół. Ty zarozumiały skurwysynu! - klęła w myślach. - Za kogo się uważasz?!...

- Liz! - zawołała Samantha. Z trudem nadążała za szefową, dźwigając kamerę z trójnogiem. - Poczekaj!

- Zgniotę tego sukinsyna jak pluskwę! - syczała reporterka.

- Potem o tym pogadamy - ucięła. Kiedy się uspokoisz - dodała w myśli.

- Obraził mnie... - Elizabeth wściekała się nadal. - Mnie i każdego z dziennikarzy na sali.

Absolutny egoizm Liz w końcu wyprowadził Samanthę z

równowagi. Zdecydowała, że czas wyjaśnić jej kilka spraw.

- Pontowski to rzeczywiście pewny siebie sukinsyn - przyznała chłodno. - Więc jeśli chcesz go załatwić, to zastanów się najpierw, jakie znasz fakty. Popełniłaś błąd.

- Ja popełniłam błąd?! Tylko ty wiedziałaś o tym wypadku w powietrzu!...

- Ale przecież nie mówiłam ci o żadnym „zatajaniu okoliczności” - odparowała Sam. - To był twój własny pomysł.

- Zrobił ze mnie idiotkę! Bronisz go?...

- Nie - odpowiedziała Samantha. - Ale sama wpuściłaś się w maliny.

- Więcej ze mną nie pracujesz! - krzyknęła Liz.

Sam pochyliła głowę w bok, patrząc spokojnie na Elizabeth.

- Liz, uczepliłaś się Pontowskiego, bo posłuchałaś, co powiedziała ci Ann Nevers, i straciłaś obiektywne spojrzenie. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że nie zawsze należy ufać politykom. Nie sądzisz, że warto, żebyś włączyła czasem myślenie? - Zakręciła się na pięcie i odeszła.

Gordon miała ochotę płakać. Znowu pokpiła sprawę, a jedyną osobą, która powiedziała jej prawdę, była Sam Darnell.

- Sam, przepraszam! - zawołała za nią. Kamerzystka zatrzymała się i czekała. - Jestem w tarapatkach i sama nie wiem, co robić... - Łzy płynęły Elizabeth po policzkach, kiedy podchodziła do koleżanki.

- Chodźmy, Liz - powiedziała Samantha. - Nic tu po nas.

- Ostro potraktowałaś Liz Gordon - zauważył William Carroll, kiedy znaleźli się z powrotem w biurze Elkinsa.

- Nie miałem zamiaru pozwolić jej wieszać na mnie psy - odparł krótko Matt.

- To smutne - odezwał się Elkins - ale tak już jakoś jest, że media nigdy nie lubiły wojska. I nawzajem, oficerowie nie ufają dziennikarzom. Wielu reporterom wydaje się, że występują co najmniej w imieniu Pana Boga.

Carroll zaniepokoił się.

- Matt, jesteś teraz w zupełnie nowej sytuacji. Musisz cały czas uważać; bez przerwy zastanawiać się nad tym, co robisz; bo wszystko, dosłownie wszystko, co postanowisz, będzie miało konsekwencje polityczne.

- Już mi to mówiono - odparł Pontowski. - Mam nadzieję, że nie zostanę niedługo kozłem ofiarnym... Jeśli skończyliśmy - muszę wracać do jednostki. Kiedy dostanę rozkaz przerwania samolotów?

- Niedługo - odpowiedział Elkins. - Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych siedemdziesięciu ośmiu godzin.

- A nie można by wstrzymać tego, aż skończy się Boże Narodzenie?

- Możemy spróbować. Ale musimy się spieszyć, zanim Kongres zbierze się na posiedzenie. Pozbawią nas możliwości skorzystania z tej opcji - zakończył Elkins.

A czy są jakieś inne opcje? - pomyślał Pontowski.

**Wtorek, 23 grudnia**

**Johannesburg, Republika Południowej Afryki**

Pękaty, ciężko opancerzony transporter przetoczył się środkiem ulicy Commisioner. Świtało. MacKay cofnął się od okna. Od sześciu

dni siedzieli z Zibą w mieszkaniu na ósmym piętrze budynku sąsiadującego z byłym biurem Johna.

- „Hipopotam” - poinformował dziewczynę. - Zaraz pokaże się policja.

Ziba podeszła do MacKaya i wspólnie przyglądali się, jak za transporterem posuwa się pieszy oddział. Policjanci zachowywali się jak wyszkoleni żołnierze - szli blisko opancerzonego pojazdu, a jednocześnie uważnie sprawdzali, czy w wypalonych sklepach i samochodach nikt się nie ukrył. Od czasu do czasu któryś z nich kontrolował leżące na ziemi ciało, czy nie ma przy nim broni. Pozbierano jednak wszystko. Masowe zamieszki, jakie opanowały parę dni temu Johannesburg, w końcu wygasły.

Nadjechała wojskowa ciężarówka, zatrzymując się przed biurowcem, w którym urzędowali ludzie MacKaya.

- Przeszukajcie dobrze ten budynek - mruknął John, widząc kierujących się ku wejściu żołnierzy, którzy wyskoczyli z samochodu. Wreszcie opłaci się kilkudniowe wyglądanie przez okno.

Hans Beckmann stał przed wejściem do budynku stacji kolejowej. Z zawodowym zainteresowaniem obserwował zniszczenia, jakie dokonały się wokół. Dołączył do oficera w stopniu pułkownika; ruszyli razem w stronę Civic Center, centrum znajdującego się pięć przecznic dalej, w kierunku północnym. Za dwoma mężczyznami podążyla zwarta grupka reporterów.

- Rozruchy były dużo poważniejsze, niż się spodziewaliśmy - powiedział pułkownik. - Na początku nie byliśmy w stanie nic



zrobić. Dopiero po trzech dniach sytuacja unormowała się na tyle, że mogliśmy wkroczyć do akcji. Wielu buntowników zdążyło już do tego czasu pójść spać albo po upijać się. Ale cały czas na ulicach toczyły się walki; przywrócenie porządku zajęło nam czterdzieści osiem godzin...

W ich stronę zbliżała się biała staruszka. Widać było, że znajduje się w szoku; cały czas niosła plastikową torbę z bożonarodzeniowymi zakupami. Hans Beckmann powiedział coś po cichu do idącego obok oficera, a ten popędził do reporterów, żeby sfilmowano kobietę. Włączono kamery, porobiono zdjęcia; po chwili staruszka została pozostawiona samej sobie. Szła dalej przed siebie, oszołomiona, pośród dziwnego świata, którego już nie rozumiała.

- Ilu czarnuchów zginęło? - spytał Beckmann.

- Ponad dwa tysiące - odpowiedział pułkownik.

Beckmann oparł na nim ciężki wzrok.

- To za mało - rzucił. - Czy zginęli także jacyś biali?

- Do tej pory naliczyliśmy mniej niż pięćdziesiąt osób. Włączając w to dwóch agentów CIA, których śledziliśmy... Zdarzył się pożar ich biura... taki mały wypadek...

- Powiedziano mi, że było trzech agentów...

- Trzeci był czarny - wyjaśnił pułkownik. - On też nie żyje.

- Niech mnie pan tam zawiezie - rozkazał Beckmann.

Po chwili nadjechał samochód terenowy i dwaj mężczyźni wsiedli do środka.

- Jedziemy na ulicę Commisioner - rozkazał pułkownik.

Stojący przed biurowcem sierżant zaprowadził oficerów na czwarte piętro, gdzie znaleziono zwęglone ciała.

- Musieliśmy zamknąć ciała w torbach i zabrać je stąd - poinformował sierżant. Pomieszczenie zostało doszczętnie spalone; niewiele rzeczy można było rozpoznać. - Czarnuch leżał tu, przy drzwiach. Wydaje nam się, że on zginął pierwszy. Dwaj biali leżeli tu i tu.

Mokra robota. Zostali zamordowani. Trudno było zidentyfikować ciała, z powodu pożaru. Ale znaleźliśmy wystarczające dowody. Wszyscy byli Amerykanami.

- Jest pan pewien co do tego czarnego? - upewnił się Beckmann.

- Jego paszport ocalał; miał też przy sobie klucze do pokoju.

- Nazwisko?

- John Arthur. Mieszkał w Pittsburghu, w stanie Pennsylvania.

- Czy zdjęcie w paszporcie pasowało do człowieka? - wypytywał Beckmann.

- Twarz była spalona - wyjaśnił sierżant. - Ale, jeszcze jedno - czarnuch miał na sobie buty, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Takie bardzo lekkie, z materiału, z zupełnie miękką podeszwą. Musiały być bardzo wygodne.

Albo bardzo ciche - pomyślał Beckmann. Sporo już widział...

- Przekażcie ciała Amerykanom - rozkazał, uśmiechając się lekko. Przynajmniej jedna z jego operacji kontrwywiadowczych zakończyła się sukcesem.

Ale - z pewnością spróbują znowu - pomyślał z troską. Numer Jeden jest zbyt kuszący, żeby pozostawiono go w spokoju...

MacKay wyregulował ostrość lornetki i wyteżył wzrok. Przyglądał się wychodzącym z budynku żołnierzom. Nagle niepewność ustąpiła

w jego sercu miejsca ostrej nienawiści - rozpoznał Hansa Beckmanna.

- To pieprzone AWB - rzucił do Ziby. - Afrikaanse Weerstandsbeweging.

Dziewczyna oparła dłoń na ramieniu Johna.

- Czas stąd wyjść - powiedziała.

- Masz rację.

MacKay starannie powycierał wszystko, na czym mogli pozostawić odciski palców i usunął wszelkie ślady ich bytności. Kiedy skończył, zatelefonował do kontrolującego go oficera. Zwlekał z tym aż do tej pory, na wypadek, gdyby linia znajdowała się na podsłuchu. Chciał być daleko stąd, jeśli ktoś sprawdzi, skąd prowadzono rozmowę, i dotrze w to miejsce. Kierunek na Kapsztad był jednak zajęty lub wyłączony.

MacKay zastanowił się, co ma robić dalej. Nie prowadził samodzielnej operacji i czas było pokazać się CIA... Kiedy wyszedł wraz z Zibą z mieszkania, zamknął drzwi na klucz. Zeszli tylnymi schodami do garażu, w którym - John sprawdził to na początku - znajdowało się w nienaruszonym stanie niebieskie BMW Robby'ego.

- Ty prowadź - powiedział Zibie - i rozmawiaj, jeśli ktoś będzie nas zatrzymywał. - Przesunął się na miejsce pasażera i zajrzał do schowka, gdzie Robby czasami trzymał swoje uzi. Pistoletu maszynowego jednak nie było.

- Dokąd mam jechać? - zapytała Ziba, kierując się w stronę wyjazdu z miasta.

- Do Bloemfontein. Tam chcesz się znaleźć, a poza tym to po drodze do Kapsztadu.

Wszystko było w porządku, dopóki nie dojechali do granic Johannesburga. Tam zrobiło się tłoczno. Samochody zatrzymywały się. Ziba wysiadła, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- Na drodze jest blokada; żołnierze sprawdzają wozy.

Z kolei wysiadł MacKay. Zobaczył zbliżających się powoli w ich stronę trzech białych mężczyzn w brunatnych koszulach. Nosili czerwone opaski z trójramienną swastyką o ramionach skierowanych w lewo - symbolem radykalnej afrykanerskiej AWB. Jeden z mężczyzn zatrzymał się i zagadnął któregoś z kierowców. Nagle uniósł trzymany w ręku pistolet maszynowy i pociągnął za spust, opróżniając cały magazynek. Otworzył drzwi samochodu i na asfalt wypadło ciało czarnej kobiety. Zabójca załadował ponownie i ruszył w kierunku MacKaya.

- Zjeżdżajmy stąd! - rzucił John, wskakując z powrotem do wozu. Zanim jednak Ziba zdołała wymanewrować dużym BMW pomiędzy stojących ciasno pojazdów, trzech Afrykanerzy zdążyli już ich otoczyć.

- Dokumenty - mruknął znudzonym głosem ten, który strzelał. Ziba nerwowo grzebała w torebce, szukając w panice czegoś, co mogłoby zadowolić mordercę. W końcu podała mu prawo jazdy. Nie zainteresowało go ono jednak - rzucił je na ziemię. MacKay zobaczył, że ręka z pistoletem maszynowym zaczyna się podnosić.

- Hej, chwileczkę! - odezwał się donośnie, zaskakując Afrykanerów amerykańskim akcentem. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dokument, który zabrał zabójcy Robby'ego i Grawleya.

- Amerykanin? - upewnił się żołnierz.

- Tak zawsze myślałem - wyrwało się MacKayowi.

Żołnierz zawołał sierżanta i podał mu legitymację.

- Następnym razem, kiedy zobaczysz taki dokument, nie każ jego właścicielowi czekać. Ten człowiek należy do Żelaznej Gwardii - pouczył sierżant. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął stamtąd własną legitymację. Żołnierze zebrali się wokół niego, porównując oba dokumenty. Sierżant oddał legitymację MacKayowi, po czym skłonił głowę i odszedł, pozostawiając żołnierzy.

- Pieprzony czarnuch w Żelaznej Gwardii!... - mruknął jeden z nich, nie posiadając się ze zdumienia.

Morderca powoli uniósł rękę do salut.

- Odjedź w pokoju, bracie... - wymówił z trudem, patrząc na MacKaya z taką nienawiścią, jak chyba nikt dotąd w jego życiu.

Ziba uruchomiła silnik i wydostała samochód spośród innych, podjeżdżając do blokady.

- Ta legitymacja ocaliła nam życie - powiedziała tylko.

Kiedy pojechali dalej, John przyjrzał się uważnie dokumentowi.

- Przecież ten człowiek wcale nie był do mnie podobny... - wymamrotał.

## **Rozdział szósty**

**Piątek, 26 grudnia**

**Brandfort, Republika Południowej Afryki**

MacKay jechał powoli przez miasteczko. Szukał stacji benzynowej. Bak był już prawie pusty.

- Gdzie my, do cholery, jesteśmy? - powiedział zmęczonym głosem. Ziba wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

- W Brandfort. To już prawie Bloemfontein.

- Najwyższy czas - mruknął John. Od czasu, kiedy wyjechali z Johannesburga, minęły trzy doby, a oni przez cały czas byli w trasie. Okrążali blokady drogowe i umykali gangom rabusiów. Nałożyli w ten sposób jakieś osiemset kilometrów... Dwukrotnie MacKay był zmuszony ukraść paliwo. Podczas ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin spał przez zaledwie sześć. Był na skraju wytrzymałości.

- Świetny sposób na spędzenie świąt!... - mruknął z gniewem, prawie bełkocząc. - Potrzebna nam benzyna i muszę znaleźć miejsce, gdzie można by się przespać. Ledwo kontaktuję. - Rozejrzał się. Na zamkniętych sklepach wisiały bożonarodzeniowe dekoracje. - Wygląda na to, że spokojnie tu - powiedział. Zatrzymali się przed jedyną otwartą stacją benzynową w miasteczku. Wszedł do nich przyjaźnie wyglądający czarny nastolatek. Wyjaśnił jednak, że stacja jest nieczynna - benzynę można kupić tylko za pozwoleniem miejscowego komando.

- Co to jest komando, do diabła?!... - jęknął MacKay.

- Komando to lokalna milicja Afrykanerów - wyjaśniła Ziba. - To dzięki nim nie było tu zamieszek.

MacKay rozwiązał problem, wyciągając z kieszeni legitymację zabójcy swoich podwładnych. Chłopak rzucił na nią okiem, po czym na jego twarzy odmalował się wyraz przerażenia.

- *Ja, baas* - powiedział i natychmiast podbiegł do dystrybutora.

John pokręcił głową, widząc, że legitymacja robi aż takie wrażenie. Pomyślał, że musi być ważniejsza niż przypuszcza; nie wiedział tylko dlaczego. Postanowił przekazać ją placówce CIA w Kapsztadzie.

Ziba zapytała chłopaka o drogę i zaczęła wyjaśniać MacKayowi:

- Tu niedaleko jest hotel, w którym możemy się zatrzymać. To... -

Urwała.

John spał za kierownicą jak zabity, z otwartymi ustami.

Poczuwszy na ustach czyjąś dłoń, MacKay obudził się gwałtownie. Instynktownie złapał napastnika za nadgarstek i szarpnął w bok, gotów do obrony. Ćwiczono go w tym przez lata... Zdumiona Ziba krzyknęła. Puścił ją, oprzytomniawszy do końca i spojrzał, jak dziewczyna masuje sobie przegub.

- Chrapiesz - powiedziała tylko.

- Nie chrapię! - odparł z oburzeniem, szczerze zraniony.

- Chrapiesz, chrapiasz - rozwiąła jego złudzenia. - Ale nie za głośno. - Tak trochę gwizdzesz.

MacKay rozejrzał się. Leżał w łóżku, w niewielkim pokoju; na zewnątrz było ciemno. Był rozebrany. Przypomniawszy sobie, że ktoś pomógł mu się rozebrać, a nawet umył go gąbką.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- W Brandfort. Znalazłam hotel.

Wyciągnął rękę i dotknął Zibę.

- Dziękuję ci. Film mi się urwał... - Dziewczyna przysunęła się tak, żeby ją objął, i pogładziła go po twarzy.

- Jesteś taki silny - powiedziała. - Będziesz mógł spłodzić dużo dzieci...

- Nie chcę cię stracić - odparł na to John.

MacKay obudził się o świcie. Uniósł się na łokciu i spojrzał na kobietę, która spała przy jego boku. Uśmiechnął się łagodnie. Skóra Ziby błyszczała i była ciepła, kiedy położył na niej rękę. Dziewczyna odwróciła się, objęła go za szyję i pocałowała, a potem zaczęła

gładzić jego ciało. Zaczęli się kochać. Ziba szeptała coś w języku, którego John nie rozumiał. Gdy skończyli, wtuliła mu się w ramiona. Wkrótce zapadł w głęboki sen.

Obudziły go głosy bawiących się dzieci. Usiadł na łóżku i zorientował się, że jest sam. Zaczął wkładać spodnie. Wtem przeraził się, widząc na swoim członku ślady zakrzepłej krwi. Zrobiło mu się smutno. Skończył się ubierać, wyszedł na zewnątrz i odnalazł Zibę siedzącą przy stoliku na tarasie przed hotelem. Piła herbatę. Usiadł przy niej.

- Spokojnie tu - odezwał się. - Zwłaszcza po tym, co było w Johannesburgu.

- Jeszcze nie zdążyłeś zauważyć tu wielu rzeczy - odparła. - Dużo tu nędzy; ludzie mają ciężkie życie. Wielu młodych ucieka, tak jak ja uciekłam... zanim się zestarzeją...

- A ile masz lat? - spytał.

- Dwadzieścia cztery.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jestem pierwszym mężczyzną, z którym...

- Zuluski traktują swoje dziewictwo bardzo poważnie - odpowiedziała. - Nie uwierzyłbyś mi.

John wiedział, że mówi prawdę.

- Kocham cię. - To także była prawda.

- W takim razie jestem bardzo szczęśliwa - usłyszał.

- Zibo, kim ty jesteś? Dla kogo pracujesz?

Dziewczyna odwróciła wzrok.

- Byłam w Inkatha. To oni wysłali mnie do szkoły, a potem ćwiczyli. Ale po wyborach w 1994 roku zobaczyłam, jacy są



skorumpowani... wcale nie lepsi niż Afrykański Kongres Narodowy... dałam więc sobie z tym wszystkim spokój i zaczęłam pracować u Slavina. Charles - ten człowiek, który nas ze sobą poznał - należał do Inkatha. Odnaleźli mnie i poprosili, żebym nawiązała z tobą współpracę. Tsotsi chcieli zamordować jego, nie ciebie; nie mogłam pozwolić, żebyś zginął tak jak on... Żeby założyli ci „naszyjnik”...

- Czy nadal jesteś w Inkatha? - spytał MacKay. Ziba popatrzyła na niego w milczeniu. Kobieto, tak bardzo cię pragnę... - pomyślał. Ale to nie zmienia faktu, że muszę wykonywać swoją robotę. - Zostań u Slavinów, w Bloemfontein, do czasu aż będę mógł tam przyjechać i zabrać cię stamtąd - powiedział.

- Dali mi numer telefonu - wyjaśniła Ziba. - Mam zadzwonić, kiedy przyjadę do Bloemfontein. Więc ty także zadzwoń pod ten numer, żeby mnie znaleźć.

- Nie chcę odjeżdżać... - westchnął. - Ale muszę...

## **Sobota, 27 grudnia**

### **Baza Sił Powietrznych Whiteman, stan Missouri**

Rozkaz wykonawczy, na mocy którego 442, skrzydło miało przenieść się do Republiki Południowej Afryki, nadszedł 27 grudnia - a więc po świętach, zgodnie z życzeniem Matta. W godzinę po nadejściu rozkazu Matt kroczył powoli przez tętniący życiem hangar i rozmawiał z ludźmi, którzy mieli polecieć pierwszym transportowcem. Zdziwił się, wielu z tych, którzy mieli zostać w kraju, też pojawiło się ze spakowanymi bagażami. „Na wszelki wypadek” - jak powiedział jeden z sierżantów.

Kiedy Pontowski wrócił do swojego biura, Lori Williams - jego nowy oficer sztabowy - rzuciła mu na biurko kolejny stos próśb o włączenie do kontyngentu - tym razem od osiemnaściorga ludzi. Na samym wierzchu znajdowała się kartka opatrzona imieniem i nazwiskiem: „Lori Williams”.

- Połowa sztabu skrzydła, która zostaje, ma ochotę zamordować tych, którzy lecą - poinformowała.

Matt pokręcił głową i uśmiechnął się sam do siebie. Znał to już z doświadczenia - morale wzrastało, kiedy była jakaś misja do spełnienia. Ludzie oczekują, że uda im się wziąć udział w poważnym zadaniu.

Dwadzieścia minut później do pokoju wpadł Leonard, ściskając w ręku jakąś wiadomość.

- Widziałeś to? - rzucił. - Jakiś głupi kretyn...

- Spokojnie, stary - przerwał Pontowski. - Każdy kretyn jest z definicji głupi... - Słowa te osadziły podekscytowanego podpułkownika na tyle, że podał trzymaną kartkę, nie mówiąc nic więcej.

- Co jest, cholera?... - mruknął Matt. 303, dywizjon myśliwców ma wystawić tylko dwanaście samolotów, a nie wszystkie dwadzieścia.

- Lori! - zawołał. - Połącz mnie z Langleyem. - Odwrócił się do Leonarda. - Sprawdź to. A ty zdecyduj, kto nie poleci, jeśli to potwierdzą.

Pułkownik z dowództwa odpowiedzialny za wysłanie kontyngentu wyjaśnił z ubolewaniem, że zmniejszono liczbę myśliwców i ludzi ze względu na brak odpowiedniego transportu.

- To proste - mówił. - Od czasu wojny w Zatoce Perskiej mamy braki w lotnictwie transportowym. Do tej pory nie zostały uzupełnione.

- Panie pułkowniku - perswadował Pontowski - mam tu mnóstwo świetnie wyszkolonych żołnierzy, którzy całym sercem pragną wykonać zadanie. Wierzę, że nie odprawi ich pan z kwitkiem dlatego, że nie jesteśmy w stanie zapewnić im odpowiedniego zaplecza...

Pułkownik zgodził się ogólnie z Mattem i obiecał, że spróbuje się tym zająć. Ale raczej nie należy oczekiwać żadnych zmian.

- Cała operacja ma zostać przeprowadzona jak najmniejszym kosztem. Nie liczcie za bardzo na to zaplecze... - powiedział.

- To brzmi naprawdę zachęcająco!... - Pontowski zdenerwował się i odłożył słuchawkę.

Pierwszy z olbrzymich transportowców C-5A Galaxy wylądował przed południem. Matt ponownie zrobił przegląd ludzi i ciężkiego sprzętu, jaki miał polecieć tym samolotem. Przenoszenie jednostki wojskowej na drugą półkulę to prawdziwe wyzwanie logistyczne; sukces zależy od tego, jak sprawnie działa cały złożony system. Dla Pontowskiego było to zadanie do wypełnienia, jednak plan został opracowany na granicy wykonalności. Już w dwie godziny po wylądowaniu załadowany transportowiec odleciał w stronę Portoryko.

Martha Marshall prowadziła małego Matta przez budynek pełen kręcących się jak w ukropie ludzi. Zobaczyła Pontowskiego, wychodzącego z odprawy; niósł pod pachą teczkę, wypchaną

mapami, planami, instrukcjami. Podziękował Marcie i wziął synka na rękę.

- Muszę polecieć - powiedział. - Nie będzie mnie przez jakiś czas. Dasz sobie radę, stary?

Mały Matt pokiwał głową ze śmiertelnie poważną miną, po czym objął ojca za szyję.

- Nic mi się nie stanie, tatusiu - obiecał. - Nie martw się. - Zawsze to mówili i zawsze im to pomagało.

- Nigdy się o ciebie nie martwię, ale tęsknię za tobą.

- Długo cię nie będzie?

- Sam dobrze nie wiem. Chyba parę miesięcy.

Chłopczyk ucieszył się, że nie dłużej. Uwolnił się z ramion ojca, zajęty już czym innym.

- To dobrze - powiedział. - Będziemy mogli pojechać w lecie na ryby.

- Umowa stoi - odparł Matt. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Marthy. Miała łzy w oczach.

- Kocham tego chłopca, wie pan? - odezwała się. Jej usta wygięły się na małą chwilę, po czym powiedziała: - Nie powinien pan tego robić. To dziecko potrzebuje chociaż jednego rodzica. - Opanowała się i dodała: - Niech pan leci. Nic nam się nie stanie.

- Dziękuję pani. Wynagrodzę to pani.

- Obiecanki, cacanki... - prychnęła. - Może pan zacząć od ożenienia się — rzuciła do pleców Pontowskiego.

Matt stanął przy drzwiach, czekając, aż John pożegna się z Sarą. Widział, jak stoją w kącie i rozmawiają cicho. Jak większość kobiet, które przyjechały dzisiaj do bazy pożegnać swoich mężów,

uśmiechała się dzielnie. Mój Boże - pomyślał Pontowski. Ta kobieta po raz drugi w życiu wysłała faceta na wojnę, a sama jest w ciąży. Kiedyś żegnała tak Muddy'ego Watersa - pierwszego męża, który nigdy nie wrócił z Bliskiego Wschodu. Nosła wtedy Melisę. Jakie ja mam właściwie prawo wymagać od tych ludzi tak wiele?

## **Czwartek, 30 grudnia**

### **Nad południowym Atlantykiem**

Pułkownik Pontowski oderwał maszynę od powietrznego tankowca KC-10. W dole, rzadko porozrzucane, białe, kłębiaste chmury wisiały nad nieskończoną, niebieską połącią oceanu, który rozciągał się aż do wybrzeży Afryki. Matt przyglądał się, jak przy tankowcu ustawia się teraz jeden z pilotów jego skrzydła, Jim Talbot, zwany „Suchym”. „Suchy” zakotwiczył się bez kłopotów do ruchomego ramienia, którym pompowano paliwo. Matt pokręcił w podziwie głową, widząc, że kac „Suchego” nie ma wpływu na jego zdolność pilotowania.

Minionej nocy „Suchy” znalazł się na czele paczki, która wywróciła do góry nogami spokojne miasteczko Jamestown na Wyspie Świętej Heleny - tej samej, na której zmarł w 1821 roku wygnany Napoleon. Pułkownik nie mógł jednak winić swoich pilotów za to, że po trzech długich dniach spędzonych w samolotach, mieli ochotę trochę poszaleć. Pierwszego dnia przylecieli do Grenady, na Morzu Karaibskim; drugiego do Recife - miasta na najbardziej wysuniętym na wschód cyplu Brazylii; wreszcie trzeciego - po pięciogodzinnym locie - na Wyspę Świętej Heleny, na południowym Atlantyku.

Pontowski uruchomił teraz nadajnik i rzucił:

- „Suchy”, nie zabrakło ci czasem pojemników na szczynty? - A-10 nie były wyposażone w rurki odprowadzające mocz i piloci musieli korzystać z plastikowych pojemników. Pontowski wyliczył sobie, że tacy wytrawni piwosze jak „Suchy” muszą wykorzystywać swoje pojemniki do maksimum.

- Poszło sześć, zostały trzy - padła odpowiedź.

- Stary!... - odezwał się czyjś zdumiony głos. - Ty chyba chcesz pobić rekord!

- Może zechce pan skorzystać z naszych zbiorników? - zaproponowała kobieta prowadząca tankowiec.

- Chętnie, gdybym tylko mógł się przesiąść - odparł „Suchy”.

Pontowski uśmiechnął się. Lekki ton rozmów świadczył, że wszystko jest w porządku. Sprawdził przyrządy i pokręcił głową. Pruli przez cały czas z prędkością 670 kilometrów na godzinę względem otaczającego ich powietrza. Do tego należało dodać wiatr, który przyspieszał ich o dalsze 30 kilometrów. Podczas lotu powrotnego będzie nas spowalniać - pomyślał Matt. Ale nie ma co zastanawiać się nad tym, jeszcze nawet nie dolecieliśmy...

- „Rodeo Flight” - odezwał się ten sam kobiecy głos, co przedtem - mój drugi pilot mówi, że właśnie minęliśmy południk Greenwich. Skorzystam z okazji i jako pierwsza powitam pana, panie pułkowniku, pod nowym dowództwem...

Południk zerowy... - myślał Pontowski. Co za geniusz w Pentagonie wpadł na pomysł, żeby przekazać 442, skrzydło pod komendę Organizacji Narodów Zjednoczonych z chwilą, gdy przekroczy ów południk? A może i ma to sens. Wystartowaliśmy

jako jednostka Sił Powietrznych USA, a wylądujemy jako część składowa międzynarodowego kontyngentu dowodzonego przez Francuza... Matt sięgnął do zewnętrznej kieszeni spodni i znalazł w schowanych tam papierach nazwisko swojego nowego dowódcy. General Charles de Royer.

Rzucił okiem na komputer nawigacyjny. Zostało im jeszcze 1400 kilometrów do przylądka Frio na zachodnim wybrzeżu Afryki. A potem - jeszcze 1800 do Kapsztadu. To będzie długi dzień. Tyłki nieźle im zdrętwieją... Pułkownik miał nadzieję, że „Suchemu” wystarczy pojemników na mocz...

Osiągnąwszy przylądek Frio, dwanaście A-10 i dwa tankowce KC-10 wzięły kurs na południe. Lecieli teraz wzdłuż wybrzeża, ciesząc się z przesuwającego się w dole krajobrazu - tak długo nie widzieli nic, tylko wodę i wodę... Pontowski nie od razu zdał sobie sprawę, skąd to wrażenie niezwykłości - był zbyt zmęczony. Zrozumiał, kiedy zbliżali się już do Kapsztadu. To błękit nieba - miało taki odcień, jakiego jeszcze nigdy nie widział; no i horyzont - daleko na wschodzie horyzont czerwienił się krwiście. Pod samolotami zaś przewijały się soczyste plamy zieleni i brązu, porozcinane zboczami gór, wystających ku niebu.

Okolica upstrzona była regularnymi, schludnie wyglądającymi miasteczkami i skupiskami farm. Przed dziobem Pontowski zobaczył górę Table, czyli Stołową, zwieńczoną pierzastymi chmurami, płynącymi na północ. W słuchawkach rozległ się głos „Suchego”:

- Szefie, wie pan, że nazwa naszej bazy - Ysterplaat - znaczy po holendersku „Żelazna Deska”? Ale sobie wymyślili! - Po chwili pilot dorzucił: - Wylądujemy kluczami, dobrze? - Pontowski omal nie

wybuchnął śmiechem. Jak wszyscy piloci myśliwscy, „Suchy” lubił się popisywać. Chciał mieć efektowne „wejście”.

- Musimy dobrze wypaść na nowym miejscu - wyjaśnił „Suchy”.

Pułkownik całkowicie się z nim zgadzał. Lądowanie kluczami to praktyka stosowana powszechnie wtedy, kiedy myśliwce wracają z misji bojowej. Dwa, trzy lub cztery samoloty podchodzą do lądowania cały czas zachowując formację klucza, aż osiągają wysokość trzystu pięćdziesięciu metrów. Następnie dowódca klucza wyłamuje się z szyku i ląduje; pozostali powtarzają jego manewr w pięciosekundowych odstępach, tak że samoloty dotykają ziemi mniej więcej po sześćset metrów od siebie. Całość nie tylko efektownie wygląda, ale jest także najbardziej wydajną metodą posadzenia w jak najszybszym tempie na ziemi dużej liczby samolotów.

- Okay, chłopaki - odezwał się Pontowski. - Wypadniemy jak trzeba. Przygotować się do lądowania kluczami.

Matt wymanewrował nad morze nad zatoką Table i znalazł się o pięć kilometrów od Bazy Lotniczej Ysterplaat. Góra Table widniała teraz po prawej; przed dziobem widać było wybrzeże i miasto. Po chwili pułkownik zobaczył, że baza tętni życiem; ucieszyło go to. Kiedy jego klucz doleciał do końca ścieżki schodzenia, Matt pochylił drążek sterowy i zaczął lądować, odbijając odrobinę w lewo. Manewr wyszedł mu perfekcyjnie; przyjemnie się czuł, kiedy kołował w stronę płyty lotniska. Na płycie czekał już mechanik, żeby zaprowadzić samolot na wyznaczone miejsce postoju. Pułkownik uśmiechnął się, widząc jak ląduje ostatni klucz. Dobry początek...

Do samolotu podjechał terenowy samochód nieznanego mu marki,



podobny nieco do jeepa. Wysiadł z niego żołnierz w południowoafrykańskim mundurze polowym. Pontowski zszedł po trapie. Mężczyzna zsalutował i odezwał się po angielsku, jednak z ciężkim, charakterystycznym dla *afrikaans* akcentem, który przywiódł Mattowi na myśl Holandię:

- Witamy w Kapsztadzie, panie pułkowniku. Jestem kapitan Piet van der Roos, pański oficer łącznikowy.

Pontowski odsalutował i przyjrzał się oficerowi. Van der Roos był po trzydziestce. Średniego wzrostu, opalony na brąz, miał głębokie zmarszczki w kącikach oczu. Mundur był nieco za luźny. Włosy ciemnoblonde, krótko przycięte. Parciana kabura i pleciony pas nosiły znaki wielokrotnego czyszczenia. Pękata kolba wielkiego pistoletu kaliber 9 była zużyta. Widać było od razu, że kapitan spędzał większość czasu w polu; nie był to oficer sztabowy, zamknięty od lat w biurze. Wyhaftowane nad lewą kieszonką bluzy skrzydła wskazywały, że van der Roos miał także niejakie pojęcie o lataniu.

- Generał de Royer - zaczął kapitan - rozkazał panu niezwłocznie zameldować się u niego.

Matt uniósł brwi, słysząc słowo „rozkazał”. Pomyślał jednak, że to pewnie niezręczność tłumaczenia. Biorąc pod uwagę pozycję Pontowskiego, bardziej prawdopodobne było, że de Royer poprosił go o natychmiastowe spotkanie. Oczywiście, francuski generał był teraz przełożonym Matta, więc jego prośba zostałaby potraktowana jako rozkaz; jednak słowo „prosić” zabrzmiałoby w tym momencie dużo lepiej.

- Generał podkreślił słowo „rozkazują” - oznajmił van der Roos.

Zaprosił Matta ruchem ręki do samochodu.

Pułkownik ściągnął uprząż spadochronu i wierzchnią część kombinezonu, założył czapkę i wgramolił się do jeepa. Afrykaner ruszył i skierował samochód w stronę Constantii - zamieszkałego przez bogaczy południowego przedmieścia Kapsztadu, położonego u stóp góry Table.

- Pan generał - odezwał się van der Roos - rozmawia tylko po francusku. Jednak jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, może pan będzie mówił po angielsku, a ja będę tłumaczył.

- A po co? Znam francuski wystarczająco dobrze - odparł Pontowski.

Kapitan spojrział na niego i powiedział:

- Nie wątpię. Ale być może w ten sposób będzie pan lepiej rozumiał pana generała... - Uśmiechnął się. - Jak to się mówi w Ameryce? „Zaufaj mi w tej sprawie”? A więc, proszę, niech mi pan w tej sprawie zaufa.

Wjechali w ocienioną drzewami uliczkę. Po obu jej stronach stały duże wille, otoczone wysokimi murami. Po chwili znaleźli się przed zaporą, której pilnowali wartownicy w błękitnych hełmach wojsk ONZ. Zanim przepuścili samochód Pontowskiego, sprawdzili dokumenty obu oficerów.

- Oto rezydencja, a zarazem sztab generała Charlesa de Royer, głównodowodzącego wojsk ONZ na terenie Republiki Południowej Afryki - oznajmił van der Roos.

Kiedy znaleźli się wewnątrz budynku, kapitan poprowadził Matta przez szereg przechodnich pokojów, a właściwie salonów - każdy następny urządzony był z większym przepychem niż poprzedni. Z

panującego wokół zamieszania łatwo było się zorientować, że Francuzi jeszcze przylatują i znajdują się dopiero w początkach fazy organizacyjnej.

- Miło prowadzić wojnę w taki sposób - mruknął z kamienną miną Matt. Na twarzy Afrykanera pojawił się uśmiezek, który jednak natychmiast zniknął, kiedy weszli do biura de Royera. Pierwsze pomieszczenie zajmował adiutant generała, pułkownik Valéry Bouchard, który skierował przybyszy do małej poczekalni. Bouchard był szczupłym, czterdziestokilkuletnim, krótko ostrzyżonym brunetem o wyglądzie twardego człowieka. Na, czy raczej zamiast lewej dłoni widać było czarną, skórzaną rękawiczkę. Pułkownik lekko utykał; cała lewa strona jego twarzy była właściwie jedną blizną po oparzeniu, którą chyba nie zajął się żaden chirurg plastyczny; lewe oko patrzyło nieruchomo.

- Czy on ma sztuczne oko? - szepnął Pontowski.

- Chyba tak - odparł van der Roos. - Ale przecież nikt go nie będzie pytał...

Po godzinie Bouchard wprowadził ich do gabinetu de Royera.

Generał okazał się olbrzymem. Stał tyłem do drzwi, wyglądając przez wysokie okna na ogród. Musiał mieć co najmniej dwa metry i pięć centymetrów wzrostu. Był siwiuteńki; miał na sobie nieskazitelnie skrojony uniform. Prawdziwy szok spotkał jednak Pontowskiego, kiedy de Royer się odwrócił.

Matt zobaczył twarz trzydziestolatka i najzimniejsze niebieskie oczy, jakie w życiu widział. Monotonii munduru generała nie zakłócało ani jedno odznaczenie ani baretka. Bouchard przedstawił oficerów, po czym cofnął się i stanął przy drzwiach.

- Pułkownikowi Pontowski, dlaczego przyleciał pan tylko z dwunastoma samolotami? - spytał de Royer po francusku. - Obiecano mi dwadzieścia.

Matt uważał rozmowę za pośrednictwem tłumacza za bezsensowną, odpowiedział więc od razu:

- Przydzielono nam za mało transportowców, żeby zapewnić zaplecze dla dwudziestu maszyn. Starczyło tylko na dwanaście.

Generał popatrzył mu zimno w oczy i nie odrywając wzroku ani na moment, powiedział:

- Kapitanie van der Roos, pańskim zadaniem jest tłumaczenie rozmów pana pułkownika w mojej kwaterze. Czy pan pułkownik to zrozumiał?

- Proszę wybaczyć, że odezwałem się po francusku - przeprosił grzecznie Matt, już po angielsku. - Sądziłem, że tak będzie najlepiej.

- Kiedy przylecą samoloty transportowe? - zapytał de Royer, przechodząc do następnego tematu.

- Powiedziano mi, że bym spodziewał się herculesów szóstego stycznia - odparł Pontowski, kiedy van der Roos dopełnił formalności tłumaczenia.

- Proszę powiedzieć pułkownikowi Pontowskiemu - polecił generał monotonnym głosem - że z tą chwilą przechodzi pod moje rozkazy i oczekuję, że będzie respektował moją pozycję. W przyszłości nie będzie wchodził do mojej kwatery w lotniczym kombinezonie. - Odczekał, żeby kapitan powtórzył jego słowa po angielsku. - Oczekuję także, że pan pułkownik Pontowski będzie odpowiadał mi w formie, jaka przystoi podległemu mi oficerowi. Proszę wyjaśnić mu to w taki sposób, aby na pewno zrozumiał.

Spodziewam się, że siódmego stycznia moje skrzydło będzie gotowe przeprowadzać operacje bojowe.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł do okna. Van der Roos musiał jeszcze przetłumaczyć jego wypowiedź, po czym pułkownik Bouchard otworzył drzwi. Audiencja była skończona. Matt ruszył do drzwi, z trudem hamując wściekłość. Nie był i nie zamierzał być przyzwyczajony do takiego traktowania. Ktoś w Pentagonie musi się o tym dowiedzieć! Ale kto? Rozkazy, jakie otrzymał, były jednoznaczne - podlegał dowództwu de Royera; Siły Powietrzne USA miały natomiast zająć się zaopatrzeniem jego jednostki.

Van der Roos nie odzywał się, dopóki nie znaleźli się w samochodzie i nie ruszyli z powrotem do bazy. Wreszcie powiedział:

- Zapewne zdołał pan już poznać sposób bycia naszego generała?

- *Mais oui* - rzucił Matt po francusku, po czym zacisnął zęby, powstrzymując cisnące się na usta słowa. Jest subordynowanym oficerem i nie będzie mówił nic więcej.

Kapitan nie miał jednak obiekcji tego rodzaju.

- Generał to *un trou du cul* - stwierdził krótko, używając francuskiego odpowiednika słowa „duppek”. Dodał jeszcze: - Jedynym innym brzydkim wyrazem, jaki znam po francusku, jest *merde*, ale to raczej nie pasuje. - *Merde* znaczy „gówno”.

- Też pasuje - zaprotestował Matt. - Bo właśnie w nie wdepnęliśmy.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że szybko się zaprzyjaźnią.

## **Rozdział siódmy**

**Poniedziałek, 5 stycznia**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Erik Beckmann wszedł do biurowca stojącego przy Burg Street, w sąsiedztwie banku. Wbiegł truchtem po schodach na trzecie piętro, starając się, żeby nikt go nie zauważył. Ostrożnie uchylił drzwi klatki schodowej i upewnił się, czy na korytarzu nikogo nie ma. Wreszcie kilkoma susami podbiegł do drzwi biura, znajdującego się w rogu piętra i zadzwonił. Otworzyła mu rudawa blondynka w krótkiej, czarnej sukience i czarnych pończochach. Stały za nią dwie inne, również atrakcyjnie ubrane dziewczyny.

- Czy Reggie jest wolny? - spytał Erik. Znajdował się w najlepszym burdelu w mieście.

Blondynka wyduła wargi i zaprowadziła go za zakręt przedpokoju.

- Ostatnie drzwi - powiedziała i odeszła.

Beckmann otworzył drzwi i zawołał cicho:

- Reggie?

Z dalszego pokoju wyszedł młody mężczyzna.

- Erik, co za niespodzianka! - powiedział. - To samo, co zwykle?...

Beckmann przytaknął, po czym przeszedł do jasno oświetlonego pomieszczenia. Znajdowały się tam najnowszej generacji komputery i laboratorium fotograficzne.

- Ten identyfikator, który mi zrobiłeś, okazał się znakomity - oznajmił. Reggie uśmiechnął się. Beckmann ciągnął dalej. - Z łatwością dostałem się do Żelaznych Wrót. Niestety, sprzedajesz je innym... nie tym, co trzeba. Muszę to powstrzymać. - W ręku Erika pojawił się pistolet maszynowy.

- Nie!... - szepnął Reggie, podnosząc odruchowo dłoń, jak gdyby mogła zatrzymać kulę. W pomieszczeniu rozległa się głośna, krótka seria. Po chwili Beckmann pociągnął za spust jeszcze raz. Następnie zaczął systematycznie niszczyć wyposażenie. Wystrzelił pojedynczą kulę w obiektyw aparatu holograficznego, niszcząc jego soczewki. Najwięcej czasu zajęło mu wykasowanie wszystkich dysków komputerowych, zanim połamał płytki z obwodami. Usatysfakcjonowany, sprawdził jeszcze dokładnie, czy w pomieszczeniu nie pozostały przypadkiem żadne odciski palców.

Westchnął w duchu. Pozostały jeszcze dziewczyny. Wyszedł do przedpokoju.

Richard Davis Standard siedział przy jednym ze stolików w ogródku kawiarni przy Burg Street. Był otyłym, łysiejącym mężczyzną w średnim wieku. Wyglądał jak przeciętny biznesmen, cierpiący na nadciśnienie, zrzedzającą żonę i dokazujące dzieci. Standard od lat dbał jednak o to, żeby sprawiać właśnie takie wrażenie, i teraz przychodziło mu to już z łatwością. Mało komu przyszłoby do głowy, że jest dowódcą placówki CIA w Republice Południowej Afryki. Spojrzał na stojący po przeciwnej stronie ulicy biurowiec, zadowolony, że znalazł się na tropie Erika Beckmanna. Niezdarnie poszukał papierosa, co zajęło mu ładnych parę sekund. Tak naprawdę nie lubił palić, ale jego najlepsze radio zostało wykonane w formie zapalniczki...

- Minał cię? - spytał.

- Nie sądzę - odpowiedział kobiecy głos. - Cały czas siedzi na

trzecim piętrze. Zaraz!... Właśnie idzie.

- Nie zgub go - polecił Standard. Zawsze należy mieć nadzieję - pomyślał. Może tym razem „chłopcy” - cztery zdolne kobiety, którymi dowodził - zdołają nie zgubić Beckmanna. Oficer CIA wstał, zostawiając na stole parę drobnych, przeszedł przez ulicę i wszedł do budynku. Tak jak Beckmann, wbiegł truchtem po schodach; jego oddech prawie przy tym nie przyspieszył. Które to biuro? - zastanowił się, spoglądając na tabliczki, przyczepione do drzwi. Zatrzymał się przed jedną, która głosiła „Złote Towarzystwo”. Przyłożył ucho do drzwi. Nic. Zapukał. Nikt nie odpowiadał. Standard nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Wyłamał więc zamek.

- O, cholera!... - jęknął. Na podłodze leżały ciała trzech kobiet. Włączył radio i powiedział: - Beckmann zostawił w „Złotym Towarzystwie” kartę telefoniczną. - Przesząpił nad ciałami i zajrzał po kolei do sypialni. Dlaczego je pozabijał? Wreszcie odkrył laboratorium. Nie był zaskoczony, że leży tam kolejne ciało, poczuł jednak, że wraca mu się kawa, którą dopiero co pił. Po co strzelać człowiekowi w twarz z pistoletu maszynowego?... Przyjrzał się uważnie porozrzucanym na podłodze szczątkom wyposażenia.

Nacisnął znów guzik nadajnika.

- Sprowadź no tu chłopców...

**Wtorek, 6 stycznia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski stał z de Royerem na rampie, wypatrując nadlatujących herculesów. Grupa oficerów sztabowych, pokornie tłocząca się za



nim, przypominała mu przerażone myszy. Tylko pułkownik Bouchard, adiutant generała, stał oddzielnie. Poparzona twarz Francuza

zwrócona była ku zachodowi, skąd miały nadlecieć samoloty.

- Są - powiedział, pokazując niebo rękawiczką.

Wszyscy podnieśli jednocześnie wzrok w tę stronę. Nad zatoką Table pojawiły się dwa pierwsze transportowce, C-130 Hercules. Potężne, pękate, czterosilnikowe górnopłaty o napędzie turbośmigłowym kończyły schodzenie, zachowując niewielki odstęp; niebo wypełniło ciche, ale głębokie buczenie.

Jakieś półtora kilometra dalej, Pontowski odnalazł wzrokiem dwa następne. Okiem znawcy przyglądał się, jak zachowują szyk pierwsze dwa; piloci postanowili przelecieć najpierw nad bazą, żeby zorientować się w sytuacji. Doskonale - ocenił. Rzucił krótkie spojrzenie de Royerowi, ale potężny Francuz nie zareagował. Można się było tego spodziewać. De Royer był generałem wojsk lądowych; nie nosił nawet skrzydełek spadochroniarza. Nie wie więc, na co patrzy - do takiego przynajmniej wniosku doszedł Pontowski.

Pierwsze herculesy zostały wyprodukowane przez zakłady Lockheeda jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych. Wkrótce C-130 stał się podstawowym transportowcem Sił Powietrznych USA. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych wykonywał „prace fizyczne” w Wietnamie, dowożąc ładunki i żołnierzy, a otrzymując w zamian wrogie pociski. Taki już los koni roboczych - nikt nie opiewa ich w balladach... Ponieważ płatowiec charakteryzował się mocną budową, a przy tym wyjątkową zwrotnością, pewną ich liczbę przerobiono na maszyny bojowe, wyposażając je w działka. Tak

zmodyfikowane herculesy siały prawdziwą grozę; nazwano je Spectre, czyli Widmo. Późniejsze wersje były przystosowane do wykonywania operacji specjalnych; mogły zrzucić ładunek w powietrzu przy dużej szybkości i małej wysokości, w najtrudniejszych nawet warunkach.

Te jednak maszyny, które przyleciały teraz do Ysterplaat, były najzwyklejszymi transportowcami z 314, skrzydła, stacjonującego w bazie Little Rock, w stanie Arkansas. Większość ludzi znajdujących się na ich pokładach była młodsza od nich.

Pierwszy z herculesów dotknął kołami pasa i dojechał do jego końca, podczas gdy drugi przelatywał właśnie nad progiem. Następna para podchodziła już do lądowania.

C-130, który wylądował pierwszy, przejeżdżał teraz obok czekających oficerów. Pilot złapał za dźwignie przepustnic i zaczął zmieniać obroty śmigieł, wygrywając w ten sposób melodię. Matt mógłby przysiąc, że usłyszał początek „Marsylianki”. Następnie otworzył się właz awaryjny za kabiną i ukazała się w nim flaga. Amerykański sztandar trzepotał na wietrze, podczas gdy olbrzymie cielsko samolotu posuwało się naprzód. W końcu kolos zatrzymał się, a następnie ruszył dziarsko w tył, jednocześnie zakręcając - pilot odwrócił ciąg śmigieł. Kiedy dziób samolotu znalazł się dokładnie naprzeciwko Pontowskiego i de Royera, pilot nacisnął hamulce, w wyniku czego dziób uniósł się, a następnie opuścił z powrotem, wykonując mały ukłon.

Matt rzucił okiem na de Royera drugi raz. Generał patrzył prosto przed siebie, nie zmieniając wyrazu twarzy ani na chwilę. Choć przez moment Pontowskiemu wydało się, że

dostrzegł w zimnych oczach Francuza krótki błysk.

Następny C-130 także zatrzymał się i cofnął, wykręcając na miejsce postoju, choć już się nie kłaniał. Załogi i pasażerowie zaczęli wysiadać i robić zbiórki koło samolotów, podczas gdy trzeci i czwarty hercules kołowały z pasa. Od grupy stojącej koło pierwszego samolotu oddzieliła się pojedyncza postać i ruszyła w stronę rampy. Okazała się kobietą. Kiedy podeszła do czekających, Pontowski zobaczył jej nazwisko i stopień - podpułkownik Lydia Kowalski. Gwiazdka otoczona wieńcem nad skrzydełkami pilota na jej mundurze oznaczała, że pani pułkownik jest doświadczonym pilotem, który spędził za sterami tysiące godzin.

Kowalski była potężną, kościstą kobietą, niemal tak wysoką jak Pontowski. Miała ciemne włosy, upięte ciasno z tyłu głowy. Zaczynała już siwieć; zmarszczki otaczały jej brązowe oczy. Poruszała się pewnie - musiała przeżyć już niejedną trudną misję. Zatrzymała się przed de Royerem i zaszalutowała służbiście.

- To najbardziej nietypowy przyłot, jaki widziałem - oświadczył generał po francusku, odpowiadając jej na salut. - Pani nazwisko i stopień?

- Podpułkownik Lydia Kowalski, dowódca kontyngentu 314 skrzydła transportowego.

De Royer popatrzył na nią swoim spojrzeniem zdechłej ryby, po czym oznajmił:

- Jest pani teraz pod moim dowództwem. Nie aprobuję tego typu przedstawień. W przyszłości wszystkie lądowania mają być normalne. - Odczekał, aż van der Roos przetłumaczy; patrzył już na horyzont, ponad głową pani podpułkownik.

- Tak jest - odparła krótko Kowalski, salutując. De Royer odsalutował, nie mogąc odpuścić sobie regulaminowej wymiany honorów. Kobieta przybrała idealnie obojętną minę i odmaszerowała do swojej załogi.

General patrzył teraz na Pontowskiego. Zdechła ryba...

- Niech pan zamelduje się u mnie jutro po południu wraz z pańskim oficerem operacyjnym. Pułkownik Bouchard wyznaczy godzinę. - Tym razem nie czekał na formalną odpowiedź, tylko odwrócił się i odszedł do samochodu. Jego sztabowcy rozpięzchli się i pobiegli do swoich jeepów.

- Nabity wór *merde!*... - stwierdził dobitnie van der Roos.

- *Mais oui* - przyznał Pontowski, ruszając do swojego sztabu.

## **Środa, 7 stycznia**

### **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski, Leonard i van der Roos zameldowali się adiutantowi de Royera dokładnie o czwartej po południu, jak im przykazano. Znowu musieli czekać; tym razem jednak Bouchard zaproponował im herbatę i kawę.

- Przepraszam za opóźnienie - powiedział po angielsku.

Matt poczuł, że Francuz próbuje nawiązać z nimi kontakt, poprosił więc o kawę i zagadnął po francusku:

- Panie pułkowniku, jeśli wolno zapytać - gdzie pan służył? Nie wygląda pan na typowego adiutanta...

Bouchard nie dał po sobie poznać, jakie uczucia wzbudziło w nim to pytanie; odpowiedział z niewzruszoną miną:

- Dowodziłem kiedyś kompanią w drugim pułku

spadochronowym Legii Cudzoziemskiej. Generał de Royer był moim przełożonym. Potem ja dowodziłem tym pułkiem.

Słowa Boucharda zrobiły na Pontowskim wrażenie. Drugi pułk spadochronowy Legii Cudzoziemskiej był najsłynniejszym z jej dziewięciu pułków. Poziom wyszkolenia żołnierzy dorównywał amerykańskim Rangersom.

- Nie wiedziałem, że pan generał też jest legionistą... - dał wyraz zdziwieniu Matt.

Odezwał się sygnał interkomu i Bouchard wprowadził ich do biura de Royera. Generał, zamiast pokazać im fotele, odezwał się z miejsca:

- Czas przedyskutować wasze zadania pod moim dowództwem. Samoloty myśliwsko-szturmowe są nam oczywiście potrzebne jako symbol siły; najważniejsze są jednak C-130, które przyleciały wczoraj, ponieważ tylko one mogą dostarczać pomoc humanitarną, tam gdzie należy. Dlatego właśnie pojechałem do bazy zobaczyć ich przylot.

Matt spodziewał się, że teraz nastąpi tyrada na temat zachowania się pani Kowalski, jednak de Royer nawet o tym nie wspomniał.

- Zrozumiałem, że wasz rząd ma przysłać dywizjon złożony z dwunastu transportowców C-130, a nie tylko cztery. Kiedy mogę spodziewać się pozostałych?

- Nie wiem - odpowiedział Pontowski, nie czekając na tłumaczenie. - Ale dowiem się.

De Royer patrzył na niego zimno, podczas kiedy van der Roos tłumaczył całą wymianę zdań.

- Proszę to zrobić. Niech C-130 będą na jutro gotowe do akcji.

Zwalniam panów. - Czterej oficerowie odwrócili się do wyjścia. - Pułkownikowi Pontowski - powiedział jeszcze generał - proszę na chwilę zostać. - Odczekał, aż pozostali zamkną za sobą drzwi. - Od tej chwili zostaje pan przydzielony do mojego sztabu jako oficer operacji powietrznych.

- Czy mogę zapytać o powód tej zmiany? - odezwał się Matt, z trudem hamując złość.

- Skoro zależy panu na tym, żeby rozmawiać ze mną bezpośrednio, musimy stworzyć panu powód, który by to uzasadniał.

- A ja jestem zmuszony zaprotestować - stwierdził Pontowski. - Moje miejsce jest przy moich ludziach i samolotach.

- Pańskie miejsce jest tam, gdzie panu wskażę. Biorąc pod uwagę pański nowy przydział, nie będzie pan latał bez mojego zezwolenia. Ponadto żądam codziennych, porannych raportów na temat operacji powietrznych. - Powiedziawszy to odwrócił się do okna.

Leonard i van der Roos czekali na Pontowskiego w pokoju Boucharda.

- To nie do wiary! - wybuchnął Matt. - Generał awansował mnie na swojego oficera do spraw operacji powietrznych... - Na groźnej twarzy Boucharda pojawił się wyraz zdumienia; jednak nic nie powiedział. - „Tango” - zwrócił się Matt do Leonarda - Johna nazywano w jednostce „Tango” - będziesz musiał dowodzić skrzydłem.

Leonard aż usiadł.

- Cholera jasna... przypominają mi się Chiny i Von Drexler. Znowu to samo?! - W pamięci ich obu tkwiła jeszcze postać generała

Marka Von Drexlera, dowódcy Amerykańskich Oddziałów Ochotniczych w Chinach, gdzie przyjaciele przeszli niejedno. Von Drexler był błyskotliwym logistykiem i strategiem, jednak przebrał miarę, dając się zwieść swojej niezależnej pozycji naczelnego dowódcy. Ciemne siły drzemiące w jego chciwym *ego* doprowadziły go do megalomanii i zniszczyły.

- Daj spokój, to zupełnie inna sytuacja - odparł Matt. - De Royer to nie Von Drexler. Rozgrywajmy to tak, jak nam przypadło - na razie. Piet, czy zostaniesz moim adiutantem i tłumaczem?

- Przecież pan świetnie mówi po francusku, lepiej niż ja...

- To prawda... - mruknął Bouchard po angielsku.

- Ale nie znam *afrikaans* - odparł Pontowski.

- W takim razie, z przyjemnością - powiedział van der Roos. - Pierwsze słowo, jakiego musi się pan nauczyć, to *braaivleis*. Pewna znajoma mi osoba wydaje właśnie dzisiaj coś takiego.

„Znajoma van der Roosowi osoba” okazała się najpiękniejszą kobietą, jaką Matt widział. Aż się cofnął, kiedy ją zobaczył. Stał i usiłował „strawić” jej widok, podczas gdy van der Roos przedstawiał Leonarda i Boucharda. Była wysoka, miała wspaniałe proporcje... Ciemne, gęste, długie włosy spływały falami po plecach, przewiązane luźno jasnobłękitnym szalem. Miała wydatne kości policzkowe i pełne usta. Nadawało jej to nieco egzotyczny wygląd, choć Matt nie był w stanie określić, skąd mogłaby pochodzić. Nosila męską, białą koszulę z podwiniętymi rękawami, rozpiętą na tyle, że tworzyła okazały dekolt; nie było pod nim widać śladu biustonosza... Nie zapięła także dolnych guzików z boku dzinsowej spódnicy, wysoko

ukazując lewą nogę.

Ciemne oczy kobiety spojrzały na Matta, kiedy van der Roos go przedstawiał.

- Eleno, to jest mój nowy szef, pułkownik Matthew Pontowski. Panie pułkowniku - madame Elena Martine, dyrektor Misji Obserwacyjnej Organizacji Narodów Zjednoczonych w Republice Południowej Afryki.

Pani Martine potrząsnęła ręką Pontowskiego po europejsku - krótko i silnie.

- Cóż, pułkowniku - odezwała się. - Charles niewiele mi o panu opowiadał. Musimy się lepiej poznać. Czy mam nazywać pana „Matthew”, czy też „Matt”?

- Wolę „Matt”, madame.

- Eleno. „Madame” brzmi tak, jakbym była stara i okropna. - Roześmiała się, przełamując resztki rezerwy Matta. - Życzę miłej zabawy. - Ruszyła do innych gości, pozostawiając Pontowskiego w lekkim oszołomieniu.

- Skąd taka kobieta się tu wzięła?... - wymamrotał Leonard, nie spodziewając się odpowiedzi. Całkiem poważnie rozważał możliwość złamania przysięgi małżeńskiej.

- Kto to jest Charles? - zainteresował się natomiast Pontowski.

- Chyba miała na myśli generała de Royera - podsunął Bouchard.

- Co ona tu robi? - pytał Matt.

- W misji obserwacyjnej ONZ? - upewnił się van der Roos. - Misja trwa tutaj od czasu wyborów w 1994 roku. Prawdę mówiąc, nikt nie wie, czym się aktualnie zajmują. Mają dużo pracowników, jeszcze większy budżet, wille takie jak ta - do celów służbowych,



oczywiście... Jeżdżą sobie po kraju i przyglądają się różnym rzeczom. Wydają przy tym sporo pieniędzy, więc właściciele sklepów są z nich bardzo zadowoleni. Chodźcie, panowie, oprowadzę was po domu i przedstawię innym gościom. - Po tych słowach przeprowadził ich przez salon do ogrodu.

Matt dowiedział się w ten sposób, że *braai vleis* oznacza po afrykanersku tyle, co po angielsku *barbecue*, czyli przyjęcie na wolnym powietrzu, którego główną atrakcją są szaszłyki. Większość gości była pracownikami misji ONZ lub członkami korpusu dyplomatycznego, albo czarnoskórymi politykami. Żona ambasadora Stanów Zjednoczonych rozpoznała Matta i zaprowadziła go do męża, zajętego właśnie rozmową.

- Kochanie - oznajmiła gruchającym głosem - zobacz, kogo znalazłam!...

- A, Matt - powitał Pontowskiego ambasador. - Miałem nadzieję, że się spotkamy. - Odwrócił się do rozmówcy i przedstawił Matta: - Generale Beckmann, to pułkownik Matthew Pontowski. - Mężczyźni podali sobie ręce.

- Miło pana poznać, pułkowniku - powiedział Beckmann. - Dużo o panu słyszałem. - Popatrzył Mattowi prosto w oczy, nie mrugając.

- Pan generał Beckmann jest dowódcą Żelaznej Gwardii - dodał ambasador.

- Słyszałem - odparł Pontowski. - Z tego, co mi powiedziano, Żelazna Gwardia to zbrojne ramię AWB...

- Jesteśmy niezależną siłą, pilnującą porządku - stwierdził krótko Beckmann, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

Matt poczuł, że pod niepozorną postacią Beckmanna musi kryć się

potężny duch.

- Miałem nadzieję, że poznam dzisiaj jakichś Afrykanerów - rzucił Pontowski.

Beckmann rozejrzał się.

- Nie ma nas tu wielu - powiedział. - Dla tych ludzi znaczymy tyle, co nic... - Nagle wyprostował się i skłonił sztywno, po wojskowemu.

- Miło mi było pana poznać, pułkowniku. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Nie rozumiem, co go napadło? - odezwała się pani ambasadorowa, zdziwiona. - Zazwyczaj jest takim dżentelmenem...

Pontowski powiedział coś uprzejmego i zostawił ich samym sobie. Dziwnie się czuł po krótkim spotkaniu z Beckmannem. Dlaczego okazał mu wrogość? Zamiast wmieszać się w gości, Matt odnalazł na werandzie wolną ławkę i usiadł, żeby zastanowić się nad tym, co zaszło.

Po chwili przysiadła się do niego Elena, nieustannie dbając, żeby jej goście się nie nudzili.

- Widziałam, że poznaliście się z Hansem Beckmannem - zagadnęła.

- Jeśli można tak to nazwać - odparł.

- Mówił, że chciałby się z tobą spotkać. Pewnie ma jakąś zawodową sprawę. - Uśmiechnęła się, robiąc tym samym trudne do opisanego wrażenie. - Muszę iść do innych gości... - przeprosiła i odeszła. Pontowski patrzył za nią. Stawiała długie kroki. Jej nogi błyskały w świetle latarni otaczających ogród...

- Gapi się pan z otwartymi ustami, panie pułkowniku - odezwał się czyjś głos. Matt odwrócił się i zobaczył ładną, młodą kobietę. -

Nazywam się Samantha Darnell - przedstawiła się. - Jestem kamerzystką Elizabeth Gordon.

No to świetnie... - pomyślał sobie. Już dotarła tu prasa. Tego akurat najmniej potrzebował. Uśmiechnął się najładniej jak umiał i odparł:

- Mam nadzieję, że się nie śliniłem.

- Prawie - powiedziała. I dodała: - Ma za duże usta.

Roześmiał się.

- Gdyby nie to, byłaby idealna. - Zmienił temat i ruszył w stronę pozostałych. - Dopiero się tu wszyscy rozglądamy. Przylecieliśmy zaledwie parę dni temu.

- Wiem - odpowiedziała panna Darnell. - Filmowałam wasze lądowanie. Było niezłe.

- To się nazywa lądowanie kluczami. Ma swoje uzasadnienie.

- O, nie wątpię.

Matt usłyszał w głosie kobiety lekceważącą nutkę. Ci cywile... Wykonał uśmiech „numer 15” i wyjaśnił:

- Zwykle latamy po dwa albo cztery samoloty, czyli w kluczach. Kiedy lądujemy kluczami, najczęściej mamy już mało paliwa - na mniej więcej dziesięć do piętnastu minut - i chcemy znaleźć się na ziemi jak najszybciej. Poza tym za nami może być więcej samolotów, które jednak nie mają ani trochę więcej paliwa. Lądowanie kluczami to najszybszy sposób posadzenia na lotnisku dużej liczby samolotów.

Nie powiedział jej o taktycznym uzasadnieniu. Lądowanie kluczami minimalizuje czas, podczas którego piloci są bezbronni. Gdyby miał cień szansy, z łatwością zdołałby przeciąć tor samotnie

lądującego samolotu wroga i zestrzelić go jak kaczkę. Nie uważał jednak za stosowne przypominać prasie, że jego praca polega również na zabijaniu ludzi, i że jest w tym dobry...

Sam przyjrzała mu się uważnie. Okazał się inny, niż się spodziewała. Myślała, że pułkownik Pontowski będzie jakimś Neandertalczykiem, prymitywnym kretynem i moralnym zerem, którego łatwo nie lubić. Dlaczego w ogóle się do niego odezwała? Może dlatego, żeby był jednym z niewielu Amerykanów obecnych na przyjęciu? Nie wiedziała.

Dołączył do nich Piet van der Roos. Matt przedstawił go dziennikarce.

- Jak się pani podoba przyjęcie? - spytał kapitan. Samantha uśmiechnęła się promiennie.

- Och, bardzo.

Z pewnością - pomyślał Matt. Pewnie wyszukujesz jakieś brudy, żeby zrobić reportaż.

- Mnie też powiedział - chociaż spodziewałem się, że poznam więcej Afrykanerów.

- Moi rodzice mają winnicę i winiarnię koło Paarl - odparł van der Roos. - Należy do naszej rodziny od ponad dwustu lat. To niedaleko stąd. Moglibyśmy pojechać tam na lunch; na przykład - w sobotę?

- Świetny pomysł. - Pontowski ucieszył się.

- Ja też bardzo chciałabym zobaczyć pański dom!... - wtrąciła Samantha.

No to świetnie - pomyślał sobie Matt. Po prostu super...

**Czwartek, 8 stycznia**

## **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Bill Carroll przeszedł powoli przez biuro, zawrócił i zaczął iść w drugą stronę. W połowie drogi wyciągnął rękę i złapał się biurka. Omal nie upadł. Czuł się wyczerpany lekkim przecież ćwiczeniem. Usiadł. Cholera jasna! Dlaczego najpierw muszą „iść” nogi? Będzie mu brakowało biegania. No i Wayne’a Adamsa i Chucka Stanforda, którzy przebiegli z nim chyba tysiące kilometrów.

Zadzwoił do sekretarki.

- Midge, słuchaj, daj no mi tu Chucka i Wayne’a, co? Kiedy tylko będzie można ich zmieścić. - Ile zostało mi czasu? - pomyślał. Czy powinienem już zrezygnować i spędzać jak najwięcej czasu z rodziną? Za dużo pytań. Za mało odpowiedzi.

Oparł się wygodnie i spojrział na ostatni zakup, wiszący na ozdobnym stojaku na płaszcze. Była to prosta, solidna, brązowa laska. Oznaczała zupełnie co innego niż elegancka hebanowa laseczka z połączoną gałką, jaką nosił Piccard. Laska Piccarda roztaczała wokół niego aurę staroświeckiej elegancji, była jakby zewnętrznym elementem jego czaru. Laska Carrolla natomiast była najpospolitszym szpitalnym przyrządem. Używanie jej oznaczało poddawanie się chorobie Lou Gehriga.

- O, nie - mruknął sam do siebie i wrócił do pracy.

Najważniejszą sprawą, jaką się teraz zajmował, była operacja południowoafrykańska. Tkwił w bezruchu, bo choroba, pożerająca jego układ nerwowy, sprawiała, że poruszanie się stało się niewygodne. Za to zdolność Billa do koncentracji i błyskotliwość jego analitycznego umysłu wzrosły, jak gdyby usiłowały

zrekompensować niezdarność ciała.

Jaka będzie przyszłość RPA? Czy plemienne właśnie, chciwość i wszechobecny brak kompetencji sprowadzają na tę samą drogę, co resztę Afryki?

Najważniejszą rolę odegra Beckmann - zdecydował. Ściągnął zielony pokrowiec zakrywający biurko i komputer. Monitor był do połowy wmontowany w blat, pochylony pod kątem i osłonięty szybą. Przez najbliższą godzinę palce Carrolla poruszały się po klawiaturze, a on wywoływał, jedna za drugą, informacje z rządowych baz danych. Miał dostęp do wszystkiego; między innymi do zastrzeżonego tylko dla wybranych Systemu 4 - programu, w którym gromadzono wszelkie informacje o tajnych operacjach wywiadowczych prowadzonych przez Stany Zjednoczone.

W końcu wyłączył komputer i wyobraził sobie mapę południowej Afryki. Pamiętał ją dobrze; mógł przesuwając ją w myślach, jak chciał. Nałożył na siebie mapy zróżnicowania rasowego, gęstości zaludnienia i rozwoju gospodarczego. Do tego dodał jeszcze sieć transportową. Wreszcie przypomniał sobie najnowsze dane wywiadu na temat Hansa Beckmanna.

Starł się pamiętać cały złożony obraz. W jego centrum znajdował się wydłużony owal - sięgał od Bloemfontein na południu do Johannesburga i Pretorii na północy. Właściwie jedynym pozostałym obszarem, w którym dominowali dawni mieszkańcy południowej Afryki, był Kapsztad i tereny wokół niego - większa część Prowincji Przylądkowej. Prowincje Natal i Durban stanowiły domenę Zulusów; reszta kraju podzielona była na małe enklawy plemienne. Skoncentrował się więc na warstwie rasowej i

plemiennej. Tak, to była przede wszystkim mapa plemienna.

Kiedy skończył, siedział w zupełnym już bezruchu. Zrobił coś, czego nie mógł dokonać żaden komputer - zakradł się do umysłu Hansa Beckmanna. Beckmann i AWB chcą stworzyć państwo Afrykanerów, *Boerstaat* - pomyślał. Jakim sposobem tak niewielu ludzi mogło powodować tak ogromne kłopoty? Przecież większość białych w RPA, w tym większość Burów, to zwykli neutralni ludzie. Chcą mieszkać razem z czarną społecznością, jeśli tylko warunki tego życia nie staną się zbyt uciążliwe. A teraz właśnie stały się uciążliwe - zanoszą się na rewolucję, a rewolucję wywołują zawsze ci, którzy nienawidzą. Beckmann jest jednym z nich. Łatwo może stać się iskrą, która zapali stos.

William zamknął oczy. Wiedział, co się stanie w RPA. Co zatem powinien teraz zrobić? Zbieranie danych wywiadowczych już nie wystarczy. Czy nadszedł czas na tajną operację?

Odezwał się sygnał interkomu.

- Przyszli Adams i Stanford - rozległ się głos sekretarki.

- Wpuść ich.

Dwaj agenci stanęli przed biurkiem człowieka, którego ochraniali. Przeszli z nogi na nogę, widząc jak prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego z trudem wstaje.

- Złe wiadomości - oznajmił Carroll. - Nie będzie więcej biegania.

- Agenci jednocześnie skłonili głowy. - Lekarze mówią, że mam ALS

- stwardnienie zanikowe boczne, czyli chorobę Lou Gehriga.

Adams i Stanford wymienili spojrzenia. Będą musieli powtórzyć to swoim zwierzchnikom, żeby Secret Service przystosowała się do nowej sytuacji i była gotowa pomagać także w innych niż dotychczas

sprawach. Poza tym jednak muszą zachować absolutne milczenie. Nie wolno im powtórzyć wiadomości nawet żonom. Wymaga tego od nich ich praca.

- Panie Carroll - odezwał się Adams, mówiąc także za swojego kolegę. - Jeśli nie sprawi to panu przykrości, chcielibyśmy zostać przy panu.

- Dziękuję, ale chyba lepiej opłaca się wam służyć bezpośrednio przy prezydencie, albo wykonywać działania specjalne? Wtedy najłatwiej o awans.

- I co z tego? - powiedział Stanford.

- Może zjemy razem lunch? - zaproponował Carroll. - Ja stawiam.

- Podreptał do wieszaka na płaszcze i zdjął z niego łaskę.

- To mój nowy przyjaciel - powiedział, po czym wyszedł z agentami z pokoju.

- Może... - odezwał się Stanford. - Znam taki miły, mały lokal na ulicy Columbia... Jeśli lubi pan najlepszą włoską kuchnię, no i oczywiście ma czas.

- To brzmi zachęcająco - odparł Bill. Znajdzie na to czas.

## **Rozdział ósmy**

### **Sobota, 10 stycznia**

#### **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski szedł korytarzem, zdziwiony ożywieniem, jakie panowało w sztabie generała. Liczył na to, że korzystając ze spokoju panującego zwykle w czasie weekendu urządzi sobie swoje biuro i zajmie się setkami drobiazgów potrzebnych do prowadzenia działań



operacyjnych. Na jego biurku leżała teczka pękająca niemal od dokumentów i faksów. Musiał to wszystko przejrzeć. Wiedział już, że de Royer jest wymagającym przełożonym.

Matt usiadł i podzielił stos na trzy części - tę, którą będzie się musiał zająć osobiście, drugą - dla Leonarda i trzecią - do śmieci. Ostatnia wiadomość pochodziła z Centrum Personelu Wojskowego bazy lotniczej Randolph, koło San Antonio, w Teksasie.

- Cholera! - zaklął. Były to wyniki posiedzenia rady nominującej pułkowników. Podpułkownik Lydia Kowalski - pilot herculesa z bazy w Little Rock - której kandydaturę także rozważano, nie otrzymała promocji.

Pontowski nigdy nie doświadczył rozczarowania oficera, któremu mówią, że nie dostał awansu; że nie uznano go za wystarczająco dobrego, żeby mógł otrzymać wyższy stopień; że inni bardziej nań zasługują; że lepiej będzie, jak zacznie sobie szukać jakiegoś cywilnego zajęcia... Zamyślił się. Mniej niż czterdzieści procent podpułkowników zostaje pułkownikami; pani Kowalski bez wątpienia posiada wymagane kwalifikacje; jednak najwidoczniej nie okazała się najlepsza z tych, którzy je mieli. Od decyzji, które podejmuje pułkownik, może zależeć liczba strat... Co powinien jej powiedzieć? Nie miał pojęcia. Zadzwoił do Ysterplaat i poprosił, żeby pani Kowalski zameldowała się tego samego ranka w jego biurze. Musiał tylko wymyślić, co powie. Dobrze przynajmniej, że Leonardowi się udało.

Lydia Kowalski wyszła z biura Pontowskiego i wzięła głęboki oddech. Cholera - pomyślała sobie. Pieprzone Siły Powietrzne. A

właściwie czego się spodziewałam? Jak wysoko może zajść pilot transportowca, i do tego kobieta? Trzeba było wziąć przydział sztabowy, a nie operacyjny. W dzisiejszych czasach, żeby dostać awans, lepiej zajmować się przekładaniem papierów...

Wyszła z budynku, postanawiając urwać się na resztę dnia z roboty i znaleźć sobie jakiś cichy kąt, w którym mogłaby utopić żal w alkoholu. Nie rozpoznała Sam Darnell - bo i skąd - która właśnie przyjechała na spotkanie z Mattem i Pietem van der Roosem, do którego winnicy mieli pojechać. Gdybym wyglądała tak jak ona, to może byłoby inaczej - pomyślała z żalem Kowalski.

Sam ubrała się na biało. Podwinęła rękawy bluzki i powiększyła dekolt. Miała starannie ułożone włosy - udała się w tym celu do salonu piękności. Nie zdając sobie z tego sprawy, próbowała stać się konkurentką Eleny Martine.

Van der Roos co chwila odrywał oczy od drogi i spoglądał we wsteczne lusterko, próbując ocenić, co dzieje się na tylnym siedzeniu jego mercedesa. Doszedł jednak do wniosku, że nic. Pontowski i Sam zachowywali się poprawnie; mało też rozmawiali podczas jazdy do Paarl. Nawet czarny szeregowiec - Południowoafrykańczyk - jadący obok kierowcy okazał się bardziej rozmowny. Van der Roos czekał na to, kto pierwszy zobaczy pomnik.

Samantha.

- A co to jest? - zapytała, wskazując na potężny monument złożony z trzech iglic, stojący na zboczu góry dominującej nad doliną Paarl.

- To jest *Afrikaanse Taal* - wyjaśnił kapitan, skręcając na drogę

ku monumentowi. - Pomnik poświęcony naszemu językowi. Te dwie mniejsze iglice symbolizują angielski i bantu. Prowadzą ku temu większemu.

- Przypomina mi katapultę - powiedziała - wycelowaną w niebo.

- Słusznie - zgodził się van der Roos. - *Afrikaans* jest jak katapulta. - Zatrzymał samochód. Cała trójka ruszyła w kierunku pomnika, tylko czarny żołnierz, przydzielony dla ochrony, pozostał przy samochodzie. - Te słowa wyryte w płycie, po której idziemy, znaczą: „jesteśmy ważni”. - Zwolnił kroku, pozwalając, by Amerykanie podeszli do pomnika sami.

Samantha zatrzymała się pod posągami, chłonąc wspaniały widok na dolinę i upstrzone chmurami niebo. Matt stanął w pobliżu. Wiatr rozwiewał włosy dziennikarki... Na swój sposób Samantha Darnell była wręcz oszałamiająca. Nie tą klasyczną pięknnością, co Elena Martine, ale za to większą świeżością, mocniejszą budową.

- Szkoda, że nie mam ze sobą kamery - powiedziała. - Tak tu pięknie.

- Pewnie dlatego wybrali to miejsce - zauważył Matt.

- Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem - dodała.

- To dla nas lekcja.

Samantha spojrzała zaskoczona na Pontowskiego.

- Jak to „lekcja”? W jakim sensie?

- To pokazuje sposób myślenia Afrykanerów. Niech się pani zastanowi - po co budować pomnik na cześć języka? Język jest oczywiście podstawą każdej kultury, a przy tym żywym, rozwijającym się tworem. Ale „czci” się go budując biblioteki czy teatry, a nie wielkie pomniki.

Dziennikarka spojrzała przed siebie. Pontowski, ku jej zdziwieniu, potrafił abstrakcyjnie myśleć. Nie spodziewała się tego. Zawsze uważała, że żołnierze to roboty, „półmózgi” ślepo słuchające rozkazów, i nigdy nie zadające sobie pytań.

- A co wobec tego myśleli Afrykanerzy, budując taki pomnik?
- Pokazują światu wielkiego chuja.
- Och! - wyrwało się z ust Samantha. Zezłościła się na siebie za tę reakcję. Pomyślała, że przynajmniej ostatnia wypowiedź pułkownika pasowała do stereotypu „żołnierza”.

Piet rozparł się wygodnie w krześle. Siedzieli w patio przed domem van der Roosów. Plantacja nosiła nazwę Cape Dutch - Przylądek Holenderski. Kapitan słuchał rozmowy. Cieszył się, że jego ojciec i pułkownik Pontowski dobrze się porozumiewają. Jan van der Roos był potężnym, krępy męczyzną o bujnych, siwych włosach, błękitnych oczach i ogromnych dłoniach, zniszczonych i stwardniałych od dziesięcioleci ciężkiej pracy. Mówił twardym, kanciastym angielskim; jego pewny ton zdradzał człowieka, który zna swoje miejsce w świecie. Jak większość Afrykanerów, był zapalczywy, ale jednocześnie ciepły i gościnny. Cieszył się, że gości Matta i Sam.

- Obiad był wspaniały - powiedziała Samantha. — Dziękuję. Van der Roos-ojciec uniósł kieliszek z winem.
- Piękna kobieta i dobre wino sprawiają, że każdy posiłek staje się wspaniały - powiedział.

Samantha zarumieniła się, słysząc ten staromodny komplement.

- A to wino jest rzeczywiście wyśmienite - zauważył Pontowski,

podnosząc kieliszek do światła i kręcąc nim. Ciemnoczerwone, przejrzyste wino zawirowało. - To prawdziwa szkoda, że nie eksportujecie go do Stanów.

- Ależ eksportujemy! - zawołał Jan. - Eksportujemy od czasu wyborów w 1994 roku, kiedy zniesiono sankcje gospodarcze. Sprzedaje się tak świetnie, że nie nadążam za popytem. - Odepchnął krzesło od stołu i wstał. - Proszę ze mną, pokażę panu moje winnice. - Zwrócił się także do Samantha: - Panią też zapraszam; mam nadzieję, że się pani nie znudzi.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Pański dom i ogród są takie śliczne... - powiedziała. - Czy mogę zamiast tego rozejrzeć się tutaj?

Starszy pan ucieszył się.

- Oczywiście. Moja córka pokaże pani wszystko. Aly jest zajęta turystami, którzy zwiedzają piwnice do przechowywania wina. - Wskazał Samancie młodą, czarną dziewczynę, która miała zaprowadzić ją do jego córki. Następnie ruszył z Pontowskim i Pietem do błyszczącego nowiutkim lakierem landrovera.

- Od czasu wyborów interesy idą bardzo dobrze - dodał. - Powiedziałbym nawet - wspaniale.

- Ojciec sady teraz nowe winnice - wyjaśnił kapitan, kiedy jechali pośród morza ciemnej zieleni.

- I zatrudniam coraz więcej ludzi - dorzucił Jan van der Roos. Zatrzymał samochód. Kiedy wysiedli, podbiegło do nich sześciu czarnoskórych robotników i siódmy, starszy od pozostałych Murzyn, najwyraźniej ich przełożony. Matt słuchał, jak starszy Afrykaner rozmawia ze swoimi pracownikami niezrozumiałą dla niego gwarą.

- *Ja baas* - odpowiedział w końcu „brygadzysta” - winnice udają się nam pięknie. Za rok będzie jeszcze lepiej. - Zawtórował mu chór „*ja baas*”. Widać było, że robotnicy lubią swojego pracodawcę i darzą go szacunkiem.

Po kilku minutach jechali już do kolejnej winnicy.

- Znowu chcą podwyżki - odezwał się Jan.

- Inflacja jest coraz większa - zauważył Piet.

- *Ja*, rzeczywiście. Dam im tę podwyżkę, ale niedużą. Lepiej dawać im żywność i ubrania dla nich i ich rodzin niż więcej pieniędzy.

- Nie jest dobrze, kiedy dostaną za dużo gotówki - wyjaśnił Mattowi kapitan. - Od razu przepuszczają je na hazard, upijają się i nie przychodzą do pracy. No i produkcja nam spada.

- A nie można ich wyrzucić i zatrudnić takich ludzi, którzy przychodzą, kiedy powinni? - Pontowski był zdziwiony.

Starszy van der Roos zachnął się.

- To są moi chłopcy. Nie mogę ich wyrzucić za to, że są tacy, jacy są. Zresztą młodszy uczą się w szkołach i będą dużo lepszymi robotnikami. Zanim przyjdą, musimy pracować na takich obrotach jak teraz. Nie można zostawić ich ot tak; trzeba się nimi trochę opiekować.

Aly van der Roos była bardzo ładną dziewczyną o jasnych włosach i wyjątkowo rosłej budowie. Odziedziczyła po ojcu bezpośredni, pogodny sposób bycia. Jej ręce także były szorstkie, zniszczone od pracy. Oprowadziła Samanthę po piwnicach. Z jej słów biła duma z tego, co jej rodzina osiągnęła w ciągu pokoleń.

- Niewielu mamy ostatnio turystów - powiedziała. - Zaraz po wyborach przyjeżdżało ich sporo, ale od czasu kiedy zaczęły się te wszystkie zamieszki, boją się i wolą jechać gdzie indziej.

Kobiety wyszły na dwór. W cieniu starych dębów stały drewniane stoły. Większość z nich była pusta. Przy jednym siedziała grupka Niemców, kończących właśnie dziesiątą butelkę wina. Na końcu innego tkwiła samotna kobieta.

- To Amerykanka - wyjaśniła Aly. - Zachowuje się bardzo spokojnie, ale upija się coraz bardziej... Niepokoję się o nią.

Sam rozpoznała Lydię Kowalski. Zauważyła ją rano, kiedy wyjeżdżali z dowództwa wojsk ONZ.

- Znam ją - powiedziała Samantha. - Porozmawiam z nią.

- Przepraszam, czy wszystko w porządku? - zagadnęła panią podpułkownik.

- Nic mi nie będzie. Upijam się tylko - odpowiedziała Kowalski, wymawiając starannie każde słowo.

- To w niczym pani nie pomoże.

Kobieta wbiła wzrok w Samanthę.

- Była pani kiedyś pijana? - spytała. Zanim Sam mogła zastanowić się nad odpowiedzią, Kowalski zmieniła temat. - Przyjechała pani z pułkownikiem Pontowskim, prawda? - Samantha przytaknęła. - Widziałam, jak przyjeżdżaliście, ale on mnie nie zauważył. Widzi pan, jestem nikim. Takich jak ja się nie zauważa. Jestem niewidzialna, cha, cha. A już szczególnie dla rad przyznających awanse. - Sam zrozumiała, że jej rozmówczyni jest na tyle pijana, że najlepiej będzie pozwolić jej mówić. - Wożę graty. Jestem pilotem C-130. Transportowca. Przewoźnicy gratów nie dostają awansów. -

Zamachała szklanką przed nosem Samantha. - Szperacze dostają promocje, oblatywacze dostają promocje, złoci chłopcy dostają promocje; tylko nie przewoźnicy gratów.

- A Pontowski to „złoty chłopak”? - zapytała Darnell.

Kowalski pokiwała głową, po czym zastanowiła się - i pokiwała znowu.

- Ma poparcie. - Potem zaczęła tak bełkotać, że Samancie trudno było zrozumieć, o czym mówi. Wreszcie pojęła. Podpułkownik Lydia Kowalski mogła właśnie zostać pułkownikiem, ale odrzucono jej kandydaturę. Wszystko, co miała, poświęciła Siłom Powietrznym USA; nieraz ryzykowała życie; porzuciła nawet myśl o tym, że kiedykolwiek założy jeszcze rodzinę.

- Moje małżeństwo to było nieszczęście - powiedziała. - Ja potrzebuję mężczyzny, który lubiłby siedzieć w domu, a on uparł się, żeby robić karierę. Więc wstąpiłam do lotnictwa... tak samo jak robią mężczyźni, kiedy muszą podjąć jakiś wybór...

- Czy to przez Pontowskiego odrzucono pani kandydaturę? - zainteresowała się dziennikarka.

- Nieee, nie przez niego. - Sam spodziewała się innej odpowiedzi. Lydia wyprostowała się. - Niech no tylko pani nie mówi mu, że tu jestem. Muszę wytrzeźwieć.

Dziewczyna skinęła ręką na Aly i powiedziała:

- Czy mogłaby pani przynieść nam kawy? Wszystko będzie w porządku. - Aly uśmiechnęła się pod nosem i poszła po kawę. - Lydio, czy mogłabyś opowiedzieć mi coś o pułkowniku Pontowskim? - ciągnęła rozmowę Samantha. - Jaki on jest, tak naprawdę?

- Potrafi być prawdziwym sukinsynem. Ale czasami szkoda mi go.



Zabili mu żonę... Terrorysty.

- Słyszałam o tym - potwierdziła Sam.

- Mieli zamordować jego - wyjaśniła Kowalski - ale dopadli akurat żonę. Teraz próbuje samotnie wychowywać syna.

Dziennikarka wypytywała dalej:

- Czy to prawda, że pułkownik brał udział w wypadku lotniczym?

- Tak. Zginął wtedy Jack Locke. Najlepszy pilot, jaki kiedykolwiek latał na odrzutowcach. Służyłam z nim podczas operacji Warlord. Sukinsyn, ten to potrafił latać! Pontowski zresztą tak samo... Lecieli z inspekcją, wie pani - inspekcja przygotowania do operacji bojowej. Locke miał z tyłu jednego palanta z Inspektoratu Generalnego - ale to był dupek... nazywał się Raider. No więc Locke i Pontowski akurat lecieli naprzeciwko siebie, no i musieli się jakoś minąć. A ten Raider spanikował i złapał Locke'owi za stery. Wpierdolił się Pontowskiemu prosto w skrzydło. Zresztą, to wszystko zostało opisane w raporcie z wypadku. Ale skrupiło się na Pontowskim, bo przeżył; rozumie pani...

Samantha odezwała się teraz łagodniej:

- Pani chyba go lubi, prawda?

- Wszyscy go lubią - albo nienawidzą. Jego piloci poleciliby za nim w ogień - Przerwała. - Ja też poleciałabym za nim w ogień. A dopiero sukinsyna poznałam...

Podczas jazdy powrotnej do Kapsztadu Sam nie odzywała się wcale. Myślała o człowieku, który siedział koło niej. W którymś momencie zwróciła uwagę, że koło szosy stoją w regularnych odstępach uzbrojeni po zęby czarni żołnierze; mniej więcej co

trzydzieści metrów.

- Co tu robią ci żołnierze? - zapytała.

- Pilnują szosy - odpowiedział van der Roos. - Te chałupy, o tam, to miasteczko Khayelitsha. Ponad połowa jego mieszkańców nie ukończyła jeszcze szesnastu lat. Nie ma tam pracy i wielu chłopców potworzyło gangi. Kradną, napadają na samochody, mordują... Mają takie hasło: „Jeden osadnik - jedna kula”. Kiedy mówią „osadnik”, to mają na myśli każdego białego, niezależnie od tego, co to za człowiek.

Czarny żołnierz siedzący koło kierowcy odwrócił się i powiedział:

- Zawsze wołają to po angielsku. Jeśli kiedyś usłyszycie to hasło - uciekajcie.

- Ale przecież my jesteśmy Amerykanami - zaprotestowała Samantha.

- To nie ma żadnego znaczenia - odparł żołnierz. - Jesteście biali. Dziennikarka była oszołomiona.

- Czy w Afryce wszyscy Murzyni nienawidzą białych? - spytała. Żołnierz uśmiechnął się szeroko.

- Nie, proszę pani. Lubimy białych. Dla większości z nas biali to ludzie, którzy dają nam pracę. A komu potrzeba więcej? - Kiedy Khayelitsha zniknęła już za nimi, czarny żołnierz zacisnął ręce na karabinie. - A tutaj żaden Murzyn nie zatrzyma samochodu, ani nie przejdzie na tamtą stronę drogi - powiedział.

Na prawo od szosy w pewnej odległości widać było rodzaj olbrzymiego kempingu. Stały tam setki namiotów, przyczep, samochodów kempingowych.

- To nasze najnowsze osiedle. Nazywamy je Trektown - wyjaśnił

van der Roos.

Pontowski zwrócił uwagę na mieszkańców mijanego „osiedla”.

- Tutaj wszyscy są biali... - powiedział.

- *Ja*- zgodził się kapitan. - To nowi *trekboers*.

- *Trekboers?* - powtórzyła Samantha. Nigdy przedtem nie słyszała tego słowa.

- *Boer* - tłumaczył van der Roos - to po holendersku „rolnik”. A *trekboers* to byli wędrowni rolnicy - pasterze, którzy przemieszczali się z miejsca na miejsce razem ze swoimi stadami. W 1830 roku wyruszyła z Kapsztadu wielka grupa *trekboers*, na wielki *trek*, czyli wędrowkę, do wnętrza kraju. Nazwano ich *voortrekkers*. Spotykali na swojej drodze różne plemiona i walczyli z nimi. Ustawiali wozy w *laager*, czyli obronny krąg, i bronili się. Na wzgórzu koło Pretorii stoi wielki pomnik - mauzoleum *voortrekkerów*. Ogromny, granitowy obelisk, otoczony przez *laager* granitowych wozów. To jakby święte miejsce naszego afrykanerskiego ducha.

- Afrykanerzy lubią chyba budować wielkie pomniki - odezwał się Matt.

- To prawda - zgodził się van der Roos. - Lubimy pozostawiać na ziemi, do której dotrzemy, znak, który wszyscy będą widzieć z daleka.

- A dlaczego ci *trekboers* wyruszyli nagle z Kapsztadu? - zapytała Sam.

- Żeby pozostać wolnymi ludźmi - wtedy Kapsztad opanowali Anglicy.

- Czy pana rodzina także wywodzi się od *voortrekkerów*!

- Nie, byliśmy zwykłymi *boerami*, nie *trekboerami*.

- Dlaczego Burowie znów tu się osiedlają? - zainteresował się Pontowski.

- Z dwóch powodów - wyjaśniał kapitan. - Żeby pozostać wolnymi ludźmi - to znaczy nie podlegać murzyńskiemu rządowi, który kieruje teraz ich prowincjami - no i dla bezpieczeństwa. Oni także słyszeli hasło: „Jeden osadnik - jedna kula”.

- Trektown - odezwał się żołnierz - to taki *laager*.

## **Poniedziałek, 12 stycznia**

### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

MacKay przedzierał się przez zatłoczony chodnik. Szedł w stronę centrum Broadway Industries. Po szaleństwie, jakie panowało na ulicach Johannesburga, Kapsztad wydawał się oazą spokoju. Ludzie zajmowali się tu zwykłymi, codziennymi sprawami. Od czasu do czasu oglądał się za nim jakiś biały przechodzień. W spojrzeniach ludzi nie było jednak wrogości, z jaką spotkał się w Johannesburgu.

Wszedł do głównego holu budynku. Biały strażnik - mężczyzna w średnim wieku - zatrzymał go:

- Pan w jakiej sprawie?

- Mam spotkanie z amerykańskim attache handlowym - odpowiedział spokojnie MacKay. Znowu udawał biznesmena. Dzięki temu mógł nawiązać kontakt z „opiekującym” się nim oficerem. Był to bardziej „normalny” sposób niż posługiwanie się „kosmicznymi” gadżetami, od jakich roi się w filmach. Co nie znaczy, że łatwiejszy - trudno było wyrobić sobie miejsce w cywilnym świecie, tak, aby nikt nie rozpoznał, kto kryje się pod spotykaną co dzień postacią.

Kilka minut później pułkownik rozmawiał już z amerykańskim

attaché handlowym, nazwiskiem Richard Davis Standard. Standard wyglądał jak otyły biznesmen w średnim wieku; ubierał się w wymięte garnitury. W rzeczywistości był jednak doświadczonym agentem CIA. Zdążył już pracować w Argentynie, Hiszpanii, Grecji i Turcji.

- Gdzieś ty się, u licha, podziewał?! - powitał Johna pytaniem.

- Tam się ostro dzieje - odparł MacKay. - Ledwo udało mi się wydostać z Johannesburga.

Standard nie protestował.

- Słyszałem. Kiepska sprawa z Robbym i Grawleyem... To był niezły pomysł, z tym założeniem butów ciała. Na początku sami daliśmy się zmylić. A propos, kto to był?

- Ten sukinsyn, który ich zastrzelił - wyjaśnił John. - Zabrałem mu to. - Podał Standardowi identyfikator Żelaznej Gwardii i pistolet.

- Ta legitymacja otwiera w AWB wszystkie drzwi. Stałem na czatach koło naszego biura, kiedy to się stało. No i pojawił się Hans Beckmann. - Pozwolił Standardowi samemu wyciągnąć z tego oczywiste wnioski.

- Nie dziwi mnie to - mruknął „attaché”. - Coś ostatnio dużo wokół Beckmanna martwych agentów. - Nie wyjaśniał MacKayowi, że „chłopcy” znalazły zmasakrowane ciało japońskiego szpiega. - Ten Beckmann to same kłopoty. Pokazał się i tutaj, razem ze swoim bratem, Erikiem. Kolejna sztuczka... - mówił, przyglądając się legitymacji. - To się nam może przydać. - Wrzucił identyfikator do szuflady. - Jak się tu dostałeś?

- Przez Bloemfontein - odpowiedział John. - Wysadziłem Zibę niedaleko Slavina.

- To znaczy, że Slavin przeniósł się do Bloemfontein? Zgubiliśmy go przez te całe zamieszki.

- Ziba mówiła coś o obserwatorium Boyden - wyjaśnił MacKay. - Miała zadzwonić w Bloemfontein pod podany numer. - Wyciągnął w stronę Standarda karteczkę z telefonem.

Szef placówki CIA chrząknął i zadzwonił gdzieś, żeby sprawdzić numer.

- To nie jest telefon do Bloemfontein - powiedział po chwili. To numer do Żelaznych Wrót - bazy Beckmanna; jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Bloemfontein.

- Cholera... - zaklął MacKay. Ziba wpakowała się na dobre.

Standard zauważył reakcję Johna i zabębnił palcami w stół. Czy MacKay może być wysłany z powrotem „w teren”? Pewnie skompromitował się już na tyle, że nie powinno się tego ryzykować? Jednak pułkownik miał swoją agentkę w samej „jaskini lwa”, a to trudno było przecenić. Trudno - pomyślał Standard - w wywiadzie człowiek zawsze znajduje się w niebezpieczeństwie. Langley dostanie komunikat, że nadal są na tropie Numeru Jeden.

- Czy możesz nawiązać ponowny kontakt z Zibą? - zapytał.

- Już to zorganizowałem - odpowiedział John.

Standard uspokoił się. „Gengha Dung” - szef CIA na subsaharyjską część Afryki będzie zadowolona. Nazwano ją tak przekręcając imię Czyngiz-chana, ponieważ zachowywała się w sposób iście imperatorski. Głowa Standarda nie zostanie złożona w ofierze dyrektorowi CIA, jako okup za niepowodzenia oddziału tej pani...

- Damy ci nowe dokumenty i nazwisko - powiedział Standard. -

Będziemy się oczywiście spieszyć, ale i tak zajmie to parę tygodni.

MacKay podszedł do okna.

- Zdaje się, że tutaj to chyba reguła - mruknął.

- Tu też trochę się dzieje, szczególnie w biednych, „czarnych” dzielnicach - powiedział Standard. - Ale mimo wszystko, sytuacja wygląda inaczej niż w Johannesburgu. W Kapsztadzie połowa ludności to Mulaci, a druga to mniej więcej pół na pół biali i czarni. Mulaci są inni niż Murzyni. To pogodni, dowcipni ludzie; chodzą mocno po ziemi.

- Rząd kontroluje ciągle zachodnią część Prowincji Przylądkowej - mówił dalej. - Południowoafrykańskie lotnictwo i marynarka są do dyspozycji; cały czas pozostają lojalni. I założę się, że będzie tak dalej, chyba że poślą ich do walki z AWB. Gorzej z wojskami lądowymi. Mniej więcej jedna trzecia zdezerterowała i uciekła pod komendę AWB. Na szczęście zabrali ze sobą niewiele sprzętu. - I parę bomb atomowych... - dodał w myśli.

Podszedł teraz do wiszącej na ścianie mapy.

- Ale rząd nie jest w stanie kontrolować tego, co dzieje się w wewnętrznej części kraju, a tam - jak wiesz - ciągle trwają rozruchy; zaczyna się także głód. No więc poprosili ONZ o przysłanie sił pokojowych i różne organizacje międzynarodowe o pomoc humanitarną... - Po tych słowach klepnął MacKaya w ramię i odprowadził do windy.

- Zatrzymaj się w hotelu Ritz Protea w Sea Point. Skontaktujemy się tam z tobą - rzucił.

Kiedy John odjechał, Standard wrócił do pokoju i otworzył szufladę biurka. Przyjrzał się uważnie legitymacji członka Żelaznej

Gwardii. Wreszcie nacisnął guzik interkomu, dzwoniąc do podziemia.

- Daj no tu „chłopców” - powiedział. - Mamy robotę.

**Środa, 14 stycznia**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Przez park prezydencki, po południowej stronie Białego Domu dwóch agentów Secret Service posuwało się powoli za doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Od alei East Executive nadjeżdżały trzy limuzyny, wioząc zapewne jakiegoś zagranicznego dygnitarza ze świtą.

- Dlaczego takie rzeczy zawsze trafiają się porządnym facetom? - rzucił Wayne Adams. Był starszy od kolegi i uważał się za „filozofa”.

- Kto to wie? - odparł Chuck Stanford. - Dlaczego prawdziwe śmiecie żyją najdłużej? Cholera! Mam paru kandydatów do tej choroby, zamiast niego... - Zamyślił się na chwilę. - Zmienił się... - W tym momencie Carroll zachwiał się.

Dwaj mężczyźni skoczyli w jego stronę, jednak zdołał odzyskać równowagę. - Ale gość się nie poddaje.

Spokojnie, powoli - tłumaczył sobie w myśli Bill. Nie pozwalaj się szarpać. Przecież Wayne i Chuck i tak wiedzą, więc kogo oszukuję? Ciesz się, człowieku, że sobie spacerujesz, póki jeszcze możesz.

Po chwili Carroll usiadł na ławce koło kortów tenisowych, żeby odpocząć. Przez chwilę obserwował dwoje młodych pracowników Białego Domu, którzy rozgrywali seta, korzystając z roz pogodzenia. Byli pełnymi życia, cieszącymi się młodością ludźmi. Zarówno kobieta miała męża, jak i mężczyzna żonę, choć każde swojego. Miał



ochotę ich ostrzec, co stanie się, kiedy popełnią faul - wskoczą razem do łóżka. Uśmiechnął się pod nosem. Mało kto znał mechanizmy, którymi rządził się Biały Dom.

Słuchawki w uszach obu agentów odezwały się jednocześnie.

- Zobaczcie - powiedział kobiecy głos. - Uśmiechnął się! - Stanford i Adams nie byli jedynymi agentami pełniącymi dziś dyżur.

Chuck podniósł rękę i mruknął do swojego mikrofonu, znajdującego się pod mankietem:

- Skubaniec, cały czas pracuje...

- Dajcie spokój, teraz my się nim opiekujemy - dorzuciła kobieta jedwabistym głosem.

Prezydencki doradca istotnie pracował. Jego umysł wykonywał jednocześnie dwie czynności - przypominał sobie wszystkie istotne fakty w rozważanej sprawie, oraz łączył je w całości, próbując utworzyć z nich spójny obraz rzeczywistości. Co jednak ważniejsze, Carroll zamierzał wyciągnąć z tego wnioski, jak ułoży się przyszłość. Ostatnio raz po raz zmagał się z tajemnicą, która otaczała projekt zwany Numerem Jeden.

Kontrolowana fuzja jądrowa - myślał. Czy to tylko mrzonka? Jak izraelski naukowiec do tego doszedł? Według danych CIA, Slavin wykorzystywał dwa izotopy wodoru - deuter i tryt, i w jakiś sposób sprawiał, że jądra ich atomów łączyły się, nie powodując eksplozji. Carroll nie był z wykształcenia fizykiem, więc wydawało mu się paradoksem, że dwie substancje, które właściwie były tym samym pierwiastkiem, mogły łączyć się na tak różne sposoby, przynosząc ludzkości bądź śmierć i zniszczenie, bądź nadzieję na nowe, niewyczerpywalne źródło energii...

Ale czy to się rzeczywiście udało? Może tracił tylko czas, zamiast zajmować się ważniejszymi sprawami?

- Czy wszystko w porządku, panie generale? - Był to głos Adamsa. Carroll podniósł wzrok, zdziwiony, że zaczęło padać. Dwaj agenci stali nad nim, trzymając otwarte parasole. Para młodych ludzi uciekła już z kortu; Williamowi przyszło do głowy pytanie, czy uda im się spokojnie kontynuować karierę, no i po prostu - żyć. Nasunęła mu się analogia - ludzie, podobnie jak wodór, łączą się w nowe kombinacje... Dwaj agenci pomogli mu wstać. Ruszył z powrotem do biura, idąc jeszcze wolniej niż poprzednio.

- Czy to nie ironia - odezwał się do swoich „aniołów stróżów” - że Numer Jeden powstał w kraju, gdzie to samo dzieje się z ludźmi?... - Agenci szli za nim w milczeniu. Nie zrozumieli jego enigmatycznej wypowiedzi. Trzymali troskliwie parasole nad głową prezydenckiego doradcy, pilnując, żeby nie zmókł.

## **Rozdział dziewiąty**

**Poniedziałek, 19 stycznia**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Matt Pontowski wstał zza biurka, podszedł do okna i oparł się o parapet. Księżyc rzucał delikatny blask na werandę i ogród. Wysoki mężczyzna - był nim de Royer - przechadzał się tam i z powrotem. Założył ręce za plecami i kroczył powoli, z opuszczoną głową; zamyślony. A więc ty także jesteś niespokojny... - pomyślał Matt.

Nastrój Pontowskiego pogarszał się w miarę, jak zdawał sobie

stopniowo sprawę z problemów stojących przed wojskami ONZ. Jesteśmy tu już od trzech tygodni - myślał - a nie kiwnęliśmy do tej pory palcem. Musimy wymyślić koncepcję jakichś operacji; wpaść na pomysł, co z tym wszystkim zrobić. Wrócił na fotel i wziął do ręki instruktarz dotyczący działań ONZ-owskich sił pokojowych.

Dwadzieścia minut później do pokoju zapukał Bouchard.

- Generał prosi pana do swojego biura - oznajmił. Pontowski wstał i poszedł za nim korytarzem. Bouchard mówił po francusku: - Do generała przyjechali madame Martine i miejscowy minister obrony, Joe Péndulo. Niech pan uważa na słowa. Péndulo pamięta wszystko, choć nic nie rozumie. - Matt podziękował pułkownikowi za przestrożę i wszedł do biura de Royera.

Generał miał swoje zwykłe, zimne spojrzenie. Tyle że tym razem wbił je w twarz Joego Péndulo. Co za przyjemna odmiana - pomyślał Matt, przyglądając się ukradkiem ministrowi. Péndulo był niewysokim, żyłastym Murzynem z plemienia Khosa. Nosił kozią bródkę. Na palcach obu rąk miał sygnety z brylantami; na lewym nadgarstku wisiał luźno, niczym bransoleta, złoty zegarek marki Rolex. Ciemny, jedwabny garnitur był starannie dopasowany do szczupłej figury mężczyzny. Minister założył nogę na nogę, uwidaczniając przy tym drogie, ręcznie szyte buty oraz białe skarpetki. Cóż to za kreatura? - zdziwił się w duchu Matt.

Elena siedziała obok Péndulo. Prezentowała się pięknie, a zarazem elegancko w białym, lnianym, męskim garniturze. Wyglądało na to, że pod zapiętą na jeden guzik marynarką nie ma żadnej bluzki... Był to strój równocześnie szykowny i prowokujący. Jak ona to robi?

- zastanawiał się Pontowski. Elena przedstawiła go wzajemnie

ministrowi. Mówiła niskim, zmysłowym głosem.

- Omawiamy właśnie zakres odpowiedzialności, jaki mają siły pokojowe Narodów Zjednoczonych - oznajmiła.

- Stabilność w moim kraju - zaczął Péndulo - jest zagrożona przez niewielką grupkę białych faszystów. - Jego głos zupełnie nie pasował do wyglądu - minister mówił najczystszy brytyjskim akcentem, charakterystycznym dla ludzi z wyższych sfer. - Czy słyszał pan o AWB? - Matt przytaknął. - Niestety, dysponują oni własną armią - Żelazną Gwardią. Chcemy, żebyście ją zniszczyli.

- A dlaczego nie zrobicie tego przy pomocy własnych wojsk? - spytał Pontowski.

- Widzi pan, dowództwo naszej armii składa się wyłącznie z białych i nie mogę zagwarantować, że pozostaną lojalni, kiedy wydam im rozkaz zaatakowania ich białych braci... Lepiej, żeby pozostali w garnizonach, niż zdezerterowali.

- Siły ONZ nie mogą zrobić tego, o co pan prosi - odezwała się Elena. - Jesteśmy tu w celach pokojowych. Gdybyśmy posłuchali pana prośby, włączylibyśmy się aktywnie do walk, wspierając rząd przeciw AWB. Nasz statut wyklucza stanięcie po jednej ze stron konfliktu.

Pontowski spodziewał się, że Péndulo wpadnie teraz w furję. Tymczasem minister zapytał spokojnie:

- To co w takim razie zamierzacie robić?

- Naszym zadaniem - odezwał się de Royer - jest utworzenie stref bezpieczeństwa, tak jak w Bośni.

Pierwszy raz o tym słyszę - pomyślał Matt. Péndulo wydawał się zadowolony.

- To mój rząd jest w stanie zaakceptować. Jak państwo wiedzą, wielu naszych obywateli głoduje z powodu zamieszek, wywoływanych przez AWB i wynajętych przez nich bandytów. Czy w strefach bezpieczeństwa będzie rozdzielana pomoc humanitarna?

- Taki jest nasz zamiar - potwierdził de Royer.

Péndulo zachował kamienną twarz.

- W takim razie to nasz rząd, a nie wasze wojska, zapewni ochronę stref. Jeśli zdarzą się jakieś walki, będziecie państwo musieli działać w porozumieniu z moim urzędem.

Po co to wszystko - zastanowił się Pontowski - skoro wojska południowoafrykańskie i tak mają pozostać w garnizonach? Zanim jednak zdążył się sprzeciwić, Elena powiedziała krótko:

- Zgoda.

- Przed chwilą - odezwał się Matt - pozbawiliście nas państwo prawa do samoobrony.

- Jak to? - spytał Péndulo.

Pułkownik zdecydował, że okaże swoją irytację.

- Jeśli ktoś zacznie do nas strzelać, nie będziemy mogli zakrywać głów rękami i czekać, aż zdołamy „porozumieć się z pańskim urzędem”. Stalibyśmy się łatwym celem!

- W takim razie lepiej nie latajcie - odparł na to Péndulo, takim tonem, jakby przemawiał do dziecka. Wstał: - Późno już. Muszę iść.

- Elena odprowadziła go do wyjścia.

Pontowski zacisnął zęby i poczekał, aż drzwi się za nimi zamkną.

- Panie generale! - wybuchnął. - Ten mały wypierdek nas wykorzystuje! W tej sytuacji albo będziemy interweniować, kiedy nam każe, albo wymordują nas po kolei wszyscy bandyci, którym

akurat wpadnie do głowy poćwiczyć strzelanie! Nie mam najmniejszego zamiaru stawiać moich ludzi w takiej sytuacji i...

- Decyzja została podjęta - przerwał sucho de Royer.

- Pieprz mnie tak dalej... - mruknął Matt, na tyle jednak głośno, żeby generał dosłyszał.

- Pułkowniku - ciągnął Francuz, nie pokazując po sobie, że usłyszał - proszę ułożyć rozkład lotów dla C-130, żeby załogi dokonały rozpoznania i określiły tereny, które najlepiej nadają się do zorganizowania w nich stref bezpieczeństwa. Madame Martine będzie kierowała ustalaniem stref, a pan będzie jej w tym towarzyszył. Największe niedostatki żywności występują w północnej części Prowincji Przylądkowej, więc zaczniemy od tych rejonów.

- A co z A-10?

- Proszę ich nie ruszać; niech stoją spokojnie w hangarach. To byłoby wszystko. - Swoim zwyczajem, generał odwrócił się do okna. Pontowski wypadł z biura wściekły jak pies. Musimy wydostać stąd tyłki, i to jak najprędzej!... - myślał.

**Środa, 21 stycznia**

**Północna część Prowincji Przylądkowej,**

**Republika Południowej Afryki**

Pontowski wiercił się, próbując znaleźć jak najbardziej wygodną pozycję na pojemniku z wyposażeniem załogi, który służył jednocześnie jako ława do siedzenia. Matt znajdował się w części pokładu położonej pomiędzy kabiną pilota a ładownią. Nudził się niemiłosiernie; zazdrościł pilotom, którzy prowadzili maszynę i

zajmowali się wyznaczonym zadaniem. Wyciągnął notatnik i wybrał kolejno trzy lotniska, które nadawały się do zorganizowania wokół nich stref bezpieczeństwa. Można by tam ulokować podległe ONZ centra rozdzielania pomocy. Podał listę siedzącej obok Elenie Martine, która robiła własne notatki. Jeszcze jedno - pomyślał - i możemy lecieć do domu.

- Jest pani pewna, że to tu? - spytał przez interkom kapitan Rob Nutting. Siedział po lewej stronie w kabinie pilotów. Zbliżali się do pasa startowego lotniska położonego na południe od miasteczka Mata Mata.

- Tak, jestem pewna - odparła podpułkownik Lydia Kowalski. Kierowała wyszukiwaniem i wstępną oceną napotykanym lotnisk, pełniąc jednocześnie funkcję drugiego pilota.

Oddała stery Nuttingowi, który woził Pontowskiego i całą jego grupę tam i z powrotem. Jak dotąd, Rob spisywał się znakomicie. Lydia nacisnęła guzik interkomu i odezwała się do pułkownika i pani Martine:

- To lotnisko nie wydaje się zbyt obiecujące. Jest za bardzo na uboczu; dookoła mało ludzi. Chcecie państwo lądować i sprawdzić, jak to wygląda na dole?

Elena podeszła do iluminatora i przyjrzała się uważnie temu, co znajdowało się pod nimi. Rzeczywiście, pani pilot miała rację. Jednak według jej notatek lotnisko było obficie zaopatrzone w wodę, co stanowiło niewątpliwy plus.

- Wylądujemy - zdecydowała.

- Starczy nam pasa? - Matt był niezadowolony z tego, co zobaczył.

- Oczywiście - odparł Nutting. - Trochę tu tylko wąsko. Ale

pójdziemy szturmem i jakoś powinno się udać!

- Fajnie się zapowiada!... - powiedziała Kowalski. Rob panował nad wszystkim.

Pontowski przyłożył do oczu lornetkę i spojrzał dokładniej. Zauważył, że na lewo od pasa startowego zebrała się grupka miejscowych wieśniaków.

- Zdaje się, że mamy komitet powitalny - wrócili z Eleną na miejsce i zapięli pasy. Rob zaczął lądować.

- Z prawej strony pasa stoi jakiś dzieciak - odezwała się Kowalski.

- Widzę - powiedział Rob. - Spoko.

Posadził ciężki samolot dokładnie tam, gdzie zamierzał. Zdążył właśnie cofnąć dźwignie przepustnic, kiedy Lydia zauważyła po prawej jakiś ruch. Dziecko przebiegało przez pas.

- Uważaj! - krzyknęła, ale było za późno. Dotknęli właśnie ziemi, a Rob przełączył śmigła na odwrócony ciąg. Poczuli lekki wstrząs.

Gdyby szybka kamera filmowała lądowanie herculesa, można by zobaczyć, jak środkowe podwozie obniża się powoli, a przed oponami pojawia się chmurka pyłu. Pył opada, goleń wraz z kołami podnosi się z powrotem; na pasie pozostaje smuga - ślad po oponach. Po chwili pod prawe podwozie zostaje wciągnięty dziesięcioletni chłopiec. Znika, a następnie zostaje wyrzucony w górę i uderza w dolną część kadłuba, zgnieciony jak szmaciana lalka.

Kamera nie zdołałaby jednak zarejestrować powodu, dla którego chłopiec usiłował przebiec przez pas. Przeraził się ogromu i ogłuszającego warkotu herculesa i wiedziony instynktem, rzucił się ku ojcu - stojącemu po drugiej stronie pasa.

Potężne cielsko samolotu zatrzymało się; teraz śmigła wzbily



przed sobą chmurę pyłu. Pontowski i dowódca ładowni pierwsi zbiegli po rampie, znajdującej się pod wrotami ładunkowymi, chcąc zobaczyć, co się stało i czy maszyna nie doznała jakiegoś uszkodzenia. Znaleźli tylko kilka mokrych, brunatnych plam na spodzie kadłuba, zaraz za prawym podwoziem, i zwisający z drzwi strzęp ubrania. Po chwili do obydwu mężczyzn dołączył Rob.

- Zabiłem dziecko, prawda? - zapytał matowym głosem. Był blady jak ściana.

Zanim Matt zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dotarła już do nich grupka czarnych wieśniaków. Rozpaczający mężczyzna niósł na rękach zniekształcone zwłoki swojego syna. Dwie kobiety wrzeszczały wniebogłosy; reszta ludzi milczała.

Z samolotu wysiadła właśnie Elena. Podbiegła ku swoim towarzyszom, ale zanim zdążyła się przy nich znaleźć, pomiędzy Murzynów wychynęła dłoń jakiejś kobiety i schwyciła Elenę za bluzkę, rozdierając ją. Po chwili panna Martine leżała już na ziemi, przewrócona przez drugą kobietę. Wieśniacy mieli przed sobą sprawców tragedii... Pontowski usłyszał krzyk Eleny i rzucił się w jej stronę. Zastąpiło mu drogę dwóch mężczyzn, krzycząc i pokazując na martwe dziecko. Elena krzyknęła po raz drugi. Matt pochylił się i przedarł się jakoś naprzód, mając teraz tuż za plecami Roba i dowódcę ładowni.

Kowalski, która została w kabinie pilotów, usłyszała, że na zewnątrz dzieje się coś niedobrego; ruszyła więc przez ładownię na tył samolotu. Dobiegła do otwartych wrot ładunkowych i zobaczyła Pontowskiego, Roba i dowódcę ładowni, jak stoją, zasłaniając się przed ciosami i kopniakami rozwścieczonych wieśniaków. Jeszcze

się trzymali, ale widać było, że za długo nie wytrwają.

Lydia ruszyła więc z powrotem do kabiny i wskazując na lewy fotel, wrzasnęła do mechanika:

- Włączam trójkę! - i przełączyła dźwignię. Jeden z prawych silników, ten bliższy kadłuba, ruszył śmigłem i nabrał obrotów. Po chwili pracował także i silnik po lewej stronie.

- Riley! - krzyknęła Kowalski - Wskakuj na prawy fotel i trzymaj je na wysokich obrotach! - Podczas gdy mechanik zajmował miejsce drugiego pilota, Lydia złapała hełm i ponownie pobiegła na tył.

- Za mną! - zawołała krótko do trzech żołnierzy w błękitnych hełmach, którzy stali nieruchomo na końcu ładowni. Nie drgnęli jednak. - No ruszcie się! - „Strażnicy pokoju” najwyraźniej nie mieli odwagi czy też ochoty posłuchać pani podpułkownik i wmieszać się w bójkę. - A, pierdolcie się! - krzyknęła i włożyła hełm, opuściła zielonkawą szybę i złapała łańcuch, służący do mocowania ładunku. Zamierzała ruszyć przeciw napastnikom sama.

Lydia Kowalski była potężną kobietą, nie niższą od przeciętnego mężczyzny i z pewnością nie słabą. Zbiegła z trapu i ruszyła w kierunku wieśniaków, kręcąc nad głową łańcuchem. Jeden z nich zauważył ją i zamarł. Zobaczył wybiegającą spośród tumanów kurzu rosłą demoniczną postać, wymachującą łańcuchem. Ryk silników olbrzymiego samolotu działał lepiej niż najgroźniejszy nawet okrzyk bojowy. Mężczyzna pomyślał, że właściwie wcale nie ma ochoty na konfrontację z tym wszystkim i dał drapaką na oślep. Potknął się i runął jak długi na ziemię, pomiędzy swoich towarzyszy, wrzeszcząc z przerażenia. Pozostali odwrócili głowy, zobaczyli Lydię i niewiele myśląc, także rzucili się do ucieczki. Po chwili niebezpieczne zajście

było skończone; na placu boju pozostali tylko Amerykanie, Elena i małe, nieruchome ciało.

- Co się tu stało, do diabła? - zapytała donośnie Kowalski, podnosząc z ziemi pannę Martine. Elena była posiniaczona i utyłana w piachu, ale nic poważnego nie zdążyli jej zrobić.

Rob pokazał tylko palcem na pogruchotane zwłoki chłopca i krzyknął rozziewającym tonem:

- Zabiłem to dziecko!

- Wiejmy stąd! - zawołał Pontowski. - Zanim do nas wrócą...

## **Czwartek, 22 stycznia**

### **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski przyszedł tego dnia do pracy godzinę później niż zwykle. Przed drzwiami jego biura czekał van der Roos. Matt położył się spać w środku nocy - musieli załatwić niezbędne sprawy w związku z nieszczęśliwym wypadkiem, jaki wydarzył się poprzedniego dnia podczas ekspedycji. Najwięcej czasu zajęło czekanie na wyniki badań krwi obojga pilotów. Ponieważ nie wykazały one najmniejszych śladów alkoholu i narkotyków, pułkownik uznał sprawę za wyjaśnioną i zakończoną. Powiedział Nuttingowi i pani Kowalski, że to, co się zdarzyło, jest bardzo przykre, ale żeby pamiętali, że to nie ich wina.

Niestety „sprawa” nie zakończyła się na tym.

- Péndulo pokazał się wczoraj w telewizji - powiedział na powitanie van der Roos - i stwierdził, że odpowiedzialność za wypadek ponoszą siły Organizacji Narodów Zjednoczonych i że pilot, który go spowodował, zostanie osądzony zgodnie z prawem.

„Biali nie mogą już dłużej bezkarnie zabijać Czarnych” - tak zakończył.

- Cholera - zaklął Matt. - Cholera jasna! Po prostu świetnie! - Zrobił sobie kawy i usiadł z filiżanką, żeby rozjaśnić umysł. - Nawet nie zapytał o naszą wersję wydarzeń!

- Péndulo zamierza zrobić z tego wielką aferę - ciągnął van der Roos. - Jego celem jest kontrola nad siłami ONZ - chce, żebyśmy stali się jego prywatną armią.

- Co wobec tego jeszcze robi?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale to bardzo inteligentny człowiek, a przy tym ambitny - marzy mu się prezydentura.

Odpowiedź na pytanie Pontowskiego nadeszła około dwunastej w południe. Do jego pokoju zapukał pułkownik Bouchard.

- Generał chce się z panem widzieć - oznajmił. - Chodzi o wczorajszy wypadek.

Matt udał się więc do biura de Royera. Generał swoim zwyczajem stał przy oknie, odwrócony plecami. Czy ten człowiek nigdy nie siada? - pomyślał Matt.

- Rozmawiałem z madame Martine - zaczął de Royer po francusku. - Minister Péndulo poprosił ministra sprawiedliwości o wydanie nakazu aresztowania kapitana Nuttinga - pilota, który prowadził wczoraj samolot.

- Pani Martine także była na pokładzie herculesa - odpowiedział Pontowski - więc dobrze wie, co się stało. Czy nie wyjaśniła wszystkiego Péndulo? Myślałem, że to ona powinna się tym zająć. Dzieciak wbiegł nam prosto pod koła, podczas lądowania. Co

właściwie miał według Péndulo zrobić Nutting?

Generał odwrócił się do Matta i jak zwykle zawisł na nim spojrzeniem, nie mrugając.

- Został wydany nakaz aresztowania kapitana Nuttinga - powtórzył sucho, po czym znowu stanął twarzą do okna. Najwyraźniej „spotkanie” było zakończone. Pontowski znajdował się już przy drzwiach, kiedy głos de Royera zatrzymał go jeszcze na moment.

- Ma pan trochę czasu - powiedział generał.

- Tak jest - odparł Matt. O co właściwie mu chodzi? Wtedy do niego dotarło. De Royer zasugerował mu, że ma jeszcze trochę czasu na podjęcie jakiegoś działania, zanim nakaz aresztowania zostanie im wręczony.

- Niech to cholera... - zaklął pod nosem. Złapał czapkę i pobiegł do samochodu.

Kiedy Matt wkroczył do budynku kontroli lotów bazy w Ysterplaat, nie było tam właściwie nikogo. Za biurkiem siedział tylko oficer dyżurny, nazwiskiem Moreno, bardziej znany jako „Goryl”. Podniósł wzrok, ucieszony, że ma się do kogo odezwać.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z pułkownikami Leonardem i Kowalski - oznajmił Pontowski. - I ściągnij mi jak najprędzej Roba Nuttinga.

- Pan pułkownik Leonard jest w tej chwili w powietrzu — wyjaśnił „Goryl”. - Pani Kowalski jest w swoim biurze, a Rob ma dzisiaj wolne. Myślę, że poszedł z chłopakami do portu Victoria.

- Znajdź go natychmiast! Wołaj wszystkich, kogo tylko tu masz i

szukajcie go, aż go znajdziecie. Macie go tu sprowadzić, zanim mrugnę okiem.

- Tak jest! - „Goryl” już sięgał po słuchawkę.

Pontowski znalazł podpułkownik Kowalski siedzącą nad papierami, które napływały do niej codziennie stosami.

- Afrykanie wydali nakaz aresztowania Nuttinga - oznajmił.

- To mi śmierdzi, pułkowniku!... - odparła Lydia.

- Ma pani rację - przyznał Matt. - I na pewno nie pozwolę, żeby jeden z moich ludzi skończył w obcym więzieniu, i to z takiego powodu! - Chodził po pokoju, myśląc intensywnie. - Wydadaj Nuttingowi rozkaz wylotu z bazy. Z datą sprzed czterech dni - zanim to się stało. Przygotujcie dla niego C-130 i niech leci jak najdalej stąd. Dokądkolwiek, byle poza Afrykę...

- Przylecieliśmy przez Wyspę Świętej Heleny - przypomniała Kowalski. - To posiadłość brytyjska. Może być?

- Świetnie - zgodził się Matt. - Lydio, nie mamy wiele czasu. W sumie około godziny. Niech ktoś spakuje jego rzeczy...

Kowalski popatrzyła na Pontowskiego z przerażeniem.

- Dałam mu na dzisiaj wolne... - powiedziała.

- Wiem. „Goryl” organizuje już poszukiwania Roba.

Godzinę później do budynku kontroli lotów wkroczył major południowoafrykańskiej armii, w towarzystwie dwóch żandarmów, czarnego i białego. Czekala na nich porucznik Lori Williams - oficer sztabowy Leonarda. Powitała ich z powagą, w pełni oficjalny sposób, niezgodny z jej zwykłym sposobem bycia. Afrykanie zostali zaskoczeni widokiem wysokiej, atrakcyjnej Murzynki noszącej

mundur amerykańskiego oficera.

- Mam nakaz aresztowania jednego z waszych pilotów - oznajmił major, po czym podał panie Williams dokument.

Lori przeczytała go uważnie. Został wypisany w aż trzech językach; na szczęście jednym z nich był angielski.

- Przekażę to mojemu dowódcy - oznajmiła. - Proszę, niech panowie tu zaczekają. - To powiedziawszy ruszyła powoli korytarzem do pokoju pani Kowalski. Starła się iść jak najwolniej. Akcja „Nutting” jeszcze trwała.

Pontowski czekał na płycie lotniska przy jednym z herculesów; trzymał w dłoni krótkofalówkę. Samolot był już przygotowany do lotu; w kabinie siedziała załoga. Była tam nawet walizka Nuttinga. Ale Roba nie było. Nagle radio zatrzeszczało.

- „Bosmanie”, tu „Ziemniak”. Mamy sytuację, która wymaga pańskiej obecności w budynku kontroli lotów. Odbiór. - Oficer dyżurny ostrzegł Pontowskiego tym niewinnie brzmiącym komunikatem, że ktoś podsłuchuje ich krótkofalówki, a do bazy dostarczono właśnie nakaz.

- Halo „Ziemniak”, tu „Bosman”, zostań w pogotowiu. Mamy problem techniczny. Break, break. „Goryl”, mówi „Bosman”. Co z częściami? Odbiór.

W głośniku odezwał się zniekształcony głos „Goryla”.

- „Bosmanie”, tu „Goryl”. Mamy części. Już jadą do samolotu. Przewidywany czas - piętnaście minut. Odbiór.

Dobra robota, „Goryl” - pomyślał Pontowski.

- Zrozumiałem. Break, break. „Ziemniaku” - „Bosman” rusza do kontroli lotów. Przewidywany czas - pięć minut. Odbiór.

- „Ziemniak” zrozumiał wszystko. Bez odbioru.

Może nam się udać - myślał Matt. Kazał załodze uruchomić za pięć minut silniki i prosić o zgodę na start. Wsiadł do samochodu i ruszył z wolna do budynku kontroli lotów. Znalazł się w środku po sześciu minutach. Kiedy wchodził, śmigła herculesa nabierały już obrotów.

Po chwili zameldowano mu południowoafrykańskiego majora. Matt wziął do ręki nakaz aresztowania Nuttinga. Przeczytał go, uważając, aby zbytnio się z tym nie spieszyć.

- Wygląda na to, że nakaz został prawidłowo sformułowany - powiedział.

- Oczywiście - odparł major.

- Niestety, będzie on musiał zostać przedstawiony naszej ambasadzie.

- Immunitet dyplomatyczny nie wchodzi tu w grę - oznajmił Afrykańczyk. - Niniejsza sprawa podlega w pełni naszej jurysdykcji.

Pontowski zrobił małą pauzę. Słyszał, że hercules kołuje już na pas.

- Mamy jednak mały problem - zaczął. - Jeśli się nie mylę, kapitan Nutting poleciał do Stanów Zjednoczonych na urlop. - Odwrócił się powoli do Lori. - Poruczniku Williams, proszę sprawdzić status kapitana Nuttinga.

Lori z przejęciem na twarzy wykręciła numer telefonu.

- Rozkaz udania się na urlop został wydany... w zeszłym tygodniu - powiedziała po dłuższej chwili. - Kapitan Nutting podpisał rozpoczęcie urlopu; trudno jednak powiedzieć, czy opuścił już bazę.

- Zamkniemy wyjazdy z bazy i poszukamy go - oznajmił major.

- Bardzo proszę - zgodził się uprzejmie Pontowski. - Na waszym



miejscu zacząłbym poszukiwania kapitana od jego kwatery. - Lori zawołała dyżurującego sierżanta, żeby pokazał drogę, i wyprowadziła oficerów za drzwi.

Po chwili do pomieszczenia wkroczył zadowolony „Goryl”.

- Znaleźliśmy go w Victoria, zwiedzał sobie port - obwieścił z uśmiechem.

- Jest już w samolocie. - W tym momencie do uszu zebranych dobiegło buczenie startującego herculesa.

Weszła Lydia Kowalski, która siedziała w sali kontroli lotów.

- Są już w powietrzu - powiedziała.

Lori roześmiała się.

- Nigdy w życiu nie słyszałam tylu „potwierdzam”, „odbiór”, „bez odbioru”, i „break, break”! Jak na obozie skautowskim. Ale ocaliliśmy mu skórę.

Nic nie mogło im sprawić większej przyjemności.

## **Piątek, 23 stycznia**

### **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Odezwał się brzęczyk interkomu.

- Na linii pierwszej czeka pani Nevers - oznajmiła Midge.

Carroll podniósł słuchawkę, zdumiony. Nie znosili się tak bardzo...

Pani Nevers traktowała go o wiele gorzej niż zwykłego przeciwnika politycznego.

- Słucham, Carroll - powiedział. Tak jak się spodziewał, po drugiej stronie linii znajdowała się teraz sekretarka pani Nevers, która dopiero go połączyła. Była to jedna z małych, irytujących gierk Waszyngtonu - niektórym ludziom bardzo zależało na pokazaniu, że

to oni są „ważniejsi”. William od dawna był już jednak ponad takimi drobiazgami.

- Bill - powitała go pani Nevers poufałym, ale oficjalnym tonem - jestem zaniepokojona doniesieniami z Afryki Południowej. Podobno jeden z naszych samolotów spowodował wypadek, w wyniku którego zginęło dziecko. Z tego co zrozumiałam, rząd RPA zamierza aresztować pilota...

- Mniej więcej dobrze pani słyszała - odparł Carroll. - Rzeczywiście, zdarzył się smutny wypadek, z tym że to nie nasz pilot go spowodował, ale chłopiec, który zginął. Dziecko wbiegło prosto pod koła lądującego herculesa. Pilot nie mógł nic zrobić.

- Mimo wszystko - nie ustępowała pani Nevers - sprawa ta spowodowała wiele pytań na temat celowości naszej obecności wojskowej w Republice Południowej Afryki...

- Zawsze znajdą się ludzie, którzy mają pytania i wątpliwości - powiedział Bill. - Może więc prześlę pani kopie wszystkich komunikatów i raportów, jakie na ten temat otrzymaliśmy, i będzie mogła pani odpowiedzieć sobie na swoje pytania.

- Bardzo proszę - zgodziła się pani Nevers. - Rzeczywiście, tak jak pan powiedział, był to smutny wypadek, ale chyba nie do uniknięcia. Takie rzeczy po prostu się zdarzają, i mimo to musimy dalej żyć... Dziękuję za pomoc. - To powiedziawszy, odłożyła słuchawkę.

Dziwne - pomyślał Carroll. O co jej chodziło? Mówiła całkiem przyjaznym tonem. Czyżby zmieniła zdanie i zaczęła popierać wspólną akcję ONZ i Stanów Zjednoczonych? Niemożliwe. Czy w takim razie po prostu raz w życiu okazała zrozumienie i rozsądek? A może chce obwieścić rozejm pomiędzy nimi?...

Oparł się wygodnie i pomyślał, że wkrótce wszystko się okaże.

Późnym popołudniem William Carroll układał rzeczy na biurku, zbierając się do domu. Mary zaplanowała na weekend rodzinny zjazd i przyleciało już do nich wielu krewnych... Nagle do pokoju Billa wtargnęła Midge.

- CNN przeprowadza właśnie wywiad z Ann Nevers - oznajmiła. Carroll skinął głową i sekretarka włączyła telewizor.

Reporter rozmawiał z panią Nevers w kularach Kapitolu.

- Sprawa ta ilustruje wszystkim jasno, że nasza obecność w Południowej Afryce jest niepotrzebna - mówiła członkini Kongresu.

- Niestety, wypadek został spowodowany przez jednego z naszych pilotów...

Oto prawdziwy rozsądek i rzetelne trzymanie się faktów... - pomyślał Bill.

- Wyłącz to - powiedział. Nie będzie żadnego rozejmu.

## **Rozdział dziesiąty**

**Czwartek, 29 stycznia**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Elizabeth Gordon nie zwracała uwagi na cudowny, letni poranek, rozjaśniający wnętrze wynajmowanego przez dwie dziennikarki domku, za którego oknami rozciągał się widok na Sea Point - malowniczy fragment wybrzeża.

- Sam - narzekła - jeden z ludzi, z którymi udało mi się porozmawiać w siedzibie rządu, puścił farbę i wspomniał o czymś, co nazywa się „Numer Jeden”; rozmawialiśmy wtedy o broni

atomowej. Chciałam pójść dalej tym tropem, ale to jak walenie głową w mur. Wczoraj podczas wywiadu z Péndulo posuwałam się tak daleko, jak tylko mogłam. Nie zapytałam go tylko wprost: „Nawiasem mówiąc, panie ministrze, jak skomentuje pan plotki o posiadaniu przez was broni jądrowej i zamiarze użycia jej przeciwko AWB?”

- A może trzeba było o to spytać - odparła Samantha. - Czasami bezpośrednio pytanie to jedyny sposób na dowiedzenie się czegoś.

- Nie od tego małego gnojka. Przez cały czas świdrował tylko oczkami, jak tu wsadzić mi rękę pod spódnicę.

- Całe szczęście, że założyłaś spodnie... - zauważyła Sam.

- Słuchaj, nasze reportaże biją wszystkie inne na głowę - powiedziała Elizabeth. - Ale jeżeli ma tak być dalej, muszę wydostać się poza Kapsztad. Zaaranżowałam więc wywiad z Hansem Beckmannem, tym generałem, który dowodzi Żelazną Gwardią. Jestem umówiona na poniedziałek i jutro wyjeżdżam; będę miała sposobność rozejrzeć się przez weekend. Nie pozwolili mi wziąć ze sobą kamery, więc pojedę sama. - Tu zrobiła małą pauzę i zastanowiwszy się nad właściwym doбором słów zapytała: - A jak ci leci z Pontowskim?

Sam pokręciła głową.

- Nic wielkiego się nie dzieje, Liz. Spotkałam go tylko przypadkiem na przyjęciu i trafiła mi się okazja, żeby zobaczyć okolicę... Może uda nam się znaleźć ciekawy temat na reportaż o wsi, krainie winnic. - Nie wspomniała ani słowem o rozmowie, jaką odbyła z Lydią Kowalski.

- Słuchaj - mówiła Elizabeth - udało ci się zaczepić u

Pontowskiego. Wykorzystaj to. Nakręć coś w bazie - jak przebiega udzielanie pomocy humanitarnej, i tak dalej, i trzymaj się pułkownika; to może być cenne źródło informacji. Kto wie, może rozwiąże mu się język i powie coś, czego nie powinien mówić?

- Nie wykorzystuję ludzi w taki sposób - zachnęła się Sam.

- Albo ty wykorzystujesz innych, albo inni ciebie - odparła Elizabeth.

Pontowski otworzył dach jeepa i z lubością wdychał świeże, poranne powietrze. Jechał piętnastokilometrową trasą z bazy Ysterplaat do dowództwa wojsk ONZ w dzielnicy Constantia. Spędzał tam teraz coraz więcej czasu, w miarę jak ONZ organizowała powoli całą akcję. Kilkakrotnie rozważał już przeniesienie swojej kwatery z bazy lotniczej do Constantii; za każdym razem odrzucał jednak ten pomysł. W tej chwili przejeżdżał właśnie koło kapsztadzkiego uniwersytetu. Samochody zwalniały, przepuszczając zastępy spieszących na zajęcia studentów. Mniej więcej połowę z nich stanowili Murzyni. To dobry początek - pomyślał Matt.

Kiedy dotarł do pracy, zaparkował samochód koło perłowego, sportowego BMW na dyplomatycznych numerach.

- Czy to samochód madame Martine? - zapytał strażnika, pilnującego wejścia do budynku. Żołnierz potwierdził. Elena Martine nie pojawiała się w dowództwie od czasu wypadku w Mata Mata... - pomyślał pułkownik. Idąc korytarzem, zaczął przypominać sobie po kolei listę zadań, czekających go tego dnia.

Do najważniejszych zaliczył wieczorny telefon do syna. Dzwonił

już poprzedniego wieczoru; rozmawiali przez piętnaście minut. Lepsze to niż nic - pocieszał się. Jednak rozłąka z dzieckiem doskwierała mu.

Przed drzwiami pokoju czekał van der Roos.

- Generał chce się z tobą widzieć - oznajmił.

- Oczywiście, razem z madame Martine - dodał Pontowski.

Piet popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Rzeczywiście... skąd wiedziałeś?

- Wiem wszystko! - odparł Matt z uśmiechem, po czym ruszył do biura de Royera. Czekał na tę okazję. Generał stał swoim zwyczajem przed oknem i wpatrywał się w ogród. Pontowskiemu przyszedł na myśl więzień, który tkwi w oknie celi, marząc o wolności. Spojrzał na Elenę i zatrzymał wzrok. Była jak zwykle piękna i zadbana; jednak na prawym policzku pod starannym, grubym makijażem widać było siniaki; podobnie jak na nodze, w którą niewątpliwie ją kopnięto.

- Przekonałam pana Péndulo - zaczęła Elena po francusku - że kapitan Nutting nie ponosi odpowiedzialności za wypadek, jaki zdarzył się w Mata Mata. Oczywiście kapitan Nutting będzie w RPA mile widziany, kiedy wróci z urlopu.

Akurat - pomyślał Pontowski. Jeśli będzie to ode mnie zależało, więcej go tu nie zobaczą. Wystarczy, że raz musieliśmy wyciągać go z paszczy lwa.

De Royer zachowywał niewzruszoną minę; jednak Matt wyczuwał, że generał cieszy się z obrotu sprawy.

- Co ważniejsze - odezwał się dowódca - rząd RPA zaakceptował mój plan utworzenia stref bezpieczeństwa w wewnętrznej części kraju. - Podeszedł do wiszącej na ścianie mapy. Na północy Prowincji

Przyłądkowej, a także części tak zwanego Wolnego Kraju Orania znajdowało się łącznie pięć zakreślonych na czerwono niewielkich obszarów, układających się w nierówną linię. Wszystkie znajdowały się na suchej ziemi Wielkiego Karru - krainy geograficznej leżącej na północ od górskiego pasma Nuweveldberge.

- Najtrudniejsze warunki występują obecnie w Vanwyksvlei - oznajmił generał, pokazując na środkową strefę. Grupa pracowników ONZ jest już na miejscu, gotowa rozdzielać dostawy. Jutro rozpoczniemy operację przerzucania pomocy.

- Mam poważne obawy, że postępujemy zbyt szybko - powiedziała Elena. - Jutro to zbyt wcześnie; za duży pośpiech.

- Jesteśmy gotowi - nie ustąpił de Royer. - Pracownicy ONZ czekają; zorganizowali razem z lokalnymi władzami ośrodek rozdzielania darów. Po co czekać dłużej? Ludzie tam głodują.

- Chodzi mi o kwestię bezpieczeństwa - wyjaśniła pani Martine. - Nie możemy pozwolić sobie na drugie Mata Mata, a wcale nie jestem pewna, czy Afrykanie zapewnią nam odpowiednią ochronę.

- Sami możemy się chronić, jeśli zmienimy zasady, na jakich opiera się nasza obecność tutaj - wtrącił Pontowski.

- Chce pan zmienić zasady?

- Pani zmieniła je najpierw, kiedy Péndulo odebrał nam, za pani przyzwoleniem, prawo do samoobrony.

- Myślałam, że pan zrozumiał - szepnęła Elena. - To warunek naszej obecności. - Podniosła głos. - Nie mogę w tej chwili zmieniać zasad.

Kto właściwie prowadzi to spotkanie? - zastanowił się Matt. Ona czy generał?

- To jak, ruszamy od jutra z dostawami? - spytał.

- Znacie panowie moje obawy - odpowiedziała. - Decyzja należy do was. - Wstała i podała Pontowskiemu rękę. - Do widzenia panom.  
- Po chwili już jej nie było.

De Royer tym razem usiadł i popatrzył na pułkownika.

- Rozpoczniemy przerzucanie pomocy humanitarnej z dniem jutrzejszym - oświadczył.

- A czy nie będziemy zmieniać zasad?

- Nie będziemy.

- Panie generale, coś mi to wszystko śmierdzi... - Matt nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić.

- Nadal wolno nam przeprowadzać ćwiczenia - stwierdził de Royer. - Niech pan porozmawia z moim adiutantem... To byłoby wszystko.

Matt wyszedł, zakłopotany. Jak to wyraził się sekretarz obrony, Elkins? Pontowski miał „nawiązać odpowiednie stosunki operacyjne z generałem i ONZ”. Nikt nie uprzedził go, że będzie to aż tak trudne zadanie. Bouchard czekał na Matta na zewnątrz.

- Generał powiedział, że bym porozmawiał z panem na temat ćwiczeń - powiedział Pontowski po angielsku.

Prawa strona twarzy Francuza rozjaśniła się, chociaż lewa pozostała znieruchomiła.

- Mamy sporo do omówienia - oznajmił.

- W takim razie umówmy się na jutro - zaproponował Matt.

Po powrocie do kwatery w bazie Ysterplaat Pontowski przebrał się w kombinezon lotniczy. Cieszył się, że wrócił do środowiska, w



którym sprawy toczyły się według jego przyzwyczajień. Kiedy poszedł do budynku kontroli lotów, zobaczył stojącą pod ścianą profesjonalną kamerę i statyw. Zapewne wróciła Sam Darnell, żeby zawracać mu głowę i sprawiać kłopoty... Za biurkiem oficera dyżurnego siedział ciemnowłosy, potężnie zbudowany kapitan, którego Matt widział po raz pierwszy w życiu.

- Budynek - zbiórka! - wrzasnął. Komenda odbiła się echem po pustych korytarzach.

Pontowski pokręcił w zdumieniu głową.

- To niepotrzebne - powiedział. - Skąd się tu wziąłeś, człowieku?

- Panie pułkowniku, kapitan Walderman, z Gwardii, z Nowego Orleanu. Zostałem tu właśnie przydzielony.

- A, tak - Matt przypomniał sobie, że podpisywał przydział. - Nie jesteś podobny do siebie na zdjęciu.

- No cóż... przybrałem trochę na wadze.

Do pomieszczenia wszedł „Tango” Leonard.

- Widzę, że poznałeś Waldo. Przyleciał wczoraj, w ramach pierwszej rotacji. - Pontowski ułożył bowiem rozkład służby dla całego personelu, zgodnie z którym co miesiąc część żołnierzy wracała do bazy Whiteman, a na ich miejsce przybywali nowi. Poprzedniego dnia przylecieli właśnie pierwsi.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Matt.

Leonard był zakłopotany.

- Wiesz... niewiele się tu dzieje, więc dałem dzisiaj większości ludzi wolne. - Zawahał się. - Szeffie, właściwie mam sprawę... Tylko herculesy trochę latają. Nikt nie wie na pewno, jak długo będziemy tu siedzieć. Chodzi mi o to, że wyczekujemy jakiejś akcji, a

tymczasem w eterze cisza. Tyłki już nas swędzą od tego czekania...

Dwaj pułkownicy ruszyli przez budynek. Większość pomieszczeń była opuszczona; przydałoby się zrobić w nich porządek. Matt widział już wcześniej takie rzeczy. Morale żołnierzy powiązane jest z wagą misji, jaką mają do wypełnienia. Nadszedł czas, żeby podjąć jakieś działania, zanim marazm rozprzestrzeni się jeszcze bardziej.

- Słuchaj, „Tango”. Zwołaj na trzynastą odprawę sztabu. Niech przyjdą na nie wszyscy dowódcy, kto tylko wpadnie ci do głowy. I piloci, i obsługa naziemna - wszyscy - powtórzył z naciskiem.

Leonard skinął głową.

- Tak jest. Jest tu twoja znajoma - kamerzystka. Szuka cię. Posłałem ją na drugi koniec lotniska, żeby zeszła mi z oczu, zanim się nie pojawi. Żabojady pracują jak mrówki. Powinieneś tam pojechać i sam zobaczyć, co robią.

- To nie jest moja znajoma - mruknął Matt, postanawiając pójść za radą przyjaciela. - I nie mów tutaj „żabojad”.

Podpułkownik Raymond Dureau - Francuz dowodzący zaopatrzeniem naziemnym oddziałów ONZ - przypominał Mattowi małego kogucika. Był bowiem drobniutki, dumny z siebie i sprawiał bardzo bojowe wrażenie. Maszerował prawie jak na defiladzie, prowadząc Pontowskiego pomiędzy dwoma szeregami równo zaparkowanych białych samochodów.

- Mamy czterdzieści dwie ciężarówki, osiemnaście transporterów, cztery ambulanse i dwa samochody obsługi technicznej - oznajmił.

Trzeba przyznać, że Pontowskiemu to zaimponowało. Był tak zajęty operacjami powietrznymi, że zapomniał o innych oddziałach

ONZ.

- Wasz rząd przekazał nam także te duże namioty, których używaliście w Zatoce Perskiej - mówił dalej Dureau. - Ale do tej pory byliśmy w stanie przygotować ładunek do zaledwie kilku samolotów C-130.

- A dlaczego? - zdziwił się Matt.

- Mamy trudności z ocleniem pomocy humanitarnej. Musimy dawać łapówki inspektorom celnym, których Afrykański Kongres Narodowy specjalnie wyznaczył do tego celu.

Pontowski nie wierzył własnym uszom.

- Dawać łapówki?! Przecież to pomoc humanitarna dla ich własnego narodu!

- Teoretycznie tak, ale przeznaczona jest dla różnych plemion, więc...

- Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?!

Zanim Dureau zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwała się jego krótkofalówka.

- Przepraszam, panie pułkowniku - powiedział Francuz - ale muszę iść do namiotów. Mamy tam problem. - Zasalutował sprężyście, po czym odmaszerował do samochodu.

Pontowski zamierzał ruszyć za nim, ale wtedy zobaczył zbliżającą się Samanthę z kamerą na ramieniu. Oparł się więc o swojego jeepa i poczekał, aż dziewczyna skończy zdjęcia. Ładnie się porusza - pomyślał.

- Czy czeka pan może na mnie, pułkowniku? - zawołała Sam.

I głos ma fajny...

- Słyszałem, że pani mnie szuka - odpowiedział.

W tej chwili odezwała się krótkofalówka Matta. To „Waldo” Walderman.

- Panie pułkowniku, jest pan potrzebny przy namiotach oddziałów zaopatrzeniowych - zakomunikował „Waldo”.

- Już tam jadę - odpowiedział Pontowski.

- Czy mogę jechać z panem? - zapytała Samantha. - Nigdy nie widziałam takich namiotów.

Ruszyli więc razem tam, gdzie pojechał podpułkownik Dureau. W pewnej chwili dziennikarka poprosiła Matta, żeby się zatrzymał, ponieważ chciałyby zrobić panoramiczne ujęcie namiotów.

- Ale wielkie! - powiedziała. - Wyglądają jak namioty cyrkowe, tylko trochę niższe.

- Te namioty pełnią rolę przewoźnych magazynów; po raz pierwszy zostały zastosowane podczas wojny w Zatoce Perskiej - wyjaśnił Matt. - Później używaliśmy ich podczas operacji pokojowej w Bośni.

Zaparkował samochód przed wejściem do pierwszego z namiotów. Kiedy jednak weszli do środka, pożałował, że zgodził się wziąć z sobą dziennikarkę. Mały Dureau stał otoczony przez czterech potężnych - wszyscy mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - brodatych mężczyzn w brązowych uniformach.

- To AWB! - szepnęła Samantha, włączając kamerę.

- Wyłączyć kamerę! - krzyknął najstarszy z brodaczy.

Sam zignorowała go i filmowała Pontowskiego, jak podchodzi i pyta Francuza:

- O co chodzi?

Na twarzy Dureau widać było ulgę.

- Kazali nam przerwać załadunek - powiedział.

- Nic takiego nie mówiłem! - krzyknął ten sam Afrykaner. Musiał być dowódcą, choć przybysze nie nosili żadnych oznaczeń stopni wojskowych. - Powiedziałem, że możecie ładować tylko pomoc humanitarną. Wszystkie przedmioty natury wojskowej są zabronione!

- Wobec tego wszystko jest w porządku - odparł spokojnie Pontowski. - Zajmujemy się wyłącznie pomocą humanitarną.

- Skontrolujemy cały ładunek, żeby to sprawdzić - zdecydował Afrykaner. - Bez naszej zgody nic nie zostanie wywiezione z tego namiotu. Zestrzelimy każdy samolot i zniszczymy każdą ciężarówkę, które nie będą przepuszczone przez naszą kontrolę.

Twarz pułkownika stężała; popatrzył na przybysza takim wzrokiem, że tamten odwrócił się.

- To byłby z waszej strony bardzo poważny błąd - powiedział spokojnie i powoli. Słysząc było jednak, że nie żartuje i nie poprzestanie na słowach. - Bardzo poważny - powtórzył. Sam wycelowała kamerę dokładnie w niego, żeby dźwięk dobrze się nagrywał.

Herszt przybyszów usiłował odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Mamy upoważnienie od madame Martine - oznajmił. - Pani Martine chce dopilnować, żeby ONZ pozostało absolutnie neutralne i rozkazała wam...

- To też błąd - przerwał Matt, nie zmieniając tonu. - Dowodzi tutaj generał de Royer, a nie madame Martine. Marnujecie, panowie, mój czas...

Ku zdziwieniu Sam, intruz wydał krótką komendę,

przypominającą szczeknięcie psa, po czym wszyscy czterej odeszli. Wyłączyła kamerę.

- Nie wiedziałam, że Afrykanerzy potrafią być tak arogancy - odezwała się.

- Niektórzy z nich bardzo lubią rządzić i są, za przeproszeniem, upierdliwi - odparł Matt. - Wtedy trzeba po prostu pokazać im trochę autorytetu... - Twarz pułkownika złagodniała i dodał przyjaznym już tonem: - Ale większość z tych, których poznałem, to przyzwoici, dobrzy ludzie.

- Tak jak Piet i jego rodzina... - wtrąciła Samantha.

Pontowski uśmiechnął się.

- Tak, tak jak van der Roosowie.

- Panie pułkowniku - zagadnęła Sam - chciałabym przedstawić w reportażu pana postać... rozumie pan: dowódca amerykańskiego kontyngentu, i tak dalej... Jeśli można, chciałabym pokręcić się trochę z panem. Ale oczywiście spróbuję nie wchodzić panu w drogę...

Matt zastanowił się przez chwilę.

- Mów mi po imieniu - powiedział w końcu. - Co konkretnie chciałabyś sfilmować?

- Pokazać cię, jak pracujesz; może zrobić ujęcie twojej kwatery...

Pontowski wyszczerzył zęby.

- Żeby pokazać, jak luksusowo sobie tutaj żyjemy, co? Chodź, pokażę ci od razu kwaterę, żebyś miała to załatwione.

Wsiadli do samochodu i pojechali do kwater oficerskich.

- Mam oddzielne wejście - odezwał się Matt. - Specjalnie, żeby robić wrażenie na reporterach. - Otworzył jedno z bocznych drzwi

budynku. Weszli do skromnie umeblowanego pokoju. Pod jedną ze ścian stało proste łóżko; naprzeciwko biurko i krzesło. Jediną oznaką luksusu był wygodny fotel i stojąca lampa do czytania.

Samantha rozejrzała się i pokręciła głową.

- To zdjęcie, na biurku... - powiedziała.

- To mój syn, mały Matt.

- Czy mogę?...

- Sfilmować pokój? Pewnie, nie krępuj się. Chociaż wątpię, żeby był to materiał do wieczornego wydania wiadomości. - Cofnął się, gdy poszła w ruch kamera.

- To taki „ludzki” element, którego wymagają od nas w redakcji - wyjaśniła Sam. Opuściła kamerę i rzuciła: - Dzięki, Matt... - Uśmiechnęła się.

- Daj spokój - odezwał się, nagle zdając sobie sprawę, że jest sam na sam z bardzo atrakcyjną kobietą... - Chodźmy na lunch do kantyny. Potem mam spotkanie sztabu. Będziesz miała okazję przyjrzeć się, jak pracuję.

Wzięli jedzenie z podgrzewanej lady i usiedli przy jednym ze stolików, razem z czterema młodymi pilotami. Ku zdziwieniu dziennikarki, chłopców wcale nie peszyła obecność dowódcy; przeciwnie, wyglądało na to, że są z nim w zwykłych, towarzyskich stosunkach. Po skończonym posiłku każdy zaniósł swoje naczynia do okienka, po czym Matt i Samantha poszli do budynku kontroli lotów na spotkanie sztabu.

W sali znajdowało się około dwadzieścioro oficerów. „Goryl” chciał zawołać „Baczność!”, ale powstrzymał go ostrzegawczy gest Leonarda.

- Przynoszę złe wieści - odezwał się Pontowski. - Darmowe wakacje pod palmami dobiegają końca. - Samantha włączyła kamerę.

- O, nie! - jęknął ktoś z tylnych krzeseł.

- Dajcie spokój - Matt uśmiechnął się - ile czasu można bezkarnie ssać pierś naszej wspaniałej mamuśki, kochanych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych? - Odprawa sztabu nie przebiegało tak, jak Samantha sobie wyobrażała. Zawsze myślała, że wszelkie odprawy wojskowe przebiegają w suchym, oficjalnym tonie. Mimo to nie było wątpliwości, kto na tej sali jest dowódcą. - Nadszedł czas, żebyśmy narobili tu trochę zamieszania - oznajmił Pontowski.

- Najwyższy czas - skomentował jakiś kobiecy głos.

- O, widzę, że mamy przynajmniej jedną osobę gotową do roboty!  
- odparł pułkownik z zadowoleniem. - Dobra: jutro zaczynamy pełnowymiarowe ćwiczenia. Ci, którzy nie będą brać udziału w misji rozwożenia pomocy humanitarnej, będą wykonywali loty ćwiczebne. Poza tym zamierzam zamienić ten chlew w połączone centrum operacyjno-wywiadowcze (*Combined operations and intelligence center*, w skrócie COIC). Będziemy przeprowadzać połączone operacje i pracować razem - herculesy, „pryszczate świnię” - wszyscy. Wszystko, co ma amerykańską flagę, pójdzie w ruch. A teraz - za mną!

Sam ruszyła za grupą. Pontowski opisywał tymczasem oficerom swoje pomysły:

- Myślę, że to pomieszczenie świetnie nadaje się na salę odpraw. Będzie duża - i bardzo dobrze - na jakieś sześćdziesiąt miejsc. - Przeszli w ten sposób wszystkie pokoje, wracając wreszcie tam, skąd



wyszli. - Wiecie teraz mniej więcej, o co mi chodzi. Zatem, do roboty! Nie bójcie się zmian, wszystko ma działać, jak należy. Zmieniać, co trzeba. I niech każdy przekaże swoim ludziom: kto nie lata, pracuje tutaj, przy COIC.

Następnym zadaniem Pontowskiego było ułożenie z Lydią Kowalski i Leonardem planu ćwiczeń.

- Sam - powiedział - jeśli chcesz zostać, proszę bardzo; ale mamy teraz przed sobą długą i nudną robotę. Jutro ruszamy z pierwszymi dostawami pomocy humanitarnej; polecimy do Vanwyksvlei.

- Czy mogłabym polecieć z wami? - spytała dziennikarka. Wykorzystywała wszystkie okazje, żeby znaleźć się we właściwym miejscu we właściwym czasie - tam, gdzie może wydarzyć się coś ciekawego.

- Musiałbym uzyskać na to zgodę generała - odpowiedział Matt. - Przyjedź tu wobec tego jutro o siódmej rano; zobaczymy.

Następnego ranka, dokładnie o siódmej, Samantha wkroczyła do sztabu. Tętnił życiem. „Goryl” już się uwijał, kierując grupą, która dosłownie przewracała jedno z pomieszczeń do góry nogami. Dziennikarka przedzierała się przez piętrzące się meble i stosy rzeczy, aż odnalazła pułkownika Leonarda.

- Gdzie jest dowódca? - zapytała.

- W siedzibie wojsk ONZ - wyjaśnił „Tango”. - Dzwonił, żeby pani przekazać, że de Royer nie zgodził się na pani lot. Ale może pani filmować tutaj, bardzo proszę.

Twarz panny Gordon wyrażała rozczarowanie.

- W takim razie pokręcę się tu trochę... - odpowiedziała.

Cały ranek spędziła robiąc reportaż z przygotowań do pierwszych lotów. Ani ona, ani żaden z potencjalnych widzów nie wiedział, ile prac trzeba wykonać, żeby przygotować jeden samolot z ładunkiem. Stała właśnie przy ładowanym herculesie, kiedy nadjechał Pontowski.

- Cześć, Sam. Przepraszam - starałem się, ale stary nie zgodził się na to, żeby w locie brali udział dziennikarze.

Skinęła głową. Pułkownik wyglądał na zmęczonego, jak gdyby nie spał w nocy.

- Nie spałeś dzisiaj? - spytała.

- Jakieś trzy godziny - odpowiedział. - Potem, kiedy cała ta machina jest już w ruchu, wszystko idzie łatwiej. - Nadjechał mały autobusik, przywożąc załogę transportowca. Matt przedstawił Samancie dowódcę - kapitana Jake'a Madisona i drugiego pilota - kapitan Brendę Conklin.

- Brenda także jest wykwalifikowanym dowódcą - wyjaśnił Pontowski.

Pani Conklin była atrakcyjną blondynką i wyglądała raczej na studentkę niż doświadczonego pilota olbrzymiego transportowca.

Samantha zwęszyła coś w powietrzu - może będzie miała okazję zrobić mały reportaż o dyskryminacji seksualnej...

- Nie jest tak, jak pani myśli - uprzedziła ją od razu pani kapitan. - Najpierw muszę odbyć kilka lotów jako drugi pilot, żeby poznać okolicę, a dopiero potem sama będę prowadziła samolot. Tak postępuje się zawsze.

- Czyżbyście nie ufali swoim pilotom?

- To rozsądny zwyczaj. Przydaje się - wtrącił Matt.

Sam nakręciła parę ujęć załogi w trakcie przygotowań do lotu i uruchamiania silników; sfilmowała też, jak wielka maszyna holuje w stronę pasa i startuje.

- Co teraz? - spytała.

- Teraz - będziemy czekać - wyjaśnił Matt.

Ze zmęczonego wyrazu twarzy odczytała: „i denerwować się”.

- Czy... czekanie jest najtrudniejsze?

Pontowski patrzył w niebo za oddalającym się herculesem.

- Ćwiczmy ludzi, dajemy im te wszystkie zabawki, a potem ufamy, że poradzą sobie sami.

- Chciałbyś tam być, prawda? Z nimi...

- Za każdym razem - odparł Matt.

## **Piątek 30 stycznia**

### **Vanwyksvlei, północna Prowincja Przylądkowa**

Erik Beckmann siedział w tylnej części furgonetki. Słuchał, jak dwóch czarnych rozmawia przez krótkofalówkę. Była to pierwsza operacja, w której brał udział razem z Azanianami.

Był przerażony kompletnym brakiem dyscypliny radiowej, jakim cechowała się rozmowa. Dlaczego ktokolwiek ma ochotę popierać tę bandę głupich czarnuchów? - myślał. Po co OPEC uparł się dostarczyć Azaniańskiej Armii Wyzwolenia pieniędzy i broni? Ze strachu? A może Arabom wydaje się, że ruch ten jest w stanie opanować RPA?

Po tym, jak pozbył się Reggiego w Kapsztadzie, Erik zatrudnił się w Armii Wyzwolenia, co nie przyszło mu z trudnością. Poleciał po prostu do Durbanu i zameldował się tam w hotelu George przy

bulwarze Marine Parade. Następnie usiadł w restauracji przed hotelem, razem z innymi najemnikami i popijał drinki, czekając aż podejdzie do niego odpowiednia osoba. W rozmowie z werbownikiem Armii wymienił kilka ważnych, znanych nazwisk z niemieckiej Fajkji Czerwonej Armii, żeby zrobić odpowiednie wrażenie. Kiedy zaś na jego szwajcarskim koncie znalazła się duża suma pieniędzy, odleciał do Kimberley. Stamtąd został zabrany samochodem do dużej farmy w Karru, gdzie poznał dwóch czarnych, siedzących z nim teraz w furgonetce.

- Czy wasi ludzie rozumieją, że ma się obyć bez strzelaniny? - upewnił się. - Potrzebni nam zakładnicy, a nie ciała. - Obaj przekonywali go, że każdy z biorących udział w akcji na pewno to zrozumiał, Beckmann jednak miał wątpliwości. Mimo wszystko musiał posłużyć się tymi ludźmi, żeby wziąć zakładników i ciągnąć całą sytuację jak najdłużej, na korzyść swojego brata. Zakładników musieli wziąć czarni, a nie AWB. Potem Żelazna Gwardia uwolni ich i odprowadzi bezpiecznie do domów, robiąc przy tym jak najwięcej hałasu, żeby zwrócić uwagę dziennikarzy całego świata. Koncepcja była bardzo prosta; jej wykonanie natomiast przedstawiało niemałe trudności - członkowie Azaniańskiej Armii Wyzwolenia nie posiadali dwóch podstawowych cech: cierpliwości i dyscypliny.

Cholerne, głupie czarnuchy. Nic dziwnego, że potrzebują białych najemników... Tymczasem głośnik krótkofalówki poinformował, że transportowiec C-130 Hercules podchodzi do lądowania na lotnisku w Vanwyksvlei.

- To było drugie miejsce, które sprawdzaliśmy - odezwał się do

pilotów starszy sierżant Riley Stine - mechanik samolotu. - Powinniśmy wtedy skończyć i nie lecieć do tego Mata Mata.

- Drugi raz się to nie zdarzy - zapewnił go Jake Madison.

Brenda Conklin przyglądała się pasowi startowemu i małemu miasteczku, leżącemu na wschód od lotniska. Świeciło popołudniowe słońce; okolica wydawała się spokojna. Na niedużej płycie stał tłumek oczekujących, byli jednak wystarczająco daleko od pasa... Pani kapitan zobaczyła też jadącego wzdłuż płyty białego pickupa, a za nim dwie odkryte ciężarówki i podnośnik widłowy.

- Zaraz nas rozładują i będzie po krzyku - powiedziała.

- Dla mnie i tak za długo - rzucił Riley.

Madison wylądował gładko i zjechał z pasa. Francuski żołnierz w niebieskim berecie wojsk ONZ pokazał ruchami rąk, gdzie ma się zatrzymać. Przy białej półciężarówce stały dwa inne „niebieskie berety”. Byli to żołnierze z pieszych oddziałów ONZ odpowiedzialni za rozdział żywności i lekarstw, które przywiózł hercules.

- Mam nadzieję, że mają broń - mruknął Riley, kiedy piloci wyłączyli silniki.

- Trzymaj ptaszka w pogotowiu, żeby można było szybko zapuścić śmigła, dobrze? - polecił Madison. Wyszedł z kabiny i zamienił parę słów z Francuzami.

- Wszyscy zostają na pokładzie - rozkazał. Pamiętał o Mata Mata i Robie Nuttingu - przecież to się dopiero co zdarzyło. Warto było zachować ostrożność.

Erik Beckmann wysiadł z furgonetki i podszedł na skraj

niewysokiej skarpy, wiszącej nad miasteczkiem. Podniósł do oczu lornetkę i zobaczył zjeżdżający po rampie samolotu podnośnik, który zabierał palety z ładunkiem. Nie należy działać zbyt szybko - pomyślał. Herculesy wożą po pięć takich palet. Niech zabiorą wszystkie pięć, żeby ci trzej żołnierze odeszli od samolotu. I niech ludzie się podzielą...

- Nie!!! - wrzasnął. Grupka Murzynów stojących na skraju płyty lotniska powinna zostać na miejscu.

Pobiegł do furgonetki i wskoczył do środka.

- Wasi ludzie zaczęli za wcześnie! - krzyknął do dwóch czarnych. - Niech was cholera!...

Madison zobaczył, że zgromadzeni na skraju płyty Murzyni ruszyli nagle w jego stronę. Znieruchomiał na długą chwilę, nie wiedząc, co o tym myśleć. Spokojnie, przecież drugi raz to samo się nie zdarzy; w dodatku bez powodu. Patrzył jednak na Murzynów, którzy wciąż podchodzili bliżej. Widać już było ich twarze. Zwrócił uwagę, że nie byli to wygłodniały wieśniacy, tacy jak w Mata Mata, ale krzepko wyglądający, dobrze odżywieni młodzi mężczyźni. I śpiewali, czy też recytowali coś, czego nie rozumiał. Kiedy znajdowali się mniej więcej w odległości dwudziestu pięciu metrów, usłyszał - było to jedno, powtarzane słowo:

- Mata-Mata-Mata...

Zamarł na moment, po czym natychmiast odwrócił się do Francuzów i zawołał:

- Atakują nas! Wskakujcie na pokład; ruszamy stąd!

Żołnierze pobiegli w stronę drzwi dla załogi; kapitan zdążył jeszcze

zrobić nad głową małe kółko prawą dłonią, z wysuniętym palcem wskazującym - dał sygnał, żeby uruchomiono silniki. Conklin i Riley byli w pogotowiu - zaraz rozległ się odgłos urządzenia rozruchowego. Francuzi i Madison wbiegli po trzech schodkach do wnętrza maszyny i po chwili włącz zatrzasnął się; trzeci silnik już pracował. Rampa z tyłu samolotu podnosiła się, a wrota ładunkowe opuszczały.

Madison wspiął się na fotel pilota i zawołał:

- Kołujemy!

Wielka maszyna drgnęła i ruszyła w kierunku pasa. Tymczasem dogoniła ją biała półciężarówka, na której platformie siedziało czterech Murzynów. Samochód wyprzedził herculesa, a następnie zajechał mu drogę, nie pozwalając dostać mu się na pas. Madison złapał za małą kierownicę, znajdującą się po jego lewej stronie i skierował samolot na drugą ścieżkę do kołowania. Jednakże przed nim znajdował się już inny samochód; widać było, że za chwilę także ich zablokuje. Wzdłuż herculesa biegło coraz więcej napastników; zaczęli walić w tylną część kadłuba.

- Cholera jasna! - zaklął do interkomu Madison. - Możemy stąd wystartować?

- Nie ma mowy - odparła spokojnie kapitan Conklin.

- „Perk” - krzyknął kapitan do dowódcy ładowni, sierżant Tanyi Perko. - Zaszuj pudło!

- Już to robię! - odparła Tanya. - Blokowała łańcuchami wszystkie drzwi, które można otworzyć z zewnątrz.

Pilot pociągnął za dźwignie przepustnic i uciekł pukającym w kadłub Murzynom, niczym słoń odpędzający natrętne, lecz

nieszkodliwe muchy.

- Uważaj, żeby nie dobrali się do opon! - ostrzegła go koleżanka.

- Przejadę po trawie - oznajmił Madison, kierując maszynę w stronę pasa ziemi, oddzielającego płytę lotniska od pasa startowego. Jednak równolegle do niego jechała jedna z ciężarówek, uniemożliwiając mu i to. Zawrócił więc herculesa w kierunku środka płyty. Mężczyźni za oknami rozpięchli się, uciekając przed rozpędzonymi śmigłami. Z lewej zbliżała się druga ciężarówka. Jake skręcił prosto na nią, tak że kierowca uciekł mu z drogi, po czym z powrotem skierował samolot w wybraną stronę.

- Obserwator do górnego wjazdu! - zawołał Madison. Riley odpiął pas i otworzył wjazd ratunkowy, znajdujący się za jego fotelem. Wspiął się po drabince i usiadł na kadłubie; jego nogi zwieszały się do środka. Nawigator - kapitan Stan Sims - podał mu hełmofon.

- Kurwa mać! - wrzasnął Riley. - Jesteśmy okrążeni! Skręcaj dalej, szybko!

Erik Beckmann nastawił ostrość lornetki i patrzył na C-130, jadący po rampie. Zacisnął usta widząc, że transportowiec zatacza wielkie koło. Pilot manewrował samolotem, krążąc i robiąc w ten sposób miejsce wokół siebie. Kiedy tylko któraś z ciężarówek za bardzo się do niego zbliżyła, jechał wprost na nią, zmuszając kierowcę do ucieczki. W końcu jeden z kierowców nie ustąpił. Wyskoczył, kiedy samolot znalazł się już zbyt blisko, a pilot zdołał w tym czasie wykręcić. Gdy ogon herculesa znalazł się dokładnie na wprost samochodu, pilot dodał gwałtownie gazu, a napędzane śmigłami powietrze przesunęło samochód o kilka metrów, przewracając go w



końcu na bok.

Potężna maszyna zakręciła znowu, rozprasząc napastników, niczym byk matadorów. W końcu zatrzymała się na samym środku płyty. Murzyni przystanęli w pewnej odległości, z widocznym respektem.

Jeden z czarnych podbiegł do Beckmanna i zawołał:

- Niech pan pozwoli moim ludziom użyć broni! Mogą przestrzelić opony.

Beckmann zwalczył chęć zabicia tego człowieka do nieprzytomności.

- Jeżeli zaczniemy strzelaninę, nadjedzie wojsko! Poza tym widziałem, jak strzelają wasi ludzie. Wałą przed siebie na oślepi, jak szaleńcy. Nam są potrzebni zakładnicy, a nie ciała.

- Ale przecież oni siedzą w środku; nic im się nie stanie. Jeżeli przestrzelimy im opony albo silniki, nie ruszą się już.

Co za palant! - pomyślał Beckmann.

- Powiedz swoim ludziom, że mogą strzelać, jeżeli samolot zdoła dojechać do pasa i będzie próbował wystartować. Zobacz, już ich złapaliśmy, bez jednego strzału. Nie ruszają się. - Mężczyzna był zakłopotany. Beckmann pokręcił więc głową, żeby okazać swoje niezadowolenie. - Niedługo skończy im się paliwo i śmigła zatrzymają się - tłumaczył. - Wtedy będziemy mogli otworzyć samolot jak puszkę konserw. Ze dwa dni potrwa, zanim ktoś odpowie na ich wołanie o pomoc; a wtedy my będziemy już daleko, razem z zakładnikami. Rozumiesz?

Murzyn przytaknął.

- To dobrze - pochwalił go Beckmann. - A teraz przyprowadź mi

tu tego, który przyśpieszył atak. Zrobił to za wcześnie - nie posłuchał rozkazów.

- *Ja baas* - odpowiedział żołnierz i pobiegł do furgonetki, gdzie znajdowała się krótkofalówka. Beckmann spojrzął na płytę lotniska. Teraz pracowały tylko dwa silniki samolotu, te bliższe kadłuba. Oszczędzają paliwo - pomyślał. Przez chwilę zastanowił się, czy jednak nie użyć siły, żeby prędzej z tym skończyć. Odrzucił wszakże tę myśl. Niech wzywają pomocy przez radio. Wieść się rozniesie i cały świat zobaczy, że rząd czarnuchów i cały ten ONZ to dupki. Bardzo dobrze. Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy! A zatem, mamy trochę czasu - jakieś czterdzieści osiem godzin. A ja jestem cierpliwy.

Roześmiał się sam do siebie. Pomyślał bowiem o dodatkowej przyjemności - ukaraniu głupiego czarnucha, który spartolił robotę.

## **Piątek, 30 stycznia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Oficer dyżurny schodził właśnie ze stołka - instalował lampy oświetlające stanowisko - kiedy usłyszał trzask w radiu satelitarnym zwanym SatCom. Złapał więc mikrofon i nacisnął guzik.

- „Tragarz Jeden” nadawaj. Tu „Ziemniak”. - Mimo iż odległość pomiędzy Ysterplaat i Vanwyksvlei wynosiła w linii prostej pięćset kilometrów, sygnał radiowy leciał najpierw osiemdziesiąt tysięcy kilometrów do satelity, potem wracał do naziemnej stacji przekaźnikowej, odbijał w górę do drugiego satelity, i dopiero stamtąd trafiał do stojącego na lotnisku herculesa. Połączenie było jednak wystarczająco dobre, żeby usłyszeć każde słowo. Po chwili

oficer dyżurny uruchomił alarm.

Pierwsza wpadła przez drzwi Kowalski. Kiedy nadszedł Leonard, Lydia rozmawiała już z Brendą Conklin z herculesa.

- Zawołaj szefa! - ponagliła Kowalski. - „Tragarz Jeden” wpakował się w niezłą kabałę.

- Już jestem - odezwał się Matt, wchodząc. Lydia opisała mu w skrócie całą sytuację. Z ust pułkownika posypały się natychmiast wypowiedane dynamicznie rozkazy:

- „Tango”, niech dwie „Świnie” lecą nad Vanwyksvlei! Nie, poczekaj!... Chcę ich zaskoczyć, a poza tym nie powinniśmy pogarszać sytuacji. Niech trzymają się w odległości co najmniej piętnastu kilometrów, tak żeby nie zostali wykryci. Ale jeśli ktoś zacznie strzelać do naszej C-130, niech wkraczają do akcji i wybiją napastników co do sztuki! Lydio, „Świnie” nie mają tak dalekosiężnych nadajników. Wyślij jak najszybciej w powietrze herculesa z SatComem, żeby służył jako latająca stacja przekaźnikowa. Niech trzyma się w pobliżu A-10 i nie zbliża do lotniska.

- Jakie są zasady postępowania? - spytał Leonard.

- Zanim nie porozmawiam z Péndulo, a on nie uprze się, żeby było inaczej, piloci mają zezwolenie na walkę ze wszystkim, co odda strzał do herculesa albo do nich samych.

- Chwytam - Leonard już był w drzwiach.

- Szefie - odezwała się Lydia - daj mi polecieć tym C-130.

- Dobrze - odparł Pontowski. - Możesz koordynować stamtąd akcję. Leć.

Matt usiadł i zebrał myśli. Musiał jakoś to wszystko

sformalizować, ale jak?

- Połącz mnie z generałem de Royer, na linii specjalnej - rzucił dyżurnemu - a potem zatelefonuj do madame Martine z misji obserwacyjnej ONZ. - Po paru sekundach Pontowski wyjaśniał już sytuację de Royerowi. Ku jego zdumieniu, generał polecił mu rozwiązać cały problem samemu i dodał, że wysyła do niego adiutanta, pułkownika Boucharda. Odłożył słuchawkę.

Następnie połączył się z Eleną Martine i poprosił ją o skontaktowanie się z Péndulo w ministerstwie obrony.

- Mart - odparła Elena - Péndulo wyjechał z miasta. Ale spróbuję go znaleźć.

- Potrzebny mi ktoś, kto podejmie decyzję - ponaglił ją Pontowski.

- Nie rób niczego, zanim nie oddzwonię - odparła.

Teraz trochę obliczeń. Czterdzieści pięć minut lotu do Vanwyksvlei, dwie godziny krążenia koło miasta i czterdzieści minut z powrotem... Żeby utrzymywać ciągłą kontrolę nad sytuacją, trzeba będzie wysyłać „Świnie” co dwie godziny. A jak długo może utrzymać się w powietrzu hercules? Zdaje się, że osiem czy dziesięć godzin. Pułkownik wybiegł ze stanowiska dowodzenia, żeby wydać odpowiednie rozkazy i zobaczył Sam.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Mamy kłopoty. Przepraszam cię, ale nie mam teraz dla ciebie ani chwili.

- A czy mogę się tu pokręcić?

Zatrzymał się na moment. Niewątpliwie będzie zamieszanie. Czy aby na pewno chce, żeby ktoś to wszystko oglądał? Chociaż, z drugiej strony...

- Sam, słuchaj: kiedy nasz hercules wylądował w Vanwyksvlei, został otoczony przez czarnych napastników. Załoga siedzi w tej chwili w samolocie i nie ma możliwości wykonania ruchu; ale nikomu nic się nie stało i nie oddano nawet jednego strzału... do tej pory. Próbujemy opanować jakoś sytuację, zanim komukolwiek stanie się krzywda. Zostań, proszę, ale nie możesz wchodzić do stanowiska dowodzenia, wywiadu ani sal odpraw, rozumiesz? „Waldo” się tobą zajmie. - Przekazał Samanthę Waldermanowi i ruszył dalej, żeby znaleźć Leonarda. Słyszał, że na zewnątrz uruchamiane są silniki dwóch A-10. W chwilę po nich odezwał się hercules. Zaczyna się prawidłowo - pomyślał.

Kiedy Matt i „Tango” siedzieli z powrotem w stanowisku dowodzenia i rozpisywali loty, wszedł Bouchard. Miał na sobie ciemnozielony mundur połowy armii francuskiej. Nie odzywał się ani słowem, tylko chodził im za plecami niczym ponure widmo. W dwadzieścia minut później do oficerów dołączyła Elena Martine.

- Nie mogę znaleźć Péndulo - oznajmiła.

- To jak mamy wydostać naszych ludzi z tego bagna? - spytał Pontowski.

- Rząd musi podjąć decyzję. Nie my.

- W takim razie niech się lepiej zabiorą za jej podejmowanie, bo inaczej stracimy całą załogę, oddział piechoty ONZ i jednego herculesa...

- Przykro mi, Matt, ale musimy czekać.

- Piechota to moi ludzie - wtrącił Bouchard. - Legia Cudzoziemska nie poświęca swoich żołnierzy!

- Nie wiedziałem, że pan jest z Legii Cudzoziemskiej!... - Leonard

był zaskoczony.

- Oczywiście, że jestem - potwierdził Bouchard. - Generał de Royer także.

W odbiorniku SatCom odezwał się głos Lydii Kowalski.

- „Świnie” już są na miejscu - oznajmiła. - My też; rozmawiamy sobie wszyscy przez radio. Zablokowali drogi do kołowania samochodami; poza tym sytuacja bez zmian. Skurwiele trzymają się z dala; boją się śmigieł.

Kiedy zaczną strzelać? - pomyślał Matt. - To przyspieszy zakończenie sprawy.

- Lydio - zapytał - jak długo mogą trzymać dwa silniki na wolnych obrotach?

- Długo - odparła. - Mają całą masę paliwa. Zapytam dokładnie i zaraz wam powiem.

- Pułkowniku Pontowski - odezwał się Bouchard. - Może to odpowiednia chwila, żeby przedyskutować wspólne ćwiczenia...

Teraz?! - Pontowski zastanawiał się, co Francuz ma naprawdę na myśli. Wyraz zniekształconej twarzy legionisty nie dawał jednak żadnej wskazówki.

- Chodźmy do pokoju „Tango” - powiedział Matt.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Bouchard przystąpił do rzeczy.

- Mam pod komendą dwie setki ludzi z Sił Szybkiego Reagowania. Są dobrze wyszkoleni i potrafią działać z wykorzystaniem samolotów transportowych.

- Czy to legioniści z drugiego pułku?...

Francuz skinął głową. De Royer sprowadził ze sobą, w ramach pokojowego kontyngentu, drugi pułk spadochronowy Legii

Cudzoziemskiej! A teraz zamierzał go wykorzystać.

- Jaki ma pan pomysł na nasze pierwsze wspólne ćwiczenia? - zagadnął Matt.

W godzinę później znajdował się już w pokoju wywiadu.

Ponieważ nie dowiedział się niczego nowego, spytał, czy jest jakiś kontakt z CIA. Nie było. Przyszedł mu więc do głowy pewien pomysł. Poszukał Samantha, piła kawę w kąciku.

- Słuchaj, Sam - powiedział - czy wiesz, kto jest szefem placówki CIA w Republice Południowej Afryki?

## **Rozdział jedenasty**

### **Sobota, 31 stycznia**

#### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Było parę minut po północy. Matt zatrzymał samochód przed biurowcem Broadway Industries Centre. Strażnik spodziewał się go, i skierował od razu na trzecie piętro, do konsulatu amerykańskiego. Tam z kolei czekał już Richard Davis Standard.

- W czym mogę panu pomóc, pułkowniku? - zapytał na powitanie.

Z początku Standard zrobił na Pontowskim wrażenie otyłego, zmęczonego życiem człowieka w średnim wieku. Jednak po chwili przyjrzał mu się uważniej. Szef placówki CIA roztaczał wokół siebie jakąś aurę; zdawała się emanować z niego siła i pewność siebie. Mattowi przyszedł na myśl tygrys, oglądany kiedyś w zoo. Zwierz leżał nieruchomo w klatce i wyglądał na przekarmionego i leniwego, dopóki jakiś nastolatek nie odpalił petardy. Wtedy tygrys ryknął i zerwał się na nogi. Krążył z wściekłością po klatce, a pod jego

workowatą skórą przeżyły się stalowe mięśnie...

- Czy to nie może poczekać do poniedziałku? - Standard odgrywał swoją rolę biznesmena.

- Poniedziałek to o wiele za późno - odparł Matt, po czym w paru słowach opisał sytuację na lotnisku w Vanwyksvlei.

- Jestem attache handlowym - powiedział z naciskiem Standard. - Nie rozumiem, co mógłbym dla pana zrobić.

- Sądzę, że jednak by pan mógł...

- Kto panu dał moje nazwisko?

- Reporterka - wyjaśnił zgodnie z prawdą Pontowski.

- Pańska reporterka ma jakieś pozbawione podstaw fantazje na temat tego, czym się zajmuję - usłyszał Matt. - Oczywiście - ciągnął Standard - rozmawiam z różnymi ludźmi i od czasu do czasu słyszę to czy owo... Być może ludzie, którzy was zaatakowali, to Azaniańska Armia Wyzwolenia. Jak dotąd organizacja ta była tylko jednym małym kłopotem więcej. Ostatnio jednak donoszą, że wspomagają ich państwa OPEC. Dostarczają im pieniędzy, broni i najemników, którzy ich szkolą.

- Jak na razie nie oddano żadnych strzałów - wyjaśnił Matt - a załoga C-130 nie widziała, żeby napastnicy mieli broń.

- Vanwyksvlei leży poza zwykłym terenem działania Azanianów - mówił Standard, chodząc tam i z powrotem. - Chyba najbardziej prawdopodobne jest to, że chodzi o jakąś lokalną rozgrywkę polityczną, w wyniku której Armia Wyzwolenia chce przejąć żywność i inne zapasy.

Pontowski wiedział, że więcej już się nie dowie. Ale teraz, znając zagrożenie, mógł opracować lepszą taktykę.



- Dziękuję za pomoc. Przepraszam, że przeszkodziłem panu o tej porze.

Standard odprowadził go do drzwi.

- Panie pułkowniku, gdyby pan chciał ze mną jeszcze kiedyś porozmawiać, proszę zadzwonić pod ten numer. - Podał Mattowi wizytówkę opatrzoną ozdobnym nagłówkiem „Techtronics International”.

Sam opadła bezwładnie na kanapę, zupełnie wyczerpana. Zdumiewało ją, jak Pontowski, Leonard i Kowalski, która zdążyła wrócić z pierwszej zmiany, potrafili przez cały czas kontrolować sytuację. Ani na chwilę nie zrobili sobie przerwy. Bez ustanku to rozmawiali z innymi, to pomiędzy sobą; jednocześnie zastanawiali się nad wynikami pierwszego lotu i planowali następny... Wyciągnęła przed siebie nogi i zapadła w sen, zastanawiając się, skąd ci ludzie biorą tyle siły...

Matt obudził ją, klepiąc delikatnie po ramieniu. Spojrzała w górę i zaczerwieniła się, widząc, że zobaczył ją taką zmęczoną. Pułkownik podał jej kubek gorącej kawy.

- Przygotowujemy się do wysłania misji oswobodzającej - powiedział. - Pomyślałem, że możesz być zainteresowana.

Samantha podniosła do ust kubek z kawą, po czym wstała.

- Dziękuję ci - powiedziała.

Wyszła na zewnątrz budynku. Poczekała, aż zostaną ustawione i uruchomione dwa przewoźne zestawy reflektorów. Wtedy zaczęła filmować przygotowania. Zimna poświata reflektorów nadawała zdjęciom odpowiednią atmosferę. W którymś momencie z ciemności

wyłonił się oddział czterdziestu spadochroniarzy i wmaszerował po rampie do wnętrza czekającego C-130.

Dziennikarka rozpoznała ostatniego z wchodzących - był nim pułkownik Valéry Bouchard. Wyglądał jak maskara z piekła rodem. Niósł na sobie całe siedemdziesiąt kilogramów sprzętu. Spadochron układał mu się na plecach w duży garb, podczas gdy z przodu, pod mniejszym spadochronem zapasowym podskakiwał plecak. Z prawego ramienia pułkownika zwisał karabin maszynowy MAT-49. Samantha wyczuła jednak jeszcze coś innego. Niebezpieczeństwo.

Scena wydawała się surrealistyczna. Warknęły silniki, po czym w ciemności zapaliły się nowe reflektory - tym razem na dziobie samolotu. Były inne niż te pierwsze - nie oświetlały obszaru wokół siebie, tylko przecinały mrok wąskimi, długimi strugami światła. Samantha ustawiła kamerę na nowej pozycji, podczas gdy hercules odjeżdżał na pas. Za nim kołowały cztery A-10.

Po wejściu do budynku zobaczyła Pontowskiego przy drzwiach stanowiska dowodzenia.

- Co teraz będzie? - zapytała.

- Będziemy czekać - odparł. Słyszała to już wcześniej, teraz jednak lepiej zdawała sobie sprawę z tego, co to oznacza.

## **Sobota, 31 stycznia**

### **Vanwyksvlei, północna Prowincja Przylądkowa**

Erik Beckmann wypełzł ze śpiwora, wstał i przeciągnął się. Nad wschodnią częścią horyzontu zaczynało świtać. Można już było wyodrębnić kształt herculesa, przycupniętego na płycie lotniska. Scena zmieniła się jednak od czasu, kiedy położył się spać. Podniósł

więc do oczu lornetkę i rozejrzał się. Teraz obracało się już tylko jedno śmigło, a mężczyzna siedzący we władze ratunkowym nad kabiną pilotów przeszukiwał nieustannie obszar wokół samolotu reflektorem.

Beckmann wspiał się do furgonetki i obudził lekkimi kopniakami śpiących tam Azanianów.

- Od jak dawna w samolocie pracuje tylko jeden silnik? - zapytał surowym tonem.

- Od północy - padła odpowiedź.

- A ten reflektor?

- Włączyli go mniej więcej o tej samej godzinie.

- Dlaczego mi tego nie powiedzieliście?

- Spał pan; nie myśleliśmy, że to coś ważnego.

Nowy dźwięk sprawił, że Erik wyskoczył na zewnątrz. Podbiegł do krawędzi skarpy i zobaczył lecący wzdłuż pasa startowego samolot myśliwsko-szturmowy A-10. Przeleciał nad ciężarówkami, parkującymi teraz w poprzek pasa, żeby hercules nie mógł wystartować. Samolot wzniósł się na mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów, po czym zawrócił, szykując się do kolejnego przelotu. Beckmann odwrócił się i dostrzegł drugiego A-10, wyłaniającego się sponad parterowych budynków stojących przy końcu pasa. Przesunął się nad płytą lotniska na wysokości zaledwie siedmiu-ośmiu metrów, przeciął pas startowy i sunął prosto na Erika. Beckmann zamarł na moment ze strachu, po czym rzucił się na ziemię. Wielkie, metalowe ptaszysko podniosło się i przeleciało mu nad głową. Zatkał uszy - łoskot był ogłuszający.

Teraz nad lotniskiem przelatywał z powrotem pierwszy myśliwiec,

a drugi zawracał. Od południa natomiast pojawił się nowy hercules. Erik podniósł się z trudem. Miał miękkie nogi. Cieszył się, że nie jest na lotnisku. Wtedy zorientował się, że przecież samoloty nie oddały ani jednego strzału, nie zrzuciły żadnej bomby... Ruszył biegiem do furgonetki i zawołał:

- Rozkażcie ludziom otworzyć ogień!

- Ale przecież mówił pan...

- Jesteśmy atakowani! Ognia! - odparł donośnie, po czym wrócił na krawędź skarpy, akurat na czas, żeby zobaczyć wyskakujących z luku C-130 spadochroniarzy. Kiedy kończyły się im sześciometrowe linki, uczepione do samolotu, spadochrony otwierały się samoczynnie, jeden po drugim. Czasze spadochronów zdążyły kiwnąć się w jedną stronę, po czym żołnierze lądowali już pomiędzy płytą lotniska a pasem; zaledwie sto kilkadziesiąt metrów od stojącego na ziemi herculesa.

Beckmann zacisnął usta. Ich agentka w Kapsztadzie obiecała czterdzieści osiem godzin spokoju... Nad płytę lotniska zszedł pierwszy z myśliwców; drugi leciał jakieś pięćset metrów za nim. Erik przygotował się na odgłosy nierównej walki. Nic jednak nie usłyszał. Prostopadle do toru lotu pierwszej dwójki, pojawiła się następna para A-10. Był to dobrze przygotowany balet, obliczony na zastraszenie Azanianów. Zresztą skutecznie.

Stojący C-130 został natychmiast otoczony przez pierścień spadochroniarzy, podczas gdy druga grupa biegła ku pasowi startowemu. Beckmann obserwował z niezadowoleniem, jak żołnierze spychają samochody z pasa. Murzyni nie pomyśleli nawet, żeby poodkręcać ciężarówkom koła... Po chwili na oczyszczonym

pasie wylądował hercules, z którego wyskoczyli spadochroniarze. Kołował. Nad całą sceną przeleciały znowu dwa myśliwce. Pierścień żołnierzy rozerwał się - ruszyli ku budynkom. Erik słuchał, czy nie odezwą się serie z karabinów; słyszał jednak teraz tylko silniki kolejnego A-10 krążącego nad lotniskiem.

Pobiegł do furgonetki.

- Dlaczego wasi ludzie nie atakują?! - zawołał.

- Atakują - odparł jeden z Murzynów. Beckmann złapał go za kołnierz i wyciągnął go z samochodu, pozostawiając krótkofalówkę wewnątrz. - Co słyszysz? - warknął, popychając mężczyznę w stronę krawędzi skarpy. - Co widzisz? - Jedynym poruszającym się obiektem na płycie lotniska była w tej chwili cysterna z paliwem, podjeżdżająca do herculesów. - Wystraszyli się i uciekli! - odpowiedział na własne pytania. Łatwo darował sobie własną, pierwotną reakcję na nagłe pojawienie się samolotów. Wyszarpnął z kabury pistolet maszynowy kaliber 9 i przyłożył go do głowy Azanianina. Będzie przynajmniej jedna ofiara całego zajścia.

- *Ja baas, asseblief baas...* - Tak, proszę pana, proszę pana... - błagał Murzyn, jedynymi słowami w języku *afrikaans*, jakie znał.

Beckmann powoli opuścił pistolet i odszedł w kierunku furgonetki. Otworzył z trzaskiem drzwi i opróżnił magazynek, celując w drugiego Murzyna, który cały czas siedział w środku.

Pułkownik Valéry Bouchard stał pod osłoną skrzydła herculesa. Wypowiedział do krótkofalówki krótką komendę. Dowódcy poszczególnych drużyn zameldowali się, jeden po drugim. Zamocował krótkofalówkę z powrotem na miejscu i podszedł do

niewielkiej grupki żołnierzy zebranej koło drzwi załogi drugiego C-130.

- Teren zabezpieczony - powiedział. - Wszyscy napastnicy uciekli.  
- Odwrócił się w stronę trzech Francuzów z Legii Cudzoziemskiej. - Ładunek został splądrowany, ale część ciągle znajduje się na lotnisku. - Pokazał na budynki.

Nadleciał kolejny A-10 i zamachał skrzydłami.

- Wywołał nas „Ziemniak” z Ysterplaat - zawołała Brenda Conklin z wnętrza kabiny. - Pytają o dalsze plany.

Bouchard podrapał się po brodzie.

- Jesteśmy na miejscu, ładunek jest na miejscu, teren zabezpieczony... Weźmy się za to, po co tu przyjechaliśmy. Jesteśmy gotowi przyjąć następny transport!

Brenda przekazała komunikat i wysłuchiwała odpowiedzi.

- „Ziemniak” mówi, żeby zostać w pogotowiu! - poinformowała.

## **Sobota, 31 stycznia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Wiadomość, że załoga herculesa i sam samolot są bezpieczne, obleciała centrum COIC w okamgnieniu. Na korytarzu rozległy się radosne: „Hura!”, „tak trzymać” i jedno mniej odpowiednie: „chuj im w dupę!” Sam uśmiechnęła się i zaczęła zbierać manatki. Była zmęczona; miała ochotę na gorącą kąpiel. Zanim jednak zdążyła wyjść, do budynku wpadli Elena Martine i minister obrony RPA, Joe Péndulo. Stanowczo zażądali rozmowy z pułkownikiem Pontowskim. Sam zdecydowała, że teraz dopiero zaczyna być interesująco. Przybysze zniknęli w pomieszczeniu, gdzie znajdowało

się stanowisko dowodzenia.

Péndulo otrzepał z potencjalnego kurzu jedno z krzeseł i usiadł. Założył nogę na nogę i spojrzał na Matta dziwnym wzrokiem.

- Upokorzył pan mój rząd - oznajmił.

- W jaki sposób zdołałem to zrobić? - zainteresował się Pontowski.

Péndulo wychwycił sarkazm w głosie pułkownika.

- Rząd mojego kraju jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo wszystkich swoich obywateli - stwierdził.

- Żaden z członków pańskiego rządu nie zareagował - zauważył Matt.

Péndulo zignorował te słowa.

- Podjął pan akcję bez mojej zgody. Teoretycznie pański czyn równa się wypowiedzeniu Republice Południowej Afryki wojny.

- Panie ministrze, muszę zaprotestować - odezwała się Elena. - To nie był żaden wrogi...

- Mogę powtórzyć - nie dał jej dokończyć Péndulo. - Został popełniony akt równający się wypowiedzeniu wojny.

- Nie oddano ani jednego strzału - odezwał się zza pleców rozmawiających zimny, bezbarwny głos. Był to de Royer. Stał w drzwiach, dotykając głową górnej części futryny. Skąd on się tu wziął? - zdziwił się Pontowski. I nie wiedziałem, że zna angielski... - Zrzut spadochroniarzy był elementem ćwiczeń. Nikt nie został ranny. - Generał cedził kolejne zdania, przesywając Péndulo nieruchomym wzrokiem. Mówił płynną angielszczyzną, bez najmniejszego śladu francuskiego akcentu, ani zresztą żadnego innego.

Minister wydawał się zdezorientowany.

- Elementem ćwiczeń?

- Ćwiczenia są rutynowym składnikiem naszych działań - kontynuował de Royer.

Teraz obaj patrzyli na siebie nieruchomo. Była to walka, którą Péndulo chciał wygrać.

- Niech pan sprowadzi tu z powrotem wszystkich swoich ludzi - powiedział minister rozkazującym tonem. - Sprawdzimy wasze samoloty i sprzęt, żeby się upewnić, czy istotnie nie oddano ani jednego strzału. Weźmie pan mojego generalnego inspektora do Vanwyksvlei, gdzie będzie mógł przekonać się na własne oczy, że rzeczywiście nikt nie został ranny. Sprawę stref bezpieczeństwa omówimy później. - Zakończywszy, wyszedł dumnym krokiem z pomieszczenia; Elena kroczyła tuż za nim.

- Niech pan odwoła wszystkich z Vanwyksvlei - oświadczył de Royer.

- Myślę, że właśnie odnieśliśmy pyrrusowe zwycięstwo - odpowiedział Pontowski.

Ostatni z inspektorów ministra Péndulo opuścił bazę późnym wieczorem. Sam próbowała filmować ich pracę, ale kazali jej wyłączyć kamerę.

- Dlaczego się tak boją? - zapytała Matta.

- Ponieważ nie mają zielonego pojęcia o tym, co robią - odpowiedział.

- Czy coś znaleźli?

Pułkownik pokręcił głową.

- Pokazaliśmy im, że bębny z amunicją na „Świniach” są pełne; a



jeśli chodzi o ludzi Boucharda, to żaden z panów inspektorów nie odważył się podejść do niego bliżej niż na trzy metry... Ci, którzy polecili do Vanwyksvlei, nie wiedzieli, że nikogo już tam nie ma. Nawet nie wysiadali z samolotu, nie mówiąc już o tym, żeby poszli do miasta. - Matt wyszedł na dwór i rozejrzał się po lotnisku. - Cholera - mruknął. - Wszystko na nic!...

Samantha pożałowała, że nie ma w tym momencie przy sobie kamery. Chciałaby sfilmować tę chwilę. W panującym półmroku Pontowski wydawał się dużo starszy, sterany zmęczeniem i nerwami, jakie niesie ze sobą wielka odpowiedzialność. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu godzin spał trzy czy cztery. Wiedziała, że jest nie tylko wyczerpany, ale rozczarowany. Wojska ONZ mogły dokonać czegoś pożytecznego, ale politycy im nie pozwolili. Była jednak przekonana, że Matt spróbuje jeszcze raz...

- Dobranoc - rzucił, po czym ruszył w stronę kwatery.

Otworzył drzwi i rzucił się na łóżko, nie zdejmując butów ani nie gasząc światła. Natychmiast zapadł w głęboki sen.

Samantha wsiadła do samochodu. Nie mogła poradzić sobie z kluczykami. Co się z tobą dzieje? - zgromiła się w myśli. Daj spokój. Aż tak go lubisz?... Chyba trochę za bardzo. Uderzyła ręką w kierownicę.

- A niech cię licho, Matcie Pontowski!... - mruknęła na głos. Po chwili dodała: - Samantho, zdecyduj się na coś.

Zerknęła na okno pokoju Matta. Świeciło się jeszcze. Niewiele myśląc, wysiadła i zapukała delikatnie, ale nie było żadnej odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte.

Twarz Samanthy rozjaśnił promyk czułości, kiedy zobaczyła, że

Pontowski śpi jak kłoda w ubraniu i butach.

- Chyba ktoś musi się tobą zająć - szepnęła, po czym zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

Matt obudził się, słysząc odgłosy leżącej z kranu wody. Spróbował się podnieść, ale zaraz opadł z powrotem na poduszkę. Dziwne, nie pamiętam, żebym się rozbierał - pomyślał, próbując zorientować się, co się dzieje. Druga próba wypadła pomyślnie - udało mu się postawić stopy na podłodze. Zaraz, czy zostawiłem odkręcony prysznic? Rozbudził się natychmiast i usiadł, kiedy zobaczył na podłodze kamizelkę i wysokie buty Samantha, leżące wśród innych rzeczy.

- O, nie! - jęknął.

Wstał i z zadowoleniem stwierdził, że ma na sobie bieliznę. A potem usiadł znowu. Potrzebował kawy, ale ekspres był zamknięty w łazience.

- Proszę! - odezwał się radosny głos. Drzwi łazienki uchyliły się i wysunęła się zza nich ręka, trzymająca pełny kubek. Matt wziął go więc, a drzwi zamknęły się z powrotem. Pociągnął potężny łyk - po chwili kofeina zaczęła działać. Włożył spodnie i usiadł po raz trzeci na tym samym miejscu.

- Sam!... W nocy...

- Nie pamiętasz, prawda?

- Ja... no...

Drzwi łazienki otworzyły się szeroko i pojawiła się w nich w pełni ubrana Samantha Darnell.

- Położyłam cię do łóżka.

- A gdzie ty...?
- Gdzie spałam? Z tobą! A gdzieżby?
- No i...?

Popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Nic się nie wydarzyło - uspokoiła go. - Byłeś nieprzytomny.
- Kto w to uwierzy? - wymamrotał Pontowski.
- Ty i ja, Matt.

Podobało mu się, w jaki sposób wymówiła jego imię.

## **Poniedziałek, 2 lutego**

### **Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Liz Gordon stała koło lądowiska helikopterów hotelu Landdrost - najdroższego w mieście. Miała na sobie kostium safari - drelichową bluzę z krótkim rękawem, brązowe szorty i mocne, turystyczne buty. Wcale nie zamierzała kupować tego drogiego stroju, ale dyrektor hotelu upewnił ją, że za wszystko, łącznie z luksusowym apartamentem i posiłkami, zapłaci jej gospodarz.

Podczas minionego weekendu Elizabeth mogła więc pozwalać sobie na wszelkie zachcianki; pobyt w hotelu zdążył rozpieścić ją niczym księżniczkę. Tak zresztą się czuła, kiedy zobaczyła nadlatujący po nią od zachodu czarny helikopter. Była to gazelle - francuska maszyna, której pilot zrobił niewielkie koło nad lądowiskiem, po czym posadził śmigłowiec łagodnie na ziemi. Drugi pilot wyskoczył ze środka i przytrzymał pannie Gordon drzwi. Liz zerknęła na noszoną przez niego odznakę - srebrzysty okrąg, na którym widniała wzniesiona, żelazna rękawica, zaciśnięta w pięść. Był to symbol Żelaznej Gwardii - czarna, stalowa pięść na srebrnym

polu. Dziennikarka pochyliła się i wbiegła pod wirujące łopaty śmigłowca.

Tak właśnie chciała być traktowana.

Pilot leciał nisko, wzdłuż wiodącej do bazy drogi. Kiedy dolecieli na miejsce, wzniósł nieco maszynę, żeby przelecieć nad główną bramą. Brama była potężna, wykuta w czarnym granicie. Przypominała Elizabeth słynną Porta Negra w Trewirze. Za bramą znajdowała się dolina.

- To wygląda bardziej jak miasto niż jak baza wojskowa - odezwała się.

- Mieszkamy tu - odpowiedział drugi pilot. Gazelle wylądowała na trawie przed budynkiem dowództwa. Pilot wyłączył silnik. Drugi pilot ponownie wyskoczył z helikoptera i przytrzymał Elizabeth drzwiczki. Na ziemi jednak nikt jej nie oczekiwał. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Bloemfontein poczuła się zatem jak nikt. Coś podobnego!

- Miałam spotkać się z generałem Beckmannem - powiedziała.

- Już się pani spotkała- odpowiedział jej zza pleców jakiś głos. Odwróciła się i zobaczyła pilota helikoptera.

- Hans Beckmann - przedstawił się, wyciągając rękę. Liz od razu poczuła się urzeczona; nie wiedziała tylko, czy to z powodu głosu tego człowieka, czy też jego oczu...

Lunch w domu starszego sierżanta Michaela Shivuto był prostym, domowym posiłkiem. Shivuto był jednym z czarnych podoficerów Żelaznej Gwardii. Liz poczuła się zaskoczona, kiedy Beckmann zaprowadził ją do domu, w którym mieszkała murzyńska rodzina.

Zostali ciepło przyjęci przez żonę sierżanta i jego dzieci. Siedzieli teraz na plastikowych krzesłach na trawniku przed domem. Jedli kanapki, pili kawę...

- Myślałam, że Żelazna Gwardia to sami biali - odezwała się.

Generał uśmiechnął się.

- Propaganda... - powiedział. - W Żelaznej Gwardii służy wielu Murzynów. Sierżanta Shivuto poznałem w Afryce Południowo-Zachodniej, kiedy byłem jednym z dowódców Koevoet. Należy do naszych najlepszych zwiadowców. Szkoda, że nie może go pani poznać sama, ale jest w polu, razem ze swoimi ludźmi.

- Co to jest Koo Foot? - spytała dziennikarka.

Beckmann uśmiechnął się, słysząc jak przekręciła rzuconą przez niego nazwę.

- Słowo „koevoet” znaczy „łom” - wyjaśnił. - W tym przypadku chodzi o nazwę naszej elitarnej jednostki, istniejącej w latach osiemdziesiątych. Wtedy to SWAPO, czyli South West Africa People's Organization - Organizacja Ludowa Afryki Południowo-Zachodniej - wysyłała do Afryki Południowo-Zachodniej, obecnie zwanej Namibią, przez granicę terrorystów, którzy mordowali niewinnych ludzi. Koevoet zajmował się śledzeniem i zwalczaniem tych terrorystów. - Generał zrobił surową minę. - No cóż, przegraliśmy. A gdyby tacy ludzie jak Michael Shivuto nie dali z siebie wszystkiego, SWAPO pozabijałoby nas wszystkich. Troszczymy się o naszych żołnierzy.

- Czy Shivuto będzie kiedykolwiek oficerem? - spytała Gordon.

Beckmann potrząsnął głową.

- To niemożliwe - powiedział. - Może jego syn, Daniel. Ale

Michael - nigdy.

- Dlaczego? - ciągnęła Liz, zaskoczona tym, że generał okazał się tak otwarty.

- Czy umie pani pisać wiersze w języku *afrikaans*’?

- Nie umiem pisać wierszy nawet po angielsku - odpowiedziała.

- Ale gdyby pani córka została wychowana mówiąc od małego w *afrikaans*, czy wtedy mogłaby pisać wiersze w naszym języku?

- Być może... - zgodziła się Liz. Zaczynała rozumieć sposób myślenia Beckmanna. Rozejrzała się po cichym, spokojnym ogrodzie. Dzieci biegały, bawiły się... - Co to za budynki? - zapytała. - Te za podwójnym ogrodzeniem?

- Tam pracuje nasz wywiad - wyjaśnił generał. - Jak pani widzi, nie jest to wielki gmach. Jeśli pani sobie życzy, możemy tam pójść, z tym że oczywiście musiałbym najpierw zadzwonić tam i kazać im schować wszystkie „tajemnice”.

Elizabeth roześmiała się i pokręciła głową. Może Sam ma rację, że czasem najlepiej zadać pytanie wprost - pomyślała.

- Co mógłby mi pan powiedzieć na temat Numeru Jeden? - zapytała.

Beckmann popatrzył na nią wyczekująco, jakby czekał na dalsze słowa. Co ona wie? - zastanawiał się. Niech powie.

- Tak? - przynaglił ją.

- Słyszałam plotkę... że macie tu broń atomową.

Generał odczuł ulgę, jednak zamaskował to, przybierając wyraz głębokiego zrozumienia.

- Ach, to... Proszę za mną. Pokażę pani. - Podziękował pani Shivuto, po czym pojechał z dziennikarką do groty wykutej w zboczu

góry, odgradzającej dolinę od wschodu. Potężne, podwójne, stalowo-betonowe wrota do groty, mające chronić przed wybuchem atomowym, stały otworem. Generał wprowadził Elizabeth do środka. Panna Gordon nigdy jeszcze nie była w bunkrze, w którym przechowuje się broń jądrową, od razu jednak domyśliła się jego przeznaczenia. Wzdłuż każdej ze ścian znajdowały się rzędy pancernych drzwi.

- Proszę otworzyć, które tylko pani sobie życzy.

Liz podeszła do jednych z drzwi i przekręciła niewielkie koło zamykające je. Zdziwiła się, jak niewielka siła potrzebna była do tego, żeby potężna, stalowa płyta uchyliła się. Beckmann zapalił światło. W środku znajdowała się tylko pusta, metalowa kołyska, na jakich przechowuje się bomby.

- Mieliśmy dwadzieścia jeden bomb atomowych - wyjaśnił generał. - Ale zniszczyliśmy wszystkie, przed wyborami w 1994 roku.

- Dlaczego?

- To był jedyny odpowiedzialny krok, jaki mogliśmy wtedy podjąć - odparł. - Co jeszcze chciałaby pani zobaczyć?

- Wszystko! - Roześmiała się.

- Oczywiście.

Obiad, podobnie jak i lunch, był prostym posiłkiem. Tym razem jedli w domu Beckmanna. Liz ponownie została wprowadzona w błąd - nie tylko pokaz bazy został starannie zaaranżowany. Nad zwykłym z pozoru obiadem spędził całe godziny prawdziwy mistrz kuchni, dbając o to, żeby jego dzieło sprawiło tym razem jak najbardziej „zgrzebne” wrażenie i zostało podane w spartański

sposób.

- Dziękuję, że poświęca mi pan tyle czasu - powiedziała Elizabeth, kiedy skończyli jeść. - Nie spodziewałam się, że osobiście będzie mi pan wszystko pokazywał. Żałuję tylko, że moja kamerzystka nie mogła tego sfilmować.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Beckmann. - A jeśli chodzi o nagranie, to mamy reportaż z naszej bazy na kasecie wideo; mogę dać pani kopię. - Ruszyli do salonu na kawę. Generał pokazał Liz stare fotografie swojej rodziny. Niektóre z nich pochodziły jeszcze z lat siedemdziesiątych XIX wieku.

- Moi przodkowie byli *voortrekker* - powiedział. - Walczyli z Anglikami podczas wojny burskiej; a potem z Niemcami podczas obu wojen światowych. - Otworzył stary egzemplarz Biblii i opowiedział krótko o swoich kolejnych przodkach, których imiona i daty z ich życia pozapisywane były w księdze. - Ci ludzie wnieśli do tego kraju cywilizację. - To nasza ziemia, kraina naszych ojców. Dlatego właśnie pragniemy mieć nasze własne państwo.

Czas na kolejne bezpośrednie pytanie - pomyślała Liz.

- Ale czy nie będzie w nim znowu apartheidu? - spytała. - Tylko na mniejszą skalę?

- Apartheid to był nasz błąd - odpowiedział Beckmann. - Teraz chcemy stworzyć po prostu wyspę pokoju i spokoju pośród całego tego oceanu chaosu. Niech pani pomyśli o rozlewie krwi, o głodzie, który szerzy się w RPA. - Generał mówił z prawdziwym bólem w głosie. - Ale tu, gdzie budujemy *Boerstaat* - Państwo Burów, nic takiego się nie dzieje. Tu możemy zakładać spokojnie rodziny i wychowywać dzieci.



- Niech pan opowie mi o swojej żonie i dzieciach. - Liz uśmiechnęła się, widząc, że Beckmann gwałtownie się czerwieni.

- Ja... wie pani... Nigdy się nie ożeniłem... To jest moja rodzina. - Z tymi słowami pokazał szerokim gestem dolinę. Wstał i podał Elizabeth rękę. Trzymali się tak odrobinę dłużej niż potrzeba, żeby kobieta mogła wstać. - Czas, żebym zabrał panią z powrotem - powiedział.

Liz poczuła nagle, że żałuje, iż ten wspaniały dzień się kończy.

Tym razem panna Gordon siedziała w fotelu drugiego pilota. Leciła z samym Beckmannem. Światła Bloemfontein rozświetlały wieczorne niebo, witając ich.

- To piękna kraina - odezwał się generał. Liz przyznała mu rację. Chciała go dotknąć, ale nie było okazji, Lecieli więc w milczeniu. Beckmann posadził maszynę na hotelowym lądowisku tak delikatnie, że Elizabeth zaczęła od razu wyobrażać sobie jego dotyk. Wysiadł za nią i odprowadził ją do pokoju, przytrzymując jej drzwi.

- Dobranoc, Elizabeth Gordon - powiedział w końcu.

Popatrzyła na niego.

- Czy mógłby pan zostać? - szepnęła.

Ku jej zdziwieniu, Beckmann zaczerwienił się i zaczął się jąkać.

- To... to niemożliwe - wydusił w końcu. - Może... - Porzucił jakąś myśl. - Proszę, niech pani wróci. Do zobaczenia.

Przyglądała się, jak odchodził. Czowała się taka samotna...

**Wtorek, 3 lutego**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Sam siedziała w studiu telewizyjnym przy klawiaturze komputera,

służącego do edycji nagrań. Przesuwała na podglądzie taśmę nakręconą w bazie lotniczej. W pewnej chwili zwolniła ją. Pontowski prowadził zebranie sztabu i opowiadał o swoich planach dotyczących urządzenia centrum COIC. Zrobiła na niego zbliżenie.

- Zwróć uwagę, jak mu odpowiadają - powiedziała Sam.

- Używa bardzo obrazowego języka - zauważyła Liz.

- Rzeczywiście - zgodziła się Samantha. - Ale nie jest agresywny. -

Odnalazła teraz scenę w namiocie, kiedy pułkownik musiał poradzić sobie z Afrykanerami. - Jednak nie wycofuje się - mówiła. - Przesunęła taśmę do przodu. - To jego pokój. Prawie jak zakonna cela.

Liz przysłuchiwała się uważnie temu, co i w jaki sposób mówi Sam; obserwowała także jej twarz. Gość kompletnie zawrócił jej w głowie - oceniła.

- A to było wtedy, kiedy wysyłali akcję ratunkową - mówiła Samantha. Zrobiła teraz zbliżenie na Boucharda, jak wkracza na pokład herculesa, objuczony sprzętem.

- Nieźle to wygląda - przyznała Gordon.

Dalej nastąpiła sekwencja ukazująca odlatujące w ciemność samoloty. Scena wyglądała dramatycznie - reflektory przeszywały ciemność, ryczały silniki, obsługa naziemna biegała tam i z powrotem.

- Pułkownik spał nie więcej niż cztery godziny w ciągu sześćdziesięciu godzin akcji - opowiadała Sam - ale ani razu nie stracił panowania nad sobą. Uratowali całą załogę, transportowiec i oddział ONZ; bez jednej ofiary, po żadnej ze stron.

- Opowiadasz o nim jak o jakimś bożku - przerwała jej Liz.

- To bardzo ludzka postać, możesz mi wierzyć. Kiedy się budzi, jest prawdziwym zrzędą i wygląda, jakby ciągle spał. Musi wypić trzy kawy, żeby normalnie działać.

- Sam! Chyba nie?... - Ton Elizabeth był pełen prawdziwego oburzenia. Kamerzystka zaczerwieniła się, ale pokręciła przecząco głową. - Słuchaj - ciągnęła Liz - może wyłączysz to i pójdziesz sobie do hotelu, co? General Beckmann dał mi jakieś kasety wideo; chciałabym je obejrzeć. Przyjdę na obiad.

Sam posłusznie wyszła, a Elizabeth znalazła technika i wzięła się do roboty. Zrobi porządną edycję tych nagrań.

## **Piątek, 6 lutego**

### **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Kiedy Mazie Hazelton wróciła z zebrania Rady Bezpieczeństwa Narodowego, odbywającego się w Executive Office Building, po drugiej stronie ulicy czekała na nią nagrana na automatyczną sekretarkę wiadomość. Carroll chciał się z nią jak najszybciej zobaczyć. Nie mogła tego zignorować, wbiegła więc od razu po schodach. Sekretarka Billa zamachała na nią, żeby od razu wchodziła. W pokoju, razem z Carrollem, siedział Cyrus Piccard. Siedział w wygodnym fotelu, wyciągnąwszy przed siebie skrzyżowane nogi; głowa zwisała mu bezwładnie. Starszy pan spał, chrapiąc nieznacznie. Kiedy Mazie weszła, poruszył się, przestraszony, i obudził.

- Mazie, moja droga. Miło mi znowu cię widzieć.

Pani Hazelton uśmiechnęła się mimo woli. Piccard był uprzejmy i elegancki w każdej sytuacji.

- Rozmawialiśmy o reportażu Elizabeth Gordon, który puszczono wczoraj w wiadomościach o szóstej - odezwał się Carroll - i o tym, jak naprawić wyrządzone przez nią szkody.

Mazie skrzywiła się.

- Jakbyśmy bez tego nie mieli pełnych rąk roboty - powiedziała. - Dali jej prawie sześć minut, a ona ukazała Matta jako Neandertalczyka.

Bill pokręcił głową.

- Odplaciła mu się za to, że zrobił z niej idiotkę podczas konferencji prasowej.

Piccard chrząknął i powiedział:

- Sformułowania Matta o „ssaniu piersi naszej wspaniałej mamuśki, kochanych Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych” i o tym, że „nadszedł czas, żebyśmy narobili tu trochę zamieszania” nie mogły zostać dobrze przyjęte przez Amerykanów.

- A co w nich takiego złego? - zaprotestowała Mazie.

Stary polityk westchnął.

- Niestety, wielu naszych obywateli, zwłaszcza tych z mniejszych miejscowości, utożsamia taki sposób wyrażania się z prymitywnym i niemoralnym charakterem.

- Najbardziej denerwują mnie te porównania z Żelazną Gwardią - odezwał się ze złością Carroll. - Przedstawiła nas jako niezdarnych głupców, którzy zabijają dzieci i dają się wygonić z ośrodka rozdzielania pomocy, podczas gdy Żelazna Gwardia wprowadza pokój i porządek.

Piccard opuścił głowę i zamknął oczy. Mazie uśmiechnęła się do Billa, sądząc, że starszy pan ponownie zapadł w sen. Tymczasem

Cyrrus powiedział:

- Kiedy byłem bardzo młody, prawdziwy dżentelmen nie dementował niczego i za nic nie przeproszał. Być może tym razem to właśnie jest mądre rozwiązanie sprawy.

- Media, nie wspominając już o Kongresie, zrobią z nas miazgę - nie zgodziła się Mazie.

- Moja rada to pozostawić tę sprawę w spokoju - nie ustępował Piccard. - Porozmawiam prywatnie z liderami Kongresu i ostrzegę ich, kim w rzeczywistości jest Beckmann.

Bill pokiwał głową. Cyrus słyszał ze swoich możliwości przekonywania Kongresu do różnych rzeczy. Jego siła perswazji była trudna do przewyciężenia.

- Mazie - odezwał się Carroll, podnosząc słuchawkę telefonu - czy mogłabyś dostarczyć Cyrusowi trochę błota, którym można obrzucić Beckmanna?

- Jeszcze dziś dostanie pan ode mnie odpowiedni materiał.

William wezwał tymczasem swoją sekretarkę.

- Midge - powiedział - połącz mnie z sekretarzem obrony. - Czekając na połączenie z Elkinsem, rzucił: - Jest wiele sposobów na to, żeby pokazać społeczeństwu, że ufa się własnym ludziom. - Kiedy usłyszał Elkinsa, odezwał się do słuchawki: - John, czy przeglądałeś już rezultaty posiedzeń rad, przyznających ostatnio awanse wojskowe? - zapytał. W takim razie może chciałbyś przyspieszyć posiedzenie rady wybierającej generałów brygady?

Elkins ocenił, że to dobry pomysł.

**Czwartek, 12 lutego**

## **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski usłyszał pukanie i uniósł głowę znad biurka. Wszedł Piet van der Roos; miał zakłopotany wyraz twarzy.

- Dzwoni Samantha Darnell - powiedział. - To już czwarty raz.

- Naprawdę chce się ze mną po tym wszystkim zobaczyć? - upewniał się Matt. A czy ja chcę się z nią zobaczyć? - pomyślał. Telefonuje, odkąd tylko Gordon zrobiła nam ten brzydki numer w telewizji. Cholera, na pewno nie można ufać ani jednej, ani drugiej. A ja dałem się nabrać. Coja właściwie sobie myślałem, kiedy pozwoliłem jej kręcić się tutaj i robić zdjęcia? - Ustal spotkanie na dzisiejsze popołudnie - odpowiedział. - Na piętnaście minut. Nie będzie żadnej kamery, magnetofonu, notesu - niczego.

Van der Roos czekał na Samanthę przy wejściu. Miała na sobie prostą, letnią sukienkę, w której wyglądała ślicznie. Włosy starannie ułożyła.

- Tędy, proszę - odezwał się sucho kapitan, okazując dziennikarce w ten sposób, że i jemu nie podobał się reportaż panny Gordon.

Kiedy van der Roos wprowadził Samanthę do biura Pontowskiego, Matt stał. Dał znak Piętowi, żeby nie wychodził; nie chciał zostać sam na sam z panną Darnell. Była to oznaka najgłębszego braku zaufania z jego strony. Sam zerknęła na Afrykanera i zrozumiała, że pułkownik chce mieć świadka na wszystko, co zostanie powiedziane.

- Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać - odezwała się.

- Proszę usiąść, panno Darnell.

Van der Roos podsunął jej krzesło i wycofał się w stronę drzwi. Stał, podczas gdy ona i Pontowski usiedli.

Samantha wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Matt...

- Proszę się do mnie zwracać per „panie pułkowniku” - przerwał.

Patrzył jej prosto w oczy nieubłaganym spojrzeniem.

Spróbowała więc jeszcze raz:

- Panie pułkowniku, chciałabym przeprosić pana za to, co zrobiła Liz, i zapewnić, że nie miałam nic wspólnego z tym reportażem. - Matt nie odpowiadał. Nie odrywał zimnego wzroku od jej oczu. Nie wierzy mi - pomyślała Sam. Muszę go jakoś przekonać. - Pokazałam Liz swoje nagrania, ale to ona zrobiła montaż. Nie byłam przy tym. Sama dodała do tego swój komentarz i przesłała do Stanów. Gdybym wiedziała, powstrzymałabym ją... - Głos uwiązał jej w gardle.

- Panno Darnell - wierzę pani - padła obojętna odpowiedź. - Jednak ufalem, że to, co pani zobaczy, zostanie pokazane rzetelnie i sprawiedliwie. Jak widać, popełniłem błąd. To prawda, że używam prostego, nierzadko wulgarnego języka do porozumiewania się z moimi ludźmi. To należy do moich metod pracy. Jednak nie jestem żadnym „kowbojem” ani „moralnym Neandertalczykiem”, jak zechciała mnie nazwać panna Gordon. Potrafię przyjąć nawet najcięższą krytykę, kiedy jest ona zasłużona; jednak reportaż, jaki zobaczyliśmy, nie był uczciwy ani w stosunku do moich ludzi, ani do misji, którą tu pełniemy.

- Nie był uczciwy - potwierdziła Sam.

- Przynajmniej w tym punkcie się zgadzamy.

- Ale to odbyło się wbrew mojej woli i poza moją wiedzą. -

Samantha mówiła błagalnym głosem. - Co mogę teraz zrobić?

- Może sporządzi pani kolejny, tym razem bardziej wyważony

reportaż - zaproponował Matt, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Taka piękna, taka atrakcyjna - myślał. I taka niebezpieczna.

- Nasza stacja telewizyjna nie zgodzi się na to - odpowiedziała. - Kiedy już zaczną pokazywać jakąś historię, ciągną ją aż do wyczerpania tematu.

Pontowski wstał.

- Nie sądzę, żeby osobiste spotkanie z panną Gordon w czymkolwiek mi pomogło - powiedział. Samantha potrząsnęła głową. - W takim razie nie mamy więcej o czym rozmawiać. - Po tych słowach odwrócił się do okna. Spotkanie było skończone. Matt usłyszał jeszcze tylko otwierające i zamykające się drzwi, kiedy van der Roos wyprowadzał reporterkę z pokoju. Pokazałem jej „de Royera” - pomyślał sobie pułkownik, ciągle wyglądając przez okno.

## **Rozdział dwunasty**

### **Piątek, 13 lutego**

#### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Hans Beckmann nie był człowiekiem przesadnym i piątek trzynastego nic dla niego nie znaczył. Ubrawszy się i odmówiwszy poranne modlitwy generał zjadł lekkie śniadanie i pierwszą godzinę pracy spędził w biurze, rozmawiając po kolei z kilkoma oficerami ze swojego sztabu. Współpraca z surowym Beckmannem nauczyła ich dokładnego i zwięzłego wyrażania się, a także informowania dowódcy o wszystkich wydarzeniach, bardziej i mniej z pozoru istotnych. Ludzie Beckmanna nazywali powyższe zasady „ABC przeżycia”, ponieważ generał miał nieomylny instynkt wyszukujący



zawsze wszystko, co zostało niedopatrzone lub źle wykonane. Skutki takiego odkrycia nigdy nie były wesołe.

Tego poranka wszystko przebiegało mniej więcej dobrze. Żelazna Gwardia otrzymała zamówioną broń przeciwlotniczą, w tym niemieckie, dwudziestomilimetrowe dwulufowe działka, zwane „Bliźniakami”. Przywieziono też ostatnie z samolotów Aero, produkcji czeskiej. Wywiad donosił, że krwawe ekscesy w czarnych osiedlach wokół Johannesburga nasilały się zgodnie z planem; narastały także wewnątrz krajowe migracje ludności, tak jak spodziewał się Beckmann.

Tylko dwie sprawy wydawały się nieco kłopotliwe. *Kommandant*, czyli pułkownik dowodzący wywiadem, natychmiast na nie wskazał. Po pierwsze, po pewnym okresie opóźnienia, siłom ONZ udało się zorganizować w północnej Prowincji Przylądkowej pięć stref bezpieczeństwa. *Kommandant* niepokoił się tym, ponieważ zapewniano go, że organizacja tych stref będzie opóźniana w nieskończoność. Niestety, transportowce C-130 Hercules, a także ciężarówki dostarczały mieszkańcom zapasy z coraz większą częstotliwością.

- A ta druga sprawa? - spytał Beckmann.

Pułkownik wydał się prawdziwie zaniepokojony.

- Układ tych pięciu stref bezpieczeństwa - powiedział - przypomina mi strzałę kierującą się prosto ku Kimberley. Jeśli ONZ zorganizuje strefę bezpieczeństwa wokół Kimberley...

- Wiem, wiem - przerwał generał. - Rozumiem. Wtedy rząd byłby w stanie objąć swoim wpływem *Boerstaat*, używając Kimberley jako bazy. Myślę jednak, że nasi przyjaciele, Azanianie, zdołają temu

zapobiec. - *Kommandant* odmaszerował pospiesznie, zadowolony, że udało mu się ujść cało.

Następny był szef bezpieczeństwa, w randze majora. Major doniósł, iż złapano jednego z pilotów, który tuż przed północą usiłował uciec z bazy. Obecnie pilot podlegał przesłuchiwaniu. Przeprowadzał je *adjutant officier* Kreiner. Jak dotąd, nie dowiedział się niczego interesującego.

Ostatnim z ludzi, którzy stawili się tego ranka u Beckmanna, był jedyny cywil w sztabie, zajmujący się finansami bazy. On także przyniósł dobre wiadomości. Żelazna Gwardia otrzymała duży zastrzyk pieniędzy od swoich europejskich popleczników. Miały one zostać przeznaczone na dalsze zakupy broni i kontynuację kampanii dywersyjnej, mającej na celu prowokowanie zamieszek w kraju. Beckmann zastanowił się przez chwilę, ile teraz będzie winien Niemcom. Jeśli spodziewają się, że udostępni im Numer Jeden, to srodze się zawiodą. Oczekiwał z ich strony bardzo silnego nacisku w tej sprawie...

Szef finansów zalecił także zwerbowanie większej liczby najemników - szczególnie ekspertów technicznych, których Żelaznej Gwardii brakowało. Beckmann podziękował mu i zwolnił. Sztab generała miał dzisiaj dobry dzień.

*Adjutant officier* Kreiner czekał na Beckmanna na dole schodów.

- *Goeimore, Generaal* - powiedział na powitanie.

- Dzień dobry, Kreiner. Czy jest jakiś postęp?

Kreiner obliznął wargi.

- Proszę bardzo - powiedział, przytrzymując Beckmannowi drzwi.

Generał wszedł i zobaczył siedzącego na krześle mężczyznę, rozebranego do bielizny. Miał skute kajdankami ręce, złożone na plecach; był cały spocony.

- To jest porucznik Kobie Wolmeres. Został złapany na próbie opuszczenia bazy bez zezwolenia. Utrzymuje, że chciał zobaczyć się z dziewczyną.

- Czy to prawda, poruczniku? - spytał Beckmann.

- *Ja, ja* - wymamrotał Wolmeres.

- Przecież zna pan reguły - powiedział generał. - Dlaczego nie sprowadził pan swojej przyjaciółki tutaj? To nie tylko dozwolone, ale i wskazane.

Kreiner splunął z obrzydzeniem.

- Mówi, że chciał odrobiny prywatności - wyjaśnił.

Beckmann pokręcił głową.

- Kreiner, przesadziłeś. To tylko zwykły wybryk młodości. Trzeba było ukarać porucznika grzywną, wydać mu ostrzeżenie i odprowadzić z powrotem do kwatery. Nie jesteśmy przecież barbarzyńcami.

- Znaleźliśmy to w jego bucie. - Kreiner podał Beckmannowi kawałek papieru, rozłożony z maleńkiego formatu. Był to plan ośrodka, w którym znajdował się Numer Jeden.

- O, to bardzo poważne - powiedział surowo Beckmann. Popatrzył na porucznika. - Być może lepiej będzie, jeśli powie nam pan wszystko od razu - zaproponował. Odpowiedziała mu cisza. - Kreiner, proszę kontynuować. - Generał przystawił sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, podczas gdy Kreiner wziął się do dzieła. Opuścił z sufitu linę, której koniec uwiązał do kajdanków,

trzymających ręce porucznika za jego plecami. Następnie szarpnął za drugi koniec, podnosząc nieszczęśnika i wyrywając mu przy tym ramiona ze stawów. Biedak wrzasnął tylko z bólu.

- Bardzo dobrze, Kreiner; podoba mi się to. - Serce Beckmanna waliło jak młotem; spocły mu się ręce; napiął uda, dotykające oparcia krzesła. Poczł prawdziwą satysfakcję; czuł, że żyje... - Jeszcze raz, proszę.

Psycholodzy utrzymują, że zarówno przesłuchujący, jak i jego ofiara są powiązani specyficznymi uczuciami podległości i dominacji i obaj przeżywają poniżenie, jakiego doznaje przesłuchiwany. Kreiner jak dotąd zwalczał owe fizyczne doznania, przekonując się uporczywie, że jest istotą wyższą w stosunku do przesłuchiwanego. Jednak Kobie Wolmeres był Afrykanerem. Świadomość tego faktu sprawiła, że Kreiner nabrał wstrętu do samego siebie, a przez to, paradoksalnie, zaczął zachowywać się jeszcze okrutniej.

Beckmann jednak już dawno zszedł znacznie niżej. Przemoc, która w psychologicznym sensie poniża jej ofiarę, karmiła zwichrowane, udęczone *ego* generała jak nic innego. Na mocy perwersyjnej logiki, poczucie absolutnej władzy nad drugim człowiekiem sprawiało, że sam czuł się, jakby był kimś nadzwyczajnym, pełnym wszelkich zalet. Tortury trwały, póki porucznik nie stracił przytomności.

- Ocucić go - rozkazał Beckmann.

Kreiner opuścił biedaka na podłogę i chlusnął na niego wodą.

- Będziemy potrzebować lekarza - powiedział. - Przesłuchanie w sensie dosłownym jest w tej chwili niemożliwe...

Beckmann posmutniał.

- Potrzebuję odpowiedzi - oznajmił. - Wie pan, co robić. - Wstał z

krzesła i powoli ruszył po schodach na górę.

Kiedy Beckmann wszedł do hangaru, piloci wyprężyli się na baczność, jak jeden mąż.

- Spocznij! - zawołał generał. Podbiegł do niego dowódca skrzydła. Piloci cofnęli się, żeby Beckmann mógł obejrzeć najnowszy nabytek rosnących sił powietrznych Żelaznej Gwardii.

- Czy jest gotów do lotu? - spytał generał ciepło.

- Oczywiście, panie generale - odparł pułkownik. Obeszli dookoła niewielki odrzutowiec produkcji czeskiej, Aero L-39ZA. Samolot miał zaledwie dwanaście metrów długości i dziewięć i pół metra rozpiętości skrzydeł. Załadowany paliwem i uzbrojeniem ważył pięć i pół tony. L-39 został początkowo zaprojektowany jako samolot szkolno-treningowy; wkrótce zmodyfikowano go jednak, tworząc z niego lekki myśliwiec.

- Szczerze mówiąc, wolelibyśmy nasze stare Mirage F-1 - odezwał się pułkownik - albo może alpha jety.

- Te są lepiej dostosowane do naszych potrzeb - zaproponował generał. - Inne są za drogie, wymagają zbyt skomplikowanej obsługi; zawsze pozostaje problem części zamiennych. Musiałem podjąć decyzję - kilka innych maszyn, albo osiemnaście tych.

- To dobry samolot - przyznał pułkownik. - Dokonaliśmy zresztą modyfikacji; teraz powinny osiągać na krótko prędkość dziewięciuset kilometrów na godzinę. To będzie dla Amerykanów zaskoczenie. - Klepnął kadłub, pomalowany w zielono-brązowe cętki. - Jest bardzo zwrotny.

Beckmann odciągnął pułkownika na bok.

- Do jakiego stopnia może pan polegać na pilotach? - zapytał.

- Kobie, to znaczy porucznik Wolmeres, za bardzo lata za spódniczkami... Ale poza tym wszyscy Afrykanerzy to porządni chłopcy, na których mogę polegać zawsze. Natomiast trudno mi cokolwiek powiedzieć na temat tych dwóch Rosjan i Kubańczyka. Ja bym ich nigdy nie wynajmował.

- Mamy więcej samolotów niż pilotów - powiedział Beckmann. - Dlatego zdecydowałem się na nich... żeby wypełnić lukę. Jeśli chodzi o porucznika Wolmeresa, to zostanie on z tą chwilą przeniesiony do innej służby. - Kłamstwo przyszło generałowi bez trudności, ponieważ w pewnym sensie, Wolmeres był właśnie przenoszony na stałe do innej służby... Teraz Beckmann podszedł do jednego z Rosjan i odezwał się do niego po angielsku: - Latał pan w Afganistanie, prawda? - Mężczyzna przytaknął. - Zrzucał pan gaz paralizująco-drgawkowy na Afgańczyków? - Rosjanin znowu przytaknął. - Czy atakował pan kiedykolwiek członków własnego narodu?

- *Da*- odpowiedział tamten, ze smutkiem.

Do hangaru wpadł pułkownik, z wyrazem przejęcia na twarzy.

- *Generaal*, otrzymałem przez radio wiadomość, alarm w ośrodku!

Beckmann pędził samochodem przez mieszkalną część Żelaznych Wrót. Zatrzymał się z piskiem opon przed domem sierżanta Shivuto. Drogę blokował mu samochód straży pożarnej i drugi, ratownictwa technicznego. Na ziemi porozciągano węże przeciwpożarowe; nie było jednak widać żadnego pożaru. Generał sięgnął do schowka na

rękawiczki, wyciągnął stamtąd dozymetr i przypiął go do kieszeni mundurowej bluzy. Profesor wielokrotnie ostrzegał go przed możliwością napromieniowania.

Strażnicy pilnujący bramy ośrodka czuwali w nie mniejszej niż zwykle liczbie. Poddali Beckmanna rutynowej kontroli. Zgodnie z jego rozkazami nikogo nie wolno im było przepuszczać bez sprawdzania, nawet jego samego. Generał odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył Izraelczyka stojącego z grupką asystentów na zewnątrz głównego budynku.

Naukowiec przestępował z nogi na nogę, niemalże tańczył i śmiał się donośnie.

- Udało się, Hans! - zawołał, zobaczywszy Beckmanna. - Udało się!

Generał powściągnął emocje. Było już kilka fałszywych alarmów.

- Co ci się udało zrobić, Itzig? - zapytał.

- Zapłon! - padła radosna odpowiedź. - Osiągnęliśmy zapłon bez eksplozji!

Beckmann zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Ileż to razy Slavin tłumaczył mu, że kluczową sprawą było osiągnięcie zapłonu, stanu, od którego zacznie się fuzja.

- Jesteś pewien, że to był zapłon? - zapytał.

- Tak, tak, tak! - Slavin nie posiadał się ze szczęścia. - Zanim musieliśmy się ewakuować, zdążyliśmy zmierzyć natężenie promieniowania gamma; wyniosło dokładnie 2,22 milionów elektronowoltów. Oto dowód!

W końcu - pomyślał Beckmann - Żydowi udało się. Itzig Slavin dokonał właśnie kontrolowanej fuzji jądrowej - wynalazku

tysiąclecia. I wynalazek ten znajdował się w jego - Hansa Beckmanna - rękach!

- Dlaczego w takim razie stoimy na zewnątrz? - zapytał.

- Ach - odparł Slavin - nie mogliśmy zapanować nad procesem i wszystko nam się stopiło.

- To znaczy, że laboratorium zostało zniszczone?

- W podłodze jest dziura, głęboka na jakieś dziesięć metrów, no i całe urządzenie się roztopiło. Ale to nic; mogę szybko zbudować drugie. - Na dowód swoich słów postukał się palcem w skroń.

- Dlaczego, w takim razie, stoimy na zewnątrz? - powtórzył pytanie Beckmann.

Slavin popatrzył na niego wzrokiem, jaki uniwersyteccy profesorowie rezerwują zazwyczaj dla swoich najbardziej tępych studentów.

- Z powodu promieniowania, oczywiście.

- Kiedy będzie pan mógł tam wrócić?

- Nigdy - odparł beztrąsko Slavin. - Uszczelniliśmy starannie wylot, kiedy wyjechaliśmy windą na górę, żeby promieniowanie nie wydostało się na zewnątrz.

Wspaniale! - pomyślał Beckmann. Teraz musimy zbudować nowe laboratorium, a nie ma już czasu, żeby wykopywać szyb głęboki na sześćdziesiąt metrów.

- Proszę sprawdzić, czy da się wykorzystać jeden z dawnych silosów atomowych - powiedział.

Beckmann wrócił do sali przesłuchań późnym popołudniem. Odnalazł Kreinera siedzącego przy biurku. Pisał raport i wypełniał



świadectwo zgonu.

- Powiedział? - spytał Beckmann.

- Bełkotał jak niemowlę - wyjaśnił Kreiner. - Narkotyki sprawiają, że bardzo trudno odróżnić halucynacje od prawdy. Jednak nie jest to niemożliwe...

- No i dla kogo pracował?

- Dla francuskiego attache wojskowego.

- Ile mu płacono?

- Nic - odpowiedział Kreiner.

- Niemożliwe. Dlaczego w takim razie zdradził własny naród?

Kreiner wydawał się zakłopotany.

- Nie wiem. Zadawałem mu to samo pytanie... wszystko jest dokładnie nagrane... Odpowiadał: „Bo nie macie racji”. Myślę jednak, że to tylko halucynacje.

- Był zwykłym zdrajcą - rzucił z wściekłością Beckmann. Kilkakrotnie zacisnął i otworzył pięść, żeby się wyładować. Niestety, nie mógł tego zrobić na poruczniku, który już nie żył. - Nie potrzebuję zdrajców - powiedział, ruszając z powrotem po schodach. Zatrzymał się jednak na pierwszym stopniu. - I, Kreiner... - odezwał się jeszcze, zawieszając resztę zdania nad głową oficera, niczym gilotynę.

Kreiner wpadł w panikę. Zaraz powie „to drugi raz” - pomyślał. To już nie stary dowcip. To ostrzeżenie.

Beckmann patrzył tylko na niego.

- Może następnym razem zajmiemy się kobietą? - powiedział.

Kreiner odetchnął trochę, wiedząc, co musi teraz zrobić.

**Czwartek, 26 lutego**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Elizabeth Gordon wróciła do domku, który wynajmowały z Samantha, zmęczona jak pies. Przez cały dzień uganiała się bezskutecznie za nowymi tematami, za politykami, którzy nie chcieli udzielać wywiadów. Cieszyła się, że czeka ją odmiana.

- Sam! - zawołała. - Jesteś?

Jestem, w sypialni - padła odpowiedź. - Pakuję się.

- Jak to? - zdziwiła się Gordon, wchodząc do pokoju.

- To bez sensu, Liz. Nic nam nie wychodzi. Postanowiłam pojechać do domu. Zarezerwowałam sobie bilet na jutro.

Elizabeth usiadła na krawędzi łóżka.

- To przez Pontowskiego, prawda? - zapytała. - Zabujałaś się w nim.

Sam przerwała pakowanie i usiadła na krześle.

- Lubię go, to prawda - przyznała. - Ale i ty jesteś źródłem części kłopotów.

- Co ty powiesz?

- Liz, obsmarowałaś go, jak tylko się dało.

- Chyba zapomniałaś, co mi zrobił na tej konferencji prasowej! - odparła ze złością Gordon. - Zasłużył sobie.

Sam pokręciła powoli głową.

- Po prostu trzymał się faktów; w przeciwieństwie do ciebie.

- Pułkownik reprezentuje siły zła - przemoc, zabijanie, wojsko ponad wszystko... Nie pamiętasz, co powiedziała Ann Nevers? Że w tym kraju nic nie zmieni się na lepsze, dopóki nie usadzi się takich

jak Pontowski? Miała świętą rację! Wszystko, co robimy, żeby go zlikwidować, jest w porządku.

- Nie jest odpowiednio „poprawny politycznie”? Dobrze, to można powiedzieć. Ale ty celowo zniekształciłaś fakty, posługując się nimi dla prywatnej zemsty. Gdzie tu uczciwość?

Gordon popatrzyła ze smutkiem na koleżankę.

- W tym biznesie co chwila robi się coś takiego - odpowiedziała po chwili. - Inaczej jak moglibyśmy pociągnąć tych skurwielu do odpowiedzialności?

- Co to za „my” i przeciwko jakim „skurwielom” występujemy? - zaprotestowała Sam. - Wracam do domu.

- Zostań, proszę - łzy stanęły w oczach Liz. Pomimo wszelkich sprzeczek i różnych poglądów na życie, były jednak dobrymi przyjaciółkami. - Nie dam sobie rady bez ciebie. Wiem, że popełniam błędy... daję się ponieść... Ale mamy tu materiały do kolejnych reportaży i mam... mamy sposobność... je wykorzystać.

- Materiały się kończą - odparła zimno Samantha.

- Tylko w Kapsztadzie - nie ustępowała Liz. - Przekazałam szefom, że chcę pojeździć po kraju i zrobić serię reportaży o tym, co się tu naprawdę dzieje. Kupili to. Możemy zacząć od Bloemfontein. Nawiązałam tam kontakt.

- Z Beckmannem? - rzuciła Sam. Nie spodziewała się odpowiedzi.

- Robisz mu niezłą reklamę.

Liz uśmiechnęła się nieznacznie.

- Zajęło mi to wprawdzie trochę czasu, ale mam jego numer... To najbardziej charyzmatyczny człowiek, jakiego w życiu spotkałam; bez dwóch zdań. Jego oczy i głos są po prostu urzekające. Nigdy nie

mogłam zrozumieć, dlaczego Hitlerowi udało się tak omotać Niemców; dopóki nie poznałam Beckmanna. Hans Beckmann sam w sobie jest jedną wielką tajemniczą historią.

- Teraz przynajmniej mówisz jak reporterka - skomentowała Sam.

- Rozumiem, o co mu chodzi - ciągnęła Elizabeth. - Zawsze będzie tu znacznie więcej Murzynów niż białych. Dlatego Beckmann ofiarowuje czarnym, którzy mieszkają w tym jego *Boerstaat*, coś w rodzaju obywatelstwa drugiej kategorii. Kupuje ich, zapewniając im bezpieczeństwo, w miarę przyzwoitą pracę i nadzieję na lepszą przyszłość. Ale zawsze pozostaną poddanymi - może o wyższym statusie niż przedtem, ale ciągle przywiązanymi, jak chłop pańszczyźniany, do swojego pana i jego ziemi.

Elizabeth udało się zainteresować Samanthę. W głębi serca Sam była prawdziwą profesjonalistką, zdolną poświęcić dla swojej pracy wiele - dobre samopoczucie, przyjaźń, a nawet osobiste bezpieczeństwo.

- Dobrze - ustąpiła. - Dam nam jeszcze jedną szansę. Ale tym razem rozegramy wszystko tak, jak powinno się robić.

- Będziemy pokazywać dwie strony każdej sprawy - zgodziła się Liz. - I kto wie, może zdołacie jeszcze skombinować coś razem z pułkownikiem Pontowskim?...

- Na razie nic z tego - odparła smutno Samantha. - A zatem, kiedy ruszamy do Bloemfontein?

- Musimy wszystko dobrze przygotować... umówić się. Szefowie chcą, żebyśmy wysłały im reportaż z oficjalnego obiadu, jaki zostanie wydany w pałacyku prezydenckim w sobotę za tydzień. Zaraz potem możemy ruszać w drogę.

**Piątek, 27 lutego**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski podniósł wzrok, słysząc delikatne pukanie do drzwi. Weszli Piet van der Roos i Bouchard.

- Panie pułkowniku - odezwał się Francuz - generał de Royer polecił panu, żeby stawił się pan na werandzie, gdzie pana oczekuje.

„Sir” - powtórzył wyrazistym ruchem warg van der Roos, robiąc przy tym teatralną, zdumioną minę. Podał Mattowi czapkę. O co chodzi tym razem? - zastanawiał się Pontowski, podczas gdy Bouchard prowadził go na werandę, wychodzącą na elegancki ogród.

Trzej oficerowie wyszli na zewnątrz. Wiał łagodny powiew, zapowiadając kolejny ciepły, letni dzień. Matt zdziwił się, zobaczywszy na werandzie mnóstwo ludzi. Wyglądało na to, że zebrali się tam prawie wszyscy, którzy pracowali w dowództwie. Tłum rozstępował się, tworząc korytarz prowadzący prosto do de Royera. Generał stał koło trzech flag - ONZ, francuskiej i amerykańskiej. Bouchard delikatnie popchnął Matta naprzód.

Kiedy Pontowski zbliżył się do dowódcy, generał wyprężył się na baczność. Matt odruchowo zasalutował, a de Royer odpowiedział na salut.

- Panie i panowie - zaczął de Royer nieskazitelną angielszczyzną - dziś otrzymałem wiadomość od przewodniczącego Połączonych Szefów Sztabów Stanów Zjednoczonych. Poprosił mnie, żebym wystąpił w jego imieniu. Niniejszym przedstawiam państwu z największą przyjemnością generała brygady Matthew Pontowskiego,

mojego nowego zastępcę.

Wiadomość osadziła Matta na miejscu. Był oszołomiony, gdyż prawdę mówiąc, nigdy się nie spodziewał, że zostanie generałem. Całkiem poważnie rozważał możliwość wystąpienia z wojska po zakończeniu misji pokojowej, aby móc zapewnić synowi należyłą opiekę i bardziej stabilne życie. Wreszcie dotarło do niego znaczenie usłyszanych słów - otrzymał jeden z najwyższych stopni wojskowych; odniósł sukces, na który niemal nie sposób liczyć. Statystycznie rzecz biorąc, zaledwie dwa procent wszystkich pułkowników w USA zostaje generałami. Waga nowego stanowiska przytłoczyła go tak, że aż się zdziwił. Niewielu obarczano tak ogromną odpowiedzialnością. Po raz pierwszy w życiu Matt Pontowski poczuł w sobie prawdziwą pokorę. Stał, bez słowa, podczas gdy de Royer zbliżył się i przypiął mu na pagonach po gwiazdce...

Francuz cofnął się o krok i wyciągnął rękę.

- Czy mogę pierwszy pogratulować panu awansu? - powiedział po angielsku.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Czy ja także mogę panu pogratulować? - odezwał się znajomy głos. Matt odwrócił się i zobaczył Elenę Martine. Wyglądała fantastycznie, piękna jak zwykle. Brzydki siniak na jej twarzy zniknął już; zachowywała się więc ze zwykłym sobie spokojem. Jej sposób bycia jednocześnie nęcił i budził respekt, co prawdziwie fascynowało Matta. Elena podeszła do niego i pocałowała w policzek. Jej usta zatrzymały się odrobinę dłużej niż to stosowne przy takich okazjach; były miękkie i ciepłe. Zebrani zaczęli bić

brawo, podczas gdy Matt przedzierał się między nimi, ściskając wyciągnięte dłonie i przyjmując gratulacje.

Przy drzwiach czekał Bouchard. Zasalutował i podał Pontowskiemu oficjalne zawiadomienie ze Stanów. Matt spojrzał na nie i uśmiechnął się.

- Dostałem szaty - powiedział.

- Co to znaczy: „dostałem szaty”? - spytała Elena.

- Oficjalnie jestem jeszcze pułkownikiem i płacą mi jak pułkownikowi. Będzie tak do czasu, aż Senat zatwierdzi listę promowanych generałów. Jednak już teraz mogę nosić generalskie epolety.

- Och... - odparła Elena, nie rozumiejąc tej dziwnej, amerykańskiej procedury. Uśmiechnęła się i odeszła.

- Panie generale - odezwał się Bouchard - zechce pan może pójść za mną. - To powiedziawszy, poprowadził Pontowskiego bocznym korytarzem i dalej, do podziemia, gdzie wymówił hasło do mikrofonu umieszczonego w stalowych, pancernych drzwiach. Drzwi otwarły się od wewnątrz. Pułkownik uprzejmie przepuścił Matta.

- To jest centrum dowodzenia generała de Royera - wyjaśnił Bouchard. - Generał zaraz tu przyjdzie.

Pontowski rozejrzał się zdumiony. Znajdował się w pomieszczeniu stanowiącym połączenie pokoju sytuacyjnego, stanowiska dowodzenia i centrum telekomunikacyjnego. Sala została zorganizowana funkcjonalnie; wszystko było na swoim miejscu. Stanowiło to zupełne przeciwieństwo pełnych przepychu salonów zajmujących resztę budynku dowództwa. Matt nie podejrzewał

nawet istnienia tego centrum dowodzenia.

Czekając, Pontowski zaczął studiować wiszące na ścianach duże mapy sytuacyjne. Pięć czerwonych okręgów oznaczało położenie stref bezpieczeństwa, które zostały dotąd zorganizowane; kolorem niebieskim zaznaczono natomiast proponowane strefy, które miały dopiero powstać.

- Nasze siły są bardzo ograniczone - odezwał się za plecami Pontowskiego głos de Royera. Matt odwrócił się, zaskoczony, że nikt oficjalnie nie zameldował przybycia generała do centrum dowodzenia. Obok stała Elena.

- Ponieważ jest pan teraz moim zastępcą, czas wprowadzić pana w sytuację - oznajmił Francuz. Zdjął kepi i wzięwszy do ręki wskazówkę podszedł do mapy. W pomieszczeniu zapadła cisza. De Royer zaczął mówić, spokojnym, ale zdecydowanym głosem. Widać było, że doskonale orientuje się w szczegółach sytuacji w kraju. Pontowskiego zaszokowały dane o zabitych, zamieszkach, rabunkach. Było o wiele gorzej, niż sądził, i gorzej, niż podawały media. De Royer zakończył:

- Związek pomiędzy położeniem naszych stref bezpieczeństwa a zamieszkami jest oczywisty - nasza obecność ma wpływ stabilizujący. Niestety, dysponujemy zaledwie dwoma tysiącami ludzi ze wszystkich państw biorących udział w operacji, co ogranicza nasze możliwości. Jednak, jeśli się nie mylę, możemy panować nad ogniskami przemocy i w razie potrzeby tłumić zamieszki siłą.

De Royer jest zdecydowany użyć Sił Szybkiego Reagowania - pomyślał Matt. No cóż, dlaczego nie. Udowodniliśmy w Vanwyksvlei, że to skuteczne.



- Nieznanym czynnikiem w planie pana generała - odezwała się Elena - pozostają zamiary i zachowanie się AWB. Czy pozwolą nam na szybkie ruchy wojsk?

Teraz de Royer narysował na mapie owal obejmujący obszar od Pretorii aż do Bloemfontein.

- AWB stawia nam opór w tym rejonie, który uważają za kraj Afrykanerów. Jestem przekonany, że AWB podsycą rozruchy pośród czarnych mieszkańców RPA, żeby pogorszyć sytuację do stopnia, w którym Murzyni - przynajmniej ci, którzy mieszkają wewnątrz ziemi Afrykanerów - sami poproszą ich o ochronę, wołając poświęcić wolność na rzecz osobistego bezpieczeństwa.

- To by tłumaczyło, dlaczego bunty wybuchają wokół wszystkich dużych miast - zauważył Pontowski.

De Royer przytaknął.

- A biorąc pod uwagę obecną sytuacją, świat pozwoli Afrykanerom na to - dodał Francuz.

To coś nowego - pomyślał Matt.

- Jaką sytuację, panie generale? - zapytał.

- Numer Jeden, oczywiście - odparł de Royer.

Pontowski zmieszał się. Nigdy nie słyszał o Numerze Jeden. Chciał poprosić o wyjaśnienie, jednak Francuz ciągnął:

- Z tego, co wiemy, wokół Numeru Jeden krążą przynajmniej trzy różne siatki wywiadowcze. Jedna to połączone wywiady Niemiec, Austrii i Włoch; wspierają one bezpośrednio AWB bardzo poważnymi sumami pieniędzy. Ponieważ AWB kontroluje Numer Jeden, kraje te mają do niego swoiste „dojście”.

Niewielką operacją wywiadowczą zorganizowali także Japończycy,

usiłując do Numeru Jeden dotrzeć. Jeden z ich agentów został schwytany w Żelaznych Wrotach. Poza tym jednak nie wiemy nic więcej o ich działaniach. Wreszcie trzecia siatka wywiadowcza należy do państw OPEC. Arabowie wspierają Azaniańską Armię Wyzwolenia, mając nadzieję, że ruch ten opanuje RPA i w ten sposób przejmie kontrolę także nad Numerem Jeden. - De Royer przeszył Matta swoim zimnym spojrzeniem. - Oczywiście nie wspominał już o działaniach pańskiego kraju, ani też mojego. Jak dotąd, nie przeszkadzają one sobie wzajemnie.

Jednak komplikują jeszcze bardziej sytuację; konflikt jest tu tylko kwestią czasu.

Uważam, że przynajmniej Japończyków można przekonać metodami dyplomatycznymi do wycofania się. Dlatego właśnie jest tu madame Martine. Mam nadzieję, że jest ona w stanie na to wpłynąć, posługując się swoimi kontaktami. Chcę, żeby pan podjął z nią w tej sprawie współpracę jako mój reprezentant. - Po tych słowach, de Royer zabrał kepi i wyszedł z sali.

Niech to licha... - myślał Pontowski. Zostaję generałem i od razu wprowadza się mnie w krąg wtajemniczonych; mam być jednym z tych, którzy kierują całą sytuacją... A w dodatku de Royer potrafi dawać oznaki życia...

Elena wyciągnęła rękę i dotknęła zewnętrznej strony dłoni Matta, aż przeszedł go dreszcz.

- Spytałam generała, czy moglibyśmy pracować razem - powiedziała.

Matt poczuł kolejny dreszcz, jeszcze mocniejszy. Elena Martine

była bez dwóch zdań najpiękniejszą i najbardziej pociągającą kobietą, jaką w życiu widział.

Telefon odebrano już po pierwszym sygnale.

- Techtronics International - odezwał się kobiecy głos.

Pontowski rzucił okiem na otrzymaną od Richarda Standarda wizytówkę i powiedział:

- Proszę ze Stanem Pauley.

- Słucham, Pauley - odparł głos Standarda.

- Muszę się z panem spotkać - oświadczył Matt.

Nastąpiła długa pauza.

- W konsulacie, o trzynastej trzydzieści - oznajmił Standard, po czym odłożono słuchawkę.

- Czy to rzeczywiście coś ważnego - zagadnął Standard, kiedy Matt wkroczył do jego biura - czy też wypróbowuje pan swoją nową rangę?

- Jedno i drugie - odparł Pontowski, zastanawiając się, skąd Standard wie o jego awansie. - Co to jest Numer Jeden?

- A bo co?

- No cóż - Matt przybrał sarkastyczny ton - generał de Royer wie, co to jest, Elena Martine też wie, a ja nie mam zielonego pojęcia.

Standard jęknął.

- Czy nikt nie jest w stanie trzymać języka za zębami? Takie wiadomości nie powinny się rozchodzić.

- Czy brak tajemnic grozi panu utratą stanowiska? - spytał Pontowski.

Dla Standarda wcale nie było to zabawne.

- Numer Jeden - wyjaśnił - to nazwa pewnego południowoafrykańskiego przedsięwzięcia naukowego.

- Co to za przedsięwzięcie? - Matt musiał wyciągać ze Standarda informację, zadając pytanie po pytaniu. Nie padła jednak żadna odpowiedź. Pontowski nachylił się więc ponad stołem i spytał szefa CIA: - Czy mam zapytać o to tę samą reporterkę, która wskazała mi pana? Czy też mam zadawać to pytanie wszystkim, których spotkam, w nadziei, że ktoś mi odpowie?

Standard poddał się.

- To informacja tajna specjalnego znaczenia. Mamy dowody, że Afrykanerzy odkryli kontrolowaną fuzję jądrową.

Pontowski pokręcił powoli głową.

- Jasne... Chyba ktoś u was w Langley znowu nawdychał się kokainy.

- Dowody są zbyt oczywiste, żeby je lekceważyć - zaproponował Standard. - No i ktoś traktuje tę sprawę na tyle poważnie, że zabił agenta, który za bardzo zbliżył się do celu.

- Naszego agenta? - wypytywał Pontowski.

- Nie. Japońskiego.

- To rzeczywiście interesujące. - Teraz Matt opowiedział Standardowi o spotkaniu z de Royerem i Eleną Martine w centrum dowodzenia.

- De Royer chce, żebym razem z Eleną posłużył się „metodami dyplomatycznymi” i przekonał Japończyków do wycofania się - zakończył.

- To całkiem niezły pomysł - ocenił Standard. - Proszę im powiedzieć, że ich człowiek, nazwiskiem Hiroshi Saito został

zamordowany i że mamy jego ciało. Jeśli zapytają, kto to zrobił, niech pan powie tylko, że AWB. Reszty domyśla się sami.

- Japończycy z pewnością będą nam wdzięczni za te wiadomości - powiedział Matt. Chciał już wyjść, ale Standard zatrzymał go jeszcze na moment.

- Panie generale - dziękuję panu za nowe informacje.

Telefon zadzwonił następnego ranka o siódmej. Pontowski został wyrwany z głębokiego snu.

- Bądź gotów za pół godziny. Nie zakładaj munduru - powiedziała Elena i wyłączyła się.

- To naprawdę, czy mi się śniło?... - mruknął do siebie Matt, kręcąc głową. Jak zwykle, miał kłopoty z dobudzeniem się do końca. Nie był całkiem pewien, czy mu się jednak nie śniło. Z trudem powłókł się do łazienki, żeby wziąć prysznic i ogolić się. Twarz, jaką zobaczył w lustrze, należała do człowieka nadal śpiącego. Potarł szczecinę na brodzie, niezadowolony, że będzie ją musiał golić na wpół przytomnie. Jeśli dopisze mu szczęście, to nie poderżnie sobie gardła... Podrapał się po twarzy i nagle po raz pierwszy w życiu zobaczył, że ma kilka siwych włosów. Skąd to się wzięło? - pomyślał z niezadowoleniem. Skrzywił się. Pewnie były już tam od pewnego czasu, tylko ich do tej pory nie zauważył. Boisz się, że Elena też zauważy? - badał się w myśli. A skąd właściwie ona ma telefon do mojej kwatery?

Kiedy wyszedł z budynku, Elena czekała w swoim białym BMW. Pontowski usiadł po lewej, na miejscu pasażera. Zdziwił się wyjątkową miękkością skórzanego fotela, którego kształt wydawał

się idealnie dostosowany do jego ciała.

- Niezły samochodek - zauważył.

- To specjalny model, rozwinięcie sportowej wersji M - wyjaśniła Martine. - Firma zrobiła go zgodnie z moim zamówieniem.

Elena miała na sobie białą, bawełnianą bluzkę - z rozpiętymi trzema górnymi guzikami - i także białe, workowate szorty. Jej gołe nogi błyskały przed oczami Matta, kiedy zmieniała je na pedały, przyspieszając. Generał zmusił się do patrzenia na drogę.

Elena podała mu termos z kawą. Nalał sobie pełen kubek i pociągnął długi łyk. Kawa była mocna, niesłodzona.

- Dobra kawa- powiedział. - Rano potrzebuję kofeiny, żeby uruchomić mózg.

Martine uśmiechnęła się nieznacznie i prowadziła dalej. Matt z podziwem patrzył, jak spokojnie panuje nad kierownicą. Pędzili na północ, autostradą N7. Spojrzał na prędkościomierz, przeliczył sobie na mile i - popatrzył drugi raz. Jechali z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

- Czy nam się śpieszy?... - zapytał.

- Boisz się, jak prowadzę?

- Do licha, zgadłaś - odparł.

Elene roześmiała się i zwolniła do stu pięćdziesięciu.

- Teraz lepiej?

Jechali przez chwilę w milczeniu, podczas gdy kofeina pracowała nad mózgiem Matta.

- Dokąd jedziemy? - spytał, kiedy już obudził się do końca.

- Zorganizowałam spotkanie z szefem misji japońskiej - wyjaśniła, nie odrywając oczu od drogi. - Zgodził się wymienić z nami poglądy

dzisiaj rano... - Popatrzyła na Matta przeciągle.

- Uważaj na drogę!... - powiedział Pontowski błagalnie.

Elena roześmiała się. Skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu.

- Nie ufasz mi - stwierdziła.

- Za cholere - mruknął uprzejmie Matt, poprawiając pasy. Niepokoił się, że Elena nie zapięła swoich.

- Nie mówiłeś mi, że znasz Hiro Toragawę - powiedziała Martine.

- Pan Toragawa przesyła ci pozdrowienia. Powiedziano mi - dodała - że robi to ze względu na pamięć twojej żony...

- Znam go - stwierdził krótko generał. Przed oczy napłynęły mu wspomnienia. Pracował z Japończykami podczas akcji chińskiej. Kiedy jego żona, Shoshana, zginęła zastrzelona przez morderców, była właśnie z wnuczką Toragawy, Miho. Mimo że zabójcom chodziło o Shoshanę, zginęła osłaniając Miho.

Matt zaczął wyglądać przez okno, pragnąc stłumić wspomnienia. Jednak trudno było nad nimi zapanować. Skoncentrował się więc na obrazie przed przednią szybą. Powoli ból wspomnień zaczął ustępować.

- Kiedy rozmawiałaś z Toragawą? - zapytał.

- Dzisiaj rano, przez telefon - odparła Elena. - Mam w ONZ spore kontakty i szybko udało mi się umówić. Wytłumaczyłam, jakie mamy problemy.

- Znalazłaś właściwego człowieka - stwierdził Pontowski. - Jeśli chodzi o Japończyków, Toragawa może bardzo dużo.

- Tak, wiem. To ważna postać. Słuchał mnie z uwagą, ponieważ wie, że ty tu jesteś.

- A zatem stałem się twoim biletem wstępu - zauważył Matt.

- Być może. A poza tym reprezentujesz swoją osobą wojska ONZ. Japończycy rozumieją symbole. - Zahamowała gwałtownie i zjechała na pobocze. - Muszę się przebrać. Rozmawiając z Japończykami, trzeba zwracać uwagę na konwenanse. - Sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu spódnicę i wysiadła. Zapięła ją na sobie, a dopiero potem ściągnęła szorty. Podeszła do drzwi od strony Matta. - Ty będziesz prowadził - oznajmiła. Kiedy wgramolił się na miejsce kierowcy, Elena siedziała już w fotelu pasażera. Rozpięta spódnica pozwalała zobaczyć nogi pani Martine w całej krasie. Matt zobaczył bieliznę - przezrystą, koronkową, w cielistym kolorze...

- To są te konwenanse?... - mruknął.

Elena zapięła spódnicę, a także górne guziki bluzki.

- Ciągle obiecuję sobie, że będę częściej występować nago - powiedziała. - Nie cierpię ubrań. - Popatrzyła na Matta przez chwilę. - Jedź.

Pontowski wyjechał na szosę i dodał gazu. Moc dwunastocylindrowego silnika zadziwiła go: przekroczyli setkę po niecałych pięciu sekundach.

Wyrwał mu się okrzyk podziwu. Był to najbardziej ekscytujący samochód, jaki w życiu prowadził. Jechali w milczeniu. Zauważył, że mimo woli naciska pedał gazu, żeby jechać szybciej.

- Skręć w drogę do Lamberts Bay - poleciała Elena. - A potem pojedziesz wzdłuż wybrzeża, na północ. - Pontowski posłusznie wykonał instrukcje. Minąwszy senne miasteczko Lamberts Bay, znaleźli się nad wybrzeżem Atlantyku. W pewnym momencie Matt zatrzymał się, żeby podziwiać wspaniałe widoki. Elena patrzyła na



niego, w milczeniu. W końcu skierowała go w boczną drogę, która wiała się przez dwa kilometry, aż dojechali nad małe jezioro. Na drugim brzegu stał niski, rozległy dom. Po obu stronach drogi rozciągały się teraz winnice.

- To bezpieczna kryjówka - powiedziała. - Przedstawię nas, ale ty musisz poprowadzić rozmowę.

Matt oniemiał.

- Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłaś?! Byłoby miło z twojej strony... I co ja mam im powiedzieć?

- To, co zawsze - odparła.

Na spotkanie wyszedł młody, uprzedzająco grzeczny Japończyk, ubrany w ciemne spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem.

- Pan generał Pontowski, madame Martine; oczekujemy państwa.

- Mówił znakomitą angielszczyzną. Zwracały uwagę tylko zgrubienia na jego dłoniach...

Kiedy weszli do domu, dołączyło do nich jeszcze dwóch, niemal identycznie wyglądających Japończyków. - Tędy, proszę - powiedział pierwszy, wyprowadzając gości na patio, z basenem. Łagodny powiew poruszał liśćmi okazałych drzew, rzucających miły cień. Słyszeć było także plusk niewielkiego wodospadu.

Na przybyszów czekał bardzo niski, krępy, starszy mężczyzna. Skłonił się, a właściwie skinął tylko głową. Elena przedstawiła Pontowskiego i wycofała się, z niemal rozbawionym wyrazem twarzy. Gospodarz kiwając znów głową wskazał im krzesła, a potem sam usiadł.

- W czym mogę państwu pomóc? - zapytał uprzejmie. Jego głos był jednak twardy i stanowczy. Matt nie spodziewał się ani takiego

pytania, ani też sposobu zachowania. Rozbawiona mina Eleny znikła.

Wszystko zależy teraz ode mnie - ostrzegł sam siebie w myśli Pontowski. Postanowił przejść od razu do sedna sprawy,

- Jak pan wie - zaczął - mój kraj bierze udział w działaniach sił pokojowych ONZ w Republice Południowej Afryki. Niestety, jest to dla nas coś nowego, i obawiamy się, że nasi przyjaciele i sojusznicy mogą nie rozumieć do końca naszych intencji.

- Jakich intencji? - spytał Japończyk.

Generał rzucił okiem na Elenę. Żadnej pomocy. Odetchnął więc głęboko - w myśli - i ciągnął:

- Wspierając ONZ, możemy wbrew naszym zamiarom wejść w kolizję z działaniami naszych przyjaciół i sojuszników. Nie jest to naszą intencją, i bardzo nam z tego powodu przykro. Oczywiście, mówię tu o działaniach, o których nic nam nie wiadomo... - Odpowiedziała mu tylko cisza. Jego słowa, jak dotąd, nie zaprowadziły go donikąd. Spróbował więc jeszcze raz:

- Muszę także podzielić się z panem złą wiadomością. Jeden z obywateli pańskiego kraju, nazwiskiem Hiroshi Saito, został zabity. Nasz konsul w Kapsztadzie ma jego ciało i prosi pana o pozwolenie na wysłanie go do Japonii.

- W jaki sposób zginął? - zapytał Toragawa. Pontowski potrząsnął głową.

- Powiedziano mi tylko, że odpowiedzialność za to ponosi AWB.

- Jestem panu bardzo wdzięczny; stałem się pańskim dłużnikiem - oznajmił Japończyk. Słysząc to, napięcie minęło już. Zawołał coś po japońsku i po chwili pojawił się barek z herbatą, kawą i

dużym wyborem ciastek. Podawała malutka kobieta ubrana w kimono. Tak samo jak w przypadku służących mężczyzn, jedynie zgrubienia na dłoniach zdradzały jej prawdziwą rolę. Pontowski nie miał najmniejszych wątpliwości, że każde z tych ludzi było świetnie wytrenowanym zabójcą. Matt i Elena porozmawiali jeszcze z gospodarzem o rzeczach bez znaczenia i po pół godzinie znaleźli się z powrotem w BMW, w drodze do Kapsztadu.

- Co to wszystko miało znaczyć?! - zapytał Matt, specjalnie dając upust złości.

- Zatrzymaj samochód - odparła Elena. - Tam. - Zjechał posłusznie na wskazane miejsce. Pani Martine wysiadła i zeszła ścieżką na plażę. Matt zamknął BMW i poszedł za nią. Znaleźli się sami, na piasku, w cichej samotnej zatoczce. Elena usiadła i popatrzyła na morze.

- Myślałam, że zrozumiałeś - powiedziała. - Toragawa podjął już decyzję o wycofaniu się Japończyków. My dopełniliśmy tylko grzeczności; ratowaliśmy im twarz, tak, żeby pokazać, że to obecność wojsk ONZ była decydującym czynnikiem. Powiedzenie im o Saito było znakomitym pomysłem; to uspokoiło wzburzone uczucia. - Spojrzała na Pontowskiego krytycznie. - Myślałam, że miałeś już do czynienia z Japończykami.

- Nie w tym sensie - odparł.

- Nie w tym? Japończycy są zdumiewająco konsekwentni. A propos, czy generałowie brygady kierują polityką Stanów Zjednoczonych?

- Dlaczego pytasz?

- Przepraszając ich na wstępie, pozwoliłeś im sądzić, że ich

działalność w RPA nie wpłynie na politykę USA wobec Japonii. Dałeś im zatem wolną rękę - pozwoliłeś im zostać i robić to, na co mają ochotę.

- No, nie! - jęknął Matt. - Nie miałem takiego zamiaru!

- No cóż - odparła Elena. - Tak zrobiłeś. Ale jeśli mimo wszystko się wycofają, to znaczy, że nie zinterpretowali twoich uwag jako polityki...

- Byłoby dużo milej - zdenerwował się Pontowski - gdybyśmy omówili najpierw, co powinienem powiedzieć! Jadąc tu mieliśmy naprawdę wystarczająco dużo czasu.

Elena dotknęła jego ramienia.

- Och, Matt - mruknęła zmysłowo - myślałam, że wiesz... - Po plecach Pontowskiego przechodziły dreszcze. - Popływam sobie - stwierdziła. Rozpięła spódnicę, pozwalając jej opaść. Cztery kolejne guziki - i bluzka także opadła na piasek. Elena nie miała na sobie biustonosza. Swobodnymi ruchami zrzuciła z nóg sandały, a potem ściągnęła majtki. - Chodź - powiedziała, ruszając powoli w stronę wody.

Pontowski nie ruszał się z miejsca. Jest taka piękna... - myślał. I inteligentna, jak cholera... Ma kontakty... Zachowuje się przy tym zupełnie swobodnie... Nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety. Kiedyś rzuciłbym się na nią - pomyślał. Teraz jednak czuł w głowie ostrzegawcze sygnały, kiedy tak patrzył, jak Elena schodzi do wody. Przypomniały mu się słowa jego dziadka, pełne w tej chwili, jak nigdy, znaczenia: „W polityce trafiają ci się kobiety, piękne kobiety. Ale seks nie ma nic wspólnego z prawdziwą władzą i odpowiedzialnością. Nigdy nie mieszaj jednego z drugim. To może

być bardzo niebezpieczne.”

Matt sam widział, jak bardzo może to być niebezpieczne. Jego zwierzchnik w kampanii chińskiej, generał Von Drexler, wiedziony megalomanią, poddał się także pokusie swobodnego seksu. Pontowski był świadkiem upadku błyskotliwego skądinąd generała, katastrofy spowodowanej kombinacją wspomnianych dwóch czynników. Nie, ze mną tak nie będzie - powiedział sobie w duchu. Zamknął oczy. Stały przed nimi inne plaże - ta koło Haify, w Izraelu, kiedy wkroczyli wreszcie z Shoshaną na pokojową ścieżkę, i ta na Krecie, w Grecji, gdzie spędzili swój miodowy miesiąc, zakochani w sobie po uszy.

- Co jest, zasnąłeś? - zburzył jego spokój głos Eleny. Podniósł wzrok. Stała nad nim, całkiem naga. Jej skóra błyszczała w słońcu, a woda kapiała mu na spodnie...

Wstał. Stała tak blisko, że niemal się dotykali.

- Nie, nie spałem - odparł. - Myślałem tylko, czy rekiny cię zjedzą.

- Rekiny?! - otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

- Och, Eleno! - mruknął, naśladowując jej ton. - Myślałem, że wiesz...

- Po tych słowach odwrócił się i ruszył do samochodu.

Elena wysadziła go przy bazie Ysterplaat. Opuściła szybę BMW i wyjrzała. Zmierzwiłone rozpuszczone włosy spływały jej na plecy. Bluzka znów była na wpół rozpięta. Pontowski czuł łagodny zapach morskiej wody i piasku.

- Matt - powiedziała - to najdziwniejszy rodzaj zalotów, jaki widziałam. - Wcisnęła pedał gazu i popędziła przed siebie.

## **Rozdział trzynasty**

**Wtorek, 3 marca**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Wczesny ranek w Białym Domu to czas, kiedy najlepiej się pracuje. Carroll był pewien, że duchy dawnych prezydentów snują się nad ranem po pałacyku. Bill szedł powoli cichymi korytarzami zachodniego skrzydła, zdążając do swojego biura. Miał nadzieję, że spotka po drodze przynajmniej jedną zjawę. Miał parę pytań, szczególnie gdyby ukazał mu się dziadek Matta.

Sekretarka Carrolla pracowała już; porządkowała jego biurko.

- Witaj, Midge - powiedział. - Czasem wydaje mi się, że tu mieszkasz.

- Wie pan, prawdę mówiąc sypiam pod swoim biurkiem... - żartowała.

Wymienili uśmiechy. William zabrał się do pracy. Wywołał na włączonym już komputerze codzienny raport dla prezydenta. Przez najbliższą godzinę niemal się nie poruszał, czytając coraz to nowe komunikaty.

Skończył na najnowszym raporcie CIA dotyczącym oceny sytuacji w RPA. Mylą się - pomyślał.

- Midge - wezwał sekretarkę - czy pani Hazelton już przyszła? - W niecałą minutę później jego asystentka znajdowała się już w gabinecie. - Mazie, co sądzisz o najnowszych doniesieniach z RPA?

- Japończycy się wycofali - odpowiedziała - a to trochę oczyszcza atmosferę. A Narodowe Biuro Rozpoznawcze przysłało ciekawe zdjęcia z bazy AWB w Bloemfontein. - Podała Carrollowi zdjęcia satelitarne przekazane Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. -

Satelita wykrył w tym miejscu ślady radioaktywności w obrębie Żelaznych Wrót. - Pokazała na budynek, gdzie stopiło się laboratorium Slavina. - To potwierdza dane satelitarne z trzynastego lutego. - Podała mu kolejne zdjęcie o wysokiej rozdzielczości. - Satelita przelatował akurat nad bazą i zrobił dokładne zdjęcie. Proszę spojrzeć na ten sam rejon - aż się roi od wozów strażackich i ludzi. Analitycy CIA twierdzą, że znajdowało się tam podziemne laboratorium jądrowe.

- A twoja ocena?

- Całe zdarzenie wygląda podobnie jak to, które wykryliśmy przedtem w Pelindaba, zanim przenieśli Numer Jeden. Chyba mieli awarię. To znaczy, że Afrykanerzy ciągle pracują nad fuzją jądrową i robią postępy.

- To hipoteza, niepoparta wystarczającymi dowodami - stwierdził Carroll. - Bardziej logiczne wydaje mi się, że nastąpił wyciek z jakiejś głowicy jądrowej.

Mazie pokręciła głową.

- W przeciwieństwie do tego, co wszyscy myślą, Afrykanerzy rzeczywiście zniszczyli swoją broń jądrową w 1994 roku. W Żelaznych Wrotach nie ma żadnego pocisku. To musi mieć związek z Numerem Jeden.

Carroll przyjrzał się Mazie uważnie. Wcale nie był taki pewien, czy zniszczono te bomby.

- Jeżeli nie mają pocisków jądrowych, to co mają?

- Gazy paraliżująco-drgawkowe - odpowiedziała pani Hazelton, wzięwszy głęboki oddech.

William uśmiechnął się nieznacznie.

- A na jakiej podstawie doszłaś do takiego wniosku?

- Żelazna Gwardia dostała transport czeskich samolotów Aero.

Nie są one w stanie przenosić broni jądrowej; chemiczną - tak.

- Co wobec tego zaleciłabyś robić?

- Pogonić CIA, żeby dowiedzieli się wreszcie, co tak naprawdę Beckmann robi w swoich Żelaznych Wrotach. To można sprawdzić.

Carroll oparł się w fotelu.

- W takim razie zajmij się tym, Mazie, dobrze? - Zastanowił się chwilę. - Słuchaj, może zjadłabyś lunch ze mną, Chuckiem i Waynem?

- Z przyjemnością - odpowiedziała. Mazie lubiła dwóch agentów, którzy zawzięli się, żeby troszczyć się o Carrolla, jak się tylko da. W ten sposób pomagali rozchodzić się najnowszej plotce, krążącej w Białym Domu...

## **Środa, 4 marca**

### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

- Teraz wyglądasz lepiej - odezwał się Standard, kiedy MacKay wszedł do jego biura w konsulacie.

- Tak, mnie samego też to dziwi - odparł John ostrożnie. Właśnie zdjął bandaż; nie był jeszcze pewien swojej nowej twarzy, którą miał odtąd pokazywać światu. Po jego przybyciu do Kapsztadu jedna z „chłopców” zasugerowała, że powinien poddać się operacji plastycznej i zmienić wygląd. Nie była to kwestia próżności - MacKay już wiele lat temu zaakceptował swój nieprzyjemny, groźny wygląd - chodziło o przeżycie.

Miejscowy chirurg nie miał kłopotów z wyprostowaniem nosa



MacKaya, cofnięciem jego ogromnych, odstających uszu i zmianą linii zarostu. Aby ukryć pseudofolliculitis i cofniętą szczękę, MacKay ponownie zapuścił brodę. Zmiana była wprost uderzająca. John stał się inną osobą.

To i tak było najłatwiejsze. Znacznie więcej pracy zajęło stworzenie mu oficjalnego zajęcia. „Chłopcy” spędziły długie godziny organizując fikcyjną firmę. Teoretycznie specjalizowała się ona w systemach zabezpieczających i alarmowych. Wydrukowały dostatecznie dużo papierów, które świadczyły o działalności firmy, i zdobyły odpowiednie pieniądze.

Jednocześnie musiały nauczyć MacKaya wszystkiego na temat systemów, które jakoby sprzedawał. Trzeba było także wystąpić o uzyskanie licencji na prowadzenie działalności handlowej w RPA. To ostatnie niemal nie zakończyło całego przedsięwzięcia fiaskiem. Udało się jednak znaleźć odpowiedniego biurokratę, który dał się przekupić. Jedna z „chłopców” wynajęła także biuro i eleganckie mieszkanie w Bloemfontein, otworzyła rachunki bankowe w imieniu MacKaya i firmy i zorganizowała kryjówkę.

Wszystko zajęło w sumie siedem tygodni. „Chłopcy” były po tym bardzo, zmęczone. Jednak Standard ciągle miał wątpliwości, dotyczące samego MacKaya.

- Słuchaj, czy jesteś pewien, że temu podolasz? - zapytał go.
- Dlaczego pytasz?
- Niepokoję się o ciebie. W Johannesburgu straciłeś dwóch dobrych ludzi.
- Co ty powiesz?

Standard zdecydował, że czas sprawdzić, czy John nadaje się

jeszcze do tej pracy.

- Jesteś za to częściowo odpowiedzialny - stwierdził.

Odpowiedź MacKaya zaskoczyła go.

- Jestem całkowicie odpowiedzialny. Powinienem był zadzwonić do Robby'ego i Grawleya w momencie, kiedy zorientowałem się, że koło naszego biura źle się dzieje. A ja zacząłem improwizować, węszyć; poszedłem tam piechotą. Zajęło to w sumie pół godziny, a oni już nie żyli. Przecież przerabiałem taką sytuację chyba ze sto razy. Skutki zawsze są takie same.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy - zaproponował Standard. - Przecież to nie ty pociągałeś za spust.

- Ale mogłem temu zapobiec - ciągnął John. - Do końca życia będzie to nade mną wisieć.

Standard podjął decyzję.

- Nauczyłeś się czegoś - ocenił. - Nie spartol roboty następnym razem. - MacKay przytaknął. - Firma ciągle dobiera się nam do skóry i pyta o Numer Jeden. Oczekują od nas konkretnych wiadomości. Tak przynajmniej powiedzieli wczoraj. Wracasz do Bloemfontein.

MacKay uśmiechnął się.

**Czwartek, 5 marca**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Członkowie sztabu Beckmanna czekali pod jego biurem na poranne zdawanie raportów. Każdy starannie przygotował to, co ma powiedzieć. Kiedy jeden człowiek wychodził z biura generała, wchodził następny i przez straszne trzy do pięciu minut

stał oko w oko z Beckmannem, który nie zwracał wtedy uwagi na nic innego.

*Kommandant* - podpułkownik dowodzący wywiadem Żelaznej Gwardii - czekał z niepokojem na swoją kolej, niepewny, jak generał zareaguje na najnowsze informacje z Kapsztadu. Szef logistyki wyszedł od Beckmanna zielony na twarzy, mruczając coś do siebie. Podpułkownik wszedł, zanim drzwi zdążyły się zamknąć.

- *Goeimore, Generaal* - powitał swojego dowódcę, wyprężając się na baczność.

- Czy przyniósł pan dzisiaj jakieś dobre wieści? - spytał Beckmann.

- Rząd czarnuchów nie jest w stanie zapanować nad własną biurokracją. Poziom korupcji w Pretorii stał się trudny do wyobrażenia - czarni urzędnicy rabują skarb państwa, jak się tylko da. Afrykański Kongres Narodowy nie powinien być nigdy zastępować białej służby cywilnej Murzynami. Ten rząd już ledwo działa.

Beckmann skinął głową, zadowolony z tego, co usłyszał.

- Sami to sobie zrobili; wcale nie musieliśmy im w tym pomagać - zauważył. - I co na to Kapsztad?

- Prezydent wysyła tam członków swojego gabinetu, żeby przywrócili porządek. Ciągłe nie mogą wyzwolić się z systemu z czasów apartheidu, kiedy każdy minister spędzał część czasu w Pretorii, a część w Kapsztadzie.

- Proszę o szczegóły - polecił Beckmann.

- Ministrowie wyjadą w niedzielę rano „Błękitnym Pociągiem”, tuż po sobotnim przyjęciu u prezydenta. W Pretorii - z wielką pompą -

pojawią się w poniedziałek; od razu mają się zabrać do pracy.

Generał oparł się wygodnie składając ręce przy twarzy.

- A więc pojedą „Błękitnym Pociągiem”... - mruknął. „Błękitny” był luksusowym pociągiem kursującym pomiędzy Pretorią i Kapsztadem. Wyposażenie wagonów i standard obsługi równały się słynnemu „Orient Expressowi”. Była to pozostałość z czasów dominacji białych. Nowy rząd nie likwidował jednak tego połączenia, ponieważ luksus odpowiadał jego funkcjonariuszom. Znakomicie ilustrowało to kierunek zmian w RPA...

Beckmann wstał gwałtownie, ku śmiertelnej grozie *kommandanta*.

- Znakomicie! - zawołał. - Dziękuję panu, to bardzo dobre wiadomości! - Podpułkownik odetchnął i czym prędzej wyszedł. Tymczasem Beckmann naciskał już przycisk interkomu.

- Proszę posłać resztę mojego sztabu do pracy - rozkazał adiutantowi. - Niech natychmiast zamelduje się u mnie sierżant Shivuto. - Generał zaczął krążyć po pokoju, myśląc intensywnie. Tak, to była okazja, żeby jednocześnie zaszkodzić rządowi i utrzyć nosa ONZ. Musiał doprowadzić do izolacji rządu RPA; odciąć go od pomocy z zagranicy, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Jakie będą polityczne konsekwencje dla Żelaznej Gwardii, jeśli mu się nie powiedzie?

Może jego brat, Erik, zdoła przekonać Azanianów, żeby zaatakowali ONZ jeszcze raz, odwracając przez to uwagę od Żelaznej Gwardii... Tak! Musiał skorzystać z tej okazji. Czekał, czy nie usłyszy wewnętrznego głosu, który ostrzegał go, kiedy reagował na coś przesadnie. W jego głowie panowała jednak cisza.

Sierżant Shivuto zameldował się dokładnie piętnaście minut później. Był szczupłym Murzynem, z plemienia Owambo; miał metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, wąsko osadzone oczy i duży, krzywy nos, który kiedyś został złamany, a nigdy - nastawiony porządnie. Dawało to jego twarzy szczególny wyraz. Shivuto miał na sobie czysty, wyprasowany mundur i starannie wypastowane buty. Jednak pod niepozornym wyglądem krył się prawdziwy zawodowiec; inteligentny, sprawny, dobrze wyszkolony i, co najważniejsze, lojalny.

- Michael, *hoe gaan dit* (jak leci)? - zagadnął Beckmann w *africaans*. Shivuto odpowiedział mu w tym samym języku, jednym z czterech języków, jakimi płynnie mówił.

- Czy Koevoet jest w stanie zatrzymać pociąg? - spytał generał. Koevoet był elitarnym oddziałem złożonym z samych Murzynów, który Shivuto stworzył specjalnie dla Beckmanna. Nazwę zapożyczyli z jednostki, w której niegdyś się poznali, zwalczając bojowników SWAPO.

- Jesteśmy do tego odpowiednio wyszkoleni i przygotowani, chociaż jeszcze nigdy tego nie robiliśmy - odparł Shivuto. Odpowiedź zadowoliła generała. Jeśli Shivuto powiedział, że Koevoet jest gotowy, to znaczy, że jest.

- Czy twoi ludzie będą umieli posłużyć się nowym dwudziestomilimetrowym „Bliźniakiem”?

- Nigdy go nie widzieliśmy - odpowiedział sierżant.

- Rozpocznijcie więc dzisiaj szkolenie i przygotujcie się do akcji na piątek wieczorem.

- Jakie będzie nasze zadanie?

- Zatrzymać „Błękitny Pociąg” - odparł Beckmann. - Szczegółów dowiedzie się później.

Shivuto zasalutował i wyszedł.

**Sobota, 7 marca**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Elizabeth Gordon stała przy wejściu do prezydenckiego pałacyku, tuż obok warty honorowej. W lewym ręku trzymała bezprzewodowy mikrofon. Jej biała, elegancka suknia połyskiwała w świetle reflektorów oświetlających elewację budynku. Jasne włosy panny Gordon były starannie ułożone, suknia zaś jak najbardziej odpowiednia do okazji - przed pałacykiem zatrzymywały się limuzyny, przywożąc dygnitarzy i ich żony w wieczorowych strojach. Kiedy zbliżył się samochód, na którego masce powiewała flaga ONZ, Samantha machnęła na Liz, dając jej sygnał wejścia.

- W tym dziwnym kraju, pełnym kontrastów - odezwała się Gordon do mikrofonu - pierwszy obiad dla dyplomatów i polityków wydawany jest w pałacu prezydenckim w chwili, gdy Południową Afryką wstrząsają krwawe wybuchy przemocy, zamieszki, niepokój. Tu jednak panuje atmosfera normalności, a przy tym elegancji i szyku.

Sam zrobiła zbliżenie na małą, błękitną flagę.

- Zadajemy sobie pytanie - kontynuowała Elizabeth - czy jest to tylko sztuczna pompa, pod którą kryje się w rzeczywistości osłabiony rząd, chylący się ku upadkowi, czy też oznaka stabilizacji? Jedynie upływający czas może udzielić nam odpowiedzi.

Członkowie warty honorowej stanęli na baczność, drzwi limuzyny

otworzyły się i wysiadła z niej Elena Martine, pokazując Samancie do kamery obnażoną nogę. Zaraz za panią Martine pojawił się Pontowski, ubrany w galowy, granatowy lotniczy uniform. Prostota jego munduru kontrastowała z błyszczącymi strojami otaczających go afrykańskich dygnitarzy. Dystynkcje pierwszego pilota i dwa rzędy baretek wskazywały, że był prawdziwym żołnierzem, a nie nadętym politykiem. Liz mówiła dalej:

- Madame Elena Martine kieruje Misją Obserwacyjną Organizacji Narodów Zjednoczonych w Republice Południowej Afryki. Obok niej widzimy generała brygady Matthew Pontowskiego, który reprezentuje generała de Royera - dowódcę międzynarodowych sił pokojowych ONZ w tym kraju. - Gordon dołączyła do nich, gdy mijali stojących na baczność wartowników. Przybysze zatrzymali się na moment i wymienili z reporterką stosowne uprzejmości.

Sam zrobiła kolejne zbliżenie, koncentrując się na obu kobietach, stojących obok siebie. Niższa Elena wyglądała nieco skromniej w swoim eleganckim stroju; Liz niemal olśniewała; obie były prawdziwymi gwiazdami wieczoru. Sam nie odrywała kamery od odchodzącej teraz Eleny, mając nadzieję, że madame choćby się potknie, rozpraszając posągowe wrażenie.

- Sam - powiedziała Elizabeth, podając koleżance mikrofon - muszę teraz wejść. Szkoda, że nie można wprowadzić do środka kamery. - Spojrzała na Samanthę. - Wszystko w porządku?

- Spoko - Sam opuściła ciężką kamerę. - Spotkamy się w domu. - Dlaczego czuje się taka nieszczęśliwa...

Tymczasem wewnątrz pałacyku Elena szła przed Pontowskim, ściskając dłonie witających ich osób, tak jak nakazywała etykieta.

Jednakże i tak widać było, że stanowią parę.

- Matt - szepnęła, biorąc go pod rękę - myślę, że ta twoja kamerzystka - ta, co ma na imię Sam - jest zazdrosna, nie wydaje ci się? Czy może zdobyłeś jej serce?

- To dziennikarka, Eleno. W naszym kraju dziennikarki nie mają serc.

- Ale bez wątpienia są piękne - odpowiedziała, uśmiechając się tym razem w stronę Elizabeth Gordon. Liz otoczona była już przez grupkę złożoną z podziwiających ją attaches wojskowych kilku krajów oraz ministra Joego Péndulo.

- Jakim cudem udało jej się zdobyć zaproszenie? - Matt był zdziwiony.

- Ja to zaaranżowałam - odparła Elena. Roześmiała się, widząc zmieszany wyraz twarzy Pontowskiego. - Musisz nauczyć się postępować z kobietami, które niedługo wkroczą w średni wiek - powiedziała. - Potem ci wytłumaczę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - szepnęła.

Liz odpowiedziała Elenie na uśmiech. Kiedy pani Martine i Pontowski przeszli, zwróciła się z powrotem do Péndulo.

- Panie ministrze, jak rozumiem, jutro wyjeżdża pan do Pretorii?

- Ach, tak - odpowiedział Péndulo melodyjnie wymawiając poszczególne wyrazy, co było u niego oznaką dobrego humoru. - Pojadę „Błękitnym Pociągiem”. To bardzo cywilizowany sposób podróżowania; daje mi to spokój, potrzebny do myślenia i układania planów. A może pojechałaby pani z nami i sama zakosztowała takiej podróży?



- Zrobiłabym to z przyjemnością - odpowiedziała Elizabeth - jadę jednak do Bloemfontein.

- Cóż - nie zrażał się Péndulo - nasz pociąg zatrzymuje się w Bloemfontein. W takim razie musi pani pojechać. - Wkrótce zostało ustalone, że Liz i Sam pojedą z Péndulo i wysiądą w Bloemfontein. Dziennikarka wzięła ministra pod rękę i ruszyli za Pontowskim i Eleną.

Matt stał przy wielkim oknie w apartamencie Eleny. Rozciągał się z niego widok na zatokę Bantry. Znad południowego Atlantyku nadlatywał zimny wiatr, przynosząc pierwszą oznaką nadchodzącej zimy. Fale pienily się przy brzegu i rozbijały o skały, oświetlone wąskim sierpem księżyca.

- Masz stąd piękny widok - rzucił przez ramię.

Nie było odpowiedzi. Podszedł więc do trzaskającego w kominku ognia i rozpiął złoty guzik munduru. Rozwiązał też krawat i rozpiął kołnierzyk.

- Od razu lepiej - mruknął do siebie. Nie znosił munduru i gdy tylko miał okazję, przebierał się w coś innego.

Nalał sobie koniaku i rozejrzał się, szukając Eleny. Znikła; cienki jedwabny szal leżący na podłodze wskazywał drogę do sypialni. Matt podniósł go, powiesił na poręczy krzesła i ruszył przez salon. Nie był pewien, czy podoba mu się mieszkanie Eleny, urządzone bardzo nowocześnie, co dawało wrażenie surowości i chłodu. Ogień jednak był ciepły i przyciągający. Miło było przy nim usiąść, zwłaszcza po sztywnym, kurtuazyjnym obiedzie. Generał rozsiadł się w jednym z foteli, który wprawdzie przypominał mu krzeselko dla dziecka

powiększone do „dorosłych” rozmiarów, okazał się jednak zdumiewająco wygodny. Matt oparł więc głowę i pomyślał: Ależ jestem zmęczony... Po chwili już spał.

Obudził go głos Eleny.

- Matt...

- Długo spałem?

- Niedługo - odpowiedziała.

Pontowski potrząsnął głową, żeby móc zebrać myśli. Wtedy zobaczył Elenę i doznał wrażenia, że serce zatrzymało mu się na moment. Madame leżała zwinięta na pokrytym skórą pufie; nie licząc kolczyków i butów na wysokim obcasie nie miała na sobie nic więcej. Nagły napływ krwi do organu, który od ponad roku nie był używany, zapewnił Matta, że jego serce jednak jeszcze funkcjonuje.

Elena wstała z pufa i podeszła do baru. Jej skóra połyskiwała w świetle ognia. Nalała dwa kieliszki koniaku i podała jeden z nich Mattowi; zatrzymała na chwilę palce na jego dłoni. Dreszcz przeszedł mu przez rękę.

- Masz nieprzyjemny zwyczaj zasypiania, kiedy tylko się rozbieram - powiedziała. Westchnęła. - Pewnie ci się nie podobam...

- To niezupełnie tak... - odpowiedział, rozbudzony do końca.

Elena usiadła znów na pufie płynnym ruchem, który rozpalil nerwy Matta jeszcze bardziej.

- Matt, musimy porozmawiać - oświadczyła.

- Chcesz mi może udzielić teraz lekcji na temat opieki nad nieco starszymi kobietami?

- Powinieneś podejść do tego poważnie. Wy, Amerykanie, czasami potraficie być tacy grubiańscy... - Patrzyła prosto pomiędzy jego

nogi.

- Wiesz, to się czasem zdarza... i mija - wytłumaczył się. - Zachowujesz się w taki sposób, że trudno... zwyczajnie prowadzić rozmowę.

Elena przechyliła głowę na bok i popatrzyła mu w oczy.

- Amerykanie! Przecież mówiłam ci, że nie cierpię ubrań. A teraz skoncentruj się...

- Jestem skoncentrowany.

- ...na temacie rozmowy. Taka kobieta jak Elizabeth Gordon ma bardzo złożoną psychikę. Jest inteligentna i chce osiągać sukcesy. Nadal jednak pozostaje kobietą. Czasem będzie zachowywać się czysto profesjonalnie i wykonywać jak najlepiej swoją pracę. Jednak kiedy spotyka odpowiedniego mężczyznę, chce, żeby z nią romansował, dotykał jej, robił jej petting i kochał się z nią. W konkretnym przypadku Gordon, sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, ponieważ ona posługuje się seksem do osiągnięcia zamierzonych celów.

- Jak można ją, w takim razie, nazwać?... - mruknął Pontowski.

- Mężczyźni posługują się do osiągnięcia swoich celów pieniędzmi i władzą - odparła Elena. - Jak można w takim razie nazwać ich? Matt, nigdy nie mieszaj pieniędzy, wystawnych obiadów ani seksu z władzą. Musisz poprawnie odczytywać każdą sytuację; nie wolno ci się ani razu pomylić.

- Na przykład teraz? - rzucił. Elena nie odpowiedziała. - A tak na marginesie, co to ma wspólnego z załatwieniem przez ciebie zaproszenia dla Liz Gordon?

- To, że Liz Gordon, tak jak każdy z nas, woli być w gronie

wybranych, niż czuć się odrzuconą. Kiedy zostaje włączona do tego grona, staje się przyjacielem, sojusznikiem. Czy widziałeś przybity wyraz twarzy twojej kamerzystki...

- To nie jest „moja” kamerzystka - zaprotestował Pontowski.

- ...kiedy musiała odejść do domu? - ciągnęła Elena.

Wstała i podeszła do wielkiego okna. W tym momencie ciśnienie krwi Matta przekroczyło wszelkie granice.

- Chodź - szepnęła. - Pontowski przeskoczył przez pokój kilkoma susami.

Elena zbliżyła się do niego i stanęła dokładnie naprzeciwko, niemal go dotykając. Poczuł, że po jego prawej łydce przesunęła się przez chwilę naga stopa.

Wreszcie dłonie Eleny wsunęły się w jego kurtkę i zrzuciły ją na podłogę. Delikatne palce zaczęły rozpinać guziki jego koszuli.

- Mylisz się. Jest twoja, bardziej niż myślisz - powiedziała. Dłonie Eleny pieściły piersi Matta. - Tak samo jak teraz... - dokończyła szeptem.

Aromat świeżo zaparzonej kawy obudził Pontowskiego. Poczuł zdenerwowanie, jakie zwykle ogarniało go rano, kiedy musiał wstawać. Zamierzał zapaść z powrotem w sen, ale nagle przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Usiadł więc na tapczanie, szukając wzrokiem ubrania. Nie było go. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je zostawił. Aha, koło kominka.

Elena wsunęła się do sypialni, ubrana w białą, męską koszulę. Niosła srebrną tacę z kawą.

- Hurra - mruknął.

- Mówią, że rano jesteś nie do zniesienia - powitała go, siadając na brzegu łóżka.

- Kto ci tak mówił? - zaprotestował Matt, chrząknąwszy. - To nieprawda.

Elena uniosła brwi i naląła mu kubek kawy.

- I pijesz zawsze czarną, bez cukru - dodała, podając mu go. - Miała rację. - Matt, musimy porozmawiać.

- Tak samo jak w nocy?

- Mam nadzieję, że pamiętasz, o czym mówiliśmy?

Pontowski przyssał się do kubka, łaknąc kofeiny. Był prawdziwym nałogowcem.

- O Elizabeth Gordon - wybełkotał.

Elena założyła nogę na nogę i obserwowała prześcieradło, którym Pontowski się okrył. Zauważyła niewłaściwą reakcję.

- Matt, skoncentruj się.

- Staram się. Łatwiej mi się skoncentrować, kiedy jesteś ubrana - wyjaśnił.

- Pozytywny obraz w mediach jest dla nas niezbędny, jeśli operacja ma zakończyć się sukcesem. Gordon nie lubi cię i to stanowi prawdziwy problem.

- Bardzo łagodne określenie.

- Matt, musisz sobie z nią poradzić, albo wszystko nam się sypnie.

- I co proponujesz?

Elena westchnęła. Najwidoczniej nie uważał.

- Musisz dołączyć ją do grona „wybranych”.

- A to załatwi wszystko? - Matt nie krył ironii.

- Jest także jej kamerzystka - ciągnęła Elena. - Musisz ją

wykorzystać.

Dla Matta sprawa była jasna.

- Rozumiem. Tak jak ty mnie „wykorzystałaś”... - Wyjrzał przez okno. - Eleno, nawiążę współpracę z Gordon, ale nic więcej z tego nie będzie.

Elena westchnęła. Ci Amerykanie są tacy naiwni... Wyciągnęła rękę i dotknęła jego brody. Jej palce były miękkie i ciepłe. Odwróciła głowę Matta ku sobie i pocałowała go delikatnie w usta.

- Szaleję za tobą - powiedziała.

Wstała i zrzuciła koszulę na ziemię.

- Chodź, weźmiemy prysznic. Dzisiaj niedziela; chcę ci pokazać Przylądek Dobrej Nadziei.

Elena stała na skraju skarpy, z której rozciągał się widok na południowy Atlantyk. Wiatr chłostał ciemne włosy pani Martine, co wprawiało Pontowskiego w istny zachwyt. Jaka ona jest piękna... - myślał tylko. Pokazała na południe, przesuwając eleganckim ruchem dłoń ponad horyzontem.

- Najbliższy ląd to Antarktyda - powiedziała. - Ponad trzy tysiące kilometrów stąd na południe. - Teraz odwróciła się w lewo, wskazując skrawek lądu wrzynający się w ocean. - To Przylądek Igielny. A tam - pokazała wreszcie na prawo, czyli na zachód, na kolejny wypustek lądu - jest Przylądek Dobrej Nadziei.

Pontowski stał, urzeczony widokiem.

- Czy potrafisz wyobrazić sobie - odezwał się - jak musiał się czuć Vasco da Gama, kiedy popłynął na wschód? Kiedy wreszcie udało mu się to, co nie udawało się innym przez tyle lat? - Przez krótką

chwilę to on stał, pośród fal, na pokładzie kruchego statku, i zmieniał kurs z południowego na wschodni. Maszty skrzypiały na wietrze, a dziób pruł głęboką, błękitną wodę...

- Romantyk z ciebie, Matt...

Uśmiechnął się.

- Tak, chyba tak. - Czar prysł; po chwili zeszli po ciągnących się spory kawałek stopniach na leżący w dole parking.

Kiedy wrócili do apartamentu Eleny, było już ciemno. Mrugało światelko na automatycznej sekretarce. Nacisnęła klawisz i zaczęli słuchać.

- Mówi kapitan van der Roos. Szukam generała Pontowskiego. Jest osiemnasta czterdzieści pięć, niedziela wieczór. Pan generał jest natychmiast potrzebny w bazie lotniczej. Mamy alarm.

Co stało się z moją krótkofalówką? - pomyślał zdenerwowany Matt. Sprawdził. Była po prostu wyłączona.

- O nie! - jęknął. - Eleno, muszę dostać się do bazy, najszybciej jak tylko możliwe.

- Podrzucę cię - odparła. Wreszcie mógł ucieszyć się z tego, że madame ma ciężką stopę...

Kiedy wjechali przez bramę, w bazie panował ożywiony ruch. Obsługa naziemna podwiesiła już pod dwoma „Świniami” po trzy dodatkowe, zewnętrzne zbiorniki paliwa, zwiększając zasięg samolotów. Uzbrajano pozostałe dziesięć maszyn. Scenę obserwowała grupka oficerów i podoficerów południowoafrykańskich sił powietrznych. Amerykanie uwijali się jak w ukropie, działali jednak w wyjątkowo sprawny, doskonale

zorganizowany sposób. Afrykanie nigdy nie widzieli tyłu samolotów przygotowanych do walki w tak krótkim czasie. Graniczyło to dla nich niemal z cudem.

„Tango” Leonard czekał na Pontowskiego i Elenę w centrum COIC.

- Co się dzieje? - spytał Matt.

- Zaatakowano „Błękitny Pociąg” - wyjaśnił Leonard. - Zatrzymali go gdzieś na południe od Bloemfontein. To wszystko, co wiemy. Nie mogłem cię znaleźć, więc wydałem rozkaz przygotowania i uzbrojenia samolotów, i wezwałem załogi. Wywiad usiłuje porozumieć się z wywiadem południowoafrykańskim i ONZ-towskim, ale nikt nie odbiera telefonów, bo dzisiaj niedziela...

- Skąd dowiedziałeś się o wszystkim? - pytał Matt.

- Zadzwoił twój adiutant, Piet. Szukał cię; próbował też znaleźć de Royera. Jak się zdaje, generał pojechał na przejażdżkę konną; nie można złapać z nim kontaktu przez radio. To było mniej więcej godzinę temu.

- Cholera... - mruknął Pontowski, niezadowolony z samego siebie. Pozwolił, żeby seks odwrócił jego uwagę od pracy, i oto miał skutki... Nigdy nie powinien znajdować się poza kontaktem radiowym ze swoim stanowiskiem dowodzenia. Pomyślał chwilę.

- Eleno, zobacz, czego możesz się dowiedzieć - odezwał się. - Skorzystaj z telefonów stanowiska dowodzenia. - Leonard wezwał jednego z nowych pilotów - „Waldo” Waldermana, a ten odprowadził Elenę. „Waldo” wydawał się uszczęśliwiony powierzeniem mu tego obowiązku. Tymczasem Matt skinął na Leonarda, żeby poszli razem do sali wywiadu.



- Teoretycznie rzecz biorąc - powiedział - to nie nasza sprawa, tylko rządu RPA. Boją się jednak buntu własnych żołnierzy, jeśli skierują ich do walki z innymi Południowoafrykańczykami. W dodatku zgodnie z zasadami postępowania, nie wolno nam nawet kiwnąć palcem.

- Ale zawsze możemy zrobić rozpoznanie - odparł Leonard.

- Słusznie - przyznał Matt. - Zróbmy coś, nawet jeśli nam nie wolno. Daj tu dwóch pilotów „Świń” i jednego od herculesow. - Po paru minutach przed generałem Pontowskim stało już w sali wywiadu troje pilotów. Jim Talbot - ”Suchy”, i Diego Moreno - „Goryl”, oraz pani Lydia Kowalski.

- Brenda Conklin zbiera moją załogę; zaraz będą gotowi - wyjaśniła. - Mamy ze sobą okulary do działań nocnych i flary. Jeśli pan rozkaże, powiem obsłudze, żeby zamontowali rampę do wyrzucania flar.

- Skąd u licha wzięliście flary i rampę do ich wyrzucania? - „Tango” był zdziwiony.

- Należą do wyposażenia naszej jednostki - wyjaśniła Kowalski. - Leżą u nas w magazynach od czasu wojny w Wietnamie. Zajmują miejsce, więc nasz szef zaopatrzenia chętnie wysłał je tu razem z nami.

- Czyj to był pomysł? - zainteresował się Matt.

- Mój.

- Załadować je! - rozkazał.

Pani podpułkownik podniosła słuchawkę i powtórzyła rozkaz.

Leonard pokręcił głową.

- Mamy już prawie dwudziesty pierwszy wiek, a posługujemy się

technologią z lat pięćdziesiątych.

- Tak to jest, kiedy stara się prowadzić wojnę jak najtaniej - odparł Pontowski.

Weszła Brenda Conklin, razem z resztą załogi herculesa. Jeśli nie liczyć nawigatora, stanowiły ją same kobiety.

- Dobra, żołnierze - zaczął Matt w swoim stylu - ruszamy do akcji. Wiemy, że zatrzymano „Błękitny Pociąg”, gdzieś na południe od Bloemfontein, i że pociąg jest w tej chwili atakowany. Wysyłamy grupę rozpoznawczą - dwie „Świnie” i jednego „Herka”, żeby siły ONZ znalazły się w rejonie akcji. „Tango”, chcę żebyś poleciał w herculesie jako dowódca grupy. Prowadź stamtąd całe przedstawienie. Będziemy porozumiewać się przez radio SatCom.

- A co z zasadami postępowania? - wtrącił się „Suchy”. - Nie możemy tam nic robić, tylko najwyżej się przyglądać.

- Spróbuję to zmienić i przekazać wiadomość Leonardowi - odpowiedział Matt.

- A jak znajdziemy ten pociąg? - spytał „Goryl”.

- Lećcie wzdłuż torów - mruknął Pontowski.

- Z tym głównym, które nazywa pan radarem? - zaprotestował pilot.

- Stan poradzi sobie z tym - wyjaśniła Brenda, wskazując na swojego nawigatora, Stana Simsa.

- Gdybyśmy mieli mavericki, moglibyśmy wykorzystać ich naprowadzacz na podczerwień - zauważył „Goryl”. Maverick to rakiet przeciwczołgowa kierowana na podczerwień. Zanim zostanie odpalona, monitor w kabinie pilota pokazuje to, co rakiet „widzi”. Lotnikom-biedakom może posłużyć to jako coś w rodzaju

noktowizora...

- Dobrze; załadujcie jednego ćwiczebnego mavericka, z nieuzbrojoną głowicą - zgodził się Pontowski. - Start za trzydzieści minut. Szczegóły opracujecie w locie. Do roboty. - Matt zatrzymał Leonarda.

- „Tango”, to ty będziesz musiał rozwiązać całą tę sytuację - powiedział Pontowski. - Proszę cię tylko, nie pogorsz jej.

Pułkownik popatrzył na niego, wyraźnie zaniepokojony.

- Szefie, wygląda mi to na niezłą pętlę, która może zacisnąć się nam na szyjach...

- Nie mów... - mruknął Matt. Potem, z pewną nadzieją w głosie, dodał: - Bądź elastyczny.

- To klucz do sukcesu - zażartował Leonard.

„Suchy” i „Goryl” wygramolili się z mikrobusu dowożącego załogi i ruszyli w stronę swoich maszyn.

- Żal mi tego biedaka, który leci jako nawigator pani Kowalski - odezwał się „Suchy”.

- Dlaczego?

- Daj spokój, stary. Cała załoga to kobiety! Jak byś się czuł w takim latającym burdelu?

„Goryl” roześmiał się.

- Chyba nie tak źle...

**Niedziela, 8 marca**

**Okolice Colesberga, Republika Południowej Afryki**

Formacja trzech samolotów zbliżała się do Bloemfontein.

Komunikaty radiowe, rozbrzmiewające w słuchawkach, były dźwięczne, krótkie, profesjonalne. C-130 prowadzony przez kapitan Kowalski leciał na przedzie, dwa A-10 podążały za nim. W dole leżało Wielkie Karru; rzadko widać było jakieś oznaki życia. Od czasu do czasu trafiały się tylko małe skupiska światła. Wysoko w górze świeciły nieznane konstelacje gwiazd, dając nadzieję na pogodny dzień.

Leonard stał w kabinie herculesa za plecami nawigatora. Był pod wrażeniem jego umiejętności posługiwania się radarem. Na ekranie widniał szereg słabych punkcików.

- To są tory kolejowe - powiedział Stan Sims, pokazując światełka ołówkiem. - Te jasne - wskazał na grupkę jaśniejszych punktów - to budynki.

Zaraz... - Pokręcił regulatorami. - Jest i pociąg! - Teraz na górze ekranu widać było jasny przedmiot, przesuwający się powoli wzdłuż linii. Nawigator wdepnął znajdujący się w podłodze przycisk interkomu. - Znalazłem pociąg! - oznajmił reszcie załogi. - Prosto przed naszym nosem, trzydzieści kilometrów.

Leonard założył okulary do działań nocnych i stanął teraz za Brendą Conklin, zajmującą fotel drugiego pilota.

- Chyba niewiele pan zobaczy, jeśli nie zniżymy znacznie lotu - odezwała się.

Pułkownik zastanowił się chwilę, po czym przesłał komunikat myśliwcom:

- Pociąg na dwunastej dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. Widać coś na RHAW? - RHAW to skrót od „radar homing and warning gear”, czyli rodzaj rozbudowanego antyradar z ekranem.

- Nic- odparł głos „Suchego”. - Na mavericka jeszcze za daleko. - Naprowadzacz rakiety maverick ma niewielki zasięg, około dziesięciu kilometrów.

- Czas zasłużyć sobie na pensję - powiedziała Kowalski. - Zejdźmy na dół i przyjrzyjmy się z bliska...

- Chwileczkę - wstrzymał ją Leonard, rozważając, jakie ma możliwości. Nie miał zamiaru stwarzać niepotrzebnego ryzyka dla żadnego z samolotów.

- Poślij no w dół parę flar, obejrzymy sobie sytuację posługując się starym, dobrym światłem - powiedział. - Zobaczymy, czy da się wywołać „Ziemniaka” na SatComie; powiedzmy im, że znaleźliśmy pociąg.

Lydia zaczęła obniżać lot, a Brenda wywołała Ysterplaat. „Ziemniak” odpowiedział natychmiast.

## **Niedziela, 8 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski i Elena rozmawiali właśnie przez telefon z de Royerem, kiedy nadszedł komunikat z herculesa, że odnaleźli na radarze pociąg.

- Przesłać jakieś instrukcje panu pułkownikowi Leonardowi? - spytał radiotelegrafista.

- Przekaż mu, że rozwiązuję właśnie nasz problem. - Matt mówił dalej do słuchawki: - Panie generale, znaleźliśmy pociąg. Znajduje się sto osiemdziesiąt kilometrów na południe od Bloemfontein. Jednak zgodnie z tym, co mówił Péndulo, nie mamy prawa interweniować. Jeśli zasady postępowania nie zostaną zmienione,

rozkażę myśliwcom przelecieć nisko nad pociągiem, sprawdzić, co się dzieje i wrócić do bazy.

- Péndulo jest w pociągu - odparł de Royer. - Moi ludzie zdołali skontaktować się z nim przez telefon, jeszcze zanim mnie znaleźli. Niestety zupełnie stracił panowanie nad sobą i nie można się z nim porozumieć. Krzyczał tylko o pomoc, aż połączenie zostało przerwane.

A zatem pan Péndulo czuje się nieco inaczej, kiedy strzelają w jego chudy tyłek - pomyślał Pontowski. Mimo wszystko nie mam najmniejszego zamiaru stać w poniedziałek rano pomiędzy politykami, którzy będą na nas wieszać psy, twierdząc, że popełniliśmy akt równający się wypowiedzeniu RPA wojny.

- Kiedy straciliście z nim kontakt? - spytał głośno.

- Ponad godzinę temu - wyjaśnił Francuz.

- I nikt z rządu nie zareagował na całą sytuację? - upewnił się Pontowski. Elena poinformowała go jakiś czas temu, że pomimo wszelkich wysiłków, dodzwoniła się tylko do jedyne go telefonisty, który pełnił tego dnia dyżur. - Ktoś musi natychmiast podjąć jakąś decyzję - ciągnął Matt - bo jeśli nie, to odwołuję swoje samoloty i pozostawiam całą sprawę do rozwiązania rządowi.

- A czego byś chciał? - zapytała Elena.

- Prawa do samoobrony - odparł Pontowski. - Jeśli ktoś do nas strzeli - będziemy mogli strzelać do niego. Kropka.

- *D'accord* - odparł de Royer. - Zgoda.

- Nie mogę na to pozwolić, zanim nie porozumiem się z ministrem Péndulo - upierała się Elena.

- Rozumiem - powiedział de Royer lodowatym tonem. - Panie

generale, proszę natychmiast odwołać samoloty. Madame Martine, może pani omówić całą sprawę w przyszłym tygodniu z następcą monsieur Péndulo.

No, proszę - pomyślał Matt. Nie można powiedzieć, żeby de Royer kogokolwiek faworyzował. Wszystkich traktuje jednakowo. Nastąpiła dłuższa pauza.

- Dobrze, zgadzam się - powiedziała w końcu Elena. Opuściła słuchawkę i wyszła powoli z sali.

- Dziękuję, panie generale - zakończył Matt; de Royer jednak już się rozłączył. Pontowski zwrócił się więc do radiotelegrafisty: - Przekaż pułkownikowi Leonardowi, że ma prawo do samoobrony - jeśli ktokolwiek do nich strzeli, mogą odpowiedzieć ogniem.

Radiotelegrafista przesłał wiadomość i pokazał swojemu generałowi podniesiony kciuk.

## **Niedziela, 8 marca**

### **Okolice Colesberga, Republika Południowej Afryki**

„Suchy” przyglądał się mrugającemu na transportowcu pani pułkownik Kowalski czerwonemu światełku. Manewrowała samolotem, przygotowując się do przelotu nad pociągiem i wypuszczenia flar. „Suchy”, który dowodził kluczem dwóch A-10, kazał „Goryłowi” przełączyć się na inną częstotliwość, po czym przyznał:

- Wiesz, dziwię się, że udało im się znaleźć ten pociąg.

Niebo rozświetliły rozbłyśki sześciu flar. Każda z flar, w kształcie półtorametrowej tuby, zaopatrzona była w spadochron. Magnezowy

rdzeń płonął z jasnością równą trzem milionom kandel. Flary zostały zrzucone w dobrym miejscu; opadały łagodnie oświetlając znajdujący się w dole pociąg.

- Zobacz - skomentował „Suchy”. „Latający burdel” zrobił dobrą robotę.

- Co prawda, to prawda - zgodził się „Goryl”.

Przełączyli się z powrotem na częstotliwość herculesa.

- Jestem na trzech tysiącach metrów - odezwała się Kowalski. - Będę krążyć po torze wyścigowym w lewo. Zrzucę następne flary.

- Potwierdzam - odpowiedział „Suchy”. - Jesteśmy na czterech tysiącach dwustu, po torze wyścigowym w prawo.

Podczas drugiego przelotu wiatr ustał akurat zupełnie i flary oświetlały pociąg przez dłuższy czas. „Błękitny Pociąg” wydawał się nieuszkodzony. Jednak ostatni wagon został odczepiony; stał samotnie jakieś półtora czy dwa kilometry dalej.

- Pociąg jedzie do tyłu - odezwała się przez radio Conklin. - Chyba wraca po ten wagon.

- Atakują ich - dodała Kowalski.

- Skąd wiecie? - spytał „Suchy” nerwowo. Chciał wziąć bezpośredni udział w akcji, tymczasem słyszał tylko dwie kobiety podające kolejne szczegóły.

- Dobrze, stare lornetki nie zawodzą - odparła Lydia. - Ktoś robi tam masę dymu. I pociąg się zatrzymał.

Leonard podjął decyzję.

- Powiedz „Suchemu” i „Goryłowi”, żeby zeszli na dół i rozpoznali sytuację z bliska. - Kowalski przekazała rozkaz.

- Potwierdzam. Widzę was - odparł „Suchy”. - Polecę przodem;



„Goryl”, kryj mnie.

Leonard obserwował dwa czerwone światełka na myśliwcach, jak poleciały nagle w dół. Kiedy minęły wysokość herculesa, światełko z tyłu odchyliło tor lotu - „Goryl” oddzielał się od „Suchego”. Tyle razy trenowali tę taktykę. Moreno nadleci nad pociąg chwilę później niż Talbot, przecinając tor jego lotu pod kątem trzydziestu stopni. Jeśli znajdzie się ktoś na tyle głupi, że odpali w stronę „Suchego” rakietę, albo zacznie strzelać mu w ogon, „Goryl” da mu sygnał do ucieczki, a potem użyje trzydziestomilimetrowego działka, żeby zniechęcić napastnika do dalszych działań.

Nagle pułkownika ogarnęło dziwne uczucie, że coś jest nie tak, że może zdarzyć się coś bardzo, bardzo złego. Piloci myśliwców nazywają to „intuicją sytuacyjną”. Leonard nigdy nie lekcewał tego uczucia. Odezwał się więc przez radio:

- „Goryl”, wyłącz światło. „Suchy”, przeleć za pierwszym razem na wysokości tysiąca pięciuset metrów.

- Wznoszę się na tysiąc pięćset- potwierdził „Suchy” rozczarowanym głosem. Czerwone światełko na samolocie „Goryla”, ostrzegające przed zderzeniem, zniknęło. Wtem z ziemi rozbłysnęły działka przeciwlotnicze i smugi ręcznych rakiet przeciwlotniczych, które zostały skierowane zarówno ku „Suchemu”, jak i herculesowi. Tylko „Goryl” był teraz bezpieczny, schowany w ciemnościach.

- Cholera jasna! - wrzasnął „Suchy”, skręcając gwałtownie w prawo, a potem zaczął zmieniać raptownie wysokość, żeby umknąć tropiącej go rakiecie. Przed jego nosem opadały flary, mające na celu zmylenie termicznego układu naprowadzającego pocisku. Rakietę skręciła w kierunku pierwszej flary i zniknęła w ciemności,

nie eksplodując.

Tymczasem Lydia skręciła o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i zrobiła przewrót potężną maszyną przez lewe skrzydło, kierując jej dziób ku dołowi.

- Trzymajcie się! - krzyknęła. Z ziemi sunęło ku nim kilka pomarańczowych smug. Przeciężenie na pokładzie herculesa przekroczyło dwa G. Leonard runął na podłogę kabiny.

Wokół pułkownika rozbłysnął wybuch; poczuł na plecach coś gorącego i ciężkiego; transportowiec wyrównywał właśnie lot. Leonarda ogłuszył gwizd powietrza. Spróbował podnieść się na nogi, ale coś mu przeszkadzało. Szarpnął się mocniej i wtedy zmasakrowane ciało mechanika samolotu zsunęło się z niego. Wstał. Kowalski pilotowała dalej, ocierając twarz z krwi. Brenda Conklin wystawała do połowy ze swojego fotela, sięgając ponad Lydią do dźwigierek gaśnic, żeby ugasić jeden z silników.

- Nic nie widzę! - zawołała Kowalski, przekrzykując wiatr. Leonard chwycił koc leżący na ławce dla załogi i wytarł jej twarz. Zdziwił się, widząc, że pilot nie jest ranna.

- Nic mi się nie stało! - wyjaśniła. - Brenda, co z nami?!

- Dostaliśmy w lewe skrzydło! Numer jeden wyeliminowany - lampka gaśnicy zgasła, paliwo odcięte! Co stało się z Pat?!... - Mechanikiem pokładowym była sierżant Patricia Owens.

„Tango” złapał latarkę i poświecił sobie pod nogi. Zrobiło mu się niedobrze; zawirowało mu w głowie. Przełknął, złapał haust powietrza i zarzucił ciało kocem.

- Nie żyje! - krzyknął tylko. Znalazł słuchawki i podłączył się do interkomu. Zagłuszył w ten sposób szalejący wiatr, no i mógł słyszeć

Lydię, która mówiła już do pilotów „Świń”.

- Zostaliśmy uszkodzeni - powiedziała zdumiewająco spokojnym głosem. Słysząc było, że brała już udział w niejednej walce.

- Podaj wysokość - odparł „Suchy”. Niepotrzebne im było dodatkowo zderzenie.

- Utrzymuję dwa tysiące siedemset.

Tymczasem ostatnia z flar przeleciała nad baterią przeciwlotniczą, rzucając na ziemię niesamowite cienie.

- Widzę gnoja!... - odezwał się „Goryl”. - Jest pod flarami. Wchodzę. - Ponieważ Moreno leciał teraz bez żadnych świateł, nikt z ziemi nie mógł go trafić, posługując się wzrokiem.

Na ziemi rozbłysnął jasny wybuch, o wiele za mocny jak na eksplozje pocisków z działka „Goryla”.

- Kończę - oznajmił Moreno.

- Trafiłeś w coś dużego - zauważył „Suchy”.

- Pewnie w zbiornik z paliwem - odparł „Goryl”. - Pociąg się zatrzymał; nie dojechali do wagonu.

- Sprawdzę to jeszcze - stwierdził Talbot. - Wchodzę. Kryj mnie, *por favor*.

- Zrobione - potwierdził Moreno, wykonując odpowiednie manewry. Chłopcy umieli zachowywać się w takich sytuacjach. Byli prawdziwymi zawodowcami. Po chwili „Suchy” odezwał się ponownie:

- Pociąg stoi. Ostatni wagon nadal oddzielnie. Nikt do mnie nie strzelał.

Leonard odzyskał tymczasem panowanie nad sobą; zapytał Lydię:

- Jesteś w stanie dolecieć do bazy? - Ysterplaat znajdowało się w

odległości ośmiuset kilometrów. Myślał o lądowaniu w Bloemfontein; nie był jednak pewien, jak zostaną tam przyjęci.

- Zrobi się - odpowiedziała.

- Brendo - mówił Leonard - przekaz „Ziemniakowi”, jak wygląda sytuacja. - Nacisnął teraz przycisk radia. - „Suchy”, „Goryl”. Możecie nas znaleźć i dołączyć do nas?

- Widzę was - odpowiedział Talbot. - „Tango”, co się wam stało?...

Dopiero teraz Leonard miał czas, żeby się dokładnie rozejrzeć. Lewą burtę kabiny przebił pojedynczy pocisk działka przeciwlotniczego. Zabił po drodze mechanika i wybił drugą dziurę, ponad głową nawigatora. Część jego górnego pulpitu spadła, ogłuszając go trochę, ale wydawało się, że Simmsowi nic się nie stało.

Pierwsza odezwała się Lydia Kowalski.

- Dostaliśmy dwa pociski z artylerii przeciwlotniczej - wyjaśniła. Jeden w lewe skrzydło. Rozwalił silnik numer jeden; kontrolka gaśnicy zgasła; paliwo odcięte. Drugi trafił wabinę. Zabita moja mechanik. Sprzątamy.

Piloci myśliwców nie odpowiadali. Nikt nie będzie już się śmiał z „latających burdeli”.

## **Niedziela, 8 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Lotnicy tłoczyli się w sali wywiadu. „Suchy” i „Goryl” siedzieli na podłodze, opierając się o ścianę. Conklin i Sims usiedli na krzesłach koło drzwi. Tanya Perko, dowódca ładowni herculesa, znalazła krzesła dla Leonarda i pani Kowalski. Czekali tak w milczeniu,

przytłoczeni świadomością śmierci sierżant Owens, mechanika pokładowego C-130.

- Sala - powstać! - zawołał oficer wywiadu, urzędujący w pomieszczeniu. Wszyscy podnieśli się na nogi. Wszedł Pontowski, a za nim „Tango” i Lydia, która przebrała się w czysty kombinezon, chociaż na jej włosach widać było jeszcze ślady krwi.

- Siadajcie, proszę - powiedział Matt. - Pułkowniku Leonard, proszę o raport.

To „Tango” musiał zdać raport ze wszystkiego, co się stało, ponieważ on był dowódcą misji. Oficer wywiadu notował, żeby sporządzić oficjalny, pisemny raport, zwany OPREP - Operations Report, a także INTSUM - Intelligence Summary, czyli streszczenie zdarzeń z punktu widzenia wywiadu. Procedura nakazywała wysłać natychmiast obydwa dokumenty do dowództwa. Leonard sprawnie opowiadał o przebiegu lotu, zachowując chronologiczny porządek. Od czasu do czasu zwracał się do innych, żeby uzupełnili szczegóły. Napięcie narastało, w miarę jak zbliżał się temat śmierci Patricii Owens.

- Mój RHAW nie wskazywał absolutnie niczego - opowiadał „Suchy”. - Nie wiem, może po prostu nas widzieli, przez te flary. Odsunęli się od pociągu i wtedy zobaczyłem baterię artylerii przeciwlotniczej. Była na wzgórzu, jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów na zachód od pociągu.

- To tego sukinsyna trafiłem - wtrącił „Goryl” z zimną satysfakcją w głosie. - Coś tam nieźle wybuchło.

- Użyta broń? - spytał oficer wywiadu.

- Działko GAU-8. Zużyte osiemdziesiąt cztery pociski, mieszanka

materiału wybuchowego ze zubożonym uranem; wysokość pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza, odległość 675 metrów, prędkość 600 kilometrów na godzinę. - „Goryl” nieraz już odpowiadał na podobne pytania podczas operacji chińskiej.

Pontowski i Leonard jednocześnie pokiwali z zadowoleniem głowami. Moreno wykonał znakomity przelot - trafił przeciwnika w nocy, oświetlonego jedynie flarami; leciał nad nieznanym terenem.

- Spowodowałem jeden wybuch - kontynuował „Goryl”. - Jego wygląd sugerował zbiornik z paliwem pojazdu.

- Potwierdzam wybuch - dodał „Suchy”.

Oficer wywiadu zwrócił się teraz do pani Kowalski.

- Czy widziała pani smugi pocisków artylerii przeciwlotniczej, które trafiły pani samolot?

Przytaknęła.

- Wykonywałam wtedy zakręt w lewo po wyjściu z przewrotu. Trafiły nas przynajmniej dwa.

- I żaden nie eksplodował?

- Nie - odparła Lydia. - Mieliśmy cholerne szczęście.

- Szczęście? - Oficer wywiadu był zdziwiony.

- Tak, szczęście - wyjaśnił Leonard. - Gdyby którykolwiek z tych pocisków wybuchł, wszyscy byśmy zginęli. Prawdopodobnie były to stare pociski. Kupili je z drugiej ręki; walały się latami po magazynach, aż niszczały.

- Ale jednak ktoś tam na ziemi umiał nimi strzelać - wtrąciła się Brenda Conklin. - Skąd wziął się taki ktoś?

- Wszystko jedno - chciał ją uspokoić „Goryl”. - Już nie żyje.

Przez drzwi wpadła Lori Williams. Tak się spieszyła, że aż się

poślizgnęła. Oznajmiła donośnie Pontowskiemu:

- Dzwoni Martine. Udało jej się skontaktować z „Błękitnym Pociągiem”; powiedzieli, że jedna z naszych bomb zabiła sześć osób: Ale zanim zdołała o wszystko wypytać, połączenie zostało przerwane. Generał de Royer wzywa pana natychmiast do siebie.

- Szefie - powiedział z naciskiem Leonard - my nie mieliśmy żadnych bomb.

## **Rozdział czternasty**

### **Poniedziałek, 9 marca**

#### **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski przywiózł ze sobą do de Royera Leonarda, Lydię Kowalski i „Goryla”, ignorując zakaz Francuza wchodzenia do budynku dowództwa w lotniczych kombinezonach. Na prawej stronie twarzy Boucharda pokazało się zdziwienie, kiedy zobaczył grupkę ludzi. Lewa strona jego oblicza po prostu nigdy się nie poruszała.

Pontowski był zmęczony. Widok poparzonej twarzy Boucharda złamał więc siły obronne jego psychiki i wywołał ponure wspomnienia. Przed oczami Matta stanęła Shoshana i to, jak ogień szaleje na jej ciele i nieubłaganie zmienia jej wygląd. Jednak Bouchard przeszedł przez istne piekło na ziemi, którego skutki były o wiele gorsze niż to, co stało się z Shoshaną. Jak zaważyło to na psychice francuskiego pułkownika?

- Generał spodziewał się tylko pana - odezwał się Bouchard w swoim ojczystym języku.

- Jeżeli generał chce wiedzieć, co się naprawdę stało - odpowiedział Matt po francusku - to ci ludzie, którzy tam byli, mogą mu opowiedzieć. - Pułkownik nie mówił już nic więcej; wprowadził wszystkich do gabinetu i przedstawił z nazwiska, na wypadek gdyby de Royer nie pamiętał. To dziwne - pomyślał Pontowski, obserwując, jak tylko prawa część ust Boucharda się porusza - że potrafi przy tym normalnie mówić...

Po raz pierwszy de Royer siedział, a nie stał przy oknie.

- Czekam, aż madame Martine wróci z ministerstwa obrony - odezwał się po angielsku. Nie akcentował w ogóle słów, mówiąc dziwnie brzmiącym, monotonnym głosem. - Żądają szczegółowych wyjaśnień na temat tej bomby.

- To nie była nasza bomba - odpowiedział Pontowski. - A-10 miały tylko działka.

Ku jego zdziwieniu, Francuz z miejsca przytaknął.

- To stawia nas przed nowym problemem. - Popatrzył swoim martwym wzrokiem. - Jak przypuszczam, misją dowodził pułkownik Leonard. Proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Niech to licho - myślał Matt. De Royer nawet na moment nie zwątpił w moje słowa; wie, jak pracujemy; szuka i trzyma się faktów... Opinia Pontowskiego na temat francuskiego generała zmieniała się. Zaczynał wreszcie rozumieć, dlaczego wybrano go na dowódcę sił pokojowych ONZ w Południowej Afryce.

Raport Leonarda był krótki i treściwy.

- Czy ma pan jakieś pytania, generale? - zakończył pułkownik.

De Royer zwrócił się do „Goryla”:

- Kapitanie Moreno, jak dokładnie przebiegł pański atak? -



Generał miał naprawdę dziwny sposób mówienia. Ponieważ nie akcentował, pytania nigdy nie wydawały się pytaniami... Słuchał, jak Moreno opowiada o ostrzelaniu baterii, która trafiła w herculesa. - Co spowodowało ten wybuch? - spytał w końcu de Royer.

- Panie generale - odparł „Goryl” - kiedy trafia się w jakikolwiek cel pociskami na przemian ze zubożonego uranu i wybuchowymi, zdarzają się dodatkowe eksplozje. - Generał zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. - Jeśli znajduje się tam cokolwiek, co może eksplodować, to eksploduje - wyjaśniał Moreno. - Nawet ludzkie ciała.

- Nigdy nie widziałem działka avenger w akcji - przyznał Francuz. W jego oczach pojawił się krótki błysk. - Być może to wyjaśnia sprawę. - W tym momencie spotkanie przerwał Bouchard, informując, że pod drzwiami czeka Elena. - Proszę wprowadzić panią Martine - rozkazał de Royer, tym razem nie przestając mówić po angielsku.

Elena weszła i usiadła na krześle, które Bouchard przysunął do biurka generała.

- W ministerstwie jest istny dom wariatów - powiedziała Elena. - Nikt nim nie rządzi, nikt nie jest w stanie podjąć żadnej decyzji; za to wszyscy szukają kogoś, na kogo mogliby zwalić winę. Niestety, bardziej przejęli się tą bombą, którą zrzuciliście, niż tym, kto właściwie atakuje „Błękitny Pociąg”. - Opowiedziała, co myślą rządowi dygnitarze na temat ONZ. Kilku ministrów żądało aresztowania pilota, który zrzucił bombę, i nikt nie chciał obudzić prezydenta i przekazać mu złej wiadomości. - Dlatego właśnie na początku zgodziłam się na zasady postępowania, których domagał

się Péndulo - zakończyła Elena.

- Nie mieliśmy ze sobą bomb - wyjaśnił Leonard.

- Przecież widziałam, jak ładujecie bomby do samolotów - zaprotestowała.

- Te samoloty nie wystartowały - odparł Matt. - Stoją na płycie lotniska, w tym samym miejscu, w którym je pani widziała.

- To skąd wzięła się bomba? - Nikt nie odpowiedział.

- Sytuacja jest skomplikowana ze względu na atak kapitana Moreno - oznajmił natomiast de Royer.

- Oczywiście, nie muszę panu przypominać, że dostaliśmy prawo do samoobrony - wtrącił Pontowski, chcąc jednak przypomnieć ten fakt Francuzowi. De Royer nie odpowiedział nic; patrzył tylko na Elenę. O co mu chodzi? - zastanawiał się Matt.

- Na szczęście - odezwała się pani Martine - my także ponieśliśmy ofiarę, w samolocie pani Kowalski...

- Przepraszam bardzo - przerwała Lydia, kipiąc ze złości - ale od kiedy to ofiary są „na szczęście”?! Mój samolot został trafiony dwoma pociskami z artylerii przeciwlotniczej. Jeden z nich uderzył w kabinę. Przebił na wylot mojego mechanika, sierżant Patricię Owens, zaczynając od lewej pachy, a wylatując przez głowę! Na końcu wybił dziurę nad moim nawigatorem, ledwie go mijając. Ja i mój drugi pilot zostałyśmy obryzgane mózgiem sierżant Owens; trzymałyśmy za stery, a pułkownik Leonard wycierał mi twarz i głowę, bo nic nie widziałam; cudza krew spływała mi z włosów. Nawigator i dowódca ładowni wynieśli ciało sierżant Owens w kawałkach!...

Przerwała, czekając, aż jej słowa wywrą odpowiednie wrażenie.

Panowało głucho milczenie. Lydia wzięła się pod boki i nachyliła nad niższą od siebie Eleną. - W tej chwili dowódca ładowni upija się do nieprzytomności - krzyczała jej prosto w twarz - żeby przeżyć jakoś to wszystko... - Wyprostowała się, spojrzała na de Royera i wyprężyła na baczność. - Czy ma pan jeszcze do nas jakieś pytania albo uwagi, generale? - Słowo „generale” wymówiła tak mocno, że niemal krzyknęła.

- Nie - odparł de Royer. - Zwalniam państwa. Panie generale, proszę jeszcze na chwilę zostać.

Matt był prawie pewien, że usłyszał w głosie Francuza oznaki życia. Poczekali, aż inni wyjdą.

- Proszę wytłumaczyć pani pułkownik, że madame Martine nie pomyliła się. Ofiara zdarzyła się „na szczęście” w tym sensie, że usprawiedliwia późniejszą akcję kapitana Moreno. Ofiara jest dowodem na to, że atak na herculesa był rzeczywiście groźny; bez tego znaleźlibyśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Jeśli chodzi o to, co będzie dalej - porozmawiam z prezydentem RPA. Nie sądzę, żeby Afrykanie zdecydowali się na własną akcję, więc zapewne dostaniemy zezwolenie na interwencję. Niech pan przygotuje do świtu kolejne dwa A-10 i herculesa; przyszykujcie się do następnej misji.

Pontowski odwrócił się do wyjścia. De Royer dokończył jeszcze:

- Nie trzeba wyciągać konsekwencji dyscyplinarnych wobec podpułkownik Kowalski za jej wybuch.

- Dziękuję, generale - odparł Matt, nie odwracając się. Wyszedł, zastanawiając się, dlaczego przeszło mu to przez usta. Przecież wcale nie miał zamiaru dziękować.

**Poniedziałek, 9 marca**

**„Błękitny Pociąg”, niedaleko Colesberga**

Sam Darnell szła przez korytarze wagonów, mijając luksusowe przedziały. W wagonach było jeszcze ciemno, chociaż blask świtu pozwalał już widzieć i poruszać się bez obaw. Sfilmowała młodego, czarnego kelnera, ubranego w błękitno-szary kostium. Mężczyzna zmiatał kawałki szkła w miejscu, gdzie kule przeszły ścianę i okno wagonu.

- W porządku, Marcusie?

- Tak, proszę pani - odpowiedział Murzyn. - Kucharze przygotowali śniadania w wagonie restauracyjnym. - Samantha pokręciła głową. Nawet w najcięższych warunkach obsługa pociągu potrafiła zachowywać się zgodnie ze swoją reputacją. Samantha ruszyła dalej, do wagonu prezydenckiego, szukając Elizabeth. Okna były tu zaciągnięte nieprzejrzystymi zasłonami, ale paliło się światło.

Liz Gordon siedziała w głównym salonie z ministrem Péndulo. Skinęła na przyjaciółkę, żeby podeszła.

- To całkiem niezłe przedstawienie - szepnęła jej do ucha.

Samantha usiadła więc i oparła na kolanach kamerę. Wycelowała obiektyw w Péndulo i nacisnęła przycisk nagrywania.

Minister rzucał się na siedzeniu, szarpiąc głową.

- Chcą mnie zabić! - krzyczał. - Wezwijcie natychmiast pomoc! - Odwrócić się do jednego ze swoich pomocników. - Dlaczego telefon nie działa?! - Brak odpowiedzi. - Idź i dowiedz się. Nie wracaj, zanim nie będzie działał. Nie, wróć zaraz! - Mężczyzna wybiegł z wagonu, szczęśliwy, że nie musi stać koło histeryzującego Péndulo.

- Dlaczego nie ma tu mojej ochrony?! - wrzasnął minister.

Znowu odpowiedziała mu cisza.

- Gdzie oni są? - spytała cicho Samantha.

- W tym wagonie, który odczepili - wyjaśniła Liz. - Kazał maszyniście cofnąć, ale strzelają, kiedy tylko się poruszamy. - Sam przytaknęła. - Patrz na to. - Elizabeth wstała i zwróciła na siebie uwagę Péndulo. - Panie ministrze - zapytała - czy umarł jeszcze ktoś z pasażerów? Ilu jest rannych? - Péndulo zamachał tylko na nią, broniąc się jakby przed pytaniem. Usiadła i upewniła się: - Nagrało się dobrze?

- Nie jestem pewna. - W tym momencie minister spojrział na kamerę i zmrużył oczy. - Zdaje się, że będę miała kłopoty - szepnęła Sam. Péndulo zwrócił się do drugiego asystenta:

- Każ maszyniście, żeby natychmiast cofnął pociąg. Potrzebna mi ochrona.

Rozkaz został przekazany do lokomotywy. Po paru minutach silniki zaczęły pracować i pociąg ruszył powolutku w tył. Natychmiastowa seria z broni maszynowej wytłukła gdzieś w pobliżu szyby. Samantha rzuciła się na podłogę, po czym podpełzła z kamerą do okna, wystawiając obiektyw na zewnątrz. Wcisnęła przycisk i przejechała kamerą z lewa na prawo, w nadziei, że nagra się coś, co da się rozpoznać. Pociąg zatrzymał się i ogień ucichł.

Panna Darnell opuściła kamerę, cofnęła taśmę i obejrzała ją przez wizjer. Nagrało się całe „przedstawienie” Péndulo, łącznie z tym, jak „odpędza” od siebie pytanie Elizabeth. Ten facet to prawdziwy aktor - pomyślała, obserwując jego mimikę i ruchy. Niestety, na zewnątrz

pociągu nie uchwyciła nic nadzwyczajnego. Podniosła wzrok i zobaczyła, że minister mówi już coś do kolejnego asystenta, patrząc prosto na nią.

Wybiegła z wagonu i popędziła do przedziału, który zajmowały z Elizabeth. Zdążyła dobiec do łącznika wagonu, kiedy ręka asystenta Péndulo szarpnęła ją, zatrzymała, a potem sięgnęła po kamerę. Sam instynktownie zwinęła się wokół kamery, chroniąc ją własnym ciałem. Kiedy straci kamerę, będzie po niej.

- Czego chcesz?! - krzyknęła.

Mężczyzna uderzył ją pięścią w twarz, ale Sam objęła kamerę jeszcze mocniej. W końcu wyszarpnęła kasetę i rzuciła ją na podłogę.

- Masz, weź! - zawołała, podsuwając mu ją kopniakiem.

Na twarzy asystenta ministra pojawił się złośliwy uśmieszek. Podniósł kasetę, schował ją za pasek, a potem zamachnął się, żeby uderzyć Samanthę w głowę. W przejściu znalazł się jednak Marcus - kelner, którego Sam niedawno filmowała. Wpadł pomiędzy nich, przyjmując ramieniem uderzenie. Człowiek Péndulo warknął na niego ze złością, ale Marcus odważnie patrzył na niego, nie mniej groźnym wzrokiem. W końcu asystent wycofał się i odszedł w stronę wagonu prezydenckiego. Marcus na wszelki wypadek nie spuszczał z niego wzroku, aż zniknął.

- Dziękuję - odezwała się Samantha. - Dziękuję, że się włączyłeś...

- Marcus spojrzał na nią, nie rozumiejąc do końca. - To znaczy - tłumaczyła panna Darnell - za to, że podjąłeś ryzyko broniąc białego człowieka przed... - Urwała, widząc wyraz jego twarzy.

- Panno Darnell - odezwał się spokojnie Marcus - jest pani pasażerką „Błękitnego Pociągu”, i znajduje się pani pod moją

opieką. Pozwoli pani, że zaprowadzę panią do przedziału i przyniosę lodu, żeby zrobiła sobie pani okład.

- O Boże! - zawołała Elizabeth, zobaczywszy Samanthę na łóżku, trzymającą na twarzy woreczek z lodem. Na dworze było już wprawdzie zupełnie jasno, ale zasłony pozostawały nadal zaciągnięte.

- Péndulo to zwykły bandzior - odezwała się Sam. - Postanowił zabrać mi kasetę.

- I dostał ją? - spytała Liz. Samantha pokiwała głową. - I tak pewnie nie mogłybyśmy jej wykorzystać - powiedziała niespokojnie Liz. - Tory przed nami są przerwane. Nigdzie nie pojedziemy...

- Wydostaniemy się stąd - odparła Sam, podchodząc do okna. Odsunęła zasłonę. - Zobacz, widzisz - krążą dwa A-10. - Widok myśliwców uspokoił ją znacznie. - Liz, tu dzieje się coś dziwnego - powiedziała. - Przecież ci, co do nas strzelają, mogli zaatakować nas w nocy. Dlaczego tego do tej pory nie zrobili?

## **Poniedziałek, 9 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Lori Williams, oficer sztabowy Pontowskiego, podała mu kubek parującej kawy, kiedy tylko przekroczył progi COIC. Odświeżył się trzema godzinami snu i prysznicem.

- Czeka na pana kapitan van der Roos; w biurze pułkownika Leonarda.

Jak zwykle za biurkiem dyżurnego oficera siedział „Waldo” Walderman. Przedstawił listę stanu załóg. Wszystkim, którzy lecieli poprzedniego dnia, przysługiwał odpoczynek.

Nie można było ich niepokoić do południa. Najbardziej doświadczonym pilotem A-10 dostępnym tego dnia był „Skid” Malone. Jego partnerem był właśnie „Waldo”.

- Nie dajcie sobie strzelić w tyłek - powiedział Pontowski. - Wczoraj było dostatecznie ciężko.

- Nie ma obawy, generale - odparł „Waldo”.

Matt poszedł do biura Leonarda. Van der Roos, przyszedł ubrany w połowy mundur, pił kawę.

- Co tam, Piet? - rzucił generał.

- Chciałbym wziąć udział w akcji, generale.

- Tak jak Bouchard?

- Właśnie.

- Nie bardzo wiem, w jakim charakterze...

- Latam na śmigłowcach.

- Wiem, Piet - odparł Pontowski. - Ale są dwa problemy. Po pierwsze, co zrobisz, jeżeli wydam ci rozkaz zaatakowania członków własnego narodu? Nie po prostu obywateli RPA, tylko konkretnie Afrykanerów?

- Nie wiem, co wtedy zrobię - przyznał Piet. - Ale mój ojciec powtarza, że powinniśmy walczyć z tymi, którzy niszczą nasz kraj, bo przecież nie mamy dokąd pojechać... Pan po tym wszystkim pojedzie do domu. Wielu Anglików mogłoby wyjechać do Wielkiej Brytanii albo Kanady. Ale dla Afrykanera - to jest dom. Musimy o niego walczyć.

- Drugi problem - ciągnął Pontowski. - Twój rząd. Musieliby na to zezwolić.

- Rozmawiałem z dowództwem lotnictwa. Generałowie przekonali



prezydenta, żeby wypożyczył na potrzeby ONZ cztery pumy i ośmiu pilotów.

- Poczekaj. Muszę się w takim razie zastanowić - odpowiedział Matt. - Poszli z powrotem do Waldermana. Zadzwoił akurat telefon i „Waldo” odebrał.

- Panie generale! - prawie krzyknął. - Dostaliśmy pozwolenie na interwencję! Generał de Royer czeka na linii specjalnej na stanowisku dowodzenia.

Pontowski rzucił się do drzwi, po drodze podejmując decyzję co do van der Roosa.

- Piet - powiedział - nie pomalujcie tylko tych śmigłowców na biało...

W sali dowodzenia telefonista podał Mattowi słuchawkę. De Royer przeszedł od razu do sedna.

- Rozmawiałem z prezydentem - powiedział. - Zażądał naszej interwencji i uratowania pasażerów. Pułkownik Bouchard przybędzie wkrótce do bazy, żeby zaplanować z panem operację. Może pan użyć wszystkich sił, jakie uzna pan za potrzebne.

- Dlaczego tak nagle zmienili nastawienie? - zapytał zdziwiony Matt.

- Wytłumaczyłem im całą sytuację - odparł de Royer i odłożył słuchawkę.

- Szybki jesteś - mruknął z podziwem Pontowski do milczącego telefonu. I wtedy zdał sobie sprawę, że de Royer powiedział, że mają interweniować, ale nie powiedział jak.

Pontowski siedział w furgonetce Leonarda razem z van der Roosem. Na pas kołowały już dwa herculesy, oznaczone na potrzeby

porozumiewania się przez radio „Tragarz Jeden” i „Tragarz Dwa”, pełne spadochroniarzy Boucharda. Matt nasłuchiwał rozmów prowadzonych pomiędzy ich kabinami i „Ziemniakiem”. Maszyny wystartowały i skierowały się na północny wschód. Za półtorej godziny będą na miejscu - pomyślał.

Dziesięć minut później wyjechały z hangaru cztery „Świnie”. Dowodził „Skid” Malone. W jego kluczu leciał „Waldo” Walderman. Zostali oznaczeni „Łomiarz Jeden” i „Łomiarz Dwa”. „Byku” - Menke, i „Koza” - Gross, tworzyli drugi klucz, jako „Łomiarz Trzy” i „Łomiarz Cztery”. „Waldo” pokazał generałowi przez szybę kabiny wzniesione w górę kciuki. W tym czasie mechanicy i specjaliści od uzbrojenia skontrolowali jeszcze szybko samoloty. Sprawdzili, czy zwisające ze skrzydeł „szpilki”, mające chronić przed pociskami, dobrze się trzymają; przyjrzeni się oponom, poszyciu kadłubów; poszukali wzrokiem ewentualnych przecieków.

- Niecałe cztery godziny - odezwał się van der Roos. - To bardzo szybko. Zaplanowanie misji, załadowanie spadochroniarzy, start...

- Umieją się kręcić - odparł Matt. Teraz, tak samo jak de Royer, musiał czekać. Taki jest los wszystkich dowódców wyższego szczebla.

## **Poniedziałek, 9 marca**

### **Okolice Colesberga, Republika Południowej Afryki**

Rozkazy „Skida” Malone’a brzmiały pewnie i jasno. Cztery A-10 zbliżały się do miejsca, w którym według ostatnich meldunków znajdował się pociąg.

- „Łomiarze”, przechodzimy do lotu taktycznego. „Waldo”, zrób

odstęp. - Walderman odsunął się o sześćset metrów w prawo i zniżył o trzysta. Dzięki takiemu ustawieniu nie musiał patrzeć w słońce - które też było z prawej - żeby widzieć „Skida”. „Skid” również nie patrzył w słońce, bo kolega był niżej od niego. Druga para myśliwców odleciała nieco dalej w prawo, żeby ustawić się w taki sam sposób. Byli gotowi.

- Widzę herculesy - oznajmił „Skid”.

W ogonie „Tragarza Jeden”, z którego kierowano całą akcją, dowódca zrzutu stanął pomiędzy drzwiami dla spadochroniarzy.

- Przygotować się! - zawołał donośnie po francusku. - Powstać! - Bouchard także stał i patrzył przez ramię. Jego ludzie byli gotowi. Stali, po dwudziestu po stronie każdej burty. - Przypiąć się! - Czterdzieści dłoni uniosło się i zaczepiło linki do liny przechodzącej nad ich głowami. - Sprawdzić wyposażenie! - Każdy zaczął szarpać za różne zwisające z siebie przedmioty, upewniając się, czy wszystko jest prawidłowo zamocowane. Kiedy Bouchard skontrolował własne wyposażenie, skrócił linkę, owijając jej nadmiar wokół dłoni.

- Uwaga, jedna minuta - odezwał się w interkomie głos amerykańskiego nawigatora.

- Do drzwi! - zawołał dowódca zrzutu. Zapaliło się czerwone światło. Bouchard ruszył do przodu. Będzie pierwszym, który wyskoczy po jego stronie samolotu. Poprowadzi swoich legionistów do boju. Czuł się znakomicie. Prawa strona twarzy pułkownika uśmiechała się.

Światło zmieniło się na zielone. Bouchard wyskoczył, podczas gdy dowódca zrzutu zaczął poganiać żołnierzy:

- *Allons! Allons! Allons!*

„Skid” pochylił samolot w lewo, żeby przyjrzeć się lecącym niżej herculesom. Od transportowców odrywały się „grzybki” spadochronów. Każdy kiwał się raz i od razu opadał na ziemię. Pilot nacisnął guzik radia i dał znać Waldermanowi:

- „Błękitna Szarża” wylądowała.

- Nikt do nich nie strzela - odpowiedział „Waldo”. Legioniści skakali z wysokości zaledwie stu pięćdziesięciu metrów, żeby zminimalizować czas lotu, kiedy nie sposób schować się przed kulami przeciwnika. Gdyby coś się nie powiodło, skoczek zabiłby się o ziemię, zanim rozwinąłby mu się spadochron zapasowy.

„Skid” obserwował z wyężeniem pobliskie wzgórza. Zauważył kilka nieznacznych, bardzo szybkich błysków.

- „Tragarz Jeden” - w nogi! Ogień z ziemi! - Ponieważ znajdował się w nieodpowiedniej pozycji, zaczął elokwentnie przeklinać, manewrując, aby ustawić się do ataku.

Jake Madison, dowódca „Tragarza Jeden”, usłyszał ostrzeżenie „Skida” i dał stery w lewo, robiąc tak gwałtowny zakręt, jak tylko się dało, żeby nie urwały się przy tym skrzydła. Następnie natychmiast szarpnął z powrotem w prawo, a potem pociągnął za drążek, nabierając jak najprędzej wysokości. Wreszcie znów zaczął skręcać w lewo, ale tylko dla zmylenia napastników - zaraz zmienił kierunek skrętu i tym razem zniżył się. Zygzakował tak przez pół minuty, aż był pewien, że znalazł się poza zasięgiem przeciwnika.

- „Tragarz Dwa”, podaj pozycję - odezwał się przez radio Madison.

- Jestem dokładnie za tobą - padła odpowiedź.

- Sprawdzić uszkodzenia - rozkazał Madison. Członkowie jego załogi zaczęli dokładnie oglądać samolot. Dowódca ładowni przyjrzał się spodniej stronie skrzydeł, a potem otworzył wrota ładunkowe i sprawdził spód ogona. Mechanik skontrolował układy paliwowe i przewody elektryczne. Piloci sprawdzili stery. Żaden z samolotów nie został drażniony.

- „Tragarz Dwa”, możesz wracać do bazy - odezwał się Madison, odsyłając drugiego C-130 do Ysterplaat.

„Tragarz Jeden” natomiast wspiął się na siedemset dwadzieścia metrów i zaczął krążyć po linii przypominającej tor wyścigowy. Trzymał się przy tym dwadzieścia pięć kilometrów na południe od „Błękitnego Pociągu”. W radiu odezwał się głos mówiący po angielsku z silnym francuskim akcentem:

- „Tragarzu Jeden”, „Błękitna Szarża” wylądowała; jesteśmy koło pociągu.

- Potwierdzam, „Błękitna Szarża” - odparł Madison. Kazał nawigatorowi przekazać „Ziemniakowi” w Ysterplaat stan bieżący. Następnie oddał stery drugiemu pilotowi, a sam złapał za notatnik. Mieli tak krążyć przez najbliższe pięć godzin, pełniąc rolę stanowiska dowodzenia i przekaźnikowej stacji radiowej.

- „Tragarzu” - odezwał się „Skid” - „Łomiarz Jeden” widzi na ziemi ruch.

- Potwierdzam zezwolenie na atak - odparł Madison. Omal nie przykazał „Skidowi” trzymać się z dala od pociągu; jednak „Skid” słyszał, jak generał Pontowski wyjaśniał zasady postępowania, więc nie było to potrzebne.

- „Waldo” - osłaniaj mnie - polecił „Skid”. Zniżył się i skierował w stronę wzgórza, gdzie widział rozbłyski. Wezwał dowódcę drugiego klucza: - „Byku”, widzisz mnie? - Menke potwierdził. - Atakujcie za nami.

Teraz „Skid” Malone spojrział w stronę pociągu i dał pełen gaz, znalazłszy się na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów. Skierował się na prawo od torów. Zaczął zygzakować, czekając na reakcję przeciwnika, ale nie było żadnej.

- No strzelaj, skurwysynu! - krzyknął. Specjalnie chciał skierować ku sobie ogień tego, kto atakował herculesy i spadochroniarzy.

Zobaczył wreszcie po prawej obracające się ku niemu lufy działka przeciwlotniczego. Było to niemiecki, dwudziestomilimetrowy „Bliźniak”, firmy Rheinmetall z Dusseldorfu. Tym razem został załadowany pociskami wybuchowo-zapalającymi, a nie przebijającymi, tak jak zeszłej nocy. Jego obsługa dostała lekcję, kiedy samolot „Goryla” zniszczył drugie działko, zabijając ich sześciu towarzyszy.

Celowniczy wstukał do komputera działka prędkość i odległość od A-10, po czym nacelował z grubsza joystickiem w myśliwiec, a potem przerzucił się na celownik optyczny. Umieścił krzyżujące się kreski na dziobie maszyny, po czym wcisnął dźwigienkę joysticka, włączając system prowadzenia ognia P56, produkcji włoskiej. Resztą zajął się komputer, wypuszczając serię pocisków, kiedy nadszedł odpowiedni moment.

Bliźniacze lufy działka wystrzeliwały po tysiąc pocisków na minutę. Odezwała się długa seria. Celowniczy trzymał joystick wciśnięty, opróżniając dwa pudła zawierające po 550 sztuk

amunicji. Nadchodził czas zemsty.

A-10 Malone'a doznał gwałtownego wstrząsu; „Skid” poczuł, że drzątek przestaje niemal reagować na jego ruchy.

- Dostałem! - krzyknął przez radio. Potem dodał spokojniej: - Kończę w kierunku wschodnim. Wznoszę się. Kłopoty ze sterami; pożar silnika numer dwa; tracę ciśnienie w hydraulice. - Pięć dwudziestomilimetrowych pocisków przeszło prawe skrzydło, a jeden trafił wprawy silnik. Jednak inżynierowie firmy Fairchild zaprojektowali A-10 w taki sposób, że był w stanie utrzymać się w powietrzu z takimi uszkodzeniami. To dobrze pomyślany samolot.

Dłonie „Skida” pracowały błyskawicznie; powtarzał ćwiczone wielokrotnie ruchy. Najpierw zamknął prawą przepustnicę, potem włączył gaśnicę prawego silnika. Lewa ręka sięgnęła do lewej tablicy rozdzielczej, przełączając sterowanie na ręczne. Dzięki temu mógł jakoś zapanować nad maszyną.

Po chwili dołączył do niego „Waldo”, oglądając z zewnątrz uszkodzenia.

Druga para „Świń” wykonywała tymczasem szerokie koło w pobliżu pociągu, czekając aż „Skid” znajdzie się poza zasięgiem ewentualnych strzałów. „Byku” wcisnął guzik radia i odezwał się do dowódcy w herculesie:

- „Tragarz Jeden”, „Łomiarz Trzy” i „Cztery” mogą atakować baterię, która trafiła „Skida”.

- „Łomiarze Trzy” i „Cztery” - odpowiedział Madison - wstrzymajcie się, na wypadek potrzeby ochrony „Lotniarza Jeden”. Była to rozsądna decyzja. „Byku” skręcił na północ.

„Waldo” podleciał bardzo blisko do Malone'a i obejrzał jego

samolot od spodu.

- Kiepsko to wygląda - stwierdził. - Prawe skrzydło masz poszarpane jak sito; wylewa ci się płyn z hydrauliki; prawy silnik dalej się pali.

„Skid” oddychał z trudem.

- Kieruję się na południe - odparł. - Z tej „Świni” już nic nie będzie. - Samolot wysyłał mu nieomylnie sygnały, że umiera. Skierował się wprawdzie na południe, ale nieubłaganie tracił wysokość. Kiedy zszedł poniżej sześciuset metrów, Malone oznajmił:  
- Wyskakuję.

Osłona kabiny odleciała w tył; wyrzucany fotel typu Aces II wystrzelił w górę. Podczas gdy otwierał się spadochron „Skida”, oddzielając go od fotela, „Świnia” zaczęła powoli nurkować, aż roztrzaskała się w końcu o ziemię. W mniej niż trzy sekundy po pociągnięciu za dźwignię wyrzucającą fotel, pilot szybował już powoli i bezpiecznie pod płócienną czaszą.

„Waldo” krążył teraz wokół spadochronu, zaznaczając położenie kolegi na komputerze nawigacyjnym.

- Wylądował - oznajmił przez radio, kiedy Malone znalazł się na ziemi. Przy drugim okrążeniu Walderman zobaczył cztery niewielkie ciężarówki, załadowane do pełna ludźmi. Pędziły przez otwarty teren wprost ku zestrzelonemu pilotowi.

- „Skid” ma towarzystwo; jadą w jego stronę - przekazał „Tragarzowi” „Waldo”.

- Uważaj; to mogą być przyjaciele - ostrzegł go Madison.

- Sprawdzę ich. - To powiedziawszy, przeleciał nad pierwszą z ciężarówek na niewielkiej wysokości. Czarni mężczyźni znajdujący



się na platformie zamachali ku niemu. - Wydają się przyjaźni - oznajmił. Tymczasem w słuchawkach odezwał się głos „Skida”:

- Mówi „Skid” do ochrony. Jak mnie słyszysz? - Malone uwolnił się już od spadochronu i nadawał przez awaryjne radio typu PRC-103 Survival Radio.

- Słyszę cię dobrze - odparł Madison. - W twoją stronę jadą cztery ciężarówki. Są na wschód od ciebie, w odległości około trzech kilometrów. To mogą być przyjaciele.

- Pewnie - odparł „Skid”. - Może to listonosz z czekiem i obstawą. Lepiej się schowam.

Podczas gdy „Skid” szukał sobie kryjówki, Madison rozpracowywał problem zorganizowania dla niego misji ratunkowej, no i tego, jak sprawdzić, co dzieje się z „Błękitnym Pociągiem”.

- Widzę mnóstwo dymu koło pociągu - ostrzegł go „Byku”.

W radiu odezwał się teraz głos Boucharda:

- „Tragarz Jeden”, tu „Błękitna Szarża”. Pociąg jest atakowany; są ofiary po naszej stronie.

Madison spocił się nagle. Sytuacja wymykała się spod kontroli, a wszystko było na jego głowie.

- „Byku”, rozmawiaj bezpośrednio z „Błękitną Szarżą”. Daj im takie wsparcie, jak możesz. Panujecie nad obszarem wokół pociągu - powiedział.

- Robi się gorąco! - zawołał „Byku” sam do siebie. Przekazał Bouchardowi i swojemu partnerowi, „Kozie” - Grossowi, żeby przełączyli się razem z nim na inną częstotliwość.

Z kolei „Waldo” i Madison usłyszeli cichutki głos „Skida”:

- Te ciężarówki to nieprzyjaciel. Strzelają dookoła do wszystkiego,

co widzą. - Rzeczywiście, w tle słychać było grzechot ręcznych karabinów maszynowych.

- Wchodzę - oznajmił „Waldo”. - Podaj swoją pozycję.

- Jestem na stoku wzgórza na zachód od ciężarówek - powiedział Skid. - Mniej więcej jedną trzecią wysokości od wierzchołka.

- To blisko! - rzucił Walderman, po czym wybrał na pulpicie rodzajów broni przycisk oznaczony „WD-1”. Na jego projektorze HUD, wyświetlanym na szybie, pojawił się celownik. Z powodu zbyt małych odległości nie mógł użyć bomb zwykłych ani też samorozpraszających się, używanych przeciw piechocie. Będzie strzelał z trzydziestomilimetrowego działka. Zniżył się nad płytką dolinkę, gdzie zatrzymały się ciężarówki, i wypuścił długą serię. Trzy samochody eksplodowały. Zawrócił, szykując się do ponownego ataku. Do takich właśnie akcji zaprojektowano myśliwsko-szturmowego A-10. Pilot nakierował maszynę w odpowiednią stronę i strzelił krótką serią do ostatniej z ciężarówek. Znikła w płomieniach i dymie.

„Waldo” skreślił ostro w prawo i zaczął obserwować teren, nie spuszczać oka z uciekających od płonących wraków ludzi. Zniżył się jeszcze raz. Z dzioba samolotu posypały się pociski. Kiedy się wznosił, na ziemi poruszał się już tylko „Skid”. Krępy, pogodny i przyjacielski „Waldo” był strzeleckim mistrzem.

- „Waldo” - odezwał się Madison, zapominając nazwać kolegę „Łomiarz Dwa” - gdzie jest „Skid”?

- Przebiega właśnie przez wierzchołek wzgórza - oznajmił Walderman. - Ale sukinsyn ma nogi! - Widział, jak jego zestrzelony kolega pędzi już po przeciwległym zboczu, znajdując się w

dostatecznej odległości od swoich pokiereszowanych prześladowców.

- Cała ta zabawa zaczyna się zmieniać w gówno... - przyznał zaniepokojony Madison.

Waldo kliknął dwukrotnie przyciskiem nadajnika, co oznaczało zgodę.

Cisza została przerwana nagłym wybuchem. Potem Samantha usłyszała krzyk jakiejś kobiety z korytarza. Wyrzała ostrożnie na zewnątrz i zobaczyła biegnącego korytarzem wagonu francuskiego legionistę. Krzyczał - po angielsku - żeby opuścić pociąg.

Elizabeth Gordon stała jak słup soli. Nie była w stanie się ruszyć.

- Chodź! - ponagliła ją przyjaciółka, łapiąc kamerę i torbę z akcesoriami do niej. Wtedy kolejna eksplozja wybiła okno przedziału; tylko gruba, zaciągnięta zasłona ochroniła dziennikarki przed odpryskami szkła. Liz nadal stała nieporuszenie. Sam zdążyła jeszcze wrzucić do torby dwie butelki Perriera i wypchnęła koleżankę z przedziału. Na podłodze korytarza siedział Marcus; trzymał się za twarz, poranioną przez szkło.

- Pomóżcie mu! - zawołała Samantha. Teraz Elizabeth wróciła do przedziału i po chwili wybiegła trzymając już mokry ręcznik i apteczkę. Razem pomogły Marcusowi podnieść się na nogi, podczas gdy korytarz napełnił się dymem. Pociąg się palił. Nadbiegł z powrotem legionista i wyprowadził ich z wagonu.

- Tam! - krzyknął, pokazując na wąwóz znajdujący się jakieś dwieście metrów od pociągu. Francuscy żołnierze pomagali innym pasażerom dobiec do wąwozu, a jednocześnie inni utworzyli

ochronny kordon.

- Pan jest Amerykaninem! - zawołała Sam do legionisty.

- Tak. Biegnijcie! - odpowiedział. Kolejny wybuch powalił ich na ziemię. Wstali i popędzili przed siebie, ile tylko sił.

- „Błękitna Szarża”, podaj status akcji - odezwał się „Byku”. Nikt mu nie odpowiadał.

- „Koza”, spadochroniarze mają problemy - stwierdził. - Rzućmy na to okiem. Wchodzę. - Dał pełen gaz i zniżył lot, żeby przelecieć z dużą prędkością nad pociągiem. Zygzakował ostro, pewien, że żaden strzelec z ziemi nie będzie w stanie go trafić, posługując się wzrokiem. Wypuścił też flary i pociski pełne metalowej folii, żeby zmylić ewentualną rakietę na podczerwień albo radar. Nikt go jednak nie atakował.

- „Łomiarz Cztery” za tobą - zawołał „Koza”. - Jesteś czysty. - „Koza” przeciął tor jego lotu pod kątem prostym, podczas gdy „Byku” wzniósł się i wymanewrował tak, żeby osłaniać z kolei Grossa. Był to klasyczny przykład wzajemnego krycia. Przelatując nad pociągiem piloci prowokowali baterię przeciwlotniczą, która zestrzeliła „Skida”.

- Przestali atakować pociąg - oznajmił „Koza”. - Nie widzę żadnych eksplozji z moździerzy.

- Chyba widzę tę baterię - powiedział „Byku”. - Musimy zarządzić sukces. - Był przekonany, że ich przeciwnikiem jest bliźniacze, dwudziestomilimetrowe działko przeciwlotnicze. Umieeli likwidować takie działka. - Zmyła i kiła! - Pod tą interesującą nazwą kryła się taktyka, którą mieli zastosować. - Ja będę zmyła.

- Dziękuję ci uprzejmie - odparł „Koza”. On miał być kiłą...

„Byku” zaczął krążyć małym promieniem, w odległości pięciu kilometrów od miejsca, w którym, jak się zdawało, stała bateria. Pozostawał więc poza zasięgiem jej pocisków. Chciał przyciągnąć w ten sposób uwagę celowniczego, podczas gdy „Koza”, lecąc tuż nad ziemią, manewrował tak, żeby wykorzystując nierówności terenu, zaskoczyć przeciwników. Wykonując pierwszy okrąg, „Byku” zbliżył się do baterii o jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów, drażniąc jej obsługę. Czekał na sygnał od kolegi.

- „Koza” gotowy - odezwał się Gross.

- „Byku” wchodzi - odparł dowódca klucza. Zwrócił się prosto ku celowi i zaczął zygzakować. Kiedy znalazł się o trzy kilometry od niego, skręcił gwałtownie i rozpoczął ucieczkę. Za nim posypała się seria. „Zmyła” udała się - bateria zdradziła swoją dokładną pozycję, strzelając w niewłaściwą stronę. - „Byku” kończy.

- „Koza” wchodzi. Widzę baterię. Dostanie kiłę. - Gross znalazł się za moment w odpowiednim punkcie, z którego wyrzucone i opadające na spadochronach bomby powinny trafić w cel. Tak przynajmniej pokazywał projektor HUD. Bateria strzelała cały czas w stronę „Byka”, który znalazł się już poza jej zasięgiem. Dwie dwustudwudziestopięciokilogramowe bomby Mark-82 AIR odłączyły się od samolotu „Kozy”. Spadły o dwa i pół metra od celu.

- Zniszczyłem jedną baterię przeciwlotniczą - oznajmił po chwili Gross.

- „Byku” melduje bingo. - Oznaczało to, że ilość paliwa w jego zbiornikach osiągnęła minimalny poziom, który wystarczał na bezpieczny powrót do bazy.

- „Koza” melduje bingo plus sto. - Grossowi zostało o sto kilogramów paliwa więcej niż koledze.

- „Waldo” melduje bingo minus pół. - Walderman także musiał natychmiast wracać do Ysterplaat.

- „Tragarz” potwierdza wszystko - odezwał się Madison. - Dziękuję za pomoc.

Trzy A-10 zlały się w jeden klucz i skierowały na południe, podczas gdy samotny hercules krążył nadal w pewnej odległości od „Błękitnego Pociągu”. Zameldowali się natomiast piloci dwóch następnych myśliwców, którzy znajdowali się o pięć minut lotu od rejonu wydarzeń. Mieli paliwa na kolejne czterdzieści pięć minut akcji.

## **Poniedziałek, 9 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

„Waldo” przedstawiał sobą żaloszny widok. Stał koło cysterny z paliwem i zdawał raport sierżantowi wywiadu. Twarz pilota była czerwona jak burak; spocił się cały. Kombinezon kleił mu się do pulchnego ciała; głos Waldermana był piskliwy, świadczył o ogromnym wyczerpaniu psychicznym. Za nim uwijała się obsługa naziemna, kończąc uzupełniać paliwo. Następni w kolejce byli specjaliści od amunicji. Ich zadaniem było zamocowanie sześciu bomb Mark-82 AIR, sześciu bomb samorozpraszających się CBU-58 i nowego bębna z pociskami do trzydziestomilimetrowego działka.

Pontowski zrobił kwaśną minę i zwrócił się do Menkego i Grossa, którzy także czekali na uzbrojenie swoich samolotów:

- „Waldo” nie wygląda ciekawie. Jak się spisał?

- Facet był absolutnie nieziemski - przyznał „Byku”. - Myślałem, że to tchórzliwy frajer i palant - tak się zachowuje; zawsze zgłasza się na ochotnika do jakiejś idiotycznej roboty, jakby miał za nią dostać medal. Na ziemi wydaje się śmieszny, ale w powietrzu... to po prostu nie do opisania, jak on walczy. Lepszym być nie można.

- No proszę! - odparł Matt. - Stałe utrzymywanie dwóch „Świń” na miejscu akcji będzie wymagało od nas maksymalnego wysiłku. Chciałbym, żebyście polecieci znowu, w najbliższej zmianie. Znajdę dla „Waldo” kogoś do pary. - Dwaj piloci ruszyli z powrotem do samolotów, a Pontowski powiózł Waldermana do COIC.

Zameldował się Leonard, wróciwszy parę chwil przedtem z odpoczynku. Siedział już na stanowisku dowodzenia i usiłował rozwiązać toczącą się siedemset pięćdziesiąt kilometrów na północ sytuację, która z każdą chwilą wydawała się coraz gorsza.

- Nie mogę nad tym zapanować - przyznał Matt przyjacielowi. Nie były to nadzwyczajne problemy - jak świat światem dowódcy mieli kłopoty z prowadzeniem bitew toczących się w dużej odległości, przy braku bezpośrednich, szczegółowych informacji o przebiegu walki.

- Musimy zrobić parę rzeczy - ciągnął generał. - Po pierwsze, zorganizować misję SAR dla „Skida”. SAR to skrót od „search-and-rescue”, czyli poszukiwawczo-ratunkowa. Najlepiej, kiedy biorą w niej udział zarówno śmigłowce, jak i osłaniające je myśliwce, dowodzone z krążącego w pobliżu samolotu. - Po drugie, trzeba wysłać po dwie „Świnie” co czterdzieści pięć minut, żeby utrzymywać nad pociągiem CAP. - CAP to z kolei „combat air patrol”, czyli powietrzny patrol bojowy. - Wreszcie, musimy

nawiązać z powrotem łączność z Bouchardem.

Tymczasem drugi pilot „Tragarza Jeden” zgłosił raport sytuacyjny. Dwaj mężczyźni słuchali uważnie, podczas gdy trzeci - dyżurny stanowiska dowodzenia - skrzętnie notował. „Tragarz Jeden” zdołał nawiązać i utrzymać kontakt z „Błękitną Szarżą”. Bouchard przekazał, że ostrzał z moździerzy zniszczył pociąg i „wygonił” legionistów, pasażerów i obsługę do niewielkiego wąwozu. Myśliwce A-10 powstrzymały ogień nieprzyjaciela; obecnie na miejscu wydarzeń panowała cisza. Było jednak wiele ofiar.

Teraz w głośniku odezwał się dowodzący akcją Madison:

- Jakiś dupek na ziemi woła, że nazywa się minister Péndulo; co chwila łapie za radio i każe mi lądować i zabrać go stamtąd.

- Ignoruj Péndulo - polecił Pontowski. Spojrzał na przyjaciela. - No, to jeden problem mamy rozwiązany - stwierdził. Nacisnął znów przycisk mikrofonu. - Podaj status „Skida”.

- Straciliśmy ze „Skidem” kontakt - odparł Madison. - Ostatnio meldował, że ścigało go czterech ludzi, ale się ich pozbył. Prosił, żeby przylecieć po niego jutro o świcie.

- Chyba żartuje - mruknął Pontowski. - Przecież jeszcze przez sześć godzin będzie widno. Co on sobie myśli?

- Wiesz, że „Skid” jest jednym z ekspertów SAR - przypomniał Leonard. - Zdaje sobie sprawę, że na przygotowanie takiej akcji potrzeba czasu. Nie martw się, to *hasher*. Nie da im się dorwać.

- Panie generale - odezwał się dyżurny. - Dzwoni generał de Royer. Jest pan natychmiast wzywany do dowództwa sił ONZ.

- Powiedz, że już jadę - odparł Matt. - „Tango”, muszę uspokoić kolejną burzę. Zarządzaj startami „Świń”, żeby cały czas osłaniały



pociąg i zaplanuj na jutrzejszy świt SAR.

- Potrzebny nam śmigłowiec - zauważył Leonard.

- Pogadaj o tym z Pietem; gdzieś się tu kręcił - odpowiedział Pontowski. Złapał czapkę i pobiegł do samochodu. Zastanawiał się, co to właściwie jest *hasher*.

De Royer siedział w swoim podziemnym centrum dowodzenia razem z Eleną, czekając na Pontowskiego. Francuz chodził tam i z powrotem przed mapą sytuacyjną. Po raz pierwszy jego kamienny sposób bycia został zburzony. Zaczął mówić po francusku w takim tempie i z takim ożywieniem, że Matt z trudem łapał słowa. Odwrócił się w końcu do Amerykanina i wskazał na mapę.

- Nikt nie ratuje Legii! - krzyknął po angielsku.

Dziwne. Co mu się nagle stało? - zdziwił się Matt. Spojrzał na Elenę, oczekując jakiegoś wyjaśnienia, podczas gdy Francuz odwrócił się do mapy, z rękoma złożonymi za plecami. Pani Martine skinęła na Pontowskiego, a kiedy do niej podszedł, powiedziała cicho:

- Nigdy nie widziałam go w tak złym nastroju. - Potwierdziło to spostrzeżenie Matta.

- Muisz mi powiedzieć, dlaczego tak reaguje - ponaglił Pontowski.

- Generał uważa, że zostaliśmy wciągnięci w dobrze przemyślaną pułapkę - odparła Elena.

- Przez kogo?

- Przez Żelazną Gwardię.

## **Rozdział piętnasty**

**Poniedziałek, 9 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Powrót z Constantii zajął Pontowskiemu pełną godzinę. Na ulicach powstawały korki, na które amerykański generał dowodzący akcją, w której ważyły się losy wielu żołnierzy, a także członków południowoafrykańskiego rządu, nie mógł po prostu nic poradzić. Był wściekły widząc, ile czasu stracił na jazdę do Constantii i z powrotem.

W pobliżu bazy ruch był jeszcze większy. Mieszkańcy miasta podjeżdżali do lotniska, z którego startowały samoloty bojowe. Mieli przed sobą darmowe pokazy lotnicze. Nawet uliczni handlarze zdążyli już zainstalować przenośne stoiska na chodnikach i sprzedawali przekąski, koszulki i filmy do aparatów. Ostatnie trzydzieści metrów Matt przejechał dzięki temu, że dwaj żandarmi utworzyli dla niego przejazd, rozgarniając ludzi.

Kiedy znalazł się wewnątrz, poczuł, że powrócił do znanego sobie środowiska. Ryk silników i widok krzątającej się obsługi naziemnej uzbrajającej samoloty rozpędził jego złość. To właśnie było to, co uwielbiał: szybka akcja, ludzie wykonujący w znakomity sposób to, do czego tak długo się ćwiczyli.

„Tragarz Jeden” Jake’a Madisona jechał właśnie po płycie. Zatrzymał się koło dużego śmigłowca typu puma. Dwusilnikowa puma o trójłopatowym wirniku przypominała Mattowi starego HH-3, zwanego Jolly Green Giant - Wesoły Zielony Olbrzym. Była jednak dużo mniejsza - pumy mieszczą po szesnastu pasażerów.

Pontowski wślizgnął się do swojego COIC niezauważony. Wewnątrz budynku także panował ożywiony ruch. Generał sprawdził tablicę z rozkładem zadań i spojrzął na duży zegar, wiszący na ścianie. Misja SAR dla „Skida” miała rozpocząć się za dwanaście godzin. Niech „Tango” doprowadzi tę sprawę do końca - mówił sobie w duchu Matt. Nie wtrącaj się. To jego zadanie. Pozwól mu je wykonać.

Korytarzem nadszedł van der Roos.

- Przyleciała pierwsza puma - powiedział.

- Widziałem ją - odparł Pontowski.

Do budynku weszli Jake Madison i jego załoga. Twarz pilota była ściągnięta; znać było po nim zmęczenie.

- Jak wam poszło? - zapytał Matt.

- Prawdziwa kłapa - przyznał Madison. - Straciliśmy kontakt ze „Skidem”, a „Błękitna Szarża” jest dziesiątkowana przez mózdzierze, kiedy tylko próbuje się ruszyć. Udało nam się oczyścić teren wokół wąwozu, gdzie się kryją, ale...

- Dobrze się spisaliście - przerwał Pontowski. Wysłał Madisona do wywiadu, a sam poszukał Leonarda. Odnalazł go na stanowisku dowodzenia.

- To się zamienia w jedno wielkie gówno - poinformował go przyjaciel. Podał Mattowi mapę.

- Już mi to powiedzieli.

- Ale zbieramy się do kupy - dodał pułkownik. - Rano będzie najtrudniej, kiedy wyślemy misję SAR po „Skida”. Puma nie ma aż tak dużego zasięgu, więc urządziliśmy punkt uzupełniania paliwa w tym miejscu - pokazał na mapie małe miasteczko o nazwie Hanover,

sto trzydzieści kilometrów na południe od „Błękitnego Pociągu”.

- Denerwuje mnie ta bomba, do której nikt się nie chce przyznać - wyznał Matt. - Ktoś przecież musiał ją zrzucić. Ale kto? Jakiś renegat z lotnictwa RPA?

Leonard wstał i zaczął chodzić po sali.

- Nie powinniśmy też nigdy wykluczać afrykanerskiej milicji, Żelaznej Gwardii - powiedział. - Jedno nie ulega wątpliwości, szefie. Ktoś leży w krzakach i chce nas ugryźć w dupę.

**Wtorek, 10 marca**

**Pustynia Karru, Republika Południowej Afryki**

Pilot leżał nieruchomo na ziemi, podczas gdy ciemność po wschodniej stronie horyzontu ustępowała powoli wschodzącemu słońcu. Z dołu dochodził go cały czas stłumiony odgłos chrapania. Jak daleko niesie nocą dźwięki na pustyni Karru? Nie miał pojęcia. Owinął się w spadochron; nie było mu więc zimno. Wkrótce jednak zacznie się robić gorąco, wzmoże się także wiatr. Czy zdoła umknąć prześladowcom także i dziś? Tego również nie wiedział. Usłyszał teraz w dole jakiś szelest - mężczyźni budzili się. Sprawdził swoją dziewięćmilimetrową beretę.

Powoli szczegóły terenu nabierały konturów, a horyzont zmienił barwę na jasnopomarańczową. David uwielbiał wschód słońca. Świt to najprzyjemniejsza pora dnia. Zwłaszcza kiedy zapowiada się *hashing*. Zobaczył w dole ruch. Dzisiaj nie będzie *hashingu* - pomyślał.

Kapitan David „Skid” Malone miał w życiu trzy prawdziwe namiętności - swoją żonę, latanie na A-10 i *hashing* - niekoniecznie

w tej akurat kolejności. Pierwsze dwie były dla ludzi na ogół zrozumiałe. Jednak dawno już zaprzestał prób tłumaczenia niewtajemniczonym, na czym polegają radości bycia *Hash House Harrierem*. „Hash” to organizacja, której członkowie wspólnie biegają, piją piwo i śpiewają nieprzystojne, pijackie piosenki - im bardziej wulgarne, tym lepiej. Kluby *hashingu* z różnych krajów tworzą wprawdzie coś w rodzaju wspólnej organizacji, która stawia sobie nawet oficjalne, szczytne cele, jednak jest ona bardzo, bardzo luźna. Wtajemniczeni określają *hasherów* jako „klub pijacki z problemem biegackim”. Jedną dziedziną działalności klubu jest jednak niewątpliwie pozytywna - *hasherzy* urządzą sobie dziesięciokilometrowe wyścigi typu „zając i psy gończe”. W związku z tym „Skid” był w znakomitej kondycji, a ucieczka przed ścigającymi go ludźmi, w trudnym terenie, była dla niego czymś zwyczajnym.

Jak udało im się podejść tak blisko? - zastanawiał się teraz Malone. I skąd wziął się tu ten pies? Zaledwie pięćdziesiąt metrów od niego znajdowało się - policzył - sześciu mężczyzn i pies. Ostatnio, kiedy miał okazję dobrze ich przeliczyć, było tylko trzech, bez psa. Świat się zmienia - pomyślał. Pies napiął już smycz, ciągnąc trzymającego go człowieka w kierunku „Skida”. Czy wyczuł jego zapach? Malone zaczął się zastanawiać, jakie ma szanse na to, że mężczyźni przejdą koło niego, nie zauważą go i pójdą dalej; oraz na to, że uda mu się teraz niepostrzeżenie wymknąć z kryjówki. Obydwa warianty wydawały się raczej niemożliwe. Jeśli nic się nie zmieni, za chwilę będzie po nim.

Rozwinął się więc ze spadochronu. Ile miał czasu? Pociągnął długi

łyk z jednej butelki z wodą, opróżniając ją. Zjadł też powoli ostatni z pożywnych batonów, jakie zawsze nosił w kieszeni spodni. Sprawdził ostatnią pełną butelkę. Nic nie wyciekło, zakrętka trzyma się dobrze. Coraz jaśniejsze słońce pokazywało mu coraz wyraźniej, jak blisko znajdują się jego prześladowcy. Teraz był już pewien, że po prostu będzie musiał biec, ile tylko sił w nogach. Żałował, że nie ma ze sobą swoich butów do biegania; jednak na szczęście buty do latania także są stosunkowo lekkie. Zawiązał sznurowadła, zasunął suwak w kieszeni na piersi, gdzie znajdowało się radio, położył koło butelki z wodą zapasowy magazynek do beretty i zajął dogodną pozycję strzelecką. Powoli wycelował w stronę napastników.

Nie musiał czekać długo. Jeden z mężczyzn uderzył psa i spojrzał w górę, w kierunku „Skida”. Ten człowiek jest biały! - zdumiał się Malone. Mężczyźni zarechotali i też popatrzyli w jego stronę. „Skid” opanował panikę i skoncentrował się. Czy wiedzą, jak mnie złapać? Jest jeszcze jeden biały. To już razem dwóch... Skąd się wzięli?

Ścigający rozprzestrzenili się - po trzech szło po każdej stronie psa - i ruszyli prosto w stronę Davida. Malone odczekał, aż zaczęli wspinać się na strome zbocze wzgórza. Kiedy byli już niecałe piętnaście metrów od niego, nacisnął spust i opróżnił cały magazynek, kierując kule w psa i w dwóch białych mężczyzn znajdujących się najbliżej niego, po obu stronach.

Dwa A-10 nadleciały nad miejsce, w którym ostatnio znajdował się „Skid”. Zrobiły koło na wysokości sześciuset metrów. „Goryl” dwukrotnie naciskał guzik radia, próbując wywołać zestrzelonego kolegę na częstotliwości awaryjnej.

- Nie najlepiej to wygląda - odezwał się do „Suchego”, którego dzisiaj był dowódcą. Nacisnął przycisk po raz trzeci.

- Szkoda, że „Świnie” nie mają LARS-ów - odezwał się „Suchy”. „Goryl” zaklął siarczyście w odpowiedzi. Gdyby mieli LARS - *lightweight recovery system* - lekki system ratunkowy, mogliby nadać radiu PRC-103 Malone’a zakodowaną transmisję. PRC-103 odpowiedziałoby wtedy automatycznie dyskretnym sygnałem, zmieniając się w coś w rodzaju radiolatarni, dzięki której „Świnie” odnalazłyby jego pozycję. Dokładność systemu LARS wynosi około jednego metra. Jednak cięcia w budżecie obronnym spowodowały odłożenie instalacji systemu na inny czas.

Piloci zaczęli wykonywać klasyczny manewr poszukiwawczy, zwany rozszerzającym się kwadratem. Będą musieli odnaleźć „Skida” zwykłą, wzrokową metodą. Ponieważ każdy miał ze sobą po dwa dodatkowe zbiorniki paliwa, przynajmniej to nie stanowiło problemu - na razie. Obaj wiedzieli, jak trudno jest przeżyć zestrzelonemu nad wrogim terytorium żołnierzowi, dlatego byli zdecydowani odszukać przyjaciela. I tak już zbyt długo znajdował się na ziemi i szanse odnalezienia go żywego malały.

Powietrze było tego ranka przejrzyste, jednak tylko do wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Poniżej podmuchy wiatru wzbijały pył, który utrudniał poszukiwania. Dwaj piloci nie odrywali od niego wzroku, walcząc z narastającym poczuciem klęski, do którego nie chcieli się głośno przyznać.

- Kiepsko - odezwał się wreszcie „Goryl”. - Rozdzielmy się. Ty polecisz na południe, a ja na północ. - „Suchy” potwierdził odbiór klikając dwukrotnie przyciskiem radia.

- Czekaj! - powstrzymał go „Goryl”. - Widzę jakiś ruch, na ziemi, na trzeciej godzinie. Półtora kilometra ode mnie. - Moreno miał wyjątkowo dobry wzrok; zauważył właśnie, że coś się poruszyło pośród zasłaniających kłębow kurzu. Skręcił ostro w prawo i skierował się ku zapamiętanemu miejscu. „Suchy” poleciał za nim, trzymając się w odległości sześciuset metrów w bok.

- Gówniana widoczność - poinformował kolegę.

W chwilę potem jednocześnie krzyknęli:

- Widzę go!

Przed nimi pędził ile sił w nogach „Skid” Malone. Mniej niż sto metrów za nim znajdowało się czterech mężczyzn; biegli z trudem, jeden za drugim. „Goryl” zniżył się na wysokość sześćdziesięciu metrów i przeleciał nad nimi. Malone biegł dalej, podczas gdy czterej ścigający padli na ziemię i pochowali się w załomach terenu.

- Dałem mu chwilę oddechu - stwierdził Moreno.

- Wchodzę - oznajmił „Suchy”, przygotowując się do ataku. Malone oddalił się na dostateczną odległość od nieprzyjaciela, żeby dało się weń uderzyć. - Kończę, nie wystrzeliłem - powiedział po chwili Talbot. - Za słaba widoczność. Im bliżej ziemi, tym gorzej. - Bał się, że niechcący może zabić „Skida”.

- Jasne - rzucił „Goryl”. - Ja też straciłem go z oczu.

W słuchawkach odezwał się zdyszany głos Malone’a:

- Mówi „Skid” na częstotliwości ratunkowej! - A zatem żył, biegał i mówił! Wyłączył radio na noc, dla oszczędności baterii i do tej pory zapomniał go włączyć.

- Słyszę cię głośno i wyraźnie, stary - odpowiedział ciepłym tonem Moreno. - Leci za nami śmigłowiec. Powinien tu być za dwadzieścia



minut. Dasz radę wytrzymać tyle czasu?

- A dacie radę... powstrzymać ich... przez tyle czasu? - odpowiedział „Skid”, ciężko dysząc. - Biegnę tak... od ponad ... godziny. Przydałoby... mi się... małe *shiggy*. - *Shiggy* to w języku *hasherów* każdy, trudny do przebycia teren; na przykład bagno albo dżungla. Im trudniej się tam poruszać, tym lepiej. „Suchy” zrozumiał gwarę kolegi.

- Po twojej drugiej godzinie masz trochę skał i gęste krzaki - poinformował go. Ze czterysta metrów od ciebie. - Malone nie odpowiadał już, oszczędzając oddech. Pognał w kierunku swojego „shiggy”.

Jako dowódca klucza, „Goryl” odezwał się teraz do „Tragarza” - herculesa krążącego nad „Błękitnym Pociągiem”:

- „Tragarzu”, „Sandy” nawiązał kontakt radiowy. - Pod nazwą „Sandy” operowały zawsze A-10 biorące udział w misji ratunkowej SAR, jako osłona myśliwska. - „Skid” jest na otwartym terenie; biegnie. Potrzebny śmigłowiec; natychmiast.

Odpowiedziała dowodząca znów Lydia Kowalski:

- „Lisica” nabrała paliwa i zbliża się. - „Lisicą” nazwano śmigłowiec puma z van der Roosem na pokładzie.

- „Lisica” potwierdza wszystko - odezwał się głos van der Roosa. Pędził z maksymalną prędkością. Rurka Pitota mierzyła mu około dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- „Sandy” - zapytała Kowalski - dacie radę powstrzymać nieprzyjaciela do czasu przybycia „Lisicy”?

- Tak, pod warunkiem, że będziemy ich widzieć - obiecał „Goryl”. Teraz trzeba było przetrzymać minuty oczekiwania. Dwukrotnie

obaj próbowali niskich przelotów nad biegnącymi, w nadziei, że uda im się wystrzelić do ścigających „Skida”. Niezmiennie tracili ich jednak z oczu w kłębach kurzu i pyłu.

- Widoczność robi się coraz gorsza - zauważył Moreno.
- Widzę obie „Sandy” - odezwał się van der Roos.
- Straciliśmy z oczu „Skida” - poinformował go „Goryl”.

Teraz w radiu odezwał się głos Malone’a:

- Jestem w... parowie. - Był zmęczony; biegł jednak dalej.

Moreno pochylił maszynę na prawe skrzydło i wykonał ciasne koło na wysokości sześćdziesięciu metrów nad ziemią. Pod nim robiło się coraz więcej kurzu. Przy drugim okrążeniu zobaczył szeroki parów. Zaraz potem jego oczom ukazali się dwaj ścigający. Jeden z nich przystanął i wystrzelił w stronę A-10 krótką serię z karabinu, po czym ruszył dalej.

- Widzę dwóch napastników - poinformował „Goryl”. - Chyba się do niego zbliżają.

- A gdzie jest „Skid”? - pytał „Suchy”.

- Nie widzę. Mam nadzieję, że kawałek przed nimi.

- „Sandy” - odezwał się van der Roos, przejmując dowodzenie nad akcją - prowadź, a ja będę leciał za tobą. Zaleć ścigających od tyłu i zawołaj, kiedy będziesz dokładnie nad nimi. Nadlecę zaraz za tobą.

„Goryl” potwierdził i zabrał się do roboty. Wypuścił klapy i zwolnił, żeby nie lecieć szybciej od śmigłowca. Nagle zobaczył wszystkich czterech prześladowców „Skida”. Kiedy ich mijał zawołał:

- Jestem nad nimi! - Wtedy dostrzegł swojego kolegę. Rzucił jeszcze głośniejsze: - „Skid” jest ze czterdzieści parę metrów od nich!

- Potwierdzam - odparł spokojnie van der Roos, odrobinę

znudzonym głosem. Obniżył lot na wysokość piętnastu metrów i przeleciał nad czterema mężczyznami. Zawrócił i rozkazał stojącemu w otwartych drzwiach amerykańskiemu sierżantowi strzelać. Karabin maszynowy kalibru 7,62 mm ryknął długą serią, ogłuszając siedzących w tyle pumy żołnierzy.

- Nie widzę wszystkich - zameldował strzelec - ale nic się tam nie porusza.

- Wstrzymać ogień, wstrzymać ogień! - wołał van der Roos. - Widzę ratowanego. Przelatujemy nad nim... teraz! - Śmigłowiec przetoczył się nad głową Malone'a i osiadł na ziemi, mniej niż dwadzieścia metrów przed nim. Sierżant odsunął lufę karabinu i podał „Skidowi” rękę, wciągając go na pokład.

- Start! - wrzasnął do swojego mikrofonu. - Mamy go! - Zaraz potem dorzucił: - Strzelają do nas z ziemi!

- Odpowiedzmy im na tę przysługę - powiedział spokojnie Piet, wznosząc maszynę w powietrze. Teraz ryknęły karabiny z obydwu burt pumy, strzelając jak oszalałe. - Jak nasz pasażer?

- Poranił się o krzaki - odparł sierżant, który strzelał pierwszy. - Nieźle go pocięło. - Po chwili przerwy zakończył: - Dam mu hełmofon. Będzie pan mógł z nim porozmawiać, a ja go w tym czasie oczyszczę.

- Gdzie piwo?! - odezwał się na powitanie Malone. Paliło go pragnienie i czuł, że zasłużył sobie na jego ugaszenie.

- Przepraszam.- odpowiedział van der Roos - ale wszystkie stewardesy zastrajkowały, żądając bezpieczniejszych warunków pracy. Co tam się stało na ziemi? - „Skid” opowiedział o swojej ucieczce i długim biegu przez krzaki. - Jesteś pewien, że zabiłeś

dwóch białych ludzi? - zapytał van der Roos.

- Podziurawiłem ich jak sita - odparł Malone. - Nie miałem czasu przyglądać im się dłużej, bo goniło mnie jeszcze czterech facetów. Te skurczybyki potrafią biegać! - W jego głosie słychać było szacunek dla przeciwników.

- Czy jesteś w stanie odnaleźć tamto miejsce? - pytał Piet.

- W tym tumanie? Nie bardzo - odpowiedział „Skid”. Puma zaczęła skręcać w lewo.

- Spróbujmy - wyjaśnił van der Roos.

- Po co?

- Żeby zabrać ciała. Chcę wiedzieć, kto do nas strzelał.

**Wtorek, 10 marca**

**Okolice Colesberga, Republika Południowej Afryki**

- „Łomiarze”, mam do was interes - odezwała się Lydia Kowalski.

- Słuchamy, „Tragarzu” - odparł „Byku” Menke.

- Oczyszćcie otwarty obszar na wschód i z tyłu pociągu - rozkazała pani podpułkownik.

- Potwierdzam - odpowiedział Menke. A-10 rozdzieliły się, przygotowując się do ataku. Zadanie wydawało się proste. Jeden po drugim przelecieli nad wskazanym rejonem i zrzucili swoje CBU. CBU - *cluster bomb unit*, czyli bomba samorozpraszająca się, to broń używana przeciwko piechocie oraz do oczyszczania terenu z pojedynczych przeciwników. Bomba taka stanowi właściwie zbiornik z małymi „bombkami”. Po wyrzuceniu z samolotu, bomby otworzyły się i z każdej wyleciało po 650 „bombek” wielkości piłeczki baseballowej, rozpraszając się na dużym obszarze. Każda z

nich eksplodowała, rozpadając się na 260 kawałków, niczym bardzo skuteczny granat. Gwarantowało to, że na dole nikomu nie będzie się paliło do bieganina.

W radiu odezwał się głos Boucharda:

- „Błękitna Szarża” jest w kontakcie radiowym z *commando*. Czy macie krótkofalówki?

- Nie mamy krótkofalówek - odpowiedziała Lydia. - Będziecie musieli przekazywać nasze słowa.

- *Commando* żąda, żebyście przestali bombardować - oznajmił Bouchard.

- Co to jest *commando*, u licha?! - zdumiał się „Byku”.

- Oddział zmotoryzowany - wyjaśniła Kowalski.

Samancie dzwoniło jeszcze w uszach od wybuchu ostatniej z bomb, kiedy zobaczyła, że nadbiega Elizabeth. Liz przebiegała kawałek po kawałku, chowając się za głazami, leżącymi przy ścianie wąwozu. Kucnęła na ziemi koło przyjaciółki.

- Masz jeszcze wodę? - zapytała. Sam podała jej resztkę wody, jaką zabrały z pociągu. Liz wypila mały łyk i zostawiła odrobinę. - Daj ją Marcusowi - powiedziała. - Weź kamerę i chodźmy.

- A co się dzieje? - spytała Sam.

- Według Boucharda, mają nas zaraz uratować. Pułkownik jest wściekły.

- Dlaczego?

- Bo to Żelazna Gwardia nas uratuje - wyjaśniła Liz.

Zanim zdołały się ruszyć, z prawej odezwał się odgłos karabinów maszynowych.

- Teraz brzmi inaczej - zauważyła Sam. Zza ich pleców odezwały się z kolei znane już moździerze. Panna Darnell zaryzykowała wystawienie głowy ponad krawędź płytkiego wąwozu. Na wzgórzu za pociągiem widać było kłęby dymu - to spadały pociski z moździerzy. Wyjrzała jeszcze raz. Ku wzgórzu pędziły dwa pickupy z zamontowanymi na platformach cekaemami. Strzelcy oczyszczali kulami drogę przed sobą. Samantha odważnie podniosła się i nagrała wszystko na wideo.

Kiedy pierwszy z pickupów znalazł się u stóp wzgórza, sierżant Michael Shivuto rozkazał swoim ludziom przez radio, żeby przerwali ogień, porzucili broń i zniknęli. Następnie wycelował lornetkę w Beckmanna, który wysiadł z pierwszego z pickupów razem z grupą żołnierzy i kazał im oczyścić teren. Strzelali do krzaków i rzucali granaty, posuwając się ku szczytowi wzgórza, podczas gdy Shivuto ukrył się z boku. Wszystko przebiegało tak, jak zostało zaplanowane. Beckmann zbliżył się do miejsca, gdzie znajdował się Michael.

Kiedy generał był w odległości niecałych dziesięciu metrów, Shivuto wstał. Widział, że Afrykaner miło się uśmiecha.

- Koevoet dobrze się spisał! - zawołał Beckmann.

Sierżant skinął głową, dziękując generałowi za pochwałę. Rzeczywiście, wszystko udało się zgodnie z planem. Zatrzymali „Błękitny Pociąg”. Tymczasem Beckmann kiwnął na niego, więc Michael ruszył w dół stromego stoku. Nie przestając się uśmiechać, generał podniósł nagle karabin i wystrzelił, przeszywając pierś sierżanta Shivuto sześcioma kulami.

- Głupi czarnuch - mruknął. - Powinien był się poddać, tak jak mu

kazałem.

- Niemal nie stawiali oporu; porzucili broń i uciekli w krzaki - poinformował Beckmann Boucharda. Sama zrobiła zbliżenie na rozmawiających mężczyzn, a potem na samego Beckmanna. Za nimi wyczerpani pasażerowie wsiadali do ciężarówek, mających zawieźć ich do Bloemfontein.

- Chciałbym obejrzeć ciała i broń - oznajmił Bouchard.

Samantha poszła za dwoma dowódcami w odległe miejsce po drugiej stronie pociągu.

- Tak jak się spodziewałem - mówił Beckmann - to typowe - trochę kałasznikowów, skradzione moździerze... Czarnuchy to dobrzy terroryści, ale marni żołnierze. Znaleźliśmy tylko jedno ciało.

- To mówiąc, generał trącił martwego Shivuto czubkiem buta. - Miał przy sobie radio i mapę, więc to mógł być ich herszt.

A zresztą, kto ich wie?

Sama objęła kamerą zgromadzoną na jednym miejscu broń, a potem, sama nie wiedząc dlaczego, zrobiła zbliżenie na nieżywego człowieka. On chciał nas pozabijać - myślała. Opuściła kamerę i wróciła do ciężarówek i Liz. Będzie jeszcze okazja nagrania wywiadu z jeńcami.

**Środa, 11 marca**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Pontowski wkroczył do biura de Royera punktualnie o szóstej rano. Tuż za nim szedł van der Roos, niosąc notatnik. Obaj zdążyli wziąć prysznic, ogolić się i ubrać w czyste

mundury, tak jak nakazał francuski generał. Żaden z nich nie zmrużył oka; mimo widocznego zmęczenia; byli jednak gotowi do działania.

- Czas na spotkanie z lwem w jego jaskini - mruknął Pontowski.
- *Mais oui* - przyznał mu rację Piet.

De Royer siedział za biurkiem. Nie przerywając wysłuchał raportu Matta najpierw o ataku na „Błękitny Pociąg”, potem o udanej misji poszukiwawczo-ratunkowej „Skida”, wreszcie o tym, jak Żelazna Gwardia uratowała w końcu pasażerów pociągu i „Błękitną Szarżę”. Generał był znowu sobą - nie dawał po sobie poznać żadnych uczuć. Po poniedziałkowej złości nie pozostało śladu. Matt wyczuwał mimo wszystko coś innego. A może nauczyłem się w końcu rozumieć tego człowieka? - pomyślał.

Kiedy skończył, Francuz wstał i wyjrzał przez okno, skupiając wzrok na niebie. Koło wierzchołka góry Table widniała brodata chmura; sunęła na południe.

- Jest tyle pytań, na które nie znamy odpowiedzi - odezwał się de Royer. - Jestem przekonany, że za atakiem stoi Żelazna Gwardia. Jednak nie mamy na to żadnego dowodu, tylko trochę zdobytej broni; a ja nie mogę podejmować działań jedynie na podstawie podejrzeń. Poza tym ciągle pozostaje sprawa tej bomby, która zabiła sześć osób z „Błękitnego Pociągu”. Kto ją zrzucił? Ministerstwo obrony niezmiennie twierdzi, że żadna z ich maszyn nie znajdowała się w powietrzu.

- Żelazna Gwardia też ma parę samolotów - zauważył Pontowski.
- Niestety, nikt tego samolotu nie widział - mówił de Royer. - Wiemy przynajmniej tyle, że nie był nasz.



Teraz już słyszę „nasz”, a nie „pański” - pomyślał Matt. No cóż, jest to pewien postęp.

- Wreszcie - ciągnął francuski generał - kapitan Malone zabił dwóch białych mężczyzn - mamy ciała, przywiezione przez kapitana van der Roosa. Nie mieli żadnych mundurów, ale byli dobrze uzbrojeni. - Teraz de Royer usiadł i popatrzył na Pontowskiego swoim zwykłym wzrokiem. - Muszę też powiedzieć, że reportaż nadany przez pańską Elizabeth Gordon, która była w pociągu, był bardziej niż niefortunny.

Sytuacja wraca do normy - pomyślał Matt.

- Ona nie jest „moja”, panie generale - powiedział. - Nie widziałem tego reportażu.

- Jest bardziej agresywna niż inni reporterzy, przekazujący informacje o naszej misji. Jej historyjki wywołały w pańskim kraju poważną krytykę pod naszym adresem - mówił de Royer. - Opisała mój sposób dowodzenia jako „amatorski”, a Żelazną Gwardię jako ochotniczą, obywatelską milicję broniącą własnego kraju.

- Czy oskarżyła nas także o zrzucenie bomby? - zapytał Matt.

- Nie - wyjaśnił Francuz. - Co do tego nie pozostawiła wątpliwości. Sytuacja jest bardzo trudna; wasz rząd reaguje gwałtownie, a ja zostałem wezwany do centrali ONZ w Nowym Jorku. Do czasu mojego powrotu zawiesiłem wszelkie operacje. - Zamilkł i zamyślił się na chwilę. - Być może, jest to okazja, żeby zaprezentować opinii publicznej nasz punkt widzenia.

Podszedł do kartoteki i odnalazł raport opisujący szczegóły śmierci sierżant Patricii Owens. Zwrócił się do van der Roosa:

- Proszę załatwić transport do Waszyngtonu mnie, generałowi

Pontowskiemu i ciału sierżant Owens. Musimy wszyscy polecieć tym samym samolotem. Na przybycie ciała sierżant Owens ma czekać uroczysta warta honorowa, a także prasa. - Znowu podszedł do okna. Matt doszedł do wniosku, że spotkanie jest skończone i zebrał się do wyjścia.

- Generale Pontowski - niech pan powie swoim ludziom, że jestem bardzo zadowolony z ich postawy.

Wróciwszy do biura, Matt zadzwonił do Leonarda, do Ysterplaat. Zwięźle poinformował, że razem z de Royerem zabierają ciało Patricii Owens do Stanów; poprosił także pułkownika, żeby przekazano wszystkim żołnierzom pochwałę francuskiego generała.

- „Tango”, przez czas, kiedy mnie nie będzie, nie chcę, żebyś latał. Trzeba, żebyś został na ziemi i prowadził całe przedstawienie.

- Zachowujesz się teraz w stosunku do mnie jak de Royer - zaprotestował „Tango”. - Dowodzę skrzydłem myśliwskim, a nie biurkiem w dowództwie.

Matt przypomniał sobie własną gorycz, kiedy de Royer zdecydował, że nie będzie latał.

- No dobrze, masz rację. Tylko zrób Lydię Kowalski swoim zastępcą...

- Kowalski?! - Leonard znowu się sprzeciwił. - Daj spokój. Przecież ta kobieta została odrzucona...

- Ona zna się na rzeczy - przerwał Matt. - Chcesz latać czy nie? Jedno z was musi zawsze być na ziemi.

- Dobrze, szefie.

Pontowski odłożył słuchawkę i najbliższą godzinę spędził na uprzątnię swojego biurka. Wreszcie wstał i popatrzył przez okno.

Muszę trochę poćwiczyć - postanowił. Zaraz, co mnie tak gryzie? Dokuczało mu niesprecyzowane poczucie, że zapomniał o jakimś szczególe, o jakiejś jednej rzeczy. Nie mógł jednak sobie za nic przypomnieć, co to było. Nie wydawało się bardzo poważne.

A tam, szkoda nerwów - pomyślał i dał sobie spokój.

**Czwartek, 12 marca**

**Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Sam Darnell wspięła się na rusztowanie, które postawiono w Parku Królewskim specjalnie dla dziennikarzy telewizyjnych. Dyrektor miejscowego oddziału CBS kłócił się z człowiekiem koordynującym pracę reporterów.

- Danowi nie spodoba się takie traktowanie! - mówił. Tymczasem ekipa CNN sprzeczała się z ekipą BBC o najlepsze miejsce na platformie. Zamiast walczyć z przedstawicielami „wagi ciężkiej”, Sam wzięła kamerę, zeszła ze schodków i poszukała Elizabeth.

Ruszyła przez tłum wypełniający park. Zachodziło słońce. Dwukrotnie zatrzymywała się, żeby sfilmować całe rodziny porzebiebane w stroje *voortrekkerów*. Dzięki legitymacji prasowej mogła znaleźć się za drewnianą sceną, gdzie znalazła Elizabeth pijącą szampana razem z innymi ważnymi gośćmi, pod wielkim parasolem. Sam wcisnęła przycisk nagrywania i przejechała obiektywem po całej grupie, a potem skupiła się na Liz. Trzeba przyznać, że Elizabeth zdołała w bardzo krótkim czasie doprowadzić się do porządku, biorąc pod uwagę to, co przeżyły w „Błękitnym Pociągu” i koło niego. Jej długa spódnica i bluzka typu safari w

dobrze dobranym kolorze znakomicie pasowały na tę okazję. Jedwabny szal wiązał delikatnie włosy przerzucone przez ramię. Ani jedno pasemko nie wymykało się spod kontroli.

Z drugiej strony Samantha zdawała sobie sprawę, że sama wciąż ma sporego siniaka na policzku od ciosu „asystenta” ministra Péndulo. Jednak to nie ona stawała przed kamerą. Próbowwała zwrócić na siebie uwagę Elizabeth, jednak otaczało ją zbyt wielu dygnitarzy. Miło być honorowym gościem... - pomyślała wracając przez park i znowu filmując tłum.

Kiedy zrobiło się ciemno, w oddali pojawiły się światła pochodni. Zbliżały się powoli aleją. Koło Samantha przebiegły małe dziewczynki w kostiumach *voortrekkerek*, zaróżowione z przejęcia.

- Sam - odezwała się za jej plecami Elizabeth - daj mi mikrofon.

Samantha odwróciła się i uśmiechnęła. Liz ciągle jest reporterką, nie czuje się ważną osobistością, jaką zrobił z niej Beckmann nazywając „bohaterką z pociągu”. Przynajmniej, nie do końca się nie czuje...

Rozpalono olbrzymie ognisko. Jego płomienie rzucały długie, ruchliwe cienie. Tymczasem przejechał ciągnięty przez woły kryty wóz, na którym siedziała rodzina w kostiumach *voortrekkerów*. Wołu prowadził olbrzymi, młody mężczyzna z długą brodą. W zębach trzymał okazałą fajkę. Sam zarejestrowała scenę, dając zbliżenie na piękną, młodą kobietę, siedzącą na koźle. Pomarańczowe światło migotało na jej jasnych włosach; miała starannie ułożoną sukienkę. Koło niej siedział mały chłopiec - miniatuurka ojca - także ubrany w stosowny kostium. Podczas gdy cała procesja postępowała, Elizabeth Gordon komentowała ją:

- ...scenę z przeszłości. Obywatele Bloemfontein składają w ten sposób hołd Żelaznej Gwardii. - Maszerowali teraz piesi, trzymając w rękach pochodnie. Wreszcie pojawiły się brudne pickupy i ciężarówki, wiozące *commando*, które uratowało pasażerów „Błękitnego Pociągu” i Francuzów. - Podniecenie sięga szczytu - mówiła z przejęciem Gordon. - Tłum jest rozentuzjasmowany, radosny. - Jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ludzie rozstąpili się, tworząc szpaler wiodący do sceny. Nadchodził nim samotny mężczyzna, za którym w pewnej odległości kroczyła grupka żołnierzy Żelaznej Gwardii.

Mężczyzną tym był oczywiście Beckmann. Miał na sobie połowy mundur, który stał się już jego znakiem rozpoznawczym; beret nosił pod pagonem. Wszedł na scenę, pośród wiwatów tłumu. Zaczął mówić w *afrikaans*, niskim, mocnym głosem. Nawet dwie Amerykanki, nie rozumiejąc słów, odczuły bijącą od nich siłę.

- Co on mówi? - zapytała głośno Liz. Stojący koło niej mężczyzna zaczął tłumaczyć:

- ...Wyspę pokoju na oceanie chaosu. ...z naszymi czarnymi braćmi, którzy są z nami, możemy pomaszerować ku przyszłości... Czy boimy się przyszłości?... Sami jesteśmy w stanie utrzymać *laager* wolności; obronić go przed siłami przemocy... to nasza ziemia... nie zapominajcie o swoim dziedzictwie... swoim przymierzu z tą ziemią... i o waszej krwi!

Tłum zafalował, podejmując okrzyk:

- *Blut und Boden! Blut und Boden!* — Krew i ziemia!

Liz odwróciła się ku obiektywowi i mówiła:

- Hans Beckmann zelektryzował tłum swoją wizją przyszłości. Być może jesteście świadkami odradzania się państwa...

Sam opuściła kamerę, patrząc na Elizabeth Gordon. Reporterka mówiła z prawdziwą pasją, policzki jej płonęły... Samantha odwróciła się i ruszyła w milczeniu do hotelu, czując obrzydzenie do tego, co widziała. Istna Norymberga.

## **Piątek, 13 marca**

### **Kapitol, Waszyngton, D.K.**

Carroll siedział na zamkniętym przesłuchaniu komisji Kongresu, przy stole dla świadków. Mazie porozkładała przed nim stos rozmaitych dokumentów i raportów. Naprzeciw nich znajdował się szereg senatorów i członków Izby Reprezentantów. Była to Połączona Komisja Kongresu do spraw Wywiadu. Jak zwykle, za siedzącymi kręciła się liczna grupa asystentów, czekających na każde skinienie swoich szefów.

Kłótniwy przewodniczący komisji zapalił cygaro i posłał ponad kolegami obfite kłęby dymu. Uśmiechnął się, kiedy Ann Nevers uprzejmie dała znać lekkim kaszlem, że się dusi. Był pewien, że pani Nevers nie zdecyduje się skrytykować go głośno, nie chcąc narobić sobie na wstępie nieprzyjemności. Postukał młotkiem w stół, aby przywołać zebranych do porządku i zaczął:

- Panie Carroll, pozwoli pan, że podziękuję panu osobiście za stawienie się przed naszą komisją. Mam nadzieję, że nie zabierzemy panu zbyt wiele cennego czasu.

William powiedział do mikrofonu, starannie dobierając słowa:

- Dziękuję, panie senatorze. Pozwolą państwo, że przedstawię

mojego specjalnego asystenta, Mazie Hazelton. Odpowiem na wszystkie państwa pytania, jednak w niektórych przypadkach wolałbym, żeby pani Hazelton zajęła się szczegółami.

Przewodniczący rozejrzał się na boki, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zgłosi sprzeciwu. Ponieważ sprzeciwów nie było, dał znak Ann Nevers, żeby rozpoczęła przesłuchanie. Uprzejmości się skończyły.

- Pani Carroll - zaczęła - komisja otrzymała od Kongresu zadanie zbadania pańskiego udziału w zorganizowaniu misji sił pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych w Republice Południowej Afryki i wysłaniu tam amerykańskiego kontyngentu, co stanowi naruszenie ustawy - Aktu Poprawy Bezpieczeństwa Narodowego. Jak administracja usprawiedliwia dokonany przez siebie krok?

- Pani Nevers - odpowiedział Carroll - ustawa wojenna z 1965 roku *explicite* daje prezydentowi prawo użycia naszych wojsk na okres do dziewięćdziesięciu dni. Kongres, idąc za głosem mądrości, nigdy nie zniósł tego zapisu. Gdyby to zrobił, postawiłby państwo przed nieobliczalnym ryzykiem. Jednocześnie Kongres zachowuje swoją władzę nadzorczą...

- I dlatego właśnie tu dzisiaj siedzimy - przerwała pani Nevers. - Wyratowanie żołnierzy ONZ przez tak zwaną Żelazną Gwardię, a także ostatnie dane naszego wywiadu świadczą o raczej posępnym obrazie sytuacji...

- Są i zachęcające informacje - odparł Carroll, dając znak Mazie, która natychmiast zaczęła mówić, nie pozwalając pani Nevers na komentarz.

- Po pierwsze, mają ostatnio miejsce korzystne przegrupowania ludności. Po drugie, utworzone przez ONZ strefy bezpieczeństwa

funkcjonują sprawnie, powodując stabilizację sytuacji na sąsiadujących z nimi obszarach. Wreszcie...

Czas, jaki przysługiwał pani Nevers na zadawanie pytań, już niemal upłynął; przerwała więc:

- Staje się coraz bardziej jasne, że prezydent nie ma żadnego usprawiedliwienia na wysłanie naszych żołnierzy do RPA.

Carroll znowu skinął na Mazie, a ona wstała i rozdała członkom komisji ciekłą broszurkę zatytułowaną *Zenith Jeden*, ostemplowaną pieczęcią „ściśle tajne”. W sali zapanowała cisza, kiedy czytający zrozumieli wagę informacji.

- Czy to jest powód naszej obecności w RPA? - zapytała wreszcie pani Nevers, spoglądając na Billa znad okularów do czytania. - Wierzy pan w to?

- Osobiście mam wątpliwości - przyznał - jednak...

Mazie przejęła inicjatywę.

- Przez cały czas prowadzimy wyteżone śledztwo w tej sprawie; zanim nie będziemy pewni wyników, nie możemy jej zignorować, gdyż ewentualne skutki są zbyt poważne.

Ann Nevers usłyszała wzmagający się szum - członkowie komisji wydawali szeptem polecenia asystentom, którzy zaczęli wybiegać z sali, żeby zatelefonować do maklerów i dokonać zmian w portfelach inwestycyjnych swoich przełożonych. Pani Nevers patrzyła nieruchomo na Carrola. Przechytrzył ją. Nie miała wiele więcej do powiedzenia.

- Panie przewodniczący - odezwała się więc - proponuję, żebyśmy wezwali przed naszą komisję pułkownika Pontowskiego, który przedstawi nam bardziej szczegółowy obraz naszej obecności w



RPA. Do tego czasu, jak sędzę, możemy zawiesić działanie, żeby spokojnie przemyśleć przedstawioną nam rewelację.

Zanim Carroll zdążył przypomnieć, że Pontowski jest generałem, a nie pułkownikiem, przewodniczący komisji przyjął sugestię Ann Nevers, zawiesił posiedzenie i wybiegł z sali, żeby zadzwonić do bankiera, któremu powierzył swoje oszczędności. Jeśli Numer Jeden faktycznie istnieje, senator nie miał zamiaru posiadać jakichkolwiek akcji towarzystw naftowych. Umowy polityczne, jakie zawarł z koncernami, i tak szlag trafi.

Mazie zebrała tymczasem papiery i odezwała się do Billa, nie patrząc mu w oczy:

- Wie pan, ten raport może wprowadzać nas w błąd. Przecież tak naprawdę nie wiemy, czy Numer Jeden funkcjonuje, czy nie.

- Nigdy nie twierdziłem, że funkcjonuje - zaproponował Carroll.

- W takim razie, dlaczego tak się przejmujemy Południową Afryką?

- Bo to beczka prochu. Tam jest za dużo broni i za dużo nienawiści. Nie mam zamiaru lekceważyć tego, że być może ktoś zacznie rzucać bomby jądrowe. Nawet broń chemiczna jest obecnie częścią równowagi sił. Co będzie dalej? Biologiczna? Mazie, nie chodzi mi tylko o RPA, ale także o to, co dzieje się w dowolnym zakątku świata, bo wcześniej czy później w jakimś tam sensie dosięgnie to i nas. Nie jesteśmy samotną wyspą. Są chwile, w których musimy interweniować. Tej nauki, jakiej udzielił dwudziesty wiek, nie wolno nam zapomnieć.

Mazie oparła dłoń na ramieniu szefa i powiedziała:

- Oszust z pana, panie Carroll. Tak naprawdę, w głębi serca, jest

pan po prostu idealistą...

Bill potrząsnął tylko głową i mruknął:

- Jeśli źle to rozegram, Matt stanie się kozłem ofiarnym.
- Wystawia go pan na niebezpieczeństwo dla idei?
- I wielu innych dobrych ludzi... - dodał Carroll.

## **Rozdział szesnasty**

**Niedziela, 15 marca**

### **Baza Sił Powietrznych Andrews, stan Maryland**

Ciemnoszary C-141 Starlifter kołował powoli na miejsce postoju. Jego prędkość odpowiadała powadze misji, z jaką przybył. Pilot wyłączył silniki, kiedy z ogona olbrzymiego transportowca opuściła się rampa. Gwardia honorowa z wolna pomaszerowała na miejsce, formując prowadzący od samolotu podwójny szpaler. Odezwał się warkot werbli. Sześciu żołnierzy, w tym dwóch sierżantów armii francuskiej, mających nieść trumnę, wstąpiło pomiędzy szeregi wyprężonych na baczność wartowników i pomaszerowało do wnętrza samolotu.

- Prezentuj broń! - odezwało się głośno, gdy żołnierze wyszli z powrotem z transportowca, wynosząc przykrytą flagą trumnę. Teraz wszyscy zebrani stanęli na baczność, a ci z nich, którzy nosili mundury, podnieśli ręce do salutu.

Chorąży opuścili flagi. W pełnej zwykle hałasie bazy lotniczej zapanowała niecodzienna cisza. Kamery telewizyjne filmowały scenę, której tło stanowiło zachmurzone niebo.

Sierżant Patricia Owens wróciła do domu.

Jeden z reporterów odezwał się cicho do mikrofonu:

- Ta wysoka postać za trumną to generał Charles de Royer, dowódca sił pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych w Republice Południowej Afryki. Obok niego idzie generał brygady Matthew Pontowski, wnuk byłego prezydenta, Matthew Zachary'ego Pontowskiego. - Kamerzyści robili teraz najazdy na de Royera, zbliżającego się do oczekujących dygnitarzy. Francuz zignorował ich i zatrzymał się przed stojącą samotnie parą - rodzicami Patricii Owens. Stał na baczność i zsalutował na francuską modłę - otwartą dłonią, wewnętrzną jej stroną naprzód. Powiedział parę słów i wysłuchał odpowiedzi pogrążonych w żałobie rodziców, a potem ruszył dalej.

Wszystko przebiegało zgodnie z protokołem; trumnę załadowano na czekającą lawetę. Wreszcie ceremonia skończyła się - ważne osobistości odjechały, tłum także się rozszedł.

Jeden z dziennikarzy ustawił się jeszcze na dogodnej pozycji i zrobił na zakończenie ujęcie przedstawiające wielkiego C-141, ponad którym zwieszały się majestatyczne chmury. Powiedział do mikrofonu:

- Rosnące kontrowersje wokół roli, jaką pełnią wojska ONZ w Południowej Afryce, ustąpiły dzisiaj miejsca smutkowi i żałobie. Generał Charles de Royer przybył tu razem z ciałem sierżant Patricii Owens - pierwszej Amerykanki, jaka zginęła w RPA. Nie wiemy jeszcze, co francuski generał powiedział rodzicom sierżant Owens; jednak jak mi się zdaje, jego słowa przyniosły im nieco tak potrzebnej otuchy. Mimo to wszyscy, którzy tu dzisiaj byli, zadają sobie pytanie: ile jeszcze takich trumien zobaczymy?

Przed budynkiem terminalu pasażerskiego do Pontowskiego dołączył van der Roos:

- Nasz szef pokazuje swoje drugie oblicze. - Zaczął ładować bagaże do czekającego samochodu.

- Pan generał to artysta - zgodził się Matt. - ONZ pokocha go od pierwszego wejrzenia.

## **Poniedziałek, 16 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Szef obsługi naziemnej prowadzący kołującego A-10 skrzyżował nad głową nadgarstki, dając Leonardowi sygnał do zatrzymania się. Następnie „przeciął” sobie dłonią gardło, co oznaczało „wyłączyć silniki”. Dłonie pułkownika przesunęły się po przełącznikach. Szef obsługi oparł o burtę samolotu drabinkę. Leonard rzucił czekającemu sierżantowi hełm i dwie płócienne torby z mapami i lotniczymi instrukcjami.

- Jest pan potrzebny w COIC, dzieje się coś ważnego - oznajmił szef obsługi. - Zdaje się, że to naprawdę ważne.

- Nie mogę nawet na godzinę odejść, żeby jakiś palant czegoś nie schrzanił - mruknął pułkownik.

W budynku czekała na niego kapitan Kowalski.

- Dzwonią z dowództwa sił ONZ, na linii specjalnej - oznajmiła.

- Chciałbym się przynajmniej odlać - mruknął, ruszając do sali dowodzenia. Zdejmował z siebie sprzęt i podawał go jednemu z sierżantów. Skinął na Lydię, żeby poszła razem z nim.

- Co się, u licha, dzieje? - zapytał, rozzłoszczony. Kowalski wzruszyła w odpowiedzi ramionami. Podniósł więc słuchawkę

wojskowego telefonu STU-III.

Słuchał przez parę chwil, po czym rozłączył się i odezwał się do pani podpułkownik:

- W Douglas wybuchł bunt głodowy. - Piąta, ostatnia ze zorganizowanych stref bezpieczeństwa znajdowała się w Douglas - niewielkim miasteczku, położonym sto piętnaście kilometrów na zachód od Kimberley. - Dowództwo rozmawia z de Royerem w Nowym Jorku. Kazał nam zrzucić nad Douglas legionistów Boucharda i żywność, zanim konwoje ciężarówek będą mogły tam dojechać.

Przez drzwi wsadziła głowę Lori Williams.

- Panie pułkowniku, dzwoni kapitan van der Roos - oznajmiła. - Pyta o dzisiejszy rozkład lotów.

- Ile herculesów zdążymy wysłać? - spytał „Tango”.

Lydia skupiła się i zaczęła przeprowadzać w myśli obliczenia.

- Dwanaście, w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

Po chwili pułkownik przekazał już van der Roosowi tę liczbę wraz z godzinami startów. Wyłączywszy się, spytał jeszcze panią Kowalski:

- Kto będzie pilotował pierwszy samolot?

- Brenda Conklin.

- Cholera jasna... - powiedział, podejmując nagłą decyzję. - Polecimy obok niej, z „Waldo”. Będziemy mieli przy tym okazję wypracować taktykę dla osłony myśliwskiej. A ty pilnuj bazy.

**Poniedziałek, 16 marca**

**Okolice Douglas, Republika Południowej Afryki**

Pustynia Wielkiego Karru rozciągała się pod zniżającym się herculesem. Maszyna przekroczyła właśnie wysokość trzech tysięcy metrów.

- Douglas prosto na kursie, czterdzieści kilometrów - powiedział nawigator.

Brenda Conklin, dowódca samolotu, wcisnęła przycisk interkomu i oznajmiła załodze:

- Lądujemy za dziesięć minut. Chcę, żeby na ziemi wszystko przebiegło jak najsprawniej... przierzucamy dzisiaj sporo ładunków.

Ludzie, którzy nie znali pięknej Brendy, nazywali ją często „czarującą”, choć bardziej adekwatnym określeniem byłoby „zawodowiec”. W trudnych sytuacjach przypominała w gruncie rzeczy tyrana...

W słuchawkach odezwał się głos Leonarda; pułkownik mówił szybko, zdecydowanie, z niepokojem, który zaszokował Brendę:

- „Tragarzu”, dwa myśliwce na twojej ósmej godzinie! Daj czterdzieści stopni w lewo, żeby je zobaczyć!

Conklin wyłączyła automatycznego pilota i skierowała maszynę na nowy kurs.

- Widzę ich! - zawołała drugi pilot. - Co to za jedni?!

- „Tragarz”, atakują cię! Break! - krzyczał Leonard. Brenda skręciła jeszcze o czterdzieści pięć stopni i skierowała się prosto na „bandytów”. Gdy wchodziła w nurkowanie, mignął jej przed nosem niewielki odrzutowiec.

Tymczasem Leonard skierował się prosto na wroga i rzucił Waldermanowi:

- „Waldo”, wyrzuć balast! - Obaj piloci jednocześnie wcisnęli na

desce rozdzielczej sterującej uzbrojeniem klawisz oznaczony „BALAST ZA BURTE”, a następnie przełączyli drugi, z podpisem „AIM-9”, mimo że nie mieli tego dnia ze sobą sidewinderów ani innych bomb.

Czynności te zajęły im niecałą sekundę; od „Świń” oderwały się zewnętrzne zbiorniki z paliwem, zwiększające ich masę i opór powietrza, a przez to pogarszające szybkość manewrowania. W tym samym czasie na przednich szybach zaświeciły się projektory HUD, nastawione na walkę powietrzną. Piloci byli gotowi atakować „bandytów” i zrobić to, o czym marzy każdy pilot myśliwca - zestrzelić samoloty wroga. Nie mając rakiet, musieli to zrobić przy pomocy działek.

- „Waldo” - odezwał się znowu Leonard - zawracaj w lewo. „Bandyce” na twojej szóstej.

- Zawracam w lewo - odparł Walderman, opuszczając nos A-10 i robiąc gwałtowny skręt.

- Widzę! - zawołał, zauważywszy o półtora kilometra przed sobą nieprzyjacielski samolot. Pułkownik zawrócił tymczasem, wznosząc się nieco i zakręcając w prawo. Znalazł się przez to nieco za Waldermanem i ponad nim, kryjąc go. Zobaczył „bandytę”, którego usiłował dopaść „Waldo”; drugi z nierozpoznanych samolotów zniknął mu z oczu.

- Doganiam go! - krzyknął Walderman, zorientowawszy się, że leci szybciej od przeciwnika.

- Nie popuszczaj! - odpowiedział Leonard, zezwalając „Waldo” na pościg; jednocześnie przechylał swój samolot na boki, rozglądając się za drugim myśliwcem. - Jestem na twojej szóstej, ale nie widzę

drugiego „bandyty” - oznajmił. Brak odpowiedzi. Pułkownik skręcił o dwadzieścia stopni w prawo, żeby lepiej zobaczyć, co dzieje się za nim. Następnie dał czterdzieści stopni w lewo; wreszcie zrobił półboczki, aby lecąc „do góry nogami” zorientować się, czy nieprzyjaciół nie znajduje się pod nim. Nie mógł go jednak znaleźć. - Ciągłe nie widzę drugiego „bandyty” - zakomunikował.

- Dziesięć sekund! - zawołał tymczasem „Waldo”. Znajdował się już prawie w odległości, z której można było celnie strzelać z trzydziestomilimetrowego działka avenger, w jakie wyposażone są A-10.

- Jesteś czysty - odparł Leonard, uspokajając Waldermana, że nikt nie czai się na jego „szóstej”, czyli za plecami.

Nagle pułkownik źle się poczuł. Zorientował się, że zostali właśnie odciągnięci od herculesa, który pozostał sam. Opuścił więc nos i zawrócił jak najprędzej ku transportowcowi.

- „Waldo” - krzyknął - kończ w prawo!!! Atakują „Tragarza”!!!

Walderman, nie tracąc czasu na odpowiedź, zawrócił natychmiast maszynę, porzucając ściganego przeciwnika. Tak samo jak jego dowódca, zrozumiał, że dali się wyprowadzić w pole, padając ofiarami gorączki walki powietrznej. Trzeba było natychmiast odnaleźć herculesa, póki jeszcze leciał!

- Uwaga wszyscy! - krzyknęła Brenda przez interkom. - Mamy tu dwóch „bandytów”! - Rzuciła też dowódcy ładowni: - Perk, zapnij pas. Będzie gorąco.

- Jestem zapięta - odparła Tanya Perko. - Ładunek zabezpieczony.

- „Tragarzu”, podaj pozycję - odezwał się głos Leonarda.

- Zbliżam się do dużego zakrętu rzeki na północ od ciebie -



odpowiedziała Conklin. - Kierunek zero - dwa - zero.

- Zygzakuj i zejdź na dół! - wołał pułkownik. - Podejrzewam wielu „bandytów” poszukujących cię.

- Schodzę z sześciuset na sto pięćdziesiąt! - odparła Brenda, co chwilę zmieniając gwałtownie kurs.

- „Bandyty”! - krzyknęła drugi pilot. - Pięciu, sześciu... O Boże!!! Atakuje nas ośmiu „bandytów”!!!

Brenda położyła maszynę na prawe skrzydło, uniosła nos, po czym zanurkowała, dociągając dźwignie przepustnic do końca. Przed oknem mignął myśliwiec, uciekając w górę.

- Trzymajcie się! - zawołała kapitan. W samolocie przeciążenie doszło do dwóch G.

- Za dużo ważymy! - zawołała mechanik. - Nie damy rady manewrować z taką masą!

- Otwórz wrota ładunkowe i opuść rampę! - rozkazała Conklin drugiemu pilotowi. - „Perk”, sięgniesz do dźwigni wyrzucania balastu? Trzeba pozbyć się ładunku.

- Zaraz sięgnę... Gotowa! - odparła Tanya.

Brenda wypoziomowała lot i zawołała:

- Teraz!!! - Perko przełączyła dźwignię, zwalniając bloki, które przytrzymały pięć palet z ładunkiem. Tymczasem pilot podniosła nos transportowca o parę stopni. Ładunek przesunął się o metr czy dwa i nagle zatrzymał się. Pierwsza z palet wypadła z prowadzących szyn i stanęła bokiem, blokując pozostałe.

- Ostatnia paleta się zakleszczyła! - zawołała Tanya przez interkom, biegnąc na tył maszyny.

Dowódca ładowni dopadła palety i kopnęła w nią z całej siły.

Paleta przekręciła się odrobinę i zaczęła powolutku sunąć po szynach. Zachęcona tym Perko kopnęła ponownie. Tym razem stopa zaplątała jej się w liny, mocujące ładunek do palety. Zanim zdołała się uwolnić, przesuwany już szybciej ładunek pociągnął ją za sobą.

Jeden z „bandytów” znalazł się za herculesem i otworzył ogień z pokładowego karabinu maszynowego.

- Widzę „Tragarza”! - zawołał Leonard. Zobaczył też wypadającą z transportowca paletę z ładunkiem oraz szykującego się do strzału „bandytę”. Machinalnie pułkownik zwolnił spust działka, uruchamiając w ten sposób umieszczoną przy nim kamerę wideo. Wiele więcej jednak nie mógł zrobić małemu odrzutowcowi, uczeponemu niemal ogona wielkiego C-130. Z niedowierzaniem patrzył, jak niezdarny napastnik zderza się z ostatnią z palet i spada na ziemię.

- Jeden trafiony! - oznajmił przez radio. - O, nie!... - Zobaczył, że razem z paletami spada, malutkie z tej odległości, ludzkie ciało. Poczul w ustach smak wymiotów. - „Jedynka” dołącza do „Tragarza”!!! - zawołał ze złością. Opanowała go żądza zemsty.

- „Waldo”, leć wysoko; ja jestem nisko! - Ustalił sposób postępowania na najbliższe minuty. Będzie wkraczał do walki z dołu, a Walderman z góry. Nie będą przekraczać pułapu, na którym będzie leciał hercules, jeśli nie będą się wzajemnie widzieć.

Pułkownik zanurkował i znalazł się na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów nad ziemią. O sto kilkadziesiąt metrów przed i ponad nim widniał potężny kadłub C-130.

- „Tragarzu”, czy możesz zejść jeszcze niżej? - zapytał. Latanie tuż nad ziemią to coś, w czym piloci myśliwsko-szturmowych A-10 się specjalizują; ziemia mogła być więc sprzymierzeńcem pułkownika.

- No złaźcie, skurwiele!... - mruknął. - Kim jesteście, u licha? - Jeśli zidentyfikuje typ samolotu, będzie mógł się zorientować w jego uzbrojeniu i spróbować przewidzieć taktykę pilotów.

Tymczasem z nieba spadł płonący wrak. Na pytanie „Tango” odpowiedział Walderman:

- Trafiony jeden czeski Aero! Mają tylko karabiny; żadnych oznaczeń.

Leonard skręcił ostro, zobaczywszy przed sobą kolejnego „bandytę”. Był na celowniku, tak zwanym „lejku”, wyświetlonym na projektorze HUD. „Lejek” wyznaczał obszar nieba, w który mogły trafić pociski. Pociągnął za spust i działko avenger wypuściło w krótkiej serii aż pięćdziesiąt cztery pociski, z których jedne były wykonane ze zubożonego uranu, drugie zaś wypełnione materiałami wybuchowymi. Tylko jeden wybuchowy dosięgnął celu, to wystarczyło. Małe Aero przełamało się na pół.

Pułkownik ledwie zdał sobie sprawę z tego, że po lewej coś głośno grzechocze. Odwrócił głowę i zobaczył celującego w niego kolejnego „bandytę”. Grzechotały kule uderzające w tytanowy pancierz kabiny „Tango”. Skierował „Świnię” prosto na Aero. Mignęła mu w górze końcówka skrzydła herculesa - Conklin manewrowała, żeby pozbyć się jeszcze jednego napastnika. Tuż koło pułkownika, omal nie uderzając go w skrzydło, spadł wijący się w korkociągu kolejny płonący wrak. „Waldo” miał dobry dzień...

A-10 Leonarda i lecące z przeciwka Aero o mało nie rozbiły się o

siebie; pułkownik usłyszał nieznaczny odgłos uderzenia. Odwrócił się i zobaczył, że ogon „bandyty” urwał mu górną część lewego statecznika pionowego. Stracił jednak przeciwnika z oczu.

Walka zacieśniła się - dwie „Świnie” kręciły się wokół transportowca, przeganiając „bandytów”, kiedy tylko znaleźli się zbyt blisko.

- „Tragarzu”, leć na południe! - rozkazał pułkownik. Pomyślał bowiem o paliwie. „Bandyci” też muszą brać pod uwagę paliwo. Jak długo potrwa jeszcze ten kocioł? Jak na zawołanie wrogie samoloty odstały od nich.

- Sprawdź paliwo - poleciał przez radio, korzystając z chwilowego spokoju. „Bandyci” jeszcze wrócą...

- Tysiąc osiemset pięćdziesiąt - odparł „Waldo”. Miał tyle właśnie kilogramów paliwa. Leonard stał trochę lepiej. Spojrzał na komputer nawigacyjny. Ysterplaat znajdowało się siedemset pięćdziesiąt kilometrów od nich. A-10 spala około dwa i cztery dziesiąte kilograma paliwa na kilometr. Byli więc na granicy dotarcia do bazy i nie miał żadnego zapasu bezpieczeństwa.

„Waldo” zdążył przeliczyć sobie to samo.

- Możemy zatankować w Beaufort West - powiedział. - Ale będzie gorąco; zwłaszcza jeśli znowu nas zaatakują.

- Wezwałam przez SatCom pomoc - odezwała się Brenda Conklin.

- Nadlatuje „Byku” z dwoma innymi. Spotkanie za trzydzieści minut.

Ktoś tu pomyślał... - „Tango” ucieszył się. Wcisnął dwa razy przycisk radia, na znak, że odebrał wiadomość.

- Są jak pijawki... - syknął.

- I są całkiem dobrzy - dodał „Waldo”. Obaj piloci myśliwców

zdawali sobie sprawę, z kim mają do czynienia. Aero były szybsze i bardziej zwrotne od A-10, z kolei „Świnie” były lepiej uzbrojone i opancerzone. No i dwaj Amerykanie byli bardziej agresywni, żądni spotkania z przeważającym liczebnie wrogiem...

- Co to za jedni?! - chciał wiedzieć pułkownik.

- Są biali - odpowiedziała Conklin. - Widziałam twarz jednego; przelatywał blisko.

- Na drugiej godzinie, wysoko!!! - zawołał „Waldo”. - Bardzo wysoko!!! - Z nieba spadało czterech „bandytów”, szykując się do kolejnego ataku.

Leonard zmrużył oczy i skierował się do nich przodem. Ten atak wydawał mu się jakiś inny. Dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Przelecą raz i zabiorą się stąd - powiedział.

- Mam nadzieję - odparł Walderman. Zrobił świecę, a następnie beczkę, obracając się jak podniebna baletnica. Od razu znalazł się naprzeciw pierwszego z napastników. Z działka „Waldo” wystrzelił brunatny dym.

Pot, ściekający po twarzy Leonarda, szczypał go w oczy. Kierował się ku drugiemu przeciwnikowi, stękając z powodu potężnego przeciążenia. Popuścił trochę stery, przypominając sobie o uszkodzonym lewym stateczniku. Odwrócił maszynę na plecy, żeby spojrzeć w dół. Zobaczył dwóch „bandytów”, atakujących go z dołu od tyłu. Usta wyschły mu; poczuł się wyczerpany.

- „Waldo”!!! - krzyknął jak najszybciej. - Atakuje mnie dwóch!!! Są na szóstej, nisko!!! - Zrobił gwałtowny zwrot; duży A-10 stracił przy tym trochę prędkości. „Tango” nie miał szans na celny strzał, ale i tak pociągnął za spust.

- Bójcie się! - krzyknął. Udało się - dwaj napastnicy zeszli mu z drogi, obawiając się groźnego avengera. Teraz pułkownik zawrócił znów w stronę herculesa, szukając tego Aero, którego atakował najpierw.

- Atakuje nas!!! - krzyknęła tymczasem Brenda. - Na dwunastej! - „Tango” zobaczył „bandytę” pędzącego naprzeciw C-130. Nie chodziło bynajmniej o samobójcze zderzenie, raczej o „strzał w twarz”. Conklin zygzakowała, kierując się zarazem dokładnie na przeciwnika, żeby go odstraszyć.

Kolejne Aero załatywało herculesa od tyłu. Był to dobrze skoordynowany atak, a jego cel był określony - zestrzelić transportowiec. Leonard nie wahając się ruszył ku ogonowi C-130, kładąc jednocześnie maszynę na skrzydło, żeby widzieć napastnika i móc do niego strzelić. Wtedy od Aero oderwała się rakietą. Prędkość rakiety powietrze - powietrze jest trudna do wyobrażenia - rozpędziwszy się, rakietą taka osiąga dwa i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Pułkownik zdążył jednak wcisnąć guzik wypuszczenia flar. Od ogona jego samolotu oderwały się trzy flary, „kuszac” kierowaną na podczerwień rakieta.

Jednak nowoczesny system ignorowania flar, w jaki wyposażona była rakietą, zadziałał. Zabójczy pocisk odwróciwszy się po kolei od wszystkich trzech flar, skierował się z powrotem ku Leonardowi. Trafił w wylot prawego silnika A-10 i eksplodował.

Aero pozniwały gdzieś nagle. „Waldo” dołączył więc do herculesa i zaczął rozglądać się za swoim dowódcą.

- „Tango”, podaj pozycję - nadał w eter.

- Nie odpowie ci - odezwała się smutno Brenda Conklin. - Wcisnął

się za nasz ogon, żeby odciągnąć „bandytę”, który był na naszej szóstej. Widziałam eksplozję... to była „Świnia”... Nie było spadochronu...

- Skąd oni się wzięli?!... - powiedział jeszcze Walderman. Zapadło milczenie.

### **Poniedziałek, 16 marca Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Mazie Hazelton mówiła, chodząc po pokoju. Czowała się zupełnie swobodnie, pomimo panującego wokół bałaganu. Pontowski siedział w milczeniu, przenosząc wzrok z malutkiej kobiety na Cyrusa Piccarda i z powrotem na Mazie.

- Wasze wczorajsze lądowanie w bazie Andrews wywołało bardzo przychylny komentarze prasy - mówiła Hazelton. - De Royer to prawdziwy *showman*.

Piccard także słuchał uważnie, jak Mazie przygotowuje generała na przesłuchanie przed Połączoną Komisją Kongresu do spraw Wywiadu. Przesłuchanie wyznaczone było na wczesne popołudnie. Zebrani mieli nadzieję, że dzięki de Royerowi przynajmniej niektórzy z kongresmanów okażą się przychylniejsi.

- Spodziewaj się najtrudniejszych pytań ze strony Ann Nevers - mówiła Mazie. - Nie rozciągaj odpowiedzi; znacznie lepiej jest powiedzieć za mało niż za dużo. Cyrus będzie tam z nami i nie bój się naradzić z nami przed odpowiedzią.

- Ostatnio nawet Ann Nevers zachowuje się trochę inaczej - wtrącił Piccard. - Bardziej racjonalnie; chociaż dalej piłuje jak piłowała.

- Pilnuje jej nowy „treser” - wyjaśniła Mazie. - Jeff Bissel.

- Doradca senatora Lucknowa? To jeden z najinteligentniejszych ekspertów do spraw wywiadu na Kapitolu - stwierdził Piccard.

- To także specjalista od spraw politycznego „image'u” - dodała Mazie. - Myślę, że Nevers szykuje się do czegoś większego... może chce uzyskać nominację na kandydata na wiceprezydenta? - Znów zwróciła się do Pontowskiego: - Najlepsza strategia to odpowiadać wprost na postawione pytania, treściwie i zwięźle.

Matt patrzył na swoje dłonie.

- Czy komisja rozumie, co oznacza konflikt o małym natężeniu w jednym z krajów Trzeciego Świata? - rzucił.

- Nie lekceważ ich, Matt - upomniała Mazie. - To wprawdzie politycy, ale nie głupcy. Nie będą bawić się w politykę na zamkniętym posiedzeniu komisji.

- Bardzo zachęcające - odparł Pontowski.

Odezwał się rozbudowany pager pani Hazelton. Postukała palcami w klawiaturę, a po chwili spojrzała z przerażeniem na Pontowskiego.

- Matt, musisz to zobaczyć... - powiedziała.

General podniósł się, czując ciągle znużenie z powodu lotu z drugiej półkuli i zmiany czasu. Spojrzał jej przez ramię. Nagle poczuł się w jednej chwili stary; wyniszczony latami odpowiedzialności i troski o podwładnych. Przed oczyma stanęły mu tak dobrze pamiętane obrazy: pierwsze spotkanie z Johnem Leonardem... moment, w którym nadał mu na stałe oznaczenie „Tango” dla potrzeb porozumiewania się przez radio; wkrótce zastąpiło ono w rozmowach przyjaciół jego imię... czas, kiedy „Tango” i Sara Waters zakochali się w sobie... Chiny... ślub „Tango” i Sary... Sara żegnająca męża w bazie Whiteman...



- Cholera jasna by to wzięła... - warknął. - Wiedziałem!... - Przypomniał sobie, co niepokoiło go przed odlotem; co usiłowała powiedzieć mu podświadomość. Niezidentyfikowana bomba, do której nikt nie chciał się przyznać, świadczyła o czymś. Przed jego ludźmi stało nowe zagrożenie - ktoś miał myśliwce i był zdecydowany ich używać. Matt zlekceważył ostrzeżenie... Nie przemyślał całej sprawy; nie poświęcił czasu, żeby przeanalizować dokładnie zagrożenie i pozostawił swoje skrzydło w nieznannej sytuacji, której piloci sami nie byli w stanie rozwiązać! Zbyt pochłonęły go bieżące problemy.

Może gdyby „Robal” tam był. „Robal”... Najlepszy spec od lotniczej broni i najlepszy oficer taktyczny Sił Powietrznych... Człowiek, którego Matt musiał wyrzucić... Jednak nie można było wszystkiego zwalić na brak „Robala”. Matt po prostu nie wykonał jak należy swojej roboty...

- Będę musiał powiedzieć Sarze - odezwał się, ruszając do drzwi. - I rodzinie sierżant Perko.

- Ale przesłuchanie przed komisją... - zaprotestowała Mazie.

- To jest ważniejsze - burknął Pontowski.

- Oskarżą cię o lekceważenie Kongresu!... - ostrzegł Piccard.

Mówił już jednak do pustych, otwartych drzwi.

### **Poniedziałek, 16 marca Knob Noster, stan Missouri**

Było późne popołudnie, kiedy Sara Leonard zobaczyła granatową, sztabową limuzynę, zajeżdżającą pod jej dom. Zamarła, widząc wysiadającego z niej Matta. Wiedziała. To już raz się zdarzyło.

- Melisso! - zawołała. - Chodź no tu do mnie! - Nastolatka

podbiegła do matki. - Za chwilę przeżyjemy coś strasznego - powiedziała Sara. - Musimy przeżyć to razem; sama sobie nie poradzę...

- Mamo, co się stało?! - Melissa zaniepokoiła się.

Jej matka nie odpowiadała; podeszła do drzwi i otworzyła je, zanim Pontowski mógł do nich zadzwonić. Przez moment oboje milczeli, patrząc tylko na siebie.

- John nie żyje... - powiedział Matt. Nerwowo szukał właściwych słów.

- Mamo!... - szepnęła Melissa, ściskając dłoń Sary.

- Proszę cię, wejdź... - odezwała się Sara, wprowadzając Matta do dużego pokoju. Była w siódmym miesiącu ciąży. Poruszała się niezdarnie, a jednocześnie z godnością, jaka cechuje przyszłą matkę. - Robiłam właśnie wyprawkę... - powiedziała, odsuwając z kanapy robione na drutach ubranka dla dziecka. Usiadła.

- Saro... tak mi przykro... To stało się dzisiaj w nocy... Nie mogłem pozwolić, żeby ktoś inny ci to przekazał...

- Jak to się stało?

- Nie mamy jeszcze szczegółów, ale John osłaniał C-130...

- I co z herculesem? Ocalał?

Matt pokiwał głową. Gdyby mieli ze sobą sidewindery... - myślał. Gdybyśmy przygotowywali się do walk powietrznych... Gdyby... Za dużo tych „gdyby”...

Melissa patrzyła na matkę. Widać było, że Sara ukrywa emocje, mimo że łzy spływały po jej policzkach.

- Kocham cię, mamusiu... - szepnęła. Nigdy nie zapomni tej chwili, ani lekcji, jaką dostawała właśnie od matki.

Sara podniosła się i wolno wyszła do kuchni.

- „Tango” wiedział, czym ryzykuje - powiedziała. - Zrobił to na własną odpowiedzialność. - Przerwała na chwilę, a potem zapytała: - Czy mały Matt wie, że tu jesteś? - Matt potrząsnął przecząco głową. - Melisso, proszę cię, znajdź go. Powinien zobaczyć się z ojcem. - Dziewczyna wybiegła z pokoju, a Sara metodycznie wzięła się za robienie kawy.

Przerwała jednak i popatrzyła w sufit; nowe łzy napłynęły jej do oczu.

- I kim ja jestem? Czarną wdową, która nosi w sobie życie, posyłając męża na śmierć?! Cholera jasna, Muddy; nie zasłużyłam sobie na to... - Przerwała, zdawszy sobie sprawę, że nazwała Matta imieniem swojego pierwszego męża. Na jej zbolalej twarzy malowała się rozpacz. - A niech was wszystkich weźmie jasna cholera! Co do jednego! Wszyscy jesteście tacy sami; nie ma pomiędzy wami żadnej różnicy! Każdy ryzykuje życie dla ludzi, którzy nie zasługują nawet na to, żeby czyścić wam buty! I dlaczego? Tak kochacie ludzkość?! Robicie to z powodu jakiegoś zwariowanego poczucia obowiązku... służby... nawet nie umiecie o tym mówić! Ale to coś jest i rządzi wami. A nas zostawiacie na ziemi, żebyśmy mogli potem zbierać wasze szczątki!...

Przez drzwi wpadł mały Matt; jego buzia tryskała radością. Rzucił się w ramiona ojca i przytulił mocno, z całej siły. Ale po chwili zorientował się, że coś jest nie w porządku. Skoro coś się stało, to znaczy, że na pewno on to zrobił... - Tak funkcjonował jego siedmioletni umysł.

- Tatusiu...

- Dobrze, malutki, wszystko dobrze. - Matt uspokoił synka, przytulając go mocno.

- Chodź tu i uściśnij mnie też, dobrze? - poprosiła małego Matta Sara. - Mam ci do powiedzenia coś bardzo smutnego. Musisz być dzielny. Umiesz być dzielny? Jeżeli będziesz chciał, możesz się rozplakać. Odważni ludzie nie boją się płakać.

Melissa, opierając się o framugę drzwi, patrzyła, jak jej matka trzymając chłopczyka w ramionach mówi małemu Mattowi o śmierci męża. Dziewczyna zerknęła na Pontowskiego i ze zdumieniem zobaczyła, że generał ma łzy w oczach. Sara wyjaśniła chłopcu, dlaczego John Leonard już nigdy nie wróci, po czym puściła go z powrotem do ojca.

- Matthew Zachary, musimy przestać to sobie wzajemnie robić - powiedziała, przypominając Mattowi inną tragiczną chwilę, w Chinach, kiedy przekazała mu wiadomość o śmierci Shoshany.

Pontowski odpowiedział jej z głębokim smutkiem w głosie:

- Saro, dałbym wszystko, żeby nie musieć tu być...

Sara Leonard pokręciła jednak głową. Nie zrozumiał.

- Nie mam na myśli tylko ciebie i mnie. Mam na myśli nas wszystkich...

Musimy przestać to sobie wzajemnie robić!...

**Środa, 18 marca**

**Kapitol, Waszyngton, D.K.**

Myliłem się - myślał Cyrus Piccard. Matt po prostu tego nie ma. Nie ma tej zawziętej, nieustępliwej, choć znakomicie kontrolowanej woli przewodzenia otoczeniu, kierowania biegiem wydarzeń,

wymuszania na innych ustępstwach. Miał ją jego dziadek, choć starannie to ukrywał; nie pozwalał, żeby ten instynkt nim powodował. Może zresztą Matt nie otrząsnął się jeszcze po wczorajszym szoku. Nie mam pojęcia, dlaczego Senat mu to zrobił...

Starszy pan podniósł oczy na Połączoną Komisję Kongresu do spraw Wywiadu, która męczyła Pontowskiego i Mazie już od godziny, wypytując o Południową Afrykę. Siedział zrezygnowany, choć najgorsze było jeszcze przed nimi - nadchodziła kolej Ann Nevers.

Nevers wypila łyk wody ze szklanki i zaczęła:

- Panie pułkowniku, mam nadzieję, że w pełni zdaje pan sobie sprawę z tego, dlaczego Senat odmówił wczoraj zatwierdzenia pańskiej nominacji na generała brygady. Być może do następnego razu zdoła pan odpowiednio dojrzeć. Na razie jednak musimy poddać się woli Senatowi... - To powiedziawszy, zajrzała w notatki, pewna, że wreszcie tym razem udało

jej się ostatecznie zniszczyć tego człowieka. Wykorzystanie starych znajomości i możliwości odrzucenia przez Senat awansu Pontowskiego nie sprawiło jej wiele trudu.

- Rozumiem - odpowiedział krótko Matt, chcąc zakończyć temat.

- Jeśli o mnie chodzi - ciągnęła Nevers - nie jestem usatysfakcjonowana pańskim usprawiedliwieniem niestawienia się na wezwanie komisji.

Pontowski zeszywniał. Co się z tobą dzieje? - pomyślał, przeklinając sam siebie w duchu. Skurwiele zabrali ci gwiazdkę. No to co?... Nevers patrzyła na niego znad okularów, z trudnym do opisanego zadowoleniem na twarzy. Ten widok zdmuchnął

wątpliwości Matta; pozbył się ich całkowicie. Przyjrzał się poszczególnym członkom komisji. Tak, jedni byli lepsi, drudzy gorsi, ale chyba wszyscy do pewnego stopnia zadufani w sobie i przekupni. Z pewnością zaś każdy z nich miał bzika na punkcie władzy; każdy tak bardzo chciał tłumaczyć mu, jak powinien wykonywać swoją pracę, mimo że tylko stary, wysuszony przewodniczący brał kiedyś udział w wojnie. I on zachowywał wobec Matta neutralność.

- Panie pułkowniku - powiedziała pani Nevers - czy zrozumiał pan moje pytanie?

- Dobrze się czujesz? - spytała cicho Mazie. - Dasz radę jeszcze trochę?

- Proszę o wybaczenie, pani Nevers - odparł głośno Pontowski. - To trudna dla mnie chwila. - Wyciągnął rękę pod stołem i uścisnął dłoń Mazie.

- Najwyraźniej ostatnio zdarzają się panu same trudne chwile - nie ustępowała pani Nevers.

- Nie zrozumiałem, że pani wypowiedź była pytaniem.

Piccard zeszywniał, słysząc ton, jakim odezwał się teraz Matt. Starszy pan pamiętał z przeszłości ten głos. Tak, teraz mówi jak jego dziadek... - pomyślał.

- Wezwanie głosi: „...stawienie się w najkrótszym możliwym czasie...” - ciągnął Pontowski. - Właśnie nadszedł taki czas.

- Przyleciał pan do Waszyngtonu dwa dni temu - przypomniała pani Nevers, spoglądając surowo znad okularów.

- Zawiadomiono mnie, że zginęło w walce dwoje moich ludzi: mój zastępca i bohaterski dowódca ładowni transportowca. Oboje zaszczytnie wywiązywali się z wybranej przez nich dobrowolnie

służby krajowi i moim obowiązkiem było...

Pani Nevers przerwała.

- Istnieją oficjalne sposoby rozwiązywania takich spraw. Czy nie słyszał pan o nich?

- Oczywiście, proszę pani, słyszałem. Ale to byli moi ludzie; musiałem osobiście przekazać tragiczną wiadomość żonie pułkownika Leonarda. Musiałem też powiedzieć rodzicom sierżant Perko, że ich córka zginęła w służbie ojczyźnie.

- To nie tłumaczy, dlaczego nie stawiał się pan przed naszą komisją - wtrąciła zjadliwie pani Nevers. Pontowski jednak nie zamierzał się poddawać.

- To byli moi przyjaciele; zaufano mi, powierzając mi dowództwo nad nimi. Nigdy nie opuszczam moich ludzi. - Ostatnie słowa wywarły wrażenie na członkach komisji.

Nevers, jako zręczny polityk, zdała sobie sprawę z tego, że przewodniczący natychmiast opowie prasie o jej nieczułości i arogancji. Dlatego spróbowała podejść Pontowskiego z innej strony.

- Panie pułkowniku, po raz kolejny wspomina pan o odpowiedzialności...

Do czego teraz zmierza? - zastanawiał się Piccard.

- Wydaje się jednak - ciągnęła *kongreswoman* - że Afrykanie zachowują się bardziej odpowiedzialnie niż pan.

Ton, jakim odpowiedział Pontowski, był spokojny, zrównoważony.

- Cóż jest odpowiedzialnego, a przez to i moralnego, w czystkach etnicznych... w bezsensownym mordowaniu niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, tylko dlatego, że pochodzą oni z innego plemienia... w rabowaniu zapasów żywności i niezbędnych do ratowania życia

lekarstw po to, aby sprzedawać je potem na czarnym rynku... w beztróskim doprowadzaniu własnego kraju do ruiny, w imię chciwości i zwykłej głupoty?

No cóż - pomyślał Cyrus. Pomyliłem się co do Matta. On ma w sobie potężną wolę, i tak jak jego dziadek potrafi ją ukrywać. Emerytowany mąż stanu oparł się wygodnie w fotelu. Następną godzinę przesiedział z przyjemnością.

Piccard z Pontowskim weszli do biura Carrolla, żeby omówić rezultaty przesłuchania. Wyglądało, że starszy pan ma ochotę kręcić w powietrzu swoją hebanową laseczką.

- No i jak? - rzucił w ich stronę Bill.

- Poszło wyśmienicie - odpowiedział Cyrus.

- Przynajmniej końcówka była dobra - uściśliła Mazie. Szybko zdała Carrollowi sprawę z tego, co zaszło.

- Pojęcia obowiązku i odpowiedzialności wprawiły członków komisji w wielkie zakłopotanie - stwierdził Piccard. - Dzięki postawie naszego młodego przyjaciela i wbrew nienawistnej furii, jaka emanowała od pani Nevers, nie wygląda na to, żeby w naszej polityce wobec RPA miały zajść jakieś gwałtowne zmiany.

- Matt, rozmawiałem z sekretarzem obrony - powiedział William.

- Przywróci ci gwiazdkę... kiedy tylko wrócisz z Afryki i rozliczysz się z działań w siłach ONZ. Dostaniesz każdy przydział, jakiego sobie zażyczysz.

- Zostanę tam, gdzie jestem - odpowiedział Matt. - Chcę wiedzieć, kto zabił „Tango”. Skąd wzięły się te Aero?

Piccard patrzył na niego z dumą. Nie miał już wątpliwości, że to



nieodrodny wnuk Zacka... Ta sama nieugięta wola, twarde spojrzenie jasnych oczu... Matt jest taki jak trzeba.

Mazie odpowiedziała na pytanie Matta:

- Prawdopodobnie była to Żelazna Gwardia.

Matt zacisnął zęby i zmrużył oczy; wreszcie zapytał:

- Nie jesteście pewni?

- Nie możemy być absolutnie pewni. Wątpliwości wykluczają przeprowadzenie uderzenia odwetowego - wyjaśnił Carroll. - Minister obrony RPA...

- Péndulo to tylko mały gnojek!... - przerwał mu Matt.

Bill zignorował tę uwagę i ciągnął dalej:

- ...stoi na stanowisku, że skoro atak na C-130 i na A-10 miał miejsce w południowoafrykańskiej przestrzeni powietrznej, nie jest to sprawa o charakterze międzynarodowym, tylko wewnętrznym. Oczywiście, z politycznego punktu widzenia sytuacja jest bardzo złożona i nie znamy nawet do końca wszystkich graczy.

- Dajcie mi resztę mojego skrzydła, a ja już rozpoznam tych graczy...

- Nie możemy tego zrobić - zaproponował William. - Przynajmniej na razie, nasza polityka ogranicza się do wspierania ONZ, obsługi stref bezpieczeństwa, niesienia pomocy humanitarnej.

- Powiedzcie mi, co musi zrzucić na nas Żelazna Gwardia, żeby to się zmieniło? Już mnie zmęczyło to latanie po omacku. Wpadliśmy w pułapkę o jedną za dużo. Jestem pewien, że mamy przeciek informacji, wielki jak Niagara. Czas go zatkać.

- Gdzie jest ten przeciek? - spytała Mazie.

- Nie mam pojęcia.

- Mazie, pokaż Mattowi nasze ostatnie dane na temat uzbrojenia Żelaznej Gwardii - polecił Piccard. Pani Hazelton wyszła z Pontowskim, pozostawiając Piccarda i Carrolla samych.

- No i co? - odezwał się Cyrus. William oparł się tylko w fotelu i zamknął oczy. - Nie odpowiedziałeś Mattowi. Zostawiłeś go z tym wszystkim... - Carroll nadal milczał. - Nie chce mi się wierzyć, że masz zamiar puścić Żelaznej Gwardii płazem zestrzelenie jednego z naszych samolotów.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł wreszcie Bill. - Ale naszym priorytetem ciągle pozostaje Numer Jeden.

- Ach, ta wielka zagadka...

Carroll uśmiechnął się.

- Na szczęście nauka siedzi przede wszystkim w mózgu naukowca, a nie w laboratorium czy książce. Najważniejszy w tej sprawie jest profesor Itzig Slavin, który kieruje projektem - powiedział.

- Profesor pracuje dla szaleńca, który jest zdecydowany prowadzić wojnę i ma do tego środki.

- To rzeczywiście komplikuje sytuację - przyznał Carroll. - Myślę, że dyrektor naszych central wywiadowczych otrzyma wkrótce rozkazy ruszenia do bardzo poważnej akcji.

- Kiedy wracasz do Kapsztadu? - spytała Mazie, otwierając sejf.

- W sobotę, pierwszym samolotem. Lecę razem z de Royerem z Nowego Jorku. Przynajmniej mam szansę spędzić trochę czasu z synem i pokazać mu gmach ONZ.

- Widziałeś naszą ocenę de Royera? - Nie czekając na odpowiedź, Mazie podała Mattowi cienką teczkę. - A to teczka Żelaznej Gwardii i

Beckmanna. Myślę, że będzie to dla ciebie interesująca lektura.

Pontowski przerzucił kartki, opisujące uzbrojenie Żelaznej Gwardii. Lista broni była imponująca.

- Nic o tym nie wiedziałem. Dlaczego nie daliście mi tego wcześniej?

- CIA udostępniło nam tę teczkę dopiero wczoraj. Agencja się reorganizuje, w Langley panuje chaos... Ludzie drą ze sobą koty; mają opóźnienia w pracy; nikt nie chce podjąć za nic odpowiedzialności...

- Co się z tymi bałwanami dzieje? Bawią się w jakieś biurokratyczne rozgrywki, podczas gdy moi ludzie giną! Popatrz, co ma Żelazna Gwardia. Nie byle kto może z nimi zadrzeć. - Usiadł i zaczął czytać dokładniej. Potem przejrzał dossier de Royera, i to także, zgodnie z obietnicą Mazie, była dla niego interesująca lektura. Francuski generał został opisany jako intelektualista, zręczny polityk, jedenastokrotnie odznaczony za męstwo, oraz dwukrotnie ranny w walce... Jeden akapit szczególnie go uderzył. Żona i dwóch synów de Royera zginęli od wybuchu bomby, podłożonej przez terrorystów, którzy chcieli zabić generała... Jedyną wspomnianą w raporcie wadą de Royera był „wyjątkowo agresywny sposób prowadzenia bitew - oraz skłonność do podejmowania wysokiego ryzyka”.

- Nie znałem go - mruknął do siebie Pontowski.

Wziął ponownie teczkę Żelaznej Gwardii i raz jeszcze przeczytał wszystko o niej i o Beckmannie. Kiedy skończył, sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do swojego skrzydła - do bazy Whiteman w stanie Missouri. Po pierwszym sygnale odezwał się znajomy głos z

działu operacji bojowych. Rozkaz Matta był krótki:

- Znajdźcie „Robala”.

## **Rozdział siedemnasty**

**Czwartek, 19 marca**

### **Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

MacKay był zmęczony. Wrócił do swojego mieszkania po długim dniu spędzonym w Security Systems, Inc. - firmie, jaką zorganizowały dla niego „chłopcy”. Wykonały dobrą robotę - biznes kwitł. Pułkownik nachylił się i sprawdził urządzenia ostrzegawcze, umieszczone na dole drzwi. Nic nie zostało naruszone. Wszedł więc do środka, nie troszcząc się o rutynowe oczyszczenie drzwi, dokładne oglądanie mieszkania i poszukiwanie podsłuchów i kamer.

- Nie zachowujesz się zbyt mądrze - odezwał się głos z sypialni.

MacKay drgnął, a potem westchnął. Jedna z „chłopców” - wysoka, bardzo szczupła kobieta w średnim wieku - wyszła z pokoju. Miała krótkie włosy, jak mężczyzna i nosiła duże okulary. Uśmiechnęła się do Johna. Wyglądała bardziej na psychologa rodzinnego albo nauczycielkę niż na agentkę CIA.

- Obejrzałam mieszkanie - powiedziała. - Jest czyste. Jak tam firma?

- Aż za dobrze. Wyobraź sobie, że zarabiam na niej pieniądze.
- To miło. Wydawaj je.
- Dlaczego tu jesteś? - spytał pułkownik.
- Szef chce się spotkać z doktorem Slavinem - wyjaśniła kobieta.
- To głupie! Nie jestem w stanie tego zorganizować - odpowiedział

MacKay. - Powiedz Standardowi, żeby przestał nalegać, bo całą operację szlag trafi.

- Ustal spotkanie na przyszły tydzień - dokończyła agentka, zupełnie jakby nie słyszała pułkownika.

- Jakim cudem mam to zrobić?

- Posłuż się dziewczyną.

- Będę się z nią widzieć dopiero w przyszłym miesiącu - skłamał John.

- Nie wiedziałam. - Agentka wyjęła z torebki plik zdjęć. Na każdym z nich znajdowała się data i godzina. Pokazywały one Zibę, wchodzącą do mieszkania MacKaya niemal każdego wieczoru, odkąd tylko przyjechał do Bloemfontein. - Jak przypuszczam, będzie tu dzisiaj?...

- Ty robiłaś te zdjęcia?

- Jasne - agentka ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać.

- Będę potrzebował ważnego powodu, żeby sprowadzić tu Slavina.

Agentka sięgnęła do torebki po raz drugi i wyjęła jeszcze jedno zdjęcie. Nie uśmiechała się już jednak; zrobiła smutną minę. John zamarł. Zdjęcie ukazywało Zibę w łóżku ze Slavinem.

- Skąd to masz?!

- Od naszego człowieka w Inkatha - odpowiedziała kobieta.

- Ziba powiedziała mi, że już nie pracuje dla Inkatha...

- Bo nie pracowała. Ale znowu zaczęła, już po tym, jak cię poznała.

To nie jest zabawa na ciepłe weekendy; a Inkatha tak łatwo nie pozwala ludziom odchodzić. - Agentka pokazała na fotografię. - W taki właśnie sposób wykorzystują kobiety w pracy...

- Wiem o tym... - mruknął MacKay, gapiąc się na zdjęcie.

Dlaczego nie mógł odwrócić od niego oczu? Dlaczego nie mógł się z tym pogodzić? Poczuł, że kobieta dotyka jego ramienia.

- Musimy porozmawiać ze Slavinem, zanim... - Umilkła.

- Zanim co?

- Nasi psychiatrzy uważają, że Beckmann znalazł się już po drugiej stronie... Nie możemy być więc pewni, co robi. A on ma na przykład gazy paralizująco-drgawkowe.

- O Boże!... - szepnął pułkownik. - Uważasz, że ten szaleniec będzie miał odwagę ich użyć? - Agentka pokiwała głową. - Dobrze, zorganizuję spotkanie - powiedział.

MacKay otworzył drzwi już po pierwszym puknięciu. Tak jak się spodziewał, stała w nich Ziba. Bez słowa wprowadził ją do środka. Usiadł i patrzył na nią, jak krząta się w jego mieszkaniu niczym we własnym domu. Psychiczna rana bolała, czuł się okropnie.

- Co się stało? - spytała dziewczyna.

- To - odpowiedział tylko, rzucając w nią zdjęciem. Fotografia zawirowała w powietrzu i upadła u jej stóp. Ziba spojrzała na nią i podniosła głowę. Ze spokojem popatrzyła na Johna. - No i co powiesz? - rzucił. Nie odpowiadała. - Myślałem, że Zuluski traktują swoją cnotę bardzo poważnie...

- To prawda - odpowiedziała bez szczególnych emocji. - Byłeś pierwszy.

To wyprowadziło MacKaya ostatecznie z równowagi. Zerwał się z krzesła i złapał dziewczynę za ramiona.

- Ty pieprzona dziwko!... - syknął, wymierzając jej policzek. Lewą ręką cały czas trzymał ją za ramię.

Ziba wyszarpnęła się ze zdumiewającą siłą, po czym odpowiedziała mu podobnym ciosem. Była to w pełni kontrolowana, szybka, ale podjęta rozmyślnie i bez wahania reakcja. Uderzenie oszołomiło MacKaya na chwilę. Cofnął się, gotów znowu ją uderzyć, ale jej wzrok powstrzymał go. Oczywiście, nie była dla niego równym przeciwnikiem; jednak patrzyła wzrokiem królowej, zawsze pełna dumy i buntu.

- Są rzeczy, których nie rozumiesz - powiedziała.

- Rozumiem, że pieprzysz się ze Slavinem!...

Ziba patrzyła tak, że MacKay nie powiedział już ani słowa.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Chcę się spotkać ze Slavinem, tutaj, w sobotę.

- Nie - odpowiedziała. - Nie zrobię tego. - Jej twarz złagodniała.

Potrząsnęła głową. - Przykro mi, że do tego doszło - powiedziała i wyszła z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi.

Pułkownik podniósł z podłogi fotografię i usiadł. Przez chwilę patrzył w otwarte drzwi, mając nadzieję, że Ziba wróci. W końcu poszukał zapalki i spalił zdjęcie. Trzymał je w palcach tak długo, aż płomienie zaczęły go boleśnie parzyć.

## **Sobota, 21 marca**

### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Richard Davis Standard był zły; po prostu wściekły; prawdę mówiąc miotała nim prawdziwa furia. Rzucił się po swoim biurze jak tygrys po klatce. Na szczęście obiekt, który spowodował jego wściekłość, znajdował się trzynaście tysięcy kilometrów od niego i, dzięki różnicy czasowej, nie przyszedł jeszcze do pracy. Inaczej

Standard dokonałby pierwszego w historii morderstwa przez telefon.

Zatrzymał się i wyprostował dokładnie kartkę z ostatnią wiadomością od swojej szefowej, kierującej z centrali CIA w Langley rejonem Afryki subsaharyjskiej.

- „Gengha Dung” to skończona idiotka!... - warknął. Standard był jednak zawodowcem; wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko poświęcić krwawą ofiarę na żądanie swoich przełożonych. Nawiązał wszelkie kontakty; próbował śledztwa z wszystkich możliwych stron, aby tylko dostać się w jakiś sposób do Numeru Jeden. Ale tylko MacKayowi udało się osiągnąć pewien sukces - i w związku z tym musi zostać wysłany do jaskini lwa. Standard przeczytał jeszcze raz epistolę „Genghi”, wypisaną koronkową prozą, pełną zapierających dech w piersiach konstrukcji gramatycznych. To dzięki tym umiejętnościom ich autorka zdobyła zajmowaną przez siebie pozycję.

Treść owego literackiego dziełka była jednak prosta: albo przekażesz nam konkretne wyniki śledztwa, albo jesteś skończony. Tak stanowczych rozkazów Standard nie otrzymał jeszcze nigdy w życiu. Cholera jasna!... - myślał. Czy im się wydaje, że ja mam na głowie tylko Numer Jeden? Depczę po piętach Azanianom, udało mi się znaleźć Erika Beckmanna - dzięki temu, co stało się w Vanwyksvlei, kiedy ONZ próbowała otworzyć pierwszą strefę bezpieczeństwa. Czy to się nie liczy?

Odczytał po raz kolejny ostatni akapit, skupiając się na dodatkowym problemie: w Kapsztadzie była jakaś „wtyczka”, która przekazywała Żelaznej Gwardii na bieżąco informacje



o działaniach ONZ. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił po „chłopców”. To nie był trudny do rozwiązania problem. Spojrzał na zegarek. MacKay spóźniał się już godzinę.

- Samolot się opóźnił - wytłumaczył się MacKay, wchodząc wreszcie do biura Standarda, w dwie godziny po wyznaczonym czasie. Opóźnienie nie wpłynęło pozytywnie na ciśnienie krwi Standarda...

- Odwołujesz mnie z Bloemfontein? - spytał John.

- Niezupełnie - odparł Standard, potrząsając głową. - „Firma” ciągle domaga się wiadomości o Numerze Jeden. W tej sprawie jesteś moją jedyną nadzieją. Trzeba zmienić trochę sposób działania.

- Jak? Przecież widziałeś raport. Straciłem Chembo. - Teraz MacKay zaczął chodzić po pokoju, niczym drugi drapieżnik w klatce. - Spartoliłem całą robotę.

- Czas mija... - zauważył Standard.

- No i masz jakiś pomysł?

Napięcie, jakie dawało się wychwycić ze słów MacKaya, zdumiało Standarda. Widać, że pułkownik bez reszty zaangażował się w swoją robotę. Dlaczego? Standard zastanawiał się w milczeniu. Czy dlatego, że jest Murzynem? Nie, to bez sensu. MacKay jest zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby poczucie rasy stało się głównym motywem jego działania. Oczywiście, kwestia koloru skóry gra tu pewną rolę, ale nie jedyną. Może coś w jego życiu osobistym każe mu reagować w taki sposób? Standard nie wiedział. Żałował, że nie rozumie lepiej czarnych. A skoro ich nie rozumiał, co mu jeszcze pozostało? Zastanowił się, co mogło być powodem w jego

przypadku.

To musi być ta kobieta. Ziba Chembo - zdecydował. Facet się zakochał. O to chodzi.

- Chcę wysłać cię tam, do środka - odezwał się wreszcie.

- Kiedy?

Standard zastanowił się znowu. MacKay był agentem udającym prywatnego biznesmena, a nie oficjalnego przedstawiciela firmy. Jego szanse na znalezienie się w Żelaznej Bramie jako szpieg były zbyt niskie, żeby w ogóle brać to pod uwagę. Chyba, że... Wszystko zaczęło nagle do siebie pasować.

- Najpierw - powiedział Standard - będziemy musieli dać ci jakieś pochodzenie i cel, dla którego chcesz stać się najemnikiem Żelaznej Gwardii. Po drugie, powinieneś mieć efektowne wejście.

Nacisnął guzik interkomu.

- Ten zabójca, którego zlikwidowałeś w Johannesburgu... - posłużysz się jego legitymacją... - powiedział.

- To strasznie głupi pomysł - zauważył MacKay.

- Ale nie posłużysz się nią w taki sposób, o jakim myślisz - wyjaśnił Standard, uśmiechając się nieznacznie. - Drzwi otworzyły się i weszły „chłopcy”. - Witam panie. Usiądźcie sobie wygodnie. - Dwie z agentek zajęły kanapę, a ta wysoka siadła po prostu na podłodze, w pozycji kwiatu lotosu. Czwarta, dowódca, oparła się o ścianę i założyła ręce, czekając, co nastąpi dalej. Standard zaczął krążyć po dywanie, na którym zaznaczała się już wytarta kolista ścieżka.

- Chcę, żeby Żelazna Gwardia najęła MacKaya w charakterze eksperta do spraw bezpieczeństwa. Potrzebne są dla niego takie listy

uwierzytelniające, żeby zaniemówili z wrażenia i pokonali w sobie wszelkie obiekcje co do zatrudnienia czarnego Amerykanina.

Pierwsza odezwała się kobieta siedząca na podłodze:

- W Niemczech ciągle funkcjonuje Sicherheitsdienste A.G. To oni wyprodukowali systemy zabezpieczające dla Bruderbund, a Bruderbund to największy sponsor Żelaznej Gwardii w Europie. - Spojrzała na Standarda pytająco. - Może pan MacKay pracował kiedyś dla Sicherheitsdienste?

Sicherheitsdienste A.G., czyli Służba Bezpieczeństwa, Spółka z o.o, była firmą założoną w latach sześćdziesiątych przez byłych hitlerowców pracujących dla CIA. Specjalnie wybrano nazwę nawiązującą do hitlerowskiej służby, żeby przyciągnąć określoną klientelę. Z powodu związków z przeszłością i spodziewanej orientacji politycznej właścicieli, w tej właśnie firmie zamówiła instalację wymyślnych systemów zabezpieczających nowa niemiecka partia faszystowska - Bruderbund.

- Oczywiście, że pan MacKay dla nich pracował - zgodził się Standard. - Zorganizujcie całą sprawę. Kiedy Żelazna Gwardia sprawdzi jego referencje przez Bruderbund, nasz przyjaciel okaże się chciwym, pozbawionym zasad geniuszem komputerowym, mistrzem od systemów zabezpieczających. Nauczcie też pana MacKaya, jak się robi te identyfikatory. - Zastanowił się chwilę, po czym dodał: - Zrujnujcie jego firmę w Bloemfontein... Niech ma to związek z korupcją w rządzie, łapówkami i tak dalej. Musimy się z tym spieszyć.

Agentki, która opierała się o ścianę, nie zaskoczyło to, co usłyszała.

- Zrobi się - odpowiedziała krótko.

**Sobota, 21 marca**

**Lotnisko Międzynarodowe imienia Johna Kennedy'ego,  
Nowy Jork**

Wokół Pontowskiego kręciło się mnóstwo ludzi; wszyscy czekali na samolot linii South African Airways do Kapsztadu. Mały Matt ścisnął ojca za rękę, bojąc się całego tego tłumu. Martha Marshall trzymała się z boku, żeby dać pułkownikowi możliwość pobycia sam na sam z synkiem.

Mały Matt ciągle zadawał pytania związane z ich wizytą w gmachu ONZ.

- Czy ten pan, który mówił do nas przez słuchawki, był żywy, czy to tylko nagranie? - pytał. - Matt wytłumaczył mu, że to żywa osoba tłumaczyła przemówienie, które wygłaszano przed Zgromadzeniem Ogólnym.

- Cieszę się, że tłumaczył - oświadczył mały Matt. - Nic nie rozumiałem. Naprawdę pracujesz dla tego pana, który przemawiał? Mówi śmiesznym językiem. Ile on ma wzrostu?

Pontowski uśmiechnął się.

- Tak, to generał, dla którego pracuję. Nazywa się Charles de Royer i mówił tak śmiesznie, bo to było po francusku. Ale po angielsku też umie mówić. Nie wiem dokładnie, ile ma wzrostu, ale myślę, że chyba dwa metry i pięć centymetrów. Wiesz co, stary, fajnie by było, gdybyś nauczył się jakiegoś obcego języka.

- Po jakimu mówiła mama? - zapytał mały Matt.

- Po hebrajsku. - Pontowski przypomniał sobie, jak Shoshana potrafiła zmieniać ten szorstki, gardłowy język w miły, a nawet

czuły.

- Nauczę się hebrajskiego - oznajmił chłopiec.

Ojciec potargał mu włosy i uśmiechnął się znowu.

- Spodobałoby jej się to - powiedział. Rozmawiali tak, zanim głośniki po raz ostatni nie wezwały pasażerów. Zaczęli się żegnać - wzajemne pożegnania były stałą częścią ich życia.

- Będę się dobrze uczył - obiecał mały Matt.

Pontowski ruszył ku rękawowi, prowadzącemu do jumbo-jeta. Odwrócił się jeszcze i pomachał ręką. Jego synek odmachnął mu, trzymając się drugą rączką Marthy Marshall. W jej oczach widać było łzy, ale mały Matt się uśmiechał. Mam wspaniałe dziecko - pomyślał Pontowski. Muszę przestać ciągle go zostawiać.

Stewardesa skierowała Matta do górnej kabiny, w której mieściła się pierwsza klasa, zaraz za kabiną pilotów. Pułkownik wspinał się po kręconych schodkach. Zdziwił się, widząc, że jest jedynym pasażerem. W kabinie znajdował się tylko samotny steward.

- Niech pan usiądzie sobie wygodnie - powiedział. - Lot do Kapsztadu potrwa osiemnaście godzin; zatrzymamy się na krótko na Wyspach Zielonego Przylądka, żeby nabrać paliwa. Ruszymy, kiedy tylko przybędzie nasza ostatnia pasażerka. - Odwrócił się, słysząc, że po schodkach ktoś wchodzi. - Oto i ona.

Za parę minut będziemy już w powietrzu.

Do kabiny weszła Elena Martine. Usiadła naprzeciw Matta. Miała na sobie ciemny, klasyczny zakiet. Włosy starannie upięła w staromodny sposób. Wyglądała zupełnie inaczej niż w Kapsztadzie. Pani Martine jako przedstawicielka ONZ - pomyślał Pontowski.

- Nie wiedziałem, że tu byłaś - odezwał się.

- Wezwano mnie po ataku na Douglas - wyjaśniła. - Niektórzy z moich kolegów tracą pomału nerwy; przyglądają się teraz bacznie działalności misji kierowanej przeze mnie. Jestem krytykowana za to, że nie zachowuję należytej neutralności i obiektywności, tak jak wymaga tego Karta Narodów Zjednoczonych.

- A gdzie jest de Royer? - zapytał pułkownik.

- Być może zostanie odwołany - odpowiedziała Elena. - W ostatniej chwili wezwano go do Paryża.

- Kto u licha kieruje tym, co dzieje się w Kapsztadzie? - zdumiał się Pontowski.

Martine spojrzała na niego uważnie, po czym skierowała wzrok na pustą kabinę.

- Powinno być całkiem miło, prawda? Przepraszę cię na chwilę i przebiorę się w coś wygodniejszego. - Po chwili znikła w toalecie.

Wróciła ubrana w długą i prostą, luźną, czarną suknię. Matt obserwował ją i doszedł do wniosku, że włożyła suknię na gołe ciało. Elena ułożyła się wygodnie w fotelu i uśmiechnęła. Wyjęła z teczki gruby dokument i okulary do czytania. Zaczęła spokojnie czytać.

Matt rozmyślał o sytuacji w Kapsztadzie. Kto będzie dowodził, jeśli odwołają de Royera? Na pewno nie on, bo odebrano mu stopień generalski. Pontowski nie wątpił, że to robota Ann Nevers, która wykorzystwała swoje możliwości i namówiła senatorów do odrzucenia jego awansu. Praktycznie równało się to zniszczeniu jego kariery wojskowej. Niezależnie od tego, co obiecał mu sekretarz Elkins, Matt wątpił, czy Senat kiedykolwiek zaaprobuje jego nominację. Czy zatem ma pozwolić Ann Nevers kierować swoją przyszłością? To prawda, że pragnął zapewnić małemu Mattowi normalne życie,

porzucając lotnictwo. Z drugiej strony, byłby złym ojcem, gdyby wycofał się przed największym wyzwaniem, jakie stanęło przed nim w życiu.

Pani Nevers nie zaatakowała go bezpośrednio, tylko zadała mu cios nożem w plecy. Ileż to razy dziadek uskarżał się - zawsze prywatnie - na kompletny brak uczciwości wielu jego kolegów. Polityczna uczciwość to chyba termin wewnętrznie sprzeczny - pomyślał.

Wtedy przypomniało mu się, jak zaszkodziła i jemu, i de Royerowi Elizabeth Gordon. Dlaczego to robiła? Czy szukała zemsty za tę konferencję prasową, kiedy wytknął jej popełnione błędy? Czy miała w tym jakiś bardziej złożony, ukryty cel? Może dziennikarska uczciwość jest podobna do politycznej?... Przestań się wreszcie nad sobą użalać! Czas zabrać się do roboty - pouczył się w duchu pułkownik.

Olbrzymi boeing zakończył już wznoszenie, kiedy Elena odłożyła czytany dokument i popatrzyła na Pontowskiego, czekając, aż zwróci na nią uwagę.

- Matt, dlaczego to zrobili?

- Dlaczego odrzucili mój awans na generała brygady? Kto wie? - Uśmiechnął się, jak umiał najmilej. - Zdarza się.

Steward podał im obiad. Zebrawszy naczynia, odszedł po cichu i wyłączył oświetlenie, pozostawiając tylko delikatną, stłumioną poświatę.

- Matt - odezwała się znowu Martine. - Wybacz, że cię pytam, ale czy tam, na lotnisku, czekała twoja żona i syn?

- To była Martha Marshall, niania małego Matta. Przyleciała do

Nowego Jorku, żeby odstawić chłopca do domu. Po śmierci mojej żony, Shoshany, nie ożeniłem się po raz drugi.

- Tak mi przykro... - Elena opadła powoli na oparcie i spojrzała na Pontowskiego zalotnie. - Ta Martha jest bardzo przystojna. Przez chwilę pomyślałam, że należysz do mężczyzn, którym podobają się starsze kobiety. - Roześmieli się oboje. Elena oparła mu dłoń na kolanie, i nachyliła się tak, że głęboki i luźny dekolt jej sukni ukazał Mattowi jej ciało. Nie mylił się.

- Matt - znów powiedziała to tak, że przeszedł mu dreszcz po plecach. - Bardzo mi się podobasz.

- Biorąc pod uwagę to co zaszło, miałem taką nadzieję - odpowiedział ze śmiechem.

Teraz Eleną przesiadła się na jego fotel. Płynnym, pełnym wdzięku ruchem położyła mu rękę na ramieniu. Jej dłoń była ciepła; wydawała się niemal żarzyć. Z bliska Elena wydała się jeszcze piękniejsza, a w jej przejrzystych ciemnych oczach odczytać można było niewypowiedzianą obietnicę. Matt poczuł jej zapach, niczym ciepłą, wieczorną, letnią bryzę. Przypomniała mu się jego pierwsza miłość... Nagle zareagował obronnie. Spiął się wewnętrznie, jakby przygotowywał się do odparcia ataku. Dlaczego? Sam nie wiedział.

Elena wyczuła jego reakcję i powiedziała cicho, niemal szeptem:

- Matt, nie zgadzamy się w różnych sprawach, ale - nie bój się mnie. - Poddała się jego ramionom.

To był długi, długi lot.

**Niedziela, 22 marca**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**



Zachodziło słońce. Pontowski wszedł do centrum COIC i jak zwykle, zastał tam na stanowisku oficera dyżurnego Waldermana. Pulchny kapitan wstał i otworzył szeroko usta ze zdumienia, kiedy zobaczył na pagonach dowódcy orzełki.

- Panie gene... ee... cholera!...

- Dobrze to ująłeś, „Waldo” - roześmiał się Matt. - Masz rację. Kongres odrzucił mój awans na generała brygady.

- To nie w porządku. To po prostu niesprawiedliwe!

- Życie nigdy nie było sprawiedliwe - stwierdził Pontowski. - Gdzie są wszyscy?

- ONZ nie robi zupełnie nic, więc pułkownik Kowalski zwolniła nas. - Twarz „Waldo” przybrała zatroskany wyraz. - Może i dobrze. Źle się tu dzieje.

- W porządku, „Waldo”. Wal.

- Może będzie lepiej, jak poszuka pan pułkownik Kowalski. Jeszcze nie wyszła z biura.

- Aż tak źle, „Waldo”?

- Tak jest, sir.

Pontowski siedział w milczeniu. Kowalski krążyła po pokoju.

- Wszystko zaczęło się, kiedy wystąpiłam o pośmiertne przyznanie pułkownikowi Leonardowi i sierżant Perko Krzyża Sił Powietrznych - mówiła Lydia. - Natychmiast odrzucono kandydaturę Perko. Wtedy wszyscy zamknęli się w sobie; każdy schował się w swoim własnym świecie. - Popatrzyła na Matta twardo, jak gdyby ponosił za to odpowiedzialność. - Tak już to jest z tragarzami - powiedziała. - Ponosimy większość ofiar, a i tak się nas pomija - nie dostajemy

awansów ani odznaczeń...

- Lydio - odparł beznamiętnym głosem Pontowski - wszystkich nas się tu pomija. Zajmę się tymi odznaczeniami. A teraz spróbujmy podnieść morale żołnierzy.

Dopiero teraz podpułkownik Kowalski zobaczyła, że Matt ma na pagonach tylko orzełki pułkownika.

- Nie wiem, jak się za to zabrać - przyznała z rezygnacją.

- Tak, jak poprzednio - wyjaśnił Pontowski. - Ruch numer jeden - róbmy cokolwiek. Nawet jeśli okaże się to niewłaściwe. Musimy latać - to jest nasz zawód.

- Ale nie mamy żadnych zadań do wypełniania.

- W takim razie będziemy ćwiczyć do czasu, aż ONZ zleci nam nowe zadania. - Matt uśmiechnął się. - Do licha, przecież oni są w tej samej sytuacji, co my - poruszają się zupełnie po omacku... Proszę o rozkłady lotów. Niech pierwsze samoloty wystartują o siódmej rano.

- Ale to już za dwanaście godzin...

- Lydio, o siódmej rano... - nie pozwolił jej mówić dalej. - Nawiasem mówiąc, dlaczego zawsze „Waldo” jest oficerem dyżurnym?

- Dyżur pełnią piloci A-10; a poza tym sam się zgłasza, na ochotnika.

- Zmień to.

- To pilot A-10 - powtórzyła Kowalski. - Nie mogę mówić mu, co ma robić.

- Możesz. Przecież dowodzisz tym skrzydłem! - Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. - Wydaje mi się, że nadal jestem zastępcą dowódcy misji i szefem operacji powietrznych. Twoim przełożonym,

prawda?

- Dowódcą skrzydła... może być pułkownik, albo nawet generał brygady. Ja ciągle jestem tylko... - Zamilkła i odwróciła wzrok do okna.

- Podpułkownikiem - dokończył za nią Matt. - A moje stanowisko powinien zajmować generał brygady. Powiem, żeby coś z tym zrobili. Póki będą się zastanawiać, my postąpimy zgodnie z przepisami - funkcję obejmuje najwyższy rangą oficer. To właśnie ty.  
- Uśmiechnął się dla zachęty i wyszedł.

Przed pokojem Lydii czekał już na Matta pułkownik Bouchard.

- Słyszałem, że pan wrócił. - Popatrzył na orzelki na pagonach Pontowskiego. - Ee... tego... jest dla pana wiadomość z ONZ - do czasu powrotu generała de Royer pan obejmuje naczelne dowództwo.

- Czy to nie piękne?... - powiedział mu na to Matt.

**Wtorek, 24 marca**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Zabrzączał intercom na biurku Pontowskiego.

- Panie pułkowniku - mówił van der Roos - zjawił się kapitan Stuart; chce się z panem widzieć.

- Wpuszczaj go tu - odparł Matt. - I poproś jeszcze pułkownika Boucharda, żeby tu wpadł. - Wstał na powitanie „Robala”. - Dziękuję, że przyleciałeś. - Podali sobie ręce.

- Siadaj - powiedział Matt, wskazując kapitanowi kanapę. „Robal” usiadł, a pułkownik zaczął opisywać mu swoje problemy. - W zasadzie potrzebna mi koncepcja operacji taktycznych, która

więzałaby wszystko, co tu razem robimy, w całość. A w tej chwili mam tylko kawałki. - Przerwał mu van der Roos, informując, że przyszedł Bouchard. - Jednym z tych kawałków jest właśnie pułkownik Bouchard. - Przedstawił „Robala” Bouchardowi i Piętowi i pokazał wszystkim, żeby usiedli.

- Panie pułkowniku - powiedział do Boucharda - jestem starym pilotem myśliwskim i nie mam pojęcia o działaniach wojsk lądowych. W związku z tym chciałbym, żeby do czasu powrotu generała de Royer pełnił pan funkcję dowódcy sił lądowych ONZ. - Zapadła cisza.

- Oczywiście - odpowiedział wreszcie Bouchard. - Oczywiście, zrobię to, skoro pan prosi. Ale to najbardziej dziwna propozycja, jaką...

- Miłą stroną bycia naczelnym dowódcą - powiedział Pontowski - jest to, że mogę teraz robić rzeczy wyjątkowe. - Zwrócił się do Stuarta. - Na przykład, potrzebny mi pełen program ACT. - ACT to skrót od „air combat tactics”, czyli taktyka walk powietrznych. Powolny i mało zwrotny A-10 nie jest samolotem zaprojektowanym do walk myśliwskich.

- Zrobi się - zapewnił „Robal”.

- To, co stało się z Leonardem, już się nie powtórzy - mówił dalej Matt. - Jestem zmęczony kopaniem nas w dupę za każdym razem, kiedy coś robimy. Od tej pory to my będziemy kopać, a nie nas. Kłopot polega na tym, że cała nasza misja prowadzona jest jak najtańszym kosztem - nikt nie chce dać nam potrzebnego wsparcia. A zatem, w jaki sposób wywiążemy się z naszych obowiązków?

Przez następne dwie godziny toczyła się narada wojenna.

Kiedy oficerowie wyszli, Matt oparł się wygodnie w fotelu i zaczął rozmyślać o „Robalu”. Można było uznać, że Dwight Stuart dorósł już i zmienił się. Czy jednak nie stracił przy tym na waleczności i odwadze? Czy to wciąż ten sam „Robal”, którego potrzebuję - myślał - atakujący z furią przeciwników, strzelający bez wahania, powietrzny zabójca, który umie świetnie latać i walczyć?

Czas pokaże.

Kiedy Matt wrócił z lunchu, znowu czekał na niego Bouchard.

- Mamy problem - oznajmił Francuz. - Péndulo wzywa natychmiast generała de Royer do ministerstwa obrony. Ale ponieważ generał jeszcze nie wrócił...

- Sprawę muszą załatwić ja - dokończył Pontowski.

- Jest z nim madame Martine.

- Ona wie, że de Royera nie ma w Afryce i że ja dowodzę do czasu jego powrotu... czy zastąpienia. - Matt złapał czapkę. - Byłbym wdzięczny, gdyby poszedł pan ze mną.

Czekali ponad godzinę, zanim wprowadzono ich do biura ministra. Pontowski starał się ukryć irytację spowodowaną opóźnieniem. Cekał spokojnie, aż Péndulo skończy rozmawiać przez telefon. Elena siedziała w wygodnym fotelu, popijając herbatę. W końcu minister odłożył słuchawkę i podniósł wzrok na swoich gości.

- Być może pamięta pan - zaczął, zwracając się do Matta - ten niefortunny incydent, kiedy kazał pan afrykanerskim inspektorom opuścić wasze namioty - magazyny? Jak pan wie, inspektorzy ci mieli upoważnienie ONZ-towskiej misji obserwacyjnej, zezwalające

im na skontrolowanie wszystkich ładunków przed ich wysłaniem. Ponadto Ysterplaat to południowoafrykańska baza wojskowa, i jako taka podlega mojej jurysdykcji. A zatem, każąc inspektorom opuścić bazę, przekroczył pan swoje kompetencje i obraził mój rząd.

- Dostaną zezwolenie na powrót do bazy - odezwała się Elena - a pan będzie musiał ich przeprosić. Tak zdecydowano w centrali ONZ.

Pontowski zmusił się, żeby zapanować nad tym, co mówi. Nie wyszło mu. Powiedział:

- Nawet nie ma mowy! Grozili zestrzeleniem moich samolotów, a ja zawsze biorę pod uwagę groźby.

- Tym niemniej - nie ustępowała Elena, uśmiechając się - musi pan ich przeprosić i pomagać im we wszystkim, co będzie im potrzebne. Jak już powiedziałam, tak zdecydowano.

- Widzę tu pewien problem - odezwał się teraz Bouchard. - Ci inspektorzy należą do AWB. To organizacja zbrojna. Zagrozili Amerykanom użyciem siły. Wobec tego obowiązkiem ONZ, jako organizacji pokojowej, jest zapobieganie konfliktowi dwóch uzbrojonych stron. Jako dowódca sił lądowych, którym zostałem na czas nieobecności generała de Royer, nie pozwolę żadnemu przedstawicielowi AWB zbliżyć się do amerykańskich namiotów.

- Nie jest pan do tego upoważniony - zaproponowała Elena.

Twarz Boucharda przypominała w tym momencie woskową maskę.

- Ależ jestem - odparł. - Jeśli mnie nie posłuchają, każę do nich strzelać.

- Pułkownik Bouchard jest dowódcą moich sił lądowych - dodał Pontowski - nie pozostaje mi zatem nic innego, jak go poprzeć.

Czy macie państwo jeszcze jakieś inne sprawy?

Na twarzy Eleny pokazała się wściekłość; Péndulo pokręcił tylko głową. Bouchard wstał i przytrzymał swojemu nowemu dowódcy drzwi.

- *Au revoir* — rzucił na pożegnanie, wychodząc za Mattem z pokoju.

- Po czyjej stronie jest pani Martine?... - zapytał Matt po francusku, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

Bouchard wzruszył wymownie ramionami, w bardzo francuskim stylu. - ONZ musi pozostać w każdych okolicznościach neutralna - stwierdził. - Ale dla biurokratów, takich jak pani Martine, wszystko to jest zabawa. Noszą imponujące tytuły, mają przywileje, nikomu się nie narażają, i bardzo mało robią.

- Tak czy owak, dziękuję panu za udzielenie mi poparcia - powiedział Matt. - Nie wiedziałem, że dowódca sił lądowych ma takie kompetencje.

- Nie ma - wyjaśnił Bouchard.

- Cholera, wszystko skrupi się na mnie!... - Pontowski pokręcił głową.

- Panie pułkowniku, czy mogę coś panu poradzić? - spytał Francuz.

- Oczywiście.

- Niech pan przestanie sypiać z Eleną Martine.

- Czy to aż tak rzuca się w oczy?...

- Martine spodziewała się poparcia z pana strony - odparł Bouchard. - Kiedy zamiast tego sprzeciwił jej się pan, była wściekła. Elena Martine to niesłychanie wyrachowana osoba. Wszystko co

robi, robi z jakiegoś powodu. To tylko jedna z ich zagrywek.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem... - mruknął Pontowski, nie przestając jednak mówić po francusku.

Bouchard spojrział na niego swoim prawdziwym okiem i wyjaśnił spokojnie:

- Pani Martine sypia z panem, żeby uzyskać nad panem kontrolę. Musi pan zbadać, jakie ma kontakty i z kim może współpracować.

Matt zastanowił się chwilę. Trzy dni wcześniej kochali się w samolocie. Wracła z Nowego Jorku, skarżąc się, że jej działania w RPA są krytykowane, że oskarża się ją o nieprzestrzeganie neutralności. Skoro jednak już wtedy wiedziała, że inspektorzy mają zostać ponownie wpuszczeni do bazy, dlaczego mu o tym nie powiedziała? Czy próbowała najpierw go „zmiękczyć”? Czy miała jakieś kontakty, o których nie wiedział? A może to wszystko wynikało po prostu z nieco innego, francuskiego sposobu myślenia?

- Czy Elena jest Francuzką? - zapytał.

- Nie. To Niemka.

## **Czwartek, 26 marca**

### **Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Sam wstała wcześnie, żeby wymyślić jakiś temat do reportażu. Wtedy dopiero do hotelu Landdrost, w którym mieszkały, wróciła Elizabeth. Zerknęła na Samanthę i opadła na fotel koło okna.

- Czuć od ciebie jego zapach - powiedziała Sam. - Musiałaś się z nim przespać?

Liz popatrzyła na nią wzrokiem, który mówił: „to nie twój interes”.

- Czy jest kawa? - rzuciła. Samantha podeszła do barku i naląła jej



kubek. - To najbardziej niezwykły mężczyzna, jakiego w życiu poznałam - oświadczyła.

- To Hans Beckmann - przypomniała jej przyjaciółka.

- Nie jest taki, jak myślisz. Jest taki niewinny...

- Rzeczywiście!

- ...w niektórych sprawach - dokończyła Gordon. Jest... hmm... po prostu jest trochę inny...

- Mówisz, jakby było ci wstyd - powiedziała Samantha, podając jej kawę.

- Sam, to pomoże mi w karierze. Czuję to w kościach!

- I nie tylko w kościach - stwierdziła zimno Sam. - Liz, przestań sypiać, z kim popadnie.

248- Bez przesady, Sam. Z iloma facetami spałam?

- Nie wiesz?

- Wliczając Hansa, w ciągu ostatnich dziesięciu lat było tylko czterech.

- To rzeczywiście niewielu, jak na twoją reputację...

- Zanim pojawiło się AIDS, byłam naprawdę ostra... - przyznała Liz. - I zawsze osiągałam dzięki temu to, co chciałam.

- Mam nadzieję, że przynajmniej teraz uprawiasz bezpieczny seks...

Liz westchnęła.

- Nie jestem głupia. A poza tym, on... - Popatrzyła na przyjaciółkę, czując potrzebę wygadania się. - Wiesz, kiedy byliśmy w łóżku... nie byłam nawet w stanie myśleć... zupełnie mnie wzięło... czułam, że mu ufam.

Sam przyklękła i wsunęła Elizabeth pod stopy puf.

- Jak możesz być taka głupia... - powiedziała. Pożałowała swoich słów, widząc bolesny wyraz twarzy Liz. - Przepraszam, nie chciałam cię zranić!

- Sam - tym razem to coś innego. On jest taki czuły... Dotykał mnie i mówił w taki sposób, że... mogłam tylko zamknąć oczy i słuchać. - Zamknęła i teraz oczy, przywołując przeżyte sceny. - Dwukrotnie osiągnęłam orgazm, zanim on miał wytrysk. On wie, jak ze mną postępować...

- Rzeczywiście, z tego co słyszę...

Gordon uśmiechnęła się i zmieniła temat.

- Hans mówi, że w Kimberley dzieje się coś, co warto sfilmować - powiedziała. - Możemy wyprzedzić innych reporterów. Mamy na dziś wieczór zarezerwowane bilety na samolot. - Ruszyła do sypialni, zrzucając z siebie ubranie.

Po paru chwilach Samantha usłyszała z łazienki odgłos prysznica. Podeszła do okna i wyjrzała na hotelowy ogród.

- Liz - powiedziała do siebie. - Przecież on cię wykorzystuje.

## **Czwartek, 26 marca**

### **Durban, Republika Południowej Afryki**

MacKay siedział samotnie na werandzie hotelu George, zwieszającej się nad bulwarem Marine Parade. Przy innych stolikach siedzieli po dwóch - trzech biali najemnicy. Wszyscy szukali pracy. Od czasu do czasu któryś z mężczyzn rzucał pułkownikowi wrogie spojrzenie, zastanawiając się, co robi Murzyn w grupie ludzi, którzy chcą zabijać innych Murzynów za pieniądze. Jednak zachowywali rozsądek i nie zaczepiali go.

MacKay złożył trzymaną w rękach gazetę i zaczął obserwować przechodzących ludzi. Walczył ze wzbierającą w nim niecierpliwością. Jestem w tym hotelu dopiero półtorej doby - powtarzał sobie. „Założyłem przynętę”, jak powiedziały „chłopcy”, a teraz czekam na ryby.

Nie zauważył nowego przybysza, który stanął na werandzie. Mężczyzna rozejrzał się wśród tłumku i wybrał człowieka, który był wyższy i potężniejszy od MacKaya. Zadowolony ze swojego wyboru powiedział mu coś na ucho. Potężny brodacz - najemnik, podobnie jak

John, miał brodę - podszedł do MacKaya.

- Hej, czarnuchu - powiedział - czas stąd spierdalać. Znasz się na zegarku, prawda? Czy pracujesz według waszego, pieprzonego, afrykańskiego czasu?

MacKay podniósł wzrok i skinął na kelnera. Jednocześnie podsunął najemnikowi krzesło i powiedział spokojnym tonem:

- Proszę, niech pan usiądzie.

Olbrzym przewrócił krzesło kopniakiem.

- Zwariowałaś, czarnuchu? Powiedziałem, że czas, żebyś się stąd wyniósł. Może masz kłopoty ze słuchem? - Nachylił się i pstryknął pułkownika w ucho. - Wytrząsnąłem ci trochę wosku?

MacKay całkowicie zachowywał panowanie nad sobą. Odpowiedział równie spokojnie jak przedtem:

- Nie. Proszę, niech pan usiądzie; postawię panu piwo. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- O co będziesz mnie pytał? - warknął mężczyzna, naśladowując wymowę charakterystyczną dla biednych, murzyńskich dzielnic

miast amerykańskich.

Teraz John spojrział na przybysza, który stał przy barze. To musi być werbownik. Wywołał sprzeczkę, żeby sprawdzić swojego wybrańca. Pułkownik nachylił się więc do białego brodacza, jakby chciał powiedzieć mu coś w zaufaniu i wyjaśnić:

- Chciałem poprosić cię, żebyś przestał zachowywać się jak szalejący dupek. - Mężczyzna zamrugął oczami ze zdziwienia. - I spytać, dlaczego masz rozpięty rozporek. - Potężny najemnik zamrugął oczami jeszcze raz. W tym momencie popełnił błąd. MacKay złapał go za brodę i szarpnął za nią gwałtownie, tak że szczeka najemnika uderzyła w stół. Drugą ręką pułkownik pociągnął go w górę za włosy, a potem nacisnął z całych sił jeszcze raz. Niczym kafar, zaczął metodycznie wbijać brodę mężczyzny w stół.

Jeden z najemników podszedł, żeby uwolnić kumpla z opresji. MacKay zastosował błyskawicznego kopniaka, łamiąc napastnikowi kolano. Trzeci zbliżył się do pułkownika z nożem w ręku.

- Uważaj, nie jesteś wystarczająco dobry - poradził mu po przyjacielsku John, uśmiechając się.

- Dość tego! - rzucił donośny głos od strony baru. Był to przybysz. Podszedł i usiadł koło MacKaya. - Zabierzcie stąd tych dwóch głupków! - pokazał leżących na podłodze mężczyzn. - Czy możemy liczyć na odrobinę prywatności? Weranda szybko opróżniła się; odciągnięto także nieprzytomne z bólu ofiary Johna. - Wytrzyjcie krew. - Nadbiegł kelner z mokrym ręcznikiem, i wziął się za sprzątanie.

- Słuchają pana - zauważył MacKay.

- Znają mnie - wyjaśnił nieznajomy, wyciągając rękę i

przedstawiając się.

- Nazywam się Marius Kreiner.

- John Mills - odparł MacKay, ściskając mu dłoń. Tym razem posłużył się swoim najnowszym nazwiskiem, wymyślonym na potrzeby firmy z Bloemfontein.

- No cóż, panie Mills, słyszałem, że specjalizuje się pan w systemach zabezpieczających. Chociaż nie jest to dokładnie to, o co nam chodzi.

To musi być to, o co wam chodzi - pomyślał pułkownik - skoro ze mną rozmawiasz.

- Specjalizuję się w komputerowych systemach zabezpieczających - wyjaśnił. - Pracowałem dla Sicherheitsdienste w Niemczech. To ja rozwinąłem ich system. Jest teraz najlepszy na świecie.

- Tak mówią - zgodził się Kreiner. Usilnie starał się ukryć podniecenie, spowodowane tym, że znalazł kogoś o tak wyjątkowych referencjach. - Rozumiem, że Sicherheitsdienste poręczy za pana...

- Niech pan ich spyta - rzucił obojętnie John.

- Spytam ich, panie Mills, spytam. - Kreiner wstał i ruszył do wyjścia.

- Niech pan pokaże im to - powiedział MacKay. Rzucił na stół identyfikator Żelaznej Gwardii. Wyglądał tak samo jak ten, który został zabrany zabójcy z Johannesburga, tyle że widniało w nim zdjęcie MacKaya i jego fałszywe dane.

- Gdzie pan to zdobył?!... - zapytał Kreiner.

- Sam sobie zrobiłem - odparł John.

- Ale jak?!

Teraz MacKay rzucił na stół legitymację zabraną zabójcy.

- Wzorowałem się na tej. Przed świętami miałem małą sprzeczkę z jej właścicielem.

- To jeden z naszych - powiedział Kreiner.

- To był jeden z waszych - uściślił John. - Był. Bawił się nieźle w Soweto... Wołał coś o tym, że wykonał wielkie zadanie i zaczął zaczepiać moją damę. Powiedział mi, że stać go na nią.

- No i?... - spytał z podnieceniem Kreiner.

- Nie było go stać - odpowiedział krótko MacKay.

- Będziemy w kontakcie, panie Mills.

Pukanie do drzwi pokoju MacKaya odezwało się na parę minut przed północą. Przed drzwiami stał Kreiner.

- Czy mogę wejść? - zapytał. MacKay wprowadził go do środka. - Pańskie referencje są po prostu nadzwyczajne - oznajmił Kreiner. - Potrzebujemy kogoś o takich umiejętnościach. Oczywiście to, że jest pan czarny, nie stanowi problemu. Zatrudniamy Murzynów... pod warunkiem, że są zdecydowani wspierać nas w walce przeciw innym czarnym Afrykanom...

- Nie jestem Afrykaninem - odpowiedział MacKay. - Prowadziłem w Bloemfontein prosperującą firmę, zanim tak zwani „Afrykanie”, jak pan powiedział - czarne skurwysyny - położyli łapy na moim magazynie. Kiedy nie mogłem nadażyć z tak zwanymi „prowizjami” - zwyczajnymi łapówkami dla tych gnojków - cofnęli mi zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej i zajęli konta bankowe. Zrujnowali mnie. Zabrali mi nawet paszport! - MacKay rzucił na stół nowiutki paszport. - Musiałem sobie zrobić nowy.

- Dlaczego pan nie wyjechał?

- Wyjadę... kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Na razie muszę dojść do ładu z pewnymi sprawami, rozumie pan... Gdzie będę pracował?

- A czy to robi panu różnicę?

- Te „pewne sprawy”, o których wspomniałem, znajdują się w Bloemfontein.

- Ach, rozumiem - odparł Kreiner. - Zemsta... To nam pasuje.

## **Rozdział osiemnasty**

**Piątek, 27 marca**

**Kiraberley, Republika Południowej Afryki**

Elizabeth Gordon stała na tarasie widokowym, z którego rozciągał się widok na Big Hole - „Wielką Dziurę”. Samantha filmowała tymczasem okolicę. Wreszcie zawołała:

- Gotowe! - Skierowała kamerę ku Elizabeth i dała znak, żeby zaczęła mówić.

- Dawni myśliwi i rolnicy, którzy mieszkali tu setki lat temu - zaczęła Gordon - nazwali tę część Południowej Afryki „Karoo”, co oznacza „spragnioną ziemię”. Jak na ironię okazało się, że w tym właśnie odludnym miejscu znajduje się największe na świecie złożo diamentów. Za moimi plecami leży Big Hole - niegdyś najbogatsza w diamenty kopalnia świata. Wyrobisko ma około kilometra głębokości, a jego średnica sięga półtora kilometra. Zanim złożo wyczerpało się, wydobyto stąd ponad czternaście i pół miliona karatów diamentów, to znaczy mniej więcej trzy tony. Dziś całe to miejsce jest olbrzymim dołem, częściowo wypełnionym wodą.

Głośny hałas na chwilę rozproszył reporterkę, ciągnęła jednak dalej:

- Big Hole obrazuje wpływ nowoczesnego świata na tę prastarą krainę i zamieszkujące ją ludy. Im więcej wiem o tej dziwnej i pięknej ziemi... - Teraz hałas odezwał się głośniej i wyraźniej - były to strzały. - Co się dzieje?!... - Elizabeth była przestraszona.

Do dziennikarek dotarły odgłosy dużej demonstracji, której członkowie byli najwyraźniej uzbrojeni.

- Do samochodu, szybko! - ponagliła Samantha. Kobiety pobiegły do zaparkowanego nieopodal wozu i wskoczyły do środka. Samantha ruszyła w stronę wyjazdu z obiektu, mijając już tłum, zmierzający ku tarasowi widokowemu, na którym dopiero co stały.

- Poczekaj - odezwała się Elizabeth. - Widziałam już sporo demonstracji, a ci ludzie nie wydają się wrogo nastawieni. Chcę mieć to nagrane.

- Zwariowałaś?! - odpowiedziała Sam, patrząc na nią ze zdumieniem. Ona także filmowała niejedną demonstrację; zbyt wiele z nich przeradzało się z pokojowych w agresywne, i za każdym razem rozwścieczony tłum ruszał przede wszystkim ku kobietom stojącym za kamerami.

- To nasz zawód - pouczyła ją Elizabeth. - Zatrzymaj się. - Samantha posłuchała i zjechała na bok.

Ruszyły biegiem w kierunku tłumu; Liz zabrała ze sobą mikrofon z nadajnikiem. Podsunęła go ku grupce wykrzykujących coś chłopców, którzy wymachiwali czarno-złotą flagą. Widok dwóch białych dziennikarek z zagranicy, które chciały zrobić z nimi wywiad, podziałał na nich pozytywnie. Uśmiechając się, wyjaśnili, że są z



Narodowego Azaniańskiego Frontu Wyzwolenia i walczą o wolność dla Murzynów.

- A co takiego krzyczycie? - wypytywała Elizabeth.

- Przyszłość jest nasza! Ziemia jest nasza! To my jesteśmy narodem! - powtórzył po angielsku jeden z chłopaków. Pozostali tłoczyli się, ciesząc się, że są filmowani. Posuwali się razem z dziennikarkami w stronę tarasu. Sam pierwsza zorientowała się w niebezpieczeństwie.

- Nie zbliżajmy się do tarasu! - ostrzegła przyjaciółkę po cichu. Zaczęły więc wycofywać się z tłumu, tłumacząc chłopcom, że muszą zrobić panoramiczne ujęcie całej demonstracji. Chłopcy nie protestowali i dołączyli do pozostałych.

- Coś nie tak? - spytała Gordon.

- Zobacz, mają tam kogoś związanego. - Liz spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła dwóch mężczyzn ciągnących bezwładne ciało. Sam ruszyła biegiem wzdłuż niewysokiego murku, otaczającego wielkim pierścieniem Big Hole, aż znalazła się w miejscu, z którego mogła dogodnie filmować cały taras.

- Zaczynaj mówić! - zarządziła, kierując obiektyw ku tłumowi. Gordon zaczęła:

- Pokojowa z początku demonstracja wyrażająca poparcie dla Narodowego Azaniańskiego Frontu Wyzwolenia przerodziła się w rozruchy. Grupka agitatorów podsycia nastrój tłumu, który powoli wpada w szal, żądając zemsty za doświadczenia przeszłości. Jak mi się zdaje, kierujący demonstracją nie mają nic przeciwko temu. Być może dobrze tego państwo nie słyszą, ale okrzyki zamieniły się teraz w jeden wielki ryk... O, Boże! Ciągną człowieka na krawędź

przepaści!...- Zamilkła, widząc, że tłum z podnieceniem wyraża radość z tego, co się dzieje.

- Mów coś! - syknęła Samantha. - Nagrywam to! - Liz podniosła mikrofon do ust.

- To najwyraźniej rytualna ofiara... - zająknęła się i zmusiła się do tego, żeby nie stracić panowania nad głosem - ...symboliczna. Demonstranci zrzucają manekina przedstawiającego białego mężczyznę z tarasu. Najwidoczniej Narodowy Azaniański Front Wyzwolenia odnalazł nowe zastosowanie dla Big Hole...

Sam opuściła kamerę. Na jej twarzy malowała się ulga.

- Zjeżdżajmy stąd, zanim zdecydują się na prawdziwą ofiarę - powiedziała. Wróciły szybko do samochodu, obchodząc z daleka demonstrujących.

Nadbiegli jednak trzej z chłopców, z którymi Elizabeth robiła wywiad; machali azaniańską flagą.

- Zabierzcie nas do miasta - zawołał jeden. Sam nie miała wyboru. Dziennikarki poczekały, aż chłopcy wpakowali się na tylne siedzenie. Tymczasem dobiegli już inni; po chwili na masce wozu, jak również na bagażniku siedziało po kilku nastolatków. Dziennikarki jechały powoli do Kimberley samochodem oblepionym młodymi, czarnymi ludźmi. Na ulicach miasta roiło się od mieszkańców. Wielu przechodniów machało i wydawało okrzyki ku chłopcom, a ci odmachiwali im.

- Jakby było jakieś święto - odezwała się Elizabeth.

- Wracajmy do hotelu - powiedziała Sam. Wysadziły chłopaków i pojechały do centrum. W którymś momencie usłyszały odległe wycie syreny strażackiej.

- Święto się skończyło - oznajmiła Samantha. - Teraz zaczynają się zamieszki.

Minęły szereg strażników, ustawionych przed hotelem, i weszły do środka. Zastępca dyrektora hotelu - Hindus z Kalkuty, wykształcony w Londynie - uspokajał gromadę zdenerwowanych gości.

- Proszę się nie obawiać - mówił dźwięczną, hinduską angielszczyzną, jakiej nauczył się w dzieciństwie. - Mieszkańcy miasta mają dużo dobrej woli. Jesteśmy bezpieczni.

- Wierzysz w to? - rzuciła Sam swojej towarzyszce. Z zewnątrz odezwały się krzyki.

Elizabeth była zdezorientowana. Wprawdzie Hans Beckmann uprzedzał ją, że mogą zdarzyć się niepokoje, nie spodziewała się jednak czegoś na podobną skalę.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Przecież Hans mówił, że będzie tylko demonstracja.

- Może właśnie coś takiego nazywa demonstracją - odparła Sam. - Sfilmujmy to z dachu. Na zewnątrz nie wychodzę, dopóki nie przybędzie jakaś pomoc.

## **Sobota, 28 marca**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

„Robal” czekał cierpliwie, aż główna sala odpraw skrzydła zapełni się. Większość pilotów trzymała jeszcze w dłoniach kubki z kawą, próbując odgonić resztki snu. Odprawę wyznaczono na trzecią w nocy. Niektórzy z przybyłych wykazywali nikłe oznaki kaca.

To znamienne - pomyślał „Robal”, obserwując siadające na krzesłach załogi. Ci z C-130 skupiali się wokół podpułkownik

Kowalski, podczas gdy piloci A-10 zajmowali miejsca na samym końcu. Ludzie, zgrajcie się - myślał Stuart. - Będziecie się wzajemnie potrzebować.

Z holu doleciał odgłos wysokich butów. „Robal” uśmiechnął się, widząc, że siedzący na sali jednocześnie odwracają głowy. Do sali wmaszerowało czterech oficerów i sześciu podoficerów w ciemnozielonych, francuskich mundurach połowych. Zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, pozostawiając jedno wolne. Nie siadali.

- Salaa bacz-ność!!! - zagrzmiała Lydia Kowalski.

Amerykanie podnieśli się z miejsc i wyprężyli na baczność, podczas gdy w drzwiach ukazał się Pontowski.

- Siadajcie, proszę - odezwał się Matt, sam także zajmując miejsce koło Francuzów.

„Robal” zaczął odprawę.

- Witam - powiedział. - Jestem kapitan Stuart. Rozpoczynamy odprawę operacyjną, dotyczącą Operacji „Błękitny Smok”, w której po raz trzeci zostaną użyte Siły Szybkiego Reagowania Organizacji Narodów Zjednoczonych - czyli w skrócie QRF (Quick Reaction Force). Po pierwsze, chciałbym państwu przedstawić pułkownika Valery’ego Boucharda z francuskiej Legii Cudzoziemskiej. - Bouchard wstał i skinął głową. Kiedy siadał, „Robal” zauważył na twarzy Pontowskiego lekki uśmiech. Widocznie wie o tym człowieku coś, czego my nie wiemy - pomyślał Stuart. Tymczasem za jego plecami zaświecił się pierwszy ze slajdów.

- Wczoraj wieczorem - ciągnął kapitan - w mieście Kimberley wybuchły liczne zamieszki. Trzymając się swojej długotrwałej

tradycji niestosowania przemocy i nie wtrącania się w waśnie plemienne, rząd Republiki Południowej Afryki poprosił nas o pomoc. - Rozległy się chichoty. Obawa rządu RPA przed używaniem własnych wojsk była częstym przedmiotem drwin amerykańskich lotników. - Naszym celem jest wysadzenie sił QRF na lotnisku w Kimberley dziś o świcie. Znalazłszy się na ziemi legionieści pana pułkownika Boucharda wejdą do miasta jako oficjalne siły ONZ i przywrócą porządek. Raporty donoszą, że zamieszki mają charakter cywilny; nie spodziewamy się więc żadnego zorganizowanego oporu.

Na ścianie pojawił się drugi slajd.

- Oto nasze zasady postępowania - ciągnął Stuart. - Proszę, zanotujcie sobie i zapamiętajcie pierwszą: nie wolno nam pierwszym otwierać ognia; odpowiadać na ogień możemy natomiast tylko wtedy, gdy będzie skierowany bezpośrednio do nas. Od tej reguły nie ma żadnych wyjątków, dlatego też sugerowałbym, żeby każdy wytatuował ją sobie na tyłku, dla pamięci... - Zrobił pauzę, czekając, aż skończą notować.

De Royer rozchoruje się, kiedy usłyszy o wszystkim, co zarządziłem - pomyślał Matt, wspinając się na pokład herculesa kapitan Kowalski. Jednak na razie go nie ma, więc nie może mi niczego zabronić.

Ponizej Matta, w ładowni, siedział już Bouchard i osiemnastu legionistów, przygotowanych do zrzutu.

- Witamy na pokładzie, panie pułkowniku - odezwała się Lydia. - Mam nadzieję, że będziemy mogli wylądować, zamiast zrzucić spadochroniarzy. Pułkownik Bouchard chce

skakać z wysokości stu pięćdziesięciu metrów, co wcale mi się nie podoba. - Pontowski zgodził się z jej opinią. Skok z herculesa lecącego z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nie rokował długiego życia człowiekowi, któremu nie otworzyłby się główny spadochron. Choć trzeba przyznać, że zapewniał szybkie znalezienie się każdego skoczka na ziemi, w taki czy inny sposób.

Kowalski zaczęła uruchamiać silniki. Kiedy już wszystkie cztery śmigła obracały się z równą prędkością, obok C-130 przejechały dwa kołujące A-10. W pierwszym z nich siedział „Robal”. Pokazał załodze herculesa skierowane w górę kciuki. Lydia ruszyła, podążając za „Świniami”. Oczekała, aż samoloty Stuarta i Moreno, który został na ten dzień wybrany, zostaną skontrolowane na końcu pasa przez personel naziemny. Mechanicy usunęli zewnętrzne zabezpieczenia uzbrojenia i obejrzelik metodycznie kadłuby, czy nie widać na nich śladu przecieków bądź odrywającego się poszycia. Szefowie obsługi podnieśli kciuki i „Świnie” wyjechały na start, a następnie wzniosły się w powietrze w odstępie dwudziestu sekund.

Rozpoczęła się operacja „Błękitny Smok”.

**Sobota, 28 marca**

**Kimberley, Republika Południowej Afryki**

Kiedy dwa A-10 zniżyły się do ostatniego przelotu nad lotniskiem, słońce zaczęło dopiero wylaniać się znad wschodniego horyzontu. Większa część lotniska pogrążona była jeszcze w głębokim cieniu. Stuart dwukrotnie wywoływał miejscową wieżę kontrolną, ale bez rezultatu. Teraz „Robal” skręcił na prawo od głównego pasa

startowego i przeleciał nad płytą na wysokości sześćdziesięciu metrów. Spojrzał na wieżę, ale powybijane szyby i ślady dymu snującego się z okien przekonały go, że nie uzyska odpowiedzi na żaden sygnał.

- „Goryl”, ruszaj - rozkazał.

Moreno przeleciał nad największym z budynków i nad parkingiem. Stuart tymczasem rozmawiał już z załogą C-130, który znajdował się o pięć minut drogi od lotniska.

- „Tragarzu”, na pasie stoją dwie ciężarówki; w wieży kontrolnej nie widać znaków życia.

- A jak wyglądają drogi do kołowania? - zapytała Kowalski.

- Wszędzie pełno samochodów. Nie ma żadnego ruchu, ale nie wylądujecie tam.

- Widzę na parkingu jakichś ludzi - odezwał się „Goryl”. - Zdaje się, że kogoś obudziliśmy.

- Proszę podjąć decyzję - odezwała się Lydia do Pontowskiego. - Nie możemy lądować, a jeśli mamy zrzucać spadochroniarzy, to trzeba to zrobić szybko, zanim obudzi się zorganizowany komitet powitalny. Skoczkowie są przypięci i czekają na sygnał. - Przekazała przez

interkom dowódcy skoku ostrzeżenie o trzech minutach, podczas gdy Matt podejmował decyzję.

- Naprzód! - oznajmił.

- Potwierdzam - odpowiedziała podpułkownik i wypoziomowała lot na wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Utrzymywała teraz stałą prędkość dokładnie dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Nawigator zaczął odliczanie do chwili, w której zapłonie zielone

światło dla skoczków.

- Wszystko w porządku - powiedziała Kowalski.

- Zielone! - zakończył odliczanie nawigator. Druga pilot włączyła zielone światła nad tylnymi drzwiami dla spadochroniarzy po obu burtach samolotu i legionieści wysypali się jeden po drugim z transportowca.

- Zrzut zakończony - oznajmił przez interkom dowódca zrzutu.

- Szybcy jesteście - pochwaliła druga pilot.

- Powinna pani zobaczyć, jak rusza się pułkownik - odparł mężczyzna. - Wyskoczył, kiedy światło jeszcze na dobre nie skończyło się zapalać. Jego czas reakcji wynosi prawie zero. Drużyna posypała się za nim jak wagony pociągu ekspresowego.

Pontowski przełączył się z interkomu na radio i rozkazał:

- „Robal”, osłaniajcie nas.

- Już nas osłaniają - wtrąciła się Lydia. - To zostało przewidziane w planie „Robala”. Zanim pułkownik Bouchard zorganizuje się na ziemi, pełnimy funkcję latającego stanowiska dowodzenia.

Przeszkadzam im tylko - pomyślał Matt. Niech robią swoje. Właściwie powinienem zostać na ziemi, w Ysterplaat...

Kowalski zrobiła nad lotniskiem koło, żeby Pontowski mógł zobaczyć, co dzieje się pod nimi. Legionieści pozbyli się już spadochronów i spychali z pasa jedną z ciężarówek. W radiu odezwał się naznaczony francuskim akcentem głos Boucharda:

- „Tragarzu”, tu „Błękitna Szarża”. Jesteśmy na ziemi; strzelają do nas z dachu budynku terminalu. Pas będzie czysty za dwie minuty.

Pontowski z podziwem słuchał, jak chłodno i rzeczowo mówi Bouchard. Nagle poczuł zazdrość - francuski pułkownik bierze



udział w akcji, podczas gdy on jest tylko widzem.

- Panie pułkowniku, czy „Świnie” mogą udzielić „Błękitnej Szarzy” wsparcia ogniowego? - spytała Lydia.

- Zgoda - odparł Matt, czując się w tym momencie odrobinę przydatny.

Lydia przekazała wiadomość Stuartowi i Moreno. Pontowski sięgnął po notatnik, zapisując czas i okoliczności, w jakich doszło do użycia A-10. Patrzył, jak samolot „Robala” zbliża się na małej wysokości do budynku. Spodziewał się ujrzeć czerwonawy dym z działka avenger. Jednak niczego takiego nie zobaczył.

- Kończę bez strzału - zameldował Stuart. - Na dachu jest pełno ludzi. Dużo kobiet i dzieci. Zdaje się, że tam spali. Nie jestem w stanie wybrać napastników. - Niewielka prędkość samolotu i bystry wzrok „Robala” uratował zaspanych ludzi od masakry. - „Goryl”, przeleć nisko nad nimi, robiąc jak najwięcej hałasu. Tylko raz. Może ich to uspokoi.

- Tak samo było w Vanwyksvlei - odpowiedział Moreno. - Łatwy sposób na wygrywanie wojny. - Pociągnął dźwignie przepustnic do oporu i omal nie uderzył w dach budynku, mijając go w odległości trzech metrów. Po nim w podobny sposób przeleciał „Robal”, tyle że prostopadle do toru lotu Moreno. „Goryl” przygotował się do kolejnego przelotu i spytał: - Jak sądzisz, czy długo będzie nam wystarczało samo bzyczenie?

- „Błękitna Szarzo” - odezwała się Kowalski - czy nadal do was strzelają?

- Trochę - odparł Bouchard. - Pas oczyszczony. Herculesy mogą lądować.

Lydia pozwoliła załogom trzech kolejnych C-130 wiozących główne siły QRF przełączyć się na częstotliwość Boucharda.

- „Robal”, „Goryl” - mówiła teraz - musimy zniechęcić strzelców z budynku terminalu. Czy możecie postrzelać w płytę przed terminalem, żeby wzbić dużo dymu i śmieci?

- Zrobi się - odparł Stuart.

Pontowski nic nie mówił. Czuł się dziwnie bezpiecznie, kiedy Lydia Kowalski manewrowała samolotem tak, żeby mogli jak najlepiej widzieć całą akcję. Wylądował pierwszy z herculesów, pilotowany przez Jake'a Madisona. Tymczasem „Robal” sypnął pociskami w płytę lotniska, podpalając przy okazji ciężarówkę. W ten sposób pomiędzy budynkiem a lądującym transportowcem wytworzyło się coś w rodzaju zasłony dymnej. Wkrótce po tym, jak Madison zjechał z pasa, na ścieżce schodzenia znalazł się kolejny hercules. Rampa samolotu Madisona opuściła się i ze środka wysypali się legionieści. Rozprzestrzenili się i ruszyli biegiem ku budynkowi. „Goryl” przygotowywał się do kolejnego przelotu z ostrzałem.

Lydia zapytała Boucharda, czy nadal strzelają. Ponieważ odpowiedział, że nie, odwołała „Goryla” i kazała mu krążyć w pobliżu. Wylądował drugi hercules, pilotowany przez Brendę Conklin. Trzeci z transportowców znajdował się w odległości półtora kilometra od pasa.

- Ci legionieści nie obijają się - powiedziała teraz podpułkownik Pontowskiemu. - Bouchard właśnie zameldował, że lotnisko jest bezpieczne. Możemy lądować. - Zaczęła manewrować tak, aby znaleźć się za trzecim C-130, który podchodził do lądowania. Po

chwili także i ona sprowadziła maszynę na ziemię.

Dowódca ładowni z samolotu Madisona skierował maszynę podpułkownik Kowalski na miejsce postoju. Pontowski znalazł się na płycie lotniska, zanim śmigła przestały się kręcić. Poszukał wzrokiem Boucharda. Panowała jednak zdumiewająca cisza; tylko płonąca ciężarówka przypominała o tym, co działo się tu przed chwilą.

- Gdzie są legionieści? - zapytał.

- Kilku jest jeszcze w budynku; dwóch w wieży kontrolnej - odpowiedział dowódca ładowni herculesa. - Reszta pojechała już do miasta. Zarekwirowali kilka pojazdów... Wie pan co, panie pułkowniku, muszę panu powiedzieć, że te żabojady umieją się ruszać.

- Nikomu nie wolno mówić „żabojady” - mruknął Matt.

Po chwili dołączyła do nich Kowalski.

- Terminal jest bezpieczny - powiedziała. - Może pan wejść, jeśli pan sobie życzy. - Pontowski odburknął coś pod nosem. - Panie pułkowniku, zgodnie z planem mamy wrócić do Ysterplaat tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Matt zezwolił jej więc na zabranie wszystkich czterech transportowców do Ysterplaat i ruszył w stronę budynku lotniska. Minął płonąca ciężarówkę i przeskoczył nad metrowej głębokości rowem, który wybiły w cemencie pociski „Robala”. W budynku dozorca sprzątał już zawzięcie. W kącie leżały cztery ciała, przykryte błękitnym brezentem. Dwóch żołnierzy patrolujących hol podeszło do Pontowskiego i zaszalutowało.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - odezwał się starszy z nich. -

Czy mogę czymś służyć? - Mówił czystym amerykańskim akcentem.

- Jest pan Amerykaninem? - zapytał Matt.

- Tak jest, kapral Rogers - odparł legionista. - Uśmiechnął się, widząc na twarzy pułkownika osłupienie. - Jest nas tu trochę. W Legii Cudzoziemskiej tylko oficerowie są Francuzami. Wszyscy inni są, a przynajmniej powinni być, obcokrajowcami, ponieważ istnieje prawo, które zabrania Francuzom walczyć poza granicami Francji. Dlatego właśnie mają Legię Cudzoziemską.

- A oficerowie?

- Wolno im zgłaszać się na ochotnika, w drodze wyjątku. To dla nich możliwość szybkiego awansu.

- Dlaczego wstąpił pan do Legii Cudzoziemskiej? - zapytał Pontowski.

- Byłem przez pewien czas w Armii Stanów Zjednoczonych. Ale chciałem brać udział w prawdziwych akcjach, a nie trzymać się z dala od wszelkich kłopotów. - Uśmiechnął się. - Legia to prawdziwi zawodowcy. Nawet teraz, kiedy uderzyliśmy na budynek, właściwie przelecieliśmy przez niego biegiem; od razu wyłapaliśmy tych, którzy strzelali.

Pontowski rozejrzał się po holu.

- Nie wątpię - odparł. - Są jakieś ofiary?

- Po naszej stronie - nie - odpowiedział Rogers.

- Liz, słyszysz? - odezwała się Samantha Darnell. Dziennikarki zaczęły z napięciem nasłuchiwać dobiegających z ulicy odgłosów. - Żołnierze! - Zerwały się i pobiegły na krawędź dachu. Samantha odetchnęła z ulgą, po długim napięciu, jakie narastało w nich przez

całą noc. - Błękitne hełmy... to wojska ONZ.

- Najwyższy czas - odezwała się Liz. - Musimy zejść na ulicę i trochę po filmować.

- No, nie wiem... - Kamerzystka wahała się.

- Sam, przecież nie było aż tak źle. Pamiętasz, jak do nas wczoraj machali? Nie sądzę, żeby sytuacja była aż tak zła, jak ci się zdawało.

- Samantha poddała się, nie chcąc dłużej oponować. Jak zwykle, jej kamera była przygotowana. Już po paru minutach znalazły się przed hotelem.

- Nagrywaj - poleciła Liz, zobaczywszy nadchodzących ośmiu żołnierzy ONZ. Sam zrobiła odpowiednie ujęcie, wykorzystując mikrofon kierunkowy, żeby nagrały się naturalne odgłosy marszu. Legioniści mieli przy sobie tarcze, służące przy tłumieniu zamieszek. Nagle z pobliskiego sklepu wybiegła kobieta, obejmująca obiema rękami wielki kłęb ubrań. Omal nie wpadła na żołnierzy. Sierżant krzyknął na nią i pokazał pałką sklep. Kobieta wrzuciła ubrania z powrotem do sklepu, po czym uciekła, uśmiechając się nerwowo.

Sam zrobiła zbliżenie, żeby pokazać walki toczące się na odcinku ulicy przed żołnierzami.

- Pokaż teraz, jak jest za nimi - poleciła Elizabeth. Samantha obróciła się więc z kamerą. Za legionistami ulica była spokojna. Gordon odezwała się do mikrofonu: - Siły pokojowe Organizacji Narodów Zjednoczonych przybyły do Kimberley i patrolują ulice miasta. Łatwość, z jaką przywracany jest porządek, wskazuje na to, że nie miały miejsca poważne zamieszki, a tylko pojedyncza demonstracja koło Big Hole, po której nastąpiło sporadyczne plądrowanie sklepów. - Wyłączyła mikrofon. - Chodźmy za nimi -

powiedziała. - Nic nam nie będzie. - Pobiegły więc za żołnierzami.

- Przepraszam, czy może pan z nami porozmawiać? - spytała Liz jednego z legionistów, wtykając mu mikrofon przed nos. Mężczyzna odburknął coś po francusku. - Przepraszam, ale nie znam francuskiego - nie ustępowała reporterka. - Z jakiego pan jest kraju?

- Kraju? - Żołnierz był zakłopotany. - Mój kraj... *La Legion Etrangère*.

- Co? - Liz nie zrozumiała.

- On jest z francuskiej Legii Cudzoziemskiej - wytłumaczyła jej Samantha.

- To nie jest kraj - odparła Liz, dotrzymując kroku żołnierzom, którzy skręcili w główną aleję, prowadzącą do centrum miasta. - Dokąd panowie idą? - zapytała teraz podoficera dowodzącego oddziałem.

- *L'hotel de ville* - odpowiedział sierżant.

- Do ratusza - przetłumaczyła Sam.

- Nie wiedziałam, że znasz francuski...

- Byłam w dobrym liceum.

Tymczasem sierżant zwolnił, słysząc odgłosy pojedynczych strzałów. Machnął na żołnierzy, żeby się kryli. Legioniści pochylili się i zaczęli posuwać się dalej skokami, przebiegając od osłony do osłony. Widać było, że mają w tym wprawę. Zachowywali absolutną ciszę, używając do porozumiewania się tylko gestów.

- To dobre! - odezwała się Sam, filmując ich ruchy. Strzały zamilkły, wobec czego sierżant wysłał naprzód zwiad, złożony z dwóch żołnierzy. Reszta ukryła się w jednym z budynków. Po kilku minutach zwiadowcy wrócili.

- Co mówią? - zapytała Liz.

- Cicho bądź! - skarciła ją Sam. Słuchała. Sierżant nawiązał kontakt radiowy z jednostką dowodzenia, która wraz z Bouchardem znajdowała się w ratuszu. Samantha odciągnęła

Elizabeth na bok i wytłumaczyła: - Sierżant mówi, że jesteśmy odcięci i otoczeni.

- Przesadzają. Mówią tak, bo wiedzą, że ich filmujemy - odpowiedziała Liz.

Matt siedział w wieży kontrolnej. Zaczęły napływać pierwsze raporty. Kapral Rogers - Amerykanin z Legii Cudzoziemskiej - podał mu plan miasta.

- Pan pułkownik Bouchard został zmuszony do zajęcia pozycji obronnych w tym budynku. - Rogers pokazał na plan. - Próbował wynegocjować zawieszenie broni, ale zastrzelili człowieka, którego wysłał z białą flagą! - Teraz wskazał budynek, w którym siedziały Sam i Liz. - A tu ukryła się drużyna innych ośmiu żołnierzy i dwie cywilne reporterki.

- Czy macie łączność z Kapsztadem? - spytał pułkownik. Poczul się jak idiota, gdy kapral usłużnie podał mu telefon. Matt wykręcił numer do Constantii, żeby zdać sprawę z sytuacji. Zdumiał się, słysząc, że osobą, która ma z nim rozmawiać, jest Elena Martine. Co ona tam robi? Pilnuje mnie, czy co? Potem jednak pomyślał, że przecież „Błękitny Smok” to operacja ONZ, a Elena jest dyrektorką Misji Obserwacyjnej ONZ w Republice Południowej Afryki... Zastępowanie de Royera wymagało więcej orientacji politycznej, niż sobie wyobrażał.

- Matt, powinieneś być tutaj - powiedziała Elena.

Wiedział, że ma rację.

- Eleno, wciągnięto nas w pułapkę. - Zwięźle opisał jej sytuację.

- Czy masz jakieś rozwiązanie? - zapytała.

Za nic nie chce ponosić odpowiedzialności - pomyślał Pontowski.

- Jeśli nie przerwiemy oblężenia, będzie tu masakra - powiedział.

- Nie wierzę, że jest aż tak źle - odparła Elena. - Bądź cierpliwy i zobacz, jak rozwinie się sytuacja. - Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

I daj się uratować Żelaznej Gwardii - dokończył w myśli Matt.

- Nie ma mowy! - mruknął na głos.

- Słucham? - zapytał Rogers.

- Nie, nic... - Teraz pułkownik wykręcił numer stanowiska dowodzenia w swoim COIC. - Będę rozmawiać przez STU-III. Mamy problemy - powiedział oficerowi dyżurnemu. Nie chciał mówić nic więcej na linii, która mogła być podsłuchiwana. STU-III, o który poprosił, to przenośny telefon, który można podłączyć w dowolnym miejscu do linii telefonicznej; koduje przeprowadzane rozmowy.

Teraz musiał czekać. Wykorzystał czas na zrobienie paru obliczeń. Znajdował się osiemset trzydzieści kilometrów od Kapsztadu. To godzina i piętnaście minut lotu dla „Świń” i półtorej godziny dla herculesów. Dla śmigłowców puma - ponad trzy godziny. Spojrzał na zegarek. Zachód będzie za cztery godziny. Chodził tam i z powrotem po pokoju, planując, co robić.

Kiedy w Kimberley wylądował hercules ze STU-III i ostatnimi z francuskich legionistów, Matt wiedział już, co zrobić. Podłączył telefon i zadzwonił natychmiast do Ysterplaat. Połączył się z



podpułkownik Kowalski.

- Lydio, znowu wciągnęli nas w pułapkę - powiedział. - Wycofuję się na lotnisko. Kłopot w tym, że dwie grupy żołnierzy są odcięte w mieście, w okolicach ratusza. Musimy je uwolnić, jutro o świcie. Muszę mieć dwie pumy i jednego herculesa. Niech wylądują, kiedy tylko się ściemni. Przygotuj herculesa do ewakuacji medycznej. Następne trzy niech będą w pogotowiu. Począwszy od piątej trzydziści czasu miejscowego chcę tu mieć stale nad głową „Świnie”. Niech wylatują po cztery, w trzydziestominutowych odstępach.

- Jak mają być uzbrojone?

- Przeciw piechocie i nieopancerzonym pojazdom. Muszę też porozmawiać z „Robalem” o taktyce.

Nareszcie robił coś przydatnego.

Wkrótce po trzeciej w nocy Kimberley przestało być zaopatrywane w prąd i wodę. Budynki wokół Samantha i Elizabeth stały się w jednej chwili nieregularnymi cieniami, ledwie odcinającymi się od nieba, które zaczynało pomалу jaśnieć. Od czasu do czasu zapalała się flara, oświetlając na parę sekund ulicę prostopadłym, ostrym światłem; po czym znowu zapadała ciemność.

- Nienawidzę czekania - burknęła Liz, cofając się z krawędzi dachu, na którym zainstalowały się na noc dziennikarki. - Muszę znaleźć czynną toaletę!

- Przecież każda toaleta jest czynna - zauważyła Sam - tylko nie można spuścić wody.

- Nie przyszło mi to do głowy - odpowiedziała Liz, odchodząc w

ciemność.

Samantha popatrzyła przez wizjer kamery. W mroku zarysowywały się kontury budynków. Ciemność ustępowała powoli wschodzącemu słońcu. Zachęcona tym, skierowała obiektyw ku centrum miasta.

- Co to jest... - szepnęła, próbując rozpoznać niewyraźne kształty. Nagle odezwała się krótka seria z broni maszynowej. Wystraszyła się. Znowu zapadła cisza. Od cieni odrywali się ludzie, posuwając się naprzód ulicą.

- Sam! - odezwała się za nią Elizabeth. - Żołnierze chcą, żebyśmy zeszły na dół. - Kobiety zbiegły czym prędzej po schodach i zobaczyły, że legionieści zgromadzili się przy drzwiach budynku, przygotowując się do wyjścia.

- Kto strzela? - spytała Sam, lecz nikt jej nie odpowiedział.

- Idźcie za nami - polecił sierżant. Powiedział parę słów do krótkofalówki i wyjrzał na ulicę.

- Dokąd idziemy? - pytała Samantha.

- *L'hotel de ville* - odpowiedział podoficer, podobnie jak poprzedniego dnia. - Stamtąd do parku Queens, skąd zabiorą nas śmigłowce. Park jest bardzo blisko, ale ulice są zablokowane i będziemy musieli się przebić.

- Biedacy... - skomentował inny legionista.

- Dlaczego nie ruszamy teraz, póki jest jeszcze ciemno? - wypytywała Sam.

- Tak zostało zaplanowane, żeby amerykańskie A-10 otworzyły dla nas korytarz. Wszystko jest ściśle skoordynowane; dlatego musimy poruszać się szybko.

- Znowu bawią się w Indian i kowbojów - sarknęła cicho Elizabeth.

Nad horyzontem pojawił się rąbek słońca. Sam włączyła kamerę. Ulicą przebiegli ludzie, kierując się, tak jak i poprzedni, ku ratuszowi. Wyglądali na zwykłą, nie najlepiej uzbrojoną hołotę.

- Sam, przecież to bez sensu - odezwała się Liz. - Ci legionieści mogą ich pokonać jednym pstryknięciem. Tak jak wczoraj.

W powietrzu rozległ się odgłos nadlatujących odrzutowców. Sierżant znów powiedział coś do krótkofalówki, wystawiając jednocześnie wolną rękę i rozprostowując dłoń, wewnętrzną stroną ku ziemi. Dźwięk narastał coraz bardziej. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, bezpośrednio nad głową Samantha przeleciał A-10; dziewczyna aż podskoczyła. Pilot leciał wzdłuż ulicy, tuż ponad dachami domów. Z nosa samolotu wystrzelił dym, w akompaniamencie głośnego bzyku. Cała ulica zatrzęsa się; w powietrzu wzbił się kurz i śmiecie; widać było błyski eksplozji. Pilot strzelał z działka.

Dłoń sierżanta wysunęła się z impetem naprzód, pokazując palcem wskazującym ratusz. Żołnierze bez słowa ruszyli do biegu; Sam i Liz za nimi. Panowała zupełna cisza; słyhać było tylko odgłos biegnących stóp. Elizabeth potknęła się. Spojrzała pod nogi i dech jej zaparło. Zaczepiła nogą o szczątki ludzkiego ciała; człowiekowi urwało ręce i nogi. Trudno było poznać, że jeszcze przed chwilą była to żywa, ludzka istota. Sam podtrzymała przyjaciółkę i pobięły dalej. Sierżant popchnął je w otwarte drzwi ratusza. Znalazłszy się wewnątrz, panna Darnell upadła na kolana, dysząc ciężko. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Elizabeth walczy z wymiotami.

- O Boże! - jęknęła, z trudem oddychając. - To było okropne! - Nigdy jeszcze w życiu nie widziała skutków działania nowoczesnej broni. Nawet podczas ataku na „Błękitny Pociąg” nie zobaczyła niczego, co przypominałoby ten koszmar.

Przeleciał kolejny A-10, strzelając tym razem wzdłuż ulicy prowadzącej do parku Queens. Sam wstała i zaczęła filmować śmiercionośny przelot. Samochody osobowe i ciężarówki blokujące przejście wybuchały jeden po drugim. Z lewej nadleciał trzeci samolot, zrzucając dwa walcowate zbiorniki. Sam zrobiła na nie zbliżenie, akurat w momencie, kiedy zbiorniki otwierały się, sypiąc małymi kulkami. Kulki, wielkości piłeczki baseballowej, wybuchały; niektóre na ulicy, inne, odbiwszy się, w powietrzu. Zasypały nieznanym napastników dziesiątkami tysięcy odłamków.

Przed oczyma dziennikarek akcja toczyła się jak w filmie - natychmiast nadleciał czwarty samolot, tym razem bliżej parku. Powtórzyło się to, co przedtem, tyle że teraz śmierć wydawała się mniej okrutna, mniej osobista - tylko dlatego, że dokonywała się nieco dalej. Sam filmowała wszystko. Elizabeth mówiła coś do mikrofonu, jednak kamerzystce wydawało się to bezsensowne.

Znowu nadleciał A-10, zrzucając swoje śmiercionośne kanistry. W przyszłości Samantha dowie się, że to CBU-58. Teraz jednak widziała na własne oczy, co oznacza ten mało czytelny skrót. Zrobiła najazd na mężczyznę, w którego plecy wbiła się kuleczka zapalająca. Biegł, krzycząc w agonii, dopóki pojedynczy strzał nie zakończył jego cierpień.

- Legionista go zastrzelił - powiedziała Liz.
- Musimy biec - odezwał się sierżant.

Dziennikarki ruszyły za nim, razem z grupą żołnierzy opuszczających ratusz.

- Czy to już wszyscy? - zapytała Elizabeth ze zdziwieniem, widząc, że jest ich tak niewielu.

- W środku zostało jeszcze kilku oficerów i podoficerów - wyjaśnił sierżant. - Wkrótce do nas dołączą. Legia nie opuszcza swoich ludzi.

- Chcę to mieć na taśmie - powiedziała Liz. Stały na środku ulicy z kamerą wycelowaną w stronę centrum. Elizabeth zaczęła mówić do mikrofonu:

- Minionej nocy tłum otoczył niewielką grupę francuskich legionistów, którzy schronili się w miejskim ratuszu. ONZ nie podjął żadnych wysiłków, żeby uwolnić ich na drodze negocjacji. Zamiast tego, amerykańskie samoloty typu A-10 utworzyły na ulicach swoistą aleję śmierci, siejąc w sercu miasta zniszczenie. Nie ma słów na opisanie rzezi, jaka dokonała się wokół mnie.

Sam przesuwała obiektywem po ulicy i zrobiła zbliżenie na twarz Elizabeth. Liz miała potargane i brudne włosy; jej spoconą, umorusaną twarz znaczyły bruzdy zmęczenia; wydawała się o wiele starsza niż zwykle. W normalnych warunkach byłby to koniec kariery dla telewizyjnej reporterki, jednak w tych - Liz nie mogła wypaść lepiej.

- Kiedy rozglądam się wokół - powiedziała na zakończenie - jedyne, co mogę zrobić, to zapytać: dlaczego? Dlaczego dokonała się ta bezsensowna rzeź cywilów, którzy wedle wszelkich danych mają powody dać upust złości wobec swojego rządu?

Pobiegły wraz z żołnierzami do parku. Po drodze usłyszały odgłos helikoptera. Za drzewami siadał śmigłowiec typu puma. Sam

przystanąła na chwilę, zdążając jeszcze odwrócić kamerę ku szczątkom ludzi i przedmiotów, jakie pozostały za nimi. Jeden z legionistów krzyknął, żeby się pospieszyły. Rozległ się strzał i mężczyznę trafiła snajperska kula, kończąc raptownie jego słowa. Liz podbiegła, żeby mu pomóc.

- Jeszcze żyje! - zawołała. - Pomóż mi! - Sam pomogła jej podnieść żołnierza i wspólnie zaczęli posuwać się w kierunku drzew, ścigane już przez grad kul. Tymczasem nadbiegł Bouchard z trzema innymi. Strzelali, wycofując się. To oni stanowili tylną straż.

- O, nie! - jęknęła donośnie Samantha, widząc, że helikopter wznosi się ponad linię drzew. - Zostawiają nas!!!

Bouchard złapał rannego i krzyknął:

- Biegnij!!! - Popchnął Samanthę w stronę drzew. Popędziła przed siebie, a wokół niej kule podrywały źdźbła trawy. Dopadła do linii drzew i znów wycelowała kamerę tam, gdzie toczyła się akcja. Tym razem filmowała Boucharda i Elizabeth, wspólnie dźwigających rannego, pośród nieprzyjacielskiego ognia.

W górze rozległ się narastający odgłos śmigłowca. Podniosła wzrok. Kolejna puma przeleciała nad nią, niknąc za jej plecami. Przez ten krótki moment Samancie wydało się, że widzi strzelającego z otwartych drzwi żołnierza i dym, wydobywający się z silnika.

Mała grupka oderwała się od drzew i pobiegła do śmigłowca, który właśnie wylądował. Kiedy ostatni z legionistów wskakiwali na pokład, dobiegli do pumy także Bouchard i Liz. Jeden z członków załogi odebrał od nich ich ładunek.

- Nie żyje - powiedział.

- Zabierzcie go na pokład - rozkazał pułkownik, zdumiewająco spokojnym głosem. - Muszę policzyć ludzi. - Zaczął metodycznie liczyć, nie tłumacząc, że Legia nie opuszcza nigdy swoich ludzi, nawet martwych.

Liz podeszła do pilota, żeby odczytać jego nazwisko. W prawym fotelu siedział Piet van der Roos. Był odwrócony przodem do wnętrza maszyny, żeby widzieć, jak przebiega załadunek. Rozpoznał Elizabeth i powiedział:

- Witam na pokładzie, panno Gordon. Czy postanowiła pani zostać stałą klientką linii lotniczych ONZ?

- To nie jest śmieszne! Widział pan tę jatkę, którą urządziliście na dole?!

Piet zignorował ją i odezwał się do mikrofonu:

- Zapiąć pasy! - Niefrasobliwy zwykle kapitan zaczął teraz starannie wykrzykiwać frazę po frazie: - Startujemy! Lewa czysta? Prawa czysta? Góra?! - Członkowie załogi odpowiadali na jego pytania. Piet przesunął znajdujące się nad nim dźwignie przepustnic do oporu. Śmigłowiec wzniósł się, przez cały czas ciągnąc za sobą strużkę dymu. Podczas gdy oddalał się od parku, pasażerów ogłuszył grzechot dwóch cekaemów, zainstalowanych przy drzwiach.

Pontowski stał w wieży kontrolnej. Od północy nadleciał drugi ze śmigłowców. Nie dymił, ponieważ van der Roos wyłączył lewy silnik. W radiu odezwał się głos Pieta:

- Ewakuacja zakończona. Mam na pokładzie jednego zabitego i kilku rannych. Wiozę także Elizabeth Gordon i jej kamerzystkę.

- Tego nam tylko brakowało - burknął Matt. - Dlaczego ona

zawsze zjawia się wtedy, kiedy nie trzeba? - Włączył krótkofalówkę i powiadomił ludzi znajdujących się na płycie o obecności Gordon i o tym, żeby wsadzić ją do herculesa z wyposażeniem medycznym. Następnie podniósł do oczu lornetkę i popatrzył na lądujący śmigłowiec. Widać było liczne uszkodzenia.

- Jakim cudem Piet zdołał utrzymać go w powietrzu?! - odezwał się głośno, nie oczekując odpowiedzi. Zszedł z wieży, żeby porozmawiać z van der Roosem i Bouchardem.

Matt czekał, aż Bouchard wyskoczy ze śmigłowca. Za nim wysiedli jeszcze tylko Piet, Liz i ostatni z rannych, którego Afrykaner prowadził. Skierowali się ku C-130. Pontowski podszedł do Boucharda, hercules już kołował. Cieszę się, że odlatują - pomyślał Matt.

Francuz wyglądał źle. Widać było po nim wyczerpanie. Polowy mundur był podarty i pokrwawiony.

- Odwołałem w nocy pozostałe drużyny lądowe - oznajmił Pontowski. - Nikt oprócz was nie został odcięty.

- Ofiary?

- Jak dotąd, dwóch zabitych i czterech rannych.

- O dwóch za dużo - powiedział Bouchard. Odczuł jednak ulgę, że nie zginęło więcej żołnierzy. - Jeśli doliczyliśmy się już wszystkich ludzi, sugerowałbym wycofanie się stąd.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy opuścić lotnisko - odpowiedział Matt. - Kontrolujemy obszar wokół niego, a poza tym musimy naprawić śmigłowiec.

- Zniszczmy go - nie ustępował Francuz. - Musimy natychmiast się wycofać.



- Dlaczego?

- Znowu walczyliśmy z Azaniańskim Frontem Wyzwolenia - odpowiadał Bouchard zdecydowanym głosem. - W Vanwyksvlei... kiedy otoczyli C-130 i drużynę rozdzielającą pomoc... byli tylko tłumem zbuntowanych cywilów. Teraz mają cekaemy i karabiny bezodrzutowe zamontowane na półciężarówkach; i mieli nad nami przynajmniej dwudziestokrotną przewagę liczebną.

- Kto miał nad wami taką przewagę, panie pułkowniku? - odezwał się kobiecy głos.

Pontowski odwrócił się i zobaczył Samanthę. Stała dwa metry od niego, brudna, pokrwawiona; wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Cholera jasna! - pomyślał z wściekłością Matt. Dlaczego nie wsadzili jej do tego samolotu?!

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Widziałeś, co zrobiły tam twoje myśliwce?! - Machnęła ręką w kierunku miasta, tracąc przy tym równowagę.

Matt instynktownie skoczył, żeby ją podtrzymać.

- Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie, ty krwawy zbirze! - Opadła na kolana i zaczęła szlochać.

Bouchard nie zwracał na nią uwagi.

- Musimy podjąć decyzję, panie pułkowniku - ponaglił.

- Zniszczcie śmigłowiec i wycofajmy się.

- A co z tą kobietą? - spytał teraz Bouchard.

Zamiast odpowiedzieć, Pontowski pomógł Sam wstać i zaprowadził ją do wieży, patrząc, czy nie zemdleje po drodze.

- Zostaw mnie - szepnęła ostatkiem sił.

- Bardzo chętnie - odpowiedział Matt - kiedy tylko wsadzę cię do

samolotu.

## **Rozdział dziewiętnasty**

**Wtorek, 31 marca**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

MacKay wstał na widok wchodzącego Beckmanna.

- *Generaal* - odezwał się Kreiner - to ten nowy człowiek, o którym panu mówiłem, John Mills. Jest tu dopiero od trzech dni i...

- Tak, tak - przerwał Beckmann, uśmiechając się do Amerykanina.

- Zrobił pan na Kreinerze wielkie wrażenie. Mówi, że teraz możemy śledzić położenie wszystkich ludzi w bazie, korzystając z naszych identyfikatorów i czytników kart w punktach kontrolnych.

- Nie było to trudne - odpowiedział John. - Cały potrzebny sprzęt znajdował się na miejscu. Musiałem tylko nieco zmodyfikować programy komputerowe. Wykorzystałem jedynie to, co już mieliście.

Podczas gdy „chłopcy” robiły z MacKay a specjalistę od komputerów, rozpracowały system, jakim posługuje się Żelazna Gwardia, analizując magnetyczny pasek na oryginalnej legitymacji, którą dał im pułkownik. Zakodowane dane powiedziały im nie mniej niż kod DNA - zaprowadziły ich do amerykańskiego przedsiębiorcy, który instalował Afrykanerom system. Postraszyły go odpowiednimi metodami - na przykład zagroziły mu oskarżeniem go o molestowanie seksualne - i niedługo potem znały już dokładnie całość. Następnie, na usilne żądania Standarda, zdołały nieco ulepszyć program, żeby MacKay mógł z miejsca okazać się cennym nabytkiem.

- Pozostaje jeszcze kilka problemów - ciągnął John. - Nie rozwiązałem na razie sprawy podsłuchów w części mieszkalnej... jest tam za dużo ludzi, którzy mają dostęp do zbyt wielu miejsc... Zajmie mi to jeszcze parę dni.

- I tak jestem pełen podziwu - przyznał Beckmann.

I powinieneś - pomyślał MacKay. Bo naprawdę rzadko się zdarza, żeby CIA dzieliło się swoimi osiągnięciami technicznymi z przeciwnikiem...

Generał zrobił poważną minę. Bruderbund przekazał mu szczegółowo całą historyjkę, jaką „chłopcy” wymyśliły o Sicherheitsdienste. Według Sicherheitsdienste John Mills był komputerowym geniuszem, całkowicie oddanym temu, kto mu płaci. Jego osobowość miała

jednak także i ciemniejsze strony - miał skłonności do stosowania przemocy, a także spore umiejętności w tej dziedzinie. Ponieważ był czarny, świetnie nadawałby się na ważnego funkcjonariusza sił bezpieczeństwa Żelaznej Gwardii. Mógł terroryzować murzyńską część ludności *Boerstaat*. A kiedy już wykona swoje zadania, będzie można się go pozbyć, tak jak Shivuto.

- Czy mogę pana zapytać, dlaczego po zakończeniu współpracy z Sicherheitsdienste nie wrócił pan do Stanów, tylko przyjechał do RPA?

A zatem już mnie sprawdzili - pomyślał John. Miał nadzieję, że „chłopcy” wykonały swoją robotę do końca.

- Nie spotkałbym się w Stanach z miłym przyjęciem - odpowiedział. - A tu mam okazję zarobić.

Tej właśnie odpowiedzi Beckmann oczekiwał. MacKay był

właściwym człowiekiem.

- Mam dla pana kolejne zadania - powiedział. - Chcę, żeby stworzył pan w budynku bezpieczeństwa - tam, gdzie pracuje Kreiner - nadrzędny system, łączący w całość wszystkie systemy telekomunikacyjne i informacyjne, jakie mamy. I zbierał informacje ze wszelkich możliwych źródeł - banków, lokalnych urzędów podatkowych, podsłuchów telefonicznych, czytników kart kredytowych; rozumie pan. Chciałbym kontrolować dużą populację na znacznym obszarze.

- Coś w rodzaju ogólnokrajowej sieci? - spytał MacKay.

- Tak - zgodził się Beckmann. - Chcę także, żeby kierował pan naszą siatką czarnych informatorów w Bloemfontein. Kreiner mówił mi, że ma pan pewne sprawy do załatwienia z niektórymi obywatelami tego miasta.

MacKay zmusił się do najbardziej okrutnego uśmiechu, jaki był w stanie wypracować.

- To drobna sprawa, którą szybko rozwiążę - powiedział.

- Poradzi pan sobie z tym wszystkim naraz? - spytał Kreiner.

- Zobaczymy - odparł MacKay.

- Świetnie - zakończył Beckmann. - Kreiner pokaże panu po południu budynek bezpieczeństwa.

MacKay usiłował się przekonać, że żaden budynek bezpieczeństwa nie istnieje, a on sam znalazł się na planie bardzo kiepskiego filmu klasy B. Jednak rzeczywistość była inna. Został pracownikiem czegoś w rodzaju Gestapo, a Marius Kreiner stanowił współczesną replikę Heinricha Himmlera.

- Czy szubienica nie przeszkadza panu? - pytał Kreiner.

- Nie - odpowiedział MacKay. Podoficer patrzył na niego, spodziewając się dłuższej odpowiedzi. - Dopóki mi płacą, nie obchodzi mnie, czym się zajmujecie - dokończył John.

Kreiner sprowadził go po schodach do piwnicy.

- A to jest pokój przesłuchań - oznajmił.

Pułkownik był oszołomiony. Czuł się, jakby zwiedzał właśnie jeden z niższych kręgów piekła.

Tego samego popołudnia MacKay sprawdzał w mieszkalnej części bazy czytniki kart magnetycznych, ulokowane w najrozmaitszych punktach kontrolnych, przy wejściach do wszelkiego rodzaju instytucji. Był zadowolony, że jego najnowsze wcielenie okazało się przekonujące. Chodząc między domami, zatrzymał się koło placu zabaw. Nagle zobaczył Zibę, siedzącą na ławce. Na huśtawkach bawiły się dzieci Slavina. Przyglądał jej się przez chwilę, nie zwracając na siebie uwagi; wreszcie podszedł do niej i usiadł.

- Dzień dobry, Johnie - odezwała się Ziba nie patrząc na niego. - Dlaczego tu jesteś?

- Żeby cię przeprosić. Zibo, nie mogłem się z tym od razu pogodzić. Poczulem się tak zraniony tym, że dzielę cię z innym mężczyzną. Ale wtedy powiedziałaś, że... są rzeczy, których nie rozumiem. Uczę się pomału.

- No i czego się nauczyłeś?

- Trzeba powstrzymać Beckmanna.

- To nie wszystko - powiedziała Ziba, zabierając się do odejścia. - Itzig - MacKay zwrócił uwagę, że nazwała Slavina po imieniu - może

pomóc mojemu narodowi. Dlatego kazano mi go uwieść.

Odwróciła się i popatrzyła na Johna. MacKaya ogarnęło dawne uczucie, teraz jednak połączone ze smutkiem, a jednocześnie głębszym zrozumieniem.

- Beckmann to wariat - powiedział. - Przekonaj Slavina, żeby opuścił bazę. Jak najprędzej, teraz.

- Itzig nie porzuci swojej pracy - odparła Ziba i poszła.

## **Środa, 1 kwietnia**

### **Executive Office Building Waszyngton, D.K.**

Cyrus Piccard i John Weaver Elkins - sekretarz obrony - czekali za kulisami sceny niedużej sali konferencyjnej. Przybył Carroll z Białego Domu. Elektryczny wózek, którym przemieszczał się teraz na większe odległości, zostawił w jednym z bocznych korytarzy i powoli poszedł na spotkanie z Piccardem i Elkinsem. Dwaj agenci Secret Service kroczyli teraz zawsze dosłownie tuż obok Williama, po obu jego stronach, gotowi podtrzymywać go, ilekroć się potykał.

- Sala jest pełna - oświadczył na powitanie Elkins. - Zdaje się, że przybyli wszyscy reporterzy z Waszyngtonu. - Poczekał, aż Carroll usiądzie i uspokoi oddech.

- Dlatego właśnie urządzamy konferencję prasową tutaj - powiedział Bill. - Żeby stworzyć fizyczny dystans pomiędzy nią a Białym Domem. - Uśmiechnął się. - A poza tym, tu jest więcej miejsca, a ja lubię publiczność.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - skwitował Piccard. Przyjrzał się uważnie Carrollowi, niepokojąc się jego marnym wyglądem. - Musi być jakiś lepszy sposób na wyjaśnienie całej

sprawy. Media po prostu szaleją; Kimberley działa na nich jak doping.

- Żaden reporter nie robi teraz tyle szumu, co Liz Gordon - wtrącił Elkins.

- A cóż to za metafory - powiedział Carroll ze śmiechem. Wstał, podał Piccardowi laskę, po czym wszedł na scenę. Od mównicy dzieliło go tylko dziesięć krótkich kroków, przeszedł je jednak z wysiłkiem. Usadowił się na stołku, który postawiono za mównicą, i złapał się jej mocno. Włączono kamery.

- Dziękuję, że przybyli państwo tak szybko po zawiadomieniu - zaczął. - Nie muszę przypominać, że Biały Dom otrzymał niemało pytań w związku z niedzielnym reportażem Elizabeth Gordon z RPA. Mam nadzieję, że jesteśmy w stanie przedstawić na nie kilka odpowiedzi. - Rozległy się śmiechy, świadczące o niedowierzaniu. Zamieniły się wkrótce w głośny gwar. Paru reporterów wykrzykiwało głośno pytania. Carroll nie reagował, czekając, aż sala się uspokoi.

- Chcą znaleźć kozła ofiarnego - mruknął Piccard, obserwując widownię.

- Dziwisz się? - odparł Elkins. - Gordon dostanie chyba nagrodę Emmy za ten reportaż. Przedstawiła nas jako bezmyślnych siepaczy... i, nie mówiąc wprost, rasistów.

- Rzeczywiście reportaż był spektakularny - przyznał Piccard. - A ona trafiła w samo piekło.

- Ale jej stacja telewizyjna zmontowała to tak, że wyszliśmy na potworów - dodał Elkins. Tymczasem sala uspokoiła się.

- Elizabeth Gordon - ciągnął Carroll - miała rację, kiedy

zobaczywszy skutki rzezi, jaka dokonała się na ulicach Kimberley, zapytała: „Dlaczego?”. Chciałbym jednak pokazać państwu dlaczego, i to nie odwołując się do rządowych informacji, a jedynie do tego, co widziała Elizabeth. - Zapłonął duży ekran za plecami prezydenckiego doradcy.

- Z powodu ograniczeń czasowych, jej stacja telewizyjna nie pokazała pierwszej części reportażu. - Na ekranie pojawiła się wielka twarz Liz Gordon. Za nią rozciągała się Big Hole. - Najwyraźniej - komentował pokazywane zdarzenia Carroll - dyrektor wiadomości uznał, że Murzyni symbolicznie mordujący białą ofiarę to nie jest coś, co powinna oglądać amerykańska publiczność. Chciałbym także pokazać jeszcze raz to, co widzieli telewidzowie, i zwrócić uwagę na...

- Szkoda pańskiego czasu! - zawołał jeden z reporterów. - Już to oglądaliśmy! - Podniósł się i wyszedł. Według jego mniemania, wszystko, co było starsze niż czterdzieści osiem godzin, stanowiło prehistorię, niewartą uwagi. Carroll uśmiechnął się.

- Proszę, wytrzymajcie ze mną jeszcze chwilę. - Przewinął taśmę do przodu i zatrzymał ją na ośmiu legionistach w błękitnych hełmach, do których dołączyły Liz i Sam.

- Niech państwo zwrócą uwagę na uzbrojenie żołnierzy ONZ. - Pokazał elektroniczną wskazówką na ich tarcze i pałki. - Ci ludzie byli przygotowani tylko do tłumienia demonstracji, a nie do bitwy; byli bardzo lekko uzbrojeni.

Puścił nagranie dalej i poczekał, aż pokaże się widok z dachu budynku, gdzie skryły się dziennikarki wraz z legionistami. Zatrzymał taśmę znowu. Ludzie poruszający się pogrążoną jeszcze w



mroku ulicą nie byli zwykłymi przechodniami. Byli to sami mężczyźni; nieśli broń.

- Ci mężczyźni nie rabowali sklepów, ani nawet nie brali udziału w zamieszkach - mówił Bill. Szybko przewinął taśmę naprzód, zatrzymując się na pięciu wybranych uprzednio kadrach. - Mimo że nie mają na sobie mundurów, wszyscy są uzbrojeni w nowoczesne karabiny maszynowe tej samej marki... Ten mężczyzna niesie moździerz, kalibru sześćdziesiąt milimetrów, produkcji włoskiej. Ci dwaj dźwigają skrzynki z amunicją do niego. - Dwa ostatnie kadry także pokazywały drużyny moździerzy; widać było, że ludzie są coraz to inni, a broń taka sama.

Teraz Carroll znów przesunął taśmę do przodu. Pokazał na chwilę ujęcia przedstawiające zniszczenia w ratuszu, a potem przeszedł do ataku A-10 i ewakuacji legionistów. Przerażające obrazy tego, co Liz nazwała „aleją śmierci”, nie straciły nic ze swojej siły.

- Nasi analitycy - mówił William - naliczyli tylko na tej ulicy siedemnaście moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych obsługiwanych przez kilkusobowe drużyny. A to są ciała - pokazał na zniszczony lekki samochód opancerzony - białych najemników.

Z widowni odezwał się głos:

- Skąd możemy wiedzieć, że CIA nie „podretuszowała” tych zdjęć?

- Możecie państwo zweryfikować to, co wam pokazałem, oglądając uważnie swoje własne nagrania reportażu panny Gordon.

- Trafił cię, dupku! - mruknął Elkins.

Z sali podniosło się troje innych reporterów, kierując się ku wyjściu.

Teraz taśma przesuwała się znów normalnie. Ujęta w zbliżeniu Liz

mówiła: „ONZ nie podjęła żadnych wysiłków, żeby uwolnić ich na drodze negocjacji. Zamiast tego, amerykańskie samoloty typu...” Carroll zatrzymał nagranie.

- Liz Gordon nie wiedziała - skomentował - że kroczący pod białą flagą żołnierze ONZ, niosący przesłanie pokoju, został z zimną krwią zastrzelony przez napastników. Jednak stacja telewizyjna wiedziała już o tym, a mimo to nawet nie usiłowała przedstawić reportażu uczciwie. - Wstał jeszcze jeden reporter, nie życząc sobie wysłuchiwać jakiegokolwiek krytyki mediów. Carroll puścił taśmę dalej. „Kiedy rozglądam się wokół, jedyne, co mogę zrobić, to zapytać: dlaczego?” - powiedziała Liz. Bill zatrzymał taśmę, nie wygaszając twarzy reporterki i skomentował:

- Myślę, że panna Gordon miała przed własnymi oczami odpowiedź na zadane przez siebie pytanie. Oddziały pokojowe ONZ zostały wciągnięte w pułapkę i zaatakowane przez dużą, silnie uzbrojoną i dobrze wyszkoloną nieregularną armię, kierowaną przez najemników. Nasi ludzie mieli tylko jedną drogę - wywalczyć sobie drogę ewakuacji, albo zginąć.

Dzięki zaskoczeniu nieprzyjaciela, przeważającej sile ognia i ograniczeniu rejonu walki do okolic miejskiego ratusza, ofiary wśród cywilów oraz żołnierzy ONZ zostały ograniczone do minimum.

Ekran zgasł, a Carroll popatrzył na swoich słuchaczy. Niech teraz zadają mu pytania.

- Dlaczego Elizabeth Gordon nie zauważyła tego, co nam pan pokazał? - zapytał pogardliwym tonem jeden z reporterów.

Piccard spojrział na pytającego i mruknął:

- Proszę cię, Bill; nie pytaj tylko tego człowieka, czy kiedykolwiek walczył na wojnie.

- Ten pajac? - syknął Elkins. - Tylko w komputerze.

Carroll opuścił na chwilę głowę, a potem podniósł spokojny już wzrok i odparł:

- Elizabeth Gordon przebywała w warunkach wojennych przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Była zmęczona, głodna i spragniona. Zdawała sobie sprawę z tego, co widziała. Jednak żeby zrozumieć to, co naprawdę działo się wokół niej, potrzebne były wielogodzinne analizy prowadzone przez profesjonalistów. Ci profesjonaliści nie padali na twarz ze zmęczenia, nie bali się o własne życie; nie znajdowali się w środku szalejącej bitwy. Krótko mówiąc, mieli czas i możliwości, żeby spokojnie i uważnie rozważyć całą sytuację i wyciągnąć z niej sensowne wnioski. Kiedy wokół latają kule, nie da się siedzieć i myśleć.

Ton zadawanych pytań zmienił się; stały się mniej wrogie. W końcu Carroll ustąpił miejsca na mównicy Elkinsowi. Ten włączył znowu ekran i zaczął mówić:

- Siły walczących stron były następujące: wiemy, że ONZ przerzuciła drogą powietrzną do Kimberley dwustu sześciu francuskich legionistów uzbrojonych w sprzęt do tłumienia zamieszek. Według naszych przybliżonych obliczeń zostali oni zaatakowani przez nieregularną, dobrze uzbrojoną armię w sile ponad trzech tysięcy ludzi.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że ONZ została wciągnięta w pułapkę? - spytał jeden z dziennikarzy.

- To bardzo możliwe. - Odpowiedział jeszcze na kilka następnych

pytań; parę kolejnych osób wyszło.

- Ostatnie pytanie - oznajmił.

Jedna z kobiet wstała i zapytała:

- Mam pytanie do pana Carrolla. Czy to prawda, co słyszy się w plotkach, że jest pan chory i rozważa złożenie rezygnacji ze stanowiska doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego?

William odpowiedział, zachowując spokój:

- Zgodnie z lekarską diagnozą, cierpię na ALS - stwardnienie zanikowe boczne. Tak, wkrótce złożę na ręce prezydenta moją rezygnację. - Przepraszam cię, Liz - pomyślał. Obiecałem ci tę wiadomość... jeśli będzie to możliwe. Sala na kilka sekund zamarła.

Dopiero po

chwili zaszokowani reporterzy zaczęli sypać pytaniami. Elkins wycofał się, żeby dziennikarze mogli skupić uwagę na Carrollu.

- Ta konferencja prasowa przejdzie do historii - powiedział Elkins do Piccarda, znalazłszy się za kulisami.

## **Czwartek, 2 kwietnia**

### **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Prezydent podniósł twarz znad biurka. Do Owального Biura wkroczył Carroll. Prezydent podał szefowi gabinetu czytany projekt budżetu i powiedział ostro:

- To same bzdury. Przekaż departamentowi rolnictwa, żeby opracowali to jeszcze raz i dopiero wtedy przysłali mi znowu. Dwanaście procent i koniec. Albo sami zdecydują, gdzie będą cięcia budżetowe, albo ja to zrobię. - Oparł się gwałtownie i machnął ręką na pozostałych dwóch doradców, znajdujących się w biurze, żeby

wyszli.

- Jak leci, Bill? - zapytał.

- Nie tak źle - odparł Carroll. - Biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje.

- Nie zamierzam przyjąć twojej rezygnacji - przerwał prezydent. - Nie po wczorajszej konferencji prasowej.

- Panie prezydencie, wkrótce stanę się tylko ciężarem.

- Jeszcze tego nie widać. - Twarz prezydenta była pełna zadowolenia. - Nie sposób przecenić pozytywnych skutków twojej konferencji. Rano zadzwonili z Kapitolu i powiedzieli, że odwołują wszystkie przesłuchania. - Zachichotał, wyobrażając sobie niezadowolenie kilkorga kongresmanów. - Wyobraź sobie, jak by to wyglądało w telewizji... siedzisz samotnie przy stole... z laską opartą o krzesło... a naprzeciw ciebie gromada kongresmanów gnębi cię pytaniami.

Zapalił cygaro i zaciągnął się z lubością. Miał dobry dzień.

- Plotki mówią, że czcigodna Ann Nevers jest wściekła. - Spoważniał. - Nie, z pewnością nie jesteś żadnym ciężarem. Chcę, żebyś został. Pozostaje tylko pytanie: czy chciałbyś zrezygnować, żeby spędzić więcej czasu z rodziną?

Carroll zastanowił się. Oczywiście, chciał przebywać z rodziną, choć i teraz nie mógł narzekać na brak z nią kontaktu. Jakie zachowanie będzie najlepszym przykładem dla jego dwójki dzieci? Czy powinien im pokazać, jak usycha w domu, wegetując i czekając na śmierć? Czy też powinien pozostać pożytecznym, czynnym obywatelem tak długo, jak to tylko będzie możliwe? Co wolałaby Mary? Znał odpowiedź.

- Proszę podrzeć moją rezygnację - odpowiedział. - Ale niech pan mi powie, kiedy przestanę się nadawać. Nie będę wam przeszkadzał.

- Nie obawiaj się - odparł prezydent. - Powiem ci. - Dla prezydenta nie była to trudna decyzja - chciał zatrzymać Carrolla jako swojego doradcę jak najdłużej. Bill nie tylko zachowywał szczytowe możliwości umysłowe, ale w dodatku robił teraz administracji dobrą prasę. Prezydent dobrze wiedział, że obraz umierającego, przykutego do wózka inwalidzkiego, a jednak do końca oddane-go doradcy Białego Domu świetnie nadaje się do pokazywania w pierwszych minutach wiadomości.

- Bill, czy widziałeś dzisiejszy raport? - Carroll przytaknął. Codzienny Raport Prezydencki to streszczenie najważniejszych danych wywiadowczych, jakie zdobyły służby Stanów Zjednoczonych. Ten cenny dokument udostępniany jest tylko kilku najwyższym rangą amerykańskim politykom. - ONZ została w Kimberley wciągnięta w zasadzkę przez Azaniańską Armię Wyzwolenia. Co my o nich wiemy?

- Azaniańską Armię Wyzwolenia to murzyński ruch niepodległościowy, który usiłuje opanować i wykroić dla siebie dużą część terytorium RPA. Są wspierani z wielu kierunków; między innymi dostają pomoc finansową od państw OPEC.

- Czy to OPEC gra w całej sprawie najważniejszą rolę? - pytał prezydent.

- Nie; nie tak ważną. Państwa OPEC wspierają równocześnie Afrykański Kongres Narodowy i Inkathę; żeby mieć tam wpływy, niezależnie od tego, kto zwycięży. Najważniejszym problemem pozostaje nadal Żelazna Gwardia.

- Przecież Żelazna Gwardia to biali neofaszyści. Co oni mają wspólnego z Azanianami? - Prezydent był zdziwiony.

- CIA ma dowody na to, że Żelazna Gwardia celowo podsycza zamieszki czarnej ludności, posługując się w tym celu Azanianami. To osłabia rząd, a jednocześnie odciąga uwagę ONZ, podczas gdy Żelazna Gwardia przez cały czas umacnia własną pozycję.

- To, co ja wiem o Żelaznej Gwardii - zaprotestował prezydent - sprawia, że będziesz musiał przedstawić mi bardzo przekonujące dowody, żebym uwierzył, że współpracują z Azanianami.

- Wśród Azanianów działa Erik Beckmann, brat dowódcy Żelaznej Gwardii. Mamy nagrany podsłuch.

Prezydent zainteresował się.

- Erik Beckmann... Czy to nie terrorysta?

- Tak, jeden z najgroźniejszych i najbardziej poszukiwanych - potwierdził Carroll. - Ścigają go praktycznie wszyscy. My też.

- A zatem Żelazna Gwardia posługuje się Azanianami jako tarczą. Dotarcie do tej Gwardii wymaga pracy, tak jak obieranie cebuli, żeby dojść do samego środka... - Prezydent zabębnił palcami w biurko. - Bill, chcę pozbyć się problemu Azanianów.

- Pytanie tylko: jak?

- Rozszerzmy zasady postępowania - odparł prezydent. - Niech nasi ludzie uzyskają prawo przeprowadzać z zaskoczenia uderzenia odwetowe; mając oczywiście nadal na celu samoobronę. Pogadaj z Francuzami; niech wojska ONZ pokażą zęby i zaczną obierać tę cebulę.

- Akcja pokojowa nie może polegać na wprowadzaniu pokoju siłą - zauważył Bill.

- Nie aż tak - zaproponował prezydent. - Chciałbym zobaczyć, co to da; nie informujemy do czasu opinii publicznej. Trzeba zorientować się, co tak naprawdę jest w stanie zrobić ONZ.

- Dobrze - zgodził się William. - Zlecę Mazie opracowanie szczegółów. - Przerwał na chwilę. - Narobimy sporo zamieszania - dodał.

- Pilnuj tylko, żeby wszystko nie skrupiło się na tobie.

## **Niedziela, 5 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Było tuż po północy. Pontowski zerknął na zegarek. Rozmawiał ze swoim synem od piętnastu minut. Ich telefoniczne rozmowy stały się teraz rytuałem; Matt dzwonił do synka cztery - pięć razy w tygodniu. Na szczęście różnica czasu umożliwiała mu to, zamiast utrudniać - telefonował zawsze przed położeniem się do łóżka. Płacił jednak astronomiczne rachunki. Dość wyjątkowy sposób wypełniania ojcowskich obowiązków - pomyślał.

- Zawołaj Marthę, dobrze? - powiedział. - Zadzwonię do ciebie w poniedziałek, mniej więcej o tej samej porze. - Kiedy do słuchawki podeszła Martha, zapytał: - Jak się czuje Sara?

- Jak na kobietę, która straciła właśnie męża, i rodzi za sześć tygodni, zdumiewająco dobrze - oparła pani Marshall. - Mały Matt świetnie się spisuje. - Zawahała się, szukając odpowiednich słów. - Sara zamierza zostać tu do urodzenia dziecka i do czasu, aż wszystko trochę się ułoży. Ale potem chce wracać do Kansas City. Matt, będę musiała z nią pojechać.

Pontowski zrozumiał. Będzie musiał stworzyć swojemu dziecku



dom i przestać opierać się na innych.

- Dziękuję ci za wiadomość - powiedział. - Powiniennem wrócić za jakiś miesiąc albo coś w tym rodzaju. - Odłożył słuchawkę i położył się na fotelu. Nie ma dwóch zdań, wkrótce będzie musiał wystąpić z Sił Powietrznych. Niemal natychmiast telefon zakończył jego rozważania.

- Panie pułkowniku - odezwał się męski głos - mówi Stan Pauley z Techtronics International. - Matt pamiętał kryptonim szefa miejscowej placówki CIA, Richarda Standarda. - Czy możemy spotkać się jak najszybciej u mnie w biurze?

- Będę u pana za piętnaście minut - odparł pułkownik.

Kiedy Pontowski przybył do biura Standarda, czekała tam na niego Mazie Hazelton.

- Mazie mówi mi, że się znacie - powiedział Standard.

- O tak, przeżyliśmy razem trochę.

- W Chinach - uściśliła Mazie.

Matt znał zasady przekazywania ściśle tajnych i ważnych informacji, poleceń, rozkazów. Mazie przybyła w charakterze posłańca, przywożąc ze sobą coś tak ważnego, że nie można było zaryzykować przesłania tego jakimikolwiek środkami technicznymi.

- Aż się boję zapytać, co cię tu sprowadza - powiedział.

- Pan Carroll przysłał mnie, żeby nie powstały żadne wątpliwości w następującej sprawie. - Przerwała, uważnie dobierając następne słowa. - Prezydent chce rozszerzyć twoje kompetencje, żebyście mogli przeprowadzać uderzenia odwetowe, bez ostrzeżenia, przeciwko każdej organizacji czy grupie, która atakuje siły ONZ.

- Na przykład Azanianom? - wtrącił Standard.

Mazie pokiwała głową na znak potwierdzenia.

- Czy mówimy o tajnych akcjach? - upewnił się Pontowski.

- Nie tylko - wyjaśniła Mazie. - Planujemy wszystko w tajemnicy, żeby zwiększyć element zaskoczenia. Właśnie wróciłam z Paryża, gdzie rozmawiałam z Francuzami. Zgodzili się na naszą koncepcję i zamierzają zezwolić legionistom de Royera na udział w całej operacji.

- Co się dzieje z de Royerem? - zapytał pułkownik. - Nie ma go już od prawie trzech tygodni. To strasznie długo. Czy on w ogóle wróci, czy zostanę tu już do końca naczelnym dowódcą?

- Wróci, kiedy tylko zapewni sobie poparcie francuskich polityków - odpowiedziała Mazie.

- On też ma problemy polityczne?

- O wiele gorsze niż my.

- Tym, co najbardziej mi doskwiera, jest bezpieczeństwo przeprowadzanych misji i kwestia kompetencji - zaczął Matt. - Misja Obserwacyjna ONZ, rząd RPA i wszyscy inni, którzy tylko mogą przyjść na myśl, muszą zostać wyłączeni. Bez tego nie będę mógł sprawować należytej kontroli nad przebiegiem wydarzeń. Wszystko musi znaleźć się w moich rękach; nie mogę negocjować każdego pomysłu to z tym, to z owym. Jeżeli taka decyzja zostanie ostatecznie podjęta, pokierujemy już szybko sprawami.

Mazie skłoniła głowę na znak zgody.

- Waszym pierwszym celem będą Azanianie - oznajmiła.

- Odwet za Kimberley? - wtrącił Standard.

Pani Hazelton zignorowała jednak tę uwagę i podała

Pontowskiemu gruby dokument, pełen fotografii i map.

- Najbliższa okazja będzie we wtorek rano. Według naszych informacji przywódcy Azanianow spotkają się w swojej kwaterze głównej. Tej okazji nie można zmarnować.

- Mamy niecałe czterdzieści osiem godzin - odparł Matt. - Porozmawiam z Bouchardem i zapytam go, co mogą zrobić jego Siły Szybkiego Reagowania.

- Panie pułkowniku, możemy panu pomóc - zaofiarował się Standard.

## **Wtorek, 7 kwietnia**

### **Okolice Kimberley, Republika Południowej Afryki**

Nad dużą farmą, którą Azaniańska Armia Wyzwolenia splądrowała, a potem zamieniła w swoją główną kwaterę, obracała się radarowa antena. Od strony pustyni Karru wiał zimny wiatr. Wartownicy pochowali się więc do stodół, żeby tam przeczekać do świtu. Pozasypiali, pewni, że i tak o pierwszej w nocy żaden oficer nie będzie ich sprawdzał.

Młody Murzyn, siedzący przy ekranie radaru, przyglądał się pojedynczemu, widocznemu na nim obiektowi. Po jego twarzy spłynęły pierwsze kropelki potu. Wytarł je brudną ścierką. Niemiec, który go szkolił, ciągle powtarzał, że na klawiaturę nie można niczego rozlać. W szopie, gdzie zainstalowano radar, było chłodno, a obsługujący go człowiek spocił się, gdyż była to jego pierwsza służba nocna i pierwsza sytuacja wymagająca reakcji, i to bez pomocy Niemca. Zerknął na śpiącego Syryjczyka, ale zdecydował, że nie warto go budzić i prosić o pomoc. Syryjczycy nie znają się na tym,

tak samo jak czarni bracia - pomyślał. Jednak coś musiał zrobić.

Złapał komputerową mysz i nakierował kursor na nieznany obiekt. Nacisnął środkowy przycisk, każąc w ten sposób nowoczesnemu radarowi zbadać urządzenie IFF niezidentyfikowanego obiektu. Nic. Postukał palcami w klawiaturę i komputer naniósł na ekran obraz przebiegającego w pobliżu cywilnego korytarza powietrznego. Obiekt z pewnością nie znajdował się w korytarzu. Postukał raz jeszcze i uzyskał obok świecącego punkciku liczby. Wiedział, jak je zinterpretować: wysokość - 9750 metrów, prędkość - 550 kilometrów na godzinę, kierunek - 210 stopni.

W obawie, że robi coś nie tak, obudził Syryjczyka. Arab zaklął, podniósł się i zbliżył się do ekranu. Odepchnął Murzyna, usiadł i przyjrzał się uważnie.

- Ty głupku - warknął. - Przecież minie nas w odległości czterdziestu kilometrów. Nie widzisz, że w tym miejscu przetnie się z korytarzem powietrznym? - Pokazał na punkt znajdujący się teraz o dwadzieścia pięć kilometrów przed zbliżającym się obiektem. - To samolot pasażerski. - Mruknął jeszcze po arabsku coś w rodzaju „głupi, czarny bałwan” i ułożył się z powrotem do snu.

Operator radaru patrzył jednak z niepokojem na przesuwaną się kropkę, przekonany, że coś jest nie tak. Nie wiedział jednak co, a bał się obudzić Niemca, który spał w sąsiednim pomieszczeniu.

W kabinie pilotów herculesa świeciły się tylko delikatną poświatą przyrządy.

- Kontrola rozhermetyzowania zakończona - zameldował

mechanik pokładowy. Jego słowa, przechodząc przez maskę tlenową, miały dziwne, stłumione brzmienie.

- Potwierdzam - odezwał się Jake Madison podobnym głosem. - Niech każdy uważa na swojego sąsiada. Nie trzeba nam, żeby ktoś teraz zemdlął z braku tlenu. Rozhermetyzować samolot. - Mechanik sięgnął do umieszczonego nad głową przełącznika. W kabinie dał się słyszeć lekki syk - ciśnienie wewnątrz samolotu wyrównało się z panującym na zewnątrz.

- Kabina, 9750 metrów - powiedział mechanik. - Jesteśmy rozhermetyzowani.

- Kontrola tlenowa - zarządził Madison. Nigdy jeszcze nie zrzucali spadochroniarzy z takiej wysokości. Bał się, czy ktoś się nie udusi. Załoga zameldowała się kolejno. Pilot uspokoił się.

- Zrzut za trzy minuty - oznajmił nawigator. - Zwolnij.

Madison cofnął dźwignie przepustnic, zwalniając samolot do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę względem otaczającego powietrza. Otworzyły się drzwi dla spadochroniarzy z tyłu samolotu oraz klapy odchylające strugi powietrza; wysunęły platformy do skoków. Hałas w ładowni był ogłuszający. Dowódca zrzutu ściemnił nieco czerwone światła nad drzwiami, tak, że w ładowni panowała niemal zupełna ciemność. Skoczkowie widzieli go jednak wyraźnie. Stał pomiędzy drzwiami i wcisnął przycisk radia, przy pomocy którego mógł się z nimi porozumiewać.

- Przygotować się! - rozkazał po francusku.

Głowy czterdziestu mężczyzn siedzących na ławkach dla spadochroniarzy, po dwudziestu po każdej burcie samolotu, zwróciły się równocześnie ku dowódcy zrzutu. Był to dla niego

dowód, że wszyscy go usłyszeli i że ich odbiorniki działają. Zaczynało się. Bouchard poczuł nieunikniony w takich przypadkach przyływ adrenaliny. Szybko posypały się następne komendy.

Pułkownik wyskoczył w rozgwieżdżoną noc. Spadał. Czuł, że jego ciało wytraca prędkość poziomą, pochodzącą od samolotu. Buczenie transportowca ucichło; teraz słychać było tylko wyjący wiatr. Skoczkowie otrzymali rozkaz utrzymywania ciszy radiowej w czasie lotu; chyba że jej złamanie okaże się konieczne. Cisza mówiła pułkownikowi, że wszystko przebiega w porządku.

Kiedy Bouchard znalazł się na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, jego spadochron otworzył się automatycznie. Szarpnęło. Instynktownie pułkownik sprawdził rurę tlenową. Trzymała się dobrze. Nie miał żadnych objawów niedoboru tlenu. Popatrzył w górę, sprawdzając prostokątny spadochron, przypominający z wyglądu materac. Widział jego światelka pozycyjne, zielone z prawej, czerwone z lewej. Zgasną, zanim znajdzie się na wysokości trzech tysięcy metrów. Następnie spojrział na odbiornik GPS - „global positioning system” - globalnego systemu wyznaczania pozycji. Urządzenie było przymocowane u góry spadochronu zapasowego.

GPS jest tak dokładny, że wyznacza położenie z dokładnością do dziesięciu metrów. Świecący się „suwak” i cyfry poinformowały go, że powinien skierować się w prawo. Sięgnął więc do linek sterujących, które zwieszały się na tyle nisko, żeby nie musiał unosić rąk powyżej poziomu serca. Pociągnął, żeby skorygować kurs. Powoli wskaźnik „suwaka” przesunął się na środek. Tymczasem licznik położenia poziomego informował, że pułkownik musi

przelecieć jeszcze trzydzieści dwa kilometry w poziomie, aby trafić w zaprogramowany punkt docelowy.

Bouchard zawieszony był pod znacznie zmodyfikowaną w stosunku do pierwowzoru wersją spadochronu FXC Guardian. Nie był to właściwie spadochron, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, tylko coś w rodzaju składanej paralotni o współczynniku ślizgu pięć do jednego. Na każdy stracony metr wysokości skoczek przelatywał pięć metrów do przodu.

Dzięki dodaniu systemu GPS, żołnierz mógł przelecieć prawie czterdzieści kilometrów w poziomie i wylądować dokładnie w zaplanowanym miejscu. Największym problemem - mimo zastosowania całej tej technologii - pozostało, jak nie powpadać na siebie przy lądowaniu. Okulary do działań nocnych, w jakie wyposażeni zostali legionieści, powinny temu zapobiec. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, Bouchard i jego trzydziestu dziewięciu żołnierzy wylądują w kwaterze głównej Azaniańskiej Armii Wyzwolenia za dokładnie pięćdziesiąt minut.

Młody operator radaru przestał martwić się o widoczny na ekranie samolot, skoro wyraźnie trzymał się on kursu na południe od Kimberley. W tej chwili znajdował się już o sto trzydzieści kilometrów od farmy. Teraz czarny żołnierz zastanawiał się, co mogą oznaczać drobne, zapalające się i gasnące punkciki, które pojawiły się na ekranie. To muszą być ptaki - pomyślał. Ale czy ptaki mogą być tak duże, żeby było je widać w nocy na radarze? Nie wiedział. Włączył analizator ruchomych obiektów, próbując zmierzyć prędkość powoli poruszających się punktów. Z początku radar i

komputer miały z tym problemy. Wreszcie udało mu się dokonać pomiaru - czterdzieści sześć kilometrów na godzinę. Poczł nagły niepokój. Sprawdził wysokość. Cztery tysiące metrów. To na pewno za szybko i za wysoko, jak na ptaki. A może i nie? Miał już zamiar obudzić Niemca, kiedy pomiar urwał się.

Spojrzał na swój nowy zegarek. Za piętnaście druga. Niespokojny, wyszedł na zewnątrz i podniósł głowę, w nadziei, że może zobaczy ptaki. Zamiast tego spostrzegł pięć słabiutkich światełek, przesuających się pod rozgwieżdżonym niebem. Poznikały, jedno po drugim. Były za wolne jak na spadające gwiazdy - pomyślał. Zaraz, jeszcze jedno? Zniknęło. Leciały w jego kierunku. To musiały być spadające gwiazdy.

Tym, co mężczyzna wziął za deszcz meteorów, były światełka pozycyjne na skrzydłach spadochronów; gasnące, w miarę jak skoczkowie przekraczali zaprogramowaną wysokość. Tylko bardzo ostry wzrok młodego człowieka pozwolił mu wyróżnić bledziutkie punkciki na tle jasno świecących tej nocy gwiazd. Azanianin zastanowił się chwilę. To była bardzo dziwna noc. Niepokój wzrastał się, aż poczuł, że trzęsie się ze strachu.

Wartownicy spali, więc nikt go nie zatrzymał, kiedy uciekał z farmy.

## **Wtorek, 7 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski siedział na stanowisku dowodzenia w centrum COIC. Dwaj dyżurni oficerowie zadbali o to, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Otaczała go więc cisza i spokój. Pułkownik złościł się, że nie może



wziąć bezpośredniego udziału w akcji; wiedział jednak, że tak jest rozsądniej. Dowódca powinien mieć czas i możliwość spokojnego myślenia i koncentrowania

się na całej akcji, a nie na najbliższym otoczeniu. Problemem było tylko zaakceptowanie tego faktu.

Główny zegar na ścianie przed pułkownikiem pokazał pierwszą pięćdziesiąt czasu miejscowego. Drugi zegar, umieszczony pod nim, informował, że operacja trwa już dwie godziny i dwadzieścia minut.

Matt odetchnął, kiedy odezwało się radio. Jake Madison meldował o stanie akcji. Jego drugi pilot podawał informacje w krótkich blokach, a dyżurni skrzętnie notowali, wypełniając odpowiednie rubryki przygotowanych formularzy. Starszy z dyżurnych podał Pontowskiemu wypełniony formularz. Zrzut przebiegł zgodnie z planem. Trzy śmigłowce dowodzone przez van der Roosa wylądowały sto trzydzieści kilometrów od rejonu celu, uzupełniły paliwo i wystartowały. Zatem wszystko w porządku.

Co teraz może się nie udać? - zastanawiał się Matt. Rozważył każdą z możliwości, jakie przyszły mu do głowy.

- Nie podoba mi się to... - mruknął sam do siebie. Wstał. Zaczął krążyć po pokoju, czując potrzebę działania. Musisz ufać swoim ludziom - skarcił się w myśli. Zaufaj im. Skąd te wątpliwości? Czy to już zawsze będzie tak wyglądać? Samotność, obawy?... Znał odpowiedź na ostatnie z pytań. Chodził więc dalej po swojej samotnej i bezpiecznej placówce, podczas gdy ludzie, nad którymi sprawował pieczę, wystawiali się na śmiertelne niebezpieczeństwa.

**Wtorek, 7 kwietnia**

## **Okolice Kimberley, Republika Południowej Afryki**

Bouchard krążył nad farmą, pociągając za linki sterujące spadochronu. Celował w duży obszar pomiędzy dwiema wielkimi stodołami. Opadał spiralą, jednocześnie obserwując obiekt przez okulary do działań nocnych. Na ziemi nikt się nie poruszał. Pułkownik znalazł się nad celem idealnie o czasie. Znalazłszy się na wysokości trzydziestu metrów, przerwał spiralę i przygotował się do lądowania. Wyhamował prędkość poziomą i wylądował na stojąco. Zaboląły go zmarznięte od długiego lotu stopy..

Zanim Bouchard zdążył położyć skrzydło spadochronu na ziemi, obok niego wylądowało już dwóch kolejnych skoczków. Kiedy zwolnił z zaczepu zwisający mu u boku karabin, na ziemi znajdowało się już następnych dwóch. Liczył spadające na ziemię cienie. Nie wydawano żadnych komend ani nie wymieniano po ciemku sygnałów - legionieści w milczeniu połączyli się w czteroosobowe drużyny i ruszyli, żeby zająć pozycje.

Po czterdziestu pięciu sekundach pułkownik doliczył się dziewiętnastu. Brakowało jeszcze jednego. Mijały sekundy. Wreszcie ostatni ze spadochroniarzy opadł na ziemię. To na pewno Rogers, ten Amerykanin - pomyślał Bouchard. Zawsze się gubi.

Spojrzał na zegarek - jeszcze trzydzieści pięć sekund. Ostatni z żołnierzy pobiegł na swoją pozycję. Grupa Alpha była gotowa. Pułkownik znowu podniósł do oczu zegarek; odliczył w myśli ostatnie pięć sekund, po czym trzykrotnie wcisnął klawisz radia, dokładnie o drugiej dwie. Odpowiedziały mu dwa wciśnięcia, nadane przez dowódcę grupy Bravo. Oznaczało to, że ona także

znajdowała się w całości na miejscu i była gotowa. Bouchard poczekał, aż sekundnik wskaże dokładnie drugą trzy. Odezwał się półgłosem: - Uwaga; trzy, dwa, jeden, teraz! - Zaczęło się.

Napięcie, jakie narastało w pułkowniku, znalazło upust. Ruszył do akcji, prowadząc trzy drużyny grupy Alpha. Pozostałych ośmiu ludzi miało zabezpieczyć strefę lądowania, służyć za rezerwę oraz nawiązać kontakt radiowy ze zbliżającymi się śmigłowcami. Bouchard zwolnił i pozwolił, żeby kapral Rogers - przedni jego drużyny - posuwał się pierwszy. Każdy z mężczyzn gotów był w jednej chwili rzucić się w takie miejsce, żeby nie przeszkadzać innym i strzelać. Wszystko rozgrywało się według ściśle określonych ram czasowych.

Przedni każdej drużyny prowadził ją ku wybranemu z góry celowi; tylny bardziej zajmował się tym, co znajduje się za drużyną, niż tym, dokąd idą. Najwyżsi i najniżsi z poszczególnych drużyn znajdowali się w środku; obserwowali pilnie boki. Rogers doszedł już do celu - szopy, w której zainstalowano radar. Przystanął, odliczając sekundy. Nacisnął na klamkę i zdziwił się, ponieważ drzwi były otwarte. Dał więc sygnał, ostrożnie uchylił drzwi, wrzucił do środka granat błyskowo-hukowy i zamknął.

- Kosmiczny wynalazek - mruknął, kiedy granat eksplodował z ogłuszającym wręcz hukiem i oślepiającym blaskiem.

Wokół rozległy się podobne eksplozje, a zaraz po nich serie z karabinów. Rogers otworzył z trzaskiem drzwi i omiół serią połowę pomieszczenia. Bouchard, przykucnięty po drugiej stronie drzwi, oczyścił kulami drugą połowę. Najwyższy z drużyny wbiegł do środka, strzelając przed siebie. Przeszył krótką serią drzwi dalszego

pomieszczenia, wybił je kopniakiem i zasypał kulami drugą część szopy.

- Obiekt czysty! - zawołał. Bouchard wszedł do głównej izby. Była w ruinie. Z rozbitej na kawałki konsoli operatora radaru wydobywał się dym i smród palącej się izolacji. Z jednego z hamaków zawieszonych przy tylnej ścianie zwieszało się do połowy ciało.

- To Arab - ocenił najwyższy z drużyny.

Teraz pułkownik wszedł do drugiego pomieszczenia i rozejrzał się. Łóżko wyglądało tak, jakby ktoś przed chwilą na nim spał. Bouchardowi zabrakło obrazu ciała z co najmniej dwiema kulami w głowie. Reakcja pułkownika była instynktowna, wyrobiona przez lata doświadczeń.

- Na dwór! - krzyknął. Gwałtowność rozkazu spowodowała, że cała drużyna wyskoczyła natychmiast w ciemność. Ostatni wybiegł Bouchard. Pędził, ile sił w nogach. Za jego plecami szopa eksplodowała, tak, że aż podmuch przewrócił go na ziemię.

- Grupa Alpha - meldować się - rozkazał przez krótkofalówkę, wstawszy. Żołnierze odezwali się kolejno - wszyscy żywi i zdrowi. - Uwaga - powiedział pułkownik - w szopie radarowej był alarm, podłączony do ładunku wybuchowego. Sprawdźcie swoje obszary.

Mężczyźni sprawdzili ostrożnie pozostałe obiekty i zameldowali, że ładunki połączone z alarmami zainstalowano także w szopie telekomunikacyjnej, garażu i składzie amunicji. Atak okazał się po prostu tak szybki, że nie zdążyły wybuchnąć.

- Główny budynek bezpieczny - zameldował dowódca grupy Bravo.

- Strefa lądowania bezpieczna - odezwał się inny głos. Ośmiu legionistów oczyściło teren umożliwiając lądowanie trzem śmigłowcom van der Roosa.

- Strefo lądowania, wezwijcie śmigłowce - rozkazał Bouchard.

- Wszystkie wartościowe obiekty zostały wyposażone w alarmy i ładunki wybuchowe - powiedział Rogers. - Dlaczego?

- To słuszny krok, jeśli nie ma się pełnego zaufania do ludzi - odpowiedział pułkownik. - Zapobiega to także kradzieżom. Na szczęście byli kiepsko wyszkoleni. Niestety, wokół kręci się przynajmniej jeden wróg, który jest dobrze wyszkolony.

- Tylko jeden?

- W pomieszczeniu radaru znajdowało się pojedyncze łóżko, w którym ktoś dopiero co spał - wyjaśnił Bouchard. - Powinno leżeć w nim ciało.

- Kimkolwiek był, daleko nie uciekł - wtrącił Rogers.

- Oczywiście - zgodził się pułkownik. Odezwał się teraz do czułego mikrofonu, reagującego na szept: - Grupa Alpha ma gdzieś jednego wroga. Trzymajcie pozycje. - Legioniści przestali się poruszać i zaczęli rozglądać się bacznie wokoło. Bouchard także zamarł. W ciemności, ze swoimi okularami do działań nocnych i plecakiem, wyglądał jak groźna zjawa, czekająca na ofiarę. Taktyka, jaką zastosowali, często okazywała się skuteczna.

- Ruch koło garażu! - zameldował Rogers przez radio.

- Chcę go żywego - odpowiedział pułkownik.

- Tak jest - potwierdził kapral. Bouchard liczył sekundy. Na „cztery” rozległ się pojedynczy strzał.

- Leży - zameldował Rogers. - Lewe kolano.

- Przynieście go tu. Grupa Bravo, dołączam do was.

- Dołączaj - potwierdził dowódca grupy Bravo.

Pułkownik znalazł się przy głównym budynku po czterdziestu pięciu sekundach. Sprawdzono, że to on i wpuszczono go. Ściągnął natychmiast okulary, gderając:

- Nienawidzę tego świństwa.

- Dobra robota - odezwał się dowódca grupy Bravo. - Skończyliśmy przed czasem. To było łatwe.

- Dla was - odpowiedział Bouchard. - Mało nie rozerwało nam tyłków w szopie radarowej. - Zamrugął oczami, przyzwyczajając się do światła. Jego zastępca stał przy stole, trzymając butelkę z wodą. Pomieszczenie było prowizorycznym centrum dowodzenia. Dokumenty i sprzęt leżały na podłodze, pod ścianami. Na jej środku znajdowało się natomiast sześć ciał.

- Przeszukajcie ich - rozkazał pułkownik.

Weszli Rogers i jeszcze jeden żołnierz, dźwigając ранnego Europejczyka. Bouchard zobaczywszy go drgnął. Rozpoznał go natychmiast. Skoczył ku niemu, złapał za włosy i obrócił. Jednocześnie kopnął go od tyłu w zdrowe kolano, przewracając go w ten sposób.

- Krzesło! - warknął, trzymając mężczyznę przy podłodze. Zaczął walić jego głową o ziemię, a potem dźwignął go na podstawione krzesło.

- Przylepiec! - Jeden z legionistów podał mu rolkę szerokiego, wytrzymałego przylepca. Pułkownik skrepował jeńca, przymocowując go ciasno do krzesła, aby na pewno nie mógł się ruszyć. Przylepiec tamował mu częściowo dopływ krwi do kończyn.

Biały człowiek nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, nawet gdy Bouchard zawiązywał mu wokół szyi stryczek z drutu. Drugi koniec uczeplił do sufitu. Skończywszy, oznajmił głośno:

- Jeśli się poruszy - przewróćcie krzesło.
- Stary przyjaciel?... - zapytał półgębkiem Rogers.

Bouchard oparł się o stół. Cały czas był spięty.

- Niezupełnie. - Spojrzał na dwóch legionistów, którzy przynieśli jeńca. - Macie szczęście, że żyjecie - powiedział.

- Kto to jest? - spytał Rogers.

- Erik Beckmann - wyjaśnił Bouchard, spoglądając na więźnia zimnym wzrokiem. - Zastanawialiśmy się, co się z tobą stało, Erik. - W odpowiedzi Beckmann plunął na niego. Tymczasem rozległ się odgłos nadlatujących śmigłowców. Pułkownik spojrzał na zegarek i odezwał się przez krótkofalówkę do drużyn obsługujących strefę lądowania: - Niech lądują. Szybko. Mają trzydzieści jeden minut. - Teraz należało czekać.

Śmigłowce lądowały po kolei. Z jednego wyskoczyły cztery postacie. Ruszyły biegiem przez farmę, prowadzone przez jednego z legionistów. Dobiegły do głównego budynku. Wartownicy wpuścili je do środka. Pułkownik pokręcił głową na widok wchodzących „chłopców”. To nie była metoda Boucharda na prowadzenie wojny. Pontowski uparł się jednak, żeby jego drużyna złożona z czterech kobiet obejrzała dokładnie budynek, zanim zostanie zniszczony. Bouchard podejrzewał, że kobiety są agentkami CIA. Patrzył, jak zabierają się do pracy.

- Są bardzo dobre - powiedział po francusku dowódca grupy Bravo.

Jedna z kobiet podała pułkownikowi mapę.

- Centrum szkoleniowo-zaopatrzeniowe Azanianów jest tutaj - powiedziała, pokazując na małą wioskę, odległą o pięćdziesiąt kilometrów.

- Ile jeszcze potrzebujecie czasu? - spytał Bouchard, zadowolony z ich pracy.

- Całych dni - odpowiedziała zapytana. - Ale zabierzemy, co się da. Czy możecie nam pomóc? - Pułkownik skinął głową i polecił sześciu legionistom pomóc Amerykankom. Czekał, patrząc, jak kobiety poruszają się z oszałamiającą szybkością. Musiał niechętnie przyznać rację dowódcy grupy Bravo - znały się na swojej robocie. Spojrzał na zegarek.

- Czas na nas, Erik.

- *Du kannst mir mal an den Sack fassen!*

- Przyzwyczałeś się do udawania Niemca, Erik? - spytał Bouchard. Wyjaśnił swoim żołnierzom: - *Herr Beckmann* chce, żebyśmy dokonali aktu seksualnego na samych sobie. To nie jest przyjemny widok. - Popatrzył na terrorystę z rezygnacją. - Na nic się nam nie przyda. Poza tym, nie chcę, żeby siedział z nami w jednym śmigłowcu...

- Kto to jest? - dopytywał się Rogers.

- Bardzo niebezpieczny człowiek. - Dłoń w rękawiczce dotknęła lewej strony jego poparzonej twarzy. - On mi to zrobił.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał Rogers.

- Właśnie dlatego jest taki dobry - odparł pułkownik. Znowu popatrzył na zegarek. Włączył krótkofalówkę. - Wszystkie jednostki - powiedział - wycofać się do strefy lądowania; na moją komendę:



trzy, dwa, jeden, teraz! - Czas upływał. Rogers wyprowadził Amerykanki z budynku. Każda z nich trzymała po dwa lub trzy pakunki. Bouchard wyraźnie ociągając się składał mapę.

- A co z Beckmannem? - spytał dowódca grupy Bravo.

Bouchard, z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, odpowiedział dziwnie miękkim tonem, kręcąc powoli głową:

- Będę miał z *monsieur* Beckmannem małą pogawędkę... kiedy już pan wyjdzie.

- Ładunki wybuchowe eksplodują za sześć minut - przypomniał dowódca grupy Bravo. Wybiegł na dwór, pozostawiając pułkownika i Beckmanna samych.

Kiedy startował pierwszy śmigłowiec, w głównym budynku rozległo się pięć szybko następujących po sobie strzałów.

## **Rozdział dwudziesty**

**Wtorek, 7 kwietnia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski zapisał w notatniku czas, kiedy nadszedł drugi meldunek od uczestników akcji. Wiedział, że dyżurni zanotowali także godzinę, ale musiał coś zrobić. Spojrzał na główny zegar. Ciągle była druga czterdzieści osiem. Czas dłużył się niemiłosiernie; zdawał się biec coraz wolniej.

- Pułkowniku - odezwał się dyżurny - pułkownik Bouchard chce z panem mówić.

Pontowski podniósł mikrofon i włączył przycisk nadajnika-kodera. Ucieszył się, że ma coś do roboty.

- Proszę mówić - odezwał się.

- Wszystko udało się zgodnie z planem, co do minuty - zameldował Bouchard. - Żadnych ofiar. - Głos Francuza miał „metaliczną” barwę, spowodowaną przez nadajniki przeskakujące po różnych częstotliwościach i przez transmisję satelitarną. - Jednak drugi cel nie został osiągnięty.

Pontowski miał ochotę zapytać natychmiast, co poszło nie tak. Dlaczego nie zniszczyli broni i amunicji, którą, według danych CIA, przechowywali na farmie Azanianie? Długie doświadczenie pułkownika powiedziało mu jednak, że odpowiedź na to pytanie może poczekać. Priorytetem było w tej chwili bezpieczne dotarcie jego ludzi do bazy.

Bouchard spojrział na mapę, którą znalazły w dowództwie Azanianów „chłopcy”.

- Ale wiemy, gdzie on jest - powiedział. - Możemy go zlikwidować.

- Jaki ma pan pomysł? - Matt usiłował się powstrzymać przed zadaniem tego pytania, ale nie udało mu się.

Francuz w krótkich słowach zarysował mu plan dalszej części misji. Pontowski zawahał się chwilę z odpowiedzią, próbując ocenić, jakie mają szanse powodzenia. Propozycja Boucharda była bardzo prosta, jednak czy żołnierzom uda się ją zrealizować? Plan był dziełem chwili; nikt nie miał czasu na jego dokładne przemyślenie. Czy pozwolić, żeby wszystko rozegrało się spontanicznie? Jakie czynniki pozwolą osiągnąć sukces?

- Panie pułkowniku - odezwał się znowu Bouchard - van der Roos mówi, że lądowanie nie jest dla niego żadnym problemem. Potrzebny nam tylko jego śmigłowiec i cztery A-10.

Pontowski wiedział, że Francuz „naciąga” go na podjęcie decyzji.

- Ryzykuje pan - powiedział w końcu.

- To prawda - zgodził się Bouchard. - Ale proszę się zastanowić, jakiego mamy przeciwnika. To bardzo niski stopień ryzyka.

Ma rację - pomyślał Matt. Podjął więc decyzję.

- Zgoda. Gdzie i kiedy mają znaleźć się A-10?

Francuz podał mu współrzędne.

- Niech będą tam o szóstej trzydzieści czasu miejscowego. Kiedy zajmiemy pozycje, połączę się znowu i ewentualnie skoryguję porę.

- Będą tam - obiecał Pontowski. Wyłączył nadajnik.

- Sierżancie Gonzalez - zawołał do starszego z dyżurnych. - Muszę porozumieć się z pułkownik Kowalski. - Sprawdził rozkład dyżurów, żeby zobaczyć, kto jest gotowy do lotu i polecą do legionistów Boucharda.

- „Robalowi” się to spodoba... - mruknął sam do siebie.

Główny zegar na ścianie pokazywał drugą pięćdziesiąt jeden. Zatem ponowne narażenie swoich ludzi na niebezpieczeństwo zajęło Mattowi zaledwie trzy minuty. Usiadł w swoim wygodnym fotelu i spróbował zrelaksować się trochę. Jednak ciągle spoglądał na zegar. Każda sekunda czekania przeciągała się w nieskończoność.

## **Wtorek, 7 kwietnia**

### **Nad Wielkim Karru, niedaleko Kimberley**

Śmigłowiec puma leciał nisko nad pustynnym terenem, klucząc i zmieniając wysokość, aby kryć się za załomami terenu. Zapadlisko Karru jest bowiem pełne kanionów i wąwozów. Tylko raz van der Roos niechcący znalazł się zbyt nisko i wirnik wydmuchnął w górę

pył, momentalnie zdradzając pozycję śmigłowca.

- Wzbiliśmy chmurę kurzu! - zameldował przez interkom celowniczy zamontowanego w prawych drzwiach karabinu maszynowego kaliber 7,62 mm.

Kapitan poruszył lekko sterami, tak aby śmigłowiec wzniósł się odrobinę, a jednak nie odrywał się zbyt wysoko od ziemi.

Drugi pilot siedzący w lewym fotelu śledził wyświetlaną na ekranie, przesuwaną się mapę, sprzężoną z odbiornikiem GPS i pełnił rolę pilota obserwatora.

- Już prawie jesteśmy... trzy stopnie w lewo... prawie, prawie. Wolniej... wolniej... to tutaj. - Van der Roos przystąpił do lądowania. Dawno wymarłe plemię Khoikhoi, rodowici mieszkańcy tej ziemi, rozpoznałoby trafnie lądującą maszynę - pomyśleliby zapewne, że to olbrzymi, śmiercionośny ptak, który przybywając zwiastuje ich krainie zniszczenie.

Mężczyźni znajdujący się wewnątrz śmigłowca wyskoczyli natychmiast po wylądowaniu. Tylko Bouchard podszedł do pilotów i nasłuchiwał krótkofalówki, która łączyła go z jego ludźmi. Świtało. Za szybami przedmioty nabierały konturów. Zobaczył dwóch legionistów, jak strzelają, oczyszczając teren przed śmigłowcem. Żołnierze zameldowali się jeden po drugim.

- Rejon bezpieczny - oznajmił pułkownik pilotom.

- Wyłączyć silniki - rzucił van der Roos. Drugi pilot sięgnął do przełączników i wirnik zatrzymał się. Dwaj strzelcy van der Roosa rozwijali już na zewnątrz siatkę maskującą, żeby ukryć śmigłowiec. - Dobrego polowania, panie pułkowniku - powiedział Piet do Boucharda.

Pułkownik leżał w płytkim zagłębieniu poniżej wierzchołka niewielkiego wzgórza. Obserwował rozciągającą się przed nim dolinę. Powoli cienie ustępowały miejsca słonecznemu światłu. Jego oczom ukazywały się szeregi ciężarówek, namioty, na wpół porozpinane siatki maskujące i stosy skrzyń. Znajdował się pod wiatr w stosunku do bazy i jego nos wyczuwał smród ze źle wykopanych latryn. Koło skupiska bielonych chat, które do niedawna były zwykłą wioską, stały zaparkowane to tu, to tam samochody.

Z beznamiętnym wyrazem twarzy oglądał bazę przez lornetkę, szukając posterunków wartowniczych. Poczul skurcz w żołądku, zobaczywszy przebiegającą przez wioskę trójkę dzieci. Wiedział, co je czeka. Rogers wślizgnął się do zagłębienia, dysząc ciężko. Pot spływający mu po twarzy żłobił brudne linie na kamuflażu. Wyglądał jak przybysz z innej planety.

- Mógł pan na mnie zaczekać... - powiedział z wyrzutem.

Bouchard zignorował ten wyrzut i wyciągnął odbiornik GPS. Włączył go. Po dziesięciu sekundach na niewielkim ekranie zapaliły się cyfry, oznaczające długość i szerokość geograficzną. Wyznaczały pozycję pułkownika z dokładnością do dziesięciu metrów. Sprawdził jeszcze raz krótkofalówkę, żeby upewnić się, czy nie wyczerpała się akurat bateria, i czekał, obserwując wieś.

- To dopiero szczęście - mruknął Rogers. Wyciągnął lornetkę. - Niech pan spojrzy. Nie chciało im się nawet poustawiać sprzętu w odpowiednich odstępach. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

Bouchard nie odpowiadał, tylko obserwował, mrużąc oczy. Przypomniały mu się jego własne dzieci. Miał ich dwoje; były

bezpieczne w domu, we Francji, niedaleko miejscowości Aubagne, gdzie znajduje się dowództwo Legii Cudzoziemskiej.

- Najpierw musimy wypłoszyć mieszkańców wioski - powiedział.

- Dobry pomysł. Jak?

Znowu nie odpowiadał. Myślał; zastanawiał się nad współczesnymi sposobami prowadzenia wojny. On znajdował się po stronie wyposażonej w nowoczesną broń i sprzęt. Miał możliwość zniszczenia celu, z pełnym wykorzystaniem śmiertelnych narzędzi, jakie miał do dyspozycji. Jego żołnierze byli wykształceni, świetnie wyszkoleni, obeznani z techniką i potrafili użyć tej wiedzy w walce. Jego ludzie i ich sprzęt łączyli prostotę i najwyższy stopień wyrafinowania, tradycję i awangardą nauki. Legioniści Boucharda byli zdyscyplinowani i nigdy nie zapominali o podstawowych sprawach, takich jak rozproszenie magazynowanego sprzętu, rozciągnięcie siatek maskujących czy ochrona cywilów. Natomiast przeciwnicy Boucharda byli wyposażeni w nowoczesną broń, tyle że mieli niewielkie pojęcie o jej użyciu.

- Musimy ich nauczyć... - odezwał się na głos.

- Chyba po to tu jesteśmy - skomentował Rogers.

Dwa A-10 leciały nad Karru na małej wysokości. Pierwszy wzniósł się na wysokość trzystu pięćdziesięciu metrów i zaczął krążyć po torze wyścigowym w lewo. Drugi z samolotów pozostał nisko i w tyle.

- Grupo Alpha, czy mnie słyszycie? - odezwał się „Robal” przez radio.

- Słyszę cię głośno i wyraźnie - odparł Bouchard. - A ty mnie?

- Słyszę cię z zakłóceniami, ale zrozumiale. Podaj cel, zagrożenia i ułatwienia.

Bouchard odczytał swoje współrzędne, po czym powiedział:

- Mamy dla was jeden, powtarzam, tylko jeden cel. Cel znajduje się w dolinie położonej na południowy zachód od podanej przeze mnie mojej pozycji. Celem jest skład broni położony w sąsiedztwie wioski. Nie zaobserwowaliśmy zagrożenia. Spodziewajcie się jednak broni ręcznej i Graalów. - „Graalami” nazywano w NATO radzieckie rakiety ziemia-powietrze odpalane z ramienia dźwigającego wyrzutnię żołnierza, które stały się ogólnym synonimem zagrożenia z ziemi dla samolotów. - W wiosce są cywile.

- To niedobrze - odparł „Robal”.

- Czy możecie najpierw przeprowadzić ostrzał? - zapytał Bouchard. - Zaatakujcie najbardziej odległy od wioski koniec składu i posuwajcie się stopniowo w jej kierunku.

Stuart zastanowił się nad odpowiedzią. Francuski pułkownik chciał ostrzec mieszkańców. „Kroczący” ku chatom atak da im czas do ucieczki. Kapitan podobnie jak Bouchard nie chciał zabijać niewinnych ludzi. Jednak znał złe strony proponowanego postępowania. Najlepszą taktyką, ze względu na własne przeżycie, było zrzuć bomb na początku, a dopiero potem ostrzeliwanie. Czy chciał aż tak ryzykować?

Podjął decyzję.

- Przeprowadzimy najpierw ostrzał - oznajmił. Miał poczucie, że decyzja jest moralnie dobra. Automatycznymi ruchami włączył HUD, wybierając celownik powietrze-ziemia. Położył maszynę na lewe skrzydło i szybko obejrzał okolicę. Następnie rozejrzał się w

prawo, pochylając samolot w przeciwną stronę. Rozpoznał w ten sposób rozciągający się pod nim teren. Nigdy jeszcze nie leciał nad tym obszarem; potrzebował więc punktów orientacyjnych, żeby w gorączce ostrzału czy bombardowania wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Możecie atakować - zezwolił Bouchard.

- Potwierdzam - odpowiedział „Robal”. Musiał teraz zaplanować atak z „Bunsem” Coxem, z którym tworzył pierwszy klucz, i z drugim kluczem, który nadlatywał. - „Buns”,

atak taktyczny. Przecięcie pod kątem dziewięćdziesiąt; oddzielnie; zawróć do ponownego ataku za mną - przekazał Coxowi w skrócie ustalenia. - „Skid”, słyszałeś wszystko?

- Słyszałem wszystko - potwierdził Malone, dowodzący drugim kluczem.

- Jeśli mieszkańcy wioski nie uciekną, zabieramy bomby do domu.

- Potwierdzam - odpowiedział „Skid”.

- Wchodzę - oznajmił „Robal”, dając pełny gaz i kierując się ku dolinie. „Buns” wymanewrował tak, że znalazł się tysiąc dwieście metrów w prawo w stosunku do niego, i nieco dalej od celu. Pędzący pełną prędkością Stuart zniżył się do wysokości dziewięćdziesięciu metrów, żeby schować się za pagórkami. Sprawdził odruchowo deskę rozdzielczą sterującą uzbrojeniem. Wyłącznik główny w górę - włączone; WD-1 - tryb „celownik” projektora HUD. Przed oczami kapitana pojawiło się podłużne wzgórze. Przeleciał nad nim i zobaczył dolinę. Przytulił się znów do ziemi i aż mruknął z zachwytu. Przed nim znajdowało się morze celów, jakby specjalnie stworzonych dla myśliwsko-szturmowego A-10.



- Niesamowite - odezwał się „Buns”. - Nie do uwierzenia.

„Robal” ocenił odruchowo położenie wioski względem celu i wzgórz. Nie musiał nawet specjalnie o tym myśleć; takie rzeczy miał już we krwi. Teraz obraz w jego umyśle stał się pełny.

Nadlatując nad oddalony od wioski kraniec składu broni zdawał już sobie sprawę z tego, że po ziemi biegają ludzie. Cyfry przy celowniku na HUD pokazywały, że wszystko w porządku - kąt zejścia siedem stopni, prędkość - pięćset osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a analogowy suwak wskazujący odległość od celu mijał właśnie tysiąc osiemset metrów. Wszystko wydawało się bardzo proste, jednak tylko z powodu wysokich umiejętności pilota. Kiedy środek celownika znalazł się na celu, kapitan zwolnił nieco spust, uruchamiając działko i trzymając spust do połowy wciśnięty włączył system naprowadzający PAC.

Automatyczny pilot przejął kontrolę nad samolotem i nieustannie trzymał działko na celu. Stuart był teraz właściwie tylko mechanikiem uruchamiającym poszczególne urządzenia, tyle że to on decydował, w którym momencie i do czego strzelać; on odpowiadał za to, kogo zabije, a kogo nie.

Obrońcy składu mieli jednak swoje zdanie w tej kwestii. W stronę „Robala” poleciała seria z przeciwlotniczego działka. Złapał za drążek i zrobił zygzak, schodząc na chwilę z kursu utrzymanego przez PAC i zaraz wracając. Palec wskazujący prawej ręki zaczął ściągać powoli spust. Tymczasem z dołu posypały się pociski baterii przeciwlotniczej, a także ogniste strzały - rakiety Graal. „Robal” szarpnął samolotem, próbując zmylić strzelających.

Bouchard patrzył, jak samolot Stuarta przesuwa się pośród

deszczu pocisków i smug kilku rakiet. Z ogona A-10 wystrzeliły flary; wielki myśliwiec zniżył się na wysokość zaledwie dziesięciu metrów. Tymczasem nadleciał drugi, pod kątem prostym; pilot strzelał z pokładowego działka. Francuski pułkownik był przekonany, że obydwa samoloty za chwilę eksplodują i spadną. Tymczasem A-10 „Robala” zrobił nagle nieoczekiwaną świecę. Bouchard sądził, że to ostatnie drgawki pilota, który zaraz zginie, rozbijając się o ziemię. Jednak nie, Stuart zawrócił samolot i skierował się znowu przeciw obrońcom składu.

- Mercie - wyrwało się pułkownikowi z podziwu. „Robal”, zygzakując gwałtownie, nadlatywał wprost ku strzelającym. Pot ściekał mu po twarzy, gdyż musiał skupić się mimo ostrych pacnięć, oznaczających odbijanie się kul ręcznych karabinów od pancerza kabiny. Dwie z kul przedziurawiły przezroczystą osłonę nad głową.

- „Buns”! - zawołał, nacierając dalej.

- Zawracam! - odparł Cox. Opóźnił zakręt, pozwalając Stuartowi na ponowny przelot; teraz jednak był już przygotowany do ponownego ataku, zgodnie z pierwotnymi ustaleniami.

„Robal” posłał serię z działka prosto w strzelającą do niego baterię przeciwlotniczą. Następnie położył maszynę na prawe skrzydło i skręcił o dziewięćdziesiąt stopni. Teraz leciał w tym samym kierunku co „Buns”, znajdujący się o trzy kilometry za nim. Pomiedzy nimi, na ziemi, nastąpiła potężna eksplozja; w górę wystrzelił słup dymu. Cox przeleciał przezeń i także odnalazł sobie cel. Wypuścił serię i skręcił o dziewięćdziesiąt stopni, żeby usunąć się przed zawracającym „Robalem”.

W rękach agresywnego pilota A-10 był prawdziwie śmiertcionośną

bronią. Obrońcy zaczęli mieć dosyć. Wydawało się, że strzelanie do samolotów tylko drażni pilotów; powoduje, że z tym większą determinacją atakują ponownie. Broniący się ściągnęli na siebie zainteresowanie pilotów amerykańskich maszyn, co wcale nie odpowiadało ich zamiarom. Azarian przestał strzelać równie nagle jak zaczął, porzucił broń i rozpięchł się, aby jak najprędzej się schować.

- Już uciekają - oznajmił „Robal”, Zmienił nieco kierunek lotu i skupił się na nowym celu. Po chwili posłał osiemdziesiąt pocisków w szereg zaparkowanych ciężarówek. Zanim skończył atak, nacisnął spust jeszcze raz.

- Dwójka, wchodzę - odezwał się „Buns”. - Widzę cię.

Stuart krążył już nad chatami. Wieśniacy także rzucili się do ucieczki. Zastanawiał się tylko, dlaczego tak wielu z nich przewraca się na ziemię. Zacieśnił koło i opadł na wysokość trzydziestu metrów.

- Sukinsyny!!! - ryknął, widząc, że dwóch mężczyzn strzela z karabinów maszynowych do uciekających w panice ludzi. Wzniósł się nieco, nie spuszczając ani na chwilę spojrzenia z morderców. Pilotował w tym momencie na pamięć. Zamierzał dokonać ostatecznego, chirurgicznego cięcia; tym razem czuł prawdziwy gniew. Kiedy HUD wskazał pożądaną pozycję, pilot skierował nos maszyny ku zabójcom.

Skurczył na moment palec na spuście. Poleciało siedem pocisków. Dwaj mężczyźni po prostu zniknęli, rozszarpani na strzępy eksplodującymi pociskami. Stuart znowu zaczął krążyć nad chatami, widząc ku swojej uldze, że ucieka jeszcze więcej ludzi. Odezwał się

przez radio do Boucharda.

- Zdaje się, że już wszyscy uciekli. Kto do nich strzelał?

- Dobra robota - pochwalił pułkownik. - Stąd wyglądało na to, że strzelali żołnierze.

- Do swoich własnych ludzi?! - „Robalowi” nie mieściło się to w głowie.

- Ciężarówka zaczyna odjeżdżać! - przerwał im Cox.

- Czas na bomby - odpowiedział Stuart. - Jesteś na pozycji?

- Potwierdzam.

- Atakuj. Będę cię krył.

„Buns” wzniósł się na wysokość tysiąca metrów, zakręcił i zszedł ku celowi pod kątem dwudziestu stopni. Kiedy znajdował się na sześciuset metrach, przy prędkości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wypuścił bomby. Spod skrzydeł wypadły cztery CBU-58, otwierając się i wypuszczając śmiertelnie zawartość. Eksplodujące „piłeczki” wybiły szeroki „korytarz” pośród ciężarówek.

- Znakomicie - pochwalił Stuart. - Wchodzę. - Powtórzył to, co Cox, tyle że pod kątem prostym. - Jestem czysty - oznajmił. - Wezwał drugi klucz. - „Skid”, możecie atakować. My lecimy na południe.

- Odebrałem wszystko - potwierdził „Skid”.

- Mam nadzieję, że coś dla nas zostawiliście - odezwał się drugi głos. Był to „Goryl”.

- Całą masę rzeczy - zapewnił go Stuart. - Komitet powitalny zdążył już opuścić przyjęcie. - Po chwili dołączył do niego „Buns” i we dwóch skierowali się ku Ysterplaat.

Bouchard przyglądał się, jak kolejne dwa A-10 dopełniają dzieła zniszczenia. Teraz to już tylko polowanie na kaczki - pomyślał. Spojrzał przez lornetkę na samochód osobowy i ciężarówkę uciekające ku skrajowi doliny. Po chwili doścignął je jeden z myśliwców i poleciał dalej. Pojazdy zniknęły w potężnej kuli ognia. Samolot skręcił ostro w lewo i zniknął za ciemną chmurą.

- Jakiś dodatkowy wybuch - odezwał się Rogers. - Ciekawe, co wiozła ta ciężarówka?

Bouchard wzruszył ramionami. W milczeniu obserwowali pracę pilotów. Po przelocie „Goryla” mało co pozostało już do zniszczenia. Zrzuciwszy pociski, pilot zawrócił i wykonał następny atak, pozostawiając za sobą ścieżkę eksplozji i pożarów. Na pustyni pozostały już tylko płonące szczątki pojazdów i skrzyń. Mała wioska także zniknęła, zdmuchnięta eksplozjami dwóch dwustudwudziestopięciokilogramowych bomb Mark-82 AIR, o promieniu rażenia tysiąca dwustu metrów.

W powietrzu rozlegały się teraz tylko trzaski wybuchającej amunicji, rozsypanej z rozbitych, płonących skrzyń.

- Przez długi czas nikt nie będzie mieszkał w tej dolinie - powiedział francuski pułkownik. - Ruszamy do strefy lądowania. - Obejrzał jeszcze przez lornetkę płonące ciężarówki, po czym wstał i odszedł, z martwym wyrazem twarzy.

Rogers ruszył za nim, trzymając się z tyłu. Służył pod Bouchardem dostatecznie długo, żeby wiedzieć, kiedy pułkownik jest zły - a w tym momencie był po prostu wściekły.

- Zwinąć siatkę - rozkazał van der Roos swojej załodze, kiedy Bouchard zameldował się przez radio. - Będziemy odlatywać.

- Kapitanie... - odezwał się wartownik, pokazując na krzaki.

Zza krzaków wyłonił się Bouchard. Wspiął się na pokład śmigłowca, nie mówiąc ani słowa.

- Co się stało? - spytał Piet Rogersa. - Myślałem, że wszystko poszło dobrze.

- Bo poszło. Jak bułka z masłem. Nic nie zostało.

- To dlaczego pułkownik jest taki zdenerwowany?

- To chyba dlatego, że nie podobało mu się zachowanie niektórych przeciwników - odpowiedział kapral. - Zaczęli zabijać wieśniaków - swoich własnych ludzi.

Van der Roos pokręcił głową.

- Wieśniacy byli prawdopodobnie z plemienia Venda - wyjaśnił. - Większość Azanianów pochodzi z innych plemion, które uważają, że Venda to bezwartościowy krowi gnój. Tak dosłownie mówią; to nie moje słowa.

- A więc chodziło o nienawiść plemienną - upewnił się Rogers.

- Tak. To afrykański odpowiednik rasizmu - odpowiedział Piet.

## **Czwartek, 9 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Świńskie oczka Kreinera przemieszczały się z MacKaya na Azanianina i z powrotem. Pot spływał mu po plecach. Rozważał swój następny ruch. Za wszelką cenę chciał, żeby to MacKay, a nie on, stał się obiektem gniewu Beckmanna. Czy zdołam go w to zrobić? - myślał. Może to i Amerykanin, ale i tak czarnuch, tak samo głupi jak reszta - pocieszał się.

- Pan go tu przyprowadził - powiedział - i pan z nim pierwszy

rozmawiał. Skoro więc to pan zna szczegóły, prościej będzie, jeśli przekaże je pan bezpośrednio panu generałowi.

Ku wielkiej uldze Kreinera, MacKay zgodził się.

- Dobrze. Niech pan to zorganizuje. - Kreiner skinął głową i podniósł słuchawkę telefonu. O co chodzi tej kreaturze? - zastanowił się John.

- *General* wysłucha was od razu - oznajmił Kreiner.

MacKay skinął na młodego Azanianina i wszedł do biura Beckmanna.

- *Goeimore, Generaal* - powiedział. Nagle przysła mu do głowy dziwna myśl: w starożytnym Egipcie to niewolnikom kazano zanosić faraonom złe wieści, ponieważ posłaniec, który miał niepomyślne informacje, bywał skazywany na śmierć...

- Kreiner powiedział, że ma pan ważne nowiny - odparł Beckmann.

John przyjrzał mu się uważnie. Mówił spokojnym tonem. Jego zachowanie nie wskazywało na jakieś szczególne emocje.

- Mam bardzo złe nowiny - oznajmił MacKay. - Wolałbym, panie generale, żeby nie były prawdą. - Ciągnął dalej: - Ten człowiek był w dowództwie armii azaniańskiej, kiedy została zaatakowana. Moi informatorzy odnaleźli go i przekazali mi. Mówi, że zginął tam niemiecki najemnik, którego opis odpowiada wyglądowi pańskiego brata.

Beckmann patrzył tylko na Johna bez słowa.

- Mój brat rzeczywiście tam był - powiedział w końcu. - Ale już wiele razy meldowano mi o jego rzekomej śmierci.

MacKay kazał więc Azanianinowi powtórzyć wszystko, co sam od

niego usłyszał, i co powiedział on Kreinerowi. Mężczyzna rozpoczął długą opowieść, podkreślając setki powodów, dla których uciekł z szopy radarowej.

- Kiedy odleciały śmigłowce, wróciłem - kończył - i poczekałem, aż przestanie się palić w budynku dowództwa. - Po chwili opisał, jak znalazł ciało znanego sobie Niemca, przywiązane do krzesła i przeszyte wieloma kulami.

- Dlaczego ciało nie spaliło się tak, że mogłeś je rozpoznać? - spytał John.

- Było bardzo spalone - zapewnił Azanianin.

- Ale jesteś pewien, że to był ten Niemiec?

- O, tak - odpowiedział Azanianin. - Miał pierścień... Zdjąłem go z ciała. I dałem panu...

MacKay podał Beckmannowi pierścień. Generał obracał go w palcach, przyglądając mu się uważnie.

- Tak, to sygnet Erika - stwierdził. - Nasz ojciec dał każdemu z nas sygnet, kiedy pokazał nam po raz pierwszy mauzoleum *voortrekkerów*. Był wtedy szesnasty grudnia, rocznica Przymierza, i nasze szesnaste urodziny. Rozumie pan, co to dla nas znaczyło? Mój sygnet został skradziony przez czarnucha; wiele lat temu. - Wsunął sygnet na palec.

MacKay odczuł ulgę. Niepotrzebnie niepokoił się o reakcję Beckmanna. Generał był przepełniony smutkiem i żalem, ale nie żądzą zemsty. Tymczasem Beckmann podniósł słuchawkę i wcisnąwszy guzik powiedział:

- Kreiner, przyjdź tu, proszę. Będziesz potrzebował pomocy. - Popatrzył znów na MacKaya. - To hańba... - mruknął.



- Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia - odezwał się John.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wkroczył Kreiner z dwoma uzbrojonymi żołnierzami. Jeden z nich trzymał przed sobą wyciągnięty pistolet. Drugi niósł dwie pary kajdanek. Beckmann wskazał ręką na MacKaya i Azanianina.

- Powiesić ich - rzucił.

Pułkownik skoczył ku żołnierzom, nie dowierzając własnym oczom, że popełniają tyle błędów naraz. Płynnym, ciągłym ruchem wytrącił żołnierzowi z dłoni pistolet, posyłając go łukiem przez pokój i wbił mu ułożone szponiasto palce w szyję. Następnie wybił kopniakiem do połowy wyciągnięty pistolet drugiemu strażnikowi. Broń runęła z trzaskiem na podłogę, a MacKay wyprowadził drugiego, potężnego i wysokiego kopniaka, przewracając mężczyznę i łamiąc mu przy tym szczękę. Złapał leżący pistolet i zastrzelił pierwszego żołnierza, a potem kopnął drugiego w skroń.

Kreiner uciekał ku drzwiom, jednak cios pistoletu w głowę przewrócił go. MacKay kopnął Kreinera w żołądek. Wrócił teraz spokojnie do biurka Beckmanna i odłożył na nie pistolet z donośnym stukiem.

- Niech pan lepiej szkoli swoich strażników - powiedział. - Mówiłem poważnie, kiedy składałem panu wyrazy współczucia. Ale powieszenie mnie z tego powodu, że przyniosłem panu złe wiadomości, niczego nie zmieni. Chyba że chce pan mieć wokół siebie samych głupich tchórzy?

Beckmann spokojnie podniósł słuchawką telefonu, jak gdyby nic się nie stało.

- Proszę o sanitariusza; Kreinerowi potrzebna jest pomoc. I trzeba

posprzątać. - To powiedziawszy wstał i skinął na MacKaya. - Niech pan pójdzie za mną - polecił. - I zabierze go ze sobą. - Pokazał na Azanianina.

MacKay z Azanianinem poszli za Beckmannem do budynku bezpieczeństwa, znajdującego się w sąsiedztwie dowództwa. Generał powiedział coś po cichu do dyżurnego porucznika. Egzekucja odbyła się tak szybko i sprawnie, że John był oszołomiony. Azanianin został rozebrany do naga; skuto mu kajdankami dłonie za plecami i wyprowadzono na wewnętrzny dziedziniec. Nogi ugięły się pod nieszczęśnikiem, kiedy zobaczył szubienicę. Dwóch krzepkich strażników pochwyciło go i zaciągnęło po schodkach na górę. Po chwili założono mu na szyję stryczek z drutu i kłapa pod jego stopami otworzyła się. Drut jednak napiął się od razu, i niewysoki wzrostem skazaniec nie opadł. Wisiał, obracany wiatrem, i dusił się.

Nie rozładowało to jednak gniewu Beckmanna. Wewnętrzny głos w głowie generała domagał się zemsty za śmierć brata; drugi wtórował mu, krytykując za brak natychmiastowego działania. Trzeci głos, który zawsze wzywał go do ostrożności, był tym razem bardzo cichy.

- Niech pan nie okazuje więcej nieposłuszeństwa - powiedział do Johna. - Proszę za mną. - MacKay wrócił więc za nim do budynku dowództwa.

Ten skurwysyn zupełnie zwariował! - John chyba po raz szósty chwycił się na tej myśli. Słuchał Beckmanna przemawiającego do swojego sztabu tak, jak gdyby nic się nie stało; jakby dyskutowali zwykle, codzienne sprawy. Jednak w tym, co planował generał, nie

było nic normalnego.

- Tak zwane siły pokojowe ONZ pokazały wreszcie swoje prawdziwe oblicze - mówił Beckmann, z coraz większym zapamiętaniem. - Ich atak na Azanianów był ostrzeżeniem, którego nie wolno nam lekceważyć. Musimy wysłać im taką odpowiedź, którą rozumieją. - Starał się porwać za sobą słuchaczy. - Nie wolno nam jednak zapominać o zdrajcach, jacy są pośród nas! Zbyt wielu naszych braci, którzy ośmielają się nazywać siebie *voortrekkerami*, ucieka z *Boerstaat* i szuka schronienia w Kapsztadzie. Musimy wygnać obcokrajowców z ONZ z naszej ziemi i ukarać zdrajców! Czas podjąć akcję! Czas działać! Działać!!!

Jak ja ich ostrzeżę?! - niepokoił się MacKay. Sala rozbrzmiała okrzykiem:

- *Blut und Boden!!!*

- *Blut und Boden!!!*

W co ja się wpakowałem?...

**Piątek, 10 kwietnia**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

De Royer wrócił z Paryża w dzień po ataku na Azanianów i od razu gdzieś się zasztył. Mignął raz Pontowskiemu w czwartek, ale poza tym był nieuchwytny. Wreszcie w piątek rano nadeszło wezwanie - Bouchard poprosił Matta, żeby zszedł do ogrodu, gdzie czeka na niego de Royer.

- Czy generał zna szczegóły naszego ataku? - upewnił się Pontowski.

- Zarówno pański, jak i mój raport leżą u niego na biurku - odparł

Francuz.

Matt odnalazł de Royera w ogrodzie. Szedł powoli jedną ze ścieżek, ze spuszczoną głową.

- Panie generale... - odezwał się Pontowski, dając znać o swojej obecności.

De Royer nie podniósł nawet wzroku ani nie zatrzymał się. Powiedział tylko do pułkownika, który ruszył za nim:

- Nie rozumiem pańskiego rządu.

- Zazwyczaj ja także nie rozumiem, o co im chodzi - pocieszył go Matt.

De Royer spojrzał teraz na niego i zapytał wprost:

- Dlaczego odwołali pana awans?

- To polityka - odparł Pontowski. - Dostałem tylko „sukienkę” - mogłem nosić generalskie pagony do czasu oficjalnego zatwierdzenia przez Senat listy promowanych generałów. Jednak Senat odrzucił mój awans. Wróciłem więc do poprzedniego stopnia.

- W moim kraju - skomentował de Royer - tylko księży pozbawia się „sukienki”. Generałów się rozstrzeliwuje. Wolę wasz system.

Matt roześmiał się. Generał de Royer żartuje!

- Potrzebny panu na zastępcę dowódcy ktoś o wyższym stopniu - powiedział Pontowski. W naszych Siłach Powietrznych jest mnóstwo generałów brygady, którzy mogą mnie zastąpić.

- Rozmawiałem z waszym sekretarzem obrony - odparł de Royer.

- Doktor Elkins powiedział, że dostanie pan swój awans. A ja chcę, żeby pozostał pan moim zastępcą.

Matt był zdumiony.

- Dziękuję panu, panie generale. Bardzo mi przyjemnie, że ma

pan do mnie zaufanie. Jednak obawiam się, że pan doktor Elkins tak tylko mówi. To praktycznie niemożliwe, żeby Senat kiedykolwiek rozpatrzył mój awans pozytywnie, skoro raz go odrzucił.

De Royer pokręcił głową.

- Jest pan dokładnie taki sam jak Bouchard - powiedział. - Nie docenia pan własnej wartości.

- Panie generale - zmienił temat Pontowski - chciałbym znowu zacząć latać.

- *D'accord.* Są takie chwile, kiedy musimy być razem z naszymi ludźmi i dzielić z nimi niebezpieczeństwo. Taka jest cena bycia dowódcą. - De Royer zamilkł i ruszył powoli przed siebie, równym, rytmicznym krokiem. - Mnie omal nie pozbawiono dowództwa - powiedział w końcu. - Dlatego tak długo nie wracałem. Nie rozumieją, co tu robimy.

- A co my tu tak naprawdę robimy? - odparł Matt.

- Z początku nie pozwalano mi na nic innego niż na działania pokojowe, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Nie było jednak do tego opracowanej żadnej sensownej strategii. Teraz, dzięki waszemu prezydentowi, rozwijamy nową koncepcję działań pod egidą ONZ. Jednak jej trafność sprawdzi się dopiero w praktyce. Pańska akcja z wykorzystaniem południowoafrykańskich śmigłowców jest przykładem na to, co możemy osiągać.

- Rzeczywiście, Kimberley pokazało, co można robić - zgodził się Mat - Zdecydowaliśmy się włączyć te śmigłowce do naszego ataku na Azanianów. Udało się; chociaż obie części operacji były właściwie improwizacją; i w obu przypadkach mieliśmy nieliczne szczęście.

- Ale mieliście też odwagę, żeby doprowadzić akcję do

zwycięskiego końca - zauważył generał. - Udało się, ponieważ politycy nie wtrącali się w wasze działania. Teraz muszą poradzić sobie z sukcesem...

- Osiągnięcie zwycięstwa albo posiadanie racji nie zawsze zwiększa w moim kraju polityczną pozycję - stwierdził Pontowski.

- W moim też nie. - De Royer nie był zdziwiony.

- Pozwoli pan, że zadam panu pytanie - odezwał się Matt. - Co by pan zrobił, gdybym poniósł klęskę?

Po raz pierwszy w obecności Pontowskiego de Royer uśmiechnął się.

- Rzecz jasna wystąpiłbym o postawienie pana przed sądem wojennym

- Oczywiście; że też na to nie wpadłem - mruknął Matt. - To co teraz?

Generał uniósł głowę i oznajmił:

- Będziemy kontynuować.

Kiedy wrócili do biura de Royera, czekała tam na nich Elena Martine. Jak zwykle była elegancka, swobodna, pełna uroku.

- Charles - powiedziała dźwięcznym głosem - unikałeś mnie ostatnio. - Generał nie odpowiadając podał swoje kepi Bouchardowi. Następnie podszedł do okna i wyjrzał na dwór.

- Próbowałam przedyskutować z ministrem Péndulo sprawę Azanianów - oświadczyła Elena. - Odmawia jednak wszelkich rozmów, dopóki nie zakończy własnego śledztwa w tej sprawie.

- I cóż takiego odkrył? - zainteresował się Pontowski.

- Nic. Otoczył teren i zabronił tam wstępu moim inspektorom,

prasie - wszystkim. Twierdzi, że to wewnętrzna sprawa RPA.

- Péndulo wie, co się stało - powiedział de Royer.

- A skąd wie? - zapytała Elena wyraźnie twardszym tonem niż zwykle.

- Powiadomiłem go, że zrobiliśmy nalot na Azanianów - odparł generał.

- Kto wam na to zezwolił?! - rzuciła ze złością pani Martine.

- To była odpowiedź na Kimberley - ciągnął spokojnie de Royer. - Proszę uznać, że działaliśmy w samoobronie, tyle że spóźnionej.

Elena potrząsnęła głową.

- Spóźniona samoobrona? Nie ma czegoś takiego.

- Nadszedł czas na tę nową ideę - mruknął Pontowski.

- Operacja przeciwko Azanianom nie mieści się w granicach ustalonych dla was kompetencji - zaprotestowała Elena. - I nie skonsultowaliście jej ze mną.

De Royer odwrócił się i popatrzył na nią swoim beznamiętnym wzrokiem.

- Oczywiście, że nie - potwierdził, po czym znowu zaczął wyglądać przez okno. Spotkanie było zakończone. Pontowski odprowadził Elenę na parking, do jej BMW.

Zanim otworzyła drzwiczki, zawahała się i powiedziała:

- Matt, może zjemy razem mały obiad, w sobotę wieczorem? U mnie? - Zanim mógł odpowiedzieć, musnęła jego dłoń i przesunęła po niej miękko palcami. - O ósmej? - mruknęła.

Pontowski patrzył za odjeżdżającym BMW. Czy Bouchard ma rację? Czy Elena rzeczywiście mnie wykorzystuje? Posługuje się seksem, żeby uzyskać nade mną kontrolę? Chyba powinienem się

tego dowiedzieć.

- Nie mogę uwierzyć, że to robi - mruknął sam do siebie. Po małej pauzie dodał: - Obowiązek to straszne brzemie.

W końcu roześmiał się i ruszył do samochodu. Znowu będzie latał!

**Piątek, 10 kwietnia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Lydia Kowalski odnalazła Matta, kiedy tylko wszedł do COIC.

- Widziałeś to? - zapytała, podając mu wiadomość. - Te półgłówki odrzuciły twoją prośbę o więcej herculesów i „Świń”. Dostaniemy tylko uzupełnienia w miejsce zestrzelonych maszyn.

Matt przeczytał podaną kartkę i zwrócił ją.

- Dziwisz się? - powiedział. - Kazali nam tu walczyć, ale wcale nie palą się do tego, żeby to finansować. Będziemy musieli poradzić sobie tanim kosztem. - Zmienił temat. - Jak się sprawują chłopaki ze śmigłowców?

- Świetnie. Fajna banda.

- Większość ludzi jest fajnych. Zwłaszcza kiedy się ich lepiej pozna - stwierdził Matt. - Nawet de Royer. - Kowalski spojrzała z niedowierzaniem. - Pozwolił mi znowu latać.

- Super!

- Trochę wypadłem z wprawy - przyznał Pontowski. - Ustal mi trochę czasu z którymś z naszych pilotów - instruktorów.

- „Waldo” ma wolne.

- „Waldo”? - upewnił się Matt ze zdziwieniem.

- „Waldo”. To znakomity instruktor.



Pontowski wszedł po drabince i wdrapał się do kabiny A-10. Usadowił się w fotelu, oparł o twarde poduszki. Nareszcie! Znalazłem się na swoim miejscu. Nie w jakimś biurze, gdzie przekłada się papiery.

Zaczął wykonywać przewidziane czynności, składające się na przygotowanie do lotu. Zapiął pasy, nałożył hełm i rękawice. Zawahał się. Jego dłonie powinny biegać po kabinie, włączając odruchowo potrzebne przełączniki. Spojrzał na „Waldo”. Pilot pracował zawzięcie nad deskami rozdzielczymi. Wyciągnij listę - błagał w myślach Matt.

- Cholera - mruknął na głos. To było nie w porządku. Nigdy w życiu aie musiał uciekać się do listy czynności przedstartowych. Miał je we krwi; stanowiły część jego umiejętności pilotażowych, podobnie jak ruchy sterami. Nie musiał nad nimi specjalnie myśleć. Stanowczo zbyt długo pozostawał poza kabiną myśliwca. - „Waldo!” - zawołał, zwracając na siebie uwagę kapitana, poczym przejechał dłonią po szyi w geście cięcia. Pokazał, żeby wysiedli.

- Co się stało? - zapytał „Waldo”, podszedłszy do włazu pułkownika. - Byłem gotowy kołować na start.

- Ale ja nie - przyznał Matt. - Będziesz musiał potrenować mnie trochę „na sucho”, bo inaczej się zabiję. - Podepchnęli platformę dla mechanika, żeby Walderman mógł na niej stanąć, podczas gdy jego dowódca będzie siedział w kabinie, pobierając lekcję.

Kiedy Matt wrócił z „Waldo” do COIC, czekali na nich Lydia z „Robalem”.

- Co się stało, szefie? - zapytał Stuart.

- Dostałem właśnie lekcję pokory - powiedział Matt. - Za bardzo

napaliłem się dzisiaj na latanie. Nie pilotowałem tak długo, że trochę zapomniałem, jak to się robi.

- Z każdym tak jest - uspokoiła go Lydia.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

**Niedziela, 12 kwietnia**

**Zatoka Bantry, Kapsztad**

Obudzenie się do końca nie było tego dnia łatwe; jak zresztą każdego innego dnia. Matt zwalczał usilnie resztki snu. Jest niedziela - przypominał sobie. Elena zamruczała i odwróciła się do niego, zrzucając koc. Jej nagie ciało połyskiwało w przyćmionym świetle. Wyprężyła się, przyciskając się do Matta brzuchem. Następnie rozluźniła mięśnie, oparła się na nim i splotła nogę z jego nogą. Zamruczała jeszcze raz i z powrotem zasnęła. Matt poczuł kolejną erekcję.

Zawahawszy się, pogładził Elenę po plecach. Pragnął patrzeć na nią i pieścić każdy centymetr jej ciała. Była zachwycającą kobietą. Była szczupłą, miała idealne proporcje i gładką skórę. Jej piersi opierały się o jego pierś; czuł bicie jej serca. Pamięć tego, co działo się w nocy, była nadal świeża - Matt przeżywał jeszcze raz jej szept, jej miłość - najpierw czułą, a potem coraz bardziej żywiołową; cały czas jednak była blisko.

Nie czuł się tak dobrze, od czasu... od czasu Shoshany - przypomniał sobie. Naciągnął koc z powrotem.

Elena przywarła do niego, unosząc się na łokciu. Popatrzyła na Matta rozmarzonym wzrokiem; jej włosy spływały mu na pierś.

Zamruczała jego imię, a po chwili opadła chowając twarz na jego piersi. Matt spał.

Obudził go telefon. Pontowski w półśnie poczuł, że Elena sięga nad nim i odbiera. Podała mu słuchawkę. Dzwonił wieczny oficer dyżurny - Walderman.

- Panie pułkowniku, mamy kłopot. Jest pan potrzebny w COIC - oznajmił.

- Zaraz tam będę - odparł Matt i rozłączył się. - Muszę jechać do pracy.

Elena oparła się o niego.

- Zaplanowałam już dzisiejszy dzień - powiedziała. - Mieliśmy być sami, ty i ja. - Popieściła nosem jego ucho. - Czy to nie może poczekać?

- Wolałbym, żeby mogło - odparł Pontowski, wstając z łóżka. Usiadła i patrzyła, jak Matt się ubiera. Poszła za nim do drzwi, całkiem naga.

- Wróc, jeżeli będziesz mógł - szepnęła.

- Jeśli będę mógł - wrócę - obiecał. Szybko wyszedł i ruszył do samochodu.

## **Niedziela, 12 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Kiedy pułkownik przybył do COIC, do budynku tłoczyli się żołnierze.

- Co się dzieje? - zapytał Waldermana.

- Dwadzieścia minut temu zatelefonowali z dowództwa ONZ. Stracili wszelki kontakt ze strefą bezpieczeństwa w Vanwyksvlei.

Zadzwońm więc po pana i podpułkownik Kowalski. Zarządziła zbiórkę i przygotowanie samolotów. Jest tam. - Pokazał na salę dowodzenia.

- Dobrze się spisaliście - pochwalił Matt.

„Waldo” patrzył, jak Pontowski znika w drzwiach sali dowodzenia.

- Wygląda na dobrze wypieszczonego - mruknął do siebie. Słyszał plotki o pułkowniku i madame Martine; Pontowski zostawił zresztą na wszelki wypadek jej numer telefonu. No cóż, wysoka szarża ma określone przywileje...

Pontowski usiadł koło Lydii na stanowisku dowodzenia i zajął się główną tablicą. Zaznaczał godziny i minuty, o których zgłaszały się poszczególne załogi. Bouchard mylił się co do Eleny - pomyślał. Przecież nie wykorzystuje mnie przy pomocy seksu.

Pilot ostatniego A-10 zgłosił gotowość do lotu.

- Jesteśmy gotowi. Co teraz? - spytała Kowalski.

Matt sięgnął po specjalny telefon, łączący ich z de Royerem.

- Zaraz się dowiemy - powiedział. Po chwili otrzymał od generała rozkaz rozpoczęcia akcji. - Stracono także kontakt z konwojem - oznajmił. - Generał chce, żebyśmy zrobili rozpoznanie na szosie i przerzucili siły QRF do Vanwyksvlei. Francuzi będą tu za dwadzieścia minut. Wysyłamy jednego herculesa i dwie „Świnie” jako osłonę.

**Niedziela, 12 kwietnia**

**Okolice Vanwyksvlei, Republika Południowej Afryki**

„Robal” robił powolne „ósemki”, posuwając się wzdłuż drogi prowadzącej do Vanwyksvlei. „Suchy”, z którym tworzyli klucz,

znajdował się po przeciwnej stronie „ósemki”. W miejscu, gdzie krzyżowały się tory ich lotu, przelatował zawsze za Stuartem. W pewnym momencie „Robal” zauważył o pięć kilometrów dalej białe ciężarówki, rozciągnięte w szereg na pustej szosie.

- Widzę konwój! - oznajmił przez radio. Brenda Conklin potwierdziła odbiór wiadomości. Pilotowała herculesa, lecąc o mniej więcej osiem kilometrów za swoją osłoną. Drugi pilot C-130 przekazał informację do Ysterplaat.

Stuart zrobił ciasne koło, przyglądając się konwojowi z wysokości sześciuset metrów, a potem zniżył się.

- Nie widzę żadnego ruchu - zakomunikował. - Sprawdzam. - Zniżył się na sto pięćdziesiąt metrów. - Żadnych widocznych uszkodzeń. Ani znaków życia. - Zamilkł, obniżając się jeszcze, do trzydziestu metrów nad ziemią. - O, cholera! - zaklął, zrobił świecę i dodał maksymalnie gazu, aby szybko się wznieść.

- „Suchy”, trzymaj się z daleka! - zawołał.

- Co się stało? - Talbot był zdziwiony. - Nie widzę żadnej reakcji z ziemi.

- Wszyscy nie żyją - wyjaśnił Stuart. - Większość z nich została w ciężarówkach. Widziałem też dwa ciała na zewnątrz.

„Suchy” pomyślał chwilę i zorientował się, co to może być.

- Broń masowego rażenia? (Broń ABC - atomowa, biologiczna lub chemiczna).

- Tak samo jak w Chinach - zgodził się „Robal”. Widzieli już w Chinach ludzi zabitych iperytem.

- Masz jakieś objawy?

- Nie - odparł Stuart, uspokajając oddech.

- Powtórz wszystko - odezwała się Brenda Conklin.

„Robal” opisał jej ponownie w krótkich słowach, co zobaczył.

- Przekaż „Ziemniakowi”, że nie mamy wyposażenia przeciw broni ABC, i że lecimy dalej, do Vanwyksvlei - zakończył. - Dwa myśliwce wzniosły się na wysokość trzech tysięcy metrów i skierowały na północ.

- „Ziemniak” mówi, żebyście trzymali się z daleka w Vanwyksvlei - zakomunikowała po chwili Conklin.

- Nie trzeba mnie do tego przekonywać - mruknął „Robal”. - Widzę lotnisko - oznajmił. Zobaczył bowiem przed sobą niewielkie Vanwyksvlei i leżące na zachód od miasteczka lotnisko. Myśliwce zrobiły koło nad pasem startowym. - Za dużo stąd nie widać - zameldował Stuart.

- Sprawdźmy przez lornetki - odpowiedziała Brenda. Jesteśmy na dwóch tysiącach czterystu; nadlatujemy z południa. - Hercules przeleciał nad małym lotniskiem i zaczął krążyć. - Nie widzę ruchu na ziemi - meldowała pani kapitan. - Na lotnisku nie ma widocznych uszkodzeń. Wracamy do bazy.

- Potwierdzam powrót do bazy - odezwał się Stuart. - Poproś o dekontaminację po lądowaniu. Zobaczę, czy nie da się po drodze znaleźć jakiejś chmury, żebym się w niej trochę umył.

## **Niedziela, 12 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Elena stała koło Pontowskiego w wieży kontrolnej. Miała zadyszkę, po długim biegu po schodkach w górę. Znajdowała się w dowództwie sił ONZ, u de Royera, kiedy zadzwoniono

z bazy i powiadomiono ich o podejrzanym ataku chemicznym. Pojechała więc jak najszybciej do Ysterplaat, a de Royer zadzwonił do sekretarza generalnego ONZ.

- Jesteś pewien, że to był gaz? - wydobyła z siebie wreszcie.

- Nie możemy być pewni, zanim nie dotrze tam drużyna od spraw broni ABC, odpowiednio wyposażona - odpowiedział Matt. - Widziałaś kiedyś dekontaminację? - spytał. Potrząsnęła przecząco głową. Cały czas miała zadyszkę. - Trzeba będzie oczyścić samolot „Robala”, kiedy tylko wyląduje. Najprawdopodobniej nic mu się nie stało, bo nie ma żadnych objawów. Jednak przeleciał trzydzieści metrów nad ziemią, więc pewnie nałapał tego świństwa. Zahaczył w drodze powrotnej o kilka chmur; ale na wszelki wypadek trzeba go umyć.

Matt pokazał na miejsce, znajdujące się w odległym końcu bazy.

- Zrobią tam samolotowi „Robala” testy chemiczne, przed i po myciu. Dopiero wtedy pilot będzie mógł wsiąść. - Podał Elenie lornetkę.

Przyglądali się, jak czterech ludzi w ciemnych kombinezonach otoczyło samolot i zaczęło czyścić go wielkimi szczotkami na długich kijach. Następnie spłukano samolot wodą.

- Drużyna dekontaminacyjna jest ubrana w kombinezony MOPP - wyjaśnił Pontowski. - MOPP to skrót od „mission operative protection posture” - kombinezon ochronny umożliwiający wykonywanie misji. - Kabina Stuarta otworzyła się dopiero po dwudziestu minutach. Pilot zszedł po drabince.

Dyżurny wieży odezwał się:

- Dzwoni generał de Royer do stanowiska dowodzenia, na linii

specjalnej. - Matt podziękował dyżurnemu i ruszyli z Eleną po schodach w dół.

Rozmowa z de Royerem była krótka i rzeczowa.

- Koło Beaufort West ktoś atakuje grupę *voortrekkerów* - oznajmił generał.

- Utworzyli *laager*, ale długo się nie utrzymają. Péndulo nie ufa swoim generałom i poprosił nas o interwencję. Wysłałem cztery pumy i Siły Szybkiego Reagowania.

Pontowski przypomniał sobie, jak przejeżdżał koło Trektown - wielkiego obozowiska *voortrekkerów*. Wracali wtedy z Sam Darnell i Pietem z jego rodzinnej winnicy. Zdawało się, że od tamtego czasu minął cały wiek.

- Będziecie potrzebować A-10 do wsparcia powietrznego - odpowiedział Matt.

- *D'accord* - odparł de Royer i rozłączył się.

Pomału zaczynamy mieć „Czarną Niedzielę” - pomyślał pułkownik. Ile jeszcze złego może się zdarzyć? Najgorsze przypuszczenia potwierdziły się, kiedy do sali dowodzenia wkroczył Stuart.

- No i co? Broń chemiczna? - spytał Matt.

- Chemiczna; pierdolona - potwierdził „Robal”. - Drużyna dekontaminacyjna wykryła ślady sarinu.

- To już nie jest zabawa - głos Pontowskiego brzmiał ponuro.

- Co to jest sarin? - zapytała Elena.

- Gaz paralizująco-drgawkowy wymyślony przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej - wyjaśnił Matt.



**Niedziela, 12 kwietnia**

**Okolice Beaufort West, Republika Południowej Afryki**

A-10 przeleciał nad płonącym pobojobiskiem i wzniósł się.

- Wygląda zupełnie spokojnie - oznajmił „Skid” Malone.

Drugi myśliwiec leciał pod kątem trzydziestu stopni w stosunku do pierwszego, znacznie niżej i wolniej.

- Ktoś się tam porusza - oznajmił „Goryl” Moreno. - Nie zastosowali tu gazów.

„Skid” zawiadomił pilotów dwóch pum, żeby przylecieli. Dwie „Świnie” utworzyły tymczasem CAP, czyli osłonę lotniczą nad kręgiem zniszczonych samochodów.

- Pełno dymu i płomieni. Wiele tu nie zostało - poinformował Malone.

- Tylko ciepłe paznokcie, hemoroidy i gałki oczne - dodał Moreno. Czarny humor miał pomóc „Goryłowi” w pogodzeniu się z tym, co widział pod sobą.

Pierwsze dwa śmigłowce nadleciały i wylądowały na pobliskiej szosie. Z każdego z nich wyskoczyło szesnastu legionistów, tworząc obronny szyk. Trzeci śmigłowiec zrobił koło nad pobojobiskiem i także wylądował. Wsiadło z niego dwunastu żołnierzy. Wtedy z przedziału pasażerskiego wyszła jeszcze jedna, wysoka postać. Był to de Royer. Miał na sobie taki sam mundur polowy jak jego legionieści, tyle że na głowie, zamiast błękitnego hełmu, nosił beret tego samego koloru.

Piet van der Roos także wysiadł i ostrzegł generała:

- Teren nie jest zabezpieczony! - De Royer popatrzył na niego

zimno i ruszył w kierunku tego, co jeszcze do niedawna stanowiło obronny *laager voortrekkerów*. - Nie mogę w to uwierzyć! - powtarzał co chwila Piet, posuwając się za generałem. Wymordowano ponad setkę Afrykanerów - mężczyzn, kobiet i dzieci. Jedyną żywą osobą, jaką spostrzegł z powietrza „Goryl”, była kobieta, kiwająca się na kolanach obok swojego martwego dziecka.

De Royer szedł po pobojowisku ze zmrużonymi oczami, po czym odwracając się do van der Roosa, powiedział:

- To istna masakra.

Nagle w powietrzu rozległ się odgłos nadlatujących pocisków moździerzowych. Piet padł natychmiast na ziemię. Generał jednak stał dalej spokojnie; jego wysoka sylwetka stanowiła w popołudniowym słońcu łatwy cel. Podniósł do ust krótkofalówkę i skierował „Skida” przeciw moździerzom. Zawołał także „Goryla”. Wokół niego świstały już kule.

Nadal przytulony do ziemi, van der Roos obserwował z niedowierzaniem, jak generał organizuje atak i kieruje swoich legionistów do boju. Zawstydzony Piet wstał, pośród gwiżdżących kul. Powoli strzały ucichły. Nad pobojowiskiem przeleciał jeszcze jeden A-10 i

zamachał na pożegnanie skrzydłami. De Royer zasalutował energicznie pilotowi i ruszył dalej pomiędzy wypalone samochody. Odepchnął nogą leżącą mu na drodze lalkę.

- Atak na *voortrekkerów* był tylko przynętą - powiedział van der Roos. - Żeby wciągnąć nas w pułapkę. Ale przeliczyli się. - Dwaj mężczyźni wrócili na szosę, gdzie legioniści złożyli zdobyte ręczne karabiny, dwa cekaemy i jeden moździerz.

- Może pan lądować, panie Péndulo - odezwał się generał przez krótkofalówkę.

Nadleciała czwarta puma. Kiedy wylądowała, wysiadł z niej południowoafrykański minister obrony. Rozejrzał się. Wysiadła też Elena Martine. We dwoje podeszli do stosu zdobytej broni.

- Czy to wszystko? - spytał Péndulo.

De Royer przeszył go spojrzeniem.

- Jeszcze szukamy - odpowiedział.

Nadeszło dwóch legionistów, dźwigając ciało białego mężczyzny. Rzucili je koło karabinów.

- Oprócz niego znaleźliśmy sześciu Murzynów - zameldował jeden z żołnierzy.

- Najemnik - skwitował Péndulo.

De Royer przyjrzał się ciału.

- Przeszukajcie go - rozkazał. - Zbliżył się teraz do leżącej broni. - Cała broń jest produkcji niemieckiej lub włoskiej - oświadczył.

Van der Roos także się nachylił i przyjrzał uważnie karabinom.

- Wszystkie są nowiutkie - powiedział. - Kto mógł to zrobić?! - dodał z naciskiem.

- Dowiemy się - odparł generał.

- Musimy startować, musimy startować - odezwał się Péndulo. W jego głosie słyhać było panikę. - Nie powinienem był tu wcale przylatywać.

De Royer nie słuchał.

- Pokażcie mi pozostałe ciała - polecił.

- Gdzie była nasza armia? Dlaczego w mojej ojczyźnie mogą dziać się takie rzeczy?! - rozpaczał głośno van der Roos.

- Niech pan zapyta jego - poradził de Royer, pokazując głową na Péndulo.

## **Poniedziałek, 13 kwietnia**

### **Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Telewizyjny ekran zamigotał. Niewielka widownia zgromadzona w biurze de Royera zwróciła oczy ku ekranowi. Obok telewizora stał Pontowski, tłumacząc to, co oglądają widzowie.

- Według „Robala” dokładnie w taki sam sposób wyglądało Vanwyksvlei, kiedy przelatywał nad nim wczoraj.

Na ekranie widać było jednak obraz z kamery, umieszczonej we wnętrzu C-130. Wszyscy członkowie załogi ubrani w kombinezony MOPP wyglądali jak przybysze z innej planety. Dźwięk rejestrowany przez kamerę pochodził z interkomu. Głosy mówiących były nienaturalnie zmienione przez maski. Lydia Kowalski posadziła maszynę na ziemi.

Kamera pokazywała dalej, jak hercules skręca, kołuje po wąskiej drodze; wreszcie zatrzymuje się. Wsiadło dwóch specjalistów od broni ABC, wynosząc swój sprzęt. Przesunęli się szybko przed nosem samolotu, sprawdzając teren. Nie było żadnego zagrożenia, gdyż zdjęli kaptury i maski, dając załodze sygnał do zrobienia tego samego.

- Nie wykryto skażeń. Ale nie zdejmujcie kombinezonów i trzymajcie maski w pogotowiu - przykazała Lydia.

Kamera przekreśliła się w dziwny sposób, gdyż filmujący zaczepił o nią ściąganą maską.

- Od razu lepiej! - odezwał się czyjś głos.

- Teraz zaczyna się ponura część - ostrzegł widzów Pontowski. Zgłosił, aby było słycać komentarze tych, którzy ruszyli z kamerzystą w teren.

- O Boże! Patrzcie! - odezwał się ktoś. Kamera pokazała cztery nieruchome ciała, skurczone w agonii.

- To matka, próbująca osłonić dziecko - powiedział jakiś inny głos. Słycać też było, że komuś zrobiło się niedobrze. Kamerzysta wszedł do jakiegoś budynku. Pewien mężczyzna usiłował uchronić się przed śmiercią, przykładając do twarzy ręcznik.

- A to są ci, którzy przeżyli - oznajmił Pontowski. Na ekranie ukazał się niewielki pokój, do którego legionieci wtłoczyli dwanaścioro dzieci, czarnych i białych, i uszczelnili pomieszczenie. Pułkownik wyłączył magnetowid. - Naliczyliśmy ponad czterysta ofiar. Trzydzieści jeden z nich stanowili rozdzielający pomoc i misjonarze. Osiem osób to personel ONZ. Obliczamy, że w okolicy lotniska spadło ponad sto pocisków móździerzowych z gazem paralizująco-drgawkowym. Na szczęście wiatr wiał od miasteczka, bo inaczej dopiero mielibyśmy tragedię.

Elena wyglądała, jakby była chora.

- To okropne. Okropne!... - powtarzała.

Matt włożył do magnetowidu drugą kasetę.

- A oto konwój. - Ekran rozjaśnił się. Ten sam kamerzysta przesuwiał się kolejno pomiędzy sześcioma ciężarówkami. Zapasy zostały złupione; pozostały tylko ciała w kabinach. - Tu zginęło jedenastu naszych ludzi - oznajmił Pontowski. Przyczyna śmierci jest ta sama; chociaż nie znaleźliśmy ani jednego odłamka pocisku móździerzowego.

- To skąd się wziął gaz? - zapytała pani Martine. Mężczyźni nie odpowiadali, chociaż wszyscy znali odpowiedź.

- No skąd? - dopytywała się Elena.

- Z samolotu - wyjaśnił Matt.

- Czyjego?

- Sądzę, że wiemy, czyjego - odpowiedział Pontowski, wyłączając telewizor.

**Wtorek, 14 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Kiedy MacKay wstał rano z łóżka, zobaczył na podłodze pod drzwiami karteczkę. Podniósł ją i rozwinął. „Spotkaj się ze mną”. Nie była podpisana, ale wiedział, że autorką jest Ziba.

- Cholera jasna - wiedział od razu, że spełni jej prośbę.

Postanowił pojechać po lunchu. Kiedy znalazł się w mieszkalnej części bazy, wysiadł z samochodu i ruszył przed siebie spacerowym krokiem. Usiadł na ławce koło placu zabaw, gdzie spotkał uprzednio Zibę. Ku jego zaskoczeniu, na plac nadeszły wprawdzie dzieci Slavina, jednak nie w towarzystwie Ziby, a ojca. Naukowiec podszedł do MacKaya i usiadł koło niego.

- Ziba zobaczyła pana i powiedziała mi, żebym zszedł i porozmawiał z panem - powiedział Slavin. - Mówi, że jest pan prawym człowiekiem i że można panu zaufać.

- Powiedziała jeszcze coś o mnie? - zapytał MacKay.

- Mówiła, że interesuje się pan Numerem Jeden.

- Zamierza pan nam pomóc? - spytał John. Slavin przytaknęła. - Dlaczego?

- W minioną sobotę przyszedłem wcześniej do pracy. Moje laboratorium znajduje się w bunkrze, w którym dawniej przechowywano broń. Zobaczyłem mężczyzn wynoszących z sąsiedniego bunkra jakieś zbiorniki. Wszyscy byli ubrani w ochronne kombinezony i maski przeciwgazowe. Zapytałem jednego z nich, co robią. Roześmiał się i odpowiedział, że „likwidują czarnuchów i inne robactwo”. Rozpoznałem oznaczenia na zbiornikach. To był sarin.

- Gaz paraliżująco-drgawkowy...

- Nie będę pracował dla człowieka, który posługuje się gazem bojowym - oznajmił Slavin. - Próbowałem opuścić razem z rodziną bazę, ale strażnicy zatrzymali nas przy bramie. Jesteśmy tu więźniami. - Naukowiec popatrzył na dwójkę swoich dzieci, bawiących się na huśtawkach. - Kiedy nadchodzi moment, w którym tracimy niewinność? - zapytał.

MacKay pospieszył z odpowiedzią.

- Wtedy, kiedy stajemy się odpowiedzialni za innych - oświadczył.

Kreiner czekał na Johna w swoim biurze. Był zdenerwowany.

- Dlaczego rozmawiał pan ze Slavinem? - zapytał ostrym tonem.

- Z tym Żydem? - upewnił się John. - Chciałem spotkać się z jego służącą...

Kreiner pokręcił głową. Czarnuchy - pomyślał. Zawsze myślą tylko o swojej dupie...

- Mamy dla pana sprawę w Bloemfontein - oświadczył. - Czekają tam nasi kolejni informatorzy, z którymi powinien się pan skontaktować. - Podoficer odwrócił się na pięcie i wyszedł,

zadowolony, że znalazł na MacKaya haczyk i będzie mógł wyrównać z nim rachunki.

**Środa, 15 kwietnia**

**Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

MacKay wszedł do hotelu tylnym wejściem i wjechał służbową windą na dach. Ruszył wzdłuż jego południowej krawędzi, a następnie wszedł do budki, w której znajdowały się mechanizmy hotelowej klimatyzacji. W budce czekał Standard.

- Spóźniłeś się - oznajmił.

MacKay nie odpowiadał, tylko usiadł. Facet jest zdenerwowany - pomyślał John. Ktoś ostro dobiera mu się do skóry.

- Waszyngton chce wiedzieć, kto użył gazów bojowych przeciwko wojskom ONZ - zakomunikował Standard. - Jeszcze nigdy nie widziałem tak sformułowanych poleceń. Szefowie chcą natychmiast konkretnych odpowiedzi. Piszą takim tonem, jakby mieli ochotę zjeść nas żywcem. Nadałem im, że ONZ jest zdania, że ataku dokonała Żelazna Gwardia; ale domagają się od nas niezależnych informacji.

- To była Żelazna Gwardia - odpowiedział MacKay. - Sarin, gaz paralizująco-drgawkowy. Posłużyli się pociskami mózdzierzowymi i samolotami Aero, produkcji czeskiej. Slavin widział w sobotę rano, jak wynoszą gaz z bunkra. Wiesz, dlaczego Beckmann to zrobił? - Standard zaprzeczył ruchem głowy. - To była zemsta za zabicie jego brata. Chciał zrobić krzywdę ONZ i jednocześnie przesłać im w ten sposób wiadomość, żeby trzymali się z dala od *Boerstaat* i Numeru Jeden. Mówiłem ci, to wariat.



- Ale dlaczego wymordował tych *voortrekkerów*; przecież to Afrykanerzy!

- Uznał ich za zdrajców, ponieważ opuścili *Boerstaat*. Jednak przeciw białym nie użyłby gazów bojowych. Miał nadzieję, że uda mu się przy okazji wciągnąć w pułapkę południowoafrykańską policję. Zamiast tego przybyła ONZ i to go zaskoczyło.

- Tym razem Beckmann wdepnął w gniazdo szerszeni - stwierdził Standard. Zastanowił się chwilę, po czym spytał:

- Kiedy musisz być tam z powrotem?

MacKay wzruszył ramionami.

- W zasadzie mogę wracać i wyjeżdżać stamtąd, kiedy mi się podoba. Ale jak za długo mnie nie będzie, to na pewno zaczną coś podejrzewać.

- To świetnie. Pojedziesz ze mną do Kapsztadu.

- Po co?

- Musisz pogadać z „chłopcami”.

## **Środa, 15 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Beckmann czekał na schodach przed głównym wejściem. Kiedy osobista gazelle generała wylądowała i wysiadły z niej Liz Gordon i jej kamerzystka, uśmiechnął się. Nie przyszło mu to ze specjalną trudnością.

- Hans - powiedziała Elizabeth - to jest moja kamerzystka, Samantha Darnell. - Oficerów uderzyło to, że reporterka zwróciła się do Beckmanna po imieniu.

- Witam w Żelaznych Wrotach, panno Darnell - powiedział

generał. Uścisnął Samancie rękę i poprowadził dziennikarki na lunch. - Jeśli będziemy mogli w czymkolwiek pomóc, proszę nas pytać.

- Mamy kilka pomysłów - odpowiedziała Liz. - Myślę, że możemy je omówić podczas lunchu.

Zgodnie z tym, co Elizabeth obiecała Samancie, lunch był prosty, ale znakomity, a sam Beckmann okazał się czarującym gospodarzem.

- Wasz reportaż z zamieszek w Kimberley był po prostu wspaniały - stwierdził. - Mam nadzieję, że dostaniecie za to nagrodę... tego; nie Pulitzera, tylko...

- Emmy - podpowiedziała Liz z uśmiechem.

- O, tak; właśnie. Świetny reportaż.

- Tłumaczyłam Sam, że Żelazna Gwardia nie jest organizacją rasistowską i że macie w swoich szeregach wielu Murzynów - oznajmiła Elizabeth.

- Dołącza ich do nas coraz więcej - przytaknął Beckmann.

- Chciałabym uwydatnić sprawę czarnych - opowiadała Liz - skupić się na Murzynach zamieszkujących *Boerstaat*. Tutaj są znacznie porządniejszymi ludźmi niż gdzie indziej.

Beckmann oparł brodę na kciukach. Przybrawszy tę pozę myśliciela, odparł:

- To, co pani widzi tutaj, może panią zmylić. Na północy, wokół Johannesburga, panuje prawdziwy chaos. Nie udało nam się wpłynąć na zachowanie się tamtejszych Murzynów.

Sam nie przyjechała tu z intencją polubienia tego człowieka, jednak jego uczciwość była wprost rozbijająca.

- Czy wśród osób zajmujących wysokie stanowiska są Murzyni?

- Tylko jeden. To Amerykanin, którego zatrudniliśmy jako szefa naszych systemów bezpieczeństwa i głównego specjalistę od komputerów.

- Ale nie ma żadnych Murzynów z Afryki?

Beckmann uśmiechnął się i odpowiedział:

- Zanim wyda pani wyrok, chciałbym, żeby zobaczyła pani którąkolwiek z naszych szkół.

- Czy mogę filmować wszystko, co przyjdzie mi do głowy?

- W granicach rozsądku - odparł generał. - W końcu to jednak baza wojskowa. Przedstawię paniom przewodniczkę. Pochodzi z plemienia Khosa.

- Pójdę po kamerę... - powiedziała Sam i wyszła na chwilę.

Elizabeth nachyliła się do Beckmanna i spytała:

- Czy zobaczymy się wieczorem?

- No powiedz, Sam. Powiedz, czy to nie robi wrażenia? Znajdowały się na placu zabaw w mieszkalnej części bazy.

- To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Hans chce w ten sposób pokazać światu swoją wizję przyszłości.

Tak, to na pokaz - pomyślała Samantha. Jak dekoracje do filmu. Rozejrzała się. Baza stanowiła zamkniętą wspólnotę - domy, stojące w schludnych rzędach, szkoły, centrum handlowo-usługowe. Wojskowa część bazy była skupiona wokół pasa startowego; przypominała dzielnicę fabryczną miasta. Wszystko było ogrodzone - od wschodu i zachodu dolinę ograniczały wysokie grzbiety wzgórz, od południa zamykała ją wysoka skała, zaś od północy potężna

brama.

- Miejsca zrobione na pokaz nie są prawdziwe - powiedziała Samantha.

- W takim razie pokażę ci dom czarnego sierżanta. - Elizabeth rzuciła kilka słów przewodniczce, która zawiozła je do domu sierżanta Shivuto. - Jedliśmy tu z Hansem lunch - wyjaśniła Liz. Podeszła do drzwi i zapukała. Otworzyła żona sierżanta; zaszła w niej ogromna zmiana. Radosny uśmiech zastąpiło pełne bólu spojrzenie, świadczące o niedawnych cierpieniach. - Widzę, że przyjechałyśmy nie w porę - odezwała się Elizabeth. Czuła, że coś jest nie w porządku. - Przepraszamy najmocniej...

Kobieta zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

- Zawsze jest pani mile widziana, panno Gordon. - Cofnęła się i poprosiła je, żeby weszły. Na ścianie wisiała duża fotografia jej męża, z przyczepioną czarną szarfą.

- Jest pani w żałobie... Tak bardzo pani współczuję - powiedziała Sam.

- Mój mąż zginął w wypadku podczas ćwiczeń - wyjaśniła kobieta. - To stało się pięć tygodni temu.

- *Boerstaat* zatroszczy się o panią Shivuto i jej rodzinę - wtrąciła przewodniczka. - Jednak w ciągu paru tygodni będą musieli przeprowadzić się do miasta.

- Powinniśmy nakręcić tu materiał - stwierdziła Liz. - To ukaże troskę o każdego człowieka, i o to mi chodzi.

Sam zrobiła więc na początek ujęcie fotografii zmarłego sierżanta, a potem skierowała obiektyw na wdowę, której Liz zadała kilka pytań. Potem Samantha sfilmowała jeszcze bawiące się dzieci.

Kiedy dziennikarki skończyły zwiedzanie bazy, było już późne popołudnie. Przewodniczka wysadziła je przy specjalnym, eleganckim domu dla gości, koło budynku dowództwa. Powiedziała, że przyjedzie po nie o dziewiątej rano następnego dnia. Wewnątrz domu Sam i Liz zobaczyły okazały bukiet kwiatów i zaproszenie na obiad, podpisane przez Beckmanna.

- Liz, może pójdziesz beze mnie - powiedziała Samantha. - Jestem zmęczona, a poza tym chciałabym zobaczyć to, co nagrałyśmy dzisiaj. - Elizabeth nie opierała się; poszła zaraz do swojej sypialni, żeby się przebrać.

Minęła północ. Sam jeszcze pracowała. Spojrzała na zegarek.

- Zdaje się, że Liz została na całą noc... - mruknęła. Pogasiła światło i wsunęła się do łóżka, w nadziei na spokojny sen. Jednak sen nie chciał nadejść. Kręciła się; przewracała z boku na bok. - O co chodzi?! - burknęła w końcu na głos, zdenerwowana. Zapaliła światło i zabrała się z powrotem do pracy.

Wprawdzie niechętnie, musiała jednak przyznać, że nakręciły dobry materiał. Ale skoro jest taki dobry, to co mnie tak niepokoi? Przesunęła taśmę do sceny wywiadu z wdową po czarnym sierżancie. Przyjrzała się wnętrzu domu. Jak na standardy afrykańskie, mieszkanie było bogato urządzone - przestronne, porządnie umeblowane; telewizor, lodówka, wszystko na miejscu. Nagle wcisnęła pauzę i zatrzymała nagranie na wiszącej na ścianie fotografii. Otworzyła szeroko oczy; natychmiast rozbudziła się do końca.

- O mój Boże!... - szepnęła.

Kiedy wkrótce po wschodzie słońca Liz wróciła do gościnnej rezydencji, Sam chodziła nerwowo po pokoju; wyglądała tak, jakby w ogóle nie spała.

- Myślałam, że chcesz się wyspać - spytała Elizabeth.

- Zobacz. Tylko zobacz - powiedziała Sam, siadając przed kamerą, którą wykorzystywała w nocy do przeglądania materiału. Wcisnęła „play”.

- Sierżant Shivuto. No i co?

- Przypomnij sobie „Błękitny Pociąg”. Pamiętasz to ujęcie zabitego terrorysty, które zrobiłam?

- Tak, nie puścili go - odparła Elizabeth. - Uważali je za zbyt drastyczne.

- Liz, pomyśl przez chwilę. Czy ten człowiek nie jest do niego podobny?

Reporterka przyjrzała się uważnie fotografii Shivuto.

- Nie - odpowiedziała.

- Jestem pewna, że tak - zaproponowała Samantha. - Taśmy z „Błękitnego Pociągu” są w Kapsztadzie. Udowodnię, że to on, kiedy tam wrócimy.

- Sam, masz chyba obsesję.

Kamerzystka pokręciła głową.

- Wdowa po sierżancie powiedziała, że jej mąż zginął pięć tygodni temu - przypomniła. - A „Błękitny Pociąg”? To zdarzyło się dokładnie pięć tygodni temu. Co robiła pięć tygodni temu Żelazna Gwardia? Nie mieli żadnych ćwiczeń. Byli przy pociągu i ratowali nas.

O Elizabeth Gordon można było powiedzieć dużo; ale na pewno

była przede wszystkim dziennikarką.

- To gra warta świeczki - stwierdziła. - Pakuj się. Wyjeżdżamy, i to zaraz.

Pracownik techniczny bezpieczeństwa, siedzący w budynku na tyłach rezydencji dla gości, zanotował godzinę i zgłosił magnetofon. Mikrofony w sypialniach nie były umieszczone w tak korzystnych miejscach jak te z salonu, a on nie chciał przegapić ani kawałka rozmowy dwóch kobiet. Podniósł słuchawkę i zadzwonił w odpowiednie miejsce.

- Dziennikarki rozmawiają o sierzancie Shivuto i „Błękitnym Pociągu” - powiedział.

Przewodniczka zapukała do drzwi Sam i Liz dokładnie o dziewiątej, zgodnie z obietnicą. Jednak reporterki były spakowane i wyglądało na to, że zbierają się do wyjazdu.

- To nie było ustalone!... - zaprotestowała.

- Przepraszamy, ale wynikła nagła sprawa - wytłumaczyła Liz. - Musimy jechać.

- To niemożliwe - odparła młoda kobieta.

- Kochanie, wszystko jest możliwe - zakończyła protekcjonalnym tonem Elizabeth. - Chodźmy. - Pomogła Samancie zanieść sprzęt do samochodu. Tak jak wszyscy dobrze wyposażeni zagraniczni korespondenci, panie miały ze sobą przenośny nadajnik satelitarny, zapasową kamerę, czyste kasety, i nowe baterie. Przewodniczka stała tymczasem koło drzwi domu, nie spiesząc się z odejściem.

- Pamiętam drogę. Poprowadzę - zaofiarowała się Samantha. Uruchomiła silnik i ruszyła. Jechały powoli drogą, wiodącą ku

głównej bramie, nie mówiąc ani słowa. Droga wydawała się dłuższa niż pamiętały. Pięć kilometrów dzielące je od bramy zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Jadąc, minęły zaledwie kilka innych samochodów.

Szlaban był jednak zamknięty. Z budki strażniczej wyszedł biały wartownik w randze kaprała. Poprosił o dokumenty.

- Jesteśmy gośćmi generała Beckmanna - zaprotestowała Sam.

- Przykro mi - odpowiedział, potrząsając głową - ale bez pozwolenia na wyjazd nie mogę pań przepuścić.

- To niech pan zadzwoni do biura generała - poradziła Liz.

- To niemożliwe - odparł wartownik. Dopiero co słyszały to sformułowanie. - Proszę wrócić tam, gdzie panie mieszkają. - To powiedziawszy pokazał lufą karabinu na bazę. Miał tak stanowczy wyraz twarzy, że Sam pomyślała, że lepiej będzie go posłuchać. Pojechała więc z powrotem.

Kiedy znalazły się znów przy rezydencji dla gości, przewodniczki nie było. Weszły do środka. Sam postawiła torby i opadła na fotel. Tymczasem Liz zatelefonowała do biura Beckmanna. Ktoś odłożył jednak słuchawkę na biurko.

- Cholera, Sam! - jęknęła Elizabeth, rozłączając się. - Co tu się dzieje?!

Samantha podniosła palec do ust i potrząsnęła ostrzegawczo głową. Napisała coś na karteczce i podała przyjaciółce.

„Podśluchy. Wiedzą. Nie wypuszczą nas”.

**Czwartek, 16 kwietnia**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**



Carroll patrzył na swoją prawą dłoń. Jego palce zwinięte były nieruchomo, tworząc coś w rodzaju haka. Wiedział, co to jest. Jego umysł, niczym błyskawiczny komputer, przywołał mechanizm działania choroby. Przypomniwał sobie kilka specjalistycznych określeń, po czym zrezygnował. Zresztą, co za różnica, jak to się nazywa - pomyślał z wściekłością.

Powoli przyciągnął do siebie klawiaturę komputera. Nacisnął jeden z klawiszy i ekran rozjaśnił się. Wstukał hasło, po jednej literze. Nie mógł poruszać palcami. Ucieszył się, że udało mu się uruchomić komputer. Podniósł dłoń, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Choroba wyniszczała go z przerażającą szybkością. Ile jeszcze zostało mu życia? Zaczyna już bełkotać, zwłaszcza kiedy jest zmęczony. Za ile czasu będzie bezwładny, tak jak ta ręka? Jeszcze nie teraz! - krzyknął w myśli. Są jeszcze rzeczy, na które może wpłynąć. Może wziąć udział w biegu wydarzeń.

Przyszło mu do głowy, że choroba postępuje coraz szybciej, i że podobnie bywa z życiem. Tak często wydarzenia panują nad człowiekiem, przyspieszają jego życie. Ile już razy obserwował to zjawisko? Pierwszy raz podczas wojny w Zatoce Perskiej; to wszystko, co działo się wokół Muddy'ego Watersa. Drugi raz, kiedy ratowano jego żonę, Mary, i jeńców wojennych z Iranu. Potem, kiedy Matt Pontowski poprowadził dywizjon F-15 w misji irackiej. Wreszcie Chiny. Z Chinami nie równało się nic. Wydarzenia wydostały się wtedy całkowicie spod kontroli; tak się zdawało. No a teraz znowu działo się coś podobnego. Tym razem w RPA. No i tu. Choroba.

Z rozmyślań obudził go głos sekretarki.

- Czas na spotkanie - powiedziała.

- Dziękuję ci, Midge. - Bill wstał i ruszył powoli korytarzem, opierając się na dwóch laskach. Szedł do niewielkiego pokoju obok Ovalnego Biura, w którym lubił pracować prezydent. Wayne i Chuck byli gotowi łapać Carrolla, gdyby się potknął. Kiedy zniknął w pokoju, pozostali na zewnątrz, czekając, aż wyjdzie.

Prezydent wskazał Williamowi miejsce pomiędzy sekretarzem obrony a dyrektorem amerykańskich służb wywiadowczych. Prezydent trzymał w ustach cygaro i miętosił je zębami, nie zapalając.

- Czy nasi naukowcy robią jakieś postępy w kwestii kontrolowanej fuzji jądrowej? - zapytał.

- Nic, o czym warto by wspominać - odparł dyrektor.

- A Żelazna Gwardia - tak? - upewnił się prezydent, krzywiąc usta.

- Najprawdopodobniej - przyznał dyrektor.

- Czy ten Hans Beckmann, dowódca Żelaznej Gwardii, może być uznany za racjonalnie działającego człowieka?

- Nie po tym, jak użył gazów bojowych przeciw ONZ - odpowiedział Elkins. - Wiemy, że Żelazna Gwardia posłużyła się do tego ataku moździerzami, a także samolotami Aero produkcji czeskiej. Sądzymy również, że to te same samoloty, które zaatakowały C-130 i zestrzeliły A-10.

- Jak silna jest Żelazna Gwardia? - zapytał prezydent.

Teraz odezwał się Carroll:

- To bardzo zdyscyplinowana organizacja, stworzona na zasadach obywatelskiej milicji; ciągle rośnie w siłę. Biorąc pod uwagę zarówno liczebność, jak i uzbrojenie, można powiedzieć, że jest

cztery - pięć razy potężniejsza niż siły pokojowe ONZ.

Prezydent zapalił teraz cygaro.

- Przecież RPA ma swoją własną armię - powiedział. - Z tego, co pamiętam, nawet bardzo dobrą... Dlaczego jej nie wykorzystają, żeby rozprawić się z Żelazną Gwardią?

- Wewnętrzne problemy - odpowiedział Carroll. - Minister obrony, nazwiskiem Joe Péndulo, to Murzyn. Natomiast generałowie i wyżsi oficerowie są przede wszystkim biali.

- Tak? Myślałem, że mianowali teraz kilku czarnych generałów i pułkowników.

- Rzeczywiście. Jednak, tak jak pan wspomniał, mianowali ich z powodów politycznych. Ci ludzie nie mają pojęcia o dowodzeniu wojskiem; są więc bezwartościowi. Péndulo boi się, że jeśli wyda białym rozkaz walki z Żelazną Gwardią, wymówią mu posłuszeństwo i zbuntują się. Jeśli natomiast zwróci się z tym do czarnych oficerów, to najprawdopodobniej zamiast zająć się Żelazną Gwardią zaczną spiskować i spróbują obalić rząd razem z nim.

Prezydent zgasił cygaro, miażdżąc jego koniuszek.

- To znaczy, że mamy do czynienia z dobrze uzbrojoną armią, kierowaną przez szaleńca, który właśnie wyladowuje swoje szaleństwo i być może ma w zanadrzu kontrolowaną fuzję jądrową - wynalazek tysiąclecia.

Dyrektor pokiwał głową.

- To trafne streszczenie sytuacji - powiedział.

- W takim razie albo poradzimy sobie z Żelazną Gwardią teraz, albo będziemy zmuszeni zrobić to później, kiedy ona się nami zajmie i będzie dużo, dużo trudniej. Trzeba ich zniszczyć. Wystarczy tych

szaleństw - podsumował prezydent.

- Ma pan na myśli akcję wojskową? - upewnił się Elkins.

- To jedyna rzecz, jaką te sukinsyny rozumieją. I to im prędzej, tym lepiej - potwierdził prezydent.

- Czy to nie przesadna reakcja? - wyraził obawę dyrektor.

- Nie - odpowiedział krótko prezydent. - Zaciągnął się znowu cygarem. - W jaki sposób najlepiej to zorganizować?

Teraz przyszła kolej na Elkinsa.

- Biorąc pod uwagę obecny klimat w Kongresie - odparł - byłoby niedobrze podjąć samotną akcję.

- Będziemy interweniować sami, jeśli okaże się to konieczne - oświadczył prezydent.

- Czcigodna Ann Nevers - ciągnął Elkins - tylko czeka na odpowiednią okazję, żeby podnieść krzyk przeciwko „neointerwencjonizmowi”, jak to nazywa. Jeśli popełnimy błąd, to ona, a nie my, wygra następne wybory.

- Niezbyt miła perspektywa - zauważył prezydent.

Carroll odchylił się na oparcie fotela i powiedział:

- Jest sposób na to, żeby uniknąć bezpośredniego udziału w wojnie. Siły ONZ ustanowiły precedens atakując Azanianów za to, co zrobili w Kimberley. A rząd RPA nie protestował, ponieważ to rozwiązało jeden z ich problemów. Jeśli zrobią z Żelazną Gwardią to samo, co z Azanianami, osiągnięty zostanie stan równowagi - bo Azanianie byli czarni, a Żelazna Gwardia to biali - i rząd RPA będzie miał kolejny problem z głowy.

Prezydent zastanowił się przez chwilę.

- No tak - powiedział - ale mówił pan, że Żelazna Gwardia jest

znacznie potężniejsza niż siły ONZ w Południowej Afryce.

- To prawda - przyznał Carroll. - Jest jednak zorganizowana na zasadzie milicji i osiągnięcie stanu pełnej gotowości zajmuje im trochę czasu. Wyposażymy siły ONZ na tę operację w odpowiednie środki i wykorzystamy element zaskoczenia, żeby szybko zniszczyć główne siły przeciwnika i wycofać się.

Elkins przytaknął.

- To wykonalny plan - ocenił. - Sporządzę dla Pontowskiego listę „możliwych zakupów”, żeby wiedział dokładnie, o jakie dodatkowe siły może prosić. Pozostaje nam teraz tylko przekonanie sekretarza generalnego ONZ i Francuzów.

- Odwołajmy się do tego, co najwznioślejsze i najbardziej przyziemne - dorzucił prezydent. - Do oburzenia, moralnej niezgody na użycie przez Żelazną Gwardię broni masowej zagłady, i do zwykłych, ekonomicznych interesów, jakie stwarza sobą Numer Jeden. Mówiąc między nami, myślę, że ta kontrolowana fuzja jądrowa to bzdura, a cały ten Numer Jeden to blef.

- Ale jeśli doktor Slavin naprawdę odkrył, jak przeprowadzać kontrolowaną fuzję jądrową? - odezwał się dyrektor wywiadu.

Prezydent uśmiechnął się pod nosem.

- W takim razie porwijcie doktora Slavina - powiedział.

- Już to rozważaliśmy - poinformował dyrektor. - Ale główna baza Żelaznej Gwardii - Żelazne Wrota, to twardy orzech do zgryzienia.

- Takie akcje są bardzo ryzykowne - wytłumaczył Elkins. - Łatwo wejść do takiej bazy, ale wydostać się z niej żywym - bardzo trudno.

Prezydent zgasił ostatecznie wypalone do połowy cygaro. Podjął już decyzję i dyskusja była skończona.

- Bierzcie się do roboty, panowie. Te sukinsyny nie użyją już broni chemicznej po raz drugi. Chcę, żeby świat to usłyszał i zobaczył.

- Zlecę zajęcie się tym Cyrusowi Piccardowi i Mazie Hazelton - powiedział Carroll.

Prezydent pokiwał głową.

- Bill, muszę pomówić z tobą na osobności. - Wypowiedział te słowa delikatnym, przyjacielskim tonem. Elkins i dyrektor domyślili się, że chodzi o chorobę Williama i szybko wyszli. - Ile jeszcze dasz radę? - spytał prezydent.

Bill potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Czy masz jakieś rekomendacje na twój następcę?

- Cyrus Piccard.

- Jest za stary.

Carroll zastanowił się chwilę.

- Mazie.

- Z takim imieniem?

- „Mazie” to tylko skrót - wyjaśnił Bill. - Naprawdę ma na imię Mazana.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

**Piątek, 17 kwietnia**

**Dowództwo wojsk ONZ, Constantia, Kapsztad**

Kiedy Pontowski przyszedł rano do pracy, zobaczył na biurku list. Nie przeczytał go od razu, zrobił trochę porządku. Miał zaplanowany lot z „Waldo”; musiał więc spieszyć się z pozostałymi sprawami. Na

szczęście większość z wiadomości, jakie do niego nadeszły, pochodziła z różnych wydziałów Pentagonu, które wysyłając je pragnęły czymś usprawiedliwić swoje istnienie. Matt karmił takimi papierami niszczarkę. Praca pod egidą ONZ ma swoje plusy... W końcu podniósł i list. Wolałby go nie czytać.

*„Szanowny Panie Pułkowniku.*

*Rezygnuję ze służby w Południowoafrykańskich Siłach Zbrojnych i w związku z tym nie mogą pełnić dalej funkcji Pańskiego adiutanta.*

*Z najgłębszym poważaniem,*

*Piet van der Roos”*

No cóż, Piet - pomyślał Matt - zawsze byłeś raczej małomówny. Ale dlaczego tak? Jesteś jednym z najlepszych pilotów śmigłowców, jakich w życiu widziałem, i znakomitym oficerem. Po co to wszystko niszczyć jednym posunięciem?

- Och, nie! - jęknął, odpowiadając sobie w myśli na własne pytanie. Piet zamierzał wstąpić do Żelaznej Gwardii.

**Piątek, 17 kwietnia**

**Okolice Paarl, Republika Południowej Afryki**

Białe BMW wpadło do posiadłości van der Roosów i zatrzymało się z chrzęstem opon na żwirze, koło piwnic do przechowywania wina. Dzień był zimny; piwnice zamknięto z braku turystów.

- Dzięki, Eleno - powiedział Matt. - Sam nigdy bym na to nie wpadł. - Uśmiechnął się. - Ani nie dotarłbym tu tak szybko.

- Zaciągnąłeś u mnie dług, Matt - mruknęła w odpowiedzi. - Mam

nadzieję, że zdołasz mi go zwrócić dzisiaj w nocy.

- Nie jestem aż taki tani - odparł.

Elena uśmiechnęła się i wysiadła z samochodu. Podeszli do domu van der Roosów. Pułkownik zapukał.

Otworzyła im Aly van der Roos, siostra Pieta.

- Jest w kuchni - powiedziała od razu, zobaczywszy, kto przyszedł. Zatrzymała ruchem ręki Elenę. - Niech porozmawiają sami.

Piet siedział w obszernej kuchni razem z ojcem. Pili kawę. Kapitan, kiedy spostrzegł Pontowskiego, bez słowa nalał filiżankę także i jemu. Ojciec opróżnił swój kubek, wstał i wyszedł.

- Dlaczego? - zapytał krótko Matt.

Piet patrzył w filiżankę.

- Kiedyś zapytał mnie pan, co bym zrobił, gdyby wydał mi pan rozkaz zaatakowania Afrykanerów. A ja odpowiedziałem, że nie wiem.

- A teraz już wiesz? - spytał Pontowski.

Van der Roos pokiwał głową. No tak. Piet był człowiekiem honoru i podjął właśnie najtrudniejszą decyzję swojego życia. Nie był to pierwszy w historii żołnierz, który musiał wybrać stronę, gdy jego kraj zaczął się rozpadać. I na pewno nie ostatni. - Dziękuję ci za uczciwość - powiedział Matt.

- Obserwowałem, jak dowodzi pan swoimi ludźmi - stwierdził Piet. - Potem latałem pod pana rozkazami na Kimberley i przeciw Azanianom. - Znowu patrzył w filiżankę. - Potem rozmawiałem z „Robalem”. - Uśmiechnął się nieznacznie. - To taki wojownik z dawnych czasów.

- E tam; ma wszystkiego trzydzieści dwa lata.



- Poszedłby za panem nawet w ogień. Tak samo jak Bouchard poszedłby wszędzie za de Royerem. Nie rozumiałem generała, zanim nie zobaczyłem go w Beaufort West. Moździerze, kule, śmierć - wszystko szalało wokół niego. A on? Stał tam wyprostowany; nawet nie mrugnął, i poprowadził żołnierzy do kontrataku. A wie pan co ja wtedy robiłem? - Nie czekał na odpowiedź. - Leżałem brzuchem do ziemi. Pełzałem, jak robak. Pośród robaków. Było mi wstyd. ...Dlaczego wy wszyscy to robicie? Po co sierżant Owens, i Perko, i „Tango” przylecieli tutaj i zginęli?

Pytanie było uczciwie postawione, a Matt nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi.

- Cholera jasna, Piet, nie wiem. Może dlatego, że wszyscy razem jesteście tego warci? Przecież teoretycznie mogłoby się zdarzyć, że któregoś dnia ja musiałbym poprosić ciebie o to, żebyś ratował mój kraj?

Piet pociągnął łyk kawy.

- Dlaczego pan tu przyjechał? Teraz, dzisiaj. Do mojego domu?

To też dobre pytanie. Ale na to Matt miał prawdziwą i pewną odpowiedź.

- Bałem się, że masz zamiar zaciągnąć się do Żelaznej Gwardii...

- A mam?

- Nie, Piet; nie... Tak jak większość Afrykanerów, jesteś związany przeszłością i możesz teraz tylko czekać na to, co przyniesie przyszłość. Dzięki za kawę. - Matt wstał i zabrał się do wyjścia.

- Panie pułkowniku - powiedział jeszcze Piet. - Bałem się, że chce mnie pan poprosić.

- O co?

- Żebym poszedł za panem w ogień.  
- Przeciw członkom własnego narodu?  
- Poszedłbym - odpowiedział Piet, nie czekając na pytanie. - Ale nie wiem, jak mógłbym potem z tym żyć.

Pontowski uśmiechnął się do - przyjaciela.

- Nie musisz się teraz o to martwić - powiedział. - Powodzenia, Piet. - Wyszedł.

## **Piątek, 17 kwietnia**

### **Zatoka Bantry, Kapsztad**

Wicher dął znad południowego Atlantyku, szarpiąc oknem wychodzącym na zatokę. Elena leżała owinięta w koc przed kominkiem, chroniąc się przed wnikającym do pokoju zimnem.

- Lubię mężczyzn, którzy szybko spłacają swoje długi - powiedziała.

Pontowski musnął jej włosy.

- Nie wiedziałem, że tutaj robi się tak zimno - powiedział.

- W głębi kraju bywa jeszcze zimniej; na Karru - odparła. Poczekala chwilę, w nadziei, że Matt coś powie. Cisza. - Chcesz o tym porozmawiać? - zagadnęła.

- O czym?

- O Piecie?

- Nie ma o czym rozmawiać. Bałem się, że zamierza wstąpić do Żelaznej Gwardii. Ale nie zamierza.

- To byłoby okropne.

- Tak; okropne... - Wstał. - Eleno, muszę iść. Chcę zadzwonić do syna.

- Możesz zadzwonić do niego stąd.
- Dziękuję, ale wolę z kwatery. Poza tym czeka na mnie cała teczka roboty.

## **Sobota, 18 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Dyżurujący funkcjonariusz bezpieczeństwa co chwila zapadał w sen i znowu się budził. W końcu rozbudził się całkiem i rozejrzał wokół. Z ulgą stwierdził, że nadal jest sam.

Popatrzył na zegarek: wpół do trzeciej w nocy. Sięgnął do gałki strojenia i zgłosił, żeby upewnić się, czy nikt nie kręci się po domu dla gości, podczas gdy on obserwuje monitory. Nic. Zadowolony, że dziennikarki śpią, zdjął słuchawki i zrobił sobie świeżej kawy.

Sam wyglądała przez okno łazienki. Zobaczyła, że w sąsiednim domu zapaliło się światło w kuchni. Mam cię - pomyślała. Gdy Elizabeth próbowała skontaktować się z Beckmannem i wytargować jakoś ich wolność, Samantha zaczęła sprawdzać, czy nikt ich nie obserwuje i odkryła szpiegów w domu stojącym na tyłach gościnnej rezydencji. Rzucali się w oczy - zobaczyła, jak stoją przy oknie i rozmawiają. Przetrasnęła też dokładnie całe mieszkanie i poznajdowała podsłuchy. Jeszcze łatwiej było jej odnaleźć miniaturowe kamery. W pierwszym odruchu chciała zniszczyć tę, którą zainstalowano w łazience; jednak zdrowy rozsądek odwiódł ją od tego. Pomyślała, że lepiej już pokazać sukinsynom trochę ciała i wiedzieć, gdzie jest kamera. Stała się zresztą szybko mistrzynią w robieniu w łazience jak największej ilości pary...

Teraz odsunęła się powoli od okna, żeby nie hałasować. Nie

chciała obudzić Liz i tłumaczyć jej, co robi. Cicho otworzyła wewnętrzne, sięgające do podłogi okiennice - takie jak we Francji - wychodzące na dom, gdzie ukrywali się szpiedzy. Nie miała wyboru, ponieważ od strony północnej nie znajdowało się żadne inne okno. Następnie cofnęła się do pokoju i wyciągnęła z za kanapy składaną jak parasolka antenę satelitarną. Teraz nastąpił najtrudniejszy moment. Otworzyła po ciemku antenę i nakierowała ją mniej więcej w stronę geostacjonarnego satelity, zawieszzonego nad równikiem. Musiała jednocześnie podejść jak najbliżej drzwi, ale tak, żeby nie wysunąć się z cienia.

Światło w kuchni paliło się nadal. Siedź tam, sukinsynu - pomyślała.

Nakryła nadajnik kocem, żeby zasłonić świecące przyciski i skalę, i stłumić dźwięk. Włożyła już wcześniej kasetę, jaką nagrała po tym, jak bandziory Beckmanna skonfiskowały im wszystkie kasety wideo. Ludzie z Żelaznej Gwardii doszli do wniosku, że bez kaset cały jej sprzęt do niczego się nie nadaje. Mieli zresztą rację. Na szczęście nie zauważyli paru zapasowych kaset na dnie torby do makijażu Elizabeth.

Sam włączyła nadajnik i posłała sygnał w przestrzeń. Czekwała na sygnał odbioru, ale nie nadchodził. Trzeba poprawić antenę. Zbliżyła się znów powolutku do okna, przysunęła antenę jeszcze odrobinę do niego i zwiększyła kąt. Usłyszała elektroniczne kliknięcie. Za głośno! Ale uzyskała połączenie. Cofała się do nadajnika chyba całą wieczność. Ostrożnie uniosła koc, żeby zobaczyć, czy taśma się przesuwająca. Cholera jasna! Sam jęknęła cichutko. Świeciło się „hold”. Sygnał czekał na satelicie w kolejce, aż znajdzie się wolny kanał, lub

też w ich stacji telewizyjnej po prostu wyłączono odbiornik.

Wróciła do okna w łazience, żeby tam zaczekać. Niedobrze! Światło w kuchni naprzeciwko już się nie paliło. Szpicel musiał wrócić na stanowisko; pewnie zaparzył sobie świeżej kawy i będzie teraz uważał. Czy podsłuchy są na tyle czułe, że zdołają nadać mu dźwięki transmisji satelitarnej, kiedy kanał się odblokuje? Trudno zgadnąć. Przydałoby się coś, co odwróci uwagę faceta. Samantha westchnęła i zapaliła światło.

Powoli zaczęła się rozbierać. Nie może popełnić jakiegoś głupstwa. Mężczyźni są tacy naiwni - pomyślała. Niech skurczybyk pieje z zachwyty. Nie była jednak przyzwyczajona do takiego zachowania. Rozebrawszy się do bielizny, odkręciła wodę w łazience. Następnie poszła po radio. Muzyka powinna ułatwić jej niecodzienne dla niej zadanie. Obiecała sobie, że któregoś dnia będzie się z tego śmiać. Ale jeszcze nie teraz.

Stała przed lustrem, przybrała wyuzdaną pozę i rozrzuciła włosy. Wreszcie weszła pod prysznic. Starła się myć najdłużej, jak to tylko możliwe. Wytarcie się ręcznikiem także było małym arcydziełem. Odkryła tę samą sztukę, na której opiera się egzotyczny taniec. Drażnić wszystkim, czym się da, ale jednocześnie niczego tak naprawdę nie odsłaniać. Kto właściwie kogo wykorzystuje w takiej sytuacji? - pomyślała.

W końcu wyciągnęła rękę i zgasiła światło. Szybko podeszła do okna. W budynku naprzeciwko świeciło się teraz w łazience. Mam nadzieję, że walisz tam konia albo dostałeś zawału serca! - pomyślała z wściekłością. Sprawdziła nadajnik. Transmisja dokonała się! Złożyła antenę i zamknęła okiennice. Teraz

wystarczyło tylko skasować taśmę i poukładać wszystko na miejscu. Miała na to całą resztę nocy.

## **Piątek, 17 kwietnia**

### **Nowy Jork**

Jedna z pracownic stacji telewizyjnej, zajmujących się ostatnim wydaniem wiadomości, siedziała przy elektronicznym pulpicie, kiedy satelita zasygnalizował, że za chwilę nada transmisję.

- Nie było mowy o tym, żeby Liz miała coś przesyłać - odezwała się do siedzącego naprzeciw niej technika. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, w RPA była jeszcze noc. - To musi być coś ekstra - stwierdziła.

Technik dopilnował odbioru transmisji, nagrywając ją i posyłając sygnał do różnych monitorów znajdujących się w całym budynku.

- Hej, to Sam! - zdziwił się. - Dlaczego nie sprawdza, czy ją dobrze odbieramy? - Obejrzelikrótki przekaz.

Po chwili redaktorka wiadomości zadzwoniła do szefa.

- Musi pan tu zejść - powiedziała. - Dostaliśmy przekaz satelitarny od Liz Gordon i Sam Darnell, który musi pan koniecznie zobaczyć.

Szef także widział przekaz na swoim monitorze i wypowiedział obraźliwy komentarz na temat młodych redaktorek, które nie potrafią rozpoznać gorących tematów, nawet kiedy same ścigają je po ulicy i parzą w tyłek.

- Ma pan absolutną rację - odpowiedziała spokojnie kobieta. - To nie jest gorący temat. Ale Samantha prosi nas o pomoc. - Odłożyła z trzaskiem słuchawkę. - Czy to nie oparzyło cię w tyłek?! - powiedziała ze złością. Postanowiła, że jeżeli szef nie zejdzie do niej

w

ciągu pięciu minut, przekazuje nagranie CNN. Zszedł jednak po trzech.

## **Niedziela, 19 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski obudził się gwałtownie. Był całkowicie przytomny. To coś nowego - była piąta trzydzieści rano. Nie potrzebował nawet kawy; szybko umył się i ogolił. Co się stało? Co go tak niepokoi? Czy podświadomość wysyłała mu jakieś ostrzeżenie? Kiedy się ubierał, zadzwonił telefon. Standard.

- W moim biurze. Natychmiast - powiedział tylko i rozłączył się.
- A niech to... - mruknął zdziwiony Matt, wychodząc.

Pontowski nie mógł doczekać się windy. Wbiegł szybko po schodach na trzecie piętro. Popychał go cały czas ten sam sygnał, który go obudził. Kiedy wszedł do pokoju Standarda, zobaczył tam Mazie Hazelton i od razu wiedział.

- Teraz mamy się wziąć za Żelazną Gwardię? - spytał.

Mazie pokiwała głową.

- Nie możemy tego zrobić - powiedział.
- Biały Dom chce, żeby siły ONZ to zrobiły - powtórzyła Hazelton.
- W takim razie niech ktoś wytłumaczy Białemu Domowi, że dostanie po tyłku od ONZ.
- ONZ popiera stanowisko Białego Domu w stu procentach - wyjaśniła Mazie - a de Royer prawdopodobnie rozmawia w tej chwili z przełożonymi.

- De Royer tego nie kupi - ocenił Pontowski. - Zdaje sobie sprawę z tego, czym dysponuje Żelazna Gwardia. Może nie jest znów aż tak

potężna, ale na pewno potężniejsza niż my.

- Czy możecie wykorzystać element zaskoczenia? - wtrącił się Standard.

- Nie mogę na nim polegać - odparł Matt. - Mamy gdzieś w obrębie ONZ przeciek.

- Rozpracujemy to - zapewnił Standard.

- No to rozpracujcie - mruknął pułkownik. - To moi ludzie stoją na linii ognia.

- Co będzie potrzebne, żeby wykonać zadanie? - zapytała Mazie.

- Wszystko, co składa się na duże operacje wojskowe - odparł Matt. - Atak przeciw obronie przeciwlotniczej, osłona powietrzna, siły lądowe; sama wiesz.

Pani Hazelton podała mu listę. Była to „lista zakupów”, jaką obiecał prezydentowi Elkins.

- Możemy dać ci to - powiedziała.

Pułkownik przyjrzał się wykazowi sił, jakie Stany Zjednoczone były gotowe poświęcić dla operacji przeciw Żelaznej Gwardii. Potrząsnął głową.

- To za mało - stwierdził.

- Podlegasz rozkazom de Royera - przypomniała Mazie.

Pontowski wybuchnął, przestając hamować gniew.

- Zejdźcie na ziemię! - krzyknął. - Jesteśmy małą misją pokojową. Jeśli mówicie poważnie o tej operacji, to przygotujcie grupę uderzeniową z lotniskowcem! Niech zajmą się tym oddziały liniowe.

- Nie możemy tego zrobić - zaproponowała Mazie. - Sytuacja polityczna...

- Pieprzę sytuację polityczną! - oznajmił Matt.



- Znasz już siły, jakie zamierzamy poświęcić. - Pani Hazelton nie ustępowała. - Chcemy także, żebyś wywiózł stamtąd izraelskiego naukowca.

- Niejakiego doktora Slavina - wyjaśnił Standard. - Człowieka, który pracuje nad kontrolowaną fuzją jądrową.

- W co wy mnie chcecie wpakować?! - ryknął Matt. - Szkoda, że nie chcecie więcej - burknął jeszcze.

- Porozmawiaj z de Royerem - poradziła Mazie.

- Mazie, on tego nie kupi.

- Już raz to powiedziałeś.

Pontowski wypadł z pokoju, mówiąc sam do siebie:

- Nic nie jest niemożliwe dla sukinsyna, który nie musi tego zrobić sam!

- Nieźle się zdenerwował... - odezwał się Standard.

- Między innymi dlatego tu jestem - odparła spokojnie Mazie. - Uspokoi się.

- A dlaczego jeszcze tu pani jest?

- Wydostanie stamtąd żywego Slavina jest sprawą najwyższej wagi. - Zróbcie wszystko, żeby to się udało.

- Człowiek, do którego trzeba się w tej kwestii zwrócić, jest tutaj. To Mac-Kay.

Mazie podniosła głowę.

- John Author MacKay? - upewniła się. - Były „Zenith”? - Standard dwukrotnie przytaknął i wcisnął guzik interkomu. Poprosił Johna, żeby wszedł. Mazie z początku nie rozpoznała go.

- Kiedy cię ostatni raz widziałem, byłaś okrągła jak piłeczka - powiedział na powitanie pułkownik. - Co ci się stało?

- Wyszłam za mąż - wyjaśniła Mazie. Podniosła rękę i dotknęła jego twarzy. - Lepiej wyglądasz - oceniła.

- Jak rozumiem, państwo się znają... - powiedział Standard.

- Braliśmy razem udział w Operacji Jerycho - poinformowała pani Hazelton.

- Niech mnie licho... - mruknął Standard, przypominając sobie głośne uratowanie trójki Amerykanów z Burmy.

- Nie martw się, wszystkich nas licho weźmie - zapewnił go John.

Mazie i Standard wyjaśnili MacKayowi, jak widzą jego udział w akcji. Ponieważ działał na terytorium przeciwnika, powiedziano mu tylko to, co musiał wiedzieć. Sam domyślił się jednak reszty.

- Muszę zdążyć na wieczorny samolot do Bloemfontein - oznajmił.

- Przedtem chciałbym jeszcze pogadać z „chłopcami”. Muszę zepsuć trochę system bezpieczeństwa Żelaznej Gwardii. - Standard zadzwonił więc do „chłopców” i MacKay wyszedł.

- Jakie jeszcze mamy sprawy?

- Przeciek w ONZ. Czy wiecie coś na ten temat?

- Jeśli znajdziesz jeden przeciek, pojawia się drugi - zaczął Standard. - Adiutant Pontowskiego był wtyczką; niejaki kapitan Piet van der Roos. Wyśledziliśmy, że pytał przez telefon o to, jakie samoloty i o jakiej porze będą startować. Także tego dnia, kiedy zestrzelono Leonarda i zginęła sierżant Perko. Ale ten kapitan nie jest już adiutantem Matta.

- A odnaleźliście jakiś drugi przeciek?

Standard uśmiechnął się tylko.

**Niedziela, 19 kwietnia**

## **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

MacKay zatrzymał się przed bramą wjazdową do bazy. Podał wartownikowi legitymację, starając się udawać znudzonego. Zawsze niepokoił się, kiedy musiał przejeżdżać przez tę potężną kamienną budowlę. Młody żołnierz wziął identyfikator i przesunął go przez szparę czytnika. Na komputerowym monitorze pojawił się jakiś napis.

- Jest tu dla pana informacja - powiedział wartownik. - „Natychmiast zgłosić się do budynku bezpieczeństwa”.

- Kiedy to nadeszło? - spytał John. Żołnierz spojrzął ponownie na ekran.

- Dwadzieścia minut temu.

Pułkownik podziękował mu i ruszył, bardzo zdenerwowany. Co się dzieje? Przy wejściu do budynku bezpieczeństwa czekał na niego jakiś podoficer. Odprowadził Johna do biura Kreinera.

- Proszę tu zaczekać - powiedział rozkazującym tonem. MacKay usiadł więc i przez następne pół godziny starał się uspokoić.

W pewnej chwili do pokoju wpadł Kreiner, w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy. John przybrał najbardziej znudzony wyraz twarzy jaki mógł i zapytał spokojnie:

- Kreiner, jakie głupstwo chcesz popełnić tym razem?

- *Generaal* chce się z panem widzieć - odpowiedział Kreiner. MacKay wzruszył ramionami i podążył za nim do pokoju przesłuchań. - Niech pan zaczeka. - Podoficer wskazał pułkownikowi krzesło stojące w korytarzu przed drzwiami. John usiadł więc i oparł się o ścianę. Na schodach rozległ się stukot skórzanych obcasów

Beckmanna.

- Tu pan jest - odezwał się generał przyjaznym tonem. - Co pan robił w Kapsztadzie?

- O to chodzi? - Żadnej odpowiedzi. - Sprawdziałem jedną rzecz, związaną z naruszeniem bezpieczeństwa.

- O bezpieczeństwo zawsze należy dbać - stwierdził Beckmann. - Kreiner...

Podoficer podszedł do wiszącej zasłony, za którą znajdowało się przezroczyste w jedną stronę okno do pokoju przesłuchań. Spojrzał triumfalnie na Johna i pociągnął za linkę, odsłaniając zasłonę.

Na stole siedziała Ziba. Była naga.

- Pańska kobieta - zarechotał Kreiner. Nadszedł czas wyrównania rachunków.

MacKay podszedł do Beckmanna, starając się za wszelką cenę stłumić niepokój.

- Dobrze się teraz bawisz, co, Kreiner? - rzucił. Uważał, żeby nie popełnić fałszywego ruchu, równającego się wyrokowi śmierci. Spojrzał na Zibę. Była cała i zdrowa. Nie rozpoczęli jeszcze przesłuchania. - Dlaczego ją tu sprowadziłeś?

- Zaczęliśmy się niepokoić, kiedy pojechał pan do Kapsztadu bez zawiadomienia. Podjęliśmy więc zwykłe środki ostrożności - odpowiedział podoficer.

MacKay nie mógł przestać patrzeć na Zibę. Przypomniał mu się dzień, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. Teraz, tak samo jak i wtedy, robiła wrażenie królowej. Mogli ją rozebrać do naga, skuć, uwięzić, nawet zabić. Jednak w żaden sposób nie byliby w stanie zniweczyć jej godności.

- Cierpisz chyba na niedowład mózgu - powiedział do Kreinera. - Chciałem przelecieć panienkę, a nie szukać nie wiem jakiego związku.

Beckmann uśmiechnął się do pułkownika, patrząc mu prosto w oczy.

- Slavin próbował uciec razem ze swoją rodziną - i z tą „panienką” - poinformował. - Chciałbym dowiedzieć się, czy ona także spowodowała naruszenie bezpieczeństwa, o którym pan wspomniał. Proszę, przesłuchanie należy do pana.

MacKay zerknął na generała, a potem skupił spojrzenie na Zibie. Omal nie rzucił się na Beckmanna, żeby go zabić. Jednak po tym, co zdarzyło się po sprawie Azanianów z pewnością nie przydzielono by do pilnowania Johna strażników, którzy popełniają błędy. Atak na Beckmanna oznaczałby samobójstwo.

- Proszę przodem, panie generale - powiedział, otwierając drzwi.

Pierwszy wszedł Kreiner, stawiając dokładnie naprzeciw Ziby krzesło z pełnym oparciem. Beckmann usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na szczycie oparcia.

- Proszę zaczynać - polecił. Skupił się tak, że aż przestał mrugać. Kreiner stanął koło Ziby i podniósł jedną z jej piersi.

- Proszę pana, panie generale. To mój obowiązek.

- Nie tym razem, Kreiner. Chcę, żeby zajął się tym MacKay. Niech on rozwiąże nasz problem.

- Rozwiązać panów problem? - upewnił się MacKay. - Nie ma sprawy, panie generale. - To powiedziawszy rzucił się na Kreinera, obracając go; podoficer próbował się opierać, ale pułkownik ogłuszył go ciosem zadany od tyłu i położył na ziemię kopniakiem w tylną

stronę kolan, wyciągając mu z kabury pistolet. Zanim jeszcze Kreiner na dobre zdążył się przewrócić, nabój został już wprowadzony do komory. Następnie MacKay wbił Kreinerowi dwa zagięte palce lewej ręki w oczodoły, uniósł jego głowę, a prawą przyłożył mu do skroni lufę pistoletu i wypalił.

Przez drzwi wpadali strażnicy. Pułkownik puścił ciało Kreinera i rzucił pierwszemu z żołnierzy pistolet. Zatrzymali się. John podniósł rękę do góry i oświadczył:

- Problem rozwiązany.

Akt przemocy, jaki się dokonał, usatysfakcjonował Beckmanna. Ze zwykłym wyrazem twarzy rozkazał:

- Posprzątać. - Podniósł wzrok na MacKaya i oznajmił: - Musimy porozmawiać.

Pułkownik usiadł naprzeciw Beckmanna w jego biurze. Czterech strażników otoczyło Johna, trzymając wyciągnięte pistolety maszynowe.

- Kreiner i ja znaliśmy się od wielu lat - zaczął Beckmann. - Był jednym z moich najbardziej zaufanych ludzi.

MacKay rzucił na stół małą książeczkę.

- Byłem w Kapsztadzie, żeby sprawdzić dokładnie „jednego z pańskich najbardziej zaufanych ludzi”. Oto wyciąg z jego konta. - Książeczka, w jakiej wpisuje się wyciągi z konta, wydana na nazwisko Kreinera, stanowiła element planu MacKaya, jak się wyraził w rozmowie ze Standardem. - Znalazłem to w sejfie bankowym w Kapsztadzie - wyjaśnił. - Z pewnością zauważy pan, że ostatnio dokonano poważnej wpłaty.

- To dużo pieniędzy - powiedział Beckmann, obejrzawszy książeczkę.

- Oszczędny był ten mały gnojek, prawda?

- Myśli pan, że sprzedawał komuś informacje?

- No a skąd wzięłyby te pieniądze? - odparł John po krótkiej przerwie. - To nam odpowie na wiele pytań, panie generale.

Beckmann westchnął głośno.

- Pozostaje sprawa tej dziewczyny - oznajmił. - Próbowwała uciec ze Slavinem; może pracowała dla Kreinera.

- Być może - zgodził się MacKay. - Wypuścimy ją; tylko nie pozwalajmy jej wyjeżdżać z bazy. W ten sposób będziemy mogli przyrzeć jej się przez parę dni. Wykorzystamy ją jako przynętę i sprawdzimy, czy ktoś przypadkiem nie spróbuje się z nią skontaktować. Może doprowadzi nas do kogoś jeszcze.

- To znakomity pomysł - ocenił Beckmann. - Pozostał teraz tylko jeden problem. Powiedziałem panu, żeby nigdy więcej nie złamał pan mojego rozkazu. I złamał go pan. Zabił pan także jednego z moich najlepszych ludzi.

- Zabiłem zdrajcę, *Generaal*. I nie złamałem pańskiego rozkazu. Powiedział pan, żebym rozwiązał problem - i rozwiązałem.

- Opierał się pan tylko na podejrzeniach. Podejrzeniach - powtórzył Beckmann.

- Musi pan koniecznie zobaczyć, co mam w teczce - odpowiedział spokojnie John. - Teczka jest w moim samochodzie. - Jeden z żołnierzy pobiegł po nią i zapadła niewygodna cisza. Po chwili wrócił, nie chcąc przeoczyć tego, co może się wydarzyć. - Pozwoli pan, że

otworzę - odezwał się MacKay. - Jest zamknięta na szyfr. - Uśmiechnął się do Beckmanna. - Mówiłem Kreinerowi, że jestem dobry w tym, co robię, ale nie wiedział, że aż taki dobry. - Otworzył teczkę i cofnął się. Była pełna spreparowanych przez „chłopców” identyfikatorów Żelaznej Gwardii *in blanco*. - To także znajdowało się w jego sejfie.

General był prawdziwie wstrząśnięty.

- Dlaczego? Dlaczego on to robił?

MacKay przybrał smutny ton i odpowiedział filozoficznie:

- Nie wiem, panie generale. Pieniądze? Seks? Kto to może wiedzieć?

Beckmann zanurzył dłonie w legitymacjach.

- Te karty spowodowały więcej kłopotów niż pożytku! - powiedział.

- To dlatego, że system był zrobiony w taki sposób, że można było zrobić w nim wyłom - odparł MacKay. - Ale potrafię to naprawić.

- Potrzebny mi ktoś, kto zastąpi Kreinera - oznajmił Beckmann. - Czy byłby pan tym zainteresowany, panie Mills?

- Sam chciałem to panu zasugerować, gdyby nie wysunął pan tej propozycji - odpowiedział pułkownik.

- Czy naprawdę nazywa się pan „Mills”?

MacKay potrząsnął głową.

- John Author MacKay. Zdezercerowałem wiele lat temu z amerykańskiej armii. Może pan zresztą sprawdzić. - Podał swój numer, nadawany obywatelom USA dla potrzeb ubezpieczeń społecznych. Nie miał już więcej w zanadrzu nic na udowodnienie swojej tożsamości.



- Sprawdzimy, panie MacKay, sprawdzimy.

## **Poniedziałek, 20 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

- To się nazywa „pełzająca misja” - stwierdził Matt. - Nie znam lepszego sposobu na to, żeby dostać po tyłku. - Mówił do Boucharda.

- Nigdy nie powinniśmy byli atakować Azanianów! Pokazaliśmy politykom, co potrafimy i teraz chcę, żebyśmy zrobili znacznie więcej tymi samymi środkami! - Francuz nie przerywał, wiedząc, że Pontowski musi się wylądować. - Byłem pewien, że de Royer powie im, żeby się pocałowali gdzieś!

- Gdzie pocałowali? - Francuz był zdziwiony. Jakoś nie bardzo zrozumiał, co Matt chce powiedzieć.

- Zrobili coś niemożliwego - wytłumaczył Matt.

Bouchard pokiwał ze zrozumieniem głową. Slang wykraczał poza jego umiejętności językowe.

- Generał nigdy nie wypuszcza niczego z rąk - oznajmił.

- Tak; właśnie się o tym przekonałem - zgodził się Matt. Był pewien, że de Royer odrzuci pomysł ataku na Żelazną Gwardię bez namysłu. Tymczasem powiedział tylko:

- Przystudiujcie to. Następnie zniknął.

Nie wiedząc od czego zacząć, Pontowski dał „Robalowi” „listę zakupów” i posadził go do pracy. A wczesnym rankiem w poniedziałek zadzwonił z konsulatu Standard. Poinformował Matta, że przyszła pocztą dyplomatyczną przesyłka dla niego. Były to świeżo zrobione zdjęcia satelitarne Żelaznych Wrót, dostarczone przez CIA dzięki uprzejmości Narodowego Biura Rozpoznawczego,

zajmującego się satelitami zwiadowczymi. Dokładność fotografii wskazywała na to, że Waszyngton potraktował sprawę poważnie.

Pontowski dał zdjęcia Stuartowi i chodził resztę ranka po pokoju. Teraz znajdował się wraz z Bouchardem w bazie - „Robal” miał przedstawić rezultaty swojego „studium”. Tymczasem z pokoju wywiadu wysunął się „Waldo” i poprosił dowódców do środka.

- Musimy tam trochę posprzątać - oznajmił. W pokoju czekali „Robal” i Lydia Kowalski. Na stole przed nimi znajdował się model Żelaznych Wrót, zrobiony z brystolu. - Studiowałem przez dwa lata architekturę - poinformował „Waldo”. - Jediną rzeczą, jaka mi się tam podobała, było robienie makiet.

Bouchard obszedł stół, przyglądając się dokładnie modelowi. Prawdziwym okiem obserwował szczegóły, rozważając ich znaczenie.

- *C'est bon* - powiedział na zakończenie.

- I co ta makietka daje? - zapytał Matt.

- Pokazuje, że możemy się za to wziąć - wyjaśnił „Robal”.

- Wolałbym usłyszeć co innego - burknął Pontowski.

- Przekażę wiadomość generałowi - oznajmił Bouchard. Połowa jego twarzy śmiała się.

## **Poniedziałek, 20 kwietnia**

### **Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Carroll trzymał słuchawkę zwiniętą w hak dłonią. Głos Mazie wydawał się metaliczny - sygnał przechodził przez szyfrator, a potem deszyfrator. Rozmowa nie była długa; chodziło o parę nowych szczegółów. Mazie pomyślała jednak, że William powinien od razu

wiedzieć, i przekazała mu, że de Royer zgodził się na całą operację. Nazwał ją *Dragon Rouge* - „Czerwony Smok”.

Carroll odłożył słuchawkę. Próbował się uspokoić, gdyż targaly nim potężne uczucia. Zaczął aż drzeć. Powoli opanował się jednak. Taką płacimy cenę- powiedział sobie w duchu. Jak robią to inni? Jak mogą tak beztrosko posyłać żołnierzy na śmierć? To chyba kwestia odległości - tłumaczył sobie. Jeśli giną ludzie, których nazwiska nie ci nie mówią, to nie wydaje ci się to takie straszne - myślał. A może odwołać operację! Nie miał jednak wyboru. Rozumiał nieubłaganą matematykę militarnych rachunków - jeśli poświęci się teraz kilku, można przez to uratować tysiące. Ucieczka od problemu pogorszyłaby tylko sytuację.

Dwie godziny później do pokoju weszła Midge z wiadomością od Mazie. Była nią przejrzana „lista zakupów”. Bill spojrział, jakiego dodatkowego wsparcia domagali się Pontowski i de Royer. Ku jego zdziwieniu lista była o wiele krótsza niż przypuszczał.

- Trzeba ich powiadomić, jak długo będą czekać na to, o co proszą - powiedział, sięgając po słuchawkę, żeby zadzwonić do sekretarza obrony.

Po rozmowie z Elkinsem Bill podniósł przed oczy nieruchomą dłoń i przyjrzał się jej. Poczul zniewalającą chęć umycia tej ręki. Zmusił ją jednak do tego, żeby postępowała zgodnie z jego wolą i wcisnął nią guzik interkomu.

- Midge, zadzwoń, proszę cię, do Cyrusa Piccarda. Muszę się z nim zobaczyć. - Były takie chwile, kiedy nawet doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego potrzebował kogoś, kto utwierdzi go w

jego decyzjach, „potrzymana za rękę”. Nawet bezwładną.

**Wtorek, 21 kwietnia**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Richard Davis Standard bębnił palcami w biurko. „Chłopcy” zajęły swoje zwykłe pozycje - dwie usiadły na kanapie, ta wysoka, chuda - na podłodze w pozycji kwiatu lotosu, a dowodząca opierała się o ścianę, z założonymi rękami, czekając, czy szef wymyśli coś, co ją zadziwi.

- Mamy niecałe dziewięćdziesiąt sześć godzin na to, żeby zlikwidować przeciek w ONZ - oznajmił Standard. - W przeciwnym wypadku operacja *Dragon Rouge* nie będzie dla nikogo zaskoczeniem. - Agentki zaczęły dyskutować ze sobą po cichu. W końcu ta, która siedziała na podłodze, uśmiechnęła się słodko do Standarda, dając mu w ten sposób sygnał, że panują nad sytuacją. Nienawidził tego sposobu prowadzenia rozmowy.

- Druga sprawa - odezwał się. - Pontowski chce zorganizować gdzieś bazę dla całej operacji. Miejsce, które znajdowałyby się na tyle blisko Żelaznych Wrót, żeby śmigłowce mogły startować z niego do akcji i wracać bez konieczności uzupełniania paliwa; a jednocześnie tak położone, żeby Żelazna Gwardia nie mogła ich obserwować. Dlatego też chcę otworzyć Pustynię Jeden.

Udawanie stanowiło integralną część działalności Standarda, nadawał więc wszystkiemu kryptonimy wprowadzające w błąd. Pustynia Jeden miała niewiele wspólnego z pustynią. Była to baza z pasem startowym o długości dwóch tysięcy siedmiuset metrów ukryta w półpustynnej górskiej dolinie w Lesoto. Leżała sto

pięćdziesiąt kilometrów od Żelaznych Wrót. CIA wydała miliony dolarów na organizację Pustyni Jeden, pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Południowej Afryce groziła prawdziwa destabilizacja spowodowana działalnością komunistów.

Kobieta opierająca się o ścianę była zdziwiona.

- Gengha Dung nie pozwoli na to - powiedziała.

- Pieprzę Genghę - mruknął Standard.

- To także by się jej nie spodobało - zauważyła agentka. - No cóż, zanim znaleźliśmy tę pracę, wszyscy byliśmy bezrobotni.

- Zabierajcie się do roboty - ponaglił Standard. Dał jeszcze znać dowódcy „chłopców”, żeby została na chwilę. - Chcę, żebyś pojechała do Bloemfontein i skontaktowała się z MacKayem - oznajmił.

- Nie jestem kurierką - zaprotestowała.

- Już jesteś.

- Raz się na coś zgodzisz i już myślą, że zgadzasz się na wszystko - mruknęła.

## **Wtorek, 21 kwietnia**

### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Stuart siedział nachylony nad stołem; mierzył odległości na mapie.

- Doskonale. Po prostu doskonale - powtarzał sobie. - Trzydzieści pięć minut lotu dla pum.

Kowalski i „Waldo” przyjrżeli się mapie uważnie.

- To powinno wystarczyć, szefie - odezwała się Lydia. - Jeśli tylko rejon jest bezpieczny.

- CIA mówi, że tak - zapewnił ją Matt. - Możecie zresztą sprawdzić

to jeszcze dzisiejszego popołudnia, kiedy zaczniemy przerzucać ludzi i sprzęt. Tędy wiedzie bezpieczny korytarz. - Naszkicował trasę prowadzącą z Pustyni Jeden na południowy wschód, do wybrzeża Oceanu Indyjskiego. Przechodziła ona ponad Lesoto i Transkei - dwoma państewkami, które zostały utworzone w czasach apartheidu jako bantustany, a potem już pozostały.

Kowalski zmierzyła drogę od Kapsztadu, nad południowym wybrzeżem RPA, aż do trasy narysowanej przez Matta.

- W sumie tysiąc siedemset kilometrów - oznajmiła. - Do roboty.

- Szefie - odezwał się jeszcze „Robal” - chciałbym tam polecieć i przyjrzeć się, jak to wygląda. - Pontowski zgodził się.

„Waldo” tymczasem nie odrywał wzroku od mapy.

- Co cię tak niepokoi? - spytał Matt.

- Nic takiego, pułkowniku.

- Powiedz.

- Kiedy rzuciłem architekturę, skończyłem geografię - oznajmił Walderman.

- Geografię?! - Pontowski nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Zrobiłem dyplom z klimatologii - ciągnął „Waldo”. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać z synoptykiem, który dobrze zna ten rejon - dodał.

## **Wtorek, 21 kwietnia Pustynia Jeden, Lesoto**

Lot trwał trzy godziny i dwadzieścia minut. Przez cały czas ubrana po cywilnemu kobieta nie odezwała się ani słowem. Siedziała w kabinie na ławce dla załogi i czytała książkę. Nagle wstała i poprosiła „Robala” o słuchawki.

- Nie zobaczycie pasa startowego, dopóki nie zaczniecie schodzenia - oznajmiła.

- To jak go w ogóle znajde? - zapytała Kowalski.

Kobieta pokazała jej szczegóły terenowe, które wyznaczały ścieżkę schodzenia. Jednak pośród porozsiewanych tu i ówdzie krzaków nie było widać żadnego pasa.

- Proszę lądować według standardowej procedury - poleciła agentka.

Lydia posłuchała jej i zarządziła kontrolę samolotu przed lądowaniem. - Dobrze, proszę skrócić trochę w prawo. - Kowalski wyjrzała uważnie przez okno, ale naprawdę nie było widać żadnego pasa. - Teraz trochę w lewo... dobrze, i zniżać się dalej.

- Na czym mam wylądować? - Kowalski była zdenerwowana.

- Proszę nacisnąć przycisk radia siedem razy - poleciła agentka. Lydia postąpiła zgodnie z instrukcją i na ziemi zapaliły się światła wyznaczające końcówkę ścieżki schodzenia. - A teraz jeszcze pięć razy. - Tym razem zaświecił się jasno długi rząd świateł, ciągnący się przez dolinę. - To jest środek pasa - wyjaśniła kobieta. - Zobacz go pani, kiedy zejdziemy poniżej sześćdziesięciu metrów.

Istotnie, pas nagle stał się widoczny. Został pomalowany tak, że nie odróżniał się od otaczającego go gruntu i roślinności. Widać go było z niewielkiej wysokości, kiedy perspektywa zmieniała się na tyle, że pilot odróżniał trójwymiarowe zarysy szczegółów terenowych od zwykłych, kolorowych plam.

Transportowiec wylądował.

- Witamy w Pustyni Jeden - odezwała się agentka. - Są tu zbiorniki z paliwem. Możecie wylądować sprzęt na tę małą

platformę ziemną.

- Nie do wiary! - mruknął „Robal”. - Może macie tu jeszcze sprzęt ratunkowy i do usuwania rozbitych maszyn? - Kobieta potrząsnęła przecząco głową i zapytała, czy to ważne. - Możemy startować stąd A-10 - wyjaśnił Stuart. - Ale warto lądować w miejscu, gdzie znajduje się sprzęt ratunkowy i jego obsługa, na wypadek, gdyby ktoś nas postrzelił i potrzebowalibyśmy pomocy.

- Czy to się często zdarza? - spytała agentka.

- Może się zdarzyć tylko raz.

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

**Środa, 22 kwietnia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Wszystko wyglądało jak zwykła, codzienna rutyna; jak gdyby nic się nie działo. Na pokład śmigłowca wsiadło czterech mężczyzn - dwóch południowoafrykańskich pilotów, czasowo przydzielonych do sił ONZ, i dwóch amerykańskich sierżantów. Wystartowali. Pułkownik Valéry Bouchard był w hangarze; dokonywał ostatecznego przeglądu Sił Szybkiego Reagowania - QRF. Na podłodze leżał sprzęt; podoficerowie oglądali szczegółowo każdą sztukę broni i każdą krótkofalówkę. W kącie dwóch składaczy spadochronów pakowało sześć spadochronów typu FXC Guardian, pod czujnym okiem pięciu mężczyzn. Spadochrony przeznaczone były dla nich i dla Boucharda.

Generał Charles de Royer siedział spokojnie w dowództwie sił ONZ, chociaż na biurku leżało już kepi. Podoficer zapisał na ściennej



tablicy godzinę startu i generał wyszedł z pomieszczenia.

Matthew Zachary Pontowski wyszedł natomiast z sali odpraw centrum COIC, w towarzystwie Waldermana. Poszli po swoje kombinezony, żeby przygotować się do zwykłych ćwiczeń. Lydia Kowalski popatrzyła na nich i wróciła do pracy nad rozkładem lotów transportowych na następny dzień.

Kapitan Dwight Stuart - „Robal”, znajdował się w sali wywiadu. Przyglądał się makiecie Żelaznych Wrót.

- Co jeszcze przeoczyłem? - zastanawiał się na głos. Nikt jednak go nie słyszał, gdyż sala wywiadu znajdowała się w podziemiu.

Dla postronnego obserwatora, w bazie nie działo się nic szczególnego. Tyle że śmigłowiec puma nie wróci tego dnia do Ysterplaat. Wraz z jego startem rozpoczęło się odliczanie do operacji *Dragon Rouge*.

Kiedy Pontowski wyszedł z kantyny po obiedzie, było już ciemno. Wsiadł do samochodu i ruszył powoli wzdłuż płyty lotniska. Do tej pory zdążyły już odlecieć wszystkie cztery śmigłowce. Połowa miejsc, w których stały zwykle A-10 także była pusta. Sześć brakujących „Świń” ma wrócić następnego dnia. Rozpoczną znowu zwykłe loty treningowe. Jednak przed zachodem słońca w bazie zostaną tylko dwa. Pozostała dziesiątka będzie na Pustyni Jeden, razem ze śmigłowcami.

Ciemnoszary hercules, który wylądował, został zaparkowany pomiędzy dwoma pustymi miejscami po „Świniach”, tak, żeby nie było widać trapezowej anteny zwisającej pod jego ogonem. Tylko wyćwiczony obserwator wyposażony w silną lornetkę zauważyłby, że

na samolocie znajdowało się więcej dodatkowych anten, a także sprzętu, zamocowanego pod skrzydłami. Standard zapewnił Matta, że na lotnisku nie znajdował się nikt, kto mógłby zorientować się, że maszyna Compass Call EC-130H Hercules przybyła z 43. Dywizjonu Walki Elektronicznej z bazy lotniczej Sembach w Niemczech.

**Czwartek, 23 kwietnia**

**Kanał Mozambicki,**

**USS „Oklahoma City” (SSN-723)**

Kapitan wszedł do cichej sterówki.

- Kapitan w sterówce! - oznajmił szef wachty. Kapitan machinalnie sprawdził pozycję okrętu. Znajdowali się w Kanale Mozambickim, oddzielającym Madagaskar od wybrzeża Mozambiku, dokładnie sto pięćdziesiąt mil morskich od miasta Mozambik. Od sześćdziesięciu godzin płynęli całą naprzód na głębokości dziewięćdziesięciu metrów, posuwając się na południe wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki.

Rozkazy, na mocy których zostali odwołani z patrolu w Zatoce Perskiej, były niecodzienne.

- Zwolnić do dwudziestu węzłów - rzucił kapitan oficerowi zanurzenia.

Zaczynał czuć napływ adrenaliny do mózgu.

Wachta pracowała. Najpierw sprawdzono kilwater, czy nie ukrywa się w nim ewentualny okręt przeciwnika.

- Zmniejszyć zanurzenie do osiemnastu metrów. Prędkość dziesięć węzłów - polecił kapitan. Kiedy zmniejszono zanurzenie, nad powierzchnię wody wysunął się peryskop. Zbadano teren

sonarem. Ponieważ nic nie wykryto, kapitan nie spodziewał się zobaczyć niczego szczególnego. Obraz z peryskopu został przesłany do monitorów, poumieszczanych w różnych miejscach okrętu, żeby upewnić załogę o ciągłym istnieniu powierzchni wody i nieba. Jednocześnie antena odbiornika GPS odebrała sygnały od dwóch satelitów i komputer obliczył dokładną pozycję okrętu. Podniesiono też inną antenę, która odebrała zakodowane szczegółowe dane dotyczące najrozmaitszych celów, w jakie uderzyć miał „Oklahoma City”.

- Peryskop w dół. Zwiększyć zanurzenie do pięćdziesięciu metrów. - Okręt podwodny zaczął pogrążyć się w ciemnej toni oceanu. Kapitan znowu skontrolował pozycję. - Prędkość trzydzieści pięć węzłów. - Rozległ się cichutki szum; kadłub zaczął delikatnie wibrować z wysoką częstotliwością.

Kapitan opuścił sterówkę i skierował się do reaktora, żeby sprawdzić, co słychać. Nie dlatego, żeby się szczególnie niepokoił. Cała maszyna była właściwie bezawaryjna. Jednak obsługa reaktora cieszyła się, kiedy widziała od czasu do czasu jakąś przyjazną twarz.

## **Czwartek, 23 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Major dowodzący siłami bezpieczeństwa zakończył składanie porannego raportu i wyszedł z gabinetu Beckmanna. Skinął na czekającego MacKaya i razem skierowali się do budynku, w którym teraz obaj pracowali.

- Obowiązki Kreinera były bardzo szczególne - odezwał się major.

- Kreiner był dla generała jak gdyby zaworem bezpieczeństwa.

- Zaworem bezpieczeństwa?

- Dzięki niemu generał wyładowywał wszystkie swoje olbrzymie stesy. Kreiner rozpoznawał objawy „przegrzania” i wiedział, co robić. Zauważyłem dzisiaj te objawy - musi pan być przygotowany do działania. - Członkowie sztabu znali Hansa Beckmanna bardzo, bardzo dobrze.

- Do działania? To znaczy, co mam robić?

Major popatrzył MacKayowi w twarz.

- Chodzi mi o przesłuchanie. Cokolwiek pan zrobi, rozładuje to jego napięcie. Nieważne, kogo pan będzie przesłuchiwał, jak, ani w jakiej sprawie.

O drugiej po południu zadzwoniono z ambasady amerykańskiej. Ambasador Stanów Zjednoczonych chciał rozmawiać z Hansem Beckmannem. Ponieważ uważano ich za przyjaciół, połączono go. Ambasador zwrócił się do generała w sprawie Elizabeth Gordon. Jej sieć telewizyjna wywierała naciski na Departament Stanu. Opowiadali jakieś nonsensy, że podobno jest przetrzymywana w bazie wbrew swojej woli, czy coś takiego... Może generał jest w stanie rozwiązać ten problem, biorąc pod uwagę, że panna Gordon zrealizowała kilka reportaży, w których przedstawiła Żelazną Gwardię w jak najlepszym świetle?

Beckmann zapewnił ambasadora, że zajmie się sprawą. Przed rozłączeniem się wymienili jeszcze zwyczajowe uprzejmości. Następnie generał zadzwonił natychmiast do szefa bezpieczeństwa.

- Proszę tu przyjść razem z MacKayem - rozkazał.

Pułkownik przysłuchiwał się dyskusji Beckmanna i majora nad telefonem ambasadora.

- Wypuścimy je - powiedział w końcu.

- On nie wie, że dziennikarki zorientowały się co do Shivuto - wyjaśnił szef bezpieczeństwa, posługując się *afrikaans*.

Generał odpowiedział mu w tym samym języku:

- Odnaleźliśmy kasetę wideo, która mogłaby stanowić dowód na to i skasowaliśmy ją. Nic więcej nie mają, więc niech sobie teraz skarżą. - Popatrzył na Johna. - Jak mogę usprawiedliwić przetrzymywanie tych reporterek przez tydzień? - zapytał po angielsku.

MacKay zastanowił się.

- Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy w ich bagażach narkotyki i że przeprowadzaliśmy śledztwo. Trzeba sfabrykować dowody i przekazać dziennikarki amerykańskiemu ambasadorowi, w geście dobrej woli; pod warunkiem, że natychmiast opuszczą terytorium RPA.

- Ale ciągle pozostaną... tego... wrogie nam i będą sprawiać kłopoty - zaproponował major.

Beckmann uśmiechnął się, zadowolony, że wpadł na rozwiązanie problemu.

- Nie będą, jeśli zatrzymam tu kamerzystkę - oznajmił. - W ten sposób zapewnię dobrą wolę panny Gordon.

- Jak możemy wypuścić Gordon, a tej drugiej nie? - MacKay zaprotestował, żałując, że poddał generałowi pomysł z narkotykami. Trzeba ciągle uważać! - skarcił się w myśli.

- Mamy surowe prawa antynarkotykowe - oznajmił Beckmann. -

Przeszukamy jej bagaż i odkryjemy w nim dużą ilość heroiny albo kokainy. Na przykład kilo heroiny - powiedział, nie mrugnawszy okiem.

- Posiadanie takiej ilości to bardzo poważna sprawa - zauważył szef bezpieczeństwa.

- Znam nasze prawa - odpowiedział spokojnie generał. - I moim obowiązkiem jest troska, aby się do nich stosowano.

- Dlaczego znowu musimy czekać? - myślała Elizabeth, chodząc wokół samochodu. Przyniesiono i załadowano do wozu tylko jej bagaże. Natomiast Sam i jej bagaże i sprzęt były jeszcze w budynku. W pewnej chwili z rezydencji dla gości wyszedł jakiś major.

- Może pani jechać, panno Gordon; z panną Darnell jest jednak problem. W jej walizce została znaleziona heroina - powiedział.

- Co takiego? - zaprotestowała. - Proszę nie opowiadać głupstw. Ona nie zażywa narkotyków.

Podjechał jakiś inny samochód i wysiadł z niego wysoki Murzyn z brodą. Podszedł do Liz i oddał jej kasety wideo, które skonfiskowała i zniszczyła wcześniej Żelazna Gwardia. Odezwał się cicho:

- Panno Gordon, nazywam się MacKay. Generał Beckmann oddaje pani kasety i przesyła pozdrowienia. Radziłbym pani, żeby pani natychmiast wyjechała.

- Nigdzie nie pojedę bez Sam - odparła, zabierając kasety.

- Jeśli chce pani jej pomóc, bardziej uda się to pani w Kapsztadzie niż tutaj. Sugerowałbym skontaktowanie się z amerykańskim konsulatem.

- Czy pan jest Amerykaninem? - zapytała Elizabeth. MacKay

skinął głową. - Co z nią zrobicie?

- Na razie będzie podlegać aresztowi domowemu; na czas trwania śledztwa - odpowiedział. Spojrzał twardo na reporterkę. - Dobre sprawowanie może jej pomóc.

- A o co jest oskarżona?

John westchnął w duchu. Najwyraźniej go nie słuchała.

- O posiadanie niedozwolonych substancji.

- Jaka jej grozi kara? - rzuciła. Była przekonana, że cała sprawa została sfingowana po to, żeby uzyskać odpowiednio wysoką łapówkę. Prowadzenie interesów w Afryce opierało się przede wszystkim na łapówkach. - Czy mogę zapłacić panu karę, żebyśmy mogły wyjechać? - uściśliła propozycję.

- Odnaleziono ponad kilogram heroiny. Za handel narkotykami w *Boerstaat* nie stosuje się kar pieniężnych.

- Sam nie handluje narkotykami. - Oczy dziennikarki rozszerzyły się. - A jakie kary się stosuje?

- Wiesza się - wyjaśnił MacKay. - Jestem jednak pewien, że generał Beckmann weźmie pod uwagę dobre sprawowanie - pani dobre sprawowanie. Muszę już iść. - Mam nadzieję, że słuchałaś - pomyślał. Odszedł do swojego wozu i pojechał w stronę bramy. Musiał spotkać się z „chłopcami” i sam trochę posłuchać.

Kiedy MacKay wrócił ze spotkania z agentkami, zachodziło już słońce. A on cały czas rozważał to, co miał zrobić w ciągu następnych dwunastu godzin. Strażnik przy bramie przesunął jego kartę identyfikacyjną przez czytnik i oznajmił:

- Wiadomość dla pana. Ma pan się udać do budynku

bezpieczeństwa.

Pułkownik podziękował i ruszył dalej. Co teraz? - pomyślał. Mam zadania do wykonania. Poczul, że przyspiesza mu puls. Zachowaj zimną krew - mówił do siebie. Masz jeszcze mnóstwo czasu. Poza tym, skoro zająłem stanowisko Kreinera, mogę pojechać do domu Slavina, kiedy tylko będę chciał. Zaczął oddychać trochę spokojniej, ponieważ wszyscy byli na właściwych miejscach. Wszyscy, oprócz niego...

Jakiś sierżant czekał na niego przy wejściu do budynku bezpieczeństwa.

- Generał Beckmann czeka na pana w pokoju przesłuchań - oznajmił.

MacKay ruszył pospiesznie długim korytarzem, wiodącym do klatki schodowej. Beckmann znajdował się w dole. Dwaj uzbrojeni strażnicy trzymali się w odpowiedniej odległości od Johna. Jego wyczyny stały się słynne, więc uważali, żeby nie popełnić żadnych błędów.

Generał bez słowa wprowadził MacKaya do pokoju przesłuchań. Pułkownik zamarł.

- A może zjemy razem obiad, zanim ją przesłucham? - odezwał się spokojnie. Chciał jakoś zebrać myśli i zyskać choć odrobinę czasu.

Ku jego zdziwieniu, Beckmann przystał na propozycję. Uśmiechnął się.

- Co za wspaniały pomysł - powiedział. - Kreiner nigdy nie wpadłby na coś takiego.

**Czwartek, 23 kwietnia**



## **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

W sali wywiadu był tłok. Stuart prowadził odprawę. Piloci spodziewali się, że będzie w niej brał udział Pontowski, ale widok de Royera i Boucharda ich zaskoczył. W miarę trwania odprawy stało się jasne, dlaczego Bouchard jest obecny. Matt siedział wygodnie i słuchał, szukając w planie operacji ewentualnych niedociągnięć. Wydawało się jednak, że „Robal” uwzględnił wszystko. Uda się. Kapitan zakończył odprawę tradycyjnym:

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. Są pytania?

Walderman podniósł rękę i spytał meteorologa, czy dokonał szczegółowej analizy klimatologicznej rejonu działań. Synoptyk spojrział na niego z politowaniem i zapewnił, że tak. „Waldo” uczeplił się jednak tego zagadnienia. Meteorolog pokręcił głową.

- Według prognozy niebo będzie zupełnie bezchmurne - powiedział. - Nie ma się o co martwić.

Na rozkaz „Robala” piloci stanęli na baczność. De Royer wstał i wyszedł.

Lydia zbliżyła się z kilkoma pilotami A-10 do makiety Żelaznych Wrót.

- To bułka z masłem - skwitowała. Piloci byli tego samego zdania.

„Waldo” tymczasem stał w kącie i dyskutował zawzięcie z synoptykiem, przewracając kartki segregatora.

- Robi pan zamieszanie o nic! - powiedział w końcu meteorolog i zatrzasnął segregator.

- Daj spokój - odezwał się „Robal” do Waldermana. - Czas iść w kimono. Jutro będzie wielki dzień.

Słuszna uwaga - pomyślał Matt. Wyszedł z COIC i wrócił do swojej kwatery, żeby dobrze wypocząć. Przed pójściem spać zadzwonił jeszcze do synka; rozmawiali przez parę minut.

Zakończono załadunek C-130, podniesiono rampę. Z autobusu wysiadło sześcioro pasażerów w jasnobrązowych mundurach. Dowódca ładowni poinformował ich o tym, o czym zawsze informuje się pasażerów, a Lydia Kowalski zajęła lewy fotel w kabinie pilotów. Nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek się spieszył; był to z pozoru jeszcze jeden zwykły, wieczorny przewóz ładunków. Pasażerowie wspięli się na pokład; śmigło numer 3 zaczęło się obracać.

Bouchard i jego grupa podeszli do pierwszej palety towarowej i otworzyli kontener. Sześciu mężczyzn zaczęło wyciągać z niego sprzęt. Zrzucili mundury i szybko przebrali się w kombinezony.

## **Czwartek, 23 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloerafontein**

Oficer nadzoru obrony powietrznej siedział w bunkrze dowodzenia znajdującym się u stóp samotnej skały, która wyrastała na sto pięćdziesiąt metrów ponad dno doliny, na południowym krańcu bazy. Wysoko ponad nim, na dachu bunkra obserwacyjnego, zajmującego płaski szczyt Orlego Gniazda, kręciła się antena radarowa, omiatająca horyzont co dwanaście sekund. Na ekranie przed oczyma oficera znajdował się jednak tylko jeden obiekt. Oficer sięgnął po komputerową mysz i najechał kursorem na jasny punkt. Wcisnął klawisz. Na ekranie ukazały się cyfry i litery identyfikujące cel. Leciał C-130 sił ONZ; był to rutynowy lot z Kapsztadu do

Johannesburga. Znajdował się w korytarzu powietrznym i pasował do zwykłych godzin lotów.

Oficer nacisnął jednak guzik interkomu i zadzwonił do dowódcy taktycznego, opisując mu sytuację.

- Czy atak na Azanianów nie zaczął się czasem w podobny sposób?
- Zawiadomię generała - zdecydował dowódca taktyczny.

Beckmann wszedł do bunkra dowodzenia razem z MacKayem, siedem minut później. Był w pogodnym nastroju.

- No cóż - odezwał się - przerwaliście mi najprzyjemniejszy obiad pod słońcem. - Klepnął dowódcę taktycznego w ramię. Oficer nadzoru, obsługujący radar, wytłumaczył, o co chodzi, i pokazał świecący punkt. MacKay przyjrzał mu się i nic nie powiedział.

- Co pan o tym sądzi? - spytał go Beckmann.

- To rutynowy lot transportowy do Johannesburga - odpowiedział pułkownik.

- Kiedy zaatakowano Azanianów, w pobliżu także znajdował się samolot - zauważył oficer taktyczny.

- To ja wypytywałem tego Azanianina i dowiedziałem się, co się stało - przypomniał MacKay. - Tamten samolot zachowywał się podejrzanie; prawdopodobnie było to latające stanowisko dowodzenia. A to jest C-130 wykonujący rutynowy transport ładunków. Wyląduje w Johannesburgu, zostanie tam rozładowany i mniej więcej za dwie godziny będzie wracał, tym samym korytarzem, w stronę Kapsztadu. - Wyjaśnienie zadowoliło wszystkich. Muszę zajmować czymś Beckmanna przez cały czas - pomyślał pułkownik. Jeśli nie, będzie chciał zejść na przesłuchanie. Jak długo zdołam go powstrzymać?

John zerknął na wiszący na ścianie zegar i powtórzył sobie rozkład wydarzeń, jakie miały nastąpić, przekazany mu przez „chłopców”. Dorzucił do tego to, co sam wiedział o Żelaznej Gwardii. W jego umyśle powstał spójny plan.

- Panie generale - powiedział - to znakomita okazja, żeby przetestować system. Proponuję, żeby zarządził pan alarm, zwołał naradę bitewną i przygotował bazę do obrony.

- Jak długo to by potrwało? - spytał Beckmann, pamiętając o przyjemnościach, które musiałby odłożyć.

- Przynajmniej do powrotu tego C-130. - Dodał półgłosem: - Co to są dwie godziny? Alarm da mi możliwość dokonania oceny, zachowania pańskich ludzi i dzięki temu zorientowania się, co jeszcze należałoby udoskonalić. A tak poza tym - po co ryzykować, nawet w najmniejszym stopniu? - I jeszcze ciszej: -A dziewczyna nigdzie nie ucieknie. Może pan dłużej cieszyć się myślą o przesłuchaniu, które nadejdzie.

Oczy Beckmanna wyjaśniały.

- Zarządzić alarm! - rozkazał. MacKay wymyślił coś nowego - długie oczekiwanie na ostateczną przyjemność, która z całkowitą pewnością miała spotkać generała po alarmie. Delektował się więc tym oczekiwaniem. Ponadto MacKay miał rację: po co ryzykować?

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Okolice Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Kiedy C-130 wracał z Johannesburga, kierując się ku Kapsztadowi, było parę minut po drugiej w nocy.

- Kontrola tlenowa - rozkazała Lydia Kowalski, stłumionym przez

maskę głosem. Załoga zameldowała się kolejno. - Rozhermetyzować samolot. - Mechanik sięgnął do umieszczonego na tablicy nad głową przełącznika i po chwili w kabinie rozległ się syk. - Opuścić rampę.

- Zimno tam - zauważył dowódca ładowni.
- To nie potrwa długo - odparła Lydia, zwalniając maszynę.
- Jedna minuta - odezwał się nawigator.
- Czerwone światło zapalone - powiedział drugi pilot.
- Skoczkowie są na rampie - stwierdził dowódca ładowni. Czekali.

Nawigator rozpoczął odliczanie:

- Gotowi, gotowi, gotowi - zielone!

Bouchard zrobił krok w ciemność i zniknął. Za nim podążyło pięciu skoczków.

- Zrzut zakończony - oznajmił dowódca ładowni. Kowalski dała maksymalny gaz.

- Zamknąć samolot i przywrócić normalne ciśnienie - rozkazała.

Dowódca ładowni wrócił do kabiny, zabijając ręce.

- Mało nie zamarłem - powiedział.
- Wracajmy do domu - odparła Kowalski.

Sześciu spadochroniarzy zbliżało się do położonych o trzydzieści kilometrów w bok Żelaznych Wrót.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

- Gdzie jest MacKay? - spytał Beckmann.

Członkowie jego sztabu bitewnego rozejrzeli się po bunkrze dowodzenia. Amerykanin gdzieś zniknął. Na pytanie generała odpowiedział jakiś sierżant:

- Pan MacKay jeździ po bazie i sprawdza, jak ludzie wprowadzają w życie alarm.

Beckmann wstał.

- Odwołać alarm i powrócić do normalnej gotowości - rozkazał. Wyszedł z bunkra, pozostawiając na chwilę za sobą stukot obcasów.

Ludzie w bunkrze odetchnęli. Oficerowie opadli na oparcia foteli, wyczerpani długimi ćwiczeniami.

- Ponad sześć godzin! - mruknął jeden z *kommandantów*. Alarm trwał tak długo, ponieważ dopiero teraz przeleciał C-130, wracający do Kapsztadu. MacKay zapowiedział zaledwie dwie godziny...

Pułkownik stał pod drzewem, koło placu zabaw. Z krótkofalówki rozległy się liczne komendy - odwoływano alarm. Teraz siły bezpieczeństwa będą najmniej czujne. W budynkach zaczęły zapalać się światła. Mężczyźni powracali do swoich rodzin. John wcisnął przycisk nadajnika:

- *Generaal*, jak pan mnie słyszy?

Beckmann odpowiedział, że głośno i wyraźnie.

- Tutaj sytuacja wyglądała po prostu fatalnie, panie generale.

Nastąpiła długa przerwa.

- Naprawdę? Proszę złożyć mi raport w pokoju przesłuchań.

MacKay zacisnął mocno krótkofalówkę.

- Przewidywany czas przybycia dwadzieścia minut - powiedział.

Stał i czekał. Dwukrotnie krótkofalówka odezwała się - przekazywano mu, że ma spotkać się z generałem w pokoju przesłuchań.

- Potwierdzam - odpowiadał za każdym razem, ale nie podawał

swojego położenia. Beckmann zaczynał się niecierpliwić. Tym razem wzywał go major - dowódca bezpieczeństwa, dokładnie w chwili, kiedy na plac zabaw spadł pierwszy cień.

Bouchard położył spadochron.

- Tu jestem! - odezwał się MacKay. Lądował drugi skoczek. Bouchard pozbierał swój spadochron i podszedł do drzewa, uginając się pod prawie siedemdziesięcioma kilogramami sprzętu.

Major wzywał go znowu, ale John wyłączył krótkofalówkę. Na ziemi było już wszystkich sześciu skoczków. MacKay poprowadził ich do domu Slavina.

Itzig Slavin czekał przy drzwiach domu z wygaszonymi światłami. Skinął na nadchodzących mężczyzn, żeby weszli. Żona naukowca bez słowa wprowadziła ich do jadalni i wskazała palcem na maleńki mikrofon podsłuchu. Bouchard przykrył go małym, czarnym pudełkiem. Teraz technik śledzący, co dzieje się w domu, będzie słyszał tylko odgłosy, jakie wydaje śpiąca rodzina; aż do czasu wyczerpania się baterii. Jeden z legionistów obszedł razem ze Slavinem dom, przykrywając w ten sam sposób jeszcze pięć mikrofonów. Następnie legionista przeszedł po domu z różdżką, szukając zaburzeń magnetycznych i odkrył kolejne dwa mikrofony. Te także zneutralizował. Teraz mogli już rozmawiać.

- Gdzie jest Ziba? - spytał Slavin.

- Beckmann ją aresztował - wyjaśnił MacKay poważnie. Spojrzał na zegarek. - Muszę już iść. Panie pułkowniku, niech pan pilnuje tu domu. Może nadejść jeszcze inna kobieta, Samantha Darnell.

- Znam ją - poinformował Bouchard.

John pobiegł w noc. Jak długo zdoła odwlec przesłuchanie?

Kiedy MacKay wpadł do pokoju przesłuchań, dwaj strażnicy rozstąpili się, żeby w razie czego kryć się wzajemnie.

- Teraz! - powiedział bez żadnych wstępów Beckmann.

- *Generaal*, są problemy, których nie można odkładać! - oznajmił John.

Improwizował, próbując zyskać na czasie.

Beckmann milczał przez całe dziesięć sekund.

- Naprawdę? - upewnił się w końcu.

- Panie generale, przecież płaci mi pan za to, żebym mówił panu prawdę. Czasami prawda to tylko przeczucie. Czuję w kościach, że coś tu się dzieje. Jeszcze nie wiem co, ale są ludzie, którzy mogą się tego dowiedzieć. Trzeba się do nich natychmiast zwrócić.

Beckmann zastanowił się nad słowami MacKaya. Zawsze był dumny z tego, że jest człowiekiem zdyscyplinowanym - przede wszystkim wypełniał obowiązki.

- Kogo ma pan na myśli? - spytał.

- Oficera wywiadu. - Generał skinął głową i zadzwonił do szefa wywiadu. Przekazał słuchawkę Johnowi. Co teraz? - pomyślał MacKay. Poczul zimny dreszcz. Skończył mu się czas. Będzie musiał zabić Beckmanna. Niestety, dwaj strażnicy, stojący przy ścianie, zastrzelą w odpowiedzi jego. I Zibę.

Trzymał słuchawkę, czując już ciepły dotyk dłoni generała. Z desperacji wyrzucił z siebie pierwsze zdanie, jakie przyszło mu do głowy:

- Jaki jest obecny stan bazy Ysterplaat?



Beckmann gapił się na niego w zdumieniu,

- Skąd pan wie, że obserwujemy bazę? - zapytał w końcu.

- To raczej oczywiste, że ktoś powinien śledzić, co się tam dzieje - odpowiedział, nie tracąc rezonu, John.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Autobus dowożący załogi zatrzymał się przed herculesem, stojącym na płycie lotniska. Z pojazdu wysiadło piętnaście osób i zbliżyło się do czekającego samolotu. Ustawili się w kolejce i po kolei zaprezentowali wartownikowi, stojącemu przy drzwiach dla załogi, swoje identyfikatory. Sprawdzał nazwiska wszystkich na liście i dopiero wówczas wpuszczał ich kolejno na pokład.

Każdy z nich, znalazłszy się wewnątrz, skręcał w prawo i przechodził przez aluminiowe drzwi oddzielające kabinę pilotów od ładowni. Po zamknięciu drzwi na zamek, do kabiny wsiadło dwóch pilotów, nawigator i mechanik pokładowy.

Pontowski robił właśnie przegląd samolotu, kiedy na pas zaczął kołować Compass Call EC-130H. Pułkownik podniósł wzrok, zanotował godzinę i kontynuował przygotowanie do lotu. Poza dwoma zewnętrznymi zbiornikami z paliwem, jego A-10 został dziś wyposażony tylko w dwie rakiety sidewinder na zaczepie numer jeden - tym, który jest wysunięty najbardziej na prawo - i małą gondolę o symbolu AN/ALQ-131 ECM na zaczepie jedenastym - skrajnym lewym. Matt miał nadzieję, że nie będzie musiał używać ani jednego, ani drugiego.

Odpooczywał psychicznie, spacerując. Wystartował EC-130H. Byłby to idealny czas na papierosa - gdyby Pontowski palił. Ponieważ nie palił, patrzył na migające światełko na kadłubie herculesa, aż rozplynęło się w ciemności.

Nie znam tych ludzi - pomyślał.

Do Matta dołączył „Waldo”. On także chciał się uspokoić i skoncentrować przed lotem. W końcu zapiął kombinezon, popatrzył na zegarek i powiedział:

- Czas na nas, szefie.

Pułkownik wspiął się po drabince do kabiny i usiadł w twardym i zimnym fotelu. Tym razem nie miał już kłopotów z kontrolą przedstartową. Spojrzał na zegarek - zostało mu jeszcze jedenaście minut do chwili uruchomienia silników.

Czekał.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Ocean Indyjski**

**USS „Oklahoma City” (SSN-723)**

- Odebrałem rozkaz! - powiedział kapitan. Poczł gwałtowny przyplływ adrenaliny. Niewielu ludzi, bardzo niewielu, dysponowało tak potężną bronią, jaką oddano mu pod nadzór. W ciągu następnych paru minut wszystko, do czego przez tyle lat się przygotowywał, dla czego pracował, zostanie spełnione. Wcale nie tak, jak sobie wyobrażał, czy jak by chciał. Gdyby miał wybór, wołałby uderzyć na rosyjski okręt podwodny klasy „Akula”, przenoszący broń jądrową. Wtedy on i jego ludzie daliby z siebie to, na co ich stać, aby zniszczyć najstraszliwszego przeciwnika, jakiego

można sobie wyobrazić. Jednak nie to miało się teraz zdarzyć.

- Zmniejszyć zanurzenie do osiemnastu metrów - polecił. - Okręt podniósł się z głębiny. - Zwolnić do sześciu węzłów. - W tym samym czasie ostatnie dane były ładowane do

komputerów nawigacyjnych dwunastu rakiet samosterujących tomahawk. Były one odpalane w systemie VLS, czyli pionowym; ich wyrzutnie znajdowały się na dziobie okrętu. - Peryskop w górę! - Lustro wody przebiła końcówka peryskopu; wzniosła się na trzy i pół metra nad powierzchnią. Kapitan omiótł spojrzeniem horyzont. Nic się nie działo, ocean był spokojny. - Peryskop w dół.

- Przełączyć wyrzutnie VLS w stan pełnej gotowości. - Rozległ się cichy pomruk głosów marynarzy, zapewniających, że system został uruchomiony. W sterówce narastało napięcie; wszyscy czekali na ostateczny rozkaz kapitana.

- Peryskop w górę. - Kapitan ostatni raz sprawdził na wszelki wypadek, czy nie ma żadnego zagrożenia. - Peryskop w dół. - Spojrzał jeszcze na wiszący na przegrodzie naprzeciw niego chronometr.

- Odpalić rakiety.

Okręt wyskoczył spod wody, osiągając wpisane uprzednio do komputerów rakiet współrzędne startowe. Rozległ się głośny metaliczny brzęk - otworzyła się pokrywa pierwszej wyrzutni; następnie huknął raketowy silnik; wreszcie pusta wyrzutnia została zalana bulgoczącą wodą i zadźwięczała zamykana pokrywa. Hałasy powtórzyły się jeszcze jedenaście razy. Dwanaście tomahawków poleciało w górę.

Tak jak wszystkie okręty podwodne, „Oklahoma City” była cichą

jednostką pływającą - hałas bowiem mógł zdradzić nieprzyjacielowi jej położenie i stać się przyczyną katastrofy. Teraz jednak zapadła wyjątkowa cisza - milczenie bestii, która odpoczywa po zadaniu ciosu. Kapitan spojrzał na pierwszego oficera.

- Zdaję panu kiosk - powiedział.

Nagle dowódca okrętu poczuł się zmęczony, jak gdyby w jednej chwili utracił siły. Poczuł dziwną pustką wokół siebie. Stał jak odrętwiały, zastanawiając się, ile osób zabije za niecałe dwie godziny.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Lesoto**

Na wschód od Bloemfontein wyniesienie terenu nad poziom morza stopniowo wzrasta. Wraz ze wzrostem wysokości klimat półpustynny zamienia się w kontynentalny umiarkowany. Jesienią i wiosną nad wzgórza Lesoto napływa zwykle łagodnie powietrze z zachodu. Jeśli wilgotność i temperatura masy powietrza są odpowiednie, zmiana wysokości powoduje ochłodzenie się powietrza aż do osiągnięcia punktu rosy. W przypadku, gdy prędkość wiatru nie przekracza ośmiu kilometrów na godzinę, powstaje w wyniku tego mgła, wypełniająca doliny.

Jeżeli natomiast prędkość wiatru wynosi od ośmiu do trzynastu kilometrów na godzinę, mgła zostaje wypchnięta z dolin Lesoto i tworzy długie pasmo, ciągnące się wzdłuż zachodnich zboczy wzgórz.

24 kwietnia, o godzinie 4:05, niebo było spokojne. Mgła podniosła się z dolin i utworzyła pasmo długie na sto pięćdziesiąt kilometrów i

szerokie na czterdzieści pięć, redukując widoczność w przykrywanym przez nią obszarze niemal do zera. Jednak tego dnia mgła była szczególna. Temperatura wahała się koło zera i w powietrzu utworzyły się drobniutkie kryształki lodu.

Tysiąc kilometrów na południowy zachód od tego rejonu, z bazy lotniczej Ysterplaat wystartował A-10. Dwadzieścia sekund po nim w powietrze wzniósł się drugi.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Pustynia Jeden, Lesoto**

„Robal” stał na płycie lotniska i palił cygaro. Patrzył, jak cztery pumy startują i odlatują w panującą jeszcze ciemność. Cholera jasna, zimno - pomyślał. Meteorolog nic nie mówił o tym, że temperatura może być aż tak niska. Kapitan zgasił wypalone do połowy cygaro, podszedł do swojej „Świni”, poklepał wiszące na zaczepie trzecim trzy bomby Mark-82 Air i wspiął się do kabiny.

Z tej wysokości spojrzął na dziesięć stojących w szeregu myśliwców. Każdy z nich miał pod skrzydłami bomby Mark-82 Air, a także CBU. Zadaniem A-10 będzie dokończenie dzieła zniszczenia - zlikwidowanie tego, co pozostanie po tomahawkach. Jednocześnie myśliwce mają odciąć nieprzyjaciela od mieszkalnej części bazy. Trzy z pum wysadzą komandosów na zewnątrz głównej bramy. Legioniści wystrzelą w bramę kilka pocisków z moździerza, będą niszczyć ewentualne pojazdy pojawiające się na drodze i posłużą jako przynęta dla wroga; następnie wycofają się. Podczas zamieszania spowodowanego ich obecnością ludzie Boucharda będą musieli zabezpieczyć strefę lądowania, wezwać czwarty śmigłowiec i

odlecieć wraz ze Slavinem i jego rodziną.

Pontowski razem z „Waldo” mieli osłaniać Compass Call EC-130 przed ewentualnymi Aero. Przede wszystkim zaś pułkownik będzie z powietrza dowodził akcją. Aero nie powinny się pojawić, jeśli tomahawki zrobią to, co zaplanowano.

Zaskoczenie to wspaniała rzecz - pomyślał „Robal”, sadowiąc się w fotelu.

W dwanaście minut po starcie pierwszy ze śmigłowców wleciał w pas mgły. Pilot przeszedł na orientację według przyrządów, zaś drugi pilot pełnił rolę nawigatora, posługując się nowym odbiornikiem GPS, zainstalowanym przez Amerykanów. Na przedniej szybie zaczął pojawiać się szron, pilot podniósł więc maszynę o trzydzieści metrów. Jednak jego antyradar - także amerykański prezent - ostrzegł, że znalazł się w zasięgu wiązki radaru nieprzyjaciela. Natychmiast opadł z powrotem.

- Bardzo mi się to nie podoba!... - mruknął ostrzegawczo do drugiego pilota. Pocił się, mimo że było bardzo zimno.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

- Raport stanu bazy z Kapsztadu pochodzi sprzed ośmiu godzin - powiedział MacKay Beckmannowi.

- To nic nadzwyczajnego - odparł generał. - To znaczy, że od chwili nadania raportu nie nastąpiła żadna zauważalna zmiana.

- Jaki był ostatni stan bazy Ysterplaat? - zapytał pułkownik przez telefon. Wysłuchał odpowiedzi. - *Generaal*, wyleciały wszystkie

śmigłowce, przynajmniej połowa A-10; pojawił się natomiast piąty hercules.

- Wiem o tym - skwitował Beckmann. - Amerykanie przeprowadzają jakieś ćwiczenia. Ich dowódca to prawdziwy fanatyk ćwiczeń.

John chodził po pokoju, starając się nie myśleć o Zibie, która cały czas siedziała na stole w pokoju przesłuchań. Spojrzał na zegarek. Już zaraz - pomyślał. Jeszcze trochę.

- Panie generale, czy istnieją jakieś inne źródła, które może pan sprawdzić? - zapytał.

Beckmann zastanowił się. MacKay nie jest głupi; myśli jak prawdziwy Amerykanin.

- Zatelefonuję w jedno miejsce. Niech pan tu zaczeka. - Powiedział coś po cichu strażnikom i wyszedł.

Nie trać nerwów - powtarzał sobie pułkownik. - Zajmuj go dalej. Ponownie popatrzył na zegarek i usiadł koło dwóch Afrykanerów.

- Gracie w pokera, chłopaki? - rzucił.

Obaj pokręcili przecząco głowami.

Byli już zmęczeni pilnowaniem kobiety, ale nie przestaną czuwać. John rozdał karty sam sobie.

Grał właśnie drugie rozdanie, kiedy zadzwonił telefon. MacKay ma udać się do bunkra dowodzenia. Rzucił karty i pobiegł w górę po schodach. Słyszał z zewnątrz odgłosy startujących odrzutowców.

W bunkrze dowodzenia Beckmann rozmawiał z szefem wywiadu i oficerem operacji powietrznych.

- Miał pan rację - powiedział generał, zobaczywszy MacKaya. - W bazie dzieją się dziwne rzeczy. Godzinę temu wystartował C-130 i

dwa A-10.

- To za mało, żeby było się czym martwić - próbował uspokoić go oficer wywiadu.

- Ale gdzie są pozostałe samoloty? - zauważył oficer operacyjny.

- Amerykanie lubią atakować obiekty o największym znaczeniu militarnym. Dlatego też podrywam w powietrze Aero - oznajmił - żeby nie zostały przypadkiem zniszczone na ziemi.

- Przy okazji mogą zestrzelić ewentualnych intruzów - dodał oficer operacji powietrznych.

MacKay źle się poczuł. Nie przyszło mu do głowy, że Beckmann może kazać wystartować swoim myśliwcom. Dokładnie obliczony plan wydarzeń, który przekazały Johnowi „chłopcy”, sypał się z powodu jego nieprzemyślanych pomysłów. Musiał dotrzeć natychmiast do domu Slavina i przekazać ostrzeżenie.

- *Generaal!* - odezwał się jakiś głos. - Dowódca taktyczny melduje, że na radarze widać wiele obiektów zbliżających się do nas! - Beckmann podbiegł do monitora. MacKay ruszył ku wyjściu, mając nadzieję, że nikt go nie zauważy.

Nagle rozległ się głośny, głęboki brzęk - w wejściu do bunkra zamknęły się potężne drzwi przeciwbombowe. John został zamknięty w środku.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Richard Davis Standard golił się, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ponieważ był człowiekiem przezornym, złapał pistolet maszynowy Glock kaliber 9 mm, jaki nosił przy sobie w mieszkaniu i



podbiegł do monitora, pokazującego obraz przed domem. Odetchnął z ulgą. Przybyły dwie z „chłopców” - te, które pilnowały aparatu do podsłuchiwania rozmów. Otworzył drzwi. Kobiety wpadły do środka.

- Posłuchaj tego - odezwała się jedna, włączając trzymany w rękę magnetofon.

Standard wytarł z twarzy resztę kremu.

- Cholera jasna - powiedział.

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

**Piątek, 24 kwietnia**

**Okolice Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Pierwszy z tomahawków leciał pogrążoną we mgle doliną. Niemal zupełny brak widoczności nie przeszkadzał mu. Kierował się prosto ku wysokiemu wzgórzu. Wprawdzie „Oklahoma City” nie posiadała na pokładzie aż tak dokładnej bazy danych, żeby wpisać w komputer nawigacyjny rakiety szczegóły terenowe okolic Bloemfontein, jednak pracował system oparty na odbiorniku GPS, korygując kurs. Teraz rakietę skręciła odrobinę w prawo i wzniosła się, przelatując nad krawędzią stromego wzgórza. Sygnał z komputera uzbroił głowicę o masie czterystu pięćdziesięciu kilogramów. Tomahawk zniżył się z powrotem na wysokość sześćdziesięciu metrów.

Włączyła się cyfrowa kamera. Komputer zaczął dopasowywać widziany przez nią obraz do wgranego do pamięci obrazu celu. Rakietę skręciła ostro, przeleciała nad główną bramą bazy i zaczęła posuwać się pomiędzy dwoma stromymi zboczami ograniczającymi

dolinę, kierując się ku Orlemu Gniazdu. Cztery baterie przeciwlotniczych „Bliźniaków”, zainstalowane na wierzchołkach wzgórz, były opuszczone. Przy piątej i szóstej znajdowali się jednak jeszcze ludzie - rozzłoszczony dowódca obrony powietrznej kazał im tam zostać za karę, ponieważ za późno znaleźli się na swoich posterunkach podczas próbnego alarmu. Celowniczy otworzyli ogień w kierunku mknącego tomahawka. Nieskończenie odważna rakietka zlekceważyła jednak przelatujące obok niej pociski; celowała spokojnie w Orle Gniazdo. Obrazy z pamięci komputera i z kamery pasowały do siebie jak ulał.

Antena radarowa była skierowana prosto ku nadlatującej rakiecie, kiedy ta uderzyła w Orle Gniazdo i pozbawiła Żelazną Gwardię radarowych oczu.

Pilot prowadzący pierwszą pumę walczył z paniką. Jeszcze nigdy w życiu nie leciał tak nisko przez tak długi czas, opierając się jedynie na wskazaniach przyrządów. Teren, nad jakim się znajdowali, był pagórkowaty. Spojrzał na oblodzoną przednią szybę. Znajdował się w chmurze kryształków lodu. Czuł poprzez stery, że maszyna staje się coraz cięższa, coraz bardziej oblodzona. Pot ściekał mu po twarzy.

- Za chwilę będzie po nas! - krzyknął.

- Wznies się! - krzyknął drugi pilot. Oblodzony śmigłowiec powoli zaczął zwiększać wysokość. Tym razem jednak antyradar niczego już nie wykrył. Śmigłowiec wyskoczył z mgły i piloci odetchnęli z ulgą. Za nimi pojawiły się dwie następne pumy. Wyłoniła się i czwarta, ledwie unosząc się nad lodowatą chmurą. Lód na przedniej szybie

stopił się i napięcie pilota zelżało. Widział już przed sobą koniec pasa mgły. Dalej powietrze było całkowicie czyste.

- Nurkuj!!! - wrzasnął nagle drugi pilot. Do śmigłowca zbliżał się czeski Aero. Cztery pumy zniknęły z powrotem we mgle.

Było to więcej, niż pilot mógł znieść. Przerwał ciszę radiową niespokojnym:

- Przerywam misję, przerywam misję!

Wybuch pierwszego z tomahawków wybił szyby w oknach rezydencji dla gości. Tylko ciężkie zasłony, zaciągnięte na noc, ochroniły Samanthę przed odłamkami szkła. Wytoczyła się odruchowo z łóżka i rzuciła na podłogę, dysząc z przerażenia. Włożyła jednak buty, ciesząc się, że leżała ubrana; złapała kamerę, wcisnęła w nią nową baterię i wrzuciła zapasową baterię i dwie kasety do zapinanej na pasku saszetki. Mocowała na sobie saszetkę, gdy dom zatrzęsł się od drugiej eksplozji.

Wybiegła na dwór i zobaczyła przelatującego tomahawka, kierującego się ku pasowi startowemu. Podniosła kamerę i zaczęła nagrywać. Rakieta leciała wzdłuż pasa startowego, wypuszczając z wnętrza amunicję rozpraszającą, która niszczyła nawierzchnię pasa. Następnie tomahawk zniżył się i uderzył w hangar, gdzie wybuchł. Sam zaczęła biec z kamerą na ramieniu. Dwukrotnie zatrzymała się, odwracając obiektyw ku pędzącym ciężarówkom. Mikrofon kierunkowy nagrywał dźwięki, dodając, realizmu scenie.

Teraz Samantha skierowała kamerę ku grzbietowi zachodniemu. Wzdłuż wzgórza przelatywał kolejny tomahawk; wysypująca się z niego amunicja niszczyła tym razem baterie przeciwlotnicze i

wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze. Na chwilę pannę Darnell ogarnęła panika. Nie wiedziała, w którą stronę ma biec. Jeszcze jeden tomahawk wbił się w podnóże grzbietu wschodniego. Chcą zniszczyć bunkry z amunicją - pomyślała. Teraz przed jej oczami zniknął w ognistej kuli budynek dowodzenia. Dodała więc do swojej listy celów Beckmanna.

Wtedy zrozumiała. Uderzenie amerykańskich rakiet było jak cięcie chirurgicznego skalpela - absolutnie precyzyjne; mieszkalna część bazy stała nietknięta. Jakaś ciężarówka pędziła przez trawę prostu ku Samancie. Rzuciła się więc ku pobliskim krzakom.

Stuart leciał właśnie nad pasem mgły, kiedy usłyszał z pierwszej pumy pełne napięcia słowa:

- Przerywam misję, przerywam misję! - Jednocześnie zobaczył pierwsze Aero.

- „Bandyci”, „bandyci”! - wrzasnął „Goryl”. Musiał zobaczyć ich chwilą wcześniej.

„Robal” nie wahał się. A-10 musiały pozbyć się swoich ciężkich bomb i zbiorników z paliwem, gdyż inaczej staną się dla Aero łatwymi celami.

- Balast za burzę, balast za burzę! - zawołał. Z dziesięciu „Świń” posypały się bomby i zbiorniki z paliwem, znikając we mgle. „Robal” włączył celownik powietrze-powietrze i skierował się przeciw pierwszemu wrogowi, jakiego zobaczył. Miał ochotę przenieść walkę tuż nad powierzchnię ziemi; jednak mgła uniemożliwiła to. Ku jego zdumieniu, Aero przeleciało nad nim i pomknęło dalej, jak gdyby pilot go nie zauważył. Widocznie szara farba, jaką pomalowany był

A-10, za słabo odcinała się od mgły.

Moreno jednak nie miał tego szczęścia. Aero skręcił ku niemu.

- „Gorylu”! - krzyknął Stuart. - Uciekaj w lewo!

Compass Call EC-130H krążył spokojnie w odległości trzydziestu kilometrów na zachód od Żelaznych Wrót. Pontowski i Walderman znajdowali się nad nim, tworząc CAP, czyli osłonę myśliwską. Zazwyczaj samolot typu Compass Call chronią F-15 czy F-16 - na pokładzie tej wersji herculesa znajdują się zbyt wartościowi ludzie i zbyt cenny sprzęt, żeby ryzykować utratą maszyny. Jednakże w okolicy nie było żadnych F-15 ani F-16, zatem rolę osłony musiały pełnić „Świnie”.

Nagle w słuchawkach Matta rozległy się głosy jego pilotów, rozpoczynających walkę. Natychmiast ocenił sytuację. Dziesięć dowodzonych przez „Robala” A-10 znajdowało się dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od bazy i pięćdziesiąt pięć kilometrów od niego. Atakowało je przynajmniej dwanaście Aero. Cholera! - zaklął w duchu. Jakim cudem Afrykanerom udało się wystartować?

- Lecimy im pomóc? - zapytał „Waldo”.

Pontowski musiał podjąć trudną decyzję.

- Zostajemy z „Iskierką” - odparł. Był to kryptonim EC-130H, którego osłaniali.

- Dziękujemy - odezwał się nieznany głos z herculesa. „Iskierka” była w stanie śledzić rozmowy radiowe, selekcjonować te, które prowadzili „swoi” i „obcy”, i zagłuszać „obcych”.

- Możecie im pomóc? - spytał Pontowski.

- Już pomagamy - odpowiedział głos. - Piloci Aero właśnie

przestali rozmawiać. „Iskierka” zagłuszała uruchamiane przez wrogich pilotów częstotliwości, nadając im prosto w uszy ogłuszający pisk.

Samoloty Żelaznej Gwardii szykowały się do ataku na A-10 parami, kiedy piloci usłyszeli w słuchawkach przeraźliwy dźwięk, od którego pękały uszy. Dwaj pierwsi zdążyli wyłączyć radia przed walką. Pozostali przełączyli się na częstotliwość zapasową, ale i tu natychmiast odezwał się pisk. Wyłączyli więc nadajniki.

„Iskierka” wyrównała szanse walczących, pozbawiając pilotów Aero możliwości porozumiewania się.

„Robal”, zobaczywszy samolot atakujący „Goryla”, zareagował instynktownie. „Uciekaj w lewo” oznaczało, że Stuart, zgodnie ze starą tradycją pilotów myśliwskich, skieruje dziób samolotu ku dostrzeżonemu „bandycie”. Moreno nie widział atakującej go maszyny.

Teraz już oba A-10 leciały ku Aero na pełnym gazie. „Goryl” zbliżał się ku wrogiemu pilotowi na wprost, „Robal” był na jego „czwartej godzinie” i trochę niżej. Moreno zmienił jednak kurs, żeby nabrać z powrotem wytraconej przy gwałtownym zwrocie prędkości. Wszystkie myśliwce mają optymalny zakres prędkości walki powietrznej, w którym najlepiej manewrują. Niestety, w przypadku A-10 zakres ten jest bardzo wąski.

Powietrzny pojedynek toczy się po części pod wpływem instynktu pilotów, gdyż nie ma dość czasu, aby dokładnie rozważyć następny ruch. Pilot musi posiadać umiejętność selekcjonowania

docierających do jego mózgu informacji i wyboru tych, które są najważniejsze. Musi też nauczyć się natychmiastowego, instynktownego reagowania. Właściwe reakcje można wyćwiczyć podczas długich godzin lotów treningowych i lat doświadczeń. Piloci z krótkim stażem, lub ci, którzy mało latają, giną pierwsi; nie dlatego, że nie znają dobrze pilotażu, ale z powodu niewłaściwych lub niedostatecznie rozwiniętych instynktownych reakcji na bodźce, pojawiające się podczas walki. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, w czasie powietrznego pojedynku czas stoi w miejscu. Pilot musi w każdej chwili zdawać sobie sprawę z jego upływu, jak też ze swojego położenia w przestrzeni. Utrata orientacji podobnie jak brak doświadczenia może stać się przyczyną śmierci.

Minęło kolejne czterdzieści pięć sekund walki.

„Goryl” wypuścił krótką serię z działka, żeby odstraszyć przeciwnika. Następnie zniknął we mgle, rozciągającej się w dole. Natychmiast przeszedł na orientację według przyrządów i zaczął wznosić się z powrotem. Radarowy wysokościomierz był bezużyteczny nad górskim terenem.

Kiedy Moreno strzelał, „Robal” znajdował się na „czwartej godzinie” Aero. Machinalnie skręcił w prawo, przewidując reakcję afrykanerskiego pilota. Ten także skręcił w prawo, wlatując Stuartowi prosto pod celownik. Gdyby któryś z A-10 miał sidewindery. Aero rozpadałby się już na kawałki; jednak tylko Pontowski i Walderman, osłaniający EC-130H, mieli ze sobą rakiety powietrze-powietrze. Pilot Aero wybawił „Robala” z kłopotu, nie wychodząc z zakrętu i trzymając się w polu jego celownika.

Zanim kapitan mógł zestrzelić wroga, z mgły wyskoczył znów

„Goryl”, prując wprost na Aero. Wyglądało na to, że samoloty zaczepiły o siebie lekko, stykając się końcówkami skrzydeł. Prędkość sprawiła, że obydwie maszyny wydostały się na chwilę spod kontroli pilotów. „Robal” pociągnął na siebie drążek i przeleciał nad nimi. Wykonał gwałtowny zwrot w lewo i skierował dziób z powrotem ku dołowi. Tymczasem wyminął go inny Aero, ostrzeliwując go. „Robal” dostrzegł go w ostatniej chwili. Wrogii pilot przeleciał nad nim i przestał się nim zajmować, ale nadlatywało dwóch kolejnych „bandytów”. Wyglądało na to, że zamierzają oddać serie z wypracowanych pozycji i uciekać.

Kątem oka Stuart dostrzegł znikający we mgle spadochron. Czyj? Dwa Aero minęły „Robala”, strzelając; nawet nie zwolniły.

- Krążyć, krążyć! - zawołał kapitan. Ruszył za dwoma innymi A-10, szykującymi się do ataku na nowe Aero. Za Stuartem pojawił się kolejny Amerykanin. Znalezienie się w „sznurku” lecących jeden za drugim, atakujących samolotów nie jest techniką zwiększającą szanse przeżycia. Można zostać niechcący zestrzelonym przez własnego kolegę.

Pilot jednego z Aero znalazł czas na ustawienie się w odpowiedniej odległości, żeby odpalić *kukri* - południowoafrykańską wersję sidewindera. Lecąca na czele „Świnia” wypuściła flary. Nadleciało dwóch kolejnych „bandytów” - w powietrzu robiło się gęsto. Tylko jeden z czterech wrogich pilotów odważnie spróbował pogoni za Amerykanami. Pozostali wypuścili krótkie serie z działek i uciekli. Atakujące Aero wchodziło już w celownik „Robala”, kiedy któryś z jego kolegów pociągnął za spust i zestrzelił Afrykanera. Krzyki w słuchawkach były ogłuszające.



- „Wodzu”, wracaj na prawo! - Twombly - „Wódz” - musiał być w opałach.

- Podaj pozycję! - Ktoś stracił orientację.

- „Koza”! „Bandyta” na siódmej! - Ktoś być może ocalił życie Grossowi.

- Gdzie oni są?! - Walka zakończyła się nagle. Myśliwce wroga zniknęły. W słuchawkach zapadła cisza.

Stuart uspokoił oddech - to także instynktowna reakcja, nabyta przez lata doświadczeń. Jednym z niebezpieczeństw czyhających na pilota podczas walki powietrznej jest utrata przytomności z powodu nadmiernej aktywności płuc.

- Dołączyć do mnie! - rozkazał. - Kontrola! - Teraz należało zacząć martwić się o paliwo. „Robal” pamiętał o nim do tego stopnia, że spojrzął na paliwomierz nawet podczas walki. Nie wiedział jednak, czy inni także to zrobili.

Piloci meldowali się jeden po drugim, podając ilości posiadanego paliwa. Ostatni zgłosił się Gross. Jego maszyna została uszkodzona - leciał na jednym silniku.

Paliwa było jeszcze sporo, dzięki temu, że piloci startowali z Pustyni Jeden. Jednak mieli inne zmartwienie - trzech kolegów nie zgłosiło się.

- „Wodzu”, podaj status! - zawołał „Robal”. Żadnej odpowiedzi. - „Byku”, jak mnie słyszysz? - Cisza. - „Gorylu”, słyszysz mnie? - Milczenie.

W radiu rozległ się głos Pontowskiego.

- Wracajcie do bazy!

Atak na Żelazne Wrota zakończył się krwawym fiaskiem.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Okolice Paarl, Republika Południowej Afryki**

Piet van der Roos pracował razem z ojcem w winnicy, kiedy usłyszał odgłos nadlatujących odrzutowców. Podniósł wzrok, tak jak robią wszyscy lotnicy. Zobaczył klucz czterech A-10. Popatrzył za nimi.

- Wracają z porannego lotu treningowego - powiedział ojcu. - Pontowski dba o to, żeby pilotom się nie nudziło - ciągle przeprowadza ćwiczenia.

Usłyszał kolejne „Świnie”. Spojrzał w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Teraz leciały trzy, jeden obok drugiego. Spojrzał na zegarek - za dziesięć ósma. Za wcześnie jak na lot treningowy, i zbyt wiele samolotów. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć, czy mają ze sobą jakieś uzbrojenie. Były jednak zbyt wysoko, a on nie miał przy sobie lornetki.

Liczył minuty i czekał. Zobaczył jeszcze dwa A-10, lecące znacznie wolniej. Za jednym z nich ciągnęła się strużka dymu; nawet z tej odległości widać było, że maszynie brakuje lewego statecznika pionowego.

- Walczyli - powiedział krótko.

- Z kim? - zapytał ojciec.

- Z Żelazną Gwardią. Nie ma nikogo innego - odparł Piet. Podniósł wzrok jeszcze na chwilę i dodał: - Stracili jeden albo trzy samoloty.

- Skąd wiesz?

- Amerykanie latają w kluczach po dwa albo cztery.

- Czy trzy stracone samoloty to dużo? - spytał ojciec.

- Jeden to wystarczająco dużo. Trzy na dywizjon złożony z dwunastu maszyn, to dwadzieścia pięć procent strat - odpowiedział syn.

- Lubisz Amerykanów - powiedział Jan van der Roos. To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. - Czy twoje pumy też brały udział w tej akcji?

- Prawdopodobnie tak. To dobrzy chłopcy i na pewno chcieli walczyć.

- Dlaczego to robią? - spytał starszy pan.

- Nie wiem, tato - odparł Piet.

Jan van der Roos popatrzył na swojego jedynego syna. Cieszył się, że wrócił do domu i że nie grozi mu niebezpieczeństwo. Znał go jednak.

- Rob to, co musisz - mruknął.

Kapitan zszedł z pola, minął grupkę robotników przycinających winne krzewy i skierował się do stojącego na ścieżce range rovera.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Sam trzęsła się cała; częściowo dlatego, że było zimno, a częściowo z powodu powietrznego ataku. Naliczyła dwanaście eksplozji. Potem wybuchy ucichły; ku niebu wznosiły się jednak słupy dymu, otaczając ją, niczym olbrzymie kolumny. Wystawiła kamerę z krzaków, w których się skryła, i omiotła obiektywem wzgórze od strony zachodniej, wzdłuż którego paliło się w kilku miejscach. Zobaczyła biegnących ku wojskowej

części bazy ludzi. Schowała się z powrotem. Kiedy zaczną jej szukać?

Wyjęła z kamery kasetę. Prawie się skończyła. Otworzyła saszetkę i wyjęła nową. Chce mi się pić! - pomyślała. Zza jej pleców rozległ się dźwięk syren.

Muszę ruszyć się teraz, póki trwa zamieszanie; póki jeszcze mnie nie szukają! - ponagliła się w myśli. Złapała kamerę i pobiegła ku rejonowi mieszkalnemu. Biegając, celowała obiektywem w różne miejsca i filmowała. Zatrzymała się pod gałęziami niskiego drzewa, rosnącego niedaleko placu zabaw. Skierowała teraz kamerę na stojący nieopodal dom, żeby udokumentować uszkodzenia. Wprawdzie dom stracił jedynie szyby w oknach, Sam wiedziała jednak, ile krzywdy mogą wyrządzić ludziom rozpędzone odłamki szkła. Zajął się następnym domem i - zamarła.

Wprost ku niej szedł jakiś mężczyzna.

Był to Itzig Slavin. Zatrzymał się koło drzewa i skinął na dziennikarkę. Ruszyła więc szybkim krokiem za nim, kierując się ku jego domowi. Mężczyzna przyłożył palec do ust. Sam weszła za nim do kuchni i opadła na krzesło. Żona Slavina podała jej szklankę wody i wróciła do przygotowywania śniadania.

- Możemy tu rozmawiać - odezwała się, pokazując na pudełeczko, zasłaniające jeden z mikrofonów. - Byle nie za głośno; i niech pani nie zbliża się do okien.

- Dziękuję - powiedziała Sam, odstawiając szklankę. - Poproszę o jeszcze. Skąd państwo wiedzieli, że tu jestem?

- MacKay nam powiedział, więc się za panią rozglądaliśmy, udzie on jest?

Samantha pokręciła głową, nie rozumiejąc.

- Kto to jest MacKay?

- Czarny Amerykanin, który pracuje oficjalnie dla Beckmanna.

Jest pani sama?

- Tak. Próbowałam uciec. - Slavin postawił przed Samantha obfite śniadanie. Wzięła się do jedzenia, dziwiąc się, że jest taka głodna. Kiedy skończyła, pokazano jej łazienkę, a następnie wprowadzono do jadalni. Na dywanie leżało sześciu francuskich legionistów. Trzech z nich spało. Bouchard uniósł dłoń w rękawiczce i powiedział:

- Witam, panno Darnell. Proszę do nas dołączyć.

Beckmann stał przy centralnym pulpicie kontrolnym w bunkrze dowodzenia. Zadawał pytania i formułował rozkazy. Nie zawahał się ani razu. Wiedział dokładnie, czego chce i jak ma to osiągnąć. MacKay oceniał dotąd generała tylko z perspektywy Kreinera. Teraz poznawał zupełnie inną część jego osobowości. Sukinsyn, dobry jest - myślał. Może i jest po części wariatem, ale na pewno nie w dziedzinie dowodzenia. I wie, co jest w danym momencie najważniejsze.

Niesłuchanie istotnym elementem sprawności każdej jednostki wojskowej jest to, jak szybko może ona zorganizować się po ataku i przygotować do następnej walki. Pierwszym świadectwem sprawności Żelaznej Gwardii było to, że Aero wylądowały. Pas został wprawdzie podziurawiony przez tomahawka, i nie nadawał się do użytku, jednak mechanicy Beckmanna w ciągu osiemnastu minut załatali tyle dziur, że samoloty mogły wylądować. Tomahawk został zatem zmarnowany. Skuteczniejszy okazał się ten, który uderzył w

stanowiska obrony przeciwlotniczej, zainstalowane na jednym ze wzgórz.

MacKay postanowił zapamiętać to i przekazać amerykańskim planistom wojskowym. Jeśli kiedykolwiek uda mu się stąd wydostać żywemu.

Im dłużej John obserwował Beckmanna, tym bardziej rozumiał jego osobowość. Generał był geniuszem, balansującym na granicy szaleństwa. Major bezpieczeństwa - bezpośredni zwierzchnik Johna - poinformował głośno:

- Zniknęła amerykańska kamerzystka! - Dodał jednak: - Ona nie może uciec. Nie może uciec.

Generał popatrzył na majora; w końcu powiedział:

- Naprawdę? - Już dwukrotnie John słyszał Beckmanna wypowiadającego to słowo dokładnie takim samym tonem. MacKay nie miał złudzeń co do własnych możliwości. Wiedział w tym momencie, że w żaden sposób nie jest w stanie zapanować nad generałem. A powiedział mu, że mieszkańcy bazy zareagowali na alarm w fatalny, niezorganizowany sposób. Beckmann musiał wiedzieć, że to kłamstwo. A może jednak nie? Niepewność rodziła niepokój.

Atak wykazał dwie rzeczy. Po pierwsze, Żelazna Gwardia okazała się jednak małą organizacją; znacznie mniejszą niż usiłowano pokazać MacKayowi. Większość z jej obrońców stanowiła rezerwa, zorganizowana na zasadzie milicji, składającej się z małych oddziałów, zwanych *kommando*. Po drugie - co było nie mniej ważne - wszystkie rozkazy pochodziły bezpośrednio od Beckmanna. Żaden z jego oficerów nie ponosił pełnej odpowiedzialności za swój

odcinek. Był to jeden z objawów paranoi generała.

W jakimś momencie Beckmann spojrział na Johna i zaczął oceniać jego zachowanie. Z jednej strony kłamał mówiąc o niewłaściwych reakcjach mieszkańców podczas alarmu, z drugiej jednak to właśnie Amerykanin skłonił generała do podjęcia akcji, ocalając w ten sposób samoloty i krzyżując plany nieprzyjaciela. Mózg generała szybko ułożył wszystkie elementy w całość i Beckmann zrozumiał, o co chodziło czarnemu mężczyźnie.

- Niech pan wróci do pokoju przesłuchań! - oznajmił. Patrzył, jak MacKay odchodzi, sam jednak został w bunkrze, zajmując się pilniejszymi sprawami.

- Kiedy zostanie przywrócona łączność telefoniczna? - zapytał.

- Za dwadzieścia cztery do trzydziestu sześciu godzin - padła odpowiedź. Milczenie generała oznaczało, że potrzebne są dodatkowe wyjaśnienia. - Budynek dowództwa, gdzie znajdowała się centrala, został bardzo zniszczony. Mamy jednak krótkofalówki i nadajniki dalszego zasięgu.

- Przewidywany czas uruchomienia radaru? - spytał ponownie Beckmann.

Dowódca taktyczny uruchomił nadajnik i powtórzył pytanie. Po chwili przekazał odpowiedź:

- W przybliżeniu za dziewięć do dziesięciu godzin. W najgorszym przypadku - osiemnaście godzin.

„Iskierka” podsłuchiwała tę rozmowę.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Kiedy wylądowały A-10, w bazie zawrzało. Odprowadzono samoloty na miejsca postoju i mechanicy rzucili się w wir pracy. Sprawdzali ewentualne uszkodzenia, uzupełniali paliwo, uzbrajali maszyny. Jednocześnie wywiad słuchał raportów pilotów. Lydia Kowalski i Lori Williams - oficer sztabowy Pontowskiego - zbliżyły się do niego i zapytały:

- Jak poszło?

- Fatalnie; masakra, cholera jasna - odpowiedział. - Aero zdołały wystartować; straciliśmy trzy „Świnie”. - Jego twarz wyrażała gorycz. - A jedna z ocalałych długo jeszcze nie będzie latać.

- Na stanowisku dowodzenia siedzi de Royer - poinformowała Kowalski.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - warknął Matt.

- Panie pułkowniku - powiedziała Lori - zadzwonił wartownik pilnujący bramy. Mówi, że przyjechała Elizabeth Gordon i chce się z panem widzieć.

- Powiedz mu, żeby ją aresztował, jeśli tylko spojrzy w tę stronę - mruknął Pontowski. Podał hełm i resztę wyposażenia Lori i poprosił, żeby je odniosła. - Zamówiłem z magazynu kamizelkę przeżycia - powiedział. - Zadbaj o to, żeby dołączyli do niej beretkę. - Po chwili wpadł do sali dowodzenia. - Jesteś w kontakcie z „Iskierką”? - zapytał dyżurnego. Kapitan przytaknął. - Mają kontakt z którymś z zestrzelonych pilotów?

- Tak jest, sir. „Goryl”... to znaczy kapitan Moreno, nadaje na radiu ratunkowym. Leci po niego puma.

Brzęmię, jakie ciążyło na Pontowskim, zelżało nieco.

- A o „Byku” i „Wodzu” nic nie wiadomo? - Dyżurny pokręcił



głową. - Kto wezwał pumę? - spytał jeszcze Matt.

- Generał de Royer.

Przed nadajnikami radiowymi i telefonami siedział de Royer, wyprężony niczym pierwszak w szkolnej ławce. Wokół niego stało czterech członków jego sztabu z dowództwa sił ONZ.

- Dziękuję panu, panie generale - odezwał się Matt. Co teraz? - pomyślał.

De Royer odpowiedział na to niewymówione pytanie:

- Dysponujemy niewielkim elementem zaskoczenia. Musimy zaatakować ponownie, zanim Żelazna Gwardia się pozbiera. Chciałbym porozumieć się z pańskim sztabem w samolocie Compass Call i waszym szefem CIA. - Generał patrzył na Pontowskiego dawnym, niewzruszonym wzrokiem.

Matt zwrócił się do dyżurnego:

- Wywołaj „Iskierkę” i wezwij tu „Robala” i Lydię Kowalski. - Spojrzał znów na de Royera. Generał krążył po sali, wydając rozkazy swoim ludziom.

Pontowski pokręcił głową, przypominając sobie, co czytał w dossier generała, dostarczonym przez Mazie Hazelton: „wyjątkowo agresywny sposób prowadzenia bitew - skłonny do podejmowania wysokiego ryzyka”.

Matt znalazł chwilę spokoju i samotności w biurze podpułkownik Kowalski. Skorzystał z jej specjalnej linii telefonicznej; zadzwonił do Standarda. Opisał mu w krótkich słowach całą sytuację.

- Chyba pan oszalał! - krzyknął szef placówki CIA. Zapadła cisza. - Zaraz tam będę - dodał, rozłączając się.

Matt oparł się wygodnie i wykorzystał moment, żeby zebrać myśli.

De Royer miał rację - musieli reagować jak najszybciej. Tymczasem do drzwi zapukała Lori Williams.

- Ma pan gości - madame Martine, kapitan van der Roos i...

- Piet! - zawołał Pontowski. - Wprowadź ich. - Lori otworzyła szeroko drzwi i Matt poczuł się znacznie gorzej niż przed chwilą. Trzecim przybyszem była Elizabeth Gordon. - Co ona tu robi?!... - warknął na Lori.

- Nigdy nie daje mi pan skończyć! - odpowiedziała dziewczyna z oburzeniem i zamknęła za sobą drzwi.

Elena dotknęła ramienia pułkownika.

- Matt, panna Gordon zatrzymała mnie przed bramą... - zaczęła.

- Zabierz ją stąd - przerwał jej, nie zwracając uwagi na Elizabeth i van der Roosa.

Elena nie ustępowała:

- Musisz posłuchać...

Pułkownik nie chciał nawet przyjąć do wiadomości obecności Liz Gordon.

- To wróg. Zabierz ją stąd - powtórzył.

- Mogę wam pomóc - odezwała się Elizabeth.

- No jasne!...

Na twarzy dziennikarki pojawiły się łzy. Zaczęła nerwowo grzebać w torebce.

- Cholera... - mruknęła. Wysypała zawartość torebki na biurko. Pośród innych przedmiotów było w niej pięć kaset wideo.

- Te kasety zostały nagrane w Żelaznych Wrotach... może wam w czymś pomogą... widziałam różne rzeczy.

- Wątpię, żeby widziała pani albo sfilmowała cokolwiek ważnego -

odpowiedział lekceważąco Matt. - Skonfiskowaliby w takim przypadku pani kasety. - Otworzył drzwi. - Mamy wszelkie potrzebne nam zdjęcia.

- Trzymają tam Samanthę! - krzyknęła rozpaczliwie Liz.

To wystarczyło, żeby powstrzymać pułkownika.

- A pani chce, żebym jej pomógł? - upewnił się.

Elizabeth przytaknęła.

W Pontowskim wezbrała cała złość i frustracja. - Jak to, nie pamięta pani? - zawołał. - Przecież jestem „nieodpowiedzialnym kowbojem”! Zrzucamy dookoła bomby jak „moralni Neandertalczyki”! Jesteśmy „obijającymi się ignorantami”. To pani słowa, moja droga, nie moje. A więc po co pani teraz nasza pomoc?

Liz popchnęła w jego kierunku kasety.

- Proszę. Błagam pana. Zagrozili, że ją powieszą.

- Beckmann to robi - wtrącił się van der Roos. - To wariat.

Matt zawahał się. Stało mu przed oczami wspomnienie Samantha Darnell stojącej koło monumentu *Afrikaanse Taal* z nim i van der Roosem. Wiatr rozwiewał jej włosy... A jej głos, kiedy wychodziła z jego pokoju tamtego ostatniego ranka... „Ty i ja, Matt”... Popatrzył na kasety i pokręcił głową. Były jedyną rzeczą, jaką dysponowała Elizabeth Gordon, która chce zawrzeć z nim rozejm.

Złość została już wyładowana. Ustąpił.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział. - Może okaże się pani pomocna. - Wziął kasety, podszedł do drzwi i zawołał Lori. Podał jej kasety i polecił: - Zabierz, proszę, madame Martine i pannę Gordon do wywiadu, niech złożą raport.

Teraz zwrócił się do van der Roosa.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział. - Co cię sprowadza z powrotem?

- Zobaczyłem wracające z akcji „Świnie” - odparł Piet... - Chcę pomóc.

- Potrzebna nam każda pomoc - odparł Pontowski z westchnieniem. Przyjaciele podali sobie dłonie.

Na zewnątrz Liz próbowała doprowadzić zapłakaną twarz do ładu.

- Dziękuję pani - zwróciła się do Eleny.

- Wiedziała, że posłucha - odparła Martine. - Widziała pani wyraz jego twarzy, kiedy usłyszał, że być może powieszą Sam?

Podpułkownik Lee Bradford nie wiedział, co ma zrobić. Jako dowódca załogi Compass Call EC-130H musiał zapewnić za wszelką cenę bezpieczeństwo samolotowi, ludziom i sprzętowi znajdującemu się na pokładzie. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było wystawiać ich na ryzyko. Sam dostęp do ich raportu z misji wymagał specjalnego zezwolenia, a wszystko, co robili, było objęte klauzulą „Secret NoFORN”. „NoFORN” oznaczało „no foreign dissemination” - nie ujawniać żadnym obcokrajowcom. De Royer z pewnością podpadał pod tę kategorię. Teraz jednak pytał o szczegółowe informacje.

- Niech pan po prostu odpowie na pytania - wtrącił Pontowski. - Nie musi pan mówić, jak zdobył pan te wiadomości.

- Nie wolno mi tego zrobić - zaprotestował Bradford. - Wszystko jest objęte klauzulą „nie ujawniać obcokrajowcom”.

Matt nie zamierzał ustąpić.

- To niech pan odpowie na te pytania mnie, zamiast panu generałowi. Wezmę na siebie odpowiedzialność za ewentualne złamanie klauzuli.

- Przykro mi, pułkowniku - odpowiedział Bradford - ale tego także nie mogę zrobić.

Pontowski nie miał czasu; rozważał całkiem poważnie, że po wylądowaniu herculesa zbije podpułkownika do nieprzytomności.

- Niech pan posłucha - warknął - straciłem podczas misji dwóch pilotów, a mimo to wrócimy tam - z pańską pomocą czy bez niej! - Odwrócił się, zamierzając wypaść z sali.

Na pokładzie EC-130H Bradford westchnął jednak głęboko i zatrzymał go słowami:

- Panie pułkowniku, co chce pan wiedzieć?

Kiedy przybył Standard, sala dowodzenia była już pełna ludzi. Pontowski oddał mu głos, a on streścił w krótkich słowach to, co CIA wiedziała o Beckmannie i Żelaznej Gwardii. Gengha Dung łeb mi urwie, kiedy się o tym dowie - pomyślał. Ej, czym ja się martwię? Przecież nie ujawniam moich źródeł, tylko same informacje. A wojsko musi wywieźć z Żelaznych Wrót izraelskiego naukowca, jeśli Stany Zjednoczone mają uzyskać kontrolę nad Numerem Jeden. Muszę im pomóc.

Teraz wstał de Royer. Chodząc po sali, przedstawiał monotonnym głosem swoje plany. Zebrani słuchali w ciszy. Szybkość zaplanowanej operacji była wprost oszałamiająca; nie mieli wątpliwości, że znajdują się naprzeciw genialnego taktyka. Wkrótce wezmą udział w misji swojego życia. Nawet „Robal” był pod

wrażeniem.

- Jak widzicie - ciągnął de Royer - sukces całej operacji zależy od fazy początkowej. Będziemy mieli bardzo krótki odcinek czasu na podjęcie decyzji, czy kontynuujemy misję, czy też przerywamy ją. Chwila podjęcia tej decyzji będzie krytyczna; nie można zrobić tego tu i teraz. Decyzja musi zostać podjęta na miejscu i natychmiast. Panie pułkowniku, weźmie pan udział w akcji jako dowódca. To pan zdecyduje o kontynuowaniu bądź przerwaniu misji.

- A co będzie, jeśli coś mi się stanie i nie będę mógł podjąć decyzji? - spytał Matt.

- W takim razie odpowiedzialność za nią spocznie na pańskim zastępcy, kapitanie Stuarcie. Jeśli i on nie będzie znajdował się w odpowiednich warunkach, żeby ją podjąć... - De Royer przerwał, zastanawiając się chwilę nad konsekwencjami takiej sytuacji - ...to znaczy, że początkowa faza operacji nie powiodła się i ja sam przerwę akcję. Jeśli natomiast podejmie pan decyzję o kontynuowaniu misji, wylądujecie w Pustyni Jeden i będzie pan sprawował dowództwo operacyjne. Gdybyście stracili ze mną kontakt, przejmuje pan na ten czas całkowite dowództwo nad operacją - zakończył generał. Rozejrzał się i dodał. - Czy są jeszcze jakieś pytania?

„Robal” podrapał się po brodzie i powiedział:

- Dzisiaj to trochę za szybko. Potrzeba nam więcej czasu, żeby się do końca pozbierać i zorganizować.

- Od ilu godzin Żelazna Gwardia będzie znajdować się w stanie gotowości o szóstej wieczorem? - odpowiedział pytaniem de Royer.

- Dwadzieścia dwie godziny - podał przez radio Bradford.

- Będą wtedy wyczerpani, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Musimy to wykorzystać i nie pozwalać im odpocząć.

„Robal” pokręcił głową.

- Możemy to zrobić - stwierdził. - Tyle że chłopcy ze śmigłowcami zostali na Pustyni Jeden. Nie porozumieliśmy się z nimi w tej sprawie.

Piet van der Roos podniósł się i powiedział:

- To dobrzy żołnierze. Znam ich. Na pewno chętnie spróbują jeszcze raz.

- Czy będziesz miał wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować ich do akcji? - zapytał Pontowski.

- Jeśli ja będę nimi dowodził - tak.

De Royer rozejrzał się niewzruszonym spojrzeniem po twarzach zebranych.

- Godzina „H” to siedemnasta trzydzieści, dziś wieczór - oznajmił.

- Godzina „H” to chwila, kiedy zacznie się operacja.

Zebranie sztabu było skończone. Sala opróżniła się.

Pontowski popatrzył na zegarek - jeszcze sześć godzin z małym okładem. Przywołał do siebie Lydię i van der Roosa.

- Przerzućcie Pieta na Pustynię Jeden, kiedy tylko was załadują - powiedział. Popatrzył na dwoje oddanych sobie ludzi i dodał: - Lydio, to bardzo ryzykowna operacja. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, mogę ją jeszcze odwołać.

- Mam masę wątpliwości, szefie - odparła Kowalski. - Ale za to nam właśnie płacą. Za to, żebyśmy się niepokoiли. Chodź, Piet. Czas, żebyś zasłużył sobie na kolejną wypłatę.

Matt patrzył za nimi, jak wychodzą. Został w sali dowodzenia,

zamyślony. Musiał zająć się tylko jeszcze jedną sprawą. Skinął na Standarda i porozmawiał z nim chwilę.

Elena Martine wyszła z COIC i otworzyła drzwiczki BMW. Usiadła za kierownicą i kiedy zamierzała włożyć kluczyk do stacyjki, ktoś otworzył drzwi pasażera i wgramolił się do środka. Podniosła ze zdumieniem wzrok i zobaczyła Richarda Standarda.

- Musimy porozmawiać - stwierdził Standard.

- O czym?

- O rozmowach telefonicznych.

- Dzwonię w wiele miejsc.

- A czy kiedykolwiek rozmawiałś z Pietem van der Roosem?

- Rozmawiano z nim z mojego biura. Każdego dnia, kiedy tylko w bazie odbywały się jakieś loty. Koordynowaliśmy z wojskiem ich rozkład.

- A po co?

- Tak zostało ustalone z rządem RPA.

To tłumaczy telefony van der Roosa do bazy - pomyślał Standard. Ale w jaki sposób informacje były przekazywane Żelaznej Gwardii?

- Co robiłaś z tymi informacjami? - zapytał.

- Przekazywaliśmy je pod jeden numer do ministerstwa obrony.

- Zawsze tej samej osobie? - dopytywał Standard.

- Nie - zaprzeczyła pani Martine. - Każdemu, kto odebrał telefon.

- Potrzebny mi numer tego telefonu.

Elena zapisała mu na karteczce numer. Był to ten sam numer, jaki rano tego samego dnia zaczęły podsłuchiwać „chłopcy”. Teraz Standard miał w ręku wszystkie ogniwa łańcucha, prowadzącego od



bazy lotniczej, poprzez van der Roosa, panią Martine, ministerstwo obrony RPA, aż do Żelaznej Gwardii. Co najważniejsze, wiedział już, kto okazał się zdrajcą.

Elena przesunęła palcami po nadgarstku Standarda.

- Richardzie, dlaczego nigdy do mnie nie dzwonisz? - spytała.
- Niepotrzebny mi drugi zawał - odparł Standard.
- Możemy zachowywać się ostrożnie... - obiecała.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Beckmann nie spał już od ponad trzydziestu sześciu godzin; jego świadomość zaczynała słabnąć. Zdawało mu się, że zaraz padnie w objęcia upragnionego snu. Ale nie mógł sobie na to pozwolić, jeszcze nie w tej chwili. Połknął dwie tabletki i czekał. Silne środki pobudzające oczyściły jego umysł z mgły; serce zaczęło bić szybciej.

W bunkrze dowodzenia panowała już atmosfera ulgi. Generał sprawdził po raz kolejny tablice, na których zapisywano aktualny stan sytuacji. W tym momencie poczuł, że ma jakiś poważny problem. O co chodzi? Baza powracała do stanu gotowości tak szybko, jak tylko można. Popatrzył na zegarek - za pięć godzin zostanie uruchomiony nowy radar. Czuł, że nie w tym leży problem. Coś jednak było wyraźnie nie w porządku.

- *Generaal!* - zawołał radosnym tonem jeden z techników. - Działają niektóre telefony!

Machinalnie, Beckmann wystukał numer, żeby sprawdzić, czy uzyska połączenie. Usłyszał sygnał dzwoniącego telefonu, a potem głos wartownika:

- Słucham; pokój przesłuchań. - Dlaczego generał wybrał akurat ten numer? Widocznie podświadomość powiedziała mu, co ma zrobić.

MacKay przerwał samotną rozgrywkę pokera i nasłuchiwał. Popatrzył uważnie na strażnika, kiedy ten odkładał słuchawkę. Żołnierz tymczasem, bez słowa, wyciągnął pistolet i wycelował w pułkownika. John napiął się, czekając na początek ruchu ściągania spustu, wraz z którym rzuci się do działania. Jednakże wartownik powiedział:

- Skuć czarnucha. - Zanim MacKay zdążył cokolwiek zrobić, został potraktowany przez drugiego z żołnierzy jakimś gazem i uderzony pałą. Upadł na podłogę. Pierwszy ze strażników napełniał strzykawkę.

## **Rozdział dwudziesty piąty**

### **Piątek, 24 kwietnia**

#### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

Pontowski siedział z de Royerem na stanowisku dowodzenia. Lydia Kowalski poprosiła wieżę o zezwolenie na start. Dowódcy słuchali wydobywających się z głośnika rozkazów uruchomienia silników, kołowania i samego startu. Pani podpułkownik mówiła takim głosem, jak gdyby odbywała zwykły, transportowy lot.

- Czy są przeciążeni? - spytał generał po francusku.

Czekanie musi odbijać się i na nim - pomyślał Matt. De Royer nie był raczej rozmownym facetem.

- Nie, nie są przeciążeni - odparł Pontowski w tym samym języku.

- Chociaż są zapakowani do pełna ludźmi.

- Co pana niepokoi? - spytał generał.

Nic przed nim nie można ukryć... No cóż, trzeba powiedzieć.

- Przed pierwszym atakiem mieliśmy cztery dni na dokładne zaplanowanie wszystkiego - odpowiedział Matt. - I ponieśliśmy klęskę. Teraz wszystko zostało zaplanowane w niecałe cztery godziny. Do tego nieprzyjaciel ma przewagę liczebną; zarówno jeśli chodzi o ludzi, jak i sprzęt.

- Powinien pan czytać Napoleona - stwierdził de Royer, przechodząc na angielski. - Mamy przez krótki czas sposobność zaatakować, ponieważ Żelazna Gwardia jest wyczerpana i częściowo pozbawiona telekomunikacji. Ta sposobność nie potrwa zbyt długo.

- Skąd może pan być tego pewny? spytał Pontowski.

- Pan Standard podał nam kilka informacji. Żelazna Gwardia nie jest znów aż tak duża; i żeby się bronić, musi zwołać wszystkie swoje *kommandy*. Poza tym, jest bardzo scentralizowana... to wada, którą możemy wykorzystać. To poważny błąd, że nie dowiedziałem się o tym wcześniej.

- CIA nie lubi dzielić się swoimi informacjami - wyjaśnił Matt, przypominając sobie, jak Mazie Hazelton pokazała mu spis uzbrojenia Żelaznej Gwardii. - Po prostu nie podoba mi się to wszystko - mruknął.

- To niepewność tak pana męczy - odparł de Royer. - Musi się pan nauczyć z nią żyć.

- Ale dlaczego ten pośpiech? - nie ustępował pułkownik. - Czy to dlatego, że Bouchard znalazł się w pułapce? - Generał patrzył prosto przed siebie, niewzruszony. Ależ ten facet ma zimną krew... -

pomyślał z podziwem Matt.

- Częściowo dlatego - odpowiedział w końcu de Royer.

- A może ze względu na Numer Jeden? - Zaraz; kiedy językiem rozmowy stał się znowu francuski?

- Częściowo także i dlatego - zgodził się generał. Spojrzał na Pontowskiego. Amerykanin nie rozumiał najważniejszego powodu; jaki więc sens mu go podawać? Ustąpił jednak i wyjaśnił: - Beckmann to potwór, którego trzeba zniszczyć.

Matt przejechał dłonią po włosach i wstał.

- Muszę iść na odprawę przed lotem - powiedział.

- Dobrego polowania - rzucił za nim de Royer.

W sali odpraw czekali na Pontowskiego „Robal”, „Waldo” i Lee Bradford z EC-130H. Walderman wypełnił już dla Matta kartę danych o misji. Pułkownik sprawdził po kolei godziny poszczególnych wydarzeń, podczas gdy Stuart przepowiedział cały scenariusz akcji. Odprawa trwała krótko. „Robal” spytał, czy są jakieś pytania.

Matt spojrzał na Bradforda:

- Jesteście w stanie to wszystko zrobić? - zapytał.

- W mgnieniu oka - zapewnił go podpułkownik.

Pontowski podniósł się z krzesła i mruknął:

- „Robal”, myśmy chyba powariowali.

- To pomaga zachować zimną krew, panie pułkowniku - odparł kapitan.

Załoga kolejnego herculesa, stojącego na płycie lotniska, poprosiła wieżę o zezwolenie na uruchomienie silników.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

Joe Péndulo wrócił do domu z ministerstwa. Jego elegancka willa pogrążona była w ciszy, jaka panuje późnym popołudniem. Asystenci ministra, których zatrudniał w domu, spali, Péndulo wszedł więc do swojego prywatnego biura, kazać dwóm ochroniarzom pozostać na zewnątrz. Zamknął za sobą drzwi na klucz i usiadł za komputerem. Posłużył się modemem i po chwili porozumiał się już ze swoim bankiem w Genewie, w Szwajcarii. Palce ministra zabębniły w klawiaturę, wstukując numer tajnego konta. Péndulo uśmiechnął się, zobaczywszy wpłatę dokonaną tego popołudnia.

Poranny telefon od Żelaznej Gwardii był niecodzienny, jednak bardzo dochodowy. Péndulo lubił współpracować z ludźmi, którzy tak szybko wywiązywali się ze swoich zobowiązań. I byli aż tak hojni. W tym momencie z poczekalni biura dobiegł dziwny, stłumiony

3630dłos. Coś w rodzaju „fsst, fsst”. Jego ochroniarze dobrze wiedzieli, że nie można mu przeszkadzać. Pogada o tym z nimi, kiedy wyjdzie. Dźwięki powtórzyły się. Minister poczuł złość. Wstawał właśnie z krzesła, kiedy zamek w drzwiach rozleciał się na kawałki, ze znacznie głośniejszym „fsst”.

Drzwi otworzyły się szeroko; Péndulo zobaczył na podłodze krwawiące ciała ochroniarzy.

- Czego chcesz? - zapytał, nie widząc nikogo.

Do gabinetu weszli dwaj czarni mężczyźni. Pod ministrem ugięły

się nogi. Wiedział, co to za jedni.

- Po co przyszliście tutaj?! - krzyknął. - Jeśli szef naszego wywiadu chce ze mną porozmawiać, powinien to zrobić osobiście, w moim ministerstwie.

Jeden z nieproszonych gości wyjął z kieszeni magnetofon na mikroksety i włączył go. Z głośnika dał się słyszeć wyraźny, czysty głos Joego Péndulo. Poranna rozmowa telefoniczna została nagrana.

- Skąd to macie?! - zapytał surowym tonem minister, próbując odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Od przyjaciół - odparł mężczyzna. - Bardzo dobrych przyjaciół.

Oczka Péndulo skakały z jednego z przybyszów na drugiego i z powrotem.

- Mogę zrobić z was bogatych ludzi - powiedział. - Bardzo bogatych.

Mężczyźni patrzyli jednak tylko na niego.

- Nie chcemy cię zabić - odezwał się ten z magnetofonem. - Potrzebne nam tylko kilka odpowiedzi na pytania pana prezydenta.

- Będzie pan żył bardzo, bardzo długo - odezwał się ten drugi z uśmiechem.

Péndulo stracił panowanie nad sobą, czując nagle w okolicach kroku rozlewające się ciepło. Obietnica agenta roztoczyła przed nim perspektywę, jakiej za nic nie chciał doświadczyć.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

O szesnastej trzydzieści trzy antena przewoźnego radaru zaczęła się obracać. Radar zainstalowano wysoko na rumowisku, które

stanowiło do niedawna Orle Gniazdo. Pierwsza wiązka fal omiotła horyzont. Technicy odetchnęli z ulgą. Zakończyli pracę na ponad godzinę przed czasem.

Siedemdziesiąt pięć kilometrów od tego miejsca EC-130H zaczynał pierwsze okrążenie po „torze wyścigowym”. „Robal”, Pontowski i „Waldo” znajdowali się pięć kilometrów za nim, lecąc powoli dla oszczędności paliwa.

W tyle herculesa podpułkownik Bradford nachylał się nad technikiem obsługującym antyradar. Pięć minut temu wykryto próbną wiązkę radaru Żelaznej Gwardii. Czekali teraz na pełne uruchomienie radaru. Ekran analizatora widma wiązki rozjaśnił się, kiedy superczułe

anteny EC-130H wyłapały pierwszy impuls energii. „Ślad” radaru, który zniszczono w poprzednim ataku, został dokładnie przeanalizowany. Teraz antena samolotu odebrała podobny sygnał, choć nieco zniekształcony.

Technik uśmiechnął się i podniósł wzrok na swojego dowódcę.

- Wiem już wszystko o ich radarze - powiedział z uśmiechem.

- Nawet nie będą mieli pojęcia, co im szykujemy - skomentował Bradford.

- Panie pułkowniku - odezwał się jeden ze specjalistów od radiokomunikacji - postawili w stan pogotowia dwa samoloty!

- To nam niepotrzebne - mruknął Bradford. - Pokażmy im większe zagrożenie.

Palce technika zabębniły w klawiaturę.

Procesor sprzężonego z radarem komputera w bunkrze

dowodzenia Żelaznej Gwardii zinterpretował wysłane przez technika EC-130H sygnały jako obrazy wielu samolotów, oddalających się od Żelaznych Wrót z dużą prędkością. Dowódca taktyczny powiadomił Beckmanna i wezwał ponownie techników.

- To tylko mały problem techniczny z uruchomieniem radaru - zapewnił go.

Generał przyjrzał się uważnie ekranowi.

- Czy to zagłuszarka nieprzyjaciela? - zapytał.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - przyznał dowódca taktyczny.

- Ale wszystkie obiekty znajdują się w ćwiartce południowo-zachodniej - zauważył Beckmann. Zabębnił palcami w stół. Nagle ekran wyczyścił się; na czas przejścia pojedynczej wiązki błysnęły na nim cztery jasne obiekty. Te jednak znajdowały się po stronie północnej. Zaraz potem wróciły liczne ślady. Tym razem zbliżały się z dużą prędkością do bazy ze wszystkich kierunków.

Beckmann poczuł wyraźny niepokój.

- *Generaal!* - zawołał dowódca obserwacyjny obrony powietrznej.

- Śledzimy wiele celów zbliżających się do nas od północy! - Zanim Beckmann podszedł do jego ekranu, ekran technika zaczął rozbłyskiwać rozchodzącymi się z jego środka falami.

- To już na pewno zagłuszanie - stwierdził technik. - Ale zaraz sobie jakoś poradzimy. - Włączył selektor zagłuszania. Liczne cele pojawiły się znowu, ale już po kilku obrotach anteny ekran zaczął ponownie rozbłyskiwać, tak jak poprzednio.

- Zbliżają się - zauważył technik. - Ich prędkość wskazuje na to, że to A-10.



- Podnieść w powietrze wszystkie samoloty! - rozkazał Beckmann.  
- Panie generale - zaprotestował dowódca taktyczny - lepiej byłoby, gdyby na razie wystartowały tylko cztery... - Beckmann zgasił go jednak wzrokiem.

Zacząła się zabawa w chowanego. Piloci Aero szukali w powietrzu napastników. Dwukrotnie dwóch z nich zbliżyło się na dwadzieścia pięć kilometrów do EC-130H i trzech „Świń”, jednak za każdym razem hercules wysyłał ku ich radarom nowe, fałszywe sygnały i odciągał wrogie maszyny. Natomiast nie zagłuszano wcale radionadajników Żelaznej Gwardii. To urozmaicenie pozostawiono na później. Na razie Amerykanie z zaciekawieniem słuchali.

- „Iskierko”, ile jeszcze czasu? - zapytał Pontowski przez radio Have Quick, „skaczące” po częstotliwościach.

- Pierwsze Aero wracają już do bazy - odpowiedział Bradford. - Wszystkim kończy się paliwo.

Matt zrobił w pamięci szybkie obliczenia i zdecydował, że już czas.

- „Iskierko”, wywołaj śmigłowce i przekaz, żeby startowały. „Robalu”, „Waldo” - dołączcie do mnie. - Trzy A-10 zniżyły się tuż nad ziemię i pomknęły ku Żelaznym Wrotom. Słońce już zachodziło.

Sto czterdzieści pięć kilometrów na wschód od Żelaznych Wrót, z Pustyni Jeden, podniosły się w powietrze cztery śmigłowce puma. Skierowały się na zachód. Tym razem na ich drodze nie stało pasmo lodowatej mgły. Na pas startowy zaczęły kołować z wolna cztery herculesy, wypełnione spadochroniarzami.

Jednocześnie sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód, pięć A-10 dowodzonych przez „Skida” Malone’a odrzuciło

puste zbiorniki po paliwie, zwiększające opór powietrza. I tak wszystkie pozostałe zaczepy pełne były uzbrojenia.

- Kontrola broni - odezwał się Pontowski, przypominając Stuartowi i Waldermanowi, żeby uzbroili działka i włączyli celowniki. Za cztery minuty znajdą się nad celem.

Trzy A-10 leciały tuż nad ziemią w luźnej formacji „V”, w odstępach wynoszących po trzysta metrów. Zbliżyły się do wzgórza zamykającego dolinę od zachodu. Słońce świeciło im w plecy. Wzniosły się, przelatując nad grzbietem wzgórza na wysokości sześćdziesięciu metrów i skierowały z powrotem dzioby ku ziemi. Wleciały w dolinę. Przed nimi znajdował się pas startowy. Na końcu pasa stały dwa Aero. Nie zdążyły jeszcze z niego zjechać. Dwa pierwsze kołowały już na miejsca postoju. Pozostałe były jeszcze w powietrzu, na ścieżce schodzenia; wszystkie miały w zbiornikach resztki paliwa.

- „Bandyci”! - zawołał Pontowski.

Pierwszym, który zauważył amerykańskie maszyny, był operator wieży kontrolnej. Zdążył ostrzec dowództwo przez radio, zanim rozpoczęło się zagłuszanie nadajników. Niczego podobnego jeszcze w życiu nie słyszał. Poczul przeszywający ból w uszach. Zrzucił więc słuchawki. Piloci Aero byli w trudniejszej sytuacji - na ich ścieżce schodzenia czekały samoloty nieprzyjaciela. W desperacji zaprzestali podejścia do lądowania, wyłączyli radia i uzbroili działka, uważając przy tym, żeby nie powpadać na siebie.

Nikt nigdy nie powiedział im, że Amerykanie potrafią być aż tak agresywni.

Jeden z pilotów Żelaznej Gwardii postanowił jednak lądować. Leciał powoli i nisko, z wypuszczonym podwoziem i klapami, kiedy wpadł nagle w panikę i przez pomyłkę skrzyżował stery. Samolot posłuchał jego komendy - poderwał się w prawo, zatrzymując się na chwilę w powietrzu, a potem runął w dół, kołami do góry.

- „Lis Dwa”, „Lis Dwa” - odezwał się „Robal”. Radio Have Quick, w jakie byli wyposażeni, nieustannie zmieniające częstotliwości, chroniło ich przed zagłuszeniem przez własną stronę. Wcisnął przycisk i od jednego z zaczepów oderwała się rakietka sidewinder, kierując się ku skręcającemu w stronę Stuarta Aero. Chłodzony naprowadzacz rakietki, posługujący się podczerwienią, wymierzył ją prosto w prawy silnik samolotu. Zapalnik odmówił jednak posłuszeństwa i rakietka nie eksplodowała, ale energia kinetyczna pocisku rozerwała silnik na kawałki.

Pilot samolotu, który właśnie lądował, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Szarpnął dźwigniami przepustnic i zaczął przyspieszać. Nie zwracał uwagi na przeraźliwy pisk w słuchawkach, koncentrując się na pilotowaniu maszyny. Wzniósłszy się nieco, uzbroił samolot. Miał ze sobą dwie rakietki *kubi* i 150 pocisków do dwulufowego działka kalibru 23 mm, w jakie był wyposażony jego Aero.

Osiągnął dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę, kiedy zobaczył zbliżającego się z przeciwka A-10. Suma prędkości obydwu maszyn wyniosła osiemset dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, lub, jak kto woli, dwieście czterdzieści siedem metrów na sekundę. Pilot Żelaznej Gwardii nigdy jeszcze nie znajdował się w takiej sytuacji, ani też nie wyobrażał jej sobie nawet. Za to Pontowski nie tylko myślał już o takiej akcji, ale brał w niej udział. Z dzioba „Świni”

wydobyła się strużka dymu i w kabinę pilota Aero trafił trzydziestomilimetrowy pocisk z głowicą zubożonego uranu.

Z jednego z bunkrów wybiegł mężczyzna z rakieta stinger, amerykańskiej produkcji. Ułożył wyrzutnię na ramieniu i wypatrzył samolot „Waldo”. Nacisnął spust; rakietę odpaliła. Błąd. W pobliżu znajdowało się zbyt wiele celów, żeby naprowadzany na podczerwień pocisk mógł wybrać właściwy. Walderman zdążył wypuścić z ogona maszyny trzy flary. Aero ścigający „Walda”, który znajdował się na jego „szóstej”, wessał jedną z nich do silnika. Naprowadzacz rakiety stinger wybrał akurat tę. Rakietę skierowała się ku Aero i eksplodowała.

„Waldo” położył maszynę na prawe skrzydło, patrząc, jak wrak Aero spada na płytę lotniska. Wykonał zwrot na wysokości zaledwie dwudziestu dwóch metrów nad ziemią i wypuścił serię z działka do dwóch samolotów Żelaznej Gwardii, które szukały schronienia w hangarze. Najgorszą sytuacją, jakiej boi się pilot myśliwca, jest pożar kabiny. Nie jest też dobrze dać się zaskoczyć na ziemi, na otwartej przestrzeni. Afrykanerscy piloci zginęli w tej drugiej sytuacji.

Obsługa baterii przeciwlotniczej „Blixniaków” zainstalowanej na grzbiecie wschodnim siedziała w bunkrze. Żołnierze jedli właśnie pierwszy od dwudziestu czterech godzin gorący posiłek. Byli zmęczeni, brudni i wyczerpani psychicznie. Niedaleko ich stanowiska spadła rozpraszająca się amunicja z amerykańskiego tomahawka. Ich dowódca śmiertelnie bał się, a jednocześnie niezmiernie podziwiał Beckmanna. Takie cechy nie wpływają korzystnie na

skuteczność dowodzenia żołnierzami podczas walki. Teraz chcieli w pierwszym odruchu zbiegać ze wzgórza; jednak dowodzący bezpośrednio obsługami baterii podoficer był twardym człowiekiem i skłonił ich do powrotu na pozycje bojowe.

Kiedy uruchomiono agregaty prądotwórcze, celowniczy pozostałych po poprzednim ataku dwóch baterii przeciwlotniczych skierowali lufy działek ku zachodowi, żeby atakujące samoloty mogły znaleźć się w obrębie ich ostrzału. Patrzyli prosto w słońce, wiszące teraz tuż nad grzbietem przeciwległego wzgórza. Częściowo oślepieni, dostrzegli jednak A-10 „Skida” Malone’a, który wznosił się po ataku bombowym na grzbiet zachodni. Patrzyli ze zgrozą, jak otwierają się CBU-58 i eksplodują setki wylatujących z nich pocisków. W to samo miejsce nadlatywał kolejny A-10.

Podoficer wrzeszczał, żeby baterie skierowały lufy na południe. Atakowały je dwa kolejne A-10. Obie pozostałe po poprzednim ataku baterie wzięły na cel tę samą „Świnie”. Obaj celowniczy byli dobrze wyszkoleni i z łatwością zgrali krzyżyk celownika z nosem samolotu. Wcisnęli joysticki, oddając kontrolę nad działkami komputerom. Po chwili z obu baterii posypały się, w odstępie milisekund, długie serie eksplodujących pocisków.

Krawędź natarcia trafionego A-10 oderwała się; posypały się strzępy kadłuba. Prawy ster pionowy zniknął pośród odpadających kawałków poszycia. Eksplodował prawy silnik, urywając się. Mimo to samolot nadal utrzymywał się w powietrzu!

Skrzynie z amunicją obydwu baterii były już puste. Ładowniczy gorączkowo pracowali, zakładając nowe. Tymczasem „Świnia” pozbyła się ciężkiego ładunku i poleciała dalej. To, czego dokonały

przelatujące nad grzbietami tomahawki, zostało dokończone ostatecznie przez sześć bomb Mark 82 AIR, które opadły dokładnie na cel. Obsługi baterii nie miały czasu docenić należycie tego faktu.

„Koza” Gross, który zrzucił bomby, nie zajmował się oceną spowodowanych przez nie strat. Jego samolot umierał. Nic jednak nie dziwiło go bardziej niż to, że ciągle panuje nad maszyną. Wyłączył uszkodzone wspomaganie sterów, zawołał o pomoc i skierował się ku Pustyni Jeden. Jeśli dolecę do bazy - pomyślał - będę mógł się tam katapultować. Wyciągnął zestaw pierwszej pomocy z kamizelki ratunkowej i wysypał na kolana jego zawartość. Musiał zatamować sobie krwotok.

Jeden z rosyjskich pilotów, najętych przez Żelazną Gwardię, odnalazł bezpieczne miejsce piętnaście metrów nad ziemią, pędząc na pełnej prędkości. Przeleciał pod Pontowskim i zakręcił, kierując się nad mieszkalną część bazy, gdzie zapewne Amerykanie nie będą do niego strzelać. Omal nie zderzył się z drugim Rosjaninem, który leciał teraz tuż obok niego. Koledzy latali razem w jednym kluczu i byli przyzwyczajeni do wymiany sygnałów przy pomocy rąk, bez użycia radia. Pilot postukał się w bok hełmu, zacisnął pięść, uniósł dwa palce i pokazał na północ. Drugi zrozumiał go i obaj skręcili ku północy. Po chwili ich samoloty minęły potężną bramę bazy.

Piet van der Roos był cały spocony. Zbliżał się właśnie do grzbietu zachodniego. Leciał z prędkością dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zaledwie pięć metrów nad ziemią. Jego drugi pilot ostrzegł go o zbliżającej się linii wysokiego napięcia. Piet wzniósł

więc maszynę, żeby przelecieć nad drutami. Zaraz potem zniżył się z powrotem.

- Widzę wzgórze - powiedział drugi pilot. Piet nie wznosił się, tylko w ostatnim momencie skręcił i zaczął lecieć wzdłuż podłużnego wzgórza, jednocześnie zwiększając, dopiero teraz, wysokość lotu. Wyskoczył ponad wierzchołek i od razu wylądował. Ze śmigłowca wysypało się szesnastu legionistów. Van der Roos natychmiast wystartował z powrotem. Nadleciała druga puma, także pełna Francuzów. Scena powtórzyła się, tym razem na grzbiecie zachodnim.

Cztery śmigłowce skierowały się z powrotem ku Pustyni Jeden, żeby nabrać tam paliwa i przywieźć drugi rzut żołnierzy. Dokładnie o oznaczonej porze „Iskierka” przerwała zagłuszanie na krótką chwilę, aby van der Roos mógł nadać pojedynczy komunikat.

Matt krążył nad pasem na wysokości trzydziestu metrów. Słońce schowało się za wierzchołkiem wzgórza i większa część bazy pogrążona była w cieniu. Nadleciał „Robal”, krążąc w przeciwną stronę ponad samolotem dowódcy. Kolejne sto pięćdziesiąt metrów nad „Robalem” znajdował się „Waldo”.

- Nie widzę „bandytów” - odezwał się Walderman.

Teraz radia Have Quick przekazały wiadomość od Bradforda.

- Grzbiety wzgórz zabezpieczone. - Legioniści opanowali wzgórze, a zatem na krótko otwarła się możliwość ataku, o której mówił de Royer.

Pułkownik wykonał jeszcze jedno koło, obserwując ruchy przeciwników na ziemi. De Royer wysłał go tutaj po to, żeby podjął decyzję o dalszym prowadzeniu akcji lub jej odwołaniu. Pontowski

wziął głęboki oddech i zdecydował o postawieniu wielu ludzi wobec ryzyka utraty życia.

- „Tragarzu Jeden”, możesz dokonać zrzutu. Powtarzam: możesz dokonać zrzutu. - Jego głos musiał zabrzmieć w słuchawkach Lydii Kowalski płytko i metalicznie, z powodu właściwości radia Have Quick. Po chwili Matt usłyszał spokojną odpowiedź:

- „Tragarz Jeden” potwierdza zezwolenie na dokonanie zrzutu.

Pierwszy z herculesów wleciał nad dolinę i przeleciał wzdłuż pasa startowego, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Z tylnej platformy transportowca wysypali się skoczkowie. Ostatnim z nich był Amerykanin, kapral Rogers. Wyskoczył w idealnej pozycji - tyłem, z prawą dłonią na uchwycie spadochronu zapasowego, zgięty w pół, na lekko ugiętych kolanach, ze złączonymi stopami. Kiedy spadł pierwsze sześć metrów, skończyła się lina; poczuł znajome szarpnięcie i spojrzał w górę, żeby upewnić się, czy spadochron się rozwinął. Nie rozwinął się! Szarpnął prawą dłonią, otwierając pokrywę spadochronu zapasowego. Spadochron zapasowy otworzył się w pełni akurat w momencie, kiedy Rogers uderzył w ziemię, w pozycji siedzącej.

Nad lotnisko nadleciał drugi C-130. Po nim jeszcze dwa następne.

- Udany zrzut - odezwała się Kowalski do drugiego pilota, kiedy minęli już bramę bazy. - Wracajmy po flary. - Transportowiec wzniósł się i skierował do Kapsztadu. Trzy pozostałe podążyły wkrótce za nim. Niebo zaczynało ciemnieć.

- Co się dzieje?! - krzyczał rozdrażniony Beckmann. Większość linii telefonicznych była jeszcze nieczynna, radia - zupełnie



bezużyteczne z powodu zagłuszania, radar rozbłyskiwał jak oszalały. Krótko mówiąc, generał był ślepy i głuchy. Spróbował się uspokoić. Odezwał się nagle, zupełnie cichym głosem:

- Wyślijcie pieszych zwiadowców i przygotujcie następnych. - Zwalczył w sobie chęć sprawdzenia samemu, co się dzieje. Dowódca musi pozostawać na stanowisku dowodzenia, niezależnie od okoliczności. Usiadł więc i czekał.

Powoli nadchodziły kolejne raporty, a ich treść uderzała w Beckmanna niczym grom. Żelazna Gwardia poniosła klęskę. Nad bazą krążyły trzy A-10, wyzywając każdego, kto ośmieliłby im się zagrozić z ziemi. Na pasie startowym wylądowali spadochroniarze, tworząc obronny krąg. A co najgorsze, w ręce wrogów wpadły obydwie wzgórza górujące nad bazą.

Twarz Beckmanna nie wyrażała żadnej z emocji, którymi kipiał jego umysł. Całą nienawiść skierował na nieprzyjaciela. Przed oczyma stanęło mu wspomnienie twarzy Matta Pontowskiego. Zapamiętał go, spotkali się raz na przyjęciu w Kapsztadzie.

Major dowodzący siłami bezpieczeństwa był na skraju paniki.

- Panie generale, powinniśmy jak najprędzej opuścić bazę, zanim będzie za późno! - zawołał. - Możemy wycofać się na południe i przegrupować w Bloemfontein.

- Naprawdę? - odparł Beckmann. To powiedziawszy, wyciągnął pistolet i zabił swojego zastępcę pojedynczym strzałem. Kiedy przebrzmiało echo, w bunkrze zapanowała trudna do opisanego cisza.

- Zabierzcie stąd tego zdrajcę! - odezwał się surowo generał. - Toczy się bitwa, którą musimy prowadzić. - Uśmiechnął się do oszołomionych członków sztabu. - I zwyciężymy. - Nikt już nie

piśnię o opuszczeniu Żelaznych Wrót.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Okolice Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Dwa Aero leciały równolegle do szosy, prowadzącej z Bloemfontein na północ. Kiedy piloci zobaczyli most, zwolnili i przygotowali się do lądowania. Lądowanie na szosie nie przedstawiało dla nich trudności - w Związku Radzieckim ćwiczone ich w lądowaniu nawet na ubitych, trawiastych pasach. Po wylądowaniu zjechali na boczną, także asfaltową drogę. Wyłączyli silniki i otworzyli kabiny.

Wyszli z samolotów i podeszli do dużego garażu, stojącego nieopodal. Jeden z pilotów przyjrzał się wiszącym na drzwiach kłódkom. Mruknął coś po rosyjsku, wyciągnął pistolet i przestrzelił je. Piloci podnieśli wrota. W środku znajdowały się stalowe beczki z paliwem do odrzutowców, długi wąż i ręczna pompa. Wszystkie te urządzenia były im dobrze znane, wzięli się więc za napełnianie zbiorników, zmieniając się co pewien czas przy pompie. Jeden z Rosjan sprawdził ciśnienie oleju i płynu w instalacjach hydraulicznych samolotów, drugi znalazł zbiornik ze sprężonym powietrzem i przyjrzał się oponom. Tyle mogli zrobić.

Starszy stopniem pilot podszedł do wiszącego na tylnej ścianie garażu telefonu i zadzwonił do bunkra dowodzenia Żelaznych Wrót. Zdumiał się, słysząc, że dowódca taktyczny odbiera już po pierwszym sygnale. Posłuchał chwilę. Odpowiedział, że samoloty są w pełni sprawne i nieuszkodzone. Potem, że każdy ma po dwie rakiety powietrze-powietrze i pełen bęben amunicji do działka.

Wreszcie, że latają na zmodyfikowanej wersji Aero. Wysłuchał instrukcji i odwiesił słuchawkę.

- Chcą, żebyśmy tu zaczekali. Przyjedzie ciężarówka - oznajmił. - Jego kolega wzruszył ramionami i zaczął przetrząsać garaż, aż znalazł konserwy zjedzeniem i śpiwór.

**Piątek, 24 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Sam przykucnęła przy oknie jadalni Slavina z kamerą, czekając, że może zdarzy się coś jeszcze. Jednak atak zakończył się. Bouchard skinął na nią, żeby odeszła od okna i podał jej butelkę wody.

- Co teraz? - spytała.

- Będziemy czekać.

Spróbowała odpocząć; nerwy nie pozwalały jej jednak na to. Zazdrościła Bouchardowi, który przespał prawie cały dzień.

- Co wy tu właściwie robicie? - zapytała.

- Ewakuujemy Slavinów - wyjaśnił pułkownik. - Problem w tym, że do tej pory nie przyleciał po nas śmigłowiec.

- I co teraz zrobicie?

Bouchard włączył radio, z którego natychmiast rozległ się głośny pisk. Sam przeraziła się.

- Zagłuszanie - skomentował Francuz, wyłączając nadajnik. - Będziemy czekać.

Samantha chciała wrzeszczeć. Nie miała najmniejszej ochoty na czekanie. Zapytała jednak w miarę spokojnym tonem:

- Na co mamy czekać?

- Aż ktoś przyleci i zabierze nas. Wiedzą, gdzie jesteśmy, chociaż

ja nie wiem, gdzie oni są. Jeśli nie przylecą, pójdziemy do nich piechotą, kiedy zrobi się ciemno.

### **Piątek, 24 kwietnia**

#### **Baza lotnicza Ysterplaat, Kapsztad**

De Royer siedział na stanowisku dowodzenia, Zaczęły nadchodzić meldunki. Kiedy Pustynia Jeden przekazała, że wylądował Pontowski i kołuje w stronę zbiorników z paliwem, generał wstał.

- Proszę powiedzieć pułkownikowi Pontowskiemu, że przekazuję mu pełne dowodzenie nad operacją. - Następnie generał wyszedł z budynku i skierował się do miejsca, gdzie przygotowano jego sprzęt. Czekał na powracające herculesy.

Kowalski lądowała pierwsza. Obsługa naziemna była w pogotowiu i natychmiast wzięła się do tankowania samolotu. Do końca rampy przymocowano wyrzutnik flar. Kiedy odjechała cysterna, na pokład wspięli się spadochroniarze. Ostatni był de Royer. Zajął miejsce koło prawych drzwi dla spadochroniarzy. Wskoczy jako pierwszy.

### **Piątek, 24 kwietnia**

#### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Twarz Beckmanna była ściągnięta; znać było po nim ogromne zmęczenie; prawa powieka drgała mu w nerwowym tiku. Połknął następne dwie pigułki.

- Gdzie znajduje się źródło zagłuszania? - zapytał dowódcę taktycznego.

- Dwukrotnie przerwano zagłuszanie i wtedy wykryliśmy pojedynczy obiekt, o, w tym miejscu. - Oficer dotknął ekranu

radarowego w punkcie odpowiadającym położeniu Compass Call EC-130H.

Część geniuszu Beckmanna polegała na tym, że potrafił wyczuwać nadarzające się okazje i wykorzystywać je.

- A dlaczego przerwali zagłuszanie? - zapytał.

- Przypuszczam, że przeszkadzało im we własnej komunikacji - odpowiedział dowódca taktyczny.

- To znaczy, że mają tylko jeden samolot-zagłuszkę. Świetnie. - General zaczął chodzić, czując już zwycięstwo. - Będzie musiał w końcu wylądować, żeby uzupełnić paliwo. Wtedy, przez krótki czas, będziemy mogli zaatakować. Ile *kommando* odpowiedziało na nasze wezwania?

- Dwadzieścia trzy. Przybywają z całego *Boerstaat*.

Beckmann zaczął robić w myśli obliczenia. *Kommando* składało się przeciętnie z mniej więcej pięćdziesięciu ludzi. To oznaczało, że do jego tysiąca ośmiuset żołnierzy miało dołączyć jeszcze około tysiąca stu pięćdziesięciu. Razem dawało mu to prawie trzy tysiące.

Wystarczy. Musiał teraz utrzymać pozycje wokół lotniska i zebrać wszystkich żołnierzy. W związku z tym, że telekomunikacja kuleje, a niektóre *kommanda* muszą przebyć znaczne odległości, wszystko zajmie trochę czasu. Przyjrzał się uważnie wiszącej na ścianie mapie bazy. Wokół pozycji nieprzyjaciela narysowano czerwone okręgi. Fakt, że wróg dostał się do wnętrza Żelaznych Wrót - jego gniazda, jego skarbu, jego nadziei na przyszłość - wprawiał go we wściekłość. Czuł się, jak gdyby padł ofiarą fizycznej przemocy.

Chcą cię dopaść! - usłyszał w myśli. Zapadła cisza. Przeraził się. Jeszcze nigdy nie był tak bliski śmierci.

- Czy ciężarówki dojechały już do Aero? - zapytał.
- Powinny się tam znaleźć za godzinę - odpowiedział dowódca taktyczny.
- Kiedy ustanie zagłuszanie, przeprowadzimy kontratak - oznajmił Beckmann.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Pustynia Jeden, Lesoto**

Pontowski podjechał samolotem do zbiornika z paliwem. Nie wyłączał silników. „Waldo” i „Robal” ustawili się za nim w kolejce. Kiedy obsługa naziemna dała znać, że zbiorniki samolotu są pełne, ruszył dalej i ustawił się w miejscu, gdzie czekano na niego z uzbrojeniem. Tym razem wyłączył już silniki. Wymieniono bęben amunicyjny działka avenger i podwieszono pod skrzydłami dwanaście dwustudwudziestopięcioletnich bomb. Były to jednak stare Mark-82 Snakey, czyli Wężyki. Nie widział ich od lat.

Zgodnie z tym, co zostało zaplanowane, do samolotu podszedł „Suchy”, żeby zastąpić swojego dowódcę. Waldermana także zmienił wypoczęty pilot. Matt i „Waldo” minęli samolot „Robala”, który kołował właśnie ku stanowisku techników uzbrojenia. Dwaj piloci ruszyli po nie znanym sobie lotnisku, szukając furgonetki dowodzenia i łączności. Stała zaparkowana na piasku, w sporej odległości od miejsc postoju samolotów. W środku siedział Standard.

- A co pan tu, u licha, robi? - Pontowski był zdumiony.
- A jak pan myśli, kto za to wszystko oberwie? - odpowiedział szef placówki CIA. - Poza tym, nie odpuściłbym sobie takiej operacji.

Oficer dyżurny przekazał Mattowi wiadomość, że de Royer zdał na jego ręce dowództwo nad operacją, do czasu swojego przybycia na miejsce. „Waldo” usiadł teraz na stanowisku dowódcy misji, a Pontowski - dowódcy operacji. Stąd będą prowadzić dalszą fazę bitwy. Pułkownik spojrział na tablicę informującą o stanie akcji. Dwie „Świnie” pilnowały z powietrza Żelaznych Wrót. Kowalski zbliżała się do nich, aby dokonać kolejnego zrzutu i krążyć jako samolot do wyrzucania flar. EC-130H miał pełnić swoją misję jeszcze przez dwie godziny, zanim wróci po paliwo. „Koza” Gross znajdował się na ziemi, zaledwie lekko ranny.

- Czy jesteśmy w kontakcie z „Błękitną Szarżą”? - spytał Matt.

- Tak, panie pułkowniku - odpowiedział technik od łączności. - Lotnisko zabezpieczone. Meldują o mało intensywnym ostrzale snajperskim.

Te radia, zmieniające przez cały czas częstotliwości, to wspaniałe wynalazek - pomyślał pułkownik. Zgłosił się „Robal” - jego samolot został już zatankowany i uzbrojony. Na płycie lotniska stało pięć A-10, gotowych do startu; znajdowały się piętnaście minut lotu od Żelaznych Wrót.

Przez drzwi furgonetki wsadził głowę Piet van der Roos.

- Pumy zatankowane i gotowe do akcji - zameldował. - Podczas ostatniego lotu strzelano do nas intensywnie z ziemi; jednak nie doznaliśmy żadnych istotnych uszkodzeń.

Opór wzmagają się - pomyślał Matt.

- Spróbuj trochę odpocząć, Piet - powiedział. - Będziemy mieli dla ciebie nową robotę, kiedy wyląduje kolejny hercules.

Standard odczekał, aż Afrykaner wyjdzie, po czym zapytał:

- Czy de Royer weźmie osobisty udział w decydującej fazie operacji?

- Tak - potwierdził pułkownik. - Chce ewakuować Slavina i zabić Beckmanna.

- Dlaczego uparł się na Beckmanna?

- Beckmann przebrał miarę, kiedy użył gazów paralizująco-drgawkowych. De Royer uważa go za potwora.

- Ma zupełną słuszność - ocenił Standard.

## **Piątek, 24 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloetfontein**

„Skid” Malone przeleciał tuż nad lotniskiem i skręcił w prawo, prowokując ewentualnych napastników. Ponieważ się nie pokazali, hercules Lydii Kowalski nadleciał nad pas i dokonał kolejnego zrzutu. Ze zbocza jednego ze wzgórz wystrzeliły dwie smugi, celując w transportowiec. Chybiły.

- Wchodzę - powiedział kolega Malone’a. Po chwili zbocze zaczęło rozbłyskiwać dziesiątkami małych eksplozji, gdyż pilot wyrzucił dwie CBU. Już nie strzelano. „Skid” podążył w ślady swojego partnera, czekając, czy ktoś nie wystrzeli znowu. Na wzgórzu panowała już cisza.

Nagle spośród budynków mieszkalnej części bazy wystartował stinger. Na szczęście odległość była zbyt duża i rakietę zaczęła spadać. Zanim uderzyła w ziemię, zadziałał mechanizm samoniszczący i rakietę rozblysnęła w ciemności. Malone musiał odwołać swojego kolegę.

- Nie wolno atakować części mieszkalnej. I tak nie są w stanie



zagrozić nam z takiej odległości.

- Może poświęcić wam trochę, chłopaki? - zaproponowała Kowalski.

- Trzymaj się powyżej trzech tysięcy sześciuset - odpowiedział „Skid”. - W ten sposób nie będzie ci grozić broń ręczna.

- Czy pojawiły się jeszcze jakieś rakiety? - spytała Lydia. Potężny transportowiec mógł ocaleć tylko w rejonie o bardzo niskim zagrożeniu; nie miał szans w starciu z raketami ziemia-powietrze.

- Tylko ta jedna.

- Będziemy się tu kręcić - oznajmiła podpułkownik. Pośród ciemności rozbłysnęło kolejno dwanaście flar, oświetlając białym blaskiem dolinę. - Przez bramę przejeżdżają pojazdy - poinformowała. - Przybyły pierwsze *kommanda*.

- A więc wolno nam atakować - wyjaśnił Malone.

De Royer wszedł do hangaru i rzucił swój zwinięty w kłęb spadochron na stos innych. Jego radiotelegrafista, który niósł także osobistą broń generała, zrobił to samo i podszedł za nim do ciemnego kształtu, leżącego na ziemi. Był to worek zakrywający ciało zabitego. De Royer przystanął i popatrzył na niego. Zginął jeszcze jeden legionista.

- Kapral Rogers - odczytał. - Amerykanin. - Generał zasalutował ciału i ruszył w kierunku zdobytego bunkra, służącego za tymczasowe stanowisko dowodzenia.

Znajdujący się wewnątrz mężczyźni wyprężyli się na baczność. Milczeli. De Royer był ostatnią osobą, jaką spodziewali się zobaczyć.

- Panie generale... - Dowodzący „Błękitną Szarżą” pułkownik

zająknął się.

De Royer spojrział na przypiętą do ściany mapę sytuacyjną.

- Chcę obejść zabezpieczony obszar - oświadczył.

- Oczywiście - odpowiedział pułkownik i zawołał jednego z poruczników, aby służył za przewodnika. - Według rozkazu, panie generale.

De Royer zatrzymał się na chwilę i powiedział:

- Kontynuujcie to samo, co do tej pory.

Brenda Conklin wypuściła klapy i podwozie i nadleciała nad trawiasty obszar obok pasa startowego. Utrzymywała prędkość dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę, podczas gdy z tyłu C-130 wysunął się potężny spadochron. Widziała jakieś eksplozje w okolicach bramy wjazdowej do bazy. Zniżyła jeszcze lot, omal nie dotykając kołami trawy. Po lewej „przelatywał” pas startowy.

- Zielone światło! - rzuciła. Dowódca ładowni zwolnił zaczepy, przytrzymujące palety z ładunkiem w szynach. Spadochron był przymocowany do ostatniej z nich i teraz wyciągnął wszystkie cztery z samolotu.

Brenda pociągnęła przepustnice do oporu i zawołała, żeby wciągnięto podwozie i klapy. Nigdy jednak nie wykonano tego rozkazu. Z ziemi wystrzelił grad karabinowych serii, dziurawiąc kabinę i skrzydła transportowca. Conklin ciągnęła za drążek sterowy, gdy ciało jej przeszył straszliwy ból. Próbowwała jeszcze prowadzić maszynę, ale samolot runął na ziemię.

Legioniści pobiegli w kierunku palet i zaczęli zrywać z ładunku liny. Obok w kłębach dymu płonął wrak herculesa. Dostarczono im

obiecane dziewięć ton amunicji.

Koszty przesyłki: dwoje pilotów, nawigator, mechanik pokładowy, dowódca ładowni i jeden C-130.

Beckmann czuł, że jego baza zaczyna znów tętnić życiem. Uruchamiano kolejne połączenia telefoniczne; ustaliła się zorganizowana sieć posłańców. Jednak meldunek o zbombardowaniu bramy wjazdowej do bazy i wybiciu przy tym dwóch *kommando* wywołał w nim dreszcz wściekłości. Brama, potężna struktura z kamienia i żelaza, wrota do jego twierdzy, były dla niego symbolem. Nadawały znaczenie jego walce, bardziej nawet niż wojenny okrzyk „*Blut und Boden!*”. Poza tym, potrzebne mu były te dwa stracone oddziały.

Tymczasem nadszedł meldunek o zestrzeleniu C-130. W bunkrze dowodzenia rozległy się okrzyki triumfu. Beckmann dał się ponieść ogólnej radości. Dowódca taktyczny także coś krzyczał. Generał z początku nie zrozumiał jego słów. Wreszcie dotarły do niego. Zaprzestano zagłuszania! Beckmann zwiesił głowę do modlitwy - wróciła mu wiara. Wróg dostanie się w jego ręce! Przymierze nie zostało złamane.

Narkotyki przestały mu pomagać równie gwałtownie, jak zaczęły. Pod generałem ugięły się nogi. Usiadł, nie mając innego wyjścia; przez chwilę myślał, że zaraz zwymiotuje. Sięgnął jednak do butelki i połknął następne dwie tabletki. Patrzył, jak porusza się wskazówka minutowa ściennego zegara. Minęły trzy minuty, a on nie poczuł nic. Połknął więc jeszcze dwie pastylki. Tak, teraz poczuł. Wstał i oznajmił żywo:

- Nadszedł czas. Atakujmy!

## **Rozdział dwudziesty szósty**

**Sobota, 25 kwietnia**

**Pustynia Jeden, Lesoto**

Wiadomość, że de Royer jest w Żelaznych Wrotach razem z „Błękitną Szarżą”, dotarła do Matta dwie minuty po północy.

- Co on tam robi? - mruknął pułkownik, próbując zrozumieć przyczyną decyzji generała. Po chwili musiał już zająć się czym innym.

Zameldował się „Skid” Malone. Oznajmił, że wraca razem z partnerem do bazy, spożytkowawszy swoje uzbrojenie. Poinformował też o katastrofie C-130 na lotnisku Żelaznych Wrót. „Waldo” miał właśnie zarządzić start dwóch następnych pilotów, aby zmienili parę „Skida”, kiedy zgłosił się także EC-130H, prosząc o zezwolenie na lądowanie. Pontowski podjął szybko decyzję.

- Niech startują - powiedział do „Waldo” - chyba że „Iskierka” jest już blisko; w takim razie niech zaczekają. Niech „Iskierka” zatankuje i wróci do akcji tak szybko, jak to tylko możliwe.

Walderman zarządził wykonanie rozkazów, a pułkownik zastanowił się nad swoim następnym ruchem. Sprawdził na zegarze, kiedy Compass Call wylądował. Ile czasu zajmie zatankowanie go i podniesienie z powrotem w powietrze? Bradford obiecał, że lecąc do Pustyni Jeden nie wyłączą zagłuszarki; jednak wraz ze wzrostem odległości od Żelaznych Wrót skuteczność zagłuszania niewątpliwie spadła. Słysząc było dwa startujące kolejno A-10.

- Niech dwie „Świnie” pilnują Żelaznych Wrót - zarządził Matt.

Standard nachylił się do Pontowskiego i powiedział:

- Niech pan spyta Malone'a, co bombardował. - Matt przekazał pytanie. Po chwili wysłuchali odpowiedzi.

- Niedobrze - ocenił Standard. - Zdaje się, że *kommanda* odebrały wezwanie i zjeżdżają się.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

De Royer wszedł z powrotem do bunkra i przyjrzał się mapie sytuacyjnej.

- Czy zagłuszanie ustało? - zapytał.

- Trzy minuty temu - odpowiedział pułkownik.

- W takim razie czas na nas. Rozpocząć ostrzał.

Przekazano rozkaz i po chwili legioniści zaczęli ostrzeliwać bazę z niezliczonych moździerzy. Większość pocisków padała jednak kilkaset metrów przed nimi. Celownicy obniżyli trochę lufy i ostrzeliwali główną część bazy - legioniści posuwali się skokami naprzód, biegnąc i kryjąc się, gdzie się dało. Nie przestawali jednak nacierać.

W jednostkach Żelaznej Gwardii otaczających zdobyte przez nieprzyjaciela lotnisko powstało zamieszanie. Po raz pierwszy od początku bitwy zadziały radia; bunkier Beckmanna natychmiast zasypał ich rozkazami i pytaniami. Jednocześnie zaczęły przybywać *kommanda*, oczekując wskazówek co do pozycji, jakie mają zająć. Wreszcie Beckmann rozkazał przeprowadzenie akcji odbicia lotniska. Ponieważ liczebność Żelaznej Gwardii pięciokrotnie

przewyższała siły Legii Cudzoziemskiej, był przekonany, że walka będzie krótka.

Jednak de Royer i jego żołnierze mieli w tej sprawie odmienną opinię. Pierwszym argumentem, przemawiającym na ich korzyść, był ogień zaporowy z moździerzy. Legioniści szybko posuwali się naprzód, psując przeciwnikom rozpoczynające się właśnie natarcie. To, co działo się dalej, rozstrzygało się już na poziomie poszczególnych plutonów, a nie w bunkrze de Royera. Niektórzy legioniści napotykali silny opór nieprzyjaciela i okopywali się, aby kryć swoich towarzyszy, inni zawzięcie walczyli, posuwając się metr po metrze. Kiedy natomiast opór był niewielki lub żaden, postępowali szybko naprzód.

Jeden z francuskich pododdziałów dotarł do haubicy, która miała ostrzeliwać grzbiet wschodni, opanowany przez Legię. Sierżant dowodzący plutonem wydał odpowiednie rozkazy i po krótkim czasie to legioniści, obróciwszy lufę, ostrzeliwali już centralną część bazy, aż do wyczerpania amunicji.

Bouchard słuchał odgłosów walki, odróżniając poszczególne rodzaje dźwięków.

- Legia atakuje - poinformował. Wydał kilka rozkazów i jego drużyna przygotowała się do opuszczenia domu. Pułkownik kazał też Slavinom ubrać dzieci w ciemne ubrania.

- Co się dzieje? - zapytała Samantha.

- Legia atakuje Żelazną Gwardię - odpowiedział Bouchard.

- Czy idą do nas?

Pułkownik powoli pokręcił głową.

- Może później - odpowiedział.

- A co robią?

378Widocznie Bouchard nie wyraził się dość jasno.

- Niszczą Beckmanna.

Podniósł krótkofalówkę i włączył ją. Zagłuszanie ustało. Wywołał więc dowódcę atakujących legionistów na ustalonej z góry częstotliwości i porozumiał się w ten sposób z bunkrem zajmowanym przez de Royera. Mówił teraz szybko, na pół francuskim, na pół specyficznym żargonem, którym porozumiewano się w Legii Cudzoziemskiej. Żargon ten sam w sobie stanowił kod, który trudno było rozszyfrować. Pułkownik złożył antenę i wyłączył krótkofalówkę.

- Przyślą po nas śmigłowiec, kiedy zaczną znowu zagłuszanie. Poczekamy na niego. To już nie potrwa długo.

Beckmann nigdy jeszcze nie znajdował się pod ostrzałem moździerzy; w związku z tym czuł się dość niewyraźnie. Opanowywał się żelazną wolą, gdy w dach uderzał pocisk za pociskiem. Dwanaście metrów ziemi i betonu, ja kie miał nad głową, chroniły go dostatecznie przed działami nieprzyjaciela; nie mogły go jednak uchronić przed napływającymi informacjami. Do niedawna miał ich za mało; z chwilą gdy ustało zagłuszanie, zrobiło się ich nagle zbyt dużo. Zmuszał się do koncentracji, żeby wydobyć ważne wiadomości spośród zalewu nieistotnych. Nagle, w jednej straszliwej chwili zrozumiał wszystko - celem obecnego uderzenia Legii Cudzoziemskiej był on sam - Hans Beckmann!

**Sobota, 25 kwietnia**

## **Pustynia Jeden, Lesoto**

Podczas gdy tankowano EC-130H, Bradford poinformował Pontowskiego o nowych zagrożeniach, jakie wykryli jego technicy, i ostrzegł, że do Żelaznych Wrót przybywają znaczne liczebnie posiłki nieprzyjaciela. W pewnym momencie podpułkownik popatrzył na zegarek i pognął do swojego samolotu. Wspiął się na pokład, gdy uruchamiano już ostatni z silników. Po chwili hercules ustawił się na pasie i wystartował. Znajdował się na ziemi dokładnie przez siedemnaście minut.

Pontowski siedział niewzruszenie w furgonetce łączności. Zapisał na tablicy godzinę startu „Iskierki”, a „Waldo” obsługiwał nadajniki.

- Panie pułkowniku - powiedział - Kowalski musi brać nogi za pas. Tam się robi za gorąco.

- Niech lata wysoko i trzyma się mocno razem ze „Świniami”.

Walderman znalazł więc dla Lydii bezpieczny rejon. W tym czasie Matt wywołał de Royera i wytłumaczył mu, że bez flar, oświetlających cel, jego A-10 będą musieli kierować łącznościowcy Legii. Zakończył krótkim pytaniem:

- Jak wygląda wasza sytuacja?

Odpowiedź generała nie była uspokajająca.

- Sytuacja jest zmienna. Posuwamy się naprzód, na południe, ale napotykamy silny opór nieprzyjaciela. Przez północną granicę opanowanego przez nas obszaru próbują przedrzeć się jednostki Żelaznej Gwardii. Nieprzyjacielski jeniec wyjawiał nazwy miejscowości, z jakich przybyły dwa *kommanda* - Wynberg i Tugela; zeznaje, że od północy zjeżdżają się następne. Czy



możecie przerwać ich napływ?

Pontowski kazał Waldermanowi posłać „Świnie” wraz z podpułkownik Kowalski na północ, żeby zajęli się odcięciem drogi prowadzącej do bramy bazy.

- Samolot z flarami i dwa A-10 przybędą na miejsce za dwie minuty - przekazał de Royerowi.

- W mieszkalnej części bazy panuje cisza i spokój - powiedział Francuz. - Kiedy zostanie wznowione zagłuszanie, niech jedna z pum zabierze Boucharda. - Rozłączył się.

Ponieważ pumy nie były wyposażone w radio Have Quick, Pontowski wysłał gońca po van der Roosa.

- Nie rozumiem, o co chodzi de Royerowi - odezwał się Matt do Standarda, czekając. - Powinien siedzieć tutaj, a nie na nieprzyjacielskim lotnisku.

- De Royer chce przeżyć swoje prywatne Dien Bien Phu - odparł szef placówki CIA. W bitwie tej w 1954 roku Legia Cudzoziemska została pokonana przez oddziały wietnamskie.

- Francuzi dostali wtedy nieźle po tyłku - skomentował Matt. - Po co generałowi powtórka czegoś takiego?

Standard pokręcił głową.

- Okryje Legię chwałą zwycięstwa, albo chwałą męczeństwa - skwitował.

Tymczasem do furgonetki wpadł van der Roos. Pontowski przekazał mu rozkaz ewakuowania grupy Boucharda.

- Zrobione - odparł Piet.

- A jeśli będziesz musiał odpowiedzieć napastnikom ogniem? - zagadnął Matt. Wciąż nie miał jasności, czy van der Roos jest w

stanie strzelać do swoich rodaków, Afrykanerów.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Piet. - Już podjąłem decyzję.

- Panie pułkowniku - przerwał im Walderman. - Podpułkownik Kowalski melduje, że szosą posuwają się w kierunku Żelaznych Wrót liczne pojazdy. Prosi o wsparcie - o wszystko, czym dysponujemy.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Zagłuszanie powróciło. Paradoksalnie, pomogło Beckmannowi w jednej sprawie - odcięło bowiem napływ niepotrzebnych informacji, a on przeszedł na swój system awaryjny. Siłą rzeczy opóźniło to jednak jego reakcje na zmieniającą się ciągle sytuację. De Royer celowo posłużył się tą metodą, żeby działać szybciej niż Beckmann. Gdyby afrykanerski generał wyszkolił swoich oficerów w samodzielnym podejmowaniu decyzji, w krótkim czasie powstrzymaliby atak legionistów i okrążyli ich.

Tymczasem generał rozkazał jednemu z poruczników utrzymać za wszelką cenę zajmowaną pozycję; szybki atak Francuzów dotarł jednak wkrótce do linii stanowiącej przedłużenie pozycji plutonu. Porucznik przestał porozumiewać się z bunkrem dowodzenia i zaadaptował taktykę legionistów. Kazał swoim ludziom wycofać się, nie przerywając jednak ostrzału, i przegrupować w mieszkalnej części bazy.

Ku jego zdumieniu, taktyka okazała się skuteczna.

Parę minut po czwartej rano do bunkra Beckmanna wpadł jeden z posłańców. Sierżant odczytał podaną mu wiadomość i przekazał ją

generałowi. Podoficer usiadł i zaczął intensywnie myśleć. Odbierał i czytał wszystkie nadchodzące wiadomości, w związku z tym miał w głowie pełen obraz bitwy. Odgłosy strzałów, dobiegające z zewnątrz, zbliżały się. Nagle, nie mówiąc ani słowa, złapał hełm i wybiegł z bunkra, niknąc w ciemności.

Beckmann odczytał do końca karteczkę, zgniótł ją i rzucił na podłogę. Samolot rzucający flary i cztery A-10 odcięły drogę do Żelaznych Wrót i powstrzymały napływ nowych oddziałów. Szosa była usłana płonącymi pojazdami, a ci, którzy przeżyli atak, rozpaczliwie potrzebowali pomocy medycznej.

Część umysłu generała analizowała na zimno sytuację, drugą szarpały gwałtowne uczucia. Żelazna Gwardia była odcięta od posiłków; jednak *kommanda* przegrupują się w końcu kiedyś i jakoś się przedrą. Legioniści nie będą w stanie utrzymać Żelaznych Wrót przez zbyt długo. Wystarczająco długo, żeby go złapać - odezwał się wewnętrzny głos. Racjonalna część umysłu Beckmanna obliczyła, że mógł utrzymać się jeszcze w najlepszym razie przez cztery godziny. Niedługo po świcie - uświadomił sobie - kiedy A-10 będą mogły latać spokojnie nad bazą, przy współudziale strzelców z obu wzgórz zgniotą Afrykanerów na krwawą miazgę.

Kolejny głos odezwał się w głowie generała, i tym razem - po raz pierwszy - Beckmann rozpoznał mówiącego. Był to głos Erika. Hans wysłuchał brata i podniósł słuchawkę telefonu. Połączenie z bunkrami, do których dzwonił, nie działało. Wypisał więc rozkaz na karteczce i podał ją oficerowi łącznikowemu.

- Ten rozkaz musi dotrzeć na miejsce za wszelką cenę! - powiedział. - Niech pan wyśle posłańca i spróbuje nawiązać kontakt

radiowy. Nie wolno panu zawalić sprawy.

Zanim opuścił bunkier, wydał jeszcze swój ostatni rozkaz:

- Nie poddawajcie się.

MacKaya bolała głowa. Ból był wprost nie do zniesienia. Pułkownik przewyciężył go jednak i skoncentrował spojrzenie. Zorientował się, że leży na podłodze pokoju przesłuchań, nagi, z dłońmi skutymi za plecami. Plastikowe, elastyczne kajdanki - pomyślał. Wtedy zobaczył Zibę. Była także naga. Jej dłonie zostały jednak skrepowane przed tułowiem.

- Dlaczego on to robi? - odezwała się dziewczyna, tonem pełnym rozpacz.

- Dlaczego po prostu...? - Urwała.

- Dlaczego nie zabije nas i nie skończy z tym? - dokończył za nią MacKay. - Ten sukinsyn to wariat. Najpierw musi pognać swoje ofiary psychicznie, odrzeć z godności, pokazać im, że panuje nad nimi... Im bardziej go zdenerwujesz, tym więcej każe ci cierpieć. - John zaczął wyginać nadgarstki, obracając kajdanki tak, że spinająca je klamra oparła się o plastikową taśmę. Teraz zaczął poruszać dłońmi w obie strony, wytwarzając w ten sposób ciepło i osłabiając plastik.

Do pomieszczenia wszedł jeden z wartowników. Złapał mocno Zibę za pierś i rzucił w jej stronę:

- Czarnuch!... - Cała wściekłość, jaka gromadziła się w MacKayu, uwolniła się nagle z nieokiełznaną siłą. Podniósł się i szarpnął plastikowe kajdanki.

Kiedy znajdował się już przy strażniku, kajdanki pękły. John

uderzył żołnierza w przepone, ścisnął za szyję i podniósł z podłogi, łamiąc mu przy tym kark.

Przez drzwi wpadł drugi strażnik, trzymając przed sobą odbezpieczony pistolet maszynowy. Pociągnął od razu za spust, jednak broń zacięła się. Jeszcze usiłował go przeładować, ale MacKay już atakował. Wpadł na niego klasycznym blokiem, posyłając mężczyznę na ścianę. Następnie wyprowadził cios w gardło. Pistolet upadł z brzękiem na podłogę.

John podniósł broń i odwrócił się do Ziby. Otworzył szeroko oczy z przerażenia. W drzwiach stał Beckmann, podnosząc swój pistolet. Pułkownik bez namysłu rzucił pistoletem prosto w twarz generała. Beckmann złapał się za czoło, upuszczając broń.

MacKay skoczył do niego, czując narastającą wściekłość. Beckmann upadł na ziemię. Przez ułamek sekundy John patrzył na niego. Z jego gardła wydobył się prymitywny, zwierzęcy ryk. Podniósł Beckmanna i rzucił nim w kierunku schodów, a gdy próbował się podnieść, ogłuszył go kopniakiem. Następnie przewrócił Afrykanera na plecy i uniósł jego lewą nogę, opierając but na drugim schodku. W końcu złamał mu kolano uderzeniem stopy.

Klatka schodowa zadrżała od ryku Beckmanna. MacKay spokojnie złamał mu drugie kolano, w ten sam sposób, jak poprzednie. Stał nad nieruchomym ciałem i czuł, że odciągają go ręce Ziby. Przez chwilę stali nieruchomo. Wreszcie Ziba puściła go.

- Nie zabiję cię - odezwał się MacKay do Afrykanera, po czym zadał mu kolejny straszliwy cios.

Straty, jakie legionieści zadali oddziałowi porucznika, sprawiły, że

stał się nagle człowiekiem bardzo ostrożnym. Zadbął więc o to, żeby pozostali przy życiu żołnierze jego plutonu rozproszyli się i dobrze ukryli.

- Panie poruczniku - szepnął sierżant - tam! - Wskazał na ciemną przerwę pomiędzy dwoma jaśniejszymi bryłami domów. Porucznik zamarł ze strachu; wreszcie zobaczył, o co chodzi. Pośród nocy poruszały się w ciszy jakieś dwie osoby. Jedna z nich niosła w ramionach potężny worek. - To nasz czarnuch. - Podoficer rozpoznał MacKaya. Wszyscy już go znali.

Porucznik skinął na sierżanta, żeby żołnierze ruszyli za MacKayem.

Legionista, czuwający przy tylnych drzwiach domu Slavina, zobaczył przez swoje okulary do działań nocnych jakiś ruch.

- Panie pułkowniku - szepnął - ktoś tu idzie. - Bouchard przykucnął koło niego i czekał. Okulary do działań nocnych mają bardzo wąskie pole widzenia i osłabiają wyczucie głębi; jednak te, które nosili legionieści, pozwalały widzieć najdrobniejsze szczegóły.

- W porządku - mruknął pułkownik, rozpoznając MacKaya. Przytrzymał mu drzwi.

John położył na podłodze worek, w którym znajdowało się jakieś ciało; sam także opadł na podłogę, dysząc z wyczerpania.

- Kto to jest? - spytał Bouchard, pokazując na worek.

- Beckmann.

Pluton Afrykanerów zbliżał się do domu Slavina, kiedy żołnierze usłyszeli odgłos śmigłowca. Porucznik zatrzymał ludzi i czekał, w nadziei, że śmigłowiec należy do Żelaznej Gwardii. Kiedy zobaczył,

że to puma, rozkazał ludziom otworzyć ogień.

Śmigłowiec zawisł w powietrzu przeszyty strumieniami kul. Dziurawiły one przedział pasażerski i silniki. Jeden z celowniczych padł na podłogę; drugi otworzył ogień z karabinu i strzelał w ciemność. Piet ciągnął za stery, lecz podziurawiony śmigłowiec zaczął opadać ku ziemi, nabierając powoli także ruchu wirowego.

Uderzył w ziemię mocniej niż przy zwykłym lądowaniu i stanął w płomieniach. Porucznik po raz pierwszy od początku bitwy poczuł radość zwycięstwa. Krzyknął do swoich ludzi, żeby przestali strzelać, oszczędzając amunicję. Strzały jednak nie ucichły. Zawołał więc znowu, widząc jednocześnie, że stojący koło niego sierżant pada na ziemię, trafiony. Porucznik ledwie widział wybiegające z płonącego śmigłowca postaci - koło niego przelatywało jednak coraz więcej kul, kosząc jego ludzi. Z kim tym razem walczyli?

Rzucił się na ziemię i przetoczył pod drzewo. Zobaczył, że strzelają z domu, w którym zniknęły przedtem czarnuchy. Miał tego dość. Najpierw Legia Cudzoziemska, teraz jeszcze dwoje czarnuchów... Zawołał na ludzi, żeby wycofali się i otoczyli dom. Tę taktykę stosowali już wiele razy.

Załoga śmigłowca wbiegła do budynku i nagle zapadła cisza. Ostatnim, który wszedł, był van der Roos. Ciągnął za sobą ранnego strzelca.

- Będzie żył - ocenił jeden z legionistów. Szybko obandażował Amerykaninowi ranę.

Bouchard stanął w pewnej odległości od okna i wyjrzał na zewnątrz, posługując się okularami. Zobaczył ruch. Mieli więc tylko

kilkanaście sekund na opuszczenie domu.

- Gdzie jest Legia? - rzucił.

- Na lotnisku - odparł van der Roos.

Francuz polecił MacKayowi poprowadzić wszystkich na lotnisko. Czterech legionistów pomoże nieść rannego Amerykanina, Beckmanna i dzieci. Bouchard spojrział na piątego - brodatego podoficera.

- Zostaniesz ze mną z tyłu, Willi? - zapytał.

- Nie byłbym tutaj, gdybym nie chciał z panem zostać, panie pułkowniku - odparł żołnierz z silnym niemieckim akcentem. Będą we dwóch stanowić tylną straż.

Po co oni to robią? - myślał Piet. Czy aż tak bardzo zależy im na osłanianiu towarzyszy, czy mają jakiś inny, ważniejszy powód? W tym momencie zniknęły na dobre wszystkie jego wątpliwości.

- Ruszajcie! - zarządził Bouchard.

MacKay wybiegł z innymi tylnymi drzwiami. Czterej legioniści rozstąpili się na boki, tworząc ochronny korytarz. Bouchard trafnie ocenił sytuację - na razie nikt do nich nie strzelał.

Tymczasem francuski pułkownik podał Williemu lekki karabin maszynowy AA-52 i przyciągnął worek czterdziestomilimetrowych granatów. Ku swojemu zdziwieniu, zobaczył van der Roosa ciągnącego za sobą do pokoju cztery pasy amunicyjne do AA-52.

- Przynieśliście je ze sobą, więc trzeba je zużyć - powiedział Afrykaner.

Bouchard nie zdążył rozkazać mu pobiec za innymi. O ściany domu zaczęły obijać się kule. Padli na podłogę. Willi otworzył po chwili ogień z AA-52, a pułkownik zaczął wystrzeliwać w ciemność



granaty, zakładając je, jeden po drugim, na granatnik przymocowany do swojego ręcznego karabinu. Z drugiego pokoju odezwały się serie z francuskiego erkaemu MAT-49. Po chwili van der Roos wrócił z następnymi czterema pasami amunicji. Nagle zapadła cisza. Siła ognia, prowadzonego z domu, zaskoczyła porucznika; musiał znowu przegrupować oddział.

- Kto został w drugim pokoju? - spytał Bouchard.

- Ta Zuluska - wyjaśnił van der Roos.

Ziba także postanowiła wesprzeć tylną straż.

- *Merde* - zaklął pułkownik.

- Teraz spróbują zaatakować od innej strony - ocenił Willi. Czołgał się po podłodze, ciągnąc za sobą AA-52. Ten dziewięciokilogramowy szybkostrzelny karabin jest w stanie przecinać samochody na pół. Van der Roos podążył za Niemcem ze swoim erkaemem i pasami amunicyjnymi.

Nagle nieprzyjacielski pluton wypuścił z siebie istną burzę ognia. Dom był jednak, jak to zwykle bywa u Afrykanerów, solidnie zbudowany. Gdyby był drewniany, jak często zdarza się na południu, obrońcy wyginęliby po mniej więcej dwudziestu sekundach. Po chwili AA-52 znowu wypłoszył napastników z zajmowanych pozycji.

Porucznik był już jednak pewien, że w budynku broni się zaledwie czterech czy pięciu legionistów. Widział już swoje zwycięstwo - pod warunkiem, że uda mu się wyłączyć z akcji ten szybkostrzelny karabin maszynowy. Jeden z kaprali niósł ze sobą RPG-7 - po radziecki granatnik przeciwpancerny, którego napędzane raketowo pociski są w stanie przebić stalową płytę pancerną piętnastocentymetrowej grubości. Porucznik kazał dwóm

żołnierzom uruchomić granatnik i zniszczyć AA-52.

Willi tymczasem wołał o więcej amunicji. Piet poszedł po nią, a kiedy wracał, ścianę przebił granat z RPG-7. Podmuch zwałił Afrykanera z nóg. Podniósł się i zobaczył, że ktoś pełźnie koło niego. Ziba ciągnęła AA-52 do kuchni.

- Nie żyje - wyjaśniła. Van der Roos machinalnie podążył za nią z amunicją. Miał już jednak tylko ostatni pas.

W domu pełno było dymu; czuć było swąd. W którymś momencie Piet zobaczył, że Murzynka bandażuje pierś Boucharda. Jedno spojrzenie upewniło go, że pułkownik umiera.

Wyceluj tam - odezwał się Bouchard, pokazując palcem na drzwi. Ziba zrozumiała i wystawiła lufę karabinu na zewnątrz. Kolejna fala kul oderwała od ścian kawałki betonu i pył. Ziba załadowała ostatni pas do AA-52.

MacKay prowadził grupę szybko; już po siedmiu minutach znaleźli się poza mieszkalną częścią bazy. Kiedy zobaczył lotnisko, oddał dowodzenie jednemu z legionistów. Musieli przedostać się teraz przez linię ostrzału. Słysząc było z oddali, że wokół domu Slavina toczy się walka. John, jako zawodowy żołnierz, dawał Bouchardowi i sierżantowi szanse przetrwania jeszcze przez trzy, najwyżej do pięciu minut. Tymczasem jeden z legionistów podszedł do MacKaya i powiedział:

- Musimy dać Beckmannowi jeszcze jeden zastrzyk morfiny. Te kolana go wykończą.

- Mam nadzieję - mruknął pułkownik. - Ale uważajcie, żeby nie umarł. Ten sukinsyn musi stanąć przed sądem. - Rozejrzał się i

zaczął liczyć ludzi. Zabrakło mu Ziby i van der Roosa. - Wracam po nich! - rzucił. Zbyt wiele się wydarzyło, żeby stracił Zibę w tym momencie. Legionista rzucił mu francuski MAT-49 i sakwę z nabojami. John zerwał się do biegu.

Ogień napastników uspokoił się, a potem zanikł zupełnie. Bouchard skinął na van der Roosa, żeby się do niego zbliżył, i powiedział mu słabym głosem:

- Pan i ta kobieta... uciekajcie.
- Jesteśmy otoczeni - powiedział Piet.

Pułkownik pokręcił jednak głową i pokazał na przeciwną stronę domu; tam, gdzie płonął śmigłowiec.

- Idźcie tamtędy; nic wam nie będzie. - Nawet umierając nie stracił orientacji i zdawał sobie sprawę z tego, na co stać przeciwników. Otoczyli dom z dwóch stron, ale nie okrążyli go zupełnie, gdyż w przeciwnym wypadku sami strzelaliby do siebie.

- Policzę do dziesięciu. Kiedy zacznę strzelać, biegnijcie!... - Piet i Ziba posłuchali pułkownika i wypełzli z pokoju. Bouchard zasalutował im na pożegnanie i zaczął liczyć.

Tym razem jednak się mylił. Wprawdzie porucznik Żelaznej Gwardii był pewien, że nikt nie będzie próbował uciekać w tę stronę, gdzie wystrzeliwała co chwila amunicja z płonącego śmigłowca, jednak wolał nie ryzykować i postawił na straży kaprała i szeregowca. Dwaj żołnierze od razu zobaczyli wybiegających z domu Zibę i van der Roosa i otworzyli ogień.

Kule zaczęły padać wokół nich, a oni pognali, ile sił w nogach. Ziba, która nie porzuciła karabinu, obróciła go i wypuściła serię, nie

przystając biec. Z przeciwka odezwała się kolejna seria. Piet przyspieszył jeszcze bardziej, wyprzedzając dziewczynę. Usłyszał krzyk i obejrzał się. Ziba leżała na ziemi. Pełzła jednak przed siebie, ciągnąc przez cały czas karabin. Trafiły w nią jeszcze dwie kule.

Van der Roos zatrzymał się z poślizgiem, padając na ziemię, a potem rzucił się z powrotem. Jeszcze jedna seria zmusiła go jednak do padnięcia na ziemię. Wyciągnął pistolet maszynowy, przetaczając się po trawie. Podniósł się i dopadł Ziby, opróżniając po drodze cały magazynek. Złapał jej erkaem i ostrzeliwując wrogów, podniósł dziewczynę na nogi.

MacKay znalazł się na otwartej przestrzeni i zobaczył dwoje Afrykanów o różnym kolorze skóry, jak usiłują ukryć się przed wrogimi kulami. Otworzył ogień, próbując osłonić Zibę i van der Roosa. Dziewczyna upadła po raz drugi. Podniosła wzrok i dysząc, szepnęła po zulusku:

- Uciekaj!

- Uciekniemy razem! - odparł Piet w *afrikaans*, schylając się po nią.

Dopadła ich długa seria z erkaemu.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

**Sobota, 25 kwietnia**

**Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

De Royer chodził tam i z powrotem po bunkrze, wysłuchując co chwila nowych meldunków. Potwierdzały w tej chwili to, co i tak słyszał - czyli ciszę. Opór nieprzyjaciela załamywał się - Żelazna

Gwardia stopniowo się poddawała. Pozostało już tylko kilka oddzielonych od siebie gniazd oporu. Generał zdjął hełm i kamizelkę przeciwodłamkową i założył błękitny beret. Wydał kolejne rozkazy pułkownikowi i wyszedł na zewnątrz.

Itzig Slavin, zobaczywszy wchodzącego do hangaru generała, wstał.

- Dziękujemy panu - powiedział. - Moja rodzina... - Nie mógł znaleźć odpowiednich słów. De Royer potrząsnął dłonią uczonego i zobaczył leżącego na ziemi Beckmanna.

Francuski generał wykonał swoje zadanie. Ewakuując Slavina, wytrącił z rąk Beckmanna Numer Jeden. Przez chwilę zastanawiał się, czy Slavin rzeczywiście odkrył metodą kontrolowanej fuzji jądrowej. Jeśli nie, kto wie, może tego bliski? Generał poczuł satysfakcją. Czas kończyć misję. Zwrócił się jednak do odpoczywającej nieopodal amerykańskiej dziennikarki:

- Panno Darnell, jest tu wiele rzeczy, które powinna pani obejrzeć, zanim się wycofamy.

Sam była wyczerpana. Właściwie miała ochotę rzucić się na leżący w rogu stos spadochronów i przespać cały tydzień.

- Ile mam na to czasu? - spytała jednak.

- Nie jestem pewien - padła odpowiedź. - Dostanie pani eskortę. Będą kierować panią tam, gdzie jest bezpiecznie, i przyprowadzą panią z powrotem, kiedy nadejdzie pora.

- Dziękuję, panie generale. - Samantha wzięła kamerę i podążyła za czterema legionistami.

**Sobota, 25 kwietnia**

## **Pustynia Jeden, Lesoto**

- Przekaż wiadomość „Iskierce” - polecił Pontowski.

„Waldo” wcisnął butem umieszczony w podłodze przycisk nadajnika i odezwał się:

- „Iskierko”, tu „Pustynia Jeden”. Przerwij zagłuszanie. Powtarzam: przerwij zagłuszanie.

- Dlaczego de Royer wydał taki rozkaz? - spytał Standard, nie rozumiejąc, z jakiego powodu mają pozwolić Żelaznej Gwardii odzyskać łączność.

- Dlatego, żeby resztki Żelaznej Gwardii mogły przekazać, że się poddają - wyjaśnił Pontowski. Gdzie on się tego nauczył? Aha, w szkole oficerskiej; kiedy był kapitanem. O czym jeszcze przypominał mu de Royer?

- Panie pułkowniku - wracają ostatnie ze „Świń” - zameldował Walderman.

- Niech przygotują samoloty do następnego lotu - rozkazał Pontowski.

- Szefie, ludzie są już strasznie zmęczeni... - przypomniał „Waldo”.

Matt wiedział o tym. Musiał się zorientować, ile czasu mógł jeszcze wycisnąć siły ze swoich pilotów?

- Chodźmy przywitać żołnierzy - rzucił Standardowi, wziął krótkofalówkę i wyszedł pierwszy.

Dwaj mężczyźni szli od samolotu do samolotu i rozmawiali z pilotami. „Waldo” miał rację; wszyscy byli po prostu wyczerpani. Latali od świtu poprzedniego dnia; niektórzy startowali nawet sześć

razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Sześć razy brali udział w walce! Pułkownik wiedział, co to znaczy dla pilota. Dzięki Bogu, że w tej fazie operacji nikt z moich ludzi nie zginął! - pomyślał. Wtedy przypomniał sobie o poległej załodze C-130. Jak mógł tak szybko o nich zapomnieć? To się więcej nie zdarzy - obiecał sobie.

„Robal” siedział na ziemi, oparty o rampę.

- Jak leci? - spytał Pontowski.

- Jestem wykończony - powiedział kapitan, nie podnosząc się.

Matt nagle odczuł niepokój. Musiał z nim coś zrobić - kiedy poprzednio zlekceważył przeczucie, zginęli „Tango” i Tanya Perko. Niejeden raz wystarczy.

- Słuchaj - powiedział - muszę wysłać w powietrze dwie „Świnie”, jako ochronę myśliwców; reszta powinna być gotowa w każdej chwili do startu.

Stuart wstał. Dla Pontowskiego zrobi to.

- Myślę, szefie, że to rozsądny pomysł.

- Ale nie ty. Kto jest najmniej zmęczony?

„Robal” zastanowił się przez chwilę. Teoretycznie wszystkim należał się odpoczynek. Jednak podczas bitwy takie rzeczy się nie liczą.

- Pan, „Waldo” i „Suchy” - odpowiedział.

Matt bardzo chciał polecieć i wziąć udział w akcji, jednak miał inne zadania do wykonywania. De Royer usiłował nauczyć go tego od samego początku, poprzez swoje decyzje.

388Pontowski był dowódcą wyższego szczebla i jego obowiązkiem było decydowanie, co, kiedy i kto ma robić. Podniósł więc do ust

krótkofalówkę.

- „Waldo”, polecisz. Idź po swój sprzęt. Wyślę cię razem z „Suchym”, żebyście utworzyli CAP. Ty będziesz dowodził. Startujcie możliwie jak najszybciej.

Dlaczego jednak de Royer pozwolił mi pełnić rolę dowódcy misji z powietrza? - zastanawiał się pułkownik. Wreszcie zrozumiał. Krytyczna dla operacji decyzja kontynuowania lub zaprzestania ataku musiała zostać dokonana na miejscu, przez kogoś, kto znał się na akcjach lotniczych. W tym przypadku obowiązki dowódcy łączyły się z wystawieniem się na takie samo ryzyko, na jakie narażali się inni.

Zmarznięty, zmęczony i głodny Pontowski, stojąc w ciemności, zrozumiał nagle de Royera.

- Cholera... - mruknął pod nosem. Sytuacja generała była podobna - krytyczna dla operacji decyzja o wycofaniu się z Żelaznych Wrót musiała zostać podjęta przez kogoś, kto znał się na akcjach wojsk lądowych. De Royer znajdował się tam, gdzie musiał, żeby w odpowiedniej chwili podjąć odpowiednią decyzję.

Generał nie miał wcale kompleksu męczennika i niepotrzebne mu było drugie Dien Bien Phu. Dzielił po prostu ryzyko z innymi, kiedy było to potrzebne, i dawał swoim żołnierzom przykład.

Matt uśmiechnął się do Stuarta.

- Chodź, zjemy coś. Będziesz kierował misją z ziemi - powiedział.

- O, nie! - jęknął „Robal”.

Pontowski wiedział, co czuje kapitan.

**Sobota, 25 kwietnia**



## **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Sam stała koło bunkra dowodzenia. Włączyła kamerę. Dwaj legioniści okładali potężne drzwi bunkra materiałami wybuchowymi. Pozostała przy życiu część sztabu Beckmanna zabarykadowała się w środku, odmawiając poddania się. Saperzy odsunęli się, rozwijając za sobą przewody. Eksplozja otworzyła drzwi i zdmuchnęła saperów.

- Wybuchło od środka - wytłumaczył Samancie legionista.

Odetchnęła, widząc, że dwaj saperzy podnoszą się i otrzepują z kurzu.

- Zabarykadowali się na amen - ocenił żołnierz.

- Myśli pan, że jeszcze żyją?

Legionista wzruszył ramionami.

- Tak mi się wydaje. Chce pani teraz obejrzeć szubienicę? - Sam skinęła głową, bojąc się tego, co zobaczy. Eskorta zaprowadziła ją do budynku bezpieczeństwa. Na wewnętrznym dziedzińcu stała nieuszkodzona szubienica.

- *Mon Dieu!* - szepnął jeden z legionistów. - Mój Boże!

- Patrzcie tu! - zawołał drugi. Po chwili dziennikarka znalazła się w pokoju przesłuchań. Następne pięć minut było po prostu koszmarne. Nigdy nie oglądała czegoś podobnego. Ręce jej się trzęsły, kiedy jeden z żołnierzy objaśniał jej, co filmuje. Nie mogła tego znieść i pobiegła po schodach na górę.

- Niech pani pokaże światu, kim są Afrykanerzy! - zawołał za nią jeden z legionistów.

Piet van der Roos jest Afrykanerem - pomyślała. Wcale nie jest

taki jak ci. Cała jego rodzina to przyzwoici, dobrzy ludzie. I taka sama jest większość Afrykanerów, których widziałam. Tutaj mieszkali słudzy szaleńca; społeczne wyrzutki, pełne nienawiści.

- To mogło się zdarzyć gdziekolwiek - powiedziała legioniście, który wyszedł za nią. - Gdziekolwiek - powtórzyła, żeby do niego dotarło. To właśnie pokaże światu. W krótkofalówce żołnierza zatrzeszczało i ktoś przekazał mu informację.

- Pan generał woła panią do bunkrów do przechowywania broni - wyjaśnił.

Podążając za de Royerem podziemnymi korytarzami, Sam wiedziała już, że zrobiła reportaż roku.

- Gdyby nie doktor Slavin, nie odnaleźlibyśmy tego - odezwał się generał po angielsku. Samantha trzymała się jak najbliżej de Royera, żeby mikrofon kamery nagrywał jego słowa. Jakiś sierżant otworzył przed nimi pancerne drzwi.

- Oto zbiorniki z gazem paralizująco-drgawkowym.

- Co z nimi zrobicie? - spytała Sam.

- Ułożymy koło zbiorników materiały wybuchowe, uszczelnimy bunkry, i wysadzimy to w powietrze - wyjaśnił de Royer.

- Mogę to sfilmować?

- Oczywiście.

Sam wymieniła w kamerze kasetę i baterię.

**Sobota, 25 kwietnia**

**Okolice Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

Lee Bradford czuł się bardzo zmęczony. Spojrzał na zegarek. Już

rano - pomyślał. Siedział przy swoim stanowisku w ogonie EC-130H. Pił kawę. Zaczął rozmyślać nad tym, czego dokonała jego załoga. Szkoda, że nikt się o tym nie dowie - pomyślał. Taki jednak już los wojsk elektronicznych. Mimo wszystko, czuł się zadowolony.

- Panie pułkowniku - odezwał się przez interkom jeden z techników - odbieramy nadawanie na sieci taktycznej. Zagłuszać je?

Bradford nadstawił uszu. Sieci taktycznej używano przed startem myśliwców. Pstryknął przełącznikiem i słuchał. Wydawano rozkazy pilotom dwóch Aero.

- Zagłuszać! - krzyknął. - Skąd nadają?

- Z bunkra dowodzenia - odparł technik.

- A skąd mają wystartować Aero?

Oficer podał współrzędne.

- Panie pułkowniku - dorzucił - znam trochę rosyjski; ci piloci rozmawiali ze sobą po rosyjsku. Mówili, żeby założyć maski przeciwgazowe.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Pustynia Jeden, Lesoto**

Bradford przemówił na wszystkich częstotliwościach naraz:

- Uwaga wszystkie samoloty. Od północy zbliżają się dwaj „bandyci”. Są przygotowani na zrzućenie broni masowej zagłady. Powtarzam: „bandyci” są przygotowani do zrzućenia broni masowej zagłady. - Podał jeszcze współrzędne miejsca startu.

„Robal” siedział w furgonetce dowodzenia. Nachylił się do mikrofonu i krzyknął:

- „Waldo”, słyszałeś?

- Potwierdzam - odparł Walderman dużo spokojniejszym głosem niż Stuart. - Balast za burtę! - A-10 pozbyły się ciężkich bomb i skręciły na północ, w poszukiwaniu napastników. „Waldo” kazał „Suchemu” przejąć dowodzenie, ponieważ miał on ze sobą dwa sidewindery i pełen zapas amunicji do działka. Walderman dysponował natomiast tylko 542 pociskami i niczym więcej.

Poważna sprawa! - pomyślał Matt. Te dwa Aero na pewno mają ze sobą gaz. Ile osób zdoła przeżyć bez kombinezonów MOPP, nawet jeśli mają maski? Ilu niewinnych cywilów zginie?- Mamy tu pięć „Świń”- powiedział Pontowski do Stuarda. - Niech polecą i utworzą CAP nad Żelaznymi Wrotami i de Royerem. - „Robal” zajął się wydawaniem odpowiednich rozkazów; cztery minuty później dwa pierwsze A-10 były już w powietrzu. Pułkownik spojrzał na zegarek. Od Żelaznych Wrót dzieliło je piętnaście minut lotu. Za dużo!...

- Panie pułkowniku, ląduje transportowiec - zameldował „Robal”.

Przyleciał hercules z rannymi. De Royer rozpoczął wycofywanie się.

- Wykorzystajmy wszystkie trzy C-130; wyślij też pumy - rozkazał Pontowski. - Mogą nam pomóc. - Wyszedł na dwór. Było już jasno; słońce wzniosło się ponad horyzont.

- „Waldo”, znajdźcie ich... - szepnął.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Okolice Bloemfontein, Republika Południowej Afryki**

„Waldo” miał problem. Pilotował samolot myśliwsko-szturmowy - maszynę, która została zaprojektowana do niszczenia czołgów i bezpośredniego wspierania walczących z nieprzyjacielem wojsk

lądowych. A-10 nie jest typowym myśliwcem, którego zadaniem jest odszukiwanie samolotów wroga i niszczenie ich w powietrznej walce. A tego właśnie musiał dokonać. Do dyspozycji miał tylko dwie pary oczu - własną i „Suchego”.

Piloci rozdzielili się i zaczęli szukać w różnych rejonach - Talbot przeniósł się na północny zachód w stosunku do Waldermana. Mieli nadzieję, że w ten sposób obejmują wzrokiem większy obszar i że lepiej uzbrojony „Suchy” penetruje obszar, w którym prawdopodobieństwo spotkania intruzów jest większe. Latali po torach, stanowiących wydłużone ósemki, ciągnące się ze wschodu na zachód; skręcali zawsze ku północy. Postępowanie takie miało jednak poważną wadę - nie mogli się wzajemnie osłaniać.

Dwa Aero leciały szeroką doliną, tuż nad ziemią, kiedy piloci zobaczyli nad sobą skręcającego A-10. „Suchy” przygotowywał się właśnie do przelotu w stronę wschodnią. Najczęściej sukces w walce powietrznej jest po prostu skutkiem wykorzystania nadarżającej się sposobności. Rosjanin lecący na przedzie skręcił za Talbotem, podniósł dziób samolotu i znalazł się bezpośrednio za nim i nieco niżej. Zbliżył się, aby strzał był pewny. Miał nawet czas na sprawdzenie, czy dobrze ustawił wszystkie przełączniki.

„Suchy” machinalnie pochylił maszynę, żeby sprawdzić, co znajduje się pod nim i za nim. Większość pilotów myśliwskich nie widzi wrogiego samolotu ani rakiety, która ich zabija. Talbot zdążył zobaczyć i jedno, i drugie.

„Waldo” spostrzegł z daleka eksplozję.

- „Suchy”!!! - krzyknął, zrozpaczony. Nie było żadnej odpowiedzi. Pojawiło się natomiast Aero, którego pilot wykonywał beczkę na

znak zwycięstwa! Nadleciało drugie Aero i oba skierowały się na południe. Walderman pobladł. Pociągnął do oporu dźwignie przepustnic i zawołał przez radio: - Dwóch „bandytów”; trzydzieści osiem kilometrów od bazy; kierują się do niej; wysokość - dwieście pięćdziesiąt metrów! - Po chwili dodał: - Zestrzelili „Suchego”. Wchodzę. - Odpowiedział mu Bradford. Wyjaśnił, że w powietrzu nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc, i że „Waldo” ma cztery minuty na dogonienie dwóch Aero i zestrzelenie ich.

Położenie, wysokość i prędkość samolotu Waldermana dawały mu szansę. Jeśli linia pomiędzy nim a „bandytami” stanowiła jeden bok trójkąta, a tory lotu jego i ich pozostałe dwa boki, to „Waldo” leciał po krótszym z tych dwóch boków. Był też wyżej niż Aero. „Świnie” bardzo dobrze zachowują się podczas opadania; Walderman zamienił swoją przewagę wysokości na zwiększoną prędkość. Aero leciały z prędkością pięciuset dwudziestu kilometrów na godzinę; piloci oszczędzali paliwo. Kiedy zobaczyli „Waldo”, przekraczał siedemset kilometrów na godzinę i nadal przyspieszał.

Aero skrzyły ku niemu, próbując zestrzelić go od razu. Walderman nie dał jednak się zaskoczyć - wykonał, idąc w ich ślady, gwałtowny zwrot w lewo. Przeciężenie przygniatało pilotów. Przez ułamek sekundy do „Waldo” uśmiechnęło się szczęście - pierwszy z pilotów zacieśnił zakręt tak bardzo, że wywołał przeciężenie 5 G. To nic nadzwyczajnego podczas walk powietrznych, ale maska przeciwgazowa, którą miał na sobie Rosjanin, przesunęła się pod wpływem siły bezwładności i zasłoniła mu częściowo widok. Instynktownie popuścił trochę stery i „Waldo” zdołał znaleźć się za nim.

Teraz trzy odrzutowce krążyły, ścigając się wzajemnie, na wysokości stu dwudziestu metrów nad ziemią. Kiedy wrogi samolot znalazł się w polu celownika, Walderman szarpnął na krótko za spust. Działko wystrzeliło sześć pocisków i wtedy szczęście opuściło amerykańskiego pilota. Szósty z wydobywających się z wielką szybkością z bębna amunicyjnego pocisków nie był prawidłowo zamocowany do trzymającego go pasa. Uderzył pod kątem w zamek i eksplodował.

Pierwszy z pocisków, które wyleciały z lufy działka A-10, przeleciał obok Acro; drugi uderzył w dźwigar prawego skrzydła; pozostałe trzy spudłowały. Ten, który trafił, wykonany był ze zubożonego uranu; nie mógł więc eksplodować, ale uderzył z taką siłą, że oderwał skrzydło od kadłuba. Aero pochyliło się w prawo i uderzyło w ziemię.

Następne wydarzenia trwały krócej niż przeczytanie niniejszego zdania. Eksplozja działka, odrywając część dzioba, przerwała także przewody hydrauliczne; stery natychmiast odmówiły posłuszeństwa. Walderman wyleciał z zakrętu i szarpnął przepustnice do końca, ciągnąc za drążek sterowy. Samolot zwolnił, a pilot zawahał się na moment, widząc za sobą szybko zbliżające się Aero. Jednak kiedy zorientował się, że nieprzyjacielski pilot chce minąć go z prawej, popchnął do końca prawy orczyk, zwałając się na prawe skrzydło, wprost na przelatującego wroga.

Shczęście nie miało już nic do powiedzenia. Wynik zderzenia był skutkiem zwykłych praw fizyki i pracy inżynierów firmy Fairchild. A-10 był znacznie cięższy niż Aero i zbudowany jak czołgi, do których zwalczania był przeznaczony. Nie rozpadł się, w

przeciwieństwie do samolotu Żelaznej Gwardii. „Waldo” uzyskał swoje czwarte powietrzne zwycięstwo - a pięć oznacza tytuł asa powietrznego. Wszystko, co miał do zrobienia, to przeżyć.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Żelazne Wrota, niedaleko Bloemfontein**

Legioniści odnaleźli MacKaya siedzącego na ziemi koło dwóch ciał. Wstał powoli, zobaczywszy francuskiego generała w towarzystwie dwóch sierżantów, którzy wylądowali z Bouchardem.

- To ten człowiek, panie generale; ten, o którym panu opowiadałem - powiedział jeden z nich.

MacKay stanął na baczność i zaszalutował.

- Pułkownik John MacKay, Armia Stanów Zjednoczonych - zameldował się.

De Royer odpowiedział na salut i zapytał:

- Czy to jest tych dwoje Afrykanów, którzy zostali z Bouchardem?

Głos MacKaya, ostry, urywany, z trudem wydobył się ze ściśniętego rozpaczą gardła:

- Tak jest, panie generale. Kiedy przybiegłem, było już za późno. - Pokazał dwa inne ciała, leżące na skraju trawnika. - Dopadłem ich. Pozostali... wzięli szturmem dom. Uciekli... kiedy zrobiło się widno.

De Royer rozejrzał się.

- Czy warto było to robić? - rzucił MacKay.

Generał nie odpowiadał. Stali tak, naprzeciw siebie, bez słowa. W końcu John odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Znaleźliśmy w domu pułkownika Boucharda... - zameldował jeden z sierżantów. De Royer ruszył za nim i przeszedł przez



rumowisko, które do niedawna stanowiło ścianę domu Slavina. Wszedł do kuchni. Ciało Boucharda leżało w kałuży krwi, twarzą do ziemi. Przy jego boku leżał MAT-49. W drzwiach znajdowały się skulone ciała dwóch żołnierzy Żelaznej Gwardii. Karabin AA-52 leżał obok, razem ze zużytym pasem amunicyjnym. De Royer nachylił się i sięgnął do worka, w jakich legionieści noszą czterdziestomilimetrowe granaty. Worek także był pusty.

Generał delikatnie odwrócił jego ciało.

- W drugim pokoju leży sierżant Willi Storch - odezwał się ktoś za plecami Royera.

- Zabierzcie go - odparł krótko generał. Poprawił na ciele Boucharda przekrzywioną kamizelkę przeciwodłamkową. Cóż, przyjacielu - pomyślał - ilu wrogów zdołałeś powstrzymać?

Powoli zdjął z lewej ręki pułkownika czarną rękawiczkę. Dotknął brzydkich blizn po oparzeniach, pokrywających szkielet ludzkiej dłoni. Mimo wszystko, dłoń ta funkcjonowała, dzięki sile charakteru Boucharda, który uparł się, że wyzdrowieje z oparzeń, które omal go nie zabiły.

De Royer podniósł się i stanął na baczność. Zasalutował, ciągle trzymając w ręku czarną rękawiczkę.

## **Sobota, 25 kwietnia**

### **Pustynia Jeden, Lesoto**

Płyta lotniska była przepelniona. Znajdowało się na niej: czterystu żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, pięć A-10 i dwa C-130. Brakowało jeszcze tylko pum, herculesa Lydii Kowalski, no i „Waldo”. Pontowski wyszedł z furgonetki i ruszył przed siebie, mijając duży

namiot, w którym dwaj francuscy lekarze i cztery pielęgniarki dokonywali istnych cudów medycznych. Dalej znajdował się drugi namiot, w którym leżało czternaście ciał, zamkniętych w workach.

Do pułkownika dołączył Standard.

- Czy to ostatni C-130? - zapytał, pokazując na lądujący transportowiec.

- Tak. Na jego pokładzie powinien znajdować się de Royer i jego sztab. - Patrzyli, jak hercules kołuje na miejsce postoju.

Standard pokręcił głową.

- Dorwą mi się do tyłka, kiedy dowiedzą się, że byli tu Francuzi - powiedział.

Pontowski miał ochotę zapytać, co to za „oni”; zamiast tego stwierdził jednak:

- Macie tu znakomitą bazę. Można stąd prowadzić wojnę.

- O to właśnie chodziło, kiedy ją budowano - odparł Standard. Roześmiał się. Znajac Genghę Dung, przewidywał, że prześle departamentowi obrony szczegółowy rachunek za wykorzystanie Pustyni Jeden. - Niech pan tylko poczeka, aż nadejdzie rachunek - powiedział.

Wylądował śmigłowiec. Już tylko dwa - pomyślał Matt. Pomy zbierały legionistów, którzy opanowali wzgórza ograniczające Żelazne Wrota. Byli oni pierwszymi ludźmi, którzy tam wylądowali, i ostatnimi, którzy stamtąd odlatywali. Na trapie herculesa ukazała się wysoka postać. De Royer.

Pontowski zasalutował.

- Dobra robota, panie generale - powiedział.

- Czy wszyscy już wylądowali? - zapytał de Royer.

- Lecą jeszcze dwie pumy; pozostał także „Waldo”. Wypala paliwo.
- Dlaczego nie ląduje?

- Nie pozwalam mu - odparł Matt. Musiał to wytłumaczyć. - Stracił hydraulikę i steruje bez pomocy wspomagania. Według podręcznika powinien się w takiej sytuacji katapultować, ale on uparł się, że ocali samolot. Jest całkiem prawdopodobne, że rozbije się przy lądowaniu i zablokuje przy okazji pas. Dlatego też wypala paliwo i pozwala przy tym wszystkim innym wylądować przed nim.

- Dlaczego po prostu nie rozkaże mu pan wyskoczyć? - spytał de Royer.

- Sugerowałem mu to - odpowiedział Pontowski. - Ale to jego decyzja. - Generał pokiwał głową. Matt wcisnął guzik krótkofalówki.

- „Robaki”, powiedz „Waldo”, że może lądować - oznajmił.

- Potwierdzam.

Nadleciała druga puma. Dwaj dowódcy stali, zamyśleni; każdy rozmyślał o czym innym. Standard przerwał milczenie, pytając:

- Panie generale, czy zniszczył pan bazę Żelaznej Gwardii?

- Nie.

- Czy przekazał pan ją komuś?

- Tak.

Standard pomyślał, że de Royer nie należy do najrozmowniejszych ludzi pod słońcem.

- Komu, panie generale? - pytał.

- Jednemu *kommando* - wyjaśnił de Royer. Dwaj mężczyźni spojrzeli na niego w zdumieniu, nie wierząc własnym uszom. Na ustach Francuza zagościł uśmiezek; generał stłumił go jednak. - Oddałem im bazę i przykazałem, żeby używali jej do właściwych

celów.

- Dlaczego?! - dopytywał Standard.

- A komu jeszcze mogłem ją przekazać? To ich baza. Poza tym mamy ze sobą Beckmanna.

- O mój Boże!... - mruknął Standard. - Jak? Kto tego dokonał?

- Schwycił go pański człowiek, MacKay - odpowiedział de Royer.

- A gdzie jest MacKay?

Generał pokręcił głową.

- Poszedł sobie - wyjaśnił.

Wylądowała trzecia, ostatnia puma. Matt odetchnął z ulgą, zobaczywszy wysiadającą ze śmigłowca Samanthę Darnell. Cały czas trzymała swoją kamerę. Patrzył na nią, jak się zbliża, i poczuł żal, że sprawy ułożyły się tak, jak się ułożyły. Takie jednak bywa życie. Z zaskoczeniem zobaczył, że de Royer saltuje dziewczynie. Przypomniała mu się scena z bazy Andrews, kiedy Francuz zasalutował w podobny sposób rodzicom Patricii Owens.

- Dziękuję panu, panie generale - powiedziała Sam. Spojrzała na Pontowskiego. - Chciałam odlecieć ostatnim śmigłowcem.

- Cieszę się, że spełniło się pani życzenie, panno Darnell - odparł Matt.

- Proszę mówić do mnie Sam, panie pułkowniku... - Czy śmiała się z niego? - Rozejrzała się. - Na co panowie czekacie?

- Na to - wyjaśnił Pontowski, pokazując palcem na zniżającego się „Waldo”.

- Ruszaj się, sukinsynu!... - mruknął Walderman. Pot ściekał mu po twarzy. Był już bardzo zmęczony, pilotując dwie godziny bez

wspomagania, i mówienie do samego siebie pomagało mu. Rozumiał jednak, dlaczego pułkownik nie pozwolił mu wcześniej lądować.

Jak to on powiedział? „Katapultuj się z tego ptaszka, «Waldo». Mam całe masy «Świń», a ciebie tylko jednego.”

- Przykro mi, panie pułkowniku - odparł Walderman do samego siebie. - To ograny tekst. Zwracam panu tę maszynkę. - To jednak także był ograny tekst.

- Awaryjne wypuszczenie podwozia - powiedział, biorąc się do roboty. Wyciągnął specjalną dźwignię i rzucił ją na podłogę. - Dwie zielone lampki - mruknął. Oznaczało to jednak, że wprawdzie główne podwozie opadło, jednak pojedyncze koło z przodu jeszcze nie. Szarpnął samolotem, żeby podwozie uwolniło się, ale nic z tego.

Zwiększył więc prędkość i przeciążył samolot, osiągając dwa G.

- Co jest?! - Eksplozja działka zaklinowała klapy osłaniające przednie podwozie na amen. Nic nie dało się zrobić.

- No i co teraz? - Może nadszedł czas na katapultowanie się. - Nie ma mowy. Doprowadziłem cię aż tutaj. A lecę już chyba na parach ze zbiorników. - Nie pomylił się zbyt. Wskaźnik paliwa pokazywał zero. „Waldo” nakierował maszynę nad pas.

„Robal” stał teraz koło Pontowskiego. Patrzyli, jak Walderman przekracza początek pasa.

- Dajcie spokój...! - wymamrotał Stuart. Sam podniosła kamerę i skierowała obiektyw na samolot. - Dlaczego się nie katapultował? - zapytał już głośniej „Robal”. Wiedział jednak dlaczego, ponieważ na miejscu „Waldo” zrobiłby dokładnie to samo. Tyle, że teraz robił to ktoś inny.

Sam filmowała, jak główne podwozie A-10 dotknęło ziemi. Wstrzymała oddech.

Walderman trzymał dziób w górze tak długo, jak tylko mógł. Wreszcie lufa uszkodzonego avengera wbiła się w beton, absorbując część energii. Siły zostały przeniesione wzdłuż działka, które było bardzo mocno zamocowane; następnie na zbiorniki paliwa, położone za kabiną. Żaden jednak kadłub nie byłby w stanie wytrzymać takiego obciążenia. A-10 złamało się wpół; tył przewrócił się na plecy, przygniatając przód. Wrak samolotu sunął ze zgrzytem po pasie ogonem do przodu, leżącym na kabinie; na boki sypały się snopy iskier i odłamki pleksi-glasu. Wreszcie szczątki samolotu wykonały półtora obrotu i zatrzymały się.

Mężczyźni rzucili się ku zniszczonemu A-10, podczas gdy Samantha zrobiła zbliżenie na kabinę. Widać było „Waldo” wiszącego na pasach, do góry nogami, z przechyloną głową; hełmem opierał się o beton.

- Nie może się wydostać! - zawołała dziewczyna.

- Fotel! Fotel go uratował! - wołał Pontowski. Wierzchołek oparcia wyrzucanego fotela typu ACES-II zadziałał jak filar i uratował głowę Waldermana.

Nagle wrak rozbłysnął ogniem, zatrzymując rozpędzonych ludzi. Podniósł się potężny płomień. A potem, niemal natychmiast, zgasł. Kamera Samantha Darnell zarejestrowała osmoloną postać gramolącą się z kabiny, a potem uciekającą, ile sił w nogach.

- Błysnęło i zgasło!... - mruknął „Robal”. Waldermanowi zostało tylko tyle paliwa, że ogień zdążył rozbłysnąć zaledwie na krótką chwilę.

- Oto największy szczęściarz na świecie!... - mruknął Pontowski.

Sam skierowała teraz kamerę na niego. Na twarzy Matta widać było ulgę.

- Nie chcę nic o tym wiedzieć! - powiedziała sama do siebie. Wypowiedziała w ten sposób obietnicę, której zamierzała dotrzymać.

## **Epilog**

### **Piątek, 1 maja**

#### **Kapsztad, Republika Południowej Afryki**

MacKay odnalazł swój fotel w kabinie pierwszej klasy boeinga 747-400. Nadszedł biały steward południowoafrykańskich linii lotniczych. Uśmiechnął się.

- Mamy dziewiętnaście godzin do Nowego Jorku - poinformował.

- Jeśli w jakikolwiek sposób będę mógł panu pomóc, proszę mnie wołać.

- Poproszę od razu o poduszkę i koc - odpowiedział John. - Jestem bardzo zmęczony.

- Pan jest Amerykaninem, prawda? - spytał steward, wyjmując ze schowka nad fotelem żądane przedmioty. MacKay przytaknął. - Długo był pan w RPA?

Tylko parę dni - skłamał pułkownik, znów udając kogoś innego. - Interesy. - Czy kiedykolwiek poznam całą prawdę o tym wszystkim? - pomyślał.

- Mam nadzieję, że podobał się panu pobyt i że jeszcze pan wróci - odpowiedział steward i poszedł dalej.

MacKay usadowił się wygodniej w miękkim, skórzanym fotelu i poczuł, że napięcie odpływa. Silniki powietrznego olbrzyma zaszumiały i jumbo-jet potoczył się na pas. John wyjrzał przez okienko, przyglądając się nikinącej ziemi; widać było wyraźnie kształt góry Table. Po chwili pułkownik widział już wybrzeże, aż do Przylądka Dobrej Nadziei. Przed nim rozciągała się czysta, stalowoniebieska połać południowego Atlantyku. Leciał do domu.

Jednak niezależnie od tego, gdzie jeszcze w życiu się uda, Ziba na zawsze pozostanie przy nim.

**Środa, 6 maja**

**Biały Dom, Waszyngton, D.K.**

Cyrus Piccard wkroczył do biura Carrolla w niebywale dobrym nastroju.

- Niemcy! - Prawie krzyczał. - Wyobrażasz sobie? Chcą, żeby Beckmann został osądzony przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze. „Neo-Oś” rozpoczyna kolejną próbę ustanowienia międzynarodowej sprawiedliwości! Świat nigdy nie przestanie mnie zadziwiać!

Bill uśmiechnął się do starszego pana i popatrzył na Mazie. Jemu samemu kończył się już głos; mówienie sprawiało mu dużą trudność.

- Niemcy źle ocenili sytuację - stwierdziła Mazie. - Numer Jeden był dla nich zbyt wielką pokusą. Dali się jej zwieść. Dlatego popierali Beckmanna. Niestety, w ten sposób wspierali także realizację jego marzenia o państwie Afrykanerów. Wystarczyło pokazać im po prostu, dlaczego nie mają racji. Teraz starają się za wszelką cenę



naprawić z nami, i nie tylko z nami, stosunki polityczne.

- Komu udało się osiągnąć ten cud? - spytał Piccard.

- Mazie - odezwał się Carroll.

Był to jeden z tych niewielu momentów w życiu Cyrusa Piccarda, kiedy zabrakło mu słów.

- Muszę wiedzieć - wydusił w końcu - czy ta kontrolowana fuzja jądrowa istnieje?

Mazie pokręciła głową.

- Jeszcze nie - odpowiedziała. - Doktor Slavin utrzymuje, że jest w stanie osiągnąć zapłon bez eksplozji. Niestety, kończy się to utratą kontroli nad procesem i stopieniem reaktora. Uważa, że jest w stanie rozwiązać ten problem w ciągu dziesięciu-dwudziestu lat. Nasi naukowcy nie są jednak tego wcale tacy pewni.

Mazie jest gotowa - pomyślał William. Zapukała Midge.

- Przyszła pana żona, panie Carroll - oznajmiła. Do biura weszła Mary, ubrana w dres. Za nią wkroczyli dwaj agenci, którzy przebiegli z nim niezliczone kilometry. To jednak była już przeszłość. Dwaj mężczyźni także mieli na sobie dresy i adidas.

Bill spojrział z przerażeniem na wózek inwalidzki, który pchali przed sobą Wayne Adams i Chuck Stanford. Był to specjalnie zaprojektowany, sportowy wózek, z oparciem na głowę.

- To od nas - wyjaśnił Adams.

- Idziemy pobiegać - oznajmił Stanford.

Mary popatrzyła na męża.

- Siadaj na wózek, Bill. - Carroll nie poruszał się. - Musisz to zrobić tylko raz. - Powolutku, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego podniósł się i usiadł na nowym wózku.

Wózek był bardzo wygodny; pasował do niego jak ulał. Mary zapięła mu pas.

Bez słowa, Adams wypchnął Carrolla przez drzwi. Mary i Stanford podążyli za nimi. Wyszli szybkim krokiem z Białego Domu, nie zatrzymując się ani na chwilę. Kiedy dotarli do Ellipse Road, Adams zaczął biec, popychając wózek przed sobą. Nie był to sprint, ale szybki bieg; sporo poniżej czterech minut na kilometr. Kiedy już Adams nie mógł nadążyć, pchanie wózka przejęła Mary. Nawet nie zwolnili. Następnie zmienił ją Stanford.

Ludzie gapili się zdumieni. Agent towarzyszący ekipie na rowerze górskim odsuwał ich z drogi. Carroll opierał się wygodnie w wózku i czuł smagający go po twarzy wiatr.

Przez parę chwil czuł znów wszechogarniający spokój.

**Środa, 27 maja**

**Aubagne, Francja**

Orkiestra Legii Cudzoziemskiej przemaszerowała przed *Monument aux Morts* - Pomnikiem Poległych. Głucho odezwały się werble. Cztery kompanie drugiego pułku spadochronowego ustawiły się jedna obok drugiej, w równiutkiej linii. Generał de Royer stał na trybunie razem z naczelnym dowódcą Lęgu. Był wyprostowany jak struna; wypinał pozbawioną odznaczeń pierś. Na małym stoliku koło niego, w szklanej gablotce, leżała czarna rękawiczka, przeznaczona do muzeum Legii.

Ceremonia przebiegała z niezmaconą precyzją. Legia Cudzoziemska oddawała cześć swoim poległym. Odczytano czternaście nazwisk; nie według stopnia wojskowego, ale według

kolejności, w jakiej żołnierze polegli. Taki panuje w Legii zwyczaj. Oddano salut z karabinów. Uroczystość zakończyła się. Wyłączono kamery; reporterzy powrócili do samochodów.

Mały Matt trzymał ojca za rękę.

- Pamiętam go z ONZ - odezwał się. - W domu wydaje się jeszcze wyższy niż na dworze; w tej śmiesznej czapce.

- Ta czapka nazywa się kepi, mój mały.

- Czy jak dorosnę, będę taki wysoki jak on?

Pontowski uśmiechnął się.

- Nie sądzę - odpowiedział.

Podeszła Elizabeth Gordon.

- Gratuluję panu awansu, panie generale - odezwała się. - Sam powiedziała mi, że Senat zatwierdził w końcu pańską nominację.

- Dziękuję - odpowiedział krótko Matt, nie tłumacząc reporterce, że był tym równie zaskoczony, jak pani Nevers. Nie spodziewał się, że sekretarzowi obrony uda się dotrzymać obietnicy.

- Do tej pory nie miałam okazji, żeby panu podziękować... - stwierdziła Elizabeth.

- Nie ma mi za co dziękować - odparł Matt.

- ...za zaproszenie nas na ceremonię - dokończyła. - Cieszę się, że tu byliśmy.

Popatrzyli na siebie, starając się zachowywać uprzejmość.

- Uważam, że wasz specjalny reportaż o Żelaznej Gwardii był naprawdę wyjątkowy - odezwał się Pontowski. - Zapewne oglądalność przekroczyła wszelkie rekordy.

- To był reportaż Samantha, nie mój - przyznała Liz.- Czy my kiedykolwiek zawrzemy ze sobą pokój? - zapytała w końcu.

Czy można żyć w pokoju z kimś, kto zaczyna od wojny? - zastanowił się Matt.

- Wątpię - odpowiedział.

- Mówię o panu i o mnie - uściśliła panna Gordon. - Nie o panu i Sam.

Pontowski przyznał jej rację.

- Chciałbym, żebyś kogoś poznał - powiedział do synka, biorąc go za rękę.

- Sam jest przy samochodach! - zawołała za nimi Elizabeth.

## **Podziękowania**

Zaciągnąłem dług wdzięczności wobec wielu osób, które nieustrudzenie poświęcały mi czas, wiedzę i udzielały rad, dzięki czemu niniejsza powieść mogła ujrzeć światło dzienne. Bez pomocy i zachęt ze strony mojej żony, Sheili, i syna, Erica, niezliczoną ilość razy pogubiłbym się w tej pracy. Kiedy potrzebowałem odrobiny porady, pomocy, czy po prostu - prawdy, zawsze chętnie udzielał mi tego major Jim Preston z 442, skrzydła myśliwskiego Rezerwy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Charles D. Poe, znakomity lingwista, pomagał mi w udoskonalaniu terminologii i pomysłów, a także wskazywał źródła, które okazały się nieocenione dla stworzenia realistycznego scenariusza.

Inni, którzy znacząco przysłużyli się mojej pracy, to: dr Michael Spieth - pomógł mi w zrozumieniu, czym jest choroba Lou Gehriga; Lauri Mighton-Kain - ujawniła tajniki pracy i życia reporterki

telewizyjnej; Rob Barnes - dostarczył mi wiadomości na temat okrętów podwodnych przenoszących broń jądrową; Derek Greef - podzielił się ze mną swoimi przeżyciami ze służby w Południowoafrykańskich Siłach Obronnych; oraz podpułkownik Paul Woodford z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych - wprowadził mnie w świat *hashingu*.

Pomogli mi także Ken i Marcia Fritz, dzięki swojemu niezmiennie dobremu humorowi i wsparciu. Wiedza Marcii na temat Południowej Afryki, nie wspominając już o pomocy finansowej z jej strony, nadeszły w krytycznym momencie. Jimmy Ntinili z firmy turystycznej „Face to Face” z Johannesburga obiecał mi pokazać, jak to się mówi w Stanach, „dobre, złe i brzydkie” strony życia w Soweto. Pokazał mi jednak także i piękne.

Komandorzy porucznicy Dan Hendricks i Richard Rieckenberg z Marynarki Stanów Zjednoczonych udzielili mi szybkiej edukacji w dziedzinie energii jądrowej, na pokładzie USS „Nimitz”; dzięki nim dowiedziałem się także, co dzieje się pod wspaniałym pokładem atomowego lotniskowca i jak bardzo należy doceniać ludzi tam pracujących. Kapitanowie Sił Powietrznych Paul Heye Jr, i E.T. King II oraz starszy sierżant Lyle Inscho, udowodnili mi po raz kolejny, jakim wspaniałym samolotem jest stary C-130 Hercules. Przy okazji pokazali mi, z jaką determinacją i poświęceniem żołnierze jednostki transportowej 37 ALS, „Błękitne Ogony”, brali udział w operacji pokojowej „Przywrócić Nadzieję” w Bośni. To jednak zasługuje na oddzielną opowieść.

Wreszcie, przedstawiony przeze mnie obraz problemów, przed którymi staje dowódca wyższego szczebla, jest tylko delikatnym

wskazaniem na to, co w rzeczywistości dzieje się poza „światłami rampy”. Pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych James H. Kyle przedstawił w swojej książce *The Guts to Try* realia i trudy pełnienia dowództwa lepiej, niż można to opisać w powieści.

## **Słowniczek nazw i skrótów**

**AA-52:** Lekki karabin maszynowy kalibru 7,5 mm produkcji francuskiej; waży dziesięć kilogramów; wystrzeliwuje osiemset kul na minutę. Znakomita broń.

**ACT:** *Air combat tactics* - taktyka walki powietrznej. Chodzi o potyczki pomiędzy samolotami wrogich sił.

**Adjutant Offisier:** Jeden z podoficerskich stopni wojskowych w RPA. Odpowiednik sierżanta.

**ALS:** *Amyotrophic lateral sclerosis* - stwardnienie zanikowe boczne. Inaczej zwane chorobą Lou Gehriga. Śmiertelna choroba układu nerwowego, polegająca na degeneracji nerwów przekazujących sygnały do mięśni. Przyczyna ani lekarstwo do tej pory pozostają nieznane.

**ANC:** *African National Congress* - Afrykański Kongres Narodowy. Najstarsza partia polityczna w RPA. Wznosi się ponad plemienne podziały - jest to pierwszy tego typu murzyński ruch polityczny w Afryce. Odegrała zasadniczą rolę w obaleniu apartheidu.

**Apartheid:** „Oddzielność”, czy „rozdzielenie” w języku *afrikaans*. Nazwa polityki rządu RPA, prowadzonej oficjalnie od 1948 roku, na mocy której biali posiadali gospodarczą, polityczną i

społeczną kontrolę nad krajem. Apartheid obalono w roku 1994.

**AWB:** *Afrikaanse Weerstandsbeweging*- neofaszystowska organizacja Afrykanerów, która dąży do przywrócenia dominacji białych i odwołuje się do stosowania przemocy. Członkowie AWB uważają amerykański Ku Klux Klan za liberalny.

**Azanieanie:** Azaniańska Organizacja Ludowa. Panafrykański, murzyński ruch polityczny, którego członkowie sądzą, że istnieje potrzeba przemocy, jako *catharsis* na brutalność, której ofiarą padała czarna ludność w czasach apartheidu.

**Bandyta:** Każdy samolot, który został zidentyfikowany jako nieprzyjacielski.

**BDU:** *Battle dress uniform*. Mundur polowy.

**CAP:** *Combat air patrol* - bojowy patrol powietrzny. Ochronny „parasol” myśliwców, których zadaniem jest odnalezienie i zniszczenie samolotów wroga. Sam skrót „CAP” oznacza także „CZAPKA”. Amerykanie często stosują skróty, które same w sobie coś znaczą, mimo że pochodzą od innych słów.

**CBU-58:** *Cluster bomb unit*. Bomba samorozpraszająca się. Straszliwa broń, stosowana przeciwko piechocie. CBU-58 składa się z 650 rozpraszających się „bombek” wielkości piłeczki baseballowej, z których każda eksploduje, rozpadając się na 260 kawałków. Wewnątrz „bombek” znajdują się także po dwie tytanowe kuleczki zapalające. Bomby samorozpraszające się są skuteczniejsze od napalmu, a jednocześnie mają nad nim tę „przewagę”, że uważa je się za broń „politycznie poprawną”.

**COIC:** *Combined operations intelligence center* - połączone centrum operacyjno-wywiadowcze. Połączenie pod jednym dachem

dowództwa, sztabu, łączności oraz wywiadu danej jednostki wojskowej.

**DCI:** *The director of central intelligence* - dyrektor centralnego wywiadu. Osoba kierująca wszystkimi amerykańskimi agencjami i operacjami wywiadowczymi. Jednocześnie jest ona szefem samego CIA.

**Rozszczepienie:** Inaczej - rozpad. Proces polegający na tym, że wolny neutron uderza w jądro atomu, rozbijając je na części. Powstaje przy tym dodatkowo kilka nowych wolnych neutronów, promieniowanie radioaktywne i ciepło.

**Fuzja:** Przeciwnieństwo rozszczepienia. Proces polegający na tym, że dwa jądra atomowe zderzają się i łączą, tworząc jądro innego pierwiastka. Powstaje przy tym dodatkowo promieniowanie i jeszcze więcej ciepła niż przy rozpadzie.

**GPS:** *Global positioning system* - globalny system wyznaczania pozycji. System nawigacyjny oparty na wykorzystaniu satelitów, dzięki któremu samolot, okręt, a nawet pojedynczy człowiek uzyskuje absolutnie precyzyjne dane o swoim położeniu. Najnowsze odbiorniki, jakich używa się w tym systemie, mają wielkość kalkulatora i będą jeszcze mniejsze. Bardzo „kosmiczny” system, a przy tym dostępny dla każdego, kogo na niego stać.

**IG:** *Inspector General* - Generalny Inspektorat. Wojskowa organizacja w USA, której zadaniem jest rozpatrywanie skarg oraz przeprowadzanie inspekcji.

**Inkatha:** Zuluska partia polityczna w RPA. Rywalka Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Inkatha funkcjonuje głównie w prowincji Natal.



**ISA:** *Intelligence Support Agency* - Agencja Wspierania Wywiadu. Jedna z organizacji wywiadowczych USA, podlegała departamentowi Armii Pentagonu. Została utworzona przez administrację prezydenta Reagana, aby obejść ograniczenia w zakresie prowadzenia tajnych operacji nałożone na CIA. ISA okazała się skuteczna; jej obecny stan pozostaje nieznany.

**Koevoet:** „Łom” w języku *afrikaans*. Nazwa elitarniej jednostki antyterrorystycznej działającej na pograniczu Namibii i Angoli w latach osiemdziesiątych. Została rozwiązana.

**Kommandant:** Jeden ze stopni wojskowych w RPA. Odpowiednik podpułkownika.

**Kukri:** Rakietka powietrze-powietrze będąca zmodyfikowaną przez RPA wersją amerykańskiego sidewindera.

**Laager:** Obronny krąg wozów, jaki tworzyli *voortrekkerzy* dla obrony przed wrogimi plemionami. *Laager* stał się symbolem oporu Afrykanerów przeciwko politycznym zmianom.

**LZ:** *Landing zone* - strefa lądowania.

**Mark-82 AIR:** AIR oznacza *air inflatable retarded* - opóźniana nadmuchiwaniem powietrzny. Dwustudwudziestupięciokilogramowa bomba, która może być zrzucona z małych wysokości. Jej upadek jest opóźniany przez nadmuchiwany balono-spadochron, zwany *balute*, od *balloon/parachute*. Dzięki temu samolot dokonujący zrzutu zdąża na czas uciec przed jej wybuchem.

**MAT-49:** Ręczny karabin maszynowy kalibru 9 mm, produkcji francuskiej. Porównywalny z innymi karabinami tej klasy. Bez naboju waży trzy i pół kilograma; wystrzeliwuje sześćset kul na

minutę.

**MOPP:** *Mission operative protection posture* - kombinezon ochronny umożliwiający wykonywanie misji. Ochronny kombinezon przeciwochemiczny wraz z maską przeciwgazową. Jest w nim bardzo gorąco i niewygodnie.

**NVG:** *Night-vision goggles* - okulary do działań nocnych.

**PRC-103:** Najnowsze osobiste radio używane przez załogi amerykańskich samolotów na wypadek lądowania na spadochronie w wyniku zestrzelenia czy awarii. Może być zintegrowane z LARS - *lightweight recovery system* - lekkim systemem ratunkowym; wtedy może służyć jako trudna do wykrycia przez przeciwnika radiolatarnia, sygnalizująca misji poszukiwawczej położenie ratowanego, jako urządzenie wskazujące kierunek do bazy, oraz jest w stanie kodować rozmowy.

**ROE:** *Rules of engagement* - zasady postępowania. Zazwyczaj jest to zbiór dobrych pomysłów, stworzonych po to, żeby piloci myśliwców wrócili żywi do domów. ROE bywają psute przez polityków, gdyż sądzą oni, że mają lepsze pomysły niż dowódcy i wtrącają się.

**SAR:** *Search and rescue* - poszukiwawczo-ratunkowa. Także grupa lub misja.

**Sidewinder:** Dosłownie „boczny wiatr”. Nazwa amerykańskiej rakiety powietrze-powietrze, oznaczanej AIM-9. AIM to skrót od *air intercept missile* - rakiet przeciwlotnicza. Sam skrót „AIM” oznacza także „CEL”. Sidewindery są naprowadzane na podczerwień; najnowsze wersje niemal zawsze trafiają w „bandytę”.

**STU-III:** Przenośny telefon, który można podłączyć do linii w

dowolnym miejscu, kodujący przeprowadzane rozmowy.

**Tomahawk:** Amerykańska rakietka typu Cruise, czyli samosterująca lub inaczej - manewrująca. Długa na sześć metrów; wystrzeliwana z okrętu lub z lądu. Rakietka samosterująca leci na minimalnej wysokości, aby uniknąć wykrycia przez radar i zestrzelenia. Manewruje, uwzględniając szczegóły terenowe, na podstawie wpisanej do pamięci pokładowego komputera zakodowanej, wyjątkowo dokładnej mapy, lub posługuje się własnymi pomiarami. Trafia w cel z nieomylną precyzją. Najnowsze modele tomahawków mają zasięg prawie dwóch tysięcy kilometrów i przenoszą głowice o masie do czterystu pięćdziesięciu kilogramów.

**Tsotsi:** Niebezpieczne gangi młodzieżowe w czarnych dzielnicach miast RPA, które popełniają liczne przestępstwa z użyciem przemocy.

**Twin Gun:** „Bliźniak”. Dwulufowe działko przeciwlotnicze kalibru 20 mm produkcji niemieckiej firmy Rheinmetall z Dusseldorfu. Charakteryzuje się wyjątkowo rozbudowanym i skutecznym systemem prowadzenia ognia, oraz szybkostrzelnością wynoszącą 1000 pocisków na minutę dla każdej lufy. W pudłach z amunicją mieści się jednak tylko po 550 pocisków, przypadających na każdą lufę.

**VLS:** *Vertical Launch System* - system odpalania pionowego. Pionowe wyrzutnie raket samosterujących tomahawk, jakie instaluje się na dziobach amerykańskich okrętów podwodnych klasy „Los Angeles”, przenoszących broń nuklearną.

**Voortrek:** Migracja *trekboerów*, czyli na wpół koczowniczych pasterzy bydła, z pochodzenia Holendrów, jaka miała miejsce w

latach trzydziestych XIX wieku. *Trekboerzy* chcieli w ten sposób uniknąć poddania się Anglikom, którzy zdobyli wtedy RPA i zaprowadzili swoje okrutne rządy. *Trekboerów*, którzy brali udział w tej wędrówce, nazwano *voortrekkerami*. Ich nieokiełznane pragnienie wolności za wszelką cenę, ich upór stały się symboliczne dla dzisiejszych Afrykanerów.